

REMIGIUSZ

MRÖZ

Z PIERWSZEJ
PIŁKI



FILIA

R E M I G I U S Z

MRŌZ

Z PIERWSZEJ
PIŁKI



FILIA

Dla K.
Oraz dla wszystkich, z którymi grałem na Jedyńce

*Futbol nie ma nic wspólnego z fair play.
(...) to wojna minus wystrzały.*

George Orwell

*Niektórym wydaje się, że stadiony piłkarskie to wyspy.
Nie wiedzą, że są one raczej lustrami, w których odbija się
obraz świata, do którego wszyscy należymy.*

Eduardo Galeano

Football, bloody hell!

sir Alex Ferguson

PÓŹNIEJ SEZON 2022/2023

Carrer del Duc, Barcelona

Świat był nijaki, a godzina żadna. Młody chłopak w koszulce z numerem 15 na plecach wybiegł z hotelu, rozglądając się nerwowo. Miasto spało głęboko, a w niewielkiej uliczce niepodzielnie panowały mrok i cisza, którą mącił jedynie nierówny oddech piłkarza.

Przez moment stał jak wrośnięty w ziemię, nie mając pojęcia, co począć. Świat wirował, w głowie mu huczało, a obraz przed oczami wciąż nie chciał się wyostrzyć.

Chłopak opuścił głowę i uniósł lekko dłonie, wbijając w nie wzrok. Czuł się jak w grze komputerowej – niby kontrolował swoje ciało, ale zdawało się nierealne, należące do kogoś innego.

Złudzenie.

Faktem było zaś to, że krew znajdująca się na rękach nie należała do niego. Próbował ją zetrzeć, zanim wybiegł z pokoju hotelowego. Pozbył się jej jednak tylko na tyle, by nie zostawić śladów na korytarzu.

Potem uruchomił się w nim nieracjonalny instynkt, który kazał uciec.

Wciąż widział zakrwawione ciało, które zostawił na łóżku. Pokrytą rdzawą czerwienią pościel. Szkarłatne rozbryzgi na meblach i ścianach. A w końcu także twarz wykrzywioną w bolesnym grymasie śmierci.

Zrobiło mu się niedobrze, nogi niemal się pod nim ugięły. Wstrzymał na moment oddech, mimowolnie uświadamiając sobie, że jeśli tu zwymiotuje, zostawi ślady.

Ta myśl go ocuciła. Zebrał się w sobie, a potem pobiegł w stronę plaça de Catalunya. Równie dobrze mógł obrać przeciwny kierunek. Nie było nikogo, kto mógłby udzielić mu pomocy.

Zostawił cały pokój hotelowy we krwi, ofiara znajdowała się w jego łóżku, a jego odciski palców i ślady DNA będą łatwe do zidentyfikowania.

Wydawało się, że jest na przegranej pozycji.

Mimo to pędził przed siebie, łudząc się, że odnajdzie ratunek. I licząc na to, że nikt go nie dostrzeże.

Nadzieja prysła, kiedy rozległ się głos zza jego pleców.

– *Perdona'm!*

Piłkarz nie zareagował, nie zwolnił. Zupełnie jakby istniała szansa, że dzięki temu w jakiś cudowny sposób okaże się, że się przesłyszał.

– *Disculpi'm!* – rozległo się głośniejsze wołanie.

Chłopak powoli przestał biec, nim wreszcie się zatrzymał. Czas zdawał się zmierzać wstecz, a serce piłkarza najpierw przyspieszyło, by potem niemal przestać bić. Zwiesił głowę i ledwo odnalazł w sobie odwagę, by obejrzeć się przez ramię.

Dostrzegł to, czego się obawiał.

Policjant zbliżał się do niego szybkim krokiem, trzymając dłoń na kaburze z bronią i wbijając wzrok w jego zakrwawione ręce.

WCZEŚNIEJ SEZON 2021/2022

1–20 KOLEJKA

1

ul. Pawlety, Suchy Bór

Na boisku sportowym w liczącym niecały tysiąc mieszkańców Suchym Borze nie było trybun, a nawet gdyby się tu znalazły, w takich okolicznościach trudno byłoby zapełnić je widzami.

Witek Krygier był tu pierwszy – i zapewne ostatni – raz. Usiadł tuż przy młodej dziewczynie na niewielkim drewnianym podeście, na którym oprócz nich znajdowało się kilka innych osób. Wszystkie w podobnym wieku, licealnym. Tak jak dwunastu grających na boisku chłopaków.

Krygier skupiał się tylko na jednym. Na koszulce nie miał nazwiska, wyłącznie numer – 15. I bez tego Witek wiedział jednak doskonale, jak chłopak się nazywa.

– I co myślisz? – odezwała się siedząca obok niego dziewczyna.

Krygier westchnął cicho, a potem spojrział na córkę.

– Że przede mną *mission impossible* – odparł. – I to nie z gatunku tych filmowych, bo nazwę tamtej serii powinni zmienić na *possible*.

– Co?

– Każda misja na końcu im się powodzi.

Kalina potrząsnęła głową, a potem wskazała na jednego z młodych piłkarzy.

– Miałam na myśli jego – odparła.

To jej pomysłem było, by Witek zjawił się na właściwie podwórkowym meczu w jednej z podopolskich wsi. Raz w tygodniu grali tu jej znajomi z liceum, w tym także chłopak z numerem piętnaście.

Kala zapewniała ojca, że nie pożałuje, a kiedy będzie opuszczał Suchy Bór, wzbogaci się o swojego najlepszego napastnika.

Owszem, desperacko potrzebował kogoś na tę pozycję, ale szczerze wątpił, by mógł uzupełnić kadrę o osiemnastolatka, który nigdy nie grał w żadnym klubie. Najpewniej nie odbył nawet jednego profesjonalnego treningu.

Ot, kopał piłkę po nierównych, dziurawych i nieskoszonych boiskach, z których najpierw trzeba było uprzętnąć psie gówna, by w ogóle zacząć mecz.

Krygier zjawił się tu głównie po to, by córka przestała suszyć mu głowę. I po pierwszych pięciu minutach meczu właściwie był bliski uznania, że odbębnił rodzicielski obowiązek i może zbierać się z powrotem do Opola.

– Potrzebujesz go – odezwała się Kala.

– Potrzebuję środków na transfery, profesjonalnego sztabu, dobrych skautów i przynajmniej piętnastu piłkarzy, którzy potrafią grać. W tej chwili nie mam nic z tych rzeczy. I łączę po boiskach, które wyglądają jak nieużytek rolny.

– Tato...

– Piłka im skacze w dziurach – uciał Witek, wskazując ręką miejsce, w którym futbolówka przed momentem uciekła prosto spod nóg numeru piętnaście.

– To nie są dziury – odparła Kalina. – Tam są zraszacze.

Ojciec posłał jej spojrzenie mówiące więcej niż cała kawalkada słów.

– Chłopak ci się podoba, zrozumiała sprawa – zauważył. – Ale...

– Nie powiedziałam, że mi się podoba.

– Nie musiałaś. Świecisz cyckami, jakbyś chciała go oślepić jak jelenia na drodze w środku nocy.

Kalina tylko na ułamek sekundy oderwała wzrok od tego, co działo się na boisku. Tyle jednak wystarczyło, by Krygier poczuł się mały.

– Tak się mówi do swojej córki? – burknęła.

– Mówi się tak, jak się uznaje za słuszne. Na tym polega rodzicielstwo.

– Chyba jednak nie do końca.

– Spadnie na ciebie kiedyś przekleństwo własnych dzieci, to się sama przekonasz.

Kątem oka zauważył, że Kala kręci głową.

– Naprawdę niedziwne, że matka wyrzuciła cię z domu – zauważyła.

– Nie wyrzuciła. To się odbyło za porozumieniem stron.

– Ehe.

– Co „ehe”?

– Nic. Po prostu dziwnie nazywasz wyrzucanie twoich rzeczy na korytarz przy jednoczesnym krzyczeniu „wypierdalaj i nigdy tu nie wracaj, chuju złamany” – odparła spokojnie Kalina.

Witek obrócił głowę do córki. Przez moment słyhać było jedynie nawołujących się piłkarzy.

– Nie przeklinaj – odparł Krygier.

– To nie mów, że świecę cyckami.

– To nimi nie świeć.

Kala złapała za bluzkę i odsłoniła dekolt jeszcze bardziej, po czym władczym ruchem głowy wskazała boisko.

– Obserwuj – poleciła.

Miała dużo ze swojej matki. Stanowczo za dużo.

Witek skupił się na chłopaku, który właśnie podnosił rękę, by kolega z zespołu podał mu piłkę. Tak się stało. Kiedy futbolówka znalazła się przy nodze zawodnika, ten natychmiast odskoczył z nią w bok, zupełnie jakby przykleiła się do jego buta.

W pełnym biegu zaczął schodzić ze skrzydła w kierunku bramki, mając przed sobą trzech obrońców. Pierwszego minął prostym zwodem, wykonując jedną nogą ruch ponad piłką, a drugą trącąc ją w przeciwnym kierunku. Drugiego pokonał balansem ciała, a wokół trzeciego okręcił się, jakby ten był słupkiem treningowym.

Zostawszy sam na sam z bramkarzem, chłopak wziął zamach, przygotowując się do strzału. Obserwując, na którą stronę przeniósł ciężar ciała i pod jakim kątem zamierzał uderzyć futbolówkę, Krygier doszedł do wniosku, że piłka pójdzie w lewy dolny róg bramki.

Zawodnik huknął jednak w prawe górne okienko. Bramkarz nawet nie mrugnął.

Witek machinalnie się pochylił i oparł ręce na kolanach.

– No i? – odezwała się Kala. – Nie mówiłam?

Zignorował ją, skupiając się na tym, jak wygląda celebrowanie gola. A właściwie jej brak. Zarówno ten chłopak, jak i reszta drużyny zachowywali się, jakby to wszystko było na porządku dziennym.

– Halo? – zapytała Kalina, kiedy drugi zespół zaczął od środka. – Ziemia do ojca.

Krygier nie reagował.

Obserwował, jak młody piłkarz najpierw rozdziela podania, robiąc za playmakera i wykazując świetny przegląd gry, a potem przenosi się sprintem pod pole karne przeciwnika. W pełnym biegu potrafił nie tylko oddać piłkę, kiedy partner znajdował się na lepszej pozycji, ale też wyprowadzić strzał, który bez odpowiedniego przygotowania powinien być niemożliwy. Kiwał jak

szalony, a piłka zdawała się przedłużeniem jego ciała. Mylił wszystkich na boisku, dryblując w sposób kompletnie nieprzewidywalny, czasem zdający się przeczyć fizjologii. I grał tak, jakby dziś miał skończyć się świat.

Witek w końcu się wyprostował.

– Kto to, kurwa, jest? – wypalił.

– Adam Benhardt – odparła córka. – Mówiłam ci.

2

ul. Szkolna, Suchy Bór

Idąc w kierunku furtki, Benhardt dostrzegł, że facet, który wcześniej przyglądał im się z boku, teraz stał oparty o ogrodzenie. Wyglądał nieco podejrzanie, szczególnie siedząc między dziewczynami ze szkoły – gadał jednak z którąś z nich, wychodziło więc na to, że nie należy do permanentnych bywalców nieodległego baru, których czasem coś tu przywiało.

Niemniej jednak sprawiał wrażenie, jakby mógł nim być. Fryzura niedbała, nierówno przycięty wąs, szczecina na policzkach, a do tego ciuchy, w których mógłby wystąpić w dokumencie o powodzi z dziewięćdziesiątego siódmego.

Kiedy Adam zbliżył się do ulicy, gość się ożywił. Ewidentnie czekał właśnie na niego.

– Często przychodzi pan sobie popatrzeć na młodych chłopaków? – rzucił pod nosem Benhardt, mijając furtkę.

– Co?

– Gapił się pan jak Iga Świątek na tiramisu po wielkoszlemowej wygranej.

Mężczyzna wydawał się nieco skonsternowany, a Benhardt wyczuł niewyraźną woń alkoholu. Żadnego dobrego, chyba najtańsza wódka.

– Jestem ojcem Kali – rzucił.

– Kogo?

Facet rozejrzał się, jakby chciał wskazać właściwą osobę. Grupa dziewczyn odeszła już jednak razem z graczami w kierunku ulicy. Adam został na boisku jako ostatni, bo w pewnym momencie meczu nadepnął na wystający zraszacz wody i chyba lekko go ułamał.

Znowu będą problemy, a on nie miał kasy, by po raz kolejny płacić za jakieś niefortunne uszkodzenia na terenie boiska.

– Kalina – podjął mężczyzna. – Chodzi z tobą do liceum.

Benhardt zmierzył go wzrokiem.

– Imię wybierał pan czy żona? – rzucił.

– Hę?

– Tak tylko pytam.

– Słuchaj, gówniarzu...

– Może innym razem – odparł Adam, ruszając przed siebie.

Obejrzał się kontrolnie przez ramię, ale gość nie ruszył za nim. Kiedy Adam zobaczył go po przyjściu na boisko, zakołatała mu w głowie myśl, że może to jakiś skaut albo trener któregoś zespołu z akademii Rewery Opole, U19 lub U18. Wystarczyło jednak mu się przyjrzeć, by stwierdzić, że nie ma na co liczyć.

Zjawił się tu, bo Benhardt pewnie w jakiś sposób przeciął się z jego córką. I facet chciał teraz wysuszyć mu głowę.

Należało jak szybciej się stąd ewakuować.

– Gdzie się uczyłeś grać? – rozległo się zza jego pleców.

Adam zatrzymał się i obrócił. Mężczyzna nadal stał oparty plecami o płot, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i dziwną ciekawością w oczach.

– Gdzie się dało – odparł Benhardt.

– Znaczy?

Adam rozłożył ręce.

– Głównie tu – wyjaśnił. – Mieszkam niedaleko.

Patrzyli na siebie badawczo, obaj jakby niepewni, dlaczego w ogóle prowadzą rozmowę. Coś jednak sprawiało, że żaden z nich nie był gotowy jej zakończyć. Facet w końcu przedstawił mu się jako Witek Krygier, a chłopakowi coś to nazwisko mówiło. Może jednak znał jego córkę?

– Nie grałeś w żadnej szkółce? – odezwał się mężczyzna.

– Nie. Tylko w szkolnych reprezentacjach i paru amatorskich drużynach.

Krygier wciąż przypatrywał mu się z mieszaniną podekscytowania i obawy, zupełnie jakby właśnie wyłapał na Allegro okazję zbyt korzystną, by mogła okazać się prawdziwa.

– A teraz? – spytał.

– Teraz gadam z panem, chociaż nie wiem po co.

– Pytam o to, gdzie grasz.

– W B klasie.

Witek zmrużył oczy.

– A pan co, spis powszechny robi?

– Nie – odparł spokojnie mężczyzna. – Szukam zawodników do klubu.

– Jakiego?

– Rewery.

Dopiero teraz w umyśle Adama nastąpiła nagła iluminacja. Witold Krygier, trener piłkarski. Przemknął tylko przez Ekstraligę, zaczynając z grubej rury, ale ostatecznie trenował tylko dwa podrzędne zespoły i nie osiągnął z nimi żadnych sukcesów. Zanim rozpoczął swoją przygodę w najwyższej klasie rozgrywkowej, narobił sporo szumu w niższych ligach – na tyle, że Benhardt czytał o nim kiedyś artykuł na Wieszło. Stąd kojarzył nazwisko.

Potem jednak facet przepadł bez śladu. A Adam nie miał pojęcia, że teraz został wybrany szkoleniowcem przez polski klub.

– Zatrudnili pana? – rzucił z powątpiewaniem.

Krygier odsunął się od płotu i zbliżył do niego.

– Coś ci nie pasuje? – spytał.

– Nic.

– To dobrze. Bo przyjdiesz na trening.

– Ja? – wypalił Benhardt.

– A kto? Jeden z tych karakanów, których tu robiłeś, jak chciałeś?

Jeszcze moment wcześniej Adam nie puściłby tego określenia mimo uszu, teraz jednak znalazł się w sytuacji, w której pogubił wszystkie słowa. I nie potrafił zebrać ich na tyle, by sklecić z nich zborną myśl.

– Dobra – rzucił Witek. – Jak na ciebie wołają?

– Różnie.

Krygier cierpliwie nabrał tchu, patrząc na chłopaka z pewną rezerwą.

– A przeważnie jak?

– Ben.

Trener milczał z kamiennym wyrazem twarzy.

– Czasem ewentualnie Benaldo, że niby...

– Domyślam się – uciął Witek.

– A do pana jak mówią?

– Panie trenerze.

Chłopak pokiwał głową, nie bardzo wiedząc, w którą stronę zmierza ta rozmowa.

– Przyjdiesz jutro na trening – oznajmił Krygier.

– Jutro nie mogę.

– Bo?

– Obiecałem pomóc babci w ogrodzie.

Trener odczekał moment, jakby liczył na to, że pojawi się jakaś puenta, która sprawi, że ten żart nabierze choćby minimalnego sensu. W końcu zorientował

się, że czeka na próżno.

– To obiecasz, że pomożesz w inny dzień – odparł. – O dziesiątej zaczynamy, więc masz być na dziewiątą, jasne?

Adam się zawahał.

– Byłeś kiedyś na stadionie Rewery?

– Byłem.

– To wejdź bocznym wejściem, obok będziesz widział zaparkowane samochody – oznajmił Witek. – Zrobimy mały sparing, zobaczymy, jak sobie poradzisz.

Benhardt trwał w bezruchu, zachodząc w głowę, jak doszło do tej sytuacji. Wiedział, że powinien odmówić i nie zbliżać się do stadionu. Nie planował nigdy nawet dopuszczać do tego, by mieć taki dylemat jak teraz.

– No? – dodał Krygier. – Można na ciebie liczyć czy nie?

Adam nie odpowiadał, a trener zmarszczył czoło, przypatrując mu się jak idiotcie. Właściwie trudno było mu się dziwić. Każdy inny chłopak uznałby pewnie, że otworzyły się nad nim niebiosy i spłynęło na niego prawdziwe błogosławieństwo.

– Co jest? – mruknął trener.

– Nic.

– To czemu wyglądasz, jakby ci ktoś lokówkę w dupę wsadził?

Benhardt uniósł brwi.

– A skąd pan wie, jak wygląda ktoś, komu...

– Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie – uciął szybko Witek, a spojrzenie, którym świdrował chłopaka, stawało się coraz bardziej intensywne. – I co jest z tobą nie tak?

– Nic. To ze światem coś jest.

Krygier machnął ręką z irytacją.

– Dlaczego tułasz się po B klasie, małolacie?

Właściwie nie było na to dobrej odpowiedzi, więc Adam zrezygnował z udzielania jakiegokolwiek.

– Byłeś gdzieś kiedyś na jakichś testach? – ciągnął Witek. – Może u nas albo chociaż w jakimś Kluczborku czy Brzegu?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo do niczego mi to niepotrzebne.

– Nie chcesz grać?

– Chcę.

– To o co chodzi?

Benhardt zerknął znacząco w kierunku boiska.

– Tutaj też mogę grać – oznajmił. – I to tyle, ile chcę.

Trener musiałby być młodym pelikanem, by łyknąć tak oczywistą bzdurę, szczęśliwie jednak nie dopytywał. Przynajmniej na razie.

– Widzę cię rano w szatni – oświadczył. – Dobierzemy ci jakiś strój.

Adama naszła cokolwiek nieprzyjemna myśl, że wolnych trykotów jest tam teraz w nadmiarze. Dwa tygodnie temu drużyna Rewery Opole jechała na mecz wyjazdowy do Poznania, z nadzieją, że będzie kontynuować zwycięską passę.

Gdzieś na wysokości Leszna ta została brutalnie przerwana. Autobus wpadł w poślizg, uderzył w bariery energochłonne, a potem spadł z nasypu i dachował. Piętnastu piłkarzy siedzących z przodu zostało praktycznie zmiądzonych.

W tym niemal cała podstawowa jedenastka.

Ten sam los spotkał trenera i dwie osoby ze sztabu, choć szkoleniowiec przez jakiś czas walczył jeszcze o życie w szpitalu. Istniała szansa, że z tego wyjdzie, ale nawet gdyby tak się stało, nie miałby drużyny do prowadzenia.

W pierwszej lidze Rewera Opole zdobyła rekordowe 98 punktów, zaliczając 32 zwycięstwa i tylko dwa remisy. Po awansie do Ekstraligi radziła sobie niemal równie dobrze – po czternastu meczach, prawie równo na półmetku kampanii, plasowała się na trzecim miejscu.

Obaj napastnicy znajdowali się w czołówce walki o tytuł króla strzelców ligi. Podstawowy bramkarz i obrońcy zaliczali czyste konto mecz po meczu, a z linii pomocy co rusz wybierano kogoś do najlepszej jedenastki kolejki.

Zespół, który w tamtym sezonie znajdował się w niższej klasie rozgrywkowej, w tym miał realną szansę wywalczyć mistrzostwo Polski, a w przyszłym grać w eliminacjach do Pucharu Mistrzów. Historia była tak filmowa, że do Rewery Opole zaczęli zgłaszać się ludzie od dokumentów sportowych, plując sobie w brodę, że nie zaczęli kręcić materiałów wcześniej.

Wszystko skończyło się w ułamku sekundy, w którym kierowca stracił panowanie nad autobusem.

W tej chwili zespół nie miał nawet jedenastu graczy, których mógłby wystawić na murawie. Z pierwszej drużyny zostało ich dziesięciu, w tym dwóch rezerwowych bramkarzy. Po odliczeniu części, która odniosła obrażenia w wypadku, właściwie nie było szans na sklecenie składu.

– Słuchasz mnie, małolacie? – odezwał się Witek.

Benhardt zamrugał nerwowo i skinął głową, wracając do rzeczywistości. Otworzył usta, ale się zawahał.

– Dlaczego przyjął pan tę pracę? – odezwał się w końcu.

Krygier uniósł wzrok, jakby okrutny los zmusił go, by tłumaczył rzeczy absolutnie oczywiste.

– Bo każdy z nas posiada coś, co może zaoferować innym – odparł poważnym tonem. – I pomagając im, tak naprawdę pomaga sobie. Nikt nigdy nie zbiedniał, oddając coś drugiemu człowiekowi.

– Aha. Czyli potrzebował pan kasy?

– Jeszcze jak. Mam alimenty na głowie i żadnej roboty.

– Rozumiem.

– Wątpię – skwitował cicho Krygier. – Ale nie szkodzi. Na razie musisz rozumieć tylko dwie rzeczy. Po pierwsze: nie spóźnij się na trening. Po drugie: trzymaj się z dala od mojej córki.

– Ale...

– Przy czym to drugie jest ważniejsze od pierwszego.

– Tylko że ja jej nawet nie znam.

– I tak ma zostać – polecił Witek.

Benhardt rozejrzał się i niepewnie potarł ręką kark.

– Ale wie pan, że zazwyczaj jak ktoś mówi coś takiego, to przynosi to skutek odwrotny do zamierzonego?

– Wiem, że wypierdolę cię z klubu na zbity pysk, jak tylko zobaczę, że rozmawiasz z moją córką.

– Żeby mnie z niego wypierdolić, musiałby pan najpierw mnie przyjąć.

– To się okaże jutro – oznajmił Krygier. – Nie spóźnij się.

– Zaraz...

– Reszty dowiesz się na miejscu. Po ciuchy zgłoś się do pani Czesi.

– Moment.

Tym razem głos Benhardta był tak stanowczy, że Witek musiał się zatrzymać. Obejrzał się podejrzliwie przez ramię.

– Gram tylko z numerem piętnastym – oświadczył Ben.

– Bo?

– Bo tak.

Trener nie zaszczycił go odpowiedzią.

– Albo dostanę piętnastkę, albo nie wyjdę na żadną murawę.

– Zobaczymy, jak będziesz na miejscu. Punktualnie.

Krygier odszedł w kierunku głównej ulicy, a Adam odprowadził go wzrokiem, nie do końca świadomy tego, co się właśnie wydarzyło. Przez tyle lat uparcie trwał na stanowisku, że do takiej sytuacji nigdy nie dojdzie.

Nie zgłaszał się do szkółek trampkarskich, juniorskich ani żadnych akademii. Nie wybierał się na testy do klubów, nie interesował się żadnymi skautami, o których obecności na danych meczach słyszał.

Raz zrezygnował ze spotkania w amatorskiej lidze, kiedy dowiedział się, że zjawi się tam jakiś łowca talentów z któregoś czwartoligowego zespołu.

Zerknął na boisko, jakby miał to być ostatni raz, kiedy znalazł się w jego pobliżu, a potem ruszył w stronę domu dziadków.

Nie uszedł nawet paru kroków, kiedy dostrzegł zaparkowany nieopodal samochód Krygiera. Córka czekała na niego, opierając się o otwarte drzwi po stronie pasażera.

Zanim wsiadła, posłała Benowi krótkie spojrzenie, a on zrozumiał, że to ta osoba jest winna wszystkiemu, co dzisiaj poszło w ruch.

Nie mijali się z prawdą, kiedy mówił trenerowi, że jej nie zna. Nigdy nawet nie rozmawiali, choć widywał ją na szkolnych korytarzach. Mijali się bez słów, ale tylko pozornie – w istocie ich oczy prowadziły długą konwersację.

Stara skoda octavia w beżowym lakierze odjechała w kierunku Opola, a Adam przyspieszył kroku. Rozmowę, która niechybnie go czekała, chciał mieć jak najszybciej za sobą.

Nie okłamał trenera także, kiedy mówił, że obiecał coś babci – rozminął się jednak z prawdą w kwestii dokładnej treści przyrzeczenia.

Wszedł do domu i nabrał głęboko tchu.

Nie wiedział, jak wyjaśnić dwójce wychowujących go od dziecka ludzi, że dziś postanowił złamać obietnicę. I wejść na drogę, która zaprowadziła jego ojca do zakończenia dwóch istnień – jego i matki Benhardta.

3

ul. Wygonowa, Opole

Witek wyszedł ze spotkania z dyrektorem sportową i prezesem klubu całkowicie opanowany. Dopiero kiedy opuścił stadion i wyjął paczkę fajek, pozwolił sobie na serenadę soczystych przekleństw.

Nie przejmował się tym, że córka siedzi na ławce przed bocznym wejściem. Nasłuchiwała się znacznie gorszych rzeczy w trakcie jego kariery rodzicielskiej.

– Czyli poszło świetnie? – odezwała się Kala.

Krygier zaciągnął się papierosem i rzucił jej krótkie spojrzenie.

– Mniej więcej tak, jak w trakcie mediacji przed rozwodem z twoją matką.
– Aż tak?
– Mhm – potwierdził cicho Witek i wypuścił dym na bok. – Nie dadzą mi skompletować żadnego sztabu. Mam tylko to, co zastanę.

– To chyba nie najgorzej, przecież ci ludzie...
– Nie znam ich – uciął Witek. – Nie mam pojęcia, kim są ani jak z nimi gadać. W dodatku wszyscy są teraz bardziej depresyjni niż nastolatka, którą odrzucił chłopak.

Kalina ostrzegawczo zmierzyła go wzrokiem.

– No cóż, osiemnaście osób zginęło, więc...
– O transferach mogę sobie, kurwa, pomarzyć, nie ma na to żadnego budżetu – ciągnął Krygier. – Muszę sobie radzić z tym, co mam. Czyli z niczym.
– Masz Bena.

Trener zaciągnął się tak głęboko, że właściwie cały dym znikł gdzieś w najgłębszych zakamarkach jego płuc. Kiedy wypuszczał powietrze, z jego ust wydobyła się tylko niewyraźna szara smuga.

– Benaldo? – odburknął. – Sama jego ksywka mówi wszystko.
– Znaczy?
– To jakiś żart.
– No nie wiem – odparła spokojnie Kala. – Dla mnie żartem jest twój dysfunkcyjny model wychowawczy i to, że masz robotę, która polega na pracy z ludźmi.

Krygier wskazał córkę papierosem.

– Mój model jakoś się sprawdził – zauważył. – Wyrosłaś na ludzi.
– Ale nie dzięki niemu, tylko na przekór.

Trener kaszlnął nerwowo, a potem powiódł wzrokiem po pustym parkingu. Piłkarze mieli jeszcze trochę czasu do przyjazdu, ale sztab powinien się już zjawić. Tymczasem on i córka byli tutaj sami.

Nie dziwił się, że skoro nie miała lekcji, chciała towarzyszyć mu w tym dniu. Czowała nieustanną potrzebę, by dawać mu wsparcie, szczególnie po tym, jak rozwiódł się z żoną. Kala doskonale wiedziała, że jego kompletnie zapuszczone, wynajmowane mieszkanie jest doskonałym odzwierciedleniem stanu jego psychiki.

W dodatku miała nie mniejszego hopla na punkcie futbolu niż on. Nawet jeśli by uznała, że jej dziś nie potrzebuje, nie odpuściłaby.

– Gdyby ten chłopak miał trzynaście lat, byłoby o czym gadać – odezwał się Witek. – Ułożyłoby się go, potrenowało. Po czasie z tego materiału mógłby być

naprawdę dobry zawodnik.

– Ma osiemnaście. To tylko parę lat różnicy.

Krygier cicho prychnął.

– W piłce nawet rok to wieczność, małolato.

– Czyli sześć miesięcy to pół wieczności – zauważyła Kalina. – W takim czasie zdążysz go ułożyć i wytrenować.

Witek zgasił papierosa pod butem, a potem zajął miejsce obok córki na ławce. Przesunął wzrokiem po rozległych polach ciągnących się po drugiej stronie aż do opolskiej obwodnicy, a potem obrócił się i utkwiał spojrzenie we flagach klubowych powiewających przy głównym wejściu na stadion.

Sztandary w pomarańczowo-białych barwach Rewery były opuszczone do połowy masztu i trzepotały głośno na dmącym na otwartej przestrzeni wietrze.

– Ten chłopak ma bajeczną technikę, ale podwórkową – podjął Witek. – Na tym etapie cudów już nie zdziałam, będzie z niego w porywach świetny rezerwow.

– Dobrze i to.

– Takich jak on potrzebowałbym dziesięciu, po dobrych programach szkoleniowych – ciągnął zamyślony Krygier. – Tymczasem mam tylko paru dotychczas rezerwowych pierwszej drużyny, z których nie sklecę nawet podstawowej jedenastki.

– Masz drugą drużynę.

– Która gra w czwartej lidze opolskiej.

– I kadrę U-19 i U-17.

Witek powoli obrócił się do córki i przełożył rękę nad oparciem ławki.

– To tak, jakbyś chciała iść na szaleńczą popijawę do tej swojej... Jak się ta największa imprezowiczka u was nazywa?

– Karola.

– No, do tej swojej Karoli – powiedział Krygier. – A ja powiedziałbym, że nie możesz i zamiast tego pójdziesz ze mną do kościoła na Koronkę do Miłosierdzia Bożego.

– Nie chodzisz do kościoła.

– Ale chyba zacznę – bąknął bezsilnie Witek.

Właściwie nic innego mu nie zostało. Budżet na transfery został wyczerpany przed startem sezonu – w większości przeznaczono go na dwóch dobrze rokujących graczy Ekstraligi i jednego obcokrajowca. Wszyscy trzej zginęli w wypadku.

Niektóre kluby w geście solidarności zaproponowały wypożyczenie swoich graczy. Nikt jednak nie zaoferował piłkarzy, których odejście osłabiłoby drużynę. Krygier dostał listę ludzi, którzy i tak nie grali w swoich klubach.

Od tygodnia jeździł po pierwszoligowych drużynach, dzwonił do skautów, pojawiał się na meczach niższych lig i szukał choćby minimalnie ciekawych talentów. Na próżno. Wszyscy zostali przesiani przed sezonem, a ci, którzy się ostali, byli zbyt młodzi do najwyższej klasy rozgrywkowej.

– To co zrobisz? – odezwała się Kalina.

– No, mówię ci. Pomodłę się.

– A potem?

Witek wyciągnął drugiego papierosa. Zamiast jednak go zapalić, zaczął obracać go między palcami.

– Skleczę zespół z tego, co mam – odparł. – Czyli w gruncie rzeczy z amatorów, którzy będą musieli stawić czoła największym profesjonalistom w Polsce.

– I tak brzmi lepiej niż pisanie wzoru elektronowego cząsteczki arsenowodoru AsH_3 z zaznaczaniem wiązań chemicznych i wolnych par elektronowych. Że już o określaniu typu hybrydyzacji atomu arsenu nie wspomnę.

Krygier zamilkł.

– Rozwiązywałam zadania maturalne, jak na ciebie czekałam.

– Okej.

– Tylko tyle?

– A co mam ci powiedzieć? – odparł Witek. – Nie wiem nawet, czy to było po polsku.

– To przynajmniej rozumiesz, co czują piłkarze, kiedy tłumaczysz im swoją taktykę.

Witek cofnął rękę zza oparcia ławki i pochylił się, opierając o kolana. Między palcami wciąż trzymał niezapalonego papierosa.

– Nie katuj ich tym – dodała córka.

– Nigdy nikogo nie...

– To mam ci przypomnieć, co o tobie pisali?

Wszystkie artykuły doskonale pamiętał. Swojego czasu był świetnie zapowiadającym się trenerem, choć piłkarze narzekali, że przegina pod względem taktycznym, nadmiernie komplikuje i zbyt dalece wprowadza ich w trenerskie arkany.

Krygierowi zależało jednak, by każdy piłkarz rozumiał nie tylko swoje zadania, ale także taktyczne założenia całego zespołu i rolę swoich kolegów

w drużynie. Być może czasem rzeczywiście nieco przesadzał, a przynajmniej tak twierdziła część zawodników.

W mediach zbierał ciągły jednak zupełnie za coś innego. W pewnym momencie kariery zaczął spóźniać się na treningi albo stawiać na nie w stanie wskazującym. O ile piłkarzowi uszłoby to na sucho, szkoleniowcowi bynajmniej.

Wyleciał z hukiem z Bzury Łódź, z którą miał walczyć nie tylko o mistrzostwo Polski, ale także o fazę grupową europejskich pucharów. Po tym znalazł się na równi pochyłej – i nigdy nie poprowadził innego dobrego zespołu.

– Masz w ogóle jakiś pomysł na taktykę? – odezwała się córka.

– Mam.

– Jaki?

– Jeden do przodu, reszta broni – odparł Krygier. – Ewentualnie gramy na aferę. Laga w pole karne i niech się dzieje wola nieba.

Kala zerknęła na niego z powątpiewaniem, po czym wyciągnęła papierosa pomiędzy jego palców i zamiast włożyć go z powrotem do paczki, zaczęła obracać go między palcami tak samo jak ojciec.

– A poważnie?

– Poważnie? – spytał Witek. – Nic tu nie jest poważne. To będzie jakaś komedia, w której śmieją się wszyscy, tylko nie my.

Córka ewidentnie nie była zadowolona z tej odpowiedzi.

– Zobaczą po pierwszych treningach – ugiął się Krygier. – Poprzyglądam się, pomyślę, co można z tego sklecić.

– Tylko bez gegenpressingu i innych takich.

Witek powoli spojrzał na Kalinę.

– Może ty zamiast mnie pokierujesz tym zespołem? – spytał.

– Mogłabym, ale mam maturę.

– To idź się uczyć – polecił. – Ja mam tu robotę.

– Lepiej daj ognia.

– Co?

– Palić mi się chce, a nie mam zapalniczki.

Krygier rozejrzał się kontrolnie, jakby gdzieś w okolicy miała czekać służba państwowa odpowiedzialna za egzekwowanie dobrych decyzji rodzicielskich. Westchnął, a potem podał Kalinie ogień.

Nie był to pierwszy raz, kiedy razem szli na dymka. I pomijając fakt, że żadnemu z nich to nie służyło, było w tym coś, co sprawiało, że Witek czuł mocniejszą więź z córką. Absurdalne.

– Matka wie w ogóle, że palisz? – spytał.

– A twoja wie, że ćpiesz?

Krygier bezsilnie uniósł wzrok i nie odpowiedział. Były walki, z których toczenia należało jak najszybciej zrezygnować.

– Zostanę na treningu – oznajmiła Kala. – Dobra?

– Po co w ogóle pytasz?

– Z kultury.

Tym razem zamilkł, gdyż dostrzegł, że nadjeżdża ktoś ze sztabu szkoleniowego – o ile dobrze się rozeznał, pierwszy trener bramkarzy.

– Muszę dopilnować, żebyś ich nie zgnoił taktycznie.

Witek podniósł się, by przywitać szkoleniowca, w duchu przyznając córce rację. Miał do dyspozycji piłkarzy, którzy być może potrafili kopać piłkę i z pewnością oglądali mecze zespołów prowadzonych przez Pepa Guardioloę czy Jürgena Kloppa, ale bynajmniej nie zastanawiali się nad kontrpressingiem, zachowaniem piłkarzy w danych strefach i maksymalnej liczbie sekund, po której ci automatycznie wracali do defensywnych pozycji.

Krygier witał się z kolejnymi ludźmi, którzy dojeżdżali pod stadion. Nie potrafił spamiętać nazwisk wszystkich, nieco zacierały się też ich role. Był na zupełnie nieznanym terytorium, nie miał pojęcia, co to za ludzie, komu ufać, a do kogo podchodzić z rezerwą.

Dochodziła dziewiąta piętnaście, po Adamie nadal nie było śladu. Nie rokowało to najlepiej na przyszłość.

– Masz numer do tego całego Bena?

– Nie.

– Gówno prawda.

– Nawet się nie znamy – odparła. – Skąd miałabym mieć jego numer?

– Nie pierdol, tylko dawaj.

Przez moment Witek obawiał się, że znów usłyszy pogadankę o tym, jak bardzo to niewychowawcze. Meritum córka oczywiście miała w głębokim poważaniu, niemniej czerpała dziką przyjemność z pastwienia się nad nim.

O numer był spokojny. Pamiętał jeszcze, jak działają nastolatki – i nie miał najmniejszych wątpliwości, że jego rodzona córka dawno zdobyła to, co trzeba. Na wszelki wypadek.

Chwilę później dzwonił do Benhardta, ale odpowiedział mu jedynie głuchy sygnał. Chłopak najwyraźniej ostatecznie postanowił mieć w dupie przyszłość, która się przed nim rysowała. Trudno.

Witek nie czekał na resztę pracowników – wszedł do środka, by nie napatoczyć się na piłkarzy. Miał się z nimi spotkać o dziesiątej na płycie boiska

– i nie chciał faworyzować nikogo wcześniejszą rozmową w cztery oczy.

O wyznaczonej porze czekali na niego na murawie. Wyszedł w towarzystwie swojego asystenta, przydzielonego przez klub faceta pod sześćdziesiątkę, który był tu chyba tylko dlatego, że miał dobre układy z prezesem.

Szczęśliwie nie palił się do roboty, a więc także do przeszkadzania.

Krygier przesunął wzrokiem po zawodnikach, których tego dnia wezwał. Wszyscy mieli miny raczej nietęgę.

Ci z pierwszej drużyny patrzyli na większość jak na amatorów.

Ci z rezerw chyba bardziej się obawiali, niż wietrzyli okazję.

Ci z kadr młodzieżowych byli kompletnie zdezorientowani.

W dodatku na miejscu stawili się też potencjalni kandydaci do zespołu, którzy w tej chwili albo byli w innych drużynach, albo w ogóle nie brali udziału w rozgrywkach ligowych.

Liczebność tej zbieraniny była zatrważająca, zupełnie jakby ktoś urządził spęć na casting do *Mam Talent* czy innego *X-Factor*a.

Wszyscy spodziewali się też, że takie spotkanie zostanie zorganizowane raczej w ośrodku treningowym, nie na stadionie. Witkowi zależało jednak na tym, by przetestować większość tych chłopaków tutaj.

– Dobra – rzucił. – Zanim zacniemy, trzeba coś ustalić.

Piłkarze przypatrywali mu się, przestępując z nogi na nogę, przygryzając wargi i nie mając co zrobić z rękoma. Niektórzy raz po raz popatrywali w kierunku Kali, która kręciła całe to zajście komórka.

– Ręka do góry wszyscy, którzy wiedzą, co znaczy Rewera – polecił Krygier. – I bez ściem. Wybiorę kogoś, żeby się pochwalił swoją wiedzą.

Podniosła się tylko część rąk, najwyżej dwadzieścia parę sztuk. Zawodnicy zaczęli patrzeć po sobie niepewnie.

– Tak się chyba nie podzielimy na jedenastki, trenerze – zauważył jeden z nich.

– Nie szkodzi.

– Nie? To po co...

– Ci z rękoma w górze przechodzą na prawo – postanowił Witek, wskazując im miejsce.

Grupa ruszyła we wskazanym kierunku.

– Reszta może wypierdalać.

Przez moment na boisku trwała pewna konsternacja. Piłkarze z opuszczonymi rękoma czekali, aż szkoleniowiec uśmiechnie się i oznajmi, że

tylko robi sobie jaja. Krygier trwał jednak z kamiennym wyrazem twarzy, starając się dzięki temu przebić przez mur niedowierzania.

– No, już – dodał. – Wypad.

Chwilę trwało, nim cała ta dość liczna grupa opuściła murawę, a potem stadion. Dopiero kiedy zostało na nim niespełna trzydziestu zawodników, Witek do nich podszedł. Wskazał jednego z młodszych, na oko w wieku jego córki.

– Jak na ciebie mówią? – rzucił.

Chłopak przełknął ślinę.

– Łukasz Gałdecki, trenerze.

– Panie trenerze.

Młody skinął głową.

– Tak na ciebie mówią? – upewnił się Witek. – Jak dzwoni do ciebie kumpel, żebyś poszedł na piwo, to rzuca „Ej, Łukaszu Gałdecki, jest opcja na bajlando w opór, idziesz?”.

– W sumie to nikt tak nie mówi, ale jeśli już, to Antek...

– Od dzisiaj jesteście Gaudi.

Chłopak znów potwierdził krótkim, niezbyt żołnierskim skinieniem głowy.

– Więc oświeć nas, Gaudi, skąd ta nazwa?

– Od Rewery Stanisławów. Opole kontynuuje tradycję tego przedwojennego klubu.

Właściwie powinien wiedzieć to każdy w mieście, było to tak oczywiste, jak to, dlaczego szczeciński zespół nazywany jest Stoczniowcem.

– Dlaczego ją kontynuuje? – spytał Witek.

– Słucham?

– Czemu akurat to miasto? Co Opole ma z nim wspólnego?

– Cóż...

– Iwano-Frankiowsk to miasto partnerskie – uzupełnił jeden z bramkarzy.

Krygier wskazał go palcem i kiwnął głową z aprobatą. Nie każdy wiedział, jak dzisiaj nazywa się metropolia, która w czasach II RP była stolicą województwa stanisławowskiego. Ani tym bardziej że jest jednym z miast partnerskich Opola.

– Dobra – rzucił Witek. – Kto powie, co konkretnie znaczy Rewera, ma miejsce w wyjściowej jedenastce na mecz z Olimpią Wrocław.

W szeregach zawodników rozległ się szum. Każdy, kto kibicował opolskiemu zespołowi, nie tylko wiedział o odwiecznej kosie, jaką ten miał z wrocławskim klubem – czuł ją w samym rdzeniu swojej piłkarskiej duszy.

– To od przydomka Stanisława Potockiego, czyli ojca założyciela miasta – rozległ się wysoki głos. – Od łacińskiego zwrotu *re vera*, czyli „w rzeczy samej”.

Krygier westchnął głośno i obejrzał się przez ramię na osobę, która udzieliła poprawnej odpowiedzi.

– Moja córka – oznajmił, patrząc na Kalę, która nadal kręciła wszystko, co się działo – mimo najlepszych prób nie zagra, ale najwyraźniej zostanie naszą specjalistką od social mediów.

Kilku zawodników posłało w jej kierunku niepewne uśmiechy.

– Jest tu po to, by ocieplić mój wizerunek – dodał Witek. – Bo w rzeczy samej jestem prawdziwym skurwysynem. O czym za moment wszyscy się przekonacie.

4

ul. Pawlety, Suchy Bór

Benhardt siedział zgarbiony przy biurku, na którym rozłożone były wszystkie skserowane materiały mające pomóc mu w przygotowaniach do matematycznej części matury. Była to dla niego czarna magia, która napępiała go bezbrzeżnym przerażeniem – ale nawet gdyby było inaczej, teraz i tak nie mógł skupić się na nauce.

Na jednej z kopii czyichś notatek leżała komórka, na której skupiał się Ben. Z głośników rozlegały się mniej lub bardziej motywujące nawoływania Witka Krygiera.

Adam właściwie nie spodziewał się, że ktoś wrzuci do sieci choćby część tego niecodziennego treningu. Kiedy jednak wpisał na Instagramie odpowiedni hashtag, trafił na żyłą złota. Najwyraźniej Kalina nie tylko wszystko zarejestrowała, ale postanowiła też podzielić się tym z innymi.

Krygier z pewnością wykazał się nietypowym podejściem, choć w mediach pisano już wprost o przejawach skrajnej głupoty. Był pod ścianą, miał mocno ograniczoną pulę zawodników, a mimo to zrobił przesiew. Właściwie czystkę.

Benhardt wyłączył stories Kaliny i zerknął na jej profil. Parę zdjęć jakichś co ciekawszych napisów na murach, kilka fotek z koleżankami, dwa czy trzy cytaty. Niespecjalnie wiele, ale przynajmniej nie wyłaniał się z tego obraz atencjuszki.

Obserwujących szybko przybywało, jakby ludzie interesujący się piłką stwierdzili, że dzięki temu profilowi mogą zajrzeć za kulisy tego, co dzieje się w zespole zwanym od niedawna przeklętym.

Nagle na górze ekranu wyskoczyło powiadomienie o przychodzącym połączeniu. Znow ten sam, nieznan numer co rano.

Wtedy Adam obawiał się, że Krygier jakimś cudem go namierzył. Teraz mógł odebrać bez obaw.

– Tak? – spytał.

– Nie łaska oddzwonić? – rozległ się dziewczęcy głos, którego nie kojarzył.

Rozejrzał się, jakby istniała hipotetyczna szansa, że ktoś go prankuje.

– Widziałam, że wyświetliłeś moje stories.

– Kalina?

– Wolę Kala. Chociaż od tego filmu z Marią Dębską w sumie nawet nieźle mi się kojarzy.

Benhardt nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Była to bodaj ostatnia osoba, której głos spodziewał się usłyszeć. Cisza się przeciągała, sprawiając, że czuł się jeszcze bardziej skrępowany.

– Czemu nie przyszedłeś na trening? – zapytała w końcu Kalina.

– Nie mogłem.

– Dlaczego?

– Bo coś mi to uniemożliwiło.

– Co?

– Okoliczności.

Usłyszał głośnie westchnięcie. Nie był to z pewnością idealny początek jakiegokolwiek znajomości, ale w gruncie rzeczy nie miał powodu, żeby się tym przejmować. Minie tę dziewczynę jeszcze kilka razy na korytarzu, jak miało to miejsce dotychczas, a po maturze rozejdą się w przeciwnych kierunkach.

Spodziewał się, że będzie męczyła mu bułę dalej, szczęśliwie jednak odpuściła.

– Znałeś odpowiedź na pytanie? – spytała.

– Mhm.

– A wiesz, dlaczego mój ojciec je zadał?

– Raczej.

– Więc?

Odpowiedź była oczywista i właściwie Benhardtowi nie mieściło się w głowie, że nie każdy dziennikarz to załapał. Ale może ci pierwszorzędni zajmowali się

poważniejszymi tematami piłkarskimi, a do obrobienia dziwnego zachowania skompromitowanego trenera zostali zaprzężeni stażyści.

– Wie, że nie ma z czym pracować, bo z dziesięciu maluchów nie zrobisz jednego mercedesa – podjął Adam. – Nie skleci żadnego dobrego składu, nie ma na to szans. Zostało mu tylko jedno.

– Co?

– Zbudować drużynę z ludzi, którzy kochają zespół.

Kala nie odpowiadała.

– To był podstawowy test – ciągnął Adam. – Jak ktoś nie wie, od czego pochodzi Rewera, nie ma pomarańczowo-białego serca.

W słuchawce rozległo się ciche kasznięcie.

– Coś nie tak? – rzucił Benhardt.

– Nic takiego, po prostu mam alergię na banały – wypaliła Kalina. – Ale w gruncie rzeczy masz rację.

Adam puścił to mimo uszu.

– W dodatku chciał pokazać, kto tu rządzi – dodał, jakby w transie. – Od początku ustanowić jasne zasady, które wymuszają respekt zawodników.

– O to nie tak łatwo – zauważyła Kala. – I z pewnością nie da się zrobić tego podczas pierwszego treningu. Nawet takiego. Ale nie widziałeś wszystkich storików, więc nie wiesz, o czym mówię.

Benhardt uniósł brwi, a potem okręcił się na krześle.

– Sprawdzalas, ile wyświetliłem? – rzucił.

– Po prostu rzuciło mi się w oczy – odparła Kalina. – Zobacz sobie resztę. I przyjdź na następny trening.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, dziewczyna niespodziewanie się rozłączyła. Normalnie potraktowałby to przynajmniej jako dziwactwo, z jakiegoś powodu jednak wywołało to mimowolny uśmiech na jego twarzy.

Zerknął na pozostałą część relacji ze stadionu Rewery.

Krygier dał piłkarzom ostry wycisk. Przypatrywał im się i poganiał ich, kiedy manewrowali między pachołkami, mierzył im czas w sprincie, a potem analizował wymiany podań i strzały na bramkę.

Lepsze warunki i więcej możliwości ćwiczeń miałyby w ośrodku szkoleniowym, ale ewidentnie najważniejsze było dla niego sprawdzenie ich w grze w równowadze liczebnej, czyli zwykłej gierce. Jedni dostali pomarańczowe, drudzy niebieskie znaczki. Witek motywował ich, jakby od wyniku tego sparingu zależało ich życie.

W niektórych przypadkach być może tak było. Część z tych piłkarzy dostała dotychczas niespotykaną i całkowicie niespodziewaną szansę, by się przebić.

Kala nie nagrywała wszystkiego, ale Benhardt zobaczył dostatecznie, by wiedzieć, że się nie pomylił. Trener nie wybierał tych z najlepszą techniką, ale tych, którzy byli gotowi gryźć trawę, by wygrać.

Zależało mu na zbudowaniu od podstaw monolitu, który będzie gotów dla dobra klubu połamać kości nie tylko rywali, ale także swoje.

Adam oglądał kolejne filmiki, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że gdyby tam był, takie kryteria pozwoliłyby mu zakwalifikować się do pierwszej jedenastki.

Zamknął na moment oczy, starając się to sobie wyobrazić. Bez trudu widział się w białej koszulce, która na ramionach i torsie miała szeroki pomarańczowy pas. Wyobrażał sobie to od dziecka.

– Adaś? – rozległ się szorstki głos zza jego pleców.

Natychmiast otworzył oczy, jednocześnie wygaszając ekran komórki, jakby dziadek właśnie przyłapał go na czymś bezecnym.

– Co robisz? – dodał Tadeusz Benhardt, wchodząc do pokoju.

– Pozoruję naukę.

Dziadek przeciągnął kołdrę na skraj łóżka, przyglądził ręką dalszą część i przysiadł na materacu. Przez moment patrzył na wnuka badawczo, a potem wskazał ruchem głowy komórkę.

– Niepotrzebnie wyłączałeś – oznajmił. – Widywałem u ciebie gorsze rzeczy.

– Ekhm...

– Grunt, że babcia nie.

Adam znów chrząknął niepewnie.

– Chciałeś coś? – spytał, przesuwając ksera na biurku. – Bo...

– Bo masz jeszcze sporo do pozorowania?

– Właśnie miałem zamiar skończyć udawać i zabrać się do roboty.

Tadeusz pokiwał głową całkowicie bez przekonania. Powiódł wzrokiem po pustych ścianach, a ilekroć to robił, Benhardt odnosił wrażenie, że myśli o tych wszystkich pokojach jego rówieśników, które były oblepione plakatami piłkarzy.

Tyle że Adam nie widział ani jednego takiego w naturze. Dziadek jednak z pewnością miał ogląd na sprawę ukształtowany przez jakieś stare filmy albo własne doświadczenia.

Tak czy inaczej u Bena nigdy takich akcentów nie było. Ani plakatów, ani piłek, ani koszulek z autografami. Nawet korki nigdy nie stały na widoku w przedpokoju.

– Więc oglądałeś trening Rewery? – odezwał się nagle Tadeusz.

– Chciałem tylko...

– W porządku, to przecież nic złego.

A jednak Adam miał wrażenie, że wprost przeciwnie. Kiedy przypatrywał się zawodnikom i Krygierowi, nawet o tym nie myślał. Poczucie winy nadeszło dopiero po tym, jak wyłączył materiał.

– To tylko z ciekawości – zastrzegł. – Dziewczyna ze szkoły wrzuciła, więc...

Nie dokończył, bo właściwie nie było to żadne wytłumaczenie.

– Nikt ci nie broni tego robić – odezwał się Tadeusz.

– Wiem.

– I jeśli chcesz kiedyś pójść na mecz, to...

– Nie chcę.

Dziadek się zawahał. Zacisnął usta, nabrał głęboko powietrze nosem, a potem uniósł wzrok.

– Ale chciałbyś zgłosić się tam na testy? – wypalił.

Adam nie spodziewał się nigdy usłyszeć takiego pytania. Dlaczego padło akurat teraz? Oglądanie treningu to stanowczo za mało. Oprócz tego zadanie go ewidentnie sporo dziadka kosztowało i nie ulegało wątpliwości, że nie było konsultowane z babcią.

– Nie – odparł Benhardt.

– Ale rozmawiałeś z trenerem.

A więc widział. Lub słyszał o tym od kogoś.

– Hm? – zagrał na czas Ben. – Z kim?

– Z Witkiem Krygierem.

Adam poczuł, że robi mu się gorąco, zupełnie jakby przyłapano go na gorącym uczynku w trakcie popełniania jakiejś wyjątkowo okrutnej zbrodni. Nie było sensu tego negować.

– Skąd wiesz? – spytał.

Tadeusz wzruszył ramionami.

– Czasem podchodzę pod boisko, jak gracie.

– Co?

– Raz na jakiś czas popatrzę – doprecyzował dziadek. – To wszystko.

Dla innych z pewnością nie byłoby to nic dziwnego, dla Benhardta jednak stanowiło to niemal dogmatyczny wyłom w całym jego światopoglądzie.

Babcia i dziadek nienawidzili futbolu. Nigdy go nie oglądali, nigdy nie pozwalali, by mówiło się o nim w domu. Za dzieciaka Adam przebłagał ich miesiącami, żeby pozwolili mu grać z kumplami – i początkowo na nic się to nie zdawało. Dopiero po długich tygodniach chodzenia ze zwieszoną głową udało

mu się uzyskać pozwolenie. Był wtedy mały, dziś nie pamiętał nawet, ile miał lat. Teraz z pewnością po prostu by odpuścił, mając tę świadomość, której wtedy mu brakowało.

– Babcia nic nie wie – dodał Tadeusz.

– Ale...

Dziadek czekał na więcej, Adam nie miał jednak pojęcia, co mógłby powiedzieć.

– Nie wie też, że o tym z tobą rozmawiam – dodał Tadeusz. – Ale jeśli chcesz, mogę... spróbować zacząć z nią ten temat.

Benhardt milczał.

– Gdybyś chciał pójść na te testy, znaczy.

– Nie trzeba. Nigdzie się nie wybieram.

– Jesteś pewien?

– Tak.

Nie miał zamiaru choćby tego rozważyć. Wiedział, jak gigantyczną krzywdę wyrządziłby kobiecie, która wychowywała go, właściwie od kiedy pamiętał. Nie wchodziło to w grę, bez względu na to, jak bardzo by go do tego ciągnęło.

Dziadek poklepał się po kolanach, a potem potarł uda i ociężale się podniósł. Na jego twarzy zarysowała się wyraźna ulga, ale zaraz ustąpiła uczuciu, którego Adam nie potrafił rozszyfrować.

Żal? Zawód?

– Gdybyś zmienił zdanie...

– Nie zmienię – odparł Adam.

– Ale gdyby jednak...

– Dziadek – uciął Benhardt półgłosem. – Przecież ona by tego nie przeżyła.

Tadeusz nabrał tchu, jakby miał zamiar odpowiedzieć. Ostatecznie jednak nie było niczego, co mógłby dodać. Obaj znali sytuację.

W następnych dniach Ben przeglądał każdą relację, którą zamieszczała Kalina. Ich liczba i długość wciąż rosły, a obserwujących przybywało. Zaskakująco wiele ludzi było ciekawych, jak drużyna zlepiona z przypadkowych chłopaków poradzi sobie w walce z profesjonalnymi zespołami Ekstraligi.

Adam nie kojarzył, by podobna sytuacja miała kiedyś w Polsce miejsce. Na świecie z pewnością. Benhardt doskonale znał szczegóły tragedii, która wydarzyła się w Monachium, kiedy rozbił się samolot z piłkarzami Manchesteru – jak każdy inny zapalony kibic tego zespołu potrafił powiedzieć nawet, o której godzinie doszło do wypadku.

Nawet tam jednak drużyna nie została tak zdziesiątkowana. Nowy skład Rewery Opole, który wyłaniał się z treningu, właściwie bazował na całkowicie nieznanym ludziach, którzy dotychczas albo tułali się po niższych ligach, albo znajdowali się w głębokich rezerwach klubowych.

Zainteresowanie mediów jednak rosło, a kibiców zdawało się przybywać. Może nie było to tak dziwne, każdy w końcu ciekawił się, jak sprawdzi się szaleńcza koncepcja Witka Krygiera.

Po kilkudniowym przypatrywaniu się materiałom z treningów Ben był dobrej myśli. Młodzi zawodnicy grali na sto pięćdziesiąt procent normy, chyba powoli wyłaniała się podstawowa jedenastka.

Adam wciąż miał wrażenie, że załapałby się do niej bez trudu.

Ale może były to zwykłe mrzonki. Trudno było mu wyobrazić sobie, że faktycznie wyszedłby w klubowym trykocie na mecz z Olimpią Wrocław.

Oglądał go u kolegi, w domu nie było na to szans.

– Szkoda, że jednak cię nie wzięli – odezwał się kumpel w trakcie studia przedmeczowego.

– Co?

– Widziałem, że ten trener był na ostatnim meczu, przyglądał ci się.

– A, no tak.

– Gadałeś z nim nawet potem.

Benhardt mruknął potwierdzająco i wzruszył lekko ramionami.

– Nie wyszło.

– Kurwa, chłopie... – odparł kolega, wskazując wzrokiem ekran, na którym właśnie zaczęła się transmisja ze stadionu. – A mógłbyś tam być.

– W porowach na ławce.

– Ale wciąż.

Adam szybko sięgnął po puszkę piwa. Było ciepłe, bo przemycił je do pokoju kumpla w plecaku. O schłodzeniu nie było mowy, rodzice byli w domu.

Upił łyk i starał się nie dać po sobie poznać, jaka jest prawda. Ani kolega, ani nikt inny w jego otoczeniu jej nie znał. Nikt nie miał pojęcia o jego przeszłości. Nie znali nawet nazwiska, pod którym przyszedł na świat.

Zanim rozległ się pierwszy gwizdek, Ben przesunął wzrokiem po nazwiskach podstawowej jedenastki. Kojarzył tylko środkowego napastnika, który dotychczas był rezerwowym opolskiej drużyny. Strzelił w tamtym sezonie parę bramek, w tym nie miał ku temu okazji, bo grzał ławę.

Zwrócił też uwagę na Łukasza Gałdeckiego, bo wydawało mu się, że mógł to być ten, do którego na treningach Krygier wołał Gaudi. Grał jako defensywny

pomocnik, jeden z podwójnych pivotów, miał dobry przegląd gry i całkiem niezłą technikę.

Resztę stanowili anonimowi ludzie, którzy nie mieli prawa dziś nawet zremisować. Olimpia Wrocław plasowała się na trzecim miejscu tabeli i teoretycznie powinna roznieść Rewerę w proch.

Kiedy wykaz nazwisk zmienił się w ustawienie taktyczne, Benhardt odstawił piwo i pochylił się w kierunku telewizora.

– 4–2–3–1 – powiedział. – Ciekawe.

– Co?

– Widzisz, jakim systemem on gra?

– Jakim?

Przez głowę Adama przemykały drużyny, które stosowały tę formację. Na dobre spopularyzował ją Rafa Benítez w Valencii i Liverpoolu, potem chyba Pochettino w Tottenhamie i Heynckes w Bayernie, a w ostatnich latach świetnie wykorzystali ją zarówno w tym zespole Hansi Flick, jak i Pep Guardiola w City.

Narażała drużynę na sporo niebezpieczeństw, szczególnie jeśli chodzi o ataki skrzydłami. Boczni pomocnicy i obrońcy Olimpii Wrocław pozostawiali jednak wiele do życzenia. Siła tego zespołu znajdowała się w centralnej części boiska.

Pomysł był dobry, ale Benhardt obawiał się, że jedynie na papierze.

– Zbyt elastyczne ustawienie dla takich niedoświadczonych graczy – odezwał się.

– Zobaczymy.

Normalnie takim lokalnym młodym piłkarzom dawało się pograć pięć minut w tym meczu, siedem minut w innym. Ci jednak brali na swoje barki ciężar całych dziewięćdziesięciu, od samego początku.

Adam spodziewał się, że zobaczy niepewnych, może nawet nieco przestraszonych zawodników.

Po tym jednak, jak Rewera rozpoczęła od środka, stało się jasne, że tak nie będzie.

Opolscy piłkarze poruszali się, jakby chcieli okupić każdy zdobyty metr własną krwią. Stosowali wysoki, mocny pressing, atakowali bez pardonu i grali tak, jakby nie mieli najmniejszych kompleksów wobec mocniejszych rywali.

Każdy z tych chłopaków dawał z siebie wszystko, co mógł, a nawet więcej.

Krygier musiał świetnie zmotywować ich w szatni, bo było widać, że są niesieni jak na skrzydłach. Piłkarze z Wrocławia byli w szoku, nie mogli odnaleźć się przeciwko tak brawurowo grającym młokosom i rezerwowym.

W ósmej minucie meczu grający nominalnie jako pivot Gaudi zszedł do prawego skrzydła, urwał się obrońcy, a potem wykonał centrę na wysokiego napastnika. Ten wyskoczył do główki, ale minął się z piłką, popchnięty w locie przez defensora Olimpii.

– Noż kurwa! – ryknął Ben, zrywając się z kanapy z uniesionymi rękoma.

Nie zdążył dodać nic więcej, bo sędzia zareagował równie błyskawicznie, podnosząc gwizdek do ust. Żółta kartka dla obrońcy, karny dla Rewery Opole.

Adam opadł na siedzisko i spojrzał na kolegę.

– Ale jaja – skwitował ten.

Trudno było o lepszą analizę. Obaj byli podobnie skonsternowani jak zawodnicy przyjezdnej drużyny. A kiedy piłkę na jedenastu metrach ustawił napastnik Rewery, zamarli razem z nimi.

Piłkarz wykonujący karnego był chyba najstarszy ze wszystkich, choć miał dopiero dwadzieścia parę lat. Nazywał się Grzegorz Szepeja. Cofnął się o kilka kroków, zmierzył wzrokiem bramkę, a potem ruszył w kierunku piłki na znak sędziego. Zawahał się tuż przed oddaniem strzału, zwolnił nieco, licząc chyba na to, że wyczeka bramkarza.

Ten jednak ani drgnął, a przez zmianę balansu ciała uderzenie nie było dostatecznie mocne.

– Niech to chuj... – syknął Benhardt.

Karny obroniony. Piłka w grze po stronie przeciwnika.

– Nie szkodzi – odparł kumpel. – Mają inicjatywę, a jak tak dalej będą cisnąć, w końcu coś wpadnie.

Musiało. Przed meczem nikt nawet nie zamarzył sobie o karnym na samym początku spotkania. Najwyraźniej wydarzyć mogło się jednak wszystko.

Mniej więcej po dwudziestu minutach boczni pomocnicy opolskiego zespołu zaczęli podchodzić nieco wyżej, wzmacniając napastnika na szpicy. Drużyna przeprowadziła udany atak, a kiedy jeden z pivotów włączył się do akcji, zdołał uzyskać czystą okazję strzelecką.

Uderzył, ale futbolówka trafiła prosto w obrońcę. Ten rozejrzał się, a potem posłał długiego crossa do znajdującego się na skrzydle piłkarza. Zawodnik z Wrocławia ruszył z nią natychmiast ku bramce Rewery.

Drużyna nie pozbiierała się w porę, kontratak został przeprowadzony niemal wzorcowo. Przy bramce, która padła, opolski bramkarz nie miał większych szans.

Wtedy wszystko się posypało.

Drugi gol padł pięć minut później. Trzeci zaraz po nim, a Olimpia Wrocław zdążyła do szatni strzelić jeszcze jednego.

Ataki Rewery były niemrawe, przeprowadzane bez wiary w to, że uda się odrobić straty. Zespół podupadł psychicznie, a nawet jeśli ktoś dochodził do okazji strzeleckich, piłka mijała światło bramki.

Tuż przed przerwą napastnikowi grającemu z dziewiątką na plecach udało się minąć jednego z obrońców, wywalczył sobie miejsce do próby zdobycia gola. Strzelił jednak w tak przewidywalny sposób, że bramkarz obronił bez trudu.

Zaraz potem rozległ się gwizdek sędziego.

Do przerwy 0:4.

Tak potrafiła obrócić się sytuacja na boisku, niszcząc marzenia, nadzieje, a niejednokrotnie także kariery. I to bez względu na to, o jakiej klasie rozgrywkowej i jakich drużynach była mowa.

– Trafiałbyś to – odezwał się chłopak siedzący obok Benhardta.

– Miał duży kąt.

– Strzelałeś z większych.

Trudno było się z nim nie zgodzić.

– Plus nigdy nie widziałem, żebyś chybiał w meczu karnego – dodał kumpel.

– Gdybyś tam był, zaczęłoby się od 1:0 i potoczyło się zupełnie inaczej.

– Nie wiadomo.

Kolega poklepał go po plecach, zupełnie jakby właśnie usłyszał największą na świecie bzdurę, z której Adam jako jedyny przedstawiciel rodzaju ludzkiego nie zdaje sobie sprawy.

– Nie wiedzą, co tracą – powiedział.

Przerwę zagospodarowali tak, jak robiła to większość kibiców – najpierw kibel, potem szybki papieros. Przed upływem kwadransa byli z powrotem na posterunku, choć obaj wiedzieli, że szanse na podniesienie się tych piłkarzy są minimalne.

Po kilku pierwszych minutach musieli jednak zweryfikować swoje spekulacje. Podopieczni Krygiera znów gryźli trawę, jakby za punkt honoru postawili sobie zdobycie choćby jednego gola.

Po dobrym prostopadłym podaniu gracz z dziewiątką wysunął się na dogodną pozycję, ale znów przestrzelił. A kiedy bramkarz drużyny przeciwnej wznowił grę, niemal od razu zaczęły się kłopoty.

Rewera Opole szybko traciła inicjatywę, zawodnicy nie utrzymywali się długo przy piłce i nie potrafili odebrać jej przeciwnikowi. Boczni pomocnicy się

cofnęli, a samotny napastnik próbował stosować pressing, przez co właściwie wyglądało to jak gra w dziada.

Bramka na 0:5 w sześćdziesiątej piątej minucie praktycznie ich pograżyła.

Kwadrans później padł samobój podczas dośrodkowania.

Sektory zajęte przez kibiców lokalnej drużyny zamilkły i w innych okolicznościach z pewnością na tym etapie zaczęłyby pustoszeć. Ludzie chcieli jednak okazać wsparcie zespołowi, któremu tragedia przetrąciła kręgosłup.

Ben obejrzał mecz do końca w milczeniu, po czym wbił nieruchome spojrzenie w wynik. 0:6. Trudno było o gorszy rezultat, chyba że doszłoby już do całkowitego pogromu.

Piłkarze schodzili do szatni ze spuszczoneymi głowami, Krygier niemal natychmiast znikł w tunelu.

Rewera spadła na czwarte miejsce w tabeli. I miała tylko trzy dni do kolejnego meczu. Trzy dni, by wymodlić jakiś cud.

5

Szatnia gospodarzy, Stadion im. Dawida Żerskiego

Krygier długo zwlekał z wejściem do szatni. Po pierwsze, nie bardzo wiedział, co po tak sromotnej klęsce miał powiedzieć ani jakie podejście zastosować wobec tych piłkarzy. Nie znał ich, nie rozeznał się jeszcze w rodzaju działających na nich motywatorów.

Po drugie, chciał, by pomarynowali się trochę we własnym sosie. Nie słyszał żadnych podniesionych głosów, jedynie ciężką ciszę. Nie była to najbardziej wymarzona reakcja po takim fiasku, ale ostatecznie mogła przynieść coś dobrego.

Opuścił korytarz dopiero po dziesięciu minutach. Część zawodników dalej siedziała ze zwieszonymi głowami, inni już się porzebierali. Wszyscy mieli dość nietęgie miny.

Witek przypatrywał się przez moment każdemu z osobna. Sprawiali dość jednoznaczne wrażenie. Z jednej strony byli przybici bęciami, które dostali – z drugiej obawiali się, że to nie ostatnia taka sytuacja.

Mieli świadomość, że w lidze trafią zarówno na tak samo mocne, jak i jeszcze mocniejsze zespoły.

– Nawet największy żal nie zmieni tego, co się stało – odezwał się Krygier. – I nawet największe zamartwianie się nie zmieni tego, co ma się stać.

Piłkarze podnieśli głowy i spojrzeli na niego z rezerwą.

– A inna sprawa, że bycie w czymś chujowym to pierwszy krok do tego, by stać się w tym lepszym – dodał Witek.

Zawodnicy z pewnością nie tego przymiotnika oczekiwali, Krygier wolał jednak zacząć z grubej rury, a potem załagodzić nieco uderzenie.

– Pierwsze minuty były dokładnie takie, jak powinny – ciągnął, stojąc na środku szatni. – Mielście inicjatywę, stosowaliście wysoki pressing, trzymaliście się założeń taktycznych. Gdybyście zagraли tak cały mecz, wchodzilibyśmy tu w zupełnie innych nastrojach. Więc co się stało?

Witek rozłożył ręce, tocząc wzrokiem po piłkarzach. Nie czekał na odpowiedź, nie dlatego zadał to pytanie.

– Nie padliście fizycznie, było na to stanowczo za wcześnie – podjął. – Padliście psychicznie.

Dał im chwilę, by ta świadomość osiadła w ich umysłach.

– Przestraszyliście się, zaczęliście grać zachowawczo. A im bardziej tamci atakowali, tym szybciej rosła wasza obawa, że stracimy jeszcze jedną bramkę. I co to dało? Dokładnie to, spełnienie tych lęków. Widzicie, jaki w tym paradoks? Jak jedno napędziło drugie?

Trudno było mu ocenić, czy faktycznie tak jest. Zawodnicy zdawali się zbyt przybici, by cokolwiek do nich dotarło. Pokonała ich nadzieja – broń, która była w stanie wyrządzić największe spustoszenie w psychice.

– Potraktujcie to jako lekcję na przyszłość – dodał Witek. – I przygotujcie się od jutra do wytężonej roboty. Jasne?

Nikt nie odpowiedział.

– Jasne?! – krzyknął Krygier.

– Jasne, trenerze – odparło kilka osób.

– Jak niebo w bezchmurny letni dzień?

– Tak jest!

Witek wciąż przyglądał się swojej drużynie, skupiając się przede wszystkim na tych, których uważał za słabe ogniwa.

– Żebyśmy mieli jeszcze większą jasność – odezwał się. – Od jutra zaczynacie tak ostry zapierdół, jakiego jeszcze w życiu nie widzieliście. Od samego rana jedziemy z treningiem motorycznym i siłowym, a skończymy, jak będziecie mdleć ze zmęczenia. To nie żadna kara, to wasza nowa rzeczywistość. Po każdym dniu będziecie przeklinali moment, w którym pojawiłem się w waszym

życiu. A kiedy będzie wydawało wam się, że więcej wam nie dopierdołę, zaczniecie biegać wokół boiska, jakby...

– Witek – rozległ się damski głos z korytarza.

Krygier obrócił się i zobaczył dyrektor sportową, która ewidentnie na niego czekała.

– Mamy odprawę pomeczową – oznajmił.

– To może później, bo media na ciebie czekają.

– Nie mój problem.

– Ale mój tak – odparła kobieta. – Więc dobrze by było, gdybyś powiedział parę zdań.

Witek zaklął cicho, uznając, że nie ma sensu przepychać się z osobą, z którą powinien mieć w klubie jak najlepsze układy. Co do zasady dyrektorzy sportowi starali się wydać pieniądze, a prezesi je zaoszczędzić. A jemu potrzebne były wzmocnienia.

Ruszył w kierunku wyjścia, ale zatrzymał się w progu, oparł o futrynę i obrócił przez ramię do piłkarzy.

– Jeszcze jedno – rzucił. – Jak jeszcze raz zobaczę, że po przegranej zachowujecie się jak jakieś, kurwa, sraluchy, którym właśnie rybka w akwarium wypłynęła do góry dupą, to będą kary finansowe. Macie być wkurwieni. Macie rzucać koszulkami i rozjechać ławkę. Chcę tu widzieć emocje od zaangażowanych, niegodzących się z przegraną zawodników, a nie pochłipywanie jakichś mimoz.

Nie czekał na odpowiedź i wyszedł z szatni za dyrektor sportową. Ewidentnie nie była zadowolona z części słów, które padły, ale miał to gdzieś. Podobnie jak to, że planem treningowym, który zamierzał rozpocząć od jutra, z pewnością zajędzie wszystkich piłkarzy i wywoła falę kontuzji.

Trudno. Od teraz tylko najwyższe obroty.

Albo ci ludzie dadzą z siebie wszystko i jeszcze więcej, albo nie mieli tu czego szukać.

– Znalazłaś mi już Annę Lewandowską? – odezwał się Witek, gdy wraz z dyrektor sportową zmierzali tunelem w kierunku sali konferencyjnej, gdzie czekały na nich media.

Kobieta powoli zmierzyła go wzrokiem.

Paulina Hejna była może o centymetr wyższa od niego, mimo to miał wrażenie, że patrzy na niego z dość wysokiej góry. Pewność w oczach, wysportowana sylwetka, twardy chód i ultrakrótką fryzurą w stylu pixie cut sprawiały, że każdy w jej towarzystwie się prostował.

Przez piłkarzy nazywana była Hieną, choć nie miało to wiele wspólnego z jej wyglądem ani charakterem. Pech nazwiska.

– Jaką Lewandowską? – rzuciła.

– Potrzebuję kogoś w tym guście.

– To załatw sobie najpierw jakiegoś Lewego. Może znajdzie się wtedy...

Urwała, kiedy Krygier złapał ją za ramię i zatrzymał. Ostrzegawczo zerknęła na jego dłoń, a on natychmiast ją cofnął.

– Ktoś musi porządnie wziąć się za tych ludzi – oznajmił.

– Zgadza się. Ty.

– Mam na myśli ich rozwój fizjo.

– W sztabie są od tego ludzie, którzy...

– Nie w tym rzecz – uciał Witek. – Potrzebuję kogoś, kto zajmie się nimi kompleksowo. Ułoży każdemu indywidualny plan żywieniowy i treningowy. Można by powiedzieć, że nawet lifestyle'owy.

Hejna zmrużyła lekko oczy.

– Większość musi zrzucić parę kilogramów, jeśli ich stawy mają wytrzymać to, co nadchodzi – dodał Krygier. – I muszą poprawić przynajmniej kilka parametrów. Bez dobrej dietetyczki, trenerki, instruktorki, coacherki, czy jak je tam zwać, nie dadzą rady.

Paulina przez moment się zastanawiała.

– Czyli faktycznie potrzebna ci Lewandowska.

– Mówiłem.

– Coś się wymyśli – odparła Hejna, wskazując mu wzrokiem boczne wejście do sali konferencyjnej. – A ty w tym czasie zajmij się mediami.

Zrobiła krok w tył, jasno dając mu do zrozumienia, że nie wybiera się na to spotkanie.

– Sam? – rzucił Krygier.

– A potrzebujesz, żeby trzymać cię za rękę?

– Raczej żeby podzielić nieco odpowiedzialność – odburknął Witek.

Paulina zbliżyła się i pochyliła lekko głowę, patrząc na niego spode łba.

– Uważasz się za wspaniałomyślną osobę, Krygier?

– Cóż...

– To wspaniałomyślnie zapierdalaj na konferencję.

Znacząco skinęła głową w kierunku drzwi, a potem klepnęła go w ramię i oddaliła się, nie czekając na odpowiedź. Witek nabrał tchu, uznając, że tej nawałnicy musi stawić czoła samodzielnie.

Dziennikarze sportowi byli najbardziej krwiożerczymi przedstawicielami środków masowego przekazu. Tych od polityki często tak odbierano, ale była to tylko złuda – ci nie musieli o nic walczyć, dostawali wszystko na tacy. Potrzebny wywiad z jakimś posłem? Wystarczył jeden telefon, a parlamentarzysta chętnie produkował się przed kamerą czy mikrofonem, najczęściej zresztą sam się przed nie pchał. Nie trzeba było go urabiać, zabiegać o spotkanie, właściwie nawet przesadnie się przygotowywać.

Ci od show biznesu? Podobna sytuacja. Jeśli jakiś aktor promował ten czy inny film, a muzyk nowy album, korzystali z każdej okazji, by pojawić się w mediach.

Dziennikarz sportowy był innym rodzajem bestii, która musiała siłą wrywać swój materiał. Piłkarze ani trenerzy nie mieli żadnego interesu w rozmawianiu z nimi. Nie musieli sprzedawać ani siebie, ani niczego innego. Przeciwnie, zazwyczaj wychodziło im na dobre, kiedy nie rozmawiali z mediami.

Grupa, która czekała na Krygiera, była gotowa roznieść go na strzępy, byleby wyciągnąć z niego cokolwiek. Wiedziała, że niczego nie da im na tacy.

Z tą myślą Witek otworzył drzwi, wszedł do sali, a potem zajął miejsce za podłużnym stołem. Za plecami miał pomarańczowo-białe emblematy Rewery Opole i logo firm, które sponsorowały drużynę.

– Nikt z nas nie spodziewał się porażki 0:6 z największym rywalem – odezwał się jeden z dziennikarzy. – W przeciwieństwie do pana nie mieliśmy jednak wglądu w zespół. Być może coś wskazywało, że dojdzie do takiej hekatombi?

Krygier przysunął się do mikrofonu.

– Nie – odparł.

Zebrani czekali na więcej, ale na próżno. Kilka osób wymieniło się bezsilnymi spojrzeniami, a mężczyzna, który zadał pytanie, ewidentnie miał zamiar drażnić. Nie pozwolił mu na to jeden z kolegów z innej redakcji.

– Początek w wykonaniu pańskich piłkarzy był bardzo dobry, co stało się potem?

– Przestali grać.

Znów zaległa chwilowa cisza.

– Dlaczego? – spytał ktoś, wyciągając rękę do Krygiera.

Ten uznał, że jeszcze chwila, a zebrany skończy się cierpliwość i zacznie się dla niego droga przez mękę. Musiał dać im coś. Cokolwiek.

– Trzeba mieć na uwadze, że to w dużej mierze chłopaki, które nigdy nie grały na takim szczeblu – odezwał się spokojnym tonem. – Nie będą owijając

w żadne włókna otaczające nasiona pewnej rośliny: mają braki nie tylko w przygotowaniu fizycznym, ale także psychologicznym.

Powiódł wzrokiem po dziennikarzach, starając się ocenić, jak reagują na informację tyle szczerą, ile oczywistą. Niewiele zdziałał.

– Budujemy zespół właściwie od podstaw – dodał. – To ciężka, mozolna praca, która wymaga dużo czasu i energii. Rezultaty nie przyjdą dziś, nie przyjdą jutro. Będzie to długa droga, ale jestem pewien, że na jej końcu...

– Nie sądzi pan, że popełnił błąd, wyrzucając ze zgrupowania bardziej doświadczonych zawodników?

Krygier zogniskował wzrok na pytającym.

– Nikogo nie wyrzuciłem – oznajmił.

– Kazał im pan wypierdalać.

– Czyli w języku piłkarskim po prostu im podziękowałem – wyjaśnił Witek. – I nie, nie uważam, żeby była to zła decyzja. Zależy mi na ludziach, którzy kochają klub bardziej niż swoją matkę. I właśnie takich udało mi się zebrać. Mają wolę walki, są gotowi do poświęceń i katorżniczej pracy. To wszystko, czego potrzebuję, by zbudować najlepszą drużynę w historii tego klubu.

Krygier miał wrażenie, że balansuje na granicy, za którą przez salę zaczną przechodzić ciche parsknięcia.

– Nie planuje pan żadnych wzmocnień? – rozległo się pytanie.

Witek przez moment starał się wyłowić tego, kto je zadał.

– A znajdziecie mi zawodników, którzy zostawią na murawie swoje serce tak, jak te chłopaki? – odparł.

– Szczerze mówiąc, chyba jedyne, co zostawili, to trzy punkty za darmo do wzięcia – rzucił ktoś.

Kilka osób cicho się zaśmiało. Krygier niespodziewanie się podniósł, a potem chwycił za mikrofon i podniósł go na tyle, na ile pozwalał mu kabel. Musiał nieco się pochylić, przez co efekt tego ruchu wyraźnie zmałał.

– Kiedy czegoś naprawdę pragniemy, łatwo jest pomylić dwie rzeczy – rzucił.

– To, czego naprawdę potrzebujemy, z tym, na co tylko mamy zachciankę.

Nie czekając na odpowiedź, odstawił mikrofon, a potem ruszył w kierunku wyjścia. Słyszał zadawane pytania, ale nie zamierzał nawet się obracać. Powiedział już wszystko, co miał do przekazania. Resztę będą musieli sobie dopowiedzieć.

Kiedy wrócił na korytarz, spodziewał się zobaczyć czekającą na niego Paulinę. Zamiast tego jednak wpadł prosto na córkę.

– Nieźle – oceniła.

- Nie komentuj.
- Przecież nie mówię nic złego.
- Ale masz taki zamiar – odparł Krygier, idąc w kierunku szatni.
- Skąd wiesz?
- Bo jesteś z natury wredną, upierdliwą i wyjątkowo...
- Zanim skończysz, pamiętaj, że po kimś to mam.
- Po twojej matce.
- Raczej po tobie – odparła Kala i bezsilnie westchnęła. – I co to na końcu miało znaczyć?

Zatrzymał się przed szatnią, nie chcąc, by córka wchodziła z nim do środka. Pewne rzeczy musiały odbyć się jedynie w ramach drużyny.

- Nie mam pojęcia – oznajmił.
- Aha. No to świetny ruch. W sumie wpisujący się we wszystko, co robisz w klubie.

Witek machnął ręką ze zniecierpliwieniem i chwycił za klamkę. Zawahał się jednak i przez moment zastanawiał.

- Co jest? – rzuciła Kalina.
- Obejrzał się na nią tylko na sekundę.
- Dowiedz się, czemu ten cały Ben nie chce grać – powiedział, a potem wszedł do szatni i szybko zamknął za sobą drzwi.

Mimo to mógł bez trudu dostrzec wyraz satysfakcji rysujący się na twarzy córki.

Znał jej determinację i siłę perswazji na tyle dobrze, by właściwie mieć pewność, że wyciągnie z Benhardta wszystko, co konieczne, by go przekabacić.

Dlaczego ten młokos nie chciał profesjonalnie grać? Ewidentnie kochał futbol, a kiedy miał piłkę przy nodze, zdawała się niemal do niej przyspawana. Wydawało się, że urodził się, by biegać po murawie.

A jednak z jakiegoś powodu zrezygnował z szansy, która była marzeniem dla jego rówieśników. Więcej, właściwie cudem, na który trudno było liczyć. Gdyby nie tragiczne okoliczności, taka szansa nigdy by się przed nim nie pojawiła.

On zaś ot tak z niej zrezygnował. I nie sposób było ustalić dlaczego – Kala próbowała przez kilka dni, bez żadnego skutku. Zatrzymała go na korytarzu szkolnym i lekko przycisnęła. Potem dopadła go w palarni, odciągnęła siłą na bok i już nie przebierała w słowach.

Poniosła jednak fiasko, dokładnie tak, jak jej ojciec w kolejnych meczach.

W szesnastej kolejce Ekstraligi Rewera zmierzyła się z Bzurą Łódź, przegrywając na wyjeździe 0:3. W siedemnastej poległa 0:4 ze znajdującą się na

szczyt tabeli Varsovią Warszawa i sama spadła na szóstą pozycję.

Czwarty mecz pod wodzą Krygiera był właściwie ostatnią szansą na uratowanie twarzy. Rewera mierzyła się ze znajdującą się na dnie ligi Czarną Hańczą Suwałki.

Poniosła kolejną porażkę z rzędu, znów do zera, i uplasowała się na siódmej pozycji.

Na konferencjach prasowych skończyła się taryfa ulgowa. W mediach lokalnych i krajowych wprost mówiono o tym, że zatrudnienie Witka było najgorszym możliwym rozwiązaniem.

Zarzucono mu brak doświadczenia, zbyt ofensywną taktykę przy tak słabo grających piłkarzach i zasadniczo brak umiejętności, by zmotywować ich do walki. Scenariusz z meczu z Olimpią Wrocław powtarzał się niemal za każdym razem – początkowy zryw szybko przeradzał się w psychiczny upadek zawodników.

Przeciwnicy wykorzystywali to bezlitośnie. Trenerzy innych klubów mieli świadomość, że jeśli przycisną odpowiednio intensywnie i długo, zawodnicy Krygiera sami się pokonają.

Na mecz z drugą w tabeli Unią Kraków Witek jechał z duszą na ramieniu. Nie zanosilo się nawet na to, że zespołowi uda się zdobyć choć bramkę.

Na odprawie przedmeczowej zrobił wszystko, by zawodnicy odcięli się od pomyj, które wylewano na nich w mediach. Okres ochronny po tragedii w klubie skończył się szybciej, niż można by się spodziewać, ale po kilku bezbramkowych porażkach właściwie trudno było spodziewać się czegoś innego.

Grali coraz gorzej, spadali coraz niżej. I Krygier miał świadomość, że jeśli tak dalej pójdzie, znajdą się w strefie spadkowej. Właściwie wydawało mu się, że część komentatorów życzy im relegacji do niższej ligi, uznając, że właśnie tam jest ich miejsce.

Nie tylko czyniono mu tradycyjne przytyki, ale też zarzucono, że przemęcza graczy na treningach. Otwarcie się do tego przyznawał, a na profil Kali trafił filmik, na którym jeden z piłkarzy wymiotuje z wycieńczenia.

Mimo to nikt nie narzekał. Każdy dawał z siebie wszystko.

Problem polegał na tym, że prowadziło to donikąd.

Kiedy Krygier obserwował swoich zawodników wychodzących na mecz z Unią Kraków, nie mógł opędzić się od wrażenia, że przegrali to spotkanie jeszcze przed pierwszym gwizdkiem.

Tym razem nie zaczęli z grubej rury. Słaniali się na boisku, popełniali błędy, pozwalali przeciwnikowi na wszystko.

Spotkanie zakończyło się dewastującym wynikiem 0:7, niebezpiecznie zbliżając się do pobicia rekordu Ekstraligi w ostatnich latach.

Na spotkaniu z Pauliną Hejną, prezesem i członkami zarządu Krygier usłyszał ultimatum. Albo wygra nadchodzące spotkanie z Gryfem Gliwice, albo może żegnać się z klubem.

Miał pięć dni.

Witek podniósł telefon, a potem zadzwonił do córki.

– Załatw mi tego Benaldo, małolato – polecił niemal błagalnie.

6

ul. Pawlety, Suchy Bór

Kala podciągnęła rękawy oversize'owej bluzy z kapturem, w której chowała się nieco przed otaczającym światem, a potem zrobiła krok w kierunku lichej furtki przed domem Benhardtów.

Już sama klamka zdawała się smutna, wisząc przekrzywiona tak mocno, że właściwie wystarczyło jej dotknąć, by zaczep się odblokował. Reszta posesji konweniowała z pierwszym wrażeniem – elewacja zaniedbana, okna stare i z pewnością w zimie nietrzymające ciepła, a w dodatku dach, który wyglądał, jakby miało go zwiać przy pierwszej lepszej wichurze.

Bryła budynku była jednak imponująca, musiał być to jeden ze starych, ponemieckich domów. Ogród też wyglądał na zadbane, co dowodziło, że tym ludziom brakowało nie woli, by dbać o swoje miejsce na ziemi, ale środków.

Kalina zapukała do drzwi i odsunęła się, by przez wizjer było ją widać trochę lepiej. Nie dzwoniła do Adama, nie miała zamiaru dawać mu okazji, by się wywinął. Woląла wziąć go z zaskoczenia.

Po chwili oczekiwania na jakąkolwiek reakcję zwątpiła jednak, że postąpiła słusznie. Był wczesny wieczór, mógł o tej porze grać gdzieś w nogę albo siedzieć z kumplami na piwie w jednym z lokalnych barów.

Właściwie to samo mógł robić w znajdującym się tuż obok przepastnym lesie. Oprócz miejsc odpoczynku wyposażonych w stoły i ławki były tam ambony, które nadawały się do podobnych celów wprost idealnie.

Mimo to drzwi w końcu się otworzyły. Kala nie zobaczyła w nich jednak tego, kogo się spodziewała, ale starszą kobietę. Powiedzieć, że miała siwe włosy, to nie powiedzieć nic – były śnieżnobiałe.

Cerę miała jasną, ale nie bladą. Twarz pokrywało całe naręcze zmarszczek, choć skóra zdawała się napięta. Kobieta trzymała się wyjątkowo dobrze.

– Słucham cię, dziecko? – odezwała się.

Kala po fakcie uświadomiła sobie, że przypatrywała się jej o moment za długo.

– Przepraszam – bąknęła bardziej do siebie niż do niej i potrząsnęła głową. – Zastałam Adama?

– Wyszedł z kolegami.

No tak. Pewne rzeczy można było obstawiać w ciemno.

– Jesteś jego koleżanką? – zapytała staruszka.

– Tak. Chciałam tylko chwilę porozmawiać, ale skoro...

– Niedługo wróci – ucięła natychmiast gospodyni. – Możesz na niego poczekać, akurat nastawiłam wody na herbatę.

– Nie trzeba, właściwie to po prostu przejdę się na boisko, bo pewnie...

– Proszę, proszę – powiedziała babcia Benhardta, cofając się za próg. – To żaden problem.

Może nie był to najgorszy pomysł, jeśli Kalina miała zamiar go zaskoczyć. Adam wróci do domu i zobaczy ją siedzącą przy stole, popijającą herbatę z jego babcią. Zasadniczo trudno było o lepszy obrazek.

Kala weszła do środka, a potem usiadła w kuchni przy stole. Wystrój wnętrza był jak wehikuł przenoszący ją do czasów, które widywała jedynie na zdjęciach swoich rodziców.

Wszędzie było jednak czysto i pachnąco, dbano tutaj o każdy najmniejszy zakątek. Na ścianie obok wisiały fotografie przedstawiające młodą babcię Benhardta w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, pewnie jego dziadka.

Wśród ramek była też inna, mniejsza. Za szybką znajdował się wycinek gazety, na którym widać było tę samą kobietę. Nagłówek głosił „Barbara Żerska rektorem Uniwersytetu Opolskiego”.

– To pani? – odezwała się Kala.

Kobieta obróciła się do niej, utkwiała wzrok w ramce i skinęła głową.

– W innym czasie, w innym życiu – oznajmiła, a potem podeszła powoli do stołu i postawiła na nim dwa stare kubki.

Usiadła naprzeciwko Kaliny i uśmiechnęła się do niej lekko.

– Adaś pierwszy raz zaprosił do nas koleżankę – odezwała się.

Kala niemal zakrztusiła się powietrzem, słysząc zarówno to określenie, jak i stwierdzenie staruszki. I naraz zrozumiała, dlaczego tak szybko została zaproszona do środka.

– Właściwie to...

– Jak mówiłaś, że się nazywałaś?

Na dobrą sprawę się nie przedstawiła, ale była wdzięczna Barbarze, że tak zręcznie to ograła.

– Kalina.

– Pięknie.

– Nie powiedziałabym. Właściwie nawet nie wiadomo, jakie jest pochodzenie tego imienia.

Kobieta zmarszczyła czoło, przez co próżno było szukać miejsca, gdzie jej skóra była gładka.

– I Adam mnie nie zaprosił – dodała Kala. – Nie ma pojęcia, że tu jestem.

Tym razem na twarzy Barbary zarysował się pewien niepokój.

– Nie jestem w ciąży, jeśli tego się pani obawia.

– Słucham, moje dziecko?

– Mówię, że nie jestem...

– Tak, słyszałam – ucięła staruszka. – I dzięki Bogu, ale w tym wieku to chyba...

Urwała, wyraźnie nie wiedząc, jak dokończyć. Nie trzeba było wiele, by stwierdzić, że najwyraźniej w tym domu nigdy nie odbyła się pogadanka na temat seksu. Nic dziwnego. Adama od jego dziadków dzieliły przecież dwa pokolenia.

– Tak czy inaczej muszę z nim pogadać – powiedziała Kala.

– O czym?

– O tym, dlaczego nie chce grać w piłkę.

Barbara nieznacznie cofnęła głowę. Wyglądało to jak nieuświadomiona, kompletnie bezwarunkowa reakcja.

– On nie chce? – spytała cicho. – Przecież chodzi grać prawie codziennie.

– Ale nie w lidze.

– Co takiego? Jakiej lidze?

– Tej najwyższej, proszę pani.

Kalina od razu pomiarkowała, że staruszka nie ma pojęcia o propozycji, która padła z ust trenera. Dziwne. Ben nawet nie pochwalił się ludziom, którzy go wychowywali?

– Mój ojciec trenuje Rewerę Opole – podjęła Kala. – Czy też raczej próbuje to robić, ale mniejsza z tym.

Kobieta nie odpowiedziała, patrząc na nią z coraz większą podejrzliwością. Gdyby taką minę miała, kiedy przyrządzała herbatę, Kalina obawiałaby się

pociągnąć łyka.

– Był na jednym z tutejszych meczów Adama – ciągnęła dziewczyna. – I bardzo spodobało mu się to, co widział. Właśnie kogoś takiego teraz potrzebuje, być może jako ostatniej deski ratunku. Zaprosił go na trening, ale Ben... znaczy Adam się nie zjawił.

Barbara wciąż milczała.

– Próbowałam potem zapytać go o powód, ale nie chciał nic powiedzieć. – Kala rozłożyła ręce. – A więc oto jestem. Jako wysłanniczka ojca, żeby ten jeden ostatni raz spróbować dowiedzieć się...

– Powinnaś wyjść.

– Hm?

– Nie powinno cię tu być.

Staruszka podniosła się, zabierając obydwie kubki. Wylała część herbaty do zlewu, po czym nagle obróciła się do Kaliny i zastygła, ewidentnie czekając, aż ta zrobi to, o co została w niezbyt eufemistyczny sposób poproszona.

Nie mając innego wyjścia, Kala wstała, a potem powoli ruszyła w kierunku wyjścia.

Zanim jednak złapała za klamkę, zatrzymała się.

Oczywiste było, że to ta kobieta z jakiegoś powodu jest hamulcowym. Jej mina mówiła wszystko, a pogarda, która pojawiła się w jej oczach na samo wspomnienie drużyny, uderzała w Kalinę z niemal fizyczną siłą.

– On kocha grać – odezwała się, odwracając do kobiety.

Stała kilka metrów dalej, jakby się czegoś bała. Jakby spodziewała się, że ma obok siebie nosicielkę jakiejś wyjątkowo zakaźnej choroby.

– I z jakiegoś powodu tego nie robi – dodała Kalina. – Domyślam się, że przez panią. A szkoda, bo marnuje gigantyczny talent. Gdyby coś z nim zrobił kilka lat temu, byłby teraz w rezerwach dużego europejskiego klubu, może już nawet w pierwszej drużynie. Coś takiego zdarza się raz na...

– Wyjdź.

– W porządku – odparła Kala, unosząc ręce. – Ale powinna pani wiedzieć, czego go pani pozbawia.

Żadnej negacji, kobiecie nie drgnął nawet jeden mięsień twarzy. To utwierdziło Kalinę w przekonaniu, że nie pomyliła się co do hamulcowego.

Tym bardziej nie zamierzała odpuszczać.

– Gdyby nie pani, miałyby ułożoną i zabezpieczoną całą swoją przyszłość – podjęła. – Nie, nie tylko swoją, ale pewnie swoich dzieci, pani prawnuków. I praprawnuków. Nie wspominając o tym, że robiły to, co kocha, zamiast...

– Nic nie rozumiesz, dziecko drogie.

– Rozumiem wystarczająco dużo, by wiedzieć, że to pani odarła go z marzeń.

Przez twarz Barbary przemknął ból tak wyraźny, tak ugruntowany i głęboki, że Kala nie wiedziała, jak zareagować na jego widok. Kobieta przez chwilę milczała, po czym obróciła się i bez słowa odeszła w kierunku jednego z pokoi.

Kalina stała w bezruchu, nie bardzo wiedząc, czy to pożegnanie, czy zaproszenie. Ostrożnie weszła do pomieszczenia.

Barbara siedziała na jednym z foteli, wbijając wzrok w jakieś miejsce na ścianie naprzeciwko.

– On nie może grać w piłkę – odezwała się nieobecny głosem.

– Już to robi, jakby pani nie widziała.

Staruszka pokręciła głową, wciąż ze spojrzeniem nieruchomo utkwionym przed sobą.

– Nie może się temu poświęcić.

– Dlaczego?

– Bo to go zgubi.

Kala w końcu zerknęła na miejsce, w które wślepiała się gospodyni. Zobaczyła stojącą na komodzie ramkę, w której znajdowało się jakieś niewielkie zdjęcie. Kiedy się zbliżyła, rozpoznała starego polaroida.

Na fotografii widać było babcię Bena, kiedy była dużo młodsza, i jakiegoś chłopca. Nie mógł to być Adam, za duża różnica wieku.

– To pani syn? – odezwała się Kalina.

– Tak.

Dziewczyna podniosła ostrożnie ramkę i przyjrzała się chłopakowi. Był dość podobny do Bena.

– Ojciec Adasia – dodała kobieta.

– Co się z nim stało?

– Zmarł. Tuż po jego narodzinach.

Kala odstawiła powoli zdjęcie i zbliżyła się do kobiety. Spojrzała pytająco na stojący obok fotel, a kiedy Barbara skinęła głową, zajęła miejsce.

– Przykro mi – odezwała się dziewczyna.

– To było dawno, ale tak naprawdę wczoraj.

Kobieta mówiła w zamyśleniu, zdając się nie patrzeć na nic, właściwie nie dostrzegając otaczającego ją świata.

– To jak ze snem, koszmarem, wiesz? – dodała. – Kiedy go śnisz, nie masz poczucia upływającego czasu.

Kalina wzdrygnęła się, słysząc, ile cierpienia kryło się w głosie Barbary.

Być może miała rację. I być może coś poza czystą fizyką było w tym, że czas płynął wolniej, im bliżej czarnej dziury.

W końcu Barbara potrząsnęła głową i skupiła wzrok na dziewczynie.

– Naprawdę dostał propozycję z klubu? – spytała.

– Tak.

– I twój ojciec sam przyjechał tutaj, żeby go zobaczyć?

Kala znów potaknęła.

– Był zachwycony – odparła. – I nie bez powodu. Widziała pani kiedyś, jak Adam gra?

Staruszka przez moment się wahała.

– Nie – odparła szorstkim tonem. – Nigdy.

– Dlaczego?

Kalina czuła, że przekracza jakąś niewidzialną granicę, która powstała w momencie, kiedy po raz pierwszy wspomniała przy kobiecie o Rewerze Opole. Ta pozwoliła jej jednak na to. Nie oponowała.

Barbara z trudem przełknęła ślinę, a potem wskazała wzrokiem ramkę ze zdjęciem.

– Tu był za młody, żebyś go rozpoznała – powiedziała. – Ale jak wysuniesz ostatnią szufladę i z samego dołu wyciągniesz teczkę, to może poznasz.

Kala podeszła do komody powoli, a potem znalazła to, o czym mówiła Barbara. Było to stare tekturowe opakowanie, zamykane na kawałek metalu i sznurek. Rozwiązała go, a potem usiadła z powrotem na fotelu i otworzyła teczkę.

W środku znajdowały się zdjęcia i wycinki prasowe, wszystkie dotyczące piłki nożnej. Nie, nie piłki ogółem. Jednego piłkarza.

Gdzieś widziany był od tyłu, z nazwiskiem na koszulce, ale nawet gdyby takich ujęć zabrakło, Kala rozpoznałaby go bez problemu.

Stadion Rewery Opole nosił jego imię.

– Dawid Żerski? – odezwała się.

Na potwierdzenie staruszka tylko mrugnęła, a głos zdawał się ugrząźć jej w gardle. Patrzyła nieruchomym spojrzeniem na materiały, po jej oczach zaś dało się dostrzec, że nie widziała ich od dawna.

– Zbierałam to wszystko latami – odezwała się w końcu. – Od kiedy zaczął grać w trampkarzach i napisała o nim „Trybuna Opolska”. Już wtedy wszyscy na niego patrzyli, bo miał bajeczną technikę, potrafił robić z piłką takie rzeczy, jak nikt inny... Tak pisali.

Na moment urwała, a Kala nie bardzo wiedziała, jak posłużyć kobiecie pomocną dłonią, by mówiła dalej.

Dawid Żerski był znany właściwie każdemu, kto choćby otarł się o futbol. W latach osiemdziesiątych był największą z gwiazd, dzięki której polska reprezentacja wywalczyła trzecie miejsce na mundialu. Zaczynał w Rewerze Opole, doprowadził ją niemal do samego szczytu Ekstraligi, potem brylował dwa sezony w Varsovii, a ostatecznie po najgłośniejszym i najdroższym transferze w historii polskiej piłki trafił do Barcelony, gdzie jego kariera tragicznie zakończyła się, nim miała okazję się rozpocząć.

– Dawid Żerski był pani synem? – jęknęła.

– Jest.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Nie szkodzi – ucięła Barbara i pociągnęła nosem. – To także ojciec Adasia, jak możesz się domyślić.

Było to już bardziej niż oczywiste, mimo to Kalina potrzebowała dobrej chwili, by przyswoić słowa kobiety. Nigdy nie słyszała o żadnym synu Żerskiego. Nie miała pojęcia, że doczekał się potomstwa – media najwyraźniej też nie, bo chyba byłoby o tym głośno.

A może nie? Może po prostu uszanowano prywatność rodziny po tym, co się wydarzyło?

– Przepowiadali mu wielką, światową karierę – podjęła nieobecny tonem Barbara. – U nas osiągnął wszystko, co było do osiągnięcia. W Hiszpanii miał powtórzyć te sukcesy. Zanim kupiła go Barcelona, walczyły o niego...

– Tak, wiem – przerwała jej Kala. – Właściwie wszystkie większe kluby. Każdy chciał mieć u siebie Diabła z Polski.

Jeden z wycinków prasowych mówił właśnie o tym. Pochodził z hiszpańskiej „Marcy”, która artykuł zatytułowała El Diablo de Polonia.

– Nigdy nie lubiłam tego przydomku – dodała gospodyni.

– Domyślam się. Ale wtedy... To znaczy... nie był pejoratywny.

Jeszcze, dodała w duchu. Jeszcze wtedy nie był.

– To prawda – przyznała Barbara, wciąż z obawą zerkając na teczkę, jakby po jej otwarciu uchylily się wrota do jakiegoś innego świata. – Dziennikarze starali się podkreślić jego waleczność. Zaangażowanie w ataku i w obronie, mimo że był, jak mówili, klasyczną dziewiątką. I kondycja... Miał taką kondycję od małego, że mógł biegać od świtu do zmierzchu. Siłą trzeba było go zaciągać do domu.

Spuściła wzrok i głośno przełknęła ślinę.

– Z Adasiem też tak jest – dodała. – Ma tak dużo z ojca...

Zakryła dłonią usta, jakby nagle uderzyła w nią wezbrana fala smutku, a ona próbowała zatrzymać w płucach ostatnie resztki powietrza. Stłumiła szloch i zebrała się w sobie, ale kiedy spojrzała na Kalę, dziewczyna zobaczyła, z jakim trudem powstrzymuje łzy. Oczy jej się szklily, mięśnie na policzkach drgały.

– Rozumiesz już, drogie dziecko? – spytała.

Kalina najchętniej udzieliłaby przeczącej odpowiedzi, ale wydawało się to cokolwiek niestosowne.

– On jest jak jego kopia – dodała Barbara. – Tak samo kocha piłkę, a ona jego. To jak część jego ciała, zupełnie jakby się z nią urodził. Gdyby to od niego zależało, nie robiłby w życiu nic poza graniem. Nic. Niczego więcej nie potrzebuje, to mu wystarcza za cały świat. Z Dawidem było tak samo, dokładnie tak samo...

Kala powoli zamknęła teczkę.

– Ale za taką miłością zawsze idą demony – odezwała się po chwili staruszka. – Im większa, tym bardziej mają się czym żywić. Dawid nie potrafił się ich pozbyć.

Akurat to nie było wielką tajemnicą – ani na dobrą sprawę niczym niespotykanym w świecie futbolu. Wielu piłkarzy na szczycie nie wytrzymało presji i radziło sobie z nią za pomocą imprez, używek i seksu. Od Maradony i Garrinchy, przez Ronaldo i Adriano, aż po wiele dzisiejszych gwiazd w każdej lidze była to plaga.

Dosięgnęła także młodego Polaka, który apogeum swojego uzależnienia przeżył w momencie, kiedy złapał barcelońskiego Boga za nogi.

– Jeśli na murawie szło mu dobrze, był najlepszym człowiekiem na świecie – ciągnęła Barbara. – Kochany dla żony i swojego małego synka, opiekuńczy, wyrozumiały... Po tych demonach nie było wtedy śladu. Nie było. Ale kiedy coś na boisku nie szło tak, jak chciał, albo drużyna przegrywała... albo kiedy złapał jakąś kontuzję. Tak, to ostatnie było najgorsze. Kiedy nie mógł grać, budził się w nim inny człowiek.

Staruszka znów zasłoniła usta i trwała nieruchomo przez jakiś czas. Kiedy w końcu zogniskowała wzrok na oczach Kali, ta poczuła się nieswojo.

– Jak wiele wiesz o wydarzeniach w Barcelonie? – spytała niespodziewanie chłodnym, rzeczowym tonem.

– Tylko tyle, ile można było wyczytać.

– Czyli?

Kalina poczuła, że serce jej przyspiesza. Nie bardzo wiedziała, jak sobie z tym poradzić – ani w jaki sposób powinna prowadzić tę rozmowę.

– Media nazywały to rozszerzonym samobójstwem – odezwała się w końcu.

– Nadal tak nazywają.

– Chyba tak...

Kobieta potaknęła, a potem ociężale się podniosła, wspierając o podłokietniki. Przeszła powoli w kierunku Kaliny, odebrała od niej teczkę i ją zamknęła, wiążąc niewielki supełek.

– Dawid zaliczył w Barcelonie wymarzony debiut, zdobył dwie bramki – zaczęła. – Chwalono go za zaaklimatyzowanie się, szybkie dostosowanie do stylu gry w Hiszpanii, pracę zespołową... Nie szczędzono mu superlatyw.

– Nie bez podstaw.

– To prawda – przyznała ciężko Barbara. – W połowie sezonu coś jednak zaczęło się psuć. To znaczy... prasa pisała, że coś. My wiedzieliśmy co.

Staruszka podeszła do komody i schowała teczkę z powrotem na samo dno szuflady. Stała tyłem do Kaliny, jakby nie mogła patrzeć jej w oczy.

– Dawid wpadł w złe towarzystwo, bardzo dużo pił, jeszcze więcej balował... Były tam przypadkowe kobiety, dochodziło do jakichś bijatyk, zaczął zażywać narkotyki. W domu sytuacja stawała się coraz gorsza, do tego stopnia, że w końcu matka Adasia nie wytrzymała. Zabrała go i przyleciała z nim do Polski. To było już pod koniec sezonu, może po dwudziestej piątej kolejce... Była z nami trochę, ale ostatecznie wróciła do Barcelony. Dawid obiecywał, że się zmieni, na jakiś czas nawet się udało, potem jednak...

Urwała, a jej głos brzmiał, jakby całkowicie zaschło jej w ustach. Kala rozejrzała się za czymś do picia, ale nie dostrzegła żadnej szklanki z wodą.

– Potem jednak był ten przeklęty mecz w Madrycie...

El Clásico i ostatnie spotkanie Żerskiego. To także obrosło pewną legendą.

– Barcelona przegrała zero do czterech, Dawid dostał czerwoną kartkę na początku drugiej połowy. Zmieszano go z błotem, obarczono winą za porażkę, nie szczędzono najgorszych, najohydniejszych słów. Wyciągnięto mu wszystkie brudy, robiono długie reportaże o jego ekscesach, zaczęto oskarżać go o gwałty i inne okropne, okropne rzeczy...

Kalina obejrzała się przez ramię, ale kobieta wciąż na nią nie patrzyła.

– Nie mam tu wycinków tamtych gazet – dodała matowym głosem. – Tych późniejszych także nie.

Kala cicho odchrząknęła. Wiedziała, że powinna coś powiedzieć, jakoś zaznaczyć swoją obecność, jakby to miała być kotwica, która zatrzyma Barbarę

tu i teraz.

– Wiem, co w nich było – odezwała się wreszcie.

Staruszka zasunęła szufladę, a potem oparła się o komodę. Przez chwilę zbierała myśli.

– Mój syn brutalnie zamordował własną żonę – odezwała się. – Jej ciało było, było...

Urwała, nie potrafiąc dokończyć. Obydwie trwały w niepokojącej, złowrogiej ciszy, którą raz po raz przerywały odgłosy samochodów z wolna przejeżdżających po ulicy i ciche zawodzenie psów w oddali.

– Potem odebrał sobie życie – powiedziała Barbara. – Podciął sobie żyły i wykrwawił się na podłodze, na oczach swojego małego synka, który raczkował po...

Tym razem nie była w stanie powstrzymać szloch. Kala natychmiast się podniosła i podeszła do kobiety. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, położyła dłoń na jej plecach. Ta jednak w żaden sposób nie zareagowała.

Kalina nie знаła tych szczegółów, nie pojawiły się nigdzie w mediach. Być może nie było to nic dziwnego – katalońska policja z pewnością zasłoniła się dobrem śledztwa i niczego nie ujawniła. Barcelona zaś zadbała o to, by nie pojawił się żaden przeciek.

Gdyby stało się inaczej, dziś stadion Rewery z pewnością nie nosiłby imienia i nazwiska tego człowieka.

Ale czy Ben znał te detale?

Wydawało się to raczej niemożliwe, ale być może kiedy osiągnął odpowiedni wiek, dziadkowie przedstawili mu oględnie, co się wydarzyło.

– Adam jest taki sam – odezwała się nagle kobieta. – Rozumiesz, drogie dziecko? Jest jak jego kopia.

– Tylko na boisku, poza...

– Nie – ucięła staruszka, kręcąc głową. – W każdym innym względzie też.

Barbara się obróciła, a dziewczyna machinalnie cofnęła.

– Piłka go zniszczy, tak samo jak zniszczyła jego ojca – dodała kobieta. – Sprowadzi go do otchłani, z której nigdy nie ucieknie. Która go pochłonie i nie odda. Nie mogę... Nie mogę go stracić tak, jak straciłam jego ojca. Nie pozwolę na to.

Przez chwilę patrzyły sobie w oczy, ale nie było w tym nic konfrontacyjnego.

– Dopóki wygrywa, dopóki wszystko jest dobrze na boisku, nic złego się nie stanie – podjęła Barbara. – Dlatego...

– Dlatego chce pani, by grał na amatorskim poziomie – dokończyła za nią Kalina. – Bo ma stuprocentową gwarancję, że zawsze będzie o klasę wyżej od wszystkich innych.

Staruszka potwierdziła lekkim ruchem głowy, a potem ruszyła w kierunku kuchni. Kala poszła za nią, tym razem uznając, że dostała jednoznacznie zaproszenie.

– Jeśli chcesz, podgrzeję trochę wody i...

– Nie trzeba – odparła Kalina, podnosząc prawie pusty kubek po herbacie.

Usiadły przy stole, naprzeciwko siebie. Atmosfera w jakiś sposób stawała się mniej napięta, zupełnie jakby podzieliły się jakąś tajemnicą, znaną teraz tylko im i nikomu innemu. Kala zachodziła w głowę, co powinna powiedzieć. Nic nie wydawało się właściwe, mimo że każdy fibr w jej ciele wołał o to, by uświadomić tej kobiecie, w jak dużym błędzie żyje.

– Nikt nie rodzi się zły – odezwała się nagle.

– Słucham?

– Nikt też nie rodzi się samotny, nietolerancyjny, okrutny ani bezlitosny. Ludzie stają się tacy w trakcie życia.

Barbara wbiła wzrok w kubek dziewczyny, jakby mogła wywróżyć coś z pływających na powierzchni fusów.

– Adam nie jest do niczego zaprogramowany, a piłka nożna nie robi z ludzi demonów – ciągnęła Kalina. – Przeciwnie. Scala ich, wystawia na próby i pokazuje, czym jest prawdziwa solidarność. Przekracza granice, z bezdomnego dziecka w brazylijskiej faweli potrafi w jeden dzień uczynić milionera. I nie bez powodu ma więcej wyznawców niż jakakolwiek religia na świecie. Jednoczy jak nic innego.

Staruszka podniosła spojrzenie.

– Potrafi też dzielić jak nic innego – zauważyła.

– Dzielić? Tak, ale żadnego innego sportu regularnie nie śledzą cztery miliardy osób na całym świecie. Gra w niego ponad dwieście pięćdziesiąt milionów ludzi. Jeśli to nie jest coś jednoczącego, to...

– Mniejsza z tym – ucięła Barbara. – To nie kwestia sportu, tylko mojego wnuka. Jego psychiki, jego...

– Psychikę ukształtowała mu pani, nie błędy jego ojca – wpadła jej w słowo Kalina. – I jeśli jest ich świadomy, to nie ma pani prawa myśleć, że je powtórzy.

Jej głos zabrzmiał bardziej stanowczo, niż przypuszczała, zdawał się też podzielać na kobietę otrzeźwiająco.

– Nie ma pani także prawa odbierać mu jego marzeń – ciągnęła Kala. – To tak, jakby chciała pani karać dzieci hitlerowców czy stalinowców za to, czego dopuścili się ich rodzice. To nieuprawnione. Odbiera mu pani coś, co on kocha. Coś, co czyni go lepszym człowiekiem, nie gorszym.

Kala liczyła na jakąkolwiek odpowiedź, ale na próżno.

– Dzięki swojemu talentowi ma jedną, niepowtarzalną szansę, by stać się kimś więcej, niż jest teraz – ciągnęła niezrażona. – Może dostarczać ludziom autentycznych, pobudzających do życia emocji. Widziała pani przecież nieraz, jak kibice cieszą się z tak prozaicznej sprawy, jak wpadnięcie piłki do siatki. To magia. To coś, co przekracza naszą codzienną, zwyczajną egzystencję. Niektórzy potrafią cały rok żyć dla jednego meczu i traktować go jako centralne wydarzenie w całym ich jestestwie. Potrafią płakać, kiedy drużyna nie wygra, i popaść w euforię, jeśli jej się to uda. To wszystko piękne, prawdziwe emocje. Coś, dzięki czemu nasz świat staje się warty, żeby na nim żyć.

Barbara patrzyła na nią, ale jakby na przestrzał. Słowa Kali zdawały się do niej ani trochę nie docierać.

– Adam może być inspiracją najpierw dla tysięcy, a potem milionów ludzi. A to, co robi na boisku, może dawać im skrzydła i nadawać sens. Piłka nożna to nie kwestia życia i śmierci, to coś znacznie więcej, a pani doskonale zdaje sobie z tego sprawę. To miłość. Bezwarunkowa, gotowa do poświęceń i niezachwiana. To iskra, która rozpala ogień w sercach.

Kalina wciąż bezskutecznie liczyła na jakąkolwiek odpowiedź lub choćby szczątkową reakcję. Przysunęła się bliżej stołu i postarała się głębiej spojrzeć w oczy kobiety, by jej słowa zaczęły do niej docierać.

– Adam ma dar – powiedziała. – A pani ma obowiązek sprawić, żeby podzielił się nim z innymi. Natchnął ich. Dał im nadzieję i...

– Musisz naprawdę lubić albo ten sport, albo mojego wnuka – odezwała się w końcu staruszka.

Kala lekko się wyprostowała.

– Adama na dobrą sprawę nie znam – zauważyła.

– Mnie to brzmi, jakby było wprost przeciwnie.

– Za to piłkę kocham – podjęła Kalina, ignorując słowa, na które nie wiedziała, jak odpowiedzieć. – I nie tylko ja. Pomijając wszystko inne, powinna pani pozwolić mu grać, bo nosi futbol w sercu. I wystarczy popatrzeć na niego z piłką, żeby wiedzieć, że nic innego nie chce w życiu robić.

Kala skrzyżowała ręce na stole.

– Kim pani jest, żeby mu to odbierać? – wypaliła. – Jak może pani jednocześnie go kochać i zakazywać mu tego, co jest dla niego całym życiem?

Barbara otworzyła usta, ale zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi. W końcu zrezygnowała.

Oczy znów jej się zaszkliły i tym razem wyglądało na to, że nie będzie w stanie powstrzymać łez. Usta zaczęły jej drżeć, a dłoń automatycznie powędrowała w ich kierunku.

Nagle Kalina dosłyszała dźwięk klucza w zamku, a potem otwieranych drzwi.

– Babcia, jestem – rozległ się głos z korytarza.

Staruszka poderwała się tak szybko, jakby ubyłoby jej lat. Zanim Kala zdążyła jakkolwiek zareagować, odwróciła się i szybkim krokiem oddaliła się w kierunku schodów. Słysząc było jedynie, jak staje na kolejnych trzeszczących stopniach.

Kalina zaklęła cicho. Nie chciała tak ostro atakować kobiety, która przeszła w życiu więcej, niż ktokolwiek byłby w stanie znieść.

– Babcia?

Dziewczyna obróciła się w momencie, kiedy Ben wchodził do kuchni. Ledwo ją zobaczył, twarz mu stężała.

– Co ty tu robisz? – rzucił.

– Ja...

– Nachodzisz moich dziadków? Co to, kurwa, ma być?

Kala podniosła się, głośno odsuwając krzesło. Była nader zbita z tropu, by wymyślić cokolwiek sensownego.

– Nie wystarczyło ci, że w szkole...

– Nie wystarczyło – ucięła, szybko zbierając myśli. – I mam zamiar przychodzić tu tak długo, jak długo będziesz odmawiał mojemu ojcu.

Benhardt rzucił torbę sportową na podłogę, a Kalina przez moment obawiała się, co zrobi chłopak. Ostatecznie skrzyżował ręce na piersi i odnalazł jaką taką równowagę.

– W takim razie gdzie są twoje rzeczy? – spytał, rozglądając się.

– Co?

– Bo chyba musisz tu zamieszkać.

Tak szybkiej zmiany tonu się nie spodziewała. I nie bardzo wiedziała, jaką ripostę sformułować. Potrząsnęła głową i zbliżyła się do Bena o krok.

– Wiem, dlaczego to robisz – podjęła.

– Wątpię.

– Złożyłeś obietnicę – oznajmiła pewnym głosem, wciąż podchodząc. – Zapewniłeś swoich dziadków, że nigdy nie zajmiesz się profesjonalnie piłką.

Czoło Benhardta powoli się zmarszczyło, a on niemal niezauważalnie się cofnął. Zaraz potem zerknął w kierunku szuflady, w której znajdowały się materiały na temat jego ojca. Była niedomknięta, co nie uszło jego uwagi.

– To kompletne szaleństwo – ciągnęła Kala. – Zarówno z ich strony, jak i z twojej. Ich jeszcze rozumiem, trauma po stracie dziecka i...

– Gównu rozumiesz.

– Nie – odparła, zatrzymując się, by nie czuł się nadto przyszpilony. – Rozumiem wszystko, co muszę. I wiem, że kieruje tobą jakieś chore poczucie obowiązku.

Liczyła na jakąkolwiek odpowiedź, ale Adamowi najwyraźniej odeszła ochota do dalszej dyskusji. Nabrał tchu, a potem skierował wzrok na klatkę schodową, z której znów dochodziły dźwięki trzeszczących stopni.

– Nie widzisz, co się dzieje z Rewerą? – zapytała Kala.

– Nie.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

– Bo wyświatlam twoje relacje? Daj spokój.

– Robisz to codziennie – odparła. – Sprawdzasz każdą na bieżąco, zaraz po tym, jak je dodam.

– Nawet nie wiem, co tam jest. Lecą same.

– Jasne.

Teraz to on nieznacznie się zbliżył, jakby poczuł potrzebę, by zyskać trochę terenu.

– Przekaż ojcu, że nigdy nie zagram ani w jego, ani w żadnej innej drużynie – oznajmił. – A teraz wybacz, ale muszę...

– Zachowuj się, Adaś – rozległ się chrapliwy głos z góry.

Dwoje młodych ludzi obróciło się w kierunku, z którego doszedł. Barbara właśnie pokonywała ostatni ze stopni, trzymając się balustrady. Potem od razu ruszyła w stronę Kali i Benhardta, niosąc podłużne pudełko.

Kiedy znalazła się przy nich, podała je Adamowi, a Kalina zrozumiała, że staruszka nie uciekła. Poszła po coś na strych.

– Co to jest? – spytał Ben.

– Sam zobacz.

Kala nie musiała przesadnie orientować się w jego mimice, by stwierdzić, że nigdy nie widział tego pudła. Być może nie bez powodu.

Powoli otworzył wieko, a potem położył je na szafce na buty i zerknął do środka. Kalina zrobiła to samo.

Oboje zobaczyli starą koszulkę Rewery Opole, starannie złożoną.

Na górze miała napis „ŻERSKI”, a na dole numer.

15.

– To... – zaczął Benhardt, ale nie dokończył.

Babcia podeszła bliżej i delikatnie ujęła jego rękę.

– Raczej nie pozwolą ci w niej wyjść na mecz – odezwała się. – Ale na trening może tak?

7

Ośrodek treningowy Rewery Opole, ul. Sosnkowskiego

Włożenie koszulki ojca było najdziwniejszym, co spotkało go w życiu. Nie chodziło nawet o sam fakt, lecz o symbolikę. I przyzwolenie, które się z tym wiązało.

Ben wysiadł z autobusu na przystanku niedaleko ośrodka, a potem nabrał głęboko tchu i ruszył w kierunku ogrodzenia. Przywitał się z ochroniarzem, zastanawiając się, jak często będą się widywali – i co tak naprawdę oznacza jego pojawienie się tutaj.

Bez końca upewniał się, że babcia naprawdę nie ma nic przeciwko. A potem, kiedy dziadek wrócił do domu, przeprowadzili rozmowę we trójkę. Tadeusz sprawiał wrażenie, jakby z barków spadł mu życiowy ciężar. I przyznał się, że wychodził z domu mniej więcej w tych porach, kiedy Adam grał, by obserwować jego mecze.

Było to właściwie tajemnicą poliszynela, ale kiedy została wypowiedziana na głos, relacje Adama z dziadkami zdawały się jeszcze mocniej zacieśnić.

Wchodząc do budynku, Benhardt nie dowierzał, że naprawdę tu jest. I że ma szansę stać się zawodnikiem Rewery Opole.

W korytarzu powitał go Krygier, z ciekawością patrząc na koszulkę. Podali sobie ręce w milczeniu, z wyrazami twarzy, które nie zdradzały absolutnie niczego.

– Na boisku też będziesz robił taki cyrk? – odezwał się w końcu Witek.

– Co?

– Nie „co”, tylko „słucham, panie trenerze”.

Adam przekrzywił głowę i lekko potarł kark.

– Ten trykot to jakiś sposób na szukanie uwagi? – spytał Krygier.

– Nie.

– To pozwól, że zapytam: po kiego chuj go włożyłeś?

– Uznałem, że będzie...

– Od dzisiaj nic nie uznajesz, dopóki ci nie powiem – uciał Witek, a potem się rozejrzał. – Ktoś cię w nim widział?

– Nie, w sensie...

– To ściągnij go.

– C... Słucham, panie trenerze?

– Zdejmij koszulkę i ładuj ją do torby. Już.

Zanim Benhardt zdążył choćby zastanowić się nad tym, w czym konkretnie tkwi problem, trener wskoczył do jednego z pokoi i zaraz potem wyłonił się z niego z T-shirtem. Była to zwykła koszulka od sponsora, z logo klubu, ale nieprzeznaczona do grania.

Adam szybko się przebrał, a Krygier dopiero teraz odnotował jego konsternację.

– Nie zrozum mnie źle – odezwał się. – Mam do twojego ojca ogromny szacunek, zresztą graliśmy razem.

– Tak?

Witek skinął głową.

– Dwa sezony w Rewerze – odparł. – To był niesamowity facet. I właściwie po tym, jak widziałem cię na murawie, powinienem przynajmniej zacząć coś podejrzewać. Masz ten sam błysk.

Benhardt nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Ale nikt nie miał pojęcia, że Dawid dorobił się syna – ciągnął Witek. – Musiałeś urodzić się już w Barcelonie.

– Tak było. Chociaż jakoś tego nie pamiętam.

Trener zignorował uwagę.

– Tak czy owak do dziś nikt o tym nie wie. I na razie lepiej, żeby tak zostało.

– Dlaczego?

Krygier znów powiódł wzrokiem po korytarzu, jakby spodziewał się, że ściany mają uszy.

– A chcesz, żeby wszyscy o tym gadali? – spytał. – Żeby patrzyli na ciebie wyłącznie przez pryzmat ojca? I byli pewni, że jesteś tutaj ze względu na niego, bo masz fory? Żeby zaczęli drażnić?

– Drażnić co?

Witek zawahał się, a potem machnął ręką i wskazał chłopakowi drogę do szatni.

– Większość zespołu już jest – oznajmił. – Przebieraj się w klubowe ciuchy i zapierdalaj na murawę.

– Okej.

– Nie „okej”, tylko...

– Tak jest, panie trenerze.

Benhardt ruszył we wskazanym kierunku, ale zatrzymał się po pół metra.

– A co z numerem? – spytał.

– Jakiś dostaniesz, o ile w ogóle się sprawdzisz.

– Chcę piętnasty.

Krygier skrzyżował ręce na piersi i zaczął lustrować chłopaka takim wzrokiem, jakby analizował zupełnie obcą formę życia na innej planecie.

– A ja chcę, żeby inflacja zaczęła spadać, żona przestała doić mnie na alimenty, a rząd nie robił nas w chuja – odparł. – Są pewne rzeczy, na które nie masz wpływu.

– Akurat na to mam. Z innym numerem nie gram.

Witek przesunął dwoma palcami po wąsie, pokręcił bezradnie głową, a potem wskazał mu wzrokiem magazyn mieszczący się obok szatni.

– Idź po rzeczy. Pani Czesia wszystko ci wyda, i lepiej trzymaj z nią sztamę.

Chłopak ściągnął lekko brwi.

– To sprzętowa – wyjaśnił Krygier. – Czy kitmanka, jak teraz mówicie. Jest tu chyba od lat siedemdziesiątych, trzęsie całym klubem. Przeżyła niezliczoną ilość prezesów i trenerów, o piłkarzach nie wspominając. Tych ostatnich traktuje jak swoje dzieci, ale jak jej podpadniesz, będzie dawała ci najgorsze graty.

– Jasne – odparł Ben. – Jeszcze jakieś rady?

– Trzymaj się z dala od mojej córki.

Adam westchnął tak teatralnie, jakby z tego powodu odczuł silny fizyczny ból. Trener nie skwitował tego w żaden sposób i bez słowa się oddalił.

Trudno było stwierdzić, co konkretnie oznacza ta reakcja, ale na ustalenie tego przyjdzie jeszcze pora. Teraz Ben musiał zmierzyć się z tym, co znał każdy młody człowiek, który po raz pierwszy w nowej szkole wchodził do szatni przed WF-em.

Szybko poszedł po rzeczy i rzucił kilka standardowych, uprzejmych formułek pod adresem pani Czesi. Potraktowała go niemal jak powietrze, zapewne

wychodząc z założenia, że chłopak jest tu tylko przelotem i po dzisiejszych testach więcej go nie zobaczy.

Benhardt na dłużej zawiesił wzrok na klubowych ciuchach, które przeznaczone były jedynie dla członków drużyny. Wśród nich dostrzegł charakterystyczną rozpinaną pomarańczowo-białą bluzę z logo Rewery. Ilekroć ktoś w niej paradował po Krakowskiej albo innej ruchliwej ulicy w centrum, zwracał na siebie uwagę wszystkich wokół. Wzór pochodził sprzed lat, co sezon był jednak lekko aktualizowany. Ben doskonale pamiętał jedno ze zdjęć ojca, zrobione gdzieś w Barcelonie, kiedy miał na sobie tę bluzę i prowadził wózek szerokim deptakiem.

– Te rzeczy są dla zawodników – odezwała się pani Czesława.

– Słucham? – Adam potrząsnął głową. – A, tak, oczywiście.

Przyjrzała mu się, jakby starała się stwierdzić, z czego wynika ta konsternacja. Zanim jednak kitmanka miała okazję o cokolwiek zapytać, Ben skinął do niej głową i opuścił magazyn.

Stanął w progu szatni, skupiając na sobie wzrok wszystkich siedzących na ławkach chłopaków i mężczyzn. Czuł badawczość, nieufność i jakieś pierwotne, męskie wyzwanie, by już na wstępie pokazał swoją wartość.

– Adam Benhardt – odezwał się, wchodząc do środka. – Ben.

Starsi piłkarze tylko unieśli brwi z politowaniem, kilku młodszych się uśmiechnęło. Adam zajął miejsce obok tego, którego kojarzył z treningu – Łukasza Gałdeckiego, któremu trener nadał ksywę Gaudi.

Nie wymienił się z nim uściskiem dłoni, wychodząc z założenia, że albo powinien zrobić to ze wszystkimi, albo z nikim.

Wyciągnął koszulkę z numerem trzydziestym czwartym i niechętnie wciągnął ją na siebie, przysłuchując się zdawkowej wymianie zdań między zawodnikami. Nie byli w dobrych humorach – i trudno było się im dziwić.

Na początku opinia publiczna współczuła im sytuacji, w której się znaleźli. Po kilku kolejkach jednak stali się właściwie pośmiewiskiem. I nic nie wskazywało na to, by cokolwiek miało się zmienić.

Adam poprawił getry i ochraniacze na łydki, a potem podniósł wzrok i zorientował się, że przygląda mu się ten, który grał w Rewerze z numerem dziewiątym. Dawny rezerwowy napastnik, który teraz miał miejsce w pierwszym składzie, Grzegorz Szpeja.

Był jednym z niewielu zawodników, których Benhardt kojarzył. I na tym etapie wydawało mu się niemożliwe, by spamiętać wszystkie imiona, co dopiero nazwiska i ksywy.

– Podobno nigdzie nie grałeś? – odezwał się Szpeja.

Adam zerknął na kilku innych piłkarzy. Wszyscy przerwali to, co robili, i skoncentrowali się na nim.

– Daj mu spokój, Gregor – odezwał się podstawowy bramkarz.

Napastnik nadal jednak świdrował chłopaka wzrokiem, oczekując na odpowiedź.

– Gram, od kiedy pamiętam – odparł Benhardt.

– Gdzie?

Pytanie było z gatunku tych, które mogą jedynie wprowadzić na minę. Nie istniała dobra odpowiedź, każda bowiem naraziłaby go na kpiny i śmieszność.

– Gdzie się tylko da – powiedział Adam.

– Czyli? Jaki klub?

Bramkarz westchnął i podniósł się z ławki.

– Opuść mu, kurwa.

– Staram się tylko czegoś dowiedzieć o tym niespodziewanym wzmocnieniu, które ma nas uratować.

Golkipier nie skupiał się specjalnie na prowadzonej rozmowie, niemal całą uwagę poświęcając temu, by jak najszczelniej obandażować jeden z palców.

– Więc? – dodał Grzegorz. – Gdzie zdobywałeś pierwsze szlify, młody?

– Na piłkarzykach.

– Co?

– Potem trochę w Fifie, a później w Football Managerze.

– Jaja sobie, kurwa, robisz?

– Nie, mówię poważnie – odparł Benhardt. – Trener zobaczył, że udało mi się w tamtym sezonie poprowadzić do mistrzostwa drużynę, która składała się w całości z takich beztalenci jak ty.

Niemal natychmiast rozległo się kilka cichych gwizdów, a Szpeja jeszcze szybciej znalazł się tuż przy Adamie.

– Coś ty powiedział, mały chujku? – syknął, zbliżając się.

Benhardt też zrobił krok w jego stronę. Nie miał zamiaru okazywać najmniejszej słabości.

– Zrób z nim porządek, Gregor – odezwał się jeden z pomocników.

– Dajcie sobie siana – odparł inny.

– Nie, niech młody powie, co tu w ogóle robi.

Adam zasadniczo nie dziwił się temu, co się działo. Szatnia potrzebowała wspólnego wroga, szczególnie w czasie, kiedy wszyscy wokół wieszali na

piłkarzach psy. Jego pojawienie się było wprost idealną okazją, by rozładować emocje.

Patrzył prosto w oczy Gregora, zastanawiając się, gdzie ta konfrontacja się zakończy.

– Gotowi? – rozległ się głos asystenta trenera.

Wszyscy obrócili się w kierunku starszego, zgrabionego mężczyzny stojącego w progu. Wszyscy oprócz dwóch piłkarzy, którzy stali przed sobą, jakby mieli zamiar wejść raczej na ring niż murawę.

– Gregor? – dodał asystent.

Szpeja ruszył przed siebie, a Adam musiał się odsunąć, by ten go nie staranował. Poniósł niewielką porażkę, ale wyszedł z założenia, że odrobi to w trakcie treningu, dając z siebie wszystko.

Kiedy wyszedł na boisko treningowe, poczuł się cokolwiek nieswojo. Nie była to murawa rodem ze stadionów, ale strzyżono ją starannie i dbano o to, by była równa jak od linijki. Żadnych placków, żadnych dziur, żadnych wystających zraszaczy trawy.

Po krótkiej rozgrzewce Benhardt razem z innymi zawodnikami rozpoczął ćwiczenia mające szkolić technikę i szybkość reakcji, a potem kontrolę nad piłką i jej prowadzenie. Przy pierwszych zadaniach radził sobie właściwie bezbłędnie, a jeśli odstawał od reszty, to tylko na plus.

Miał świadomość, że musi z siebie dać więcej niż pozostali, by w ogóle zostać tutaj zaakceptowanym. Krygier widział go w akcji, wiedział, co potrafi. Dla pozostałych jego obecność tutaj była wprost absurdalna.

Problemy zaczęły się, kiedy przyszło do podań.

Kilka pierwszych dostał od Szpei, który za cel honoru postawił sobie, by bić je równie mocno jak strzały na bramkę. Reszta drużyny szybko podchwyciła, robiąc dokładnie to samo, a Adam zorientował się, że to jakiś rodzaj bojowego chrztu.

Podania były tak mocne, że w większości sytuacji nie był w stanie opanować piłki. Zawodnikom sprawiało to ewidentną satysfakcję, ale starali się nie dać tego po sobie poznać, najpewniej ze względu na trenera.

Ben robił, co mógł. I nie miał zamiaru pozwalać sobie choćby na słowo utyskiwania.

– Może już wystarczy? – odezwał się Gaudi.

Kilku piłkarzy spojrzało na niego z zaskoczeniem, Gregor w ogóle to zignorował.

– Dajcie spokój, szkoda czasu – dodał Gałdecki.

– To element szkolenia – odparł ktoś.

– Może dla obrońcy. Ale on...

– On nie wiadomo, na jaką pozycję trafi – włączył się Szpeja. – Trzeba zadbać o kompleksowe przygotowanie chłopaka.

Trwało to aż do momentu, kiedy trener zarządził ćwiczenia dryblingowe. Adam uwijał się między nieruchomymi przeciwnikami, nie dając jednak z siebie wszystkiego. Uznał, że tak będzie lepiej.

Mimo to dostrzegł kilka zaciekawionych spojrzeń i uzmysłowił sobie, że dotychczas nikt mu się nawet nie przyglądał. Nikogo nie interesowało, jak radzi sobie z piłką, z góry go przekreślili.

Czy mógł się dziwić? Raczej nie. Nagle usłyszeli, że ich wybawieniem ma być ktoś, kto nigdy nie wyszedł nawet na profesjonalną murawę.

W trakcie treningu strzeleckiego zrobił wszystko, co powinien. Na powrót jednak nikt nie skupiał na nim uwagi, z wyjątkiem rezerwowego bramkarza, który chyba nawet w najśmielszych snach nie mógł liczyć na to, że wejdzie do klatki na meczu.

– To dawaj, chłopie – powiedział. – Zobaczymy, na co cię stać.

– Okej.

Golkiper uśmiechnął się pobłaźliwie, a potem splunął na jedną z rękawic i potarł ją zwawo o drugą.

– Spróbuj trafić w światło bramki – poradził. – Żebym miał cokolwiek do roboty.

– Postaram się.

Benhardt ustawił piłkę, a potem cofnął się o parę kroków. Zamiast wziąć tradycyjny rozbieg, najpierw odbił w bok, a dopiero później w kierunku piłki. Kiedy ją uderzył, poszybowała w prawy górny róg bramki, tuż pod poprzeczkę.

Bramkarz nawet nie drgnął. Poruszył się dopiero, kiedy powoli odwrócił się, by upewnić się, że nie wyimaginował sobie dźwięku futbolówki prześlizgującej się po wewnętrznej stronie siatki.

Sięgnął po piłkę i podał ją lekko Adamowi.

Przy kilku kolejnych strzałach wciąż był tak zbity z tropu, że nie zdążył nawet mrugnąć, nim było po wszystkim. W końcu zebrał się w sobie, zaczął rzucać się intuicyjnie w lewą lub prawą stronę.

Ledwo przyjął tę strategię, Ben strzelił w sam środek bramki. Potem zdecydował się na panenkę – wziął gigantyczny rozbieg, zamarkował potężne uderzenie, po czym lekko podciął piłkę, która spokojnie przeleciała nad rzucającym się w bok bramkarzem.

– Kurwa mać... – skwitował golkipier.

Chwilę później rozległ się gwizdek i cała drużyna zaczęła kolejne ćwiczenia. Adam wciąż pracował na najwyższych obrotach, nie dając sobie czasu na oddech. Ci, którzy rzucali mu krótkie spojrzenia, robili to z pobłażliwością – tak skrajne wycieńczenie na treningu nie było dobrym pomysłem przed meczem, stanowiło jednak dość znaną przypadłość początkujących piłkarzy.

– Okej – rzucił w końcu Krygier. – Gierka.

Kilku starszych piłkarzy popatrzyło po sobie z powątpiewaniem, jeden z nich pozwolił sobie na pomruk niezadowolenia.

– Teraz, trenerze? – jęknął.

– Teraz.

– Ale...

– Dzielimy się i jedziemy – uciał Witek.

Na ten znak niemal natychmiast pojawił się chłopak niosący pomarańczowe i niebieskie znaczniki, które zawodnicy mieli narzucić na swoje koszulki.

Benhardt zatrzymał idącego obok niego Gałdeckiego i wskazał wzrokiem tych, którzy byli ewidentnie niezadowoleni z zarządzenia gierki. Reakcja wydawała mu się nielogiczna, wszak najlepszym, co mogło spotkać człowieka na treningu, był właśnie sparing z kolegami z zespołu.

– O co im chodzi? – spytał.

– Hę?

– Czemu wyglądają, jakby właśnie wyszło kolejne 365 dni, a oni dostali przymusowy bilet do kina?

Gaudi zatrzymał się i spojrzał na niego jak na idiotę.

– Bo jest już prawie dwunasta – odparł.

– No i?

– W południe koniec treningu i do domu.

Adam rozejrzał się niepewnie, jakby istniała szansa, że jest wkręcany.

– Przecież zaczęliśmy o dziesiątej – zauważył.

– No. A ile chciałeś tu być?

Ben odebrał od młodego chłopaka niebieski znacznik, a potem narzucił go na siebie. Był nieco za luźny i chyba nie wyprano go od ostatniego użycia, ale w tej chwili zdawało się to najmniejszym z problemów.

Gaudi dostał bezrękawnik w takim samym kolorze.

– Zawsze tyle ćwiczyłeś? – odezwał się Adam.

Łukasz wzruszył ramionami.

– Nie tylko my, ale i wszyscy inni – odparł. – Nie chodzi o to, żeby się zajechać. Szczególnie przed ważnym meczem.

– Chyba nie chodzi też o to, żeby się zmęczyć.

– Że co?

– Połowa składu się opierdalała – zauważył Benhardt.

– To idź i im to powiedz.

Adam bynajmniej nie miał takiego zamiaru, ale trudno było nie odnieść wrażenia, że część piłkarzy już postawiła krzyżyk na nadchodzącym spotkaniu z Gryfem Gliwice. Erozja ich motywacji była wyraźnie odczuwalna we wszystkim, co robili. Brakowało im woli walki, z tyłu głowy z pewnością mieli wszystko to, co mówiono i pisano o nich w sferze publicznej.

Ben widział część tych komentarzy, kiedy przeglądał doniesienia medialne. Na zawodnikach i trenerze nie zostawiano suchej nitki, częstokroć zapominając, że to przecież ludzie. Ludzie, którzy niejednokrotnie mieli psychikę znacznie bardziej kruchą niż ci, którzy pisali komentarze.

Po pięciu porażkach do zera z rzędu byli właściwie kompletnie bezbronni. A zewsząd otrzymywali ciosy.

– Przy takim poziomie apatii możecie w ogóle nie wychodzić na murawę – odezwał się Adam.

– Co?

– Albo weźmiecie się w garść, albo...

– Jakiej znowu apatii? – uciął Gaudi. – Robimy, co możemy.

Benhardt wskazał ręką piłkarzy, którzy zamiast zajmować swoje pozycje, snuli się po boisku treningowym niezadowoleni, jakby właśnie skazano ich na najgorszą karę. Do Adama dotarło, że o tej porze zamierzali się już przebierać w szatni. A zaraz potem wrócić do domu, odpalić coś na konsoli i mieć wolne przez resztę dnia.

– Trening a mecz to co innego – usprawiedliwił ich Łukasz. – Jak wyjdziemy na murawę stadionu, to...

– To znowu dostaniecie po dupie, bo mentalnie przegraliście już tutaj.

Spodziewał się, że Gałdecki sięgnie po jakąś ostrzejszą ripostę i zacznie się zżymać, że nowo przybyły rości sobie prawa do nieuzasadnionych komentarzy. Zamiast tego jednak zamilkł, przyglądając się innym.

Ben wziął to za świadectwo, że w gruncie rzeczy nikt w zespole nie dostrzegał poziomu melancholii, która go trawiła. Może nie powinien się dziwić. W wymiarze indywidualnym też trudno było zdać sobie sprawę z podobnych rzeczy, o ile ktoś nie kazał spojrzeć na siebie z zewnątrz.

– Podobno po tym meczu wyjebią trenera – odezwał się nagle Łukasz. Benhardt obrócił się do niego.

– Już?

– No.

– To pewne?

– Mhm – potwierdził Gaudi. – Chodzą słuchy, że i tak miał być tylko na chwilę. Jako zderzak, czaisz. Szefostwo wiedziało, że drużyna będzie zaliczała porażkę za porażką, aż spadnie na samo dno tabeli, bez względu na to, kto ją poprowadzi. Chcieli więc kogoś, kogo będzie można obciążyć winą, a potem wywalić.

– Świetnie – odparł pod nosem Adam. – Nie tylko zawodnicy w siebie nie wierzą, ale szefostwo w nich też nie.

Gałdecki wzruszył ramionami, jakby był to dzień jak co dzień w Rewerze.

– Słyszałem, że żaden szkoleniowiec nie chciał się zgodzić na objęcie fotela – dorzucił. – Szukali już nawet w niższej lidze, ale nikt nie zamierzał wchodzić na pokład szybko tonącego okrętu.

– W sumie niedziwne.

– W sumie nie – potwierdził Łukasz. – I chyba też nie ma się co dziwić Krygierowi, że wziął tę robotę. I tak był w nicości, więc gorzej nie mógł skończyć.

Ben wbił wzrok w trenera, który właśnie instruował indywidualnie kilku piłkarzy, żwawo przy tym gestykulując. Targały nim silne emocje, które pozostawały w niemal bolesnym kontraście z otępieniem, które wykazywali przysłuchujący się mu zawodnicy.

– Wyleci na zbity pysk – dodał Gaudi.

– O ile przegracie.

Łukasz zerknął na niego z ukosa.

– Cały czas mówisz „wy” – zauważył. – A wychodzi na to, że jesteś jednym z nas.

– Jakoś się nie czuję.

– Ale trener ściągnął cię tu po to, żebyś był. I coś zmienił.

Benhardt doszukiwał się w głosie piłkarza kpiny, rozbawienia lub w najlepszym wypadku pobłażliwości, ale nie odnotował ani nuty negatywnych emocji.

– Żeby była jasność, na dobrą sprawę nikt z nas w to nie wierzy... – dodał Gaudi.

– Ale?

– Co „ale”?

– Zawiesiłeś głos, więc musi jakieś być.

Łukasz skrzywił się, jakby przyłapano go na czymś, co pod żadnym pozorem nie powinno zostać odnotowane przez resztę drużyny.

– Grałem kiedyś przeciwko tobie – przyznał.

Byli w podobnym wieku, więc właściwie trudno, by ich losy nie przecięły się na jakiejś murawie. Ben jednak nie kojarzył takiej sytuacji.

– Gdzie? – spytał.

– Na jakimś turnieju gimnazjalnym. Potem jeszcze raz na Orliku przy akademikach, to już chyba było liceum.

„Jakimś”, „chyba”. Adam miał wrażenie, że te słowa wybrzmiały jedynie po to, by nie stworzyć wrażenia, że Benhardt zapadł mu w pamięć. Musiał jednak zrobić na nim wrażenie, skoro po dwóch spotkaniach Gaudi o tym pamiętał.

– Pierwszy mecz to był może ćwierćfinał mistrzostw Opola, wbiłeś nam wtedy pięć bramek. Robiłeś, co chciałeś.

Adam milczał, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

– Grałem wtedy na obronie – ciągnął Gałdecki. – I czułem się, jakbyś, kurwa, był z kosmosu. Szedłeś niby w jedną stronę, więc próbowałem zablokować, a zaraz potem byłeś już za mną, obchodząc mnie z drugiej.

Ben odchrząknął cicho i poprawił niebieski znacznik. Rozmówca chyba zorientował się, że nie przywykł do słuchania takich rzeczy.

– W każdym razie potem zacząłem grać jako defensywny pomocnik, a teraz to już pivot.

Nieźła ewolucja na pozycję, która w ustawieniu 4–2–3–1 okazywała się dość kluczowa. Gaudi był jednym z dwóch piłkarzy ustawionych między linią defensywy a pomocą. Zazwyczaj albo on, albo jego partner mieli podłączać się do akcji ofensywnych, szczególnie przy kontrze, ale też kontrolować pole gry przed obrońcami i aktywnie wspierać pressing. Tradycyjnie zajmowali pozycje w środku, ale zdarzało się, że rozchodzili się na skrzydła, by zmienić nieco styl gry zespołu.

Trudna rola. Ale Gaudi sprawiał wrażenie kogoś, kto jest w stanie ją dźwignąć.

– Ty zawsze byłeś dziewiątką? – odezwał się.

– Nie.

– W sumie z tym dryblingiem mógłbyś też poszaleć jak...

– Przez jakiś czas stałem na bramce.

Łukasz popatrzył na niego z niedowierzaniem. Zanim jednak Ben zdążył wyjaśnić, że w gruncie rzeczy zrobił to po to, by wiedzieć, jakie strzały obronić najtrudniej, podszedł do nich Krygier.

Spojrzał na obydwu, jakby jeszcze układał w głowie rozkaz do wymarszu.

– Gaudi – rzucił. – Grasz dzisiaj playmakera.

– Jasne.

Najwyraźniej nie musiał dodawać nic więcej, był to jakiś sygnał, pod którym kryły się wcześniej omówione założenia taktyczne.

– A ty, Benaldo, idziesz na szpicę. Gramy jedenastu na jedenastu, taktykę znasz – oznajmił Witek. – I albo pokażesz wszystkim, na co cię stać, albo to twój pierwszy i ostatni dzień na tej murawie.

Tylko tyle?

Właściwie nie potrzeba było więcej, ale Adam był przekonany, że dostanie przynajmniej kilka konkretnych wytycznych, dzięki którym da trenerowi pewność, że potrafi wykonywać zadania taktyczne.

Oczywiście, śledził mecze i wiedział, w jakiej formacji uparcie gra Rewera. Orientował się też doskonale w tym, co przydzielano Gregorowi. Ale trener nie mógł przecież zakładać, że jest na bieżąco i analizuje jego taktykę przy każdym spotkaniu.

– W porządku – odparł.

Zaraz potem odbyło się szybkie losowanie, w drodze którego to niebiescy mieli zaczynać. Benhardt ustawił piłkę na środku, a potem obejrzał się na grających z nim ludzi. Za sobą na środku pomocy miał Krzyśka Sandauera, zwanego Sandałem – kolejnego z młodych piłkarzy, którzy w teorii nie mieli jeszcze czego szukać na boiskach Ekstraligi.

Ben zerknął na drugą połowę boiska, a potem kopnął piłkę do Sandauera.

Czas pokazać, że jego miejsce jest w pierwszym składzie.

Boisko treningowe, ul. Sosnkowskiego

Piłka przeszła na prawe skrzydło, a zaraz potem wróciła do Sandauera, który popędził środkiem boiska w kierunku nacierających na nich piłkarzy w pomarańczowych znacznikach. Grali wysokim pressingiem, dokładnie tak, jak w meczach ligowych nakazywał robić to Krygier.

Futbolówka długo nie zagrzała miejsca przy nogach pomocnika, oddał ją nadbiegającemu pivotowi, który grał obok Gaudiego. Ten minął jednego z przeciwników, po czym posłał długą piłkę na drugie skrzydło.

Atak niebieskich nabierał tempa, wymieniali między sobą kolejne podania, a drugiej drużynie nie udawało się odzyskać posiadania.

Kiedy po chwili gry pozycyjnej akcja dotarła pod bramkę pomarańczowych, Benhardt nadal nie miał kontaktu z piłką. Zaczynał odnosić wrażenie, że jest celowo pomijany przez kolegów.

Zaraz potem jeden z nich oddał strzał na bramkę. Zabrakło mu celności, w dodatku kompletnie zignorował znajdującego się na lepszej pozycji Adama. Ten posłał mu tylko krótkie spojrzenie, ale piłkarz nawet go nie odnotował.

Wszyscy zaczęli truchtać z powrotem do linii środkowej, kiedy golkipier wznowił grę od bramki. Długie podanie sięgnęło celu, a Gregor ruszył z impetem w kierunku bramki niebieskich.

Przez chwilę trwała wymiana ciosów, akcja za akcją. Ben ani razu nie doczekał się podania, równie dobrze na boisku mogłoby go zabraknąć.

Trener nie reagował, a on zdawał sobie sprawę z powodu. Witek nie zamierzał nikogo faworyzować. Słusznie. Ostatnim, czego potrzebował piłkarz niecieszący się zaufaniem reszty, było preferencyjne traktowanie.

– Jestem! – krzyknął z pola karnego Benhardt, kiedy prawoskrzydłowy znalazł się w pozycji do dośrodkowania.

Zawodnik jednak obrócił się z piłką i oddał ją do tyłu. Chwilę później inny ją stracił, a Adam rozłożył szeroko ręce, po czym popędził z powrotem, by zaangażować się w wysiłek obronny drużyny.

Piłka wędrowała przez chwilę od nogi do nogi, on trzymał się nieco za linią pomocy. Polował na okazję. Nie ulegało wątpliwości, że jeśli sam nie wywalczy sobie futbolówki, równie dobrze może usiąść na ławce.

W pewnym momencie zwietrzył szansę.

Środkowy pomocnik drużyny przeciwnej przyjął piłkę i wykonał lekki zwrot tułowia w kierunku jednego z kolegów. Ben zaryzykował. Ruszył w pełnym sprincie w jego stronę.

Nie pomylił się. Piłkarz posłał piłkę w spodziewanym kierunku, kopnięcie okazało się jednak mocniejsze, niż Adam przypuszczał.

Wyciągnął nogę najdalej, jak potrafił, licząc na to, że uda mu się przeciąć podanie.

Futbolówka zatrzymała się na jego nodze. Odskoczyła nieco, a on niemal stracił równowagę. Natychmiast jednak ją odzyskał, a potem zagarnął piłkę i obrócił się z nią jak w tańcu.

Zanim pomocnicy pomiarkowali, co się stało, pędził już w kierunku ich bramki. Miał przed sobą czterech obrońców. Jeden z wahadłowych został na skrzydle, był zbyt daleko wysunięty.

Trzech pozostałych szybko ruszyło na napastnika.

Tuż przed pierwszym z nich Adam przełożył prawą nogę nad piłką, markując zwód z wykorzystaniem lewej nogi, po czym niespodziewanie trącił futbolówkę tą pierwszą.

Defensor został w pół kroku, Benhardt minął go bez trudu.

Wpadł prosto na dwóch kolejnych, którzy zamierzali wziąć go w kleszcze. Zwolnił nagle, niemal się zatrzymując, po czym założył nogę do tyłu, niemal krzyżując ją z drugą. Podciął nią piłkę i ruszył na obieg lewego obrońcy.

Zostawił obydwu całkowicie skonsternowanych i nie miał wątpliwości, że zanim odzyskają odpowiedni balans ciała, on będzie już przy bramce.

Pędził na nią, jakby od tego zależało jego życie. Kiedy znalazł się przed linią jedenastu metrów, zerknął na wychodzącego bramkarza.

Golkiper właściwie zrobił mu przysługę, tak szybko na niego nacierając. Ben wziął niewielki zamach, obierając już miejsce, w którym piłka załomocze w siatce.

Wtedy poczuł, jakby oberwał piorunem.

Momentalnie zwałił się na ziemię, tłukąc głową o murawę. W uszach przeraźliwie mu zaszumiało, obraz lekko się zamazał. Przez moment nie wiedział, co się stało ani gdzie jest. Czuł przemożny ból w nogach, jakby mu je połamano.

Zaraz potem zorientował się, że ktoś zrobił mu sanki od tyłu, kosząc go bezpardonowym wślizgiem.

Spodziewał się usłyszeć gwizdek, buczenie albo chociaż zaniepokojone komentarze kolegów.

Zamiast tego doszedł go jedynie śmiech.

Kiedy wsparł się na rękach i obejrzał w kierunku zawodnika, który praktycznie go zdemolował, spodziewał się zobaczyć Gregora. Zamiast niego jednak z murawy podnosił się jeden z obrońców. Ten, którego minął jako pierwszego.

Antek Rebski, zwany Rebusem, podał mu rękę, a potem klepnął go w plecy.

– W porządku? – rzucił.

– Tak – odparł słabo Adam.

– Bo wyglądasz, jakbyś pierwszy raz w życiu przypalił jointa.

– Wszystko okej.

Benhardt zerknął na trenera, ten jednak nie sprawiał wrażenia, jakby stało się coś, co choćby kwalifikowało się na faul. W dodatku wszyscy patrzyli na niego jak na dziwaczny, obcy twór, którego nie powinno tu być.

Adam zorientował się, że piłka trafiła do bramkarza, który właśnie wprowadzał ją z powrotem do gry. Poleciała wysoko nad jego głową, a on pokuśtykał w kierunku swojej połowy boiska.

Chwilę później niebiescy mieli rzut z autu, a Ben znalazł się tuż obok Gaudiego.

– Co to, kurwa, było? – syknął, wciąż mając wrażenie, że ma połamane kości albo chociaż naderwane ścięgna.

– Co?

– Ściął mnie jak...

– To był czysty wślizg, chłopie – uciął Gałdecki.

– Żartujesz sobie?

– Nie. Na piłkę.

Łukasz posłał mu krótkie, nieco rozczarowane spojrzenie.

– Chyba nie jesteś przyzwyczajony, że obrońcy tak szybko się zbierają i zapierdalają, co?

– Chyba nie.

– Ani że potrafią zrobić skuteczny wślizg?

Benhardt właściwie nie musiał odpowiadać, cała sytuacja mówiła sama za siebie. Uświadomił sobie, że dla obecnych tu ludzi była to najzwyczajniejsza w świecie interwencja. W dodatku jedna z tych, o którą napastnik sam się prosił.

Bawiąc się z dwoma innymi defensorami, dał pierwszemu czas, by się zrewanżował. Nie zakładał, że tak szybko się pozbiera i go dopadnie. W meczach, które rozgrywał do tej pory, do takiej sytuacji nigdy nie doszło.

Kurwa mać.

Nie wyglądało to najlepiej, szczególnie wzięwszy pod uwagę, że obecni na murawie piłkarze stanowią w tej chwili właściwie najslabszy zespół w Ekstralidze. Jak ma dać sobie radę z tymi, którzy przewyższają ich o klasę?

Gaudi odbiegł w kierunku piłki, Ben starał się trzymać w tej strefie boiska, do której normalnie w meczach Rewery przypisany był Gregor.

Napastnik z dziewiątką szalał pod polem karnym niebieskich, ewidentnie przewyższając umiejętnościami pozostałych. Adam musiał przyznać, że w transmisjach różnica nie była widoczna, przeciwnie.

Tutaj jednak wieloletnie wyszkolenie widać było jak na dłoni. Szczególnie że mocno kontrastowało z tym, jak prezentował się napastnik drugiej strony.

Po swojej akcji Benhardt zaczął jednak w końcu dostawać podania. Przyjmował je bez trudu, prezentując dobrą kontrolę nad piłką. Udawało mu się przedryblować jednego lub dwóch przeciwników, ale zaraz potem leżał na murawie po kolejnym wślizgu albo kontakcie bark w bark.

Za każdym razem był przekonany, że doszło do faulu. Jakim cudem tak mocne interwencje nie były gwizdane?

Może jednak nie tylko on miał takie wrażenia. Może doświadczał tego każdy, kto zbyt szybko znalazł się na nader wysokim poziomie.

Nie udawało mu się oddać choćby jednego strzału na bramkę, czuł się, jakby odcięto mu dopływ powietrza. Przeciwnicy kosili go równo, a jemu nie udawało się unikać ich wślizgów.

Byli znacznie szybsi, bardziej zdeterminowani i silniejsi od tych, z którymi dotychczas grywał. W tamtym wypadku udawało mu się umknąć w porę, w tym nie.

Kiedy któryś raz padł jak długi na murawę, z furią uderzył w nią ręką, a potem podparł się i popatrzył w kierunku trenera. Jego wzrok padł jednak nie na Krygiera, ale na stojącą obok niego Kalinę.

Nie wiedział, że tu jest, ale właściwie powinien to założyć.

Trzymała uniesioną komórkę, kręcąc to, co działo się na boisku treningowym. Mimo to patrzyła na niego, a nie na ekran.

Ben szybko się podniósł, zbierając się w sobie.

Sam nic nie działa. Czas zmienić taktykę.

Kiedy dostał dobre podanie od Łukasza, stojąc na skraju pola karnego, tradycyjnie ruszył przed siebie. Kątem oka widział, że Gaudi dalej jest za nim. Zamarkował zwód, przekładając nogę nad futbolówką, po czym niespodziewanie oddał ją piętą do Gałdeckiego i pobiegł bez niej przed siebie.

Ten przyjął ją odpowiednio, kiwnął stojącego za daleko przeciwnika, a potem podniósł wzrok w kierunku Bena. Dostrzegłszy, że ten znajduje się w dobrej pozycji, posłał mu mocne podanie po ziemi w tempo.

Benhardt nie miał zamiaru tracić czasu na przyjęcie futbolówki. Uderzył z pierwszej piłki, przechylając się na bok tak, że tylko cudem udało mu się zachować równowagę.

Strzał był potężny, piłka poszybowała prosto w kierunku prawego okienka bramki. Huknęła tuż obok słupka tak mocno, że ten wydał niemal jęk bólu.

Potem załomotała w siatce.

Na boisku zaległa cisza, nikt się nie poruszał. Bramkarz stał z lekko uniesionymi rękoma, jakby dopiero czekał na to, aż coś się wydarzy.

Ben odwrócił się, potruchtał w kierunku Gaudiego, a potem przybił z nim piątkę i biegnąc z nim ramię w ramię, wrócił na swoją stronę boiska.

Kiedy mijał Gregora, poczuł na sobie ciężkie spojrzenie.

– Nie podniecaj się – rzucił Szpeja. – Normalni obrońcy odbiorą ci piłkę, zanim zdążysz się rozejrzeć.

Benhardt chciał zbyć to krótką ripostą, ale się nie odezwał. Nie mógł też oprzeć się wrażeniu, że napastnik ma trochę racji. Być może nie był gotowy, by zagrać w prawdziwym meczu.

Chwilę później udało mu się odebrać przeciwnikom piłkę w środkowej strefie boiska. Ledwo jednak to zrobił, rzuciło się na niego dwóch piłkarzy, biorąc go w kleszcze. Nie miał żadnych szans.

Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilkakrotnie. Na przemian ścinano go z nóg lub praktycznie taranowano. Lądował na murawie raz za razem, przez co zarówno jego strój, jak i twarz pokryły się ziemią i trawą.

Po strzelonym голу najwyraźniej potraktowali go poważniej. I wyglądało na to, że ma przynajmniej przedsmak tego, co czekać będzie go w meczu z Gryfem Gliwice. O ile trener w ogóle go wystawi.

Z każdą kolejną minutą było coraz gorzej. Wszelkie jaskółki zmiany odfrunęły, zanim na dobre miały okazję rozbudzić w nim nadzieję. Gdyby miał wystawić sobie jakąkolwiek notę, byłaby o oczko wyższa od najniższej – i to tylko ze względu na tę dwójkową akcję z Gaudim. Sama w sobie jednak była niewystarczająca, by wpłynąć na obraz gry.

Do końca treningu Ben nie doszedł już do kolejnej okazji strzeleckiej.

Ilekoć zaczynał dryblować, ktoś go kosił. Nie mógł nawet pomarzyć o oddaniu strzału.

Kiedy po raz ostatni wylądował na murawie, szczerze mówiąc, nie miał ochoty się podnosić. Był obolały i ponizony. Czuł się, jakby całe jego życie legło w gruzach.

Podniósł powoli głowę i jego wzrok bezwiednie padł na Kalę. Ta właśnie opuszczała smartfona, jakby uznała, że to, co się dzieje, nie powinno zostać utrwalone.

9

Gabinet trenera, ośrodek szkoleniowy Rewery Opole

Kilka godzin po zakończeniu treningu Witek stał bez ruchu przy oknie, wyglądając na murawę. Kompletnie nie spodziewał się widoku, który miał przed oczami – a nie należał do ludzi, których łatwo było zaskoczyć.

Tuż za jego plecami znajdowało się biurko pokryte notatkami, szkicami taktycznymi i materiałami, które w jakiś sposób mogły okazać się pomocne.

Przed biurkiem siedział asystent trenera z własnym kajetem, cicho przerzucając strony. Nie mieli nadmiernie dobrych kontaktów, Przemysław Meler był w klubie elementem zastanym – i to podobno nie tylko dla Krygiera, ale także wcześniejszych szkoleniowców.

Przetrwał już kilku, co świadczyło albo o tym, że jest dobrym fachowcem, na którym można polegać, albo o tym, że ma chody w zarządzie.

– Na moje oko chłopaka można wrzucić co najwyżej do U19 – odezwał się.

Witek obejrzał się przez ramię na podstarzałego mężczyznę. Ilekoć się komuś przedstawiał, podkreślał, że jest „Meler przez jedno l”, jakby za punkt honoru postawił sobie, by nie być z nikim mylony.

– Ale też nie jest powiedziane, czy tam sobie poradzi – dodał Przemysław.

Krygier wrócił do obserwowania tego, co działo się na boisku treningowym.

– Wydolnościowo jest w porządku, technicznie też...

– Technicznie jest w porządku?

– Jak najbardziej.

Witek cicho westchnął.

– Nie wydaje ci się, że to lekkie niedopowiedzenie? – spytał.

– Hm?

Krygier uznał, że najlepiej będzie, jeśli odpuści. Nie było dla niego żadną tajemnicą, że jego asystent ma dobre relacje ze starszymi piłkarzami – i od początku przyjmował ich punkt widzenia względem Benhardta.

– Największe braki są w treningu siłowym – ciągnął Przemysław. – Jak wyjdzie na boisko w Ekstralidze, nie zostanie długo na nogach. Pierwszy lepszy obrońca zamelduje mu się tak, że...

Urwał, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – polecił Witek, obracając się.

Do środka weszła jego córka, a atmosfera w gabinecie niemal automatycznie zmieniła się z siermiężnej i przybijającej w pogodną i optymistyczną. Kala spojrzała z uśmiechem na ojca, a potem rzuciła krótkie, dziwne spojrzenie asystentowi.

– I co myślisz? – spytała.

Krygier przysiadł na parapecie i skrzyżował ręce na piersi.

– Że powinnaś się uczyć, zamiast szlajać po murawach.

– Jestem specjalistką od social media.

– Naprawdę? I kiedy cię zatrudniliśmy?

– Kiedy tylko okazało się, że robię wam zasięgi, które automatycznie wpływają na sprzedaż nie tylko biletów, ale także koszulek i gadżetów klubowych. Zgodnie z moimi wstępnymi obliczeniami, dzięki moim followersom zwiększyliście miesięczny przychód o...

– Dobra, dobra – uciał Witek. – Czego chcesz?

– Zapytać, co sądzisz o Benie.

– Że musi się jeszcze sporo nauczyć – odparł dyplomatycznie Krygier.

– Jak każdy. Przez całe życie.

Córka usiadła przy niewielkim okrągłym stoliku przy ścianie. Otaczały go trzy zawsze trzeszczące, chybotliwe krzesła, które już dawno powinny znaleźć się na śmietniku.

– Nie jest gotowy – włączył się Meler.

– Pana o zdanie nie pytałam.

– Słucham?

– Jak będę chciała sprawdzić, co uważa trenerska skamielina, otworzę sobie jakieś wydanie „Piłki Nożnej” z lat dziewięćdziesiątych.

Przemysław prychnął, a potem uniósł błagalnie rękę w kierunku Witka, jakby chciał zaapelować, by zrobił porządek ze swoim dzieckiem.

Krygier postarał się jedynie o to, by powstrzymać uśmiech. Nie do końca się udało, ale zaraz potem tak czy inaczej spoważniał.

– Nie ma szans, żeby zagrał w meczu – oznajmił.

– Dlaczego? Nie widziałeś, jaką ma kontrolę nad piłką? Jaki przegląd gry? Jaką technikę dryblingu i strzałów?

– Widziałem.

– No i?

– No i brakuje mu kilku rzeczy, przede wszystkim doświadczenia i siły.

– Faktycznie – odburknęła. – Bo jak Messi debiutował w wieku siedemnastu lat w Barcelonie, był doświadczony i tytanicznie umięśniony.

– Słuchaj...

– Cristiano Ronaldo w tym samym wieku pojawił się po raz pierwszy w oficjalnym meczu Sportingu. Oczywiście już z całym bagażem piłkarskiej mądrości i sześciopakiem na brzuchu. Że już o Lewandowskim z okresu w Zniczu Pruszków nie wspomnę.

Witek przez chwilę patrzył na córkę. Z jakiegoś powodu żar w jej oczach napełniał go satysfakcją. Tyle że niestety nic nie zmieniał w jego ocenie.

– Nie mogę go wystawić – odparł.

Przemysław wydał z siebie cichy pomruk aprobaty.

– Bo?

– Bo złamię mu tym samym karierę.

– Niby jak?

Krygier odwrócił wzrok, by nie czuć na sobie pełnego pretensji spojrzenia córki.

– To byłoby pośmiewisko – odezwał się Meler. – Inni piłkarze urządziliby sobie z niego jedną wielką kpinę.

– Pana akurat nie pytałam o...

– Takie rzeczy łamią kariery – kontynuował Przemysław. – I gówniarz mógłby się już po tym nie podnieść. A raczej na pewno by się nie podniósł.

Kala uniosła bezradnie wzrok.

– Ależ z pana to jest naprawdę wybitny myśliciel – oznajmiła. – Aż dziw, że sam nie objął pan tego zespołu.

– Witek... – rzucił bezsilnie Meler.

Ten w odpowiedzi jedynie uniosł ręce, jakby starał się uspokoić dwóch idących na zwanie piłkarzy.

– Nawet pomijając to, o czym mówi Przemek, gramy formacją, w której jest miejsce tylko dla jednego napastnika – podjął. – A w tej chwili chyba dla nikogo

nie ulega wątpliwości, że Gregor jest lepszym wyborem.

– To daj Bena na środek pomocy.

– Musiałby rozdzielać piłki – odparł spokojnie Witek. – A na kierowanie grą zespołu już z całą pewnością nie jest gotowy.

Kalina przygryzła dolną wargę, po czym skinęła głową w kierunku okna.

– Widziałeś, co tam się dzieje? – spytała.

– Widziałem.

– Co takiego? – włączył się Przemysław.

Krzesło przeraźliwie zaskrzypiało, kiedy dziewczyna obracała się w jego kierunku.

– Trwa trening – oznajmiła.

– Trening skończył się parę godzin temu.

– Nie dla wszystkich.

Meler uniósł brwi z zaciekawieniem, bo doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że ich piłkarze raczej nie mają w zwyczaju zostawać po godzinach. Przeciwnie, najczęściej zdarzało się, że narzekali na brak czasu i nadmiar zadań w trakcie dnia, mimo że trening trwał raptem dwie godziny.

– Młody został? – spytał Przemysław.

– Nie tylko on – oznajmiła Kala.

– A kto jeszcze?

Witek lekko obrócił głowę w kierunku okna, kątem oka dostrzegając jedynie niewyraźne sylwetki poruszające się po niewielkiej części murawy.

– Jakimś cudem udało mu się przekonać Gaudiego i Rebusa, żeby zostali i z nim poćwiczyli.

Było coś budującego w tym, że obrońca, który jako pierwszy bezpardonowo skosił Benhardta, teraz pomagał mu, by drugi raz taka sytuacja nie miała miejsca.

– Potem dołączył do nich Sandał – dodała Kalina.

– Przecież to bumelant.

– Najwyraźniej da się go zmotywować.

Meler podniósł się, a potem podszedł do okna, jakby spodziewał się, że jest robiony w konia. Witek zrobił mu miejsce i sam też po raz kolejny rzucił okiem na to, co się działo.

Grupa ogrodziła niewielką część boiska pachołkami, poruszali się jedynie po niej. Adam miał utrzymać się przy piłce, a oni mieli mu ją odebrać. Ćwiczył z jakimiś obciążnikami, jakby to mogło w czymś pomóc, pozostali zaś kosili go równo.

– I po co ten show? – bąknął Przemysław. – Naprawdę myśli, że dzięki temu coś zmieni?

– No naprawdę, kompletnie szalone – odparła Kala. – Żeby tak przyznać przed sobą, gdzie ma się braki, a potem zacząć pracować nad usunięciem ich. Karygodne zachowanie.

– Cóż, to...

– Wyrzucimy go stąd jak najszybciej. A na tych, którzy z nim spiskują, nałożymy jakieś kary finansowe.

Meler się nie odezwał, przyglądając się zmaganiom Benhardta z trzema piłkarzami. Nie obserwował od początku, toteż nie miał pojęcia, jak tragicznie wyglądało to przez pierwszą godzinę. Im dłużej jednak ćwiczenie trwało, tym lepiej prezentował się Adam.

Wciąż jednak niewystarczająco, by myśleć o wystawieniu go w meczu.

– Ma potencjał, nie przeczę – odezwał się Przemysław. – Ale to za mało na tak ważne spotkanie. To nie jest podwórkowa gierka, to...

– Nie musi pan mówić, co to jest – ucięła Kalina. – Każdy ma świadomość, że od tego meczu zależy los mojego ojca.

Oboje zerknęli na Witka, zupełnie jakby mówienie o tym głośno w jakiś sposób mogło jeszcze zwiększyć presję. Nie mogło. Czuł ją nieustannie – od momentu, kiedy otworzył rano oczy, aż po chwilę, kiedy je zamykał. A może nawet dłużej.

– Zakontraktujmy go, zgoda – zabrał głos Meler. – Ale do U19, może do rezerw. W pierwszej drużynie na razie nie ma dla niego miejsca.

Krygier wciąż przyglądał się, jak Benhardt wykonuje zwód za zwodem. Piłka zdawała się momentami umocowana do jego butów za pomocą jakichś niewidzialnych nici.

– Nie – odparł.

– Też słusznie. Niech najpierw zacznie w jakimś klubie w niższej lidze, a potem...

– Mam na myśli, że będzie w pierwszym składzie – przerwał mu Witek. – Na ławce, ale w pierwszym.

– Zwariowałeś? Po kiego grzyba?

Krygier powoli wskazał asystentowi miejsce, które wcześniej zajmował. Meler zawahał się, ale usiadł z powrotem na krześle przed biurkiem.

– Widziałeś, co się stało, jak wszedł na wyższe obroty? – spytał Witek.

– Błysnął tu i tam, nic wielkiego.

– Nie to mam na myśli.

– A co?

– To, jak zachowała się reszta drużyny.

Przemysław zmarszczył krzaczaste brwi, Kala też wydawała się nieco niepewna kierunku, w którym zmierza ojciec.

– Każdy zespół potrzebuje kogoś, kto sprawia, że reszta wspina się na wyżyny – powiedział. – I ja zobaczyłem to w momencie, kiedy Benhardt zaczął błyszczeć. Reszta od razu się zmotywowała.

– Żeby go atakować.

Krygier raptownie skinął głową.

– Zgadza się – przyznał.

– I na czymś takim ci zależy?

– Zależy mi na czymś, co sprawia, że reszta podrywa się do ataku – oznajmił. – I właśnie to zobaczyłem podczas treningu.

Przemysław przez chwilę szukał jakiejś odpowiedzi, ale najwyraźniej nie potrafił jej znaleźć.

– To prawda – włączyła się Kala. – Sama jego obecność na ławce będzie wartością dodaną. A Gregor, widząc go tam, będzie grał tak, żeby ojcu nawet nie przeszło przez myśl, by go zmienić.

– Otóż to – rzucił Witek.

Podstarzały asystent nie oponował, a nawet gdyby to robił, ostatecznie decyzja należała do trenera. Krygier usiadł za biurkiem i zerknął na wstępny skład, który wypisał w swoich notatkach.

Nazwisko „Benhardt” już się tam znajdowało. Umieścił je w momencie, kiedy zobaczył, że młody miał w sobie na tyle determinacji, by przekonać trzech innych piłkarzy do ćwiczenia go przez parę godzin po zakończeniu treningu.

– To zły pomysł – ocenił w końcu Przemysław. – Tylko podenerwujesz resztę. Morale upadnie.

A więc jednak zebrało mu się na sprzeciw. Niedziwne, był tak długo w klubie i uczył się fachu od tylu trenerów, że z pewnością uważał się za znacznie bardziej doświadczonego od Krygiera.

Niestety nie było sposobu, by go wymienić – podobnie jak kogokolwiek innego z kadry szkoleniowej. Paulina Hejna dała jasno do zrozumienia, że w tej chwili ich na to nie stać. Z finansowego punktu widzenia utopili bowiem setki tysięcy euro na transfery piłkarzy, którzy zginęli w wypadku.

Zarząd dobrze gospodarował środkami. I dobrze wzmocnił zespół przed pierwszym sezonem po powrocie do Ekstraligi. Przez tragiczne okoliczności jednak bilans w tej chwili musiał wychodzić mocno na minusie.

– W długiej perspektywie odbije się na zespole pozytywnie – odezwał się Witek.

– Nie mamy czasu na długie perspektywy.

– Nie?

– Jak przegramy, zwolnię cię.

– W takim razie będziesz kontynuował szkolenie Benhardta pod innym trenerem, a potem...

– Nie mam takiego zamiaru – uciął Meler. – Ten chłopak nie nadaje się do Ekstraligi. Ba, nie nadaje się nawet do naszych rezerw. Fakt, że byśmy go tam wrzucili, byłby tylko i wyłącznie gestem dobroci.

Krygier uniósł brwi, spodziewając się, że córka nie przepuści takiej uwagi. Kalina jednak milczała, cierpliwie przysłuchując się temu, co Przemysław miał do powiedzenia.

– To zwykły amator – ciągnął. – Jego miejsce jest w niższych klasach rozgrywkowych. Gdyby miał kilka lat mniej, może coś by się z niego ułożyło. Ale te triki ma rodem z podwórka. Jakby ganiał za piłką po ulicy i nie miał nawet styczności z prawdziwą murawą, z prawdziwymi graczami, z jakimkolwiek zawodowym szkoleniem.

Kala zagwizdała cicho.

– Coś nie tak? – rzucił pod nosem Meler.

– Wszystko.

Asystent Witka ewidentnie nie miał zamiaru słuchać. Przeniósł błagalne spojrzenie na swojego szefa, jakby znów chciał zasugerować, że powinien jakoś zapanować nad córką, by nie pozwalała sobie na takie uwagi.

– Wie pan, że właśnie pan zdefiniował początki praktycznie każdej największej brazylijskiej gwiazdy futbolu? – spytała. – Jak pan myśli, gdzie uczył się kiwać Ronaldinho? Na ulicach Porto Allegre. Ronaldo? Na betonie Rio de Janeiro. Maradona? Na potreros, najczęściej zniszczonych placach miejskich. Mogłabym tak wymieniać w nieskończoność, ale...

– Ale tu nie ma żadnej analogii – uciął Przemysław. – Ten chłopak nie ma nawet ułamka ich talentu.

– Taki z pana znawca?

– Nie muszę nim być, żeby...

– Pewnie. Gdyby pan nim był, zostałby pan trenerem, a nie asystentem.

– Kala... – włączył się Witek. – Możesz dać sobie siana?

Córka wskazała wzrokiem Melera.

– Jak tylko on pójdzie do pani Czesi po odkurzacz i sprzątnie to, które wypadło mu z butów.

Krygier nie potrafił powstrzymać parsknięcia. Był z córki dumny dość często, ale chyba najbardziej właśnie w takich momentach. Dopiero po chwili zorientował się, że jego asystent aż poczerwieniał ze złości. Jednocześnie nie skontrował, świadomy, że jakakolwiek zbyt daleko idąca uwaga spotkałaby się z automatyczną reakcją Krygiera.

– Jak wolisz – odparł w końcu, a potem przerzucił stronę w kajecie, najwyraźniej chcąc zasugerować, że skończył drążyć temat.

Resztę czasu poświęcili na analizę zespołu Gryfa Gliwice, identyfikowanie jego najmocniejszych elementów i zastanawianie się nad tym, jak je unieszkodliwić. Była to drużyna ze środka tabeli – poprzednia Rewera Opole nie miałyby problemu z jej pokonaniem. Obecna jednak wprost przeciwnie.

Witek obiecywał sobie nie sprawdzać, jak wygląda sytuacja u bukmacherów, ale już teraz było jasne, że mało kto obstawiał zwycięstwo opolskiego zespołu lub choćby remis.

Chwilę później Krygier został w gabinecie sam. Obejrzał fragmenty ostatniego meczu Gryfa, przejrzał kilka raportów, a potem dokonał niewielkiej korekty taktyki swojej drużyny. Ani się obejrzał, zaczęło się ściemniać, kilku piłkarzy trenujących po godzinach dawno zaś zeszło z murawy.

Zaczął zbierać się do domu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zerknął niepewnie na zegarek, a potem wstał i otworzył niezapowiedzianemu gościowi. Właściwie były to dwie osoby – dyrektor sportowa Paulina Hejna i prezes klubu, Sylwester Budczak.

Miny obydwójga nie wieszczyły niczego dobrego.

Prezes spojrzał na starą czarną torbę, do której Witek nie zdążył załadować jeszcze wszystkich materiałów.

– Jesteś zajęty, więc nie zabierzemy ci dużo czasu – oznajmił Budczak.

– Nie ma problemu, w zasadzie to właśnie...

– Był u nas Przemek – uciął szef. – I nakreślił, co zamierzasz zrobić.

– To znaczy?

– Chcesz wystawić tego chłopaka w pierwszej jedenastce.

Zasadniczo taka deklaracja nigdy nie padła z ust Krygiera, ale najwyraźniej nie miało to znaczenia.

– Od razu powiem, że nie widzę takiej możliwości – zastrzegł Sylwester.

Witek zerknął na stojącą obok Hejną, która trwała w bezruchu, z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

– Jasne – odparł. – Ale tak się składa, że to ja podejmuję decyzje co do wyjściowego składu.

– Więc zamierzasz go wystawić?

– Tego nie powiedziałem. Ale nawet gdyby tak było, to prezesowi ani zarządowi nic do tego.

Jeszcze jakiś czas temu Krygier pewnie nie pozwoliłby sobie na takie uwagi. Teraz jednak był na wylocie, jego los wisiał na włosku i nic, co by powiedział, nie mogło go przeciąć. Wszystko zależało od wyniku zbliżającego się meczu.

– Powtórzę jeszcze raz – odezwał się Budczak. – Nie ma możliwości, by ten chłopak był w podstawowym składzie.

– Zobaczymy.

– Nie – odparł stanowczo prezes. – Coś takiego ośmieszy nas kompletnie w oczach opinii publicznej. Już w tej chwili mamy tak czarny PR, jak nigdy w historii. Wystawianie jakiegoś amatora w jednym z najważniejszych meczów w sezonie narazi nas na lata kpin.

– Jestem innego zdania.

Sylwester zbliżył się do niego i spojrzał mu głęboko w oczy.

– Myślę, że ostatnimi wynikami zasłużyłeś na to, by mieć gdzieś twoje zdanie – oznajmił.

Krygier zacisnął usta.

– A jednak dopóki to ja jestem trenerem, musisz się z nim liczyć – odparł spokojnie. – Chyba że zamierzasz wyrzucić mnie już teraz? To śmiało. Zobaczmy, jak sprzedasz to w mediach po tym, jak stało się jasne, że dałeś mi ostatnią szansę.

Prezes uniósł lekko podbródek i spojrzał na niego z góry, jakby chciał pokazać, kto tak naprawdę tu rządzi. Przez moment lustrowali się wzrokiem w milczeniu i ocknęli się dopiero, kiedy Paulina głośno odchrząknęła.

– Normalnie doceniam takie walki kogutów, ale chyba nie mamy na nie czasu – włączyła się. – Sprawa jest jasna, trener decyduje w sprawie składu.

Budczak obrzucił ją nieprzychylnym spojrzeniem.

– Ale prezes decyduje, co podpisuje – oświadczył.

– Hm?

– O ile wiem, ten chłopak nie zawarł z nami jeszcze żadnego kontraktu.

Witek zaklął w duchu. Przy tym wszystkim, co się działo, odłożył to na jutro. Zamierzał pogadać jeszcze z paroma osobami, które mogłyby pomóc Benhardtowi w negocjowaniu umowy – nie chciał, by przychodził tu bez agenta i dał się śpiewająco obrobić.

– Zależy ci na tym chłopaku, prawda? – odezwał się Budczak.

– Prawda.

– Dlaczego?

– Bo wierzę w jego talent.

I znałem jego ojca, chciał dodać Witek.

– I tyle?

– To za mało? – odparł Krygier. – Wystarczało przy każdym innym gówniarzu, który kiedyś gdzieś na świecie dostawał szansę.

Sylwester westchnął głęboko. Jeśli widział cokolwiek, co wyczyniał Adam na murawie, sam musiał zdawać sobie sprawę, że jest to dobra inwestycja w przyszłość. Nawet jeśli teraz nie widział dla niego miejsca, z pewnością znał się na piłce na tyle, by wiedzieć, że za jakiś czas stanie się podstawowym zawodnikiem.

– W porządku – odezwał się Budczak. – Podpiszę z nim umowę, ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Że nie zagra w meczu z Gryfem Gliwice.

– To działanie na szkodę drużyny.

– Nazywaj to, jak chcesz – odparł prezes, a potem podciągnął rękaw marynarki i zerknął na zegarek. – Jeśli przegrasz, chłopak i tak zostanie w klubie. Jeśli wygrasz, dostaniesz kredyt zaufania, który być może pozwoli ci na skorzystanie z niego w kolejnych spotkaniach. To dobry układ.

Dla Budczaka z pewnością. Był niezachwianie przekonany, że za parę dni pożegna się z obecnym trenerem i będzie miał problem z głowy. Musiał jedynie zadbać o to, by jego klub nie zbłądził się w nadchodzącym spotkaniu.

– W porządku – odparł Witek. – Ale najpierw znajdę chłopakowi agenta.

– Agent? To...

– Daj spokój – uciął Krygier.

Powszechną praktyką było wmawianie młodym zawodnikom, że tylko idiota potrzebuje kogoś, kto będzie go reprezentował. Że szkoda oddawać prowizję za coś, co przecież można zrobić samemu. Każdy jednak, kto przystępował do rozmów z klubem bez menedżera, był na straconej pozycji.

– Niech będzie – odparł w końcu Sylwester, a potem zbliżył się i wyciągnął rękę. – Chłopak dostanie godną umowę, pod warunkiem że go nie wystawisz w meczu.

Nie zastanawiając się ani przez moment, Witek uścisnął dłoń prezesa. Nie był to zły układ, szczególnie dla Benhardta. Dużo gorszy mógł okazać się dla niego.

Ośrodek szkoleniowy Rewery Opole, ul. Sosnkowskiego

Po trzech dniach treningów Benhardtowi nie udało się osiągnąć choćby połowy tego, co sobie założył. Gaudi, Rebus i kilku innych wprawdzie odnotowywało już jego obecność na boisku na tyle, by z nim współpracować, reszta jednak zdawała się czekać na to, aż zostanie zaakceptowany przez Gregora.

Na to bynajmniej się nie zanosilo. Kiedy po trzecim dniu zmagania na murawie wrócił do szatni, zastał swoje rzeczy wyrzucone z torby i porozwalane na ziemi. Powiódł po nich wzrokiem, a potem jako pierwszą podniósł koszulkę ojca z numerem piętnastym.

Strzepnął z niej brud naniesiony przez piłkarzy na podłogę, jednocześnie czując nieprzyjemny zapach.

– Nie wkładałbym tego – odezwał się Antek Rebski, obrońca, który urządził mu trzy dni temu chrzest na murawie.

– Bo?

– Jest tu taki zwyczaj, że...

– Morda, Rebus – uciął Grzegorz Szpeja. – Wystarczy już tego faworyzowania. Każdy z nas to przechodził, on też musi.

Ben rozejrzał się uważnie.

– Nie każdy – zabrał głos Gaudi.

– Co powiedziałaś?

– Że nie każdy to przechodził. Większość z nas, która trafiła tu po wypadku autobusu, nie musiała.

Gregor zbliżył się do Adama i poklepał go po plecach niczym dobry wujek.

– Ale on musi – oznajmił. – Szczególnie że dzisiaj podpisuje kontrakt, nie?

Patrzył mu w oczy z bliska, jakby chciał sprowokować chłopaka, by ten stracił opanowanie. Benhardt nie miał zamiaru sobie na to pozwolić. O ile na murawie czasem puszczały mu nerwy, o tyle poza nią właściwie nigdy nie dochodziło do podobnych sytuacji.

– Masz jakiegoś menago, młody? – odezwał się jeden ze starszych piłkarzy.

Adam lekko skinął głową. Trener naraił mu swojego dawnego znajomego z boiska, który grywał też z jego ojcem, a ileś lat temu zajął się

reprezentowaniem piłkarzy. Podobno był godzien zaufania – a skoro taką opinię wystawiał Krygier, wydawało się, że można jej wierzyć.

– Uważaj, żeby cię nie ojebał – poradził Gregor.

– Mhm – burknął niechętnie Ben.

– I dobrze się ubierz.

Zaśmiał się, a potem znów klepnął go w plecy, tym razem dużo mocniej. Kiedy chciał to zrobić jeszcze raz, Adam nagle odtrącił jego rękę. Starszy piłkarz spojrzał na niego z ewidentnym wyzwaniem w oczach.

– Masz jakiś problem? – rzucił z lekkim uśmieszkiem.

– Ja? Nie. To ty wyglądasz, jakby ktoś w nocy porządnie cię zerznął, a potem przekazał pozdrowienia ode mnie.

Nagle cały prześmiewczy wyraz opuścił twarz Szpei. Niemal natychmiast ruszył na Benhardta, koledzy z klubu jednak w porę pomiarkowali, do czego dojdzie. Jeden z nich szybko znalazł się za Gregorem i złapał go za ramię.

Adam skorzystał z okazji i sam się do niego zbliżył, patrząc mu w oczy tak, jakby miał zamiar splunąć mu prosto w twarz.

– Taki jesteś wrażliwy? – spytał.

Gregor znów drgnął, ale stojący przy nim piłkarz nie dał za wygraną.

– Zostaw – rzucił.

Ben wiedział, że to wprost idealna okazja, żeby odpuścić. Powinien to zrobić, wdawanie się w takie przepychanki w szatni było bowiem najgorszym, na co mógł się zdecydować.

Emocje brały jednak górę.

– Ewidentnie nie cieszysz się, że mnie poznałeś – odezwał się.

Szpeja zmrużył oczy, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza rozmówca.

– Ale ja cieszę się, że poznałem ciebie – dodał Adam. – Zawsze chciałem wiedzieć, jak wygląda człowiek, którego osoby czytające w myślach skasowałyby tylko na pół stawki.

Minęła chwila, nim Gregor złapał sens.

– Taki jesteś, kurwa, cwany? – rzucił.

– Po prostu zawsze szukam jakichś plusów sytuacji. Szczególnie kiedy mam w otoczeniu osoby bystre jak oczko wodne.

Grzegorz Szpeja zacisnął usta, zerknął na stojącego obok kolegę, a potem machnął ręką, jakby właśnie uznał, że nie ma sensu zajmować się latającym wokół insektem.

Kiedy opuścił szatnię, atmosfera nieco się rozluźniła, a Adam dopiero wówczas zaczął zbierać swoje ubrania z podłogi. Wszystkie woniały tak samo,

co właściwie dało mu pojęcie o tym, na czym polega ten chrzest.

- Po treningu wycierali się twoimi rzeczami – odezwał się Gaudi.
- Co ty powiesz? Nic nie czuję.
- Podobno robią to każdemu, kto idzie podpisywać kontrakt.
- Więc szefostwo nie powinno być zdziwione zapachem, jaki przyniosę.

Łukasz spojrzał na niego z pewnym niedowierzaniem, spodziewając się chyba, że przynajmniej trochę wyprowadziło to Bena z równowagi. Po prawdzie tak było, nie miał jednak zamiaru tego okazywać. Ostatnim, czego potrzebował, było dawanie innym satysfakcji, poza tym zdawał sobie sprawę, że wejście do drużyny wiąże się z jakąś formą kocenia.

- Pożyczę ci koszulkę – odezwał się Gaudi.
- Nie trzeba.
- Nie możesz iść w treningowej, a te tak walą, że...
- Mam inny pomysł.

Wstał, a potem przeszedł do mieszczącego się obok szatni magazynu. Zapukał dwa razy, a kiedy nie usłyszał sprzeciwu, wszedł do środka. Pani Czesia uniosła wzrok znad krzyżówki, którą zapalczywie rozwiązywała.

- Kochanka Nerona na sześć liter – odezwała się.
- Sabina.
- Nie pasuje.
- A mamy jakieś litery?

Kobieta przez sekundę liczyła pod nosem.

- Piąta: „e”.
- Poppea.

Pani Czesia najpierw postukała długopisem w każdy wolny kwadracik, a potem z uznaniem skinęła głową i wpisała hasło.

- Orientujesz się w historii starożytnego Rzymu? – spytała.
- Niespecjalnie.
- To skąd tak szybko wiedziałeś?

Benhardt wzruszył ramionami.

– Świeża trauma po lekturach szkolnych – oznajmił. – Ale to nic w porównaniu z tą, która zaraz mnie czeka.

- To znaczy?
- Idę zaraz podpisywać kontrakt z klubem.
- Gratulacje, zasłużyłeś – odparła z przekonaniem pani Czesia.

Adam zmarszczył lekko czoło, niepewny, czy to zwyczajna kurtuazja, czy może wiekowa kitmanka rzeczywiście trzymała rękę na pulsie i kontrolowała,

jak kto radzi sobie na murawie treningowej.

– Mam tylko małą awarię stroju – oznajmił Ben.

– Domyślam się, że wysmarowali sobie pachy twoją koszulą.

– Właściwie to wszystkim, co miałem w torbie.

Po prawdzie nie zdziwiłby się, gdyby nalali mu do butów albo zostawili gdzieś jakąś niespodziankę.

Pani Czesia pokręciła głową z dezaprobatą i westchnęła.

– To głupkowane zachowanie trwa od lat – oświadczyła. – Ale zazwyczaj biorą tylko to, w czym ma się iść na podpisywanie kontraktu. Ciebie widocznie lubią bardziej.

– Szczególnie Gregor.

Kobieta zaczęła wykrzywiać usta, jakby starała się wydobyć coś spomiędzy zębów.

– On sam przechodził coś takiego w pierwszej drużynie, a teraz chyba uważa się za spadkobiercę tych, których już nie ma z nami – powiedziała, a potem machnęła ręką. – Nie przejmuj się.

– Nie mam zamiaru, tylko że...

– Tylko że potrzebujesz jakichś rzeczy, tak.

Odłożyła krzyżówkę na niewielki stolik, a potem podniosła się i przeszła na zaplecze magazynu. Przez jakiś czas Adam przysłuchiwał się jedynie charakterystycznemu szelestowi, który świadczył o przerzucaniu ubrań.

– Ile masz czasu? – rozległ się głos z drugiego pomieszczenia.

Adam rzucił okiem na zegar wiszący nad drzwiami.

– Jakies pięć minut.

– To przesunę tylko żelazkiem. Poczekaj.

Benhardt przestępował z nogi na nogę, czując coraz większą presję. Może powinien po prostu pójść w tych ciuchach, w których był. Albo pożyczyć jakąś bluzę od Gaudiego lub innego zawodnika. Nie byłby to wprawdzie idealny outfit na takie spotkanie, ale lepsze to niż...

Urwał tok myśli, kiedy pani Czesia wróciła, taszcząc ze sobą cały garnitur.

– Ale ja nawet...

– Rozmiar biorę na oko – ucięła. – I nigdy się nie mylę. A teraz wkładaj to wszystko.

Kobieta zajęła się krzyżówką, jakby chciała dać mu do zrozumienia, że nie musi się krępować. Jakkolwiek dziwne to było, szybko się przebrał, a potem zerknął na staruszkę.

– Już.

Pani Czesia podniosła się bez choćby przelotnego zerkania na niego. Podeszła z krawatem, przełożyła mu go przez głowę, a potem szybko i sprawnie związała. Zacisnęła nieco mocniej, niż mu się podobało, i dała krok w tył.

– Przystojny młodzieniec z ciebie – powiedziała. – A teraz pędź.

– Dziękuję. Jak tylko skończę, to...

– Idź, idź. Ci ludzie nie lubią czekać.

Miała rację. Kiedy Adam znalazł się przed drzwiami sali konferencyjnej, w której mieli podpisywać umowę, jego świeżo upieczony menedżer spoglądał na zegarek ze skrajną paniką.

– Wreszcie – rzucił. – Dłużej nie mogłeś?

– Staralem się, jak tylko...

– No nic, grunt, że odjechałeś się jak Krycha na zgrupowanie – uciał, taksując go uważnym spojrzeniem. – Słuchaj się mnie, nie wychylaj się, nie zadawaj pytań, nie komentuj żadnych ich ofert. Zrozumiano?

– Zro...

– Świetnie. Chodź – rzucił, chwytając za klamkę.

Julian Foryc przed wyjściem z domu lub hotelu wypsikał chyba cały flakonik perfum, co po wysiłku treningowym było dla Adama znacznie bardziej dokuczliwe niż dla osób czekających na niego w salce konferencyjnej.

Trenera nie było, jedynie prezes klubu i dyrektor sportowa. Oboje posłali chłopakowi nikłe, ale uprzejme uśmiechy.

Odbębienie zwyczajowych formalności, których wymagały konwenanse, nie zajęło wiele czasu. Wyglądało na to, że wszystkim się spieszyło.

– Możemy zaproponować ci na początek dwuletni kontrakt z opcją przedłużenia na rok – odezwała się Paulina Hejna.

– Zaczнеш od Rewery Opole II, tak jak zazwyczaj się to dzieje, a jeśli tam wywalczysz sobie miejsce, zostaniesz automatycznie przeniesiony do pierwszej drużyny – uzupełnił Sylwester Budczak.

– Zaraz...

– Chyba zaszło jakieś nieporozumienie – włączył się Foryc, unosząc uspokajająco rękę do swojego klienta. – Byliśmy przekonani, że jesteśmy tu, by omówić warunki dołączenia do pierwszego zespołu.

– Niestety nie – odparł prezes. – W naszej ocenie jest na to za wcześnie.

– Wasz trener sądzi jednak inaczej.

– Jak wiadomo, może przestać nim być za jakieś dwadzieścia cztery godziny – zauważył Budczak. – A my, jak się panowie domyślają, tu zostaniemy.

Adam wymienił się szybkim spojrzeniem ze swoim agentem. Nie pisał się na to, choć musiał przyznać, że profesjonalny kontrakt to profesjonalny kontrakt. Każdy piłkarz musiał gdzieś zaczynać, zazwyczaj w grających o parę szczebli niżej rezerwach.

Hejna położyła jedną rękę na stole, a drugą wsparła się o podłokietnik krzesła.

– Wszystko zależy od ciebie – oznajmiła, patrząc na Benhardta. – Dobra forma to automatyczne przejście wyżej.

– Tak, ale...

– Byliśmy przekonani, że Adam zagra w najbliższym meczu.

Sylwester Budczak głośno prychnął, nawet nie kusząc się o to, by jakkolwiek zakamuflować swoją reakcję.

– To jakiś szaleńczy pomysł Witka, z którego na szczęście się już wycofał – oznajmił, a potem uderzył lekko w stół. – Dobrze, ale nie po to tu jesteśmy, żeby omawiać sprawy z kompetencji trenera.

Skinął głową na Paulinę, a ta cicho odchrząknęła.

– Chcielibyśmy na początek zaproponować ci dziesięć tysięcy miesięcznie, a do tego premię za strzelone bramki i...

– Słucham?

Przez moment był stuprocentowo pewny, że się przesłyszał. Hejna nieco się skonsternowała, zerknęła na dwóch pozostałych mężczyzn i nabrała tchu.

– Tak to zazwyczaj funkcjonuje, że jest podstawowa pensja plus jakieś profity za osiągnięcia. W przypadku bramkarzy czyste konto, czasem premia za...

– Adam zdaje sobie z tego sprawę – włączył się Foryc. – Jego zdziwienie wynika z czego innego.

– To znaczy?

Sama mina Juliana jasno informowała, że potraktował tę propozycję jak największą potwarz. Ben tymczasem zastanawiał się, ile w takim razie chciał ugrać. I czy przypadkiem nie ryzykuje nadmiernie, bo tych dwoje równie dobrze może zaraz się wycofać.

Dziesięć tysięcy. Miesięcznie. Kurwa mać.

– Doskonale zdają sobie państwo sprawę z tego, co to znaczy – odparł Foryc.

– Obawiam się, że musi nas pan oświecić – rzucił Sylwester.

– To jakiś ochłap.

– Chyba pan raczy żartować.

– W żadnym wypadku – odparł twardo menedżer. – To śmieszne, uwłaczające i właściwie nadające się do natychmiastowego nagłośnienia.

Budczak ponownie prychnął.

– Gdyby pan coś takiego nagłośnił, media zjadłyby pańskiego klienta żywcem za to, że jako chłopak znikąd z automatu dostał dziesięć tysięcy właściwie za nic.

– Nie sądzę.

– To niech pan próbuje.

– W porządku – odparł Foryc i się podniósł.

O nie, nie, skwitował w duchu Adam. Jeśli w tak durny sposób te pieniądze przejdą mu koło nosa, będzie to kompletna tragedia. Co mógł zrobić? Może powie, że rezygnuje z usług agenta, i sam się dogada?

– Gdzie życzą sobie państwo przeczytać nagłówki o tym, jak w Rewerze Opole wyzyskuje się młodych piłkarzy? – spytał Julian. – Część mediów oczywiście stanie trochę w waszej obronie, wszak po tej tragedii nietrudno o sympatię. Większość jednak porówna zarobki tego chłopaka z gażą innych zawodników i wyciągnie wnioski, które będą dla was marketingową katastrofą.

Prezes i dyrektor sportowa milczeli, a Ben odniósł wrażenie, że Hejna niespecjalnie przepada za swoim szefem. Nie patrzyła na niego, nawet kiedy próbował ściągnąć ją wzrokiem, by coś jej zasugerować.

– Piętnaście tysięcy – oznajmiła.

Jezus Maria.

Julian Foryc pokręcił głową i bezradnie rozłożył ręce.

– Nie ma szans – odparł. – Jak pójdę z nim do Varsovii i tylko zobaczą, jak kiwa, dadzą mi dwa razy więcej.

– Dwadzieścia – odparła twardo Paulina i od razu wymierzyła palcem prosto w agenta. – To trzecia i ostatnia propozycja. Jeśli ją odrzucisz, możecie obaj spierdalać.

Foryc lekko się uśmiechnął, Benhardt również nie mógł sobie tego odmówić. Było coś urokliwego i ujmującego w sposobie, w jaki Hejna zdecydowała się przejść na mniej formalną stopę.

Dogadali jeszcze premię za występ w pierwszym zespole – dość sówitą, jakby Budczak nie wierzył, że kiedykolwiek się to stanie – oraz za gole i asysty, a potem pozostało jedynie podpisanie odpowiednich papierów.

Tego samego wieczoru Adam Benhardt poszedł w ślady ojca i oficjalnie został piłkarzem Rewery Opole.

Następnego dnia miał z trybun przyglądać się temu, co działo się na boisku w Gliwicach.

Zamiast tego został włączony do składu.

ul. Reymonta, Opole

Kala wrzuciła najnowszą relację z treningu, a potem standardowo przejrzała wiadomości, które pisali jej fani zespołu. Było ich mnóstwo za każdym razem, jakby na każde instagramowe story czekali z większą niecierpliwością niż na mecz.

Miała kilku obserwujących, którzy pisali właściwie bez przerwy. Nie wdawała się w przesadne dyskusje, mimo że usilnie próbowali wyciągnąć z niej więcej. Za każdym razem dawała jednak kulturalny odpór.

Jedyną różnicą była konwersacja z chłopakiem, który napisał do niej jakieś dwa tygodnie temu. Nazywał się Obi, na zdjęciu profilowym stał tyłem, w niebieskiej koszulce Johna Obi Mikela, wskazując kciukami nazwisko piłkarza i jego numer, 12.

Początkowo rzucił tylko jakiś luźny komentarz do jednej z relacji. Nie zanosilo się na nic więcej, ale wymienili kilka wiadomości, które szybko zeszły z tematu piłki nożnej na inne.

Od paru dni przyłapywała się na tym, że czeka na kolejne. Gość miał poczucie humoru, potrafił w mig rozświecić jej dzień. Teraz tego potrzebowała, bo cała ta presja, która spoczywała na barkach ojca, kładła się cieniem także na jej samopoczuciu.

Otworzyła skrzynkę i zobaczyła, że Obi jest dostępny. I że czeka na nią nieprzeczytana wiadomość. Od razu ją wyświetliła.

Myślisz, że go wystawi?

Kogo?

Misia Gogo z Togo, dla którego w Polsce za drogo.

Kalina mimowolnie się uśmiechnęła.

To miało być minimalnie zabawne?

Chyba. W każdym razie docenę chęci.

A Ty fakt, że jeszcze prowadzę tę konwersację.

Doceniam codziennie.

To mów, o kogo Ci chodzi.
O Twój obiekt westchnień.
Nie znam.
Nie? A tak się składa, gadamy o nim
od jakiegoś czasu.
Bo jest dobrym piłkarzem.
Więc jednak kojarzysz, o kim mowa.
Nie.
O tego młodego, który śni Ci się po nocach.
Który nie opuszcza Twoich myśli.
Który sprawia, że czujesz się, jakbyś razem
z nim mogła podbić cały świat.
Dobra, dobra. Spierdalaj.

Kala trwała z nieustannym uśmiechem na twarzy, bo rzeczywiście od pewnego czasu rozprawiali głównie na temat Adama. Rozmowa szybko zesłała na temat tego, co wyczyniał na treningach, a jej trudno było wrócić potem do jakiegokolwiek innego wątku.

Dziewczyna szybko wystukała na komórce odpowiedź.

I jakiego znowu młodego? To ile Ty masz lat?
Nieistotne. Jedyne, co musisz o mnie wiedzieć,
to to, że jak się urodziłem, dostałem wybór:
mogę mieć gigantycznego penisa lub niezawodną pamięć.
Niestety nie pamiętam, co wybrałem.

Kalina cicho parsknęła. Ta dziwna relacja z Obim bardzo szybko przybrała formę, której nie powstydziałaby się w kontaktach z najstarszymi, najlepszymi koleżankami. W dodatku błyskawicznie przeszedł „spierdalaj test”, który w gruncie rzeczy polegał na tym, że można w ten dosadny sposób oznajmić drugiej osobie, by spadała, a ta przyjmuje to z uśmiechem.

Ich rozmowy właściwie dość szybko zaczęły obfitować w tego typu durne teksty, jakby oboje ze wszystkich sił starali się przebić wyrazami głupoty.

Wiesz, że za takie wiadomości do niepełnoletniej dziewczyny możesz trafić za kratki?

A jesteś niepełnoletnia?

Może tak, może nie.
Trudno. Pozwij mnie.
Niewykluczone, że tak zrobię. I sama nie wiem,
co z Adamem, nie gadałam o tym z ojcem.
Może powinnaś.
Bo?
Bo jesteś w tej chwili lepsza niż jego agent.
Sterujesz całą jego karierą.
Bez przesady.
No bez, bez. Załatwiłaś mu miejsce w drużynie.
Formalnie jeszcze nie.
Ale wiesz, że Twój padre zabierze go do Gliwic.
Teraz musisz tylko przekonać go,
żeby wpuścił Bena na boisko.

Kala cicho westchnęła. Byłoby to rzeczywiście coś, ale nie wydawało się to możliwe.

Marne szanse.
Tego nie wiesz.
Wiem. Musiałby zdarzyć się jakiś cud,
by ojciec tak zaryzykował. Co innego posadzić
Adama na ławce, co innego wpuścić go na murawę,
po której biega jedenastu profesjonalnych,
zaprawionych w boju przeciwników.

Obi coś odpisał, ale Kalina nie dostrzegła treści wiadomości, bo rozległ się dzwonek do drzwi. Była sama w domu, nie miała więc wielkiego wyboru, musiała się pofatygować. Może mama zapomniała klucza? Wychodziła dziś przed nią, więc to całkiem możliwe.

Kala przeszła korytarzem i zerknęła przez wizjer.

Osoba, którą zobaczyła, była chyba ostatnią, której się spodziewała. Benhardt stał niemal w postawie zasadniczej, trzymając w ręku jakąś butelkę i rozglądając się niepewnie. Wyglądał dziwnie nie w stroju sportowym – teraz miał na sobie jasny T-shirt i czarną bluzę z kapturem.

Przestąpił z nogi na nogę, a Kalina zorientowała się, że powinna otworzyć.
Albo udawać, że jej nie ma?

Włosy miała nieulożone, a po powrocie ze szkoły włożyła domowe ciuchy, które po pierwsze miały już swoje lata, po drugie zaś przydałoby im się pranie.

– Słyszę, że tam jesteś – rzucił Ben.

Kurwa.

Kalina nabrała tchu, a potem przekręciła zamek i otworzyła drzwi. Jak na sygnał Adam podniósł wino, które trzymał w dłoni.

– W ramach podziękowania – oznajmił.

Dziewczyna najpierw rzuciła okiem w kierunku drzwi sąsiadów, a potem zerknęła na etykietę.

– Chowaj to – poleciła.

Benhardt opuścił rękę.

– I Carlo Rossi? – spytała. – Nie mogłeś trochę się wysilić?

Adam wzruszył ramionami i powiódł wzrokiem po wnętrzu mieszkania, jakby chciał zasugerować, że nie wadziłoby zaprosić go do środka i tam kontynuować rozmowy.

Kala od razu pomyślała o kilku rzeczach: nieposprzątane w pokoju, ciuchy na krześle i pewnie niejedna para majtek walająca się w łazience. Oprócz tego sporo pluszaków, figurek i zabawek, które wyszły z użytku jakieś dziesięć lat temu, a mimo to nie opuściły miejsca swojego rezydowania.

Nie było szans, by go wpuściła.

Adam podał jej butelkę, a potem odchrząknął cicho.

– W każdym razie dzięki.

Kalina potrząsnęła głową.

– Co ty tu w ogóle robisz? – rzuciła.

– A przegapiłaś moment, w którym ci dziękuję?

– Nie, w sensie... Skąd wiesz, gdzie mieszkam?

– Trener mi powiedział.

Kala pytająco uniosła brwi, a Ben znów się rozejrzał, jakby uznawał, że znajdują się w jakiejś dwuznacznej sytuacji i mogą zostać przez kogoś przyłapani.

– Byłem najpierw u niego – dodał.

– Z tym Carlo Rossi?

– Mhm. Ale nic nie mówił.

No tak, ojciec bynajmniej nie byłby zaszokowany, gdyby dowiedział się, jak często Kala wychodziła ze znajomymi na wcale nie jedno piwko. Taka butelka nie robiła na nim żadnego wrażenia, zresztą z pewnością zakładał, że pili znacznie tańsze i mocniejsze rzeczy.

– Powiedział mi, że mieszkasz z matką – dorzucił Adam i rozłożył ręce. – I że jak ją poznam, to nigdy do ciebie nie wystartuję.

– Aha.

– No.

– W porządku – odparła Kala.

– No to okej.

Popatrzyli na siebie niepewnie, jakby żadne z nich nie wiedziało do końca, co się dzieje – jakby ona oczekiwała, że sam zaproponuje, że wejdzie, a on liczył na zaproszenie.

– To spadam, bo mam jeszcze dzisiaj parę rzeczy do zrobienia – odezwał się Benhardt.

– Jakich?

– Różnych.

Nie czekał, aż dziewczyna coś odpowie. Uniósł rękę, a potem odwrócił się i ruszył schodami w dół. Kala właściwie nie miała nawet czasu zareagować – ale gdyby było inaczej, i tak nie bardzo wiedziałyby, co powinna zrobić.

Zamknęła drzwi, a potem wróciła do pokoju i podniosła telefon. Przy Obim wciąż świeciło się zielone kółko, co było widokiem dość częstym. Siedział na Insta mniej więcej tyle, ile ona i każdy z jej znajomych, zakładała więc, że jest w podobnym wieku.

Nie uwierzysz, kto mnie właśnie odwiedził.

Akwizytor intelektu, który słyszał o tym,
że masz ogromne braki?

Pudło.

No to kto?

Ben.

Nie nadeszła żadna odpowiedź, a potem przez moment tańczyły jedynie trzy kropki. W końcu wiadomość się pojawiła.

Dobra, to nie było do końca spodziewane.

Co ty nie powiesz?

Czego chciał?

Podziękować mi. I dać butelkę wina.

Najlepiej by było, gdyby Obi nie pytał jakiego. Szczęśliwie nie to interesowało go w tej chwili najbardziej.

To co Ty robisz na Instagramie?

Gadam z Tobą. Chociaż sama zachodzę w głowę dlaczego.

Mam na myśli...

Wiem, co masz na myśli. Dał mi butelkę, podziękował i poszedł.

Tak po prostu?

Tak po prostu.

Ale zaprosiłaś go do środka?

Właściwie to nie.

Kala.

No?

Stałaś z nim przed drzwiami? Na klatce schodowej?

Tak.

Dlaczego?

Bo mam wszędzie burdel, plus bieliznę i pluszaki w pokoju.

Nawet nie chcę wiedzieć, co to znaczy i w co się bawisz wieczorami.

Daj spokój. Zjechałam sprawę?

A chcesz uczciwej opinii czy pocieszenia?

A spierdalaj.

Kalina wygasila wyświetlacz i odłożyła komórkę. Można było rozegrać to zupełnie inaczej, przecież Adam nie fatygował się tu tylko po to, żeby rzucić parę krótkich zdań i dać jej wino. Najpierw ustalił, gdzie mieszka ojciec, a potem przekonał go, żeby dał mu jej adres – co nie mogło być łatwe.

Ale mógł zapytać, czy może wejść. Nie byłoby to zbyt skomplikowane.

Kala zaczęła chodzić po pokoju, długo nie potrafiąc znaleźć sobie miejsca ani zajęcia. Chciała napisać mu chociaż esemesa, kilka razy nawet zbierała się do wiadomości. Potem jednak rezygnowała, dochodząc do wniosku, że byłoby to dziwaczne. Właściwie co miałyby napisać?

Uznała, że pogadają w drodze do Gliwic. Też będzie jechała klubowym autobusem, okazja nadarzy całkiem niezła, bo zapewne inni zawodnicy nie

będą zbyt ochoczo podejmować rozmowy z Benem.

Szczególnie że żaden z nich nie będzie wiedział o włączeniu go do składu. Ojciec całkiem słusznie postanowił trzymać to w tajemnicy aż do ostatniej chwili, któryś z zawodników mógłby bowiem chlapać coś Paulinie Hejnie lub komuś innemu.

Nie, Hiena może jeszcze zachowałaby to dla siebie. Ale każda inna osoba z kadry zarządzającej lub sztabu szkoleniowego poszłaby z tym do prezesa. I ojciec wyleciałby tuż przed meczem, który miał przecież być jego ostatnią szansą.

W dniu spotkania Kala pojechała z ojcem pod ośrodek szkoleniowy przy Sosnkowskiego. Autokar już czekał, piłkarze wdawali się w krótkie i nerwowe rozmowy, atmosfera nie była najlepsza.

Benhardta próżno było szukać, mimo że zbliżała się już godzina wyjazdu. Kiedy wszyscy weszli do środka, stało się dla niej jasne, że nie będą czekać ani na niego, ani na nikogo innego. Na zewnątrz zostali jedynie ona i ojciec.

– Gdzie on jest, do chuja złamanego? – syknął Witek.

– Musisz przeklinać przy dziecku?

Krygier zmiażdżył ją wzrokiem.

– A ty mówić jak twoja matka?

– Mam jej geny, więc...

– W końcu – uciał Witek, wskazując wzrokiem starego, rozklekotanego golfa, który właśnie wjeżdżał na parking.

Kalina poznała siedzącego za kierownicą dziadka – po babci Adama nie było śladu i właściwie jej to nie dziwiło. Pomijając optykę takiej odwózki i niemal pewne docinki ze strony piłkarzy, z pewnością nie chciała nawet zbliżyć się do miejsc, gdzie powiewały flagi Rewery Opole.

– Wolniej się nie dało? – rzucił Krygier, kiedy Ben wychodził z auta.

– Przepraszam!

Pospiesznie przerzucił torbę sportową przez ramię i już chciał ruszać w kierunku autokaru, kiedy jakby sobie o czymś przypomniał. Zawrócił, kiedy jego dziadek ociężale wydostawał się z samochodu.

Objął wnuka i trwali tak przez moment w zawieszonym w czasie i przestrzeni uścisku. Ostatecznie starzec poklepał Adama mocno po plecach, skłonił głowę trenerowi i Kali, po czym przesunął wzrokiem po autokarze z logotypami Rewery.

Kalina nawet stąd mogła dostrzec, że zaszklily mu się oczy.

– Mieliśmy małe problemy z samochodem – rzucił Benhardt, podchodząc do autobusu.

Odjeżdżający rzęch wyglądał, jakby „małe problemy” miał nawet ze staniem na parkingu, Kala jednak nie skomentowała, a jej ojciec machnął ręką w stronę drzwi.

Chwilę później zajęli miejsca w autokarze, a ten z wolna ruszył w kierunku Pużaka. Kalina pomiarkowała, że kierowca najwyraźniej zdecydował się jechać do obwodnicy, a potem na Strzelce Opolskie. To oznaczało, że mieli przed sobą godzinę z piętnastominutowym okładem, zanim dotrą do Gliwic.

Sądziła, że to wystarczająco dużo czasu, by rozmówić się z Benem. Pomyliła się. Ledwo zajął miejsce, rozległy się szepty, a potem podniesione głosy i jawne protesty. Atmosfera w autobusie stała się tak napięta, że ferment był niemal fizycznie wyczuwalny.

Adam starał się ignorować teksty, które pozostali formułowali pod jego adresem. Z komentarzami wstrzymali się jedynie ci trenujący z nim wcześniej na boisku klubowym – Gaudi, Rebus i Krzysiek Sandauer.

W końcu widać było, jak z przodu podnosi się jakaś postać. Witek zakolysał się lekko, gdy autobus wpadł w koleiny, a potem stanął pomiędzy siedzeniami, kładąc na nich szeroko ręce.

– Dobra, wystarczy tego – odezwał się. – Bojowe nastroje zostawcie na murawę, jasne?

– Ale trenerze, to jest przecież jakieś nieporozu... – zaczął Gregor.

– Nieporozumieniem, i to wyjątkowo pechowym, będzie, jak zaraz będziemy musieli cię gdzieś tu wysadzić – uciął Krygier, a potem powiódł wzrokiem po pozostałych. – I to samo tyczy się każdego innego, kto będzie jęczał jak stara baba w drodze na Morskie Oko. Wyrażam się w miarę klarownie czy potrzebujecie, żebym to powtórzył inaczej?

Nikt mu nie odpowiedział, a Witek po chwili zajął z powrotem swoje miejsce. Kiedy córka na niego zerknęła, miał zamknięte oczy i brał głęboki wdech.

Ważyli się jego losy, a drużyna najwyraźniej nie miała zamiaru stawać za nim murem.

Musiało w końcu do niego dotrzeć, że przy takim stanie rzeczy w drodze powrotnej najprawdopodobniej nie będzie już ich trenerem.

ul. Pawlety, Suchy Bór

Tadeusz Benhardt już kilka godzin przed rozpoczęciem meczu włączył odpowiedni kanał, by upewnić się, że wszystko jest tak, jak powinno. Nie mieli wcześniej pakietu, który umożliwiał oglądanie Ekstraligi, nie było ku temu powodu, Barbara bowiem i tak zasadniczo zabraniała w domu wszystkiego, co wiązało się z piłką nożną.

Teraz także nie było najmniejszych szans, by obejrzała mecz z Tadeuszem, nawet się nie łudził. Zamknęła się w kuchni i zajmowała jakimiś przetworami, z pewnością starając się zapomnieć o tym, co wnuk w tej chwili robił. I co przeżywał.

Tadeusz nie wiedział, jak wygląda całe to przedmeczowe preludium. Znał to tylko z telewizji – widywał piłkarzy wychodzących z autokarów, którzy potem znikali w tunelu. Zachodził w głowę, starając się domyślić, co działo się w trasie, co wydarzy się w szatni i jak to wszystko odbierze Adam.

Kiedy zaczęła się przedmeczowa konferencja Witka Krygiera, nachylił się lekko w stronę telewizora i pogłośnił nieco. Nie musiał tego robić, ale chciał, by Barbara też mogła wszystko usłyszeć.

Nie miał wątpliwości, że nasłuchuje.

Trener wyglądał jak nie on. Zamiast sportowego ubioru miał na sobie czarny garnitur, białą koszulę i oczywiście pomarańczowy krawat. Powitał dziennikarzy, a jego mina sama w sobie świadczyła o tym, jak istotne jest dzisiejsze starcie.

Chwilę wcześniej ogłoszono skład Rewery Opole. W wyjściowej jedenastce nie było Adama, ale jego dziadka specjalnie to nie dziwiło. Nie zakładał, że zagra od pierwszych minut. Jeśli w ogóle.

Krygier utrzymywał fakt jego obecności w tajemnicy aż do ostatniej chwili. Nie powiedział ani szefostwu, ani innym piłkarzom, inaczej z pewnością narobiłby sobie problemów. A przynajmniej tak twierdził Adaś.

Tadeusz upił łyk herbaty, przyglądając się mężczyźnie, który wywrócił całe ich życie do góry nogami. Nawet jeśli nie zdecyduje się wystawić jego wnuka, Tadeusz był mu wdzięczny za to, co zrobił.

Nie chodziło o dwadzieścia tysięcy miesięcznie, choć była to kwota tak astronomiczna, że trudno było w nią uwierzyć. Ważniejsze, że Adam wreszcie mógł realizować się w tym, co kochał.

– Czy to pana ostatni mecz w charakterze szkoleniowca Rewery? – odezwał się jeden z dziennikarzy.

Witek uśmiechnął się lekko, a potem rozpiął marynarkę.

– Widzę, że zaczynamy optymistycznie – odparł.

Nie wywołał żadnej reakcji, a przynajmniej nie została zarejestrowana przez mikrofony.

– Powiem tak: ta drużyna wymaga jeszcze mnóstwa roboty i będę zaszczycony, jeśli to mnie zostanie powierzone czuwanie nad jej wykonaniem.

– Czyli nie jest pan pewny, że zostanie?

– Niczego w życiu nie można być pewnym.

– Ale rozmawiał pan o tym z zarządem?

– Tak.

– I?

– I oczekuję wygranej – odparł łagodnie Krygier, po czym położył ręce na stole, za którym siedział. – To całkowicie zrozumiałe, po to przecież gra się w piłkę. Problem polega na tym, że budujemy zespół od zera. Ma on wolę walki, ma ogromny potencjał. Widzę to na każdym treningu i państwo chyba również dostrzegli to już po pierwszych minutach starcia z Olimpią Wrocław. Jeśli zarząd postanowi dać mi odpowiednio dużo czasu, zrobię z tych chłopaków jedną z najlepszych drużyn w historii Ekstraligi. Jeśli nie, zrobi to ktoś inny. Ale nie ulega dla mnie wątpliwości, że prędzej czy później ten w tej chwili nieoszlifowany diament będzie wszystkich zachwycał.

Tadeusz przysunął się do oparcia i nieco rozluźnił. Adaś wprawdzie twierdził, że trener będzie musiał pożegnać się z klubem w razie porażki, ale może nie było tak źle?

Nie, sam czytał w lokalnym wydaniu „Głosu Obywatelskiego”, że tylko cud mógłby uratować Krygiera. Tajemnicą poliszynela było, że to jego ostatnia szansa. Chyba zresztą nie zdecydował się na włożenie tego garnituru bez powodu.

Tadeuszowi przemknęła przez głowę myśl, że Witek przygotował się na własny pogrzeb.

– Jak ocenia pan szanse swojego zespołu w dzisiejszym meczu? – odezwał się inny dziennikarz.

– Jeśli zrealizujemy zadania taktyczne, oceniam wysoko.

– To znaczy?

– To znaczy to, co powiedziałem – odparł z uśmiechem, a potem uniósł wzrok i przez moment się zastanawiał. – Ale nie to jest najważniejsze. Po prostu chcę, żeby chłopaki dali z siebie wszystko. To wystarczy.

Kamera pokazała publikę, wśród której kilka osób skinęło głowami.

– Na liście rezerwowych jest nowe nazwisko – odezwał się ktoś. – Adam Benhardt.

– Zgadza się.

– To jakiś nowy nabytek?

– Lokalny talent – odparł Witek.

Tadeusz znów sięgnął po herbatę, jakby ta w jakiś magiczny sposób mogła sprawić, że tętno nieco mu zwolni.

Nie na jego nerwy było oglądanie takich rzeczy, nie wspominając już o samym meczu. Owszem, chodził obserwować wnuka podczas amatorskich rozgrywek i nawet wtedy jego serce biło za szybko, ale to... to było coś zupełnie innego.

– Przyznam, że nie udało mi się znaleźć żadnych informacji na jego temat – dorzucił dziennikarz. – Gdzie wcześniej grał?

Adaś rozmawiał z trenerem o tym, co ten powinien powiedzieć w takiej sytuacji. Spodziewali się, że podobne pytanie może paść, każdy wszak analizował skład, w tym przyglądał się także piłkarzom na ławce rezerwowych.

– Na podwórku – odparł Krygier.

– Słucham?

– Grywał w amatorskich drużynach, nie debiutował jeszcze w żadnym choćby półprofesjonalnym zespole.

Na moment zaległa cisza, a Tadeusz przypuszczał, że dziennikarze patrzą po sobie niepewnie.

– Zamierza pan dać mu szansę w tak ważnym meczu?

– Wszystko zależy od przebiegu gry.

– Na jakiej pozycji występuje?

Pytanie było całkiem zasadne. Numer na koszulce w tym wypadku niewiele mówił, a w internecie nie można było znaleźć niczego na temat młodego piłkarza. Także na stronach klubu.

– Napastnika.

– Jak go pan odnalazł?

– Zrobiła to moja córka.

– Słucham?

– Widziała, jak gra z kolegami – odparł Witek, jakby był to całkiem standardowy sposób skautingu.

Zainteresowanie dziennikarzy rosło, niecodziennie bowiem trafiał im się tak łakomy kąsek. Oto chłopak znikąd znalazł się w szerokim składzie drużyny biorącej udział w najwyższej klasie rozgrywkowej w Polsce.

– Ile ma lat ten chłopak?

– Osiemnaście.

– I wydaje się panu, że jest gotowy, by grać na takim poziomie?

– Gdyby mi się cokolwiek wydawało, nie zabrałbym go na ten mecz – odparł Krygier. – W składzie znajdują się jedynie osoby, co do których mam pewność, że są gotowe.

– Ale nie rozegrał w życiu ani jednego profesjonalnego meczu? W juniorach ani w rezerwach?

– Zgadza się.

Tadeusz z trudem przełknął ślinę, dopiero teraz wyobrażając sobie, jakie przeżycie czeka jego wnuka. Sprawdził wcześniej, jaką liczbą miejsc dysponuje stadion Gryfa Gliwice. Potrafił zmieścić dwadzieścia tysięcy kibiców.

Adam grał najwyżej dla kilkunastu, może kilkudziesięciu par oczu na zawodach szkolnych. Wyjście na murawę w takich okolicznościach wydawało się dla Tadeusza czymś dokumentnie przerażającym.

Przesunął trzęsącą się dłonią po twarzy, a potem skupił się na powrót na słowach trenera. Teraz mówił nieco o przeciwniku, podkreślał kilka jego atutów. Wypadło to jak czysta kurtuazja.

– W wypadku przegranej będzie pan ubiegał się o trenowanie jakiegoś innego klubu? – spytał jeden z obecnych przedstawicieli mediów.

– Moim klubem jest, zawsze była i będzie Rewera.

– Czyli nie?

– Czyli zamierzam wygrać ten mecz. I prowadzić dalej drużynę.

Operator zrobił przejazd po zebranych. Na większości twarzy pojawił się nikły uśmiech, pełen politowania lub pobłażania.

– Naprawdę uznaje to pan za realne? – spytał ktoś. – Wziąwszy pod uwagę wszystkie ostatnie sromotne porażki, nie zanosি się na to, żeby...

– Jeśli chce pan sam odpowiadać na swoje pytania, to właściwie nie jestem tu potrzebny – uciał Witek, a potem niespodziewanie się podniósł.

Zanim jednak opuścił salę, nachylił się nad mikrofonem.

– Dajcie tym chłopakom szansę – powiedział. – Zasługują na to.

Zaraz potem znikł za drzwiami, a transmisja przeniosła się do przedmeczowego studia. Tadeusz nawet nie kojarzył tych, którzy zaczęli komentować konferencję prasową. Mecz pokazywał jeden z mniejszych kanałów nadawcy, który miał prawa do wszystkich spotkań w Ekstralidze. Nic dziwnego. Najwyższa fala zainteresowania osłabła, większość ludzi przekreśliła już zespół, który po tragedii miał spektakularnie się podnieść, a zamiast tego upadł z hukiem.

– Wyjdzie w pierwszym składzie? – rozległ się nagle głos zza pleców Tadeusza.

Obrócił się i zobaczył stojącą w progu Barbarę. Miała ścierkę kuchenną przewieszoną przez rękę, dłonie całe w jakiejś mące.

– Nie – odparł Tadeusz. – Zaczyna na ławce.

– Co powiedział trener?

– Że może go wpuści.

Barbara trwała w bezruchu.

– Jeśli Szpeja będzie dobrze sobie radził, nie wpuści – zauważyła. – Nie będzie ryzykował umieszczeniem go na innej pozycji.

Znała nazwisko obecnie podstawowego napastnika w klubie? Tadeusz bynajmniej się tego nie spodziewał.

– Masz rację – przyznał. – Adaś albo wejdzie za Szpeję, albo wcale.

Barbara powoli skinęła głową z całkowicie obojętnym wyrazem twarzy. Potem bez słowa wróciła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

Tadeusz spojrzał z powrotem na telewizor. Mecz miał zaraz się rozpocząć.

13

Szatnia gości, stadion Gryfa Gliwice

Witek miał do dyspozycji jedynie niewielką białą tablicę, ale musiała wystarczyć. Przypiął do niej dwadzieścia dwa magnesy w dwóch różnych kolorach, rozmieścił je odpowiednio, a potem przesuwiał, tłumacząc jeszcze raz najważniejsze założenia taktyczne.

Widział, że uwaga wielu piłkarzy koncentruje się nie na nim, ale na niespodziewanym dodatku do składu na ostatnią chwilę. Benhardt ignorował te podejrzliwe spojrzenia, skupiając się na trenerze.

Być może powinien był dużo wcześniej powiadomić piłkarzy. Istniało jednak ryzyko, że któryś z nich wyjawi to zarządowi, a w takim układzie Krygier pożegnałby się z pracą jeszcze przed rozpoczęciem meczu.

Mówił przez moment o prawoskrzydłowym Gryfa Gliwice, który będzie schodził do środka i ściągał tamtejszego obrońcę, by zrobić miejsce środkowemu ofensywnemu pomocnikowi. Potem urwał, widząc stojącego w progu korytarza asystenta.

Dokończył wątek i przeprosił na moment. Odszedł kilka kroków z Przemysławem, by nie słyszeli ich zawodnicy. Nie jechał z nimi klubowym autobusem, nie miał pojęcia, kogo zastanie w szatni.

– Coś ty zrobił? – odezwał się Meler.

– Podjąłem najlepszą możliwą decyzję dla klubu.

– Chyba żartujesz...

– Ten chłopak na ławce podziała mobilizująco na resztę, gwarantuję ci.

– A ja ci gwarantuję, że bez względu na wynik po powrocie do Opola zobaczysz na biurku wypowiedzenie – odparł Przemysław półgłosem. – Nie puszczą ci tego. Postawili ci warunek, a ty...

– A ja postanowiłem mieć go głęboko w dupie.

Meler przewrócił oczami.

– Bo i tak przegrasz? – rzucił z niezadowoleniem, jakby tylko potrzebował potwierdzenia, że Witek od początku nie wierzy w zespół.

– Nie – odparł Krygier. – Bo jeśli wygram, może jakimś cudem ich ubłagam. A jeśli nie, to i tak wylatuję.

Postawił wszystko na jedną kartę, ale prawda była taka, że nie miał innego wyjścia. I nie zamierzał się z tego tłumaczyć Przemysławowi.

– Nie mam czasu ani mazaków, żeby ci to wyjaśniać, Meler – uciał.

– Może jednak powinienes, bo...

– Rób, co do ciebie należy – uciał, a potem odwrócił się i ruszył w kierunku szatni.

W środku oprócz piłkarzy i pracowników Rewery czekała na niego jego córka, która wciąż robiła za samozwańczą specjalistkę od social media. I sprawdzała się w tej roli całkiem nieźle.

Mimo że tradycyjne media przekreśliły klub, zainteresowanie w sieci utrzymywało się na dość wysokim poziomie. Głównie dzięki codziennym materiałom, które publikowała Kala, teraz już na oficjalnym profilu Rewery.

Podniosła telefon, dostrzegając ojca, a potem lekko się cofnęła. Przez cały czas starała się pozostawać niewidoczna, i być może w pewnym sensie się udawało, bo zawodnicy zapominali, że są kręceni.

Witek podsunął rękaw koszuli i zerknął na zegarek. Nie mieli już wiele czasu.

– Dobra – odezwał się, po czym klasnął głośno.

Wszyscy skupili na nim uwagę.

– Wiecie, jak wygląda sytuacja, a ja nie mam zamiaru was oszukiwać – podjął. – Jestem na wylocie i jeśli przegramy ten mecz, będę musiał odejść.

Powiódł wzrokiem po piłkarzach, starając się stwierdzić, którzy z nich realnie żałowaliby, gdyby taki scenariusz się ziścił. Wnioski były dla niego dość budujące – większość wyglądała, jakby chcieli tego uniknąć. Być może nie uroniliby łzy, ale fakt faktem, że przez ostatni czas nieco się ze sobą zżyli. I w pewnym momencie nawet dali wiarę temu, że uda im się coś razem osiągnąć. Niestety był to kredyt wyjątkowo krótkoterminowy.

– Oczywiście dla tych, którzy w najśmielszych marzeniach nie mogli wyśnić sobie lepszego trenera, to dodatkowa presja – rzucił pod nosem. – Dla pozostałych kiepski motywator.

Kilku chłopaków się szturchnęło, paru zaśmiało. Witek zerknął kontrolnie na Benhardta, który sprawiał wrażenie, jakby nie z własnej woli przebywał w innym świecie – w tej chwili nikt nie zwracał na niego uwagi, a niektórzy wręcz ostentacyjnie go ignorowali.

– Nie żeby potrzebna była komukolwiek dodatkowa presja – ciągnął Krygier. – Po takich laniach, jakie dostaliśmy, kibice zaczynają nienawidzić nas bardziej od piłkarzy drużyn, z którymi mają kosę. Media właściwie potrzebują tylko kropki nad i, żeby zrobić z nas całkowite pośmiewisko, a komentatorzy prześcigają się w wymyślaniu metafor na nasz upadek.

Witek powiódł wzrokiem po zebranych.

– Nie dajmy im amunicji – powiedział, zmieniając ton. – Pokażmy wszystkim przemądrzałym kutasom, że potrafimy grać w piłkę, że nie boimy się nikogo, że gotowi jesteśmy gryźć trawę, byleby nie zawieść naszych kibiców. Udowodnijmy, że grubo się mylili, tak wcześnie nas przekreślając.

Rozległo się kilka bojowych okrzyków i trochę oklasków.

– Wiem, że nie poszło nam tak, jak sobie to planowaliśmy. Ale zaczynaliśmy od zera, w samym środku sezonu. Bez przygotowania, nie znając ani siebie nawzajem, ani warunków, w jakich przyszło nam budować drużynę. W tych okolicznościach nie powinno się od nas wymagać wyników. I chyba nikt o zdrowych zmysłach tego nie robił. A mimo to wyszliście na pierwszy mecz, jakbyście mieli przeorać rywala. Pewni siebie, butni, pełni tej skurwysyńskiej energii, dzięki której wygrywa się spotkania. Chcę to zobaczyć jeszcze raz!

Kilka osób zaczęło tupać, podniosła się niewielka wrzawa.

– W dupie mam wynik – dodał Krygier. – Chuj mnie obchodzi, ile bramek strzelicie i ile puścicie. Jebał to pies, tak samo jak moją przyszłość w klubie. Nie tu jest piłka pogrzebana.

Witek zaczął chodzić między zawodnikami i spoglądał na nich z góry.

– To wszystko sprawy drugorzędne. Istotne jest dla mnie to, żebyście dali z siebie wszystko, żebyście zostawili na tej murawie płuca i żebyście nie odpuszczali ani na sekundę. Walczcie o każdą piłkę, nie dajcie się przepchnąć, nie odpuszczajcie żadnego podania ani strzału. Ani na moment nie zapominajcie, że macie, kurwa, zdemolować przeciwnika!

W szatni robiło się coraz głośniejsze, a Witek czuł, że osiąga dokładnie to, czego nie udało mu się wykrzesać z tych zawodników wcześniej. Wolę walki.

– Macie być, kurwa, niezniszczalni! – krzyknął. – Chcę widzieć krew, pot i łzy! Chcę widzieć, jak ich miażdżycie, jak leżą na murawie i błagają o litość! Roznieście ich, kurwa, w pył!

W końcu podniósł się tumult, o który Krygier zabiegał.

– Rewera, Rewera! – zaintonował ktoś.

Piłkarze zerwali się na równe nogi, zaczęli dołączać do okrzyków i robić taki duży hałas, że musiał być słyszalny w szatni gospodarzy. Witek miał to, czego potrzebował.

Prawda była jednak taka, że zawodnicy byli przyzwyczajeni do krzesania z siebie takich reakcji. Nawet najslabsze przemowy przedmeczowe najczęściej były kwitowane właśnie w taki sposób. Piłkarze przychodzili do szatni nabuzowani, niewiele było im trzeba. Poza tym od lat przerabiali podobne scenariusze.

Krygier nie wiedział nawet, na ile go słuchano. Podobnie było podczas odpraw, ale w gruncie rzeczy liczyło się tylko to, w jakim stanie znajdowała się ich psychika.

W tej chwili wyglądało to nie najgorzej. Każdy zespół jednak wychodzi z szatni gotów do walki – jeśli jest inaczej, przegrywa jeszcze przed wkroczeniem na boisko.

Trudno jednak utrzymać ten bojowy nastrój przez całe spotkanie. Szczególnie kiedy zaczyna iść źle, zawodnicy rozkładają ręce, siadają bezradnie na murawie albo zaczynają mieć pretensje do kolegów. Drużyna przeciwna od razu nabiera wiatru w żagle i trudno ją zatrzymać, jeśli ma się słabą psychikę.

Tym razem tak nie będzie, zapewnił się w duchu Witek, po czym razem ze swoimi podopiecznymi wzniósł okrzyk będący mottem Rewery Opole od momentu jej założenia:

– Siła w jedności!

Potem wszyscy ruszyli na korytarz.

Czekali przez jakiś czas w tunelu, słysząc skandowanie na trybunach. Kibiców z Opola przyjechało niemało, zdawali się robić hałas nawet większy niż

gospodarze. Piłkarze podstawowej jedenastki, stojący z przodu, widzieli już murawę, Krygier trzymał się z tyłu, razem z rezerwowymi.

Przeciwników jeszcze nie było, najwyraźniej odprawa przedmeczowa trwała u nich nieco dłużej. A może po prostu się nie spieszyli. Tymczasem dzieciaki w koszulkach obydwu drużyn były już na miejscu, ustawione obok piłkarzy podstawowej jedenastki.

Od jednego do drugiego zawodnika leniwie przechadzał się jeden z sędziów, od niechcienia sprawdzając ich korki.

Witek zerknął na Benhardta, który stał tuż obok.

– I jak? – rzucił.

Adam pokręcił głową z niedowierzaniem, a potem uniósł wzrok. Tumult był tak duży, że wydawało się, jakby rzędy siedzeń znajdujące się nad nimi miały za moment się zawalić.

– Nierealne – odparł.

– Przyzwyczajaj się. Jest u nas trochę stadionów dwa razy pojemniejszych niż ten, nie wspominając już o Narodowym.

– Narodowym?

– Chcesz chyba grać kiedyś w kadrze, nie? – odparł z uśmiechem Krygier.

Być może dziki entuzjazm piłkarzy udzielił mu się nadto, ale po prawdzie nie mógł wykluczyć takiej ewentualności. Ostatecznie wszystko zależało od tego chłopaka. Jeśli miał w sobie na tyle determinacji, by szybko nadrobić stracony czas, być może kiedyś uda mu się przywdziać koszulkę z orłem na piersi.

– Nawet nie zagrałem jeszcze w lidze – zauważył.

Witek prychnął.

– W ten sposób starasz się wybadać, czy cię wpuszczę?

– A pan by tego na moim miejscu nie zrobił?

Krygier klepnął go w plecy.

– Pamiętaj, że Ronaldo był na wszystkich meczach reprezentacji Brazylii, kiedy w dziewięćdziesiątym czwartym zdobyła mistrzostwo świata. I nie zagrał tam ani minuty.

– Mhm.

– Z ławki też można wnieść wkład. I ty dziś właśnie to robisz.

Witkowi wydawało się, że nic więcej nie musi dodawać. Nigdy nie pozwolił chłopakowi sądzić, że wystawi go w pierwszym składzie ani że wejdzie na murawę w trakcie meczu. Meler miał trochę racji, twierdząc, że nie jest gotowy. Ale nie oznaczało to, że nie mógł zrobić różnicy.

Krygier obejrzał się przez ramię, szukając wzrokiem córki. Kalina stała z boku, oczywiście z komórką w ręce. Kręciła wprawdzie rozmawiających ze sobą członków drużyny, ale raz po raz zerknęła na Benhardta. Zdawała się nie dostrzegać, że jej ojciec stoi tuż obok.

Witek wychwytał, że Ben też na nią patrzy. Przez moment miał wrażenie, jakby młodzi prowadzili ze sobą konwersację bez słów.

Nagle coś z przodu drgnęło, a piłkarze ruszyli przed siebie. Witek opuścił tunel chwilę później i od razu skierował się ku ławce trenerskiej. Obserwował, jak jego zawodnicy witają się z przeciwnikami i sędziami, a potem kapitanowie uczestniczą w losowaniu.

Na stadionie niemal od razu podniosła się wrzawa.

– Mamy najlepszych kibiców – rozległ się głos Benhardta.

– Hm?

– Inni dawno ułożyliby obelżywe przyśpiewki po takiej serii porażek.

Krygier zerknął na ekran, na którym właśnie pokazywano zbliżenie na trybuny. Chłopak miał rację. Zwolennicy Rewery Opole pokazali daleko idącą ufność w to, że klubowi uda się odbić od dna. I należał im się za to najwyższy szacunek.

Czy uda im się ich nie zawieść? W teorii wszystko jawiło się w niezbyt kolorowych barwach. Nie doszło do żadnego przełomu, w głowach piłkarzy nie przeskoczyła żadna zapadka. Na dobrą sprawę jedyne, co się zmieniło, to obecność młodego, utalentowanego zawodnika na ławce. No i garnitur.

Krygierowi przeszło przez myśl, że jeśli przerzną, żartem o ubraniu się do trumny nie będzie końca.

Nie miał jednak czasu się nad tym zastanowić, gdyż rozległ się pierwszy gwizdek. Zaczynała ekipa gospodarzy – i widać było od razu, że nie mają zamiaru stosować taryfy ulgowej.

Ruszyli do ataku właściwie od pierwszej akcji. Zawodnicy Witka grali wysoki pressing, ale bezskutecznie. Nie udało im się przeciąć żadnego podania albo choćby zbliżyć się do odzyskania piłki.

Gryf Gliwice przeprowadzał akcje pozycyjne jedna za drugą, stopniowo zbliżając się do bramki opolan na coraz mniejszą odległość.

Przy jednej z takich okazji piłka powędrowała na lewe skrzydło, które Krygier nieco odpuścił, jako że grał tam znacznie słabszy zawodnik niż na prawym.

Najwyraźniej jednak popełnił błąd, bo gdy skrzydłowy dostał podanie, kiwnął jednego z obrońców i zszedł w kierunku bramki. Środkowy defensor Rewery

natychmiast do niego ruszył, a ten zrobił to, czego Witek się obawiał.

Odczekał tylko na tyle długo, by w szeregu opolan zrobiła się dziura, po czym oddał piłkę nabiegającemu pomocnikowi.

Ten minął bez większego trudu Gaudiego, który w tej chwili robił za obrońcę, i znalazł się sam na sam z bramkarzem.

Strzał nie był mocny, ale dobrze plasowany. Piłka poleciała dołem, w stronę krótkiego słupka. Golkiper nie miał dużo czasu na reakcję, mimo to rzucił się w tamtym kierunku, jakby przyciągany jakimś przemożnym magnesem.

Na próżno. Futbolówka wpadła do siatki w dziesiątej minucie meczu.

– Kurwa mać... – syknął Krygier bardziej do siebie niż do kogoś innego, na stadionie bowiem podniósł się tumult tak duży, że nawet na ławce nie dosłyszano jego słów.

Kiedy piłkarze Rewery Opole zaczęli od środka, niemal natychmiast stało się jasne, że ich kręgosłup został przetrącony, a przeciwnicy dostali wiatru w żagle. Gliwiczanie atakowali zaciekle, zupełnie jakby uznali, że druga strona leży już na macie i czeka tylko, aż sędzia odliczy.

Gryf miał miażdżącą przewagę w posiadaniu piłki, a kanonada strzałów trwała, jakby zamierzali roznieść opolską drużynę w pył. Po którejś akcji zazwyczaj spokojny Witek poderwał się na równe nogi i wyszedł na skraj prostokąta przy linii bocznej, po którym mógł się poruszać.

– Rebus! – krzyknął ile sił w płucach.

Antek Rebski rozejrzał się, jakby przez moment nie mógł namierzyć, skąd nadchodzi wołanie. Kiedy wreszcie zogniskował spojrzenie na trenerze, ten wykonał kilka ruchów rękoma, sugerując, żeby nie gubił piłkarza, do którego krycia został przypisany.

Potem Krygier wydał jeszcze kilka innych komend. Starał się robić to tak, by piłkarze poczuli, że jest jeszcze szansa na uratowanie tego meczu. Widział jednak na ich twarzach, że po pierwsze odpuścili, a po drugie są pogodzeni z losem.

Chwilę później piłka wyszła na rzut z autu niedaleko miejsca, gdzie znajdował się Witek. Natychmiast skorzystał z okazji.

– Panowie, do przodu, kurwa! – krzyknął, pokazując połowę przeciwnika. – Pressing! Cisnąć ich!

Kilku piłkarzy pokiwało głowami, sapiąc głośno. Byli złani potem, widać było, że kiedy wybrzmi ostatni gwizdek, każdemu będzie można zapisać na koncie ponad dziesięć przebiegniętych kilometrów.

Starali się, tego Witek nie mógł im odmówić. Problem polegał na tym, że podchodzili do tego z obawą, której nie powinni mieć. I która była destrukcyjna dla ich morale.

Przeciwnik zaś poczuł krew i nie miał zamiaru odpuszczać.

Jedna kontra.

Tyle czasem wystarczy, by odbudować się po takiej nawałnicy i odwrócić układ sił. Choćby na tyle, by wymieniać się ciosami, a nie być tym, który jest nieustannie okładany.

Wystarczyło jedno dobre wybicie, szybkie przeniesienie gry na połowę przeciwnika, trochę szczęścia.

Na razie jednak im go brakowało – przynajmniej w ofensywie. Nie licząc bowiem gola, w obronie nie mogli narzekać na jego deficyt. Futbolówka kilkakrotnie mijiała światło bramki o centymetry, a w sektorze kibiców gospodarzy rozlegał się jęk zawodu.

W trzydziestej ósmej minucie po strzale po ziemi z niewielkiej odległości piłka odbiła się od nóg bramkarza, a potem uderzyła w słupek i wyszła na rzut różny.

Bramka wisiała w powietrzu, nie mogło być co do tego najmniejszych wątpliwości.

Witek spojrzał na zegarek, a potem na wyświetlacz stadionowy. Zaklął pod nosem.

– Jeszcze chwila – odezwał się Meler. – Niech dociągną do połowy, potem wszystko może się zdarzyć.

Miał rację. Już nie z takich opresji wychodziło się w piłce nożnej, czasem wystarczała minuta lub dwie. A im bliżej końca pierwszej połowy, tym bardziej zdekoncentrowany w obronie stanie się przeciwnik. Zacznie wywierać coraz większą presję, chcąc zdobyć gola do szatni i przypieczętować sprawę jeszcze przed przerwą.

Tak też się stało – i tym razem szczęście dopisało nieco zawodnikom Rewery. W doliczonym czasie gry jeden z przeciwników zgubił piłkę w trakcie dryblingu, odzyskał ją Gaudi, rozejrzał się, a potem posłał długie podanie do czekającego na środku boiska Gregora.

Ten przyjął futbolówkę i natychmiast ruszył w stronę bramki Gryfa Gliwice. Pędził jak szalony, mając pełną świadomość, że to właśnie ten moment, który może odmienić losy spotkania.

Dotarł do pola karnego, przepychając się ramię w ramię z kryjącym go obrońcą.

Krygier znów poderwał się z ławki i podszedł do brzegu boiska. Gdyby mógł, sam wpadłby na murawę i wsparł Gregora. Koledzy pędzili mu w sukurs, ale równie szybcy byli ci z drużyny przeciwnej.

Sfauluj go, prosił w duchu Witek, licząc na karnego tuż przed tym, jak sędzia gwizdnie na przerwę.

Szpeja był już przed polem karnym. Biegł zbyt szybko, by mieć wielki wybór co do tego, jak się zachować. Oddał strzał bez większego zamachu, licząc na to, że uda mu się balansem ciała zmylić nieco golkipera.

Piłka pomknęła w kierunku dalekiego słupka.

Uderzenie było jednak zbyt słabe i zbyt przewidywalne. Bramkarz rzucił się w tamtą stronę i bez trudu je sparował. Nie kalkulował, nie starał się odbić tak, by futbolówka trafiła pod nogi kolegi – a jednak tak się stało.

Defensor Gryfa zareagował wzorowo i zamiast spanikować, rozejrzał się i posłał piłkę do znajdujących się z przodu kolegów z zespołu. Odpowiedź na nieudaną kontrę była błyskawiczna. Gospodarze wymienili raptem trzy podania, zanim gra przeniosła się z powrotem na pole karne opolan.

Piłka trafiła pod nogi jednego z napastników, ten zamarkował strzał, po czym oddał ją koledze znajdującemu się na lepszej pozycji. Zdobycie gola było dla niego tylko formalnością.

Obaj ruszyli w kierunku narożnika, wysoko unosząc ręce i ciesząc się z przypieczętowania sprawy.

Moment później rozległ się gwizdek, obydwie drużyny zaczęły schodzić do szatni. Witek utkwiał wzrok w Gregorze, który stał na środku boiska zgięty wpół, z rękoma na kolanach. Miał świadomość, że mógł zawalić nie tylko strzał, ale także cały mecz.

– Panie trenerze... – odezwał się Benhardt.

Krygier zerknął na niego ostrzegawczo, bo nawet niedoświadczony piłkarz powinien zdawać sobie sprawę, że żadne sugestie na nic się nie zdadzą.

Adam jednak wyraźnie nie miał zamiaru odpuszczać.

– Niech mi pan da szansę – dodał.

Witek nie wiedział nawet, co odpowiedzieć. Nie miał czasu na zajmowanie się takimi rzeczami, właściwie w ogóle nie myślał o tym, że ma młodego na ławce. Rozwodził inne zmiany, przede wszystkim w środkowej formacji.

– Potrzebujemy jakiegoś impulsu, a...

– Jak będziesz miał wejść, to się dowiesz – uciął.

Ton głosu miał na tyle stanowczy, że Ben odpuścił. Chwilę później wszyscy w minorowych nastrojach szli tunelem, w którym pobrzmiwały wesołe

przyśpiewki kibiców Gryfa. Piłkarze tego zespołu też stwarzali jasne wrażenie triumfatorów.

Kiedy drzwi szatni się zamknęły, Krygier nie miał gotowej przemowy. Zaczął układać coś w głowie, ale miało to sens przy przegrywaniu jeden do zera. Teraz sytuacja była inna.

– Okej... – rzucił. – Wiem, jak to dla was wygląda, bo nie trzeba jasnowidza, żeby wejrzeć wam do głów. Widać wszystko jak na dłoni. Te przybite spojrzenia, smutne wyrazy twarzy, snucie się po murawie. Kurwa! Ludzie, co wy robicie?

Rozłożył ręce i powiódł wzrokiem po piłkarzach. Ci, którzy jeszcze nie opuścili głowy, teraz to zrobili.

– Mieliście wejść w ten mecz na pełnej kurwie, co się stało?

Nikt nie spieszył się z odpowiedzią.

– Zamiast tego po paru minutach byliście jak mimozy, które tylko proszą się o to, żeby je atakować. A tamci ochoczo z tego skorzystali, zresztą możecie im się dziwić? Ja, widząc tak zrezygnowanego przeciwnika, zrobiłbym na ich miejscu dużo więcej, żeby go dobić. I to wszystko na wasze własne życzenie. Nie wydarzyło się tam nic, co by to usprawiedliwiało. Nic. Mecz był otwarty, obydwie strony radziły sobie tak samo. A potem postanowiliście być cipami.

Krygier nabrał głęboko tchu. Musiał trochę ich zrugać, by się otrząsnęli – nie mógł jednak przesadzać, inaczej wpędziłby ich w jeszcze większy marazm.

– Chuj z pierwszą połową – rzucił. – Nie ma znaczenia. Już nie takie straty odrabiało się w ciągu paru minut, a my mamy ich ponad czterdzieści pięć. I możemy ten mecz wygrać, Gryf Gliwice to nie żaden goliat. Gdybyście chcieli, gdybyście naprawdę chcieli, roznieślibyście ich w pył.

– Zgadza się – odezwał się asystent trenera.

Witek skinął do niego głową.

– Obserwujemy was na treningach, wiemy, na ile was stać – uzupełnił. – Wasz problem nie polega na braku umiejętności, leży w psychice. Jedyne, czego potrzebujecie, to wola walki. A jej nikt z was nie wykrzesa, jeśli sami tego nie zrobicie.

Krygier jeszcze raz powiódł wzrokiem po swoich podopiecznych, a potem uznał, że czas na szybką analizę taktyczną. Przysunął tablicę na kółkach i przez chwilę przedstawiał im najważniejsze rzeczy, które były do poprawy, i słabe punkty, które wraz z Przemysławem wychwycili w trakcie meczu.

– Będzie jedna zmiana – odezwał się na koniec Witek.

Kątem oka zobaczył, że Benhardt drgnął. Chciałby dać szansę temu chłopakowi, ale nie w takim meczu, nie o taką stawkę. Fizycznie być może

zbliżał się już do bycia gotowym, psychicznie jednak siadłby zaraz po wejściu na murawę. Presja byłaby zbyt duża.

Zmiana dotyczyła pivota grającego obok Gaudiego. Krygier postanowił wprowadzić tam zawodnika nastawionego bardziej ofensywnie i wzmocnić nieco siłę ataku.

– Pamiętajcie, że nie traficie stu procent strzałów, których nie oddacie – powiedział. – Musimy atakować, musimy ich przycisnąć.

Witek się zawahał, a potem sięgnął do torby podróżnej, którą miał ze sobą. W środku znajdował się niewielki głośnik bluetooth.

Właściwie nie planował tego robić, uznając, że być może przyniesie to skutek odwrotny do zamierzonego, ale trudno. Postawił sprzęt grający na środku szatni, a potem uruchomił.

Zawodnicy patrzyli na niego z wyraźną rezerwą.

– To wprawdzie kawałek z osiemdziesiątego czwartego, ale zawsze mnie niósł – oznajmił Krygier.

Kliknął odpowiednią pozycję na Spotify, po czym z głośnika rozbrzmiały głośne dźwięki numeru The Warrior zespołu Scandal.

Pierwsze takty wywołały wśród zebranych jedynie konsternację. Witek stał na środku, przyglądając się ich reakcji. Im dłużej trwała piosenka, tym bardziej zmieniały się ich twarze.

– Da pan głośniejsz, trenerze – rzucił w pewnym momencie Gaudi.

Krygier nie zwlekał ani chwili i podkręcił niemal na maksa. Przy drugim refrenie widział już, że osiągnął zamierzony efekt. Z twarzy podopiecznych zniknęło przybicie i pojawiło się na nich coś, co dobrze znał.

Muzyka podniosła ich z kolan.

Mimo że miała wyraźny sznyt lat osiemdziesiątych, nieprzystający do obecnych hitów, to, do kurwy nędzy, podniosła ich.

– Jesteście w stanie zdewastować przeciwnika – rzucił Witek. – Uwierzcie w siebie chociaż na jebany kwadrans! Gwarantuję wam, że jak tylko to się stanie, Gryf Gliwice będzie jęczał i błagał o litość!

Moment później wybiła pora, kiedy mieli opuścić szatnię. Krygier nie wiedział, na ile udało mu się przy muzycznym wsparciu Scandalu osiągnąć zamierzony efekt. Naraz jednak rozległy się bojowe okrzyki, piłkarze klepali się po plecach i zagrzewali do walki. Kiedy stanęli w tunelu, sprawiali wrażenie, jakby mieli zamiar tu i teraz roznieść przeciwnika.

Witek trzymał się z tyłu. Nagle poczuł, że ktoś delikatnie dotyka jego pleców, i obejrzał się przez ramię. Córka stała z telefonem w ręce, chyba nie bardzo

wiedząc, co powinna począć.

– Nagrałam to – oznajmiła.

– Aha.

– I nie wiem, czy wrzucać.

– Bo?

– Bo trochę krindżuwa.

– Warriora uważasz za krindżuwę? – burknął Krygier. – Zlecam testy DNA.

– Po prostu...

– Twoja matka wydawała się wierna, ale widzę, że mogła mieć jakiś skok w bok.

Kalina uniosła bezradnie oczy, jakby musiała zmagać się z wyjątkowo niesfornym dzieckiem, a nie własnym ojcem.

– Nie mogłeś im puścić czegoś bardziej w ich klimacie? – spytała cicho.

– Na przykład czego?

– Nie wiem. Pewnie słuchają jakiegoś Białasa, Żabsona albo Kiza.

– Ale ja nie.

– Tyle że to nie ty grasz – zauważyła całkiem sensownie Kala.

Witek nabrał głęboko tchu, a potem lekko się uśmiechnął, co w tych okolicznościach właściwie zaskoczyło nawet jego samego. Stał na krawędzi przepaści. Przegrywał dwa do zera, zasadniczo cementując swój los.

Przy takim wyniku wyleci na zbity pysk jeszcze dzisiaj, a nie było gwarancji, że ten jeszcze się nie pogorszy. Komentatorzy z pewnością zgadzali się co do tego, że jeśli jakakolwiek zmiana nastąpi, to właśnie w tym kierunku, nie odwrotnym.

– Coś cię cieszy? – spytała Kalina.

– To, że spodobało im się.

– Hę?

– W sumie mnie to nie dziwi. Warrior jest top.

– Chyba top rozumiany od dołu.

Witek machnął ręką.

– Nie widziałaś, jak ich poniósł? – rzucił.

Dziewczyna zawahała się przed udzieleniem odpowiedzi, a minę miała taką, jakby nie chciała wbijać noża prosto w ojcowskie serce. Zamiast tego zerknęła w kierunku rezerwowych.

Krygier doskonale wiedział, co oznaczało to spojrzenie.

– Nie dźwignie tego – oznajmił.

– Dźwignie. Pokazał ci już, że jak tylko upada, natychmiast się podnosi i walczy dalej.

– Nie – odparł. – Pokazał mi, jak działa bez presji, bez kilkudziesięciu tysięcy gardeł krzyczących wniebogłosy i bez przeciwników, którzy rzucają się na niego jak sępy. To nie ten moment, Kala.

– A ja ci mówię, że ten.

– To złóż CV do zarządu Rewery po tym, jak mnie wyjebią.

– Jak wprowadzisz Bena i wygrasz, to cię nie wyjebią.

– Nie przeklinaj – odburknął Witek i wbił wzrok przed siebie.

Kalina uniosła lekko ręce w przeproszającym geście.

– Tylko mówię – odparła, a potem wycofała się ze wzrokiem utkwionym w ekran komórki.

Jeśli puści ten filmik do sieci, reakcje mogą być skrajne. Ostatecznie jednak wszystko będzie zależało od tego, jaki okaże się wynik spotkania. Kawalek Scandalu mógł okazać się zarówno nowym hitem w social media, jak i cringe’owym memento upadku zmierzającego ku otchłani klubu.

Zaraz potem wyszli na murawę.

14

Stadion miejski, Gliwice

Kalina usiadła na ławce trenerskiej obok ojca, mimo że formalnie nie zajmowała w klubie żadnego stanowiska. Wcześniej miałby być może opory, by wygospodarować jej tu miejsce – teraz jednak nie miało to już żadnego znaczenia.

Dokonał w przerwie jednej zmiany, która sama w sobie nie mogła sprowadzić cudu, którego potrzebowali. Ale istniała szansa, że rozmowa w szatni ich do niego przybliży.

Zaczęli dobrze, nie pozwalając zepchnąć się do defensywy i odważnie atakując bramkę przeciwnika. Gregor dwoił się i troił, wychodził na pozycje i Kalina musiała obiektywnie przyznać, że nie zasługiwał na to, by zostać zmieniony.

Witek szturchnął swojego asystenta i wskazał mu szalejącego w polu karnym zawodnika.

– Widzisz? – rzucił.

– Co?

– Grałby tak, gdyby Benhardta nie było na ławce?

Przemysław odburknął coś, ale Kala nie dosłyszała nawet co. Wątek natychmiast się urwał, bo obaj zajęli się tym, co działo się pod bramką.

Szpeja minął jednego z obrońców, oddał piłkę nabiegającemu Sandauerowi, a ten huknął z parunastu metrów. Futbolówka przemknęła tuż nad poprzeczką, a na stadionie rozległ się jęk zawodu.

Witek jednak poderwał się i zaczął zagrzewać swoich zawodników do walki.

– Dawać! – krzyknął. – O to chodzi!

Kala mimowolnie spojrzała na siedzącego kilka miejsc obok Adama. Paru piłkarzy się pochyliło, on opierał się plecami o pleksiglas. Nie zauważył nawet, że dziewczyna na niego patrzy. Był całkowicie skupiony na grze i sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz wyrwać się na boisko.

Jego wzrok przesuwiał się nie tylko za piłką, ale też za ustawieniem drużyny przeciwnej. Analizował wszystko, co działo się na płycie stadionu.

Krygier dalej wołał do swoich zawodników, by nie przerywali ataku, a ci najwyraźniej dostali wiatru w żagle. Przeprowadzali kolejną ofensywną akcję, ale niecelne podanie jednego ze skrzydłowych sprawiło, że Gryf Gliwice odzyskał piłkę.

– Nie, kurwa, nie... – usłyszała Kala od któregoś z rezerwowych.

Kontra ruszyła natychmiast. Jedno długie podanie zastało napastnika niemalże niekrytego. Ten przyjął piłkę, obrócił się i z łatwością wymanewrował znajdującego się nieopodal obrońcę z Opola.

Zaraz potem znalazł się przed bramką, ale niespodziewanie został powstrzymany przez powracającego w pełnym pędzie Gaudiego. Futbolówka przez moment była niczyja i istniała szansa, że uda się ją odzyskać.

Szybszy był jednak zawodnik Gryfa. Oddał ją jednemu z biegnących ku bramce zawodników, a ten przytrzymał chwilę, po czym podał na skrzydło. Pomocnik zamarkował dośrodkowanie, zrobił kiwkę, po czym wrzucił piłkę w pole karne Rewery Opole.

Kilku piłkarzy wyskoczyło, a bramkarz starał się przeciąć centrę. Na próżno. Uprzedził go jeden z rosłych obrońców z Gliwic, który musnął lekko piłkę głową, a ta poszybowała prosto do bramki.

Stojący przy linii bocznej Witek rozłożył ręce, a potem obrócił się tyłem do murawy.

Zero do trzech.

Powtórka z rozrywki. Zawodnicy zanotowali dobry początek, a potem popełnili głupie błędy i wystawili się na karę na własne życzenie.

Mijały kolejne minuty, wynik się nie zmieniał. Mecz stawał się jednak coraz bardziej wyrównany i widać było, że piłkarze Rewery mimo tego lania odnaleźli w sobie nowe siły. Atakowali bez pardonu, ale czasem brakowało szczęścia, czasem doświadczenia.

Witek stał cały czas przy linii bocznej, Kala widziała wyłącznie jego plecy. Miała świadomość, co dzieje się teraz w głowie ojca. Dobiegała siedemdziesiąta dziewiąta minuta meczu, nie było już najmniejszych szans, by odmienić losy tylko spotkania.

Musiał pożegnać się z pracą i perspektywą zrobienia z tych chłopaków monolitu, o którym marzył. I którym, jak sądził, potrafili się stać.

Spełnił swoje zadanie, przyjął na swoje barki najgorszy okres po wypadku autokaru, kiedy nawet najlepsi szkoleniowcy na świecie z pewnością nie poradziliby sobie dużo lepiej. Władze klubu pożegnają go bez choćby krótkiego wahania.

Kiedy się obrócił, Kalina zobaczyła głęboką rezygnację na jego twarzy. Potwierdzała wszystko to, o czym myślała.

– Nie wszystko stracone – odezwała się, próbując wymusić choćby lekki uśmiech.

Przychodziło jej to z trudem, ojciec zaś nawet nie próbował. Owszem, w normalnych okolicznościach mógłby liczyć na jakiś cud w ostatnich minutach. Potrzeba było jednak do niego solidnej, zgranej i mocnej psychicznie drużyny. Tylko takie potrafiły urządzić przeciwnikom horror w końcówce meczu.

Stanął przed Kalą i głęboko westchnął. Otworzył usta, a jej przeszło przez myśl, że chce powiedzieć, by nie kręciła tego, co stanie się za dziesięć minut z okładem.

Zamiast tego przeniósł jednak wzrok na jednego z piłkarzy na ławce, a kiedy Kalina zrozumiała na którego, przeszły ją ciarki.

Była osiemdziesiąta minuta meczu.

– Benhardt – rzucił trener. – Wchodzisz.

Ben nigdy nie zrobił tak szybkiej rozgrzewki jak teraz. W mig był gotowy i stał przy arbitrze technicznym, czekając, aż główny da znać, że można dokonać zmiany.

W końcu tak się stało. Stojący obok mężczyzna uniósł wyświetlacz, który na czerwono pokazywał numer jednego z obrońców.

Na zielono zaś liczbę „15”.

Defensor szybko zbiegł z boiska i przybił piątkę z wchodzącym Adamem. Ten schylił się i przesunął dłonią po murawie, po czym pobiegł do przodu, wydając kolegom z zespołu kilka instrukcji, które przekazał mu trener.

Nawet bez tego sytuacja była jednak czytelna. Zmiana obrońcy na napastnika wysyłała jasny sygnał, nie tylko do nich, ale także do przeciwników.

Ostatnie dziesięć minut miało być szaleńczym atakiem.

Benhardt zatrzymał się obok Gregora i lekko skinął do niego głową. Nigdy nie ćwiczyli ustawienia, w którym mieli teraz grać, ale wydawało się to najmniejszym problemem.

– Nie wpierdalaj mi się w paradę – odezwał się Szpeja.

– Że co?

– To, co słyszałeś.

Adam potrząsnął głową.

– Trener chce, żebyś był fałszywą dziewiątką – oznajmił szybko, widząc, że bramkarz drużyny przeciwnej zbiera się do wznowienia gry. – Ściągniesz na siebie obrońców, a ja...

– Nie ma chuja.

Benhardt zacisnął usta i zrobił wszystko, by nie wdawać się w bezsensowne sprzeczki.

– Nie wiedzą, kim jestem, ledwo kojarzą, na jakiej konkretnie pozycji gram – rzucił. – Mogę zrobić różnicę, ale tylko jeśli nadal będą skupiać się na tobie.

Gregor nie odpowiedział. Odbiegł do przodu, zajmując swoją wcześniejszą pozycję.

Trudno było stwierdzić, czy była to aprobata dla całkiem sensownego pomysłu, czy może wprost przeciwnie.

Adam rozejrzał się niepewnie. Dopiero teraz miał moment na wzięcie oddechu i uświadomienie sobie, co się dzieje. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi na trybunach na niego patrzyło, część z pewnością zachodziła w głowę, kim w ogóle jest ten chłopak.

Wrzawa była niesamowita, murawa pod nogami zdawała się trząść. Hałasowali jednak wyłącznie kibice gospodarzy, przyjezdni nie mieli ku temu

powodów. Ben dostrzegł, że część ich sektorów już zaczęła się opróżniać.

Boże, naprawdę debiutował w lidze. Nie były to może idealne okoliczności ani wymarzony moment, ale nie miało to żadnego znaczenia. Był zawzięty, by przez te dziesięć minut pokazać, na co go stać.

Na sekundę zamknął oczy, starając się odciąć od całego tego szaleńczego zgiełku. W głowie usłyszał dźwięki kawałka, który Krygier puszczał im w przerwie. Starał się skupić tylko na tym.

Bramkarz Gryfa posłał długą piłkę pod pole karne opolan, a Benhardt natychmiast ruszył w tamtym kierunku, by włączyć się w akcję defensywną i jak najszybciej skutecznym pressingiem odzyskać inicjatywę.

Naraz jednak się zatrzymał, widząc, że z dwóch piłkarzy skaczących do futbolówki to ten w pomarańczowo-białej koszulce wygrał starcie. Piłka trafiła pod nogi Gaudiego, który szybko się rozejrzał i posłał ją w stronę Bena.

Adam przyjął niepewnie, jakby po raz pierwszy w życiu to zrobił. Miał wrażenie, że nogi mu się trzęsą, a futbolówka nie chce się go słuchać. Mimo to udało mu się ruszyć z nią ku połowie przeciwnika.

Miał przed sobą jednego z gliwickich piłkarzy, ale zanim zdążył do niego dobiec, został nagle staranowany przez innego. Kontakt był czysty, siła jednak tak duża, że Ben zatoczył się na bok, gubiąc piłkę.

Szansa na kontrę bezpowrotnie przepadła, zawodnicy Gryfa zaczęli spokojnie rozgrywać między sobą, świadomi, że nie warto pod koniec meczu niepotrzebnie ryzykować, nawet przy tak dużym prowadzeniu.

– Kurwa mać, ogarnij się – rzucił pod nosem Gregor, przebiegając obok Bena.

Adam popędził za nim, by wesprzeć środkową formację. Po chwili piłka wyszła na aut dla Rewery, a on zatrzymał się i rzucił okiem w kierunku ławki trenerskiej.

Krygier wymieniał jakieś ciche uwagi ze swoim asystentem, najpewniej na jego temat. Niepewnym przyjęciem i niedoświadczeniem sprawił, że stracili szansę na kontratak, który w tej chwili był na wagę złota. Czy już pożałowali, że go wpuścili?

Benhardt dostrzegł także Kalę. Patrzyła prosto na niego, wyzywająco, i sprawiała wrażenie, jakby chciała go do czegoś sprowokować. Jakby mówiła: jeśli rzeczywiście cię na coś stać, pokaż to.

Powiódł wzrokiem po boisku, a potem spróbował urwać się kryjącemu go obrońcy, kiedy jeden z zawodników przygotowywał się do wyrzutu piłki zza linii bocznej.

Ta trafiła pod nogi Sandauera, który niemal od razu ruszył z nią do przodu. Cała drużyna jak na sygnał zrobiła to samo, zostawiając tyły całkowicie odkryte.

W tej chwili nie mieli już innego wyboru. I każdy zdawał sobie z tego sprawę.

Przegrana trzy lub cztery do zera nie robiła wielkiej różnicy. Ale bramka honorowa jak najbardziej. Szczególnie że jeszcze w żadnym meczu nie udało im się trafić do siatki.

Kiedy gra przeniosła się pod pole karne przeciwnika, jeden z pomocników rozejrzał się, a potem podał w tempo do Gregora. Ten nacierał na bramkę, koncentrując na sobie uwagę większości defensorów.

Adam trzymał się tuż obok, niemal niekryty.

Podaj, do kurwy nędzy, mówił w głowie.

Nie miał jednak złudzeń, że Szpeja będzie chciał wykończyć tę akcję samodzielnie, mimo że był na niezbyt dobrej pozycji, a Ben wprost przeciwnie.

Gregor zamachnął się, ale niespodziewanie okazało się, że tylko markuje strzał. Podbił lekko piłkę, podając w prawo.

Obrońcy nie połapali się w porę. Futbolówka leciała w powietrzu w kierunku stojącego na skraju pola karnego Adama.

Ten nie zastanawiał się ani przez sekundę.

Miał wrażenie, że ktoś podejmuje decyzję za niego, a w dodatku steruje jego ciałem. Złożył się do strzału z woleja z pierwszej piłki, przechylając tak, że nieomal stracił równowagę.

Wziął zamach, a potem przywalił w powietrzu w futbolówkę. Bomba pomknęła w kierunku bramki gliwiczian i przez moment wydawało się, że strzał został źle wymierzony, a piłka odbije się od poprzeczki.

Uderzyła w nią, ale jedynie w dolną część. Huknęła w ziemię tuż za linią bramkową, a potem odbiła się z impetem w kierunku siatki.

Benhardt miał wrażenie, że na ułamek sekundy cały stadion zamarł.

Potem nastąpiła wprost obezwładniająca eksplozja radości. Kibice zerwali się ze swoich miejsc, zdzierając sobie gardła, na ławce trenerskiej nikt nie siedział. Zawodnicy Rewery rzucili się na Bena, zanim ten zdążył zorientować się, co się dzieje.

Otoczyli go tak szczelnie, że niemal nie słyszał wiwatów na trybunach. Klepali go mocno po plecach, krzyczeli coś do niego. On jednak nic nie rozumiał. Było to przedziwne, narkotyczne uniesienie, którego nie potrafił porównać do niczego innego.

Otrząsnął się tylko na tyle, by stwierdzić, że musi to wykorzystać.

– Jedziemy, panowie! – krzyknął. – Jeszcze możemy ich rozjechać!

Okrzyk trafił na podatny grunt, wszyscy jak jeden mąż zaczęli wznosić podobne. Gregor zaś już wracał z wyniesioną z bramki futbolówką, by przeciwnik jak najprędzej mógł wznowić grę od środka boiska.

– Aleś przypierdolił – rzucił, mijając Bena.

Chyba jako jedyny go nie objął, ale trudno było się tego po nim spodziewać.

Zawodnik Gryfa ponownie rozpoczął grę, zostało raptem sześć minut do końca regulaminowego czasu gry. Przy stanie trzy do jednego nie mogło być mowy o wygranej w tak krótkim czasie, ale gdyby udało się włądować jeszcze jedną bramkę, doliczony czas byłby dla gliwiczian niezłą nerwówką.

Nie wyglądali jednak, jakby gol wyprowadził ich z równowagi. Zapas mieli odpowiednio duży, by nie przejmować się takim potknięciem.

Piłka znów zaczęła chodzić między nimi i teraz zachowywali się nieco bardziej roztropnie, marnując każdą sekundę, którą tylko mogli.

Do końca meczu pozostało jedynie pięć minut.

Benhardt biegał po boisku, jakby chciał nadrobić cały ten czas, który spędził na ławce rezerwowych. Wchodził ostrymi wślizgami, starając się odzyskać piłkę, walczył o każdy metr. Na próżno. Przeciwnicy uważali, by jej nie stracić.

Aż do momentu, gdy do końca została tylko minuta.

Antoni Rebski udaną interwencją w środkowej strefie boiska odzyskał futbolówkę, a potem nawet się nie rozglądał – podał ją w kierunku zawodnika w koszulce swojego zespołu, którego musiał widzieć kątem oka.

Trafiła prosto pod nogi Benhardta.

Znajdował się na lewym skrzydle, jakieś czterdzieści metrów od bramki. Zdecydowanie zbyt daleko, by samemu coś wskórać. Problem polegał na tym, że pozostali, łącznie z Gregorem, byli za nim.

Nie miał zamiaru spowalniać gry, nie w osiemdziesiątej dziewiątej minucie meczu.

Popędził przed siebie, nic nie robiąc sobie z tego, że trzech gliwiczian asekurowało resztę w ich strefie boiska. Natychmiast ruszyli w kierunku nacierającego na nich samotnego zawodnika Rewery.

Adam miał tylko ułamek sekundy, by skontrolować, co dzieje się za nim. Nie zamierzał popełniać drugi raz tego samego błędu i dać się ściąć z nóg powracającemu defensorowi.

Kątem oka dostrzegł kogoś w koszulce Gryfa i natychmiast zmienił kierunek, by ten nie mógł go dogonić. Oznaczało to, że wpadnie na pierwszego z obrońców, ale nie miał innego wyjścia.

Przyspieszył, licząc na to, że przejdzie go łatwiej dzięki rozpędowi. Przeciwnik był ustawiony tak, że Ben mógł zrobić właściwie tylko jedno. Kiedy znalazł się tuż przed nim, miał piłkę na prawej nodze. Trącił ją lekko w jedną stronę, jakby chciał tam pobiec, lecz zanim zdążyła odskoczyć, zagarnął ją czubkiem buta i pobiegł w przeciwnym kierunku.

Obrońca został w rozkroku, nie potrafiąc zebrać się w porę, by popędzić za Benhardtem. Dostarczyło do niego jednak dwóch kolejnych.

Ben zamarkował strzał prawą nogą, drgnęli w tamtą stronę. Przełożył piłkę na drugą i udał, że to z niej odpali petardę. Defensorzy znów połknęli haczyk. Kiedy wykonał ten sam zwód jeszcze raz, właściwie położył ich na murawie. I miał otwartą drogę do bramki.

Podniósł wzrok tylko na tak krótki moment, że obserwującym właściwie mogłoby to umknąć. Kiedy tylko zobaczył, że bramkarz wyszedł do krótkiego słupka, odgiął się w bok i huknął z całej siły na przeciwległy.

Golkiper nie drgnął, przekonany, że piłka poszybuje daleko za słupkiem. Ta jednak, odpowiednio podkrecona, zatoczyła niewielki łuk w powietrzu.

Gdy bramkarz odwracał głowę, by się upewnić, że brak interwencji był dobrą decyzją, futbolówka prześlizgała się już po wewnętrznej stronie siatki, tuż przy samym słupku.

Na trybunach nastąpiła prawdziwa eksplozja. Przy ławce trenerskiej chyba wszyscy wyrzucili ręce w górę, skacząc przy tym tak wysoko, jakby chcieli zaprzeczyć siłom fizyki.

Adam po raz kolejny nie wiedział, co się dzieje. Był zbyt oszołomiony, by w jakikolwiek sposób celebrować – choć po prawdzie i tak nie miałby okazji, został bowiem natychmiast powalony przez kolegów. Ponownie krzyczeli coś, czego nie rozumiał. Darli mu się prosto do ucha, a ciężar ich ciał był tak duży, że Benhardt miał wrażenie, jakby go sprasowali.

Kiedy się podnieśli, Gaudi podał mu rękę i mocno szarpnął w górę.

– Ale odjechałeś, człowieku – ocenił.

– Dalej! – ryknął na cały regulator Szpeja. – Dawać! Możemy to wygrać!

Jeszcze dziesięć minut temu byłaby to kompletna mrzonka. Teraz jednak, o ile sędzia doliczy kilka dobrych minut, istniała szansa nawet na taki scenariusz. Na tym polegało całe piękno sportu i zamykanie przezeń rzeczywistości w pigułce. Czasem kilka sekund dzieliło człowieka od przejścia z pełnego bezradności płaczu do bezbrzeżnej radości. I odwrotnie.

Ben biegł z powrotem na swoją połowę, obserwując twarze piłkarzy z Gliwic. Zdawali się kompletnie przytłoczeni tym, co się działo. Chyba do końca tego nie

rozumieli i sprawiali wrażenie, jakby nie byli pewni, jak postawić kolejny krok na murawie.

– Cztery minuty – odezwał się Rebus do mijającego go Adama.

Benhardt zerknął na arbitra technicznego, który unosił duży wyświetlacz z informacją o doliczonym czasie gry.

Dwieście czterdzieści sekund. Zarazem dostatecznie wiele i zatrważająco mało. Nie raz i nie dwa jednak zdarzało się w futbolu, że w takim czasie padały bramki. Był to najbardziej newralgiczny moment meczu, kiedy wszystko było możliwe.

Gliwiczanie wznowili od środka i tym razem nie mieli już zamiaru nawet pozorować próby ataku. Piłka od razu powędrowała do tyłu, kilku zawodników wymieniło się podaniami, a ostatecznie trafiła do bramkarza.

Na stadionie rozległo się głośnie buczenie, inaczej być nie mogło. Ben biegł przed siebie, ale kiedy mijał ławkę trenerską, rzucił okiem na Krygiera. Ten stał na samym krańcu swojej wydzielonej strefy, wykonując rękoma ruch sugerujący, by jego piłkarze natychmiast podeszli wyżej.

Nie trzeba było im tego dwa razy powtarzać.

W tej sytuacji Gryf Gliwice nie miał dobrego rozwiązania. Gdyby zaatakowali, narażaliby się na zabójczą kontrę. Grając jednak zachowawczo, jak teraz, pozwolili przeciwnikowi, by zablokował ich na własnej połowie, niemal w hokejowym zamku.

Zawodnicy Rewery robili, co mogli, by odzyskać piłkę, ale druga strona była zbyt ostrożna. Na tym etapie jeden niewielki błąd mógł skutkować tragedią, a gliwiczanie byli tego świadomi.

W końcu jednak nadarzyła się okazja.

Lewoskrzydłowy Gryfa dostał futbolówkę i mimowolnie wzrokiem zasygnalizował, któremu koledze ją odda. Wychwycił to Gaudi, który ruszył w ciemno przed siebie. Przy niepowodzeniu tej interwencji otwierał przeciwnikowi drogę na własną bramkę, nie miał jednak nic do stracenia.

Nie pomylił się.

Udało mu się przeciąć podanie i opanować futbolówkę. Ledwo to zrobił, powiódł wzrokiem po okolicach pola karnego, a Benhardt odniósł wrażenie, że to właśnie jego szuka.

Łukasz znajdował się zbyt daleko, by dogrywać po ziemi. Miał natomiast szansę na dośrodkowanie, z której postanowił szybko skorzystać. Podbiegł jeszcze kawałek, a potem posłał wysoką piłkę ze skrzydła w głąb pola karnego.

Była celowana prosto na głowę Bena, który wyskoczył do góry i oczyma wyobraźni widział już, gdzie dokładnie ją uderza, w jaki sposób i gdzie ta wyląduje. Z takiej odległości bramkarz nie będzie miał szans.

To ten moment, uznał. Ten moment, kiedy odwróci losy całego spotkania. I ustrzeli hat-tricka w debiucie, zasadniczo spełniając marzenie każdego napastnika.

Podanie było idealnie zagrane, on optymalnie ustawiony. Niecała sekunda dzieliła go od tego, by zrobić to, po co w ogóle znalazł się w tym klubie.

Był już w powietrzu, kiedy poczuł mocny cios łokciem w żebra, a jednocześnie jakąś przemożną siłę, która odepchnęła go w bok. Na moment świat zawirował, Adam zaś wyrznął na ziemię, wprost pod nogi dwóch innych piłkarzy.

Przez moment nie wiedział, co się wydarzyło.

Miał jednak świadomość, że nie doskoczył do piłki. Został staranowany przez jednego z obrońców, a ta była już w rękach bramkarza, który przytulił ją do piersi i natychmiast rzucił się na murawę, by ugrać cenne sekundy.

Ben nie wiedział, ile ich zostało. Z pewnością już niewystarczająco, by...

Nie zdążył dokończyć myśli ani się otrząsnąć, gdy rozległ się gwizdek.

To koniec. W ostatniej chwili dał plamę, zaprzepaścił jedyną i niepowtarzalną okazję na to, by uratować nie tylko przyszłość Krygiera, ale także dobre imię klubu. I zapewnić sobie miejsce w składzie.

Naraz jednak uzmysłowił sobie, że usłyszał tylko pojedynczy gwizdek. A to mogło oznaczać...

Benhardt wsparł się na rękach i uzmysłowił sobie, że koledzy z drużyny wiwatują, biegnąc ku niemu. Nie popełnił żadnego błędu. To obrońca dopuścił się przewinienia, zarobił nawet żółtą kartkę. Najważniejsze było jednak to, że arbiter odgwizdał rzut karny.

Wciąż wspierając się na rękach, Adam zerknął na stadionowy zegar. Było już po doliczonym czasie gry i stało się jasne, że jedenastka będzie ostatnim, zamykającym akcentem tego meczu. Poczul żal, że to nie jemu będzie dane zdecydować o jego losie.

W każdym klubie istniała hierarchia rzutów karnych, a trudno było liczyć na to, że to on znalazł się na szczycie listy. Z pewnością do piłki podejdzie Gregor, względnie ktoś inny, kto na treningach radził sobie w takich sytuacjach najlepiej.

Nie szkodzi. Najważniejsze, że mają wprost idealną okazję, by wyrównać.

Czy remis wystarczy, żeby Witek zachował stołek? Przypuszczalnie tak, w końcu jeśli strzelą trzy bramki i odbudują się po przegrywaniu do zera,

będzie to coś znaczyło.

– Wszystko okej? – rozległ się głos Radosława Warskiego, pomocnika z opaską kapitańską na ramieniu. Był mniej więcej w jego wieku, ale z uwagi na swoje stoickie reakcje na wszystko, co się działo, wydawał się o kilka lat starszy.

Ben dostrzegł, że Warski wyciąga do niego rękę, i pozwolił, by ten pomógł mu się podnieść.

– Tak – odparł.

– To dobrze, bo masz decyzję do podjęcia.

– Co? Jaką?

– Trener ustalił jasne zasady jedenastek: strzela ten, kto wywalczył. Chyba że nie czuje się na siłach i chce oddać ją komuś innemu.

Adam rozejrzał się z niedowierzaniem, a potem utkwiał wzrok w Krygierze. Trener stał tuż za linią, której nie powinien przekraczać, i zaraz jeden z sędziów technicznych z pewnością go upomni.

Ręce miał skrzyżowane za plecami, wzrok śmiertelnie poważny. Podczas gdy piłkarzy rozsądzał entuzjazm, on wiedział, że rzut karny to jeszcze nie gol. Benhardt musiał dla reszty sprawiać podobne wrażenie.

W rzeczywistości jednak był po prostu zdezorientowany tym, co się stało. I faktem, że to w jego gestii była egzekucja tej niespodziewanej okazji.

– Najlepsze statystyki na treningach ma Gregor – rozległ się głos kapitana.

– Hm?

– Najczęściej trafia karne – dodał Warski.

Jak na zawołanie tuż obok nich znalazł się napastnik z dziewiątką na plecach. Szpeja spojrział wymownie na Radka, a potem utkwiał wzrok w Benie.

– Zamierzasz sam strzelać? – rzucił.

Wszystko działo się zbyt szybko, by Adam choćby przelotnie się nad tym zastanowił. Zamiast jakiegokolwiek namysłu zadziałał instynkt.

– Takie są zasady, prawda? – odparł.

– Prawda. Ale możesz...

– Nie zamierzam się nikim wyręczać.

Grzegorz zbliżył się o krok, jakby chciał przekazać mu coś, czego pozostali nie powinni słyszeć. Właściwie nie takiej reakcji spodziewał się Benhardt – był przekonany, że Gregor natychmiast zacznie robić wszystko, by przekonać go, że najlepiej będzie, jeśli to on odda strzał z jedenastu metrów.

– Słuchaj... – podjął. – Zagrałeś dobre dziesięć minut, naprawdę dobre.

– Mhm.

– Ale karny w takiej sytuacji wymaga doświadczenia, opanowania.

– Którego mi nie brakuje.

Szpeja otaksował go wzrokiem i westchnął.

– Wrażenie może i faktycznie sprawiasz dobre – ocenił. – Ale jak tam staniesz, zaczną trząść ci się nogi i cały ten wysiłek...

– Bez obaw.

Gregor zbliżył się jeszcze bardziej. Wiedział, że nie ma wiele czasu, bo tak naprawdę któryś z nich powinien już ustawiać piłkę we właściwym miejscu.

– Nie obawiam się ani o ciebie, ani o twoją, kurwa, karierę – rzucił Szpeja. – Tylko o zespół. Jak przestrzelisz, to będzie koniec.

– W takim razie muszę nie przestrzelić.

Grzegorz widział już, że nic nie wskóra. Liczył chyba, że Warski poprze go nieco bardziej zdecydowanie jako kapitan, ale ten najwyraźniej powiedział już wszystko, co zamierzał.

Adam ruszył po piłkę. Zanim ją podniósł, jeszcze raz spojrział w kierunku ławki trenerskiej. Miał nadzieję, że zobaczy choćby zdawkowe skinienie głową trenera, ten jednak trwał w niezmienionej pozycji, jakby nagle jakaś siła go unieruchomiła.

Za to stojąca obok Kala posłała Benowi spojrzenie, które mówiło, że słusznie robi, idąc samemu po futbolówkę. To dodało mu nieco otuchy i upewniło go, że automatyczna reakcja była właściwa.

Strzelał bramki z karnego właściwie na zawołanie. Piłkarze Rewery widzieli, jak ładował jedną za drugą na treningach.

– Jesteś pewien? – rozległ się głos Gaudiego, gdy Adam podniósł piłkę.

– Chyba.

– Czyli nie za bardzo. To może jednak...

– Gregor ma takie same szanse przestrzelenia jak ja – uciał Benhardt. – Poza tym to moja odpowiedzialność.

Łukasz przełknął głośno ślinę, a potem powiódł wzrokiem po kibicach drużyny przeciwnej.

– Obyś się nie mylił.

Obym, odparł w duchu Ben, po czym przyspieszył w kierunku pola karnego. Ustawił piłkę na jedenastu metrach, a potem się wycofał. Spojrział na stojącego obok sędziego, sygnalizując mu gotowość.

Miał w swoich rękach los nie tylko własny i klubu, ale także trenera.

Na stadionie przez moment trwała przejmująca cisza. Adam zerknął jeszcze na trybuny i nawet gdyby kibicze Rewery nie nosili klubowych barw,

rozpoznałby ich bez trudu. Wszyscy trwali w bezruchu, większość z dłońmi przyciśniętymi do ust.

Naraz jednak nerwowe wyczekiwanie zostało przerwane przez dzikie, wręcz zwierzęce okrzyki sympatyków drugiej strony.

– Nie trafisz, chuju jebany! – wyłowił z tumultu Benhardt.

Podobne zawołania rozbrzmiały jedno po drugim, a liczba wyzwisk i przekleństw mogłaby zawstydzić nawet najbardziej biegłego w tej materii szewca. Adam starał się odseparować od niemal paraliżującej wrzawy.

Zamknął na moment oczy, w oczekiwaniu na gwizdek.

Kiedy ten się rozległ, zerknął na golkipera. Wyglądał na pewnego siebie, rozkładał szeroko ręce, by optycznie zmniejszyć bramkę. I patrzył na Benhardta tak, jakby ten nie wbił mu już dwóch goli i jakby za błogosławieństwo uznawał, że to właśnie on podszedł do jedenastki.

Adam wziął niewielki rozbieg, a potem ruszył przed siebie. Nie zamierzał ryzykować, waląc na ślepo. Postanowił wczekać bramkarza i strzelić w kierunku przeciwnym do tego, w którym się rzuci.

Tuż przed uderzeniem piłką zwolnił na ułamek sekundy, kątem oka kontrolując, co się dzieje.

Golkiper wykonał lekki ruch w lewo.

Bingo.

Adam wytracił wprawdzie siłę, na jaką mógłby liczyć dzięki pełnemu rozbiegowi, ale nie miało to znaczenia. Wiedział, gdzie należy plasować futbolówkę.

Posłał ją po ziemi w kierunku prawego słupka.

Wydawało mu się, że prawa fizyki na moment przestają działać, a on znajduje się w jakiejś bańce, gdzie czas się zatrzymał. Był przekonany, że za moment świat wróci ze zdwojoną mocą, a wokół rozlegną się głośne okrzyki niemożliwej do pohamowania euforii.

Naraz jednak zorientował się, jak tragiczny błąd popełnił.

Bramkarz wykonał wprawdzie ruch w lewo, ale zrobił to wyłącznie dla zmyłki. Rzucił się zaś w przeciwnym kierunku.

Gdyby strzał okazał się dostatecznie mocny, być może nie zdążyłby sięgnąć futbolówki. Ben zdecydował się jednak na techniczne uderzenie.

Golkiper odbił piłkę końcówkami palców. Ta odskoczyła w bok, a wszyscy czekający za linią pola karnego piłkarze natychmiast rzucili się w jej stronę.

Zamiast włączyć się w walkę o futbolówkę, Adam złapał się za głowę. Nie dowierzał w to, co się stało. Po raz pierwszy w życiu spieprzył karnego. I to

w takim momencie, w takiej sytuacji.

Został oszukany prostym trikiem, z którego korzystali bramkarze we wszystkich rozgrywkach na świecie. Owszem, na boiskach, na których grał, nikt go raczej nie stosował. Ale nie było to żadne usprawiedliwienie.

Ocknął się, uzmysławiając sobie, że piłka w grze i jeszcze nie wszystko stracone.

Obrócił się z nadzieją, że zobaczy, jak któryś z jego kolegów przejmuje futbolówkę. Przy takim zamieszaniu władowanie jej do bramki zazwyczaj nie nastęczało wielkich problemów.

Piłka trafiła jednak pod nogi jednego z gliwiczian, który bez zastanowienia wykopał ją na aut.

Arbiter nie mógł pozwolić na jego wykonanie.

Rozległ się ostatni gwizdek.

Rewera Opole przegrała dwa do trzech.

Autostrada A4, okolice Kleszczowa

Witek spodziewał się, że będzie dużo gorzej. Po opuszczeniu boiska nikt z drużyny jednak nie zdecydował się na werbalny atak pod adresem Benhardta, w szatni również panowało milczenie.

W normalnych okolicznościach właściwie podobne ryzyko by nie istniało, wszak chłopak strzelił dwa gole i trudno było winić go o to, że nie dołożył trzeciego. Dynamika relacji w zespole była jednak w dużej mierze dyktowana przez Gregora – a ten jeszcze na murawie sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar rozszarpać Bena gołymi rękoma.

Dopiero kiedy oddalili się autostradą od Gliwic, coś w nim przeskoczyło. Marazm nagle zamienił się we wściekłość, a ta bez trudu znalazła sobie ujście.

– Naprawdę nie mogłeś mi tego, kurwa, zostawić? – rzucił Szpeja.

Zrobił to na tyle głośno, że siedzący dwa rzędy przed nim Adam bez trudu to usłyszał. Podobnie zresztą jak reszta zespołu.

– Nie wystarczyły ci dwa gole w debiucie? Musiałeś mieć ciśnienie na hat-tricka?

Benhardt całkiem słusznie nie odpowiadał, nawet się nie obrócił.

– Wystarczy, Gregor – odezwał się Krygier.

– Chuja tam wystarczy.

– Coś ty powiedział?

– To, co słyszałeś – odparł Szpeja i podniósł się ze swojego miejsca. – Nie jesteś już trenerem, więc równie dobrze możesz wysiąść na następnej stacji benzynowej.

Witek też się podniósł, a potem przybrał swoją zwyczajową pozę, rozkładając ręce i opierając się o fotele z przodu.

– Siadaj – polecił.

– Nie ma mowy. A ty...

– A ja jestem twoim trenerem, dopóki zarząd mnie nie odwoła – uciał Krygier. – I radziłbym ci o tym pamiętać, bo właśnie zasłużyłeś na pierwszą karę finansową. I tylko od ciebie zależy, czy kolejne też się posypią.

Gregor otworzył usta, ale nie sformułował żadnej riposty. Miał świadomość, że formalnie rzecz biorąc, trener mógł mocno uszczuplić jego budżet. Poza tym

w autokarze znajdowali się inni członkowie sztabu szkoleniowego, którzy bynajmniej nie wylecą. I mogą zapamiętać sobie tę niesubordynację.

Wszystko to nie oznaczało jednak, że zamierzał odpuścić chłopakowi. Minał dwa rzędy, a potem stanął tuż obok niego.

Adam wciąż go ignorował.

– Wracaj na miejsce – rzucił Witek.

– Zaraz. Muszę tylko usłyszeć od tego ciula, co ma do...

Urwał, kiedy pięść Benhardta niespodziewanie wylądowała na jego podbrzuszu. Ledwo zatoczył się w tył, Adam poderwał się ze swojego miejsca i ruszył na Gregora. Natychmiast zwarli się w bokserskim klinczu, a siedzący obok piłkarze szybko do nich dopadli, próbując ich rozdzielić.

– Spokój! – krzyknął Witek.

Hałas wypełnił cały autobus, a dwóch skaczących sobie do gardeł piłkarzy zaczęło się szarpać. Pozostali skutecznie uniemożliwiali im wyprowadzenie choćby pojedynczego ciosu, widać było bowiem jak na dłoni, że na jednym by się nie skończyło.

– Spokój, do kurwy nędzy! – ryknął Krygier, podchodząc do nich. – Już! Wystarczy!

W końcu innym członkom drużyny udało się ich od siebie odciągnąć. Adama trzymali na spółkę Gaudi z Sandałem, Szpeję z pomocą bramkarza unieruchomił Warski. Mimo że obu graczy znajdowało się już kawałek od siebie, pilnujący ich koledzy bynajmniej nie zwalniali chwytu.

– Wszystko w porządku tam z tyłu? – rozległ się głos kierowcy.

– W porządku – wyręczyła ojca siedząca z przodu Kala. – Niech pan się skupi na drodze.

Krygier spojrzał najpierw na jednego piłkarza, potem na drugiego, zastanawiając się, którego powinien uznać za prowodyrę. Bez znaczenia, obaj za to odpowiedzą.

– Co to ma być? – rzucił. – Nie pojechały wam się miejsca, gdzie macie się wykazywać czymś takim? I zapomnieliście, że całe to gówno zostawiamy za sobą, kiedy schodzimy z murawy?

Obaj głośno sapali, nikt mu nie odpowiedział.

– Szczęście w nieszczęściu jest dla was takie, że to nie ja będę ustalał wam kary – dodał Witek. – Bo dosrałbym największe możliwe. Dwóch dzieciaków się znalazło, kurwa wasza mać.

Czekał na jakąkolwiek reakcję, ale nawet na niego nie patrzyli. Wślepiali się w siebie, jakby nie istniała nawet hipotetyczna szansa, że dogadają się inaczej

niż za pomocą pięści.

– Zagraliście dobry mecz – kontynuował bardziej wyważonym tonem Krygier.
– Niewiele brakowało, a odrobilibyście stratę. Zabrakło nie woli walki, ale szczęścia. Karne to pieprzona loteria i nie chcę słyszeć, że ktoś strzeliłby lepiej, bo tego nie wiadomo. Jeśli chcecie mieć do kogokolwiek pretensje, to miejcie do siebie, bo w grze każdego pojawił się jakiś element, który sprawił, że Gryf wcisnął nam trzy bramki.

Witek powiódł wzrokiem po swoich podopiecznych. Nie była to raczej budująca przemowa, ale miał nadzieję, że dotrze do tego, do kogo trzeba.

– Każdy popełnia błędy – dodał. – Wiecie, kto ma najwięcej nietrafionych karnych? Messi. A tylko o jedno nietrafienie ustępuje mu Cristiano Ronaldo. Nie ma piłkarzy idealnych. I nie ma co wyrzucać sobie potknięć. Rzecz w tym, by pamiętać, gdzie miały miejsce, i następnym razem sprawnie te miejsca ominąć.

Piłkarze wciąż patrzyli na niego bez przekonania. Krygier nieco spuścił z tonu, dochodząc do wniosku, że przed opuszczeniem klubu powinien choć trochę zadbać o ich morale.

– Zdaję sobie sprawę, że jesteście rozczarowani wynikiem. I rozumiem. Po tym, co zrobiliśmy w drugiej połowie, zasługiwaliśmy chociażby na remis. – Zrobił na moment pauzę. – Ale wynik nie ma żadnego znaczenia, liczy się tylko i wyłącznie gra.

Kilka osób zmarszczyło krytycznie brwi.

– Macie co do tego wątpliwości? – rzucił Witek.

Nikt nie odpowiedział.

– Gdyby było inaczej, gdyby liczyły się tylko i wyłącznie wyniki, kibice przychodziliby na stadion w dziewięćdziesiątej minucie. Albo nie przychodziliby w ogóle i sprawdzaliby wyniki w internecie. Ale tak nie jest. Interesuje ich co innego.

Pozwolił, by ta świadomość osiadła w ich umysłach.

– Zagraliście dobre spotkanie – dodał. – Jasne?

Kilku zawodników odparło chóralnie, ale w ich głosach brakowało przekonania. Trudno, tyle na razie musiało wystarczyć. Co stanie się dalej, to już nie jego problem – ktoś inny będzie musiał rozwikłać konflikt w szatni, który po dzisiejszym spotkaniu tylko nabierze na sile.

Witek wrócił na swoje miejsce obok córki, a ta podała mu telefon z tabelą Ekstraligi zaktualizowaną po dzisiejszej kolejce.

– Jak daleko spadliśmy? – odezwał się cicho Krygier.

– Na dziewiąte miejsce. Wciąż nie najgorzej.

– Ale wystarczająco, żeby się ze mną pożegnali.

Kala schowała telefon, a potem obróciła się do ojca.

– Myślisz, że tak zrobią? – spytała.

Mówiła szeptem, ale właściwie chyba nie było takiej konieczności. Po pierwsze siedzący za nimi piłkarze mieli słuchawki w uszach, a po drugie wszyscy i tak wiedzieli, że niczego nie wskóra.

– Bez dwóch zdań – odparł Krygier.

– Może wezmą pod uwagę, że prawie się udało, i...

– Postawili sprawę jasno – uciął. – Albo wygrana, albo do widzenia. Przy remisie może udałoby się jeszcze ponegocjować, ale tak...

Nie miał nawet złudzeń, że dwa strzelone gole, dobra gra w końcówce i wywalczony karny cokolwiek zmienią. Odwalił czarną robotę, a wszystkie profity, jakie z niej mogą płynąć, zbierze kolejny trener.

– Obi twierdzi, że ta końcówka wszystko zmienia – odparła córka.

– Kto?

– Obi.

– Mikel? A co on ma do rzeczy?

– Nic, bo nie o nim mowa.

Krygier doskonale zdawał sobie z tego sprawę, nie mógł jednak przepuścić okazji, by nieco podroczyć się z córką.

– Wspominałam ci o nim – dodała Kala. – Gadamy od jakiegoś czasu.

– Nie kojarzę.

Trochę przeholował, przez co naraził się na spojrzenie spode łba, które było niemal idealną kopią nienawistnego łypania jego byłej żony. Machinalnie poprawił się na siedzeniu autobusu.

– Mówi, że tego tak po prostu nie mogą zignorować – ciągnęła Kalina. – Plus dochodzi do tego fakt, że uparłeś się przy Benie, a on zrobił różnicę.

– Mhm.

– I co tak mamrociesz? Nie możesz wyrazić myśli?

– Nie odzywaj się tak do ojca.

– To się wysławiaj do dziecka pełnymi zdaniami.

Witek pokręcił bezradnie głową. Chciał kontynuować temat, nagle jednak poczuł, że ktoś szturcha go lekko w lewe ramię. Obejrzał się raptownie i zobaczył Pawła Olejarczyka, rezerwowego bramkarza, zwanego przez kolegów Oleo. Miał dopiero dziewiętnaście lat, został wyłowiony na ostatnią chwilę

z jakiegoś podopolskiego klubu grającego w A klasie, ale Witek realnie rozważał, czy nie dać mu szansy w tym meczu.

Było w chłopaku coś, co kazało sądzić, że kiedyś wyrośnie na tytana między słupkami. Miał świetne predyspozycje fizyczne, był wysoki i mógł pochwalić się szerokim rozstawem ramion. W dodatku wykazywał się niezłym refleksem i panował nad polem karnym jak najstarszy wyjadacz.

– Co jest? – rzucił do niego Krygier.

– Słyszał pan, co mówią w HejtParku, trenerze?

Witek sugestywnie spojrział na swoje dłonie, chcąc dać jasno do zrozumienia, że nie ma przed sobą niczego, na czym mógłby śledzić jakiegokolwiek relacje.

– To może niech pan sobie zobaczy.

Oczywiście, jak świat polskiej piłki długi i szeroki, większość członków sztabu szkoleniowego i część piłkarzy od razu po meczu albo odpalała HejtPark, albo wchodziła na portale sportowe. Mimo że nie każdy się do tego przyznawał.

Krygier spodziewał się, że w podsumowaniu dwudziestej kolejki sporo uwagi zostanie poświęcone temu, co wydarzyło się na boisku Gryfa Gliwice. Być albo nie być trenera, potencjalny debiut chłopaka znikąd. Było co komentować, szczególnie wzięwszy pod uwagę wyczyny Benhardta.

Olejarczyk już odchodził, kiedy Witek obrócił się do niego.

– Oleo – rzucił.

– Tak, panie trenerze?

– Co mówią?

Paweł wrócił do fotelu szkoleniowca i oparł się o zagłówek, pochylając się nieco.

– Że zarząd powinien dać panu szansę, bo kleci pan całkiem niezłą drużynę – odparł. – I że jeśli ostatnie dziesięć minut mogło o czymkolwiek świadczyć, to ten zespół może odbudować się szybciej, niż wszyscy sądzą.

– Coś jeszcze?

– Trochę na temat Bena.

– Co konkretnie?

– Że nikt dawno nie widział takiej techniki u polskiego piłkarza. Chwalili kontrolę nad piłką, grę bez niej, przegląd gry i inne rzeczy. No i te triki rodem z repertuaru Ronaldinho, wie pan.

Adam rzeczywiście zdawał się skopiować przynajmniej kilka jego zagrań, choć Krygier rozpoznawał w kolejnych próbach dryblingu także wpływ innych piłkarzy, od Ibrahimovicia, przez jednego i drugiego Ronaldo, aż po Messiego.

Chłopak musiał spędzić dużo czasu na analizowaniu ich zagrań, a potem powtarzaniu ich do znudzenia i dodawaniu czegoś od siebie.

Grał swoją melodię, ale złożoną z nut samych wirtuozów – a piłka posłuszenie do niej tańczyła.

– To wszystko? – spytał Witek.

– Pewnie jeszcze gadają, leci teraz na żywo.

– Jasne – odparł trener i wskazał zawodnikowi wzrokiem jego miejsce. – Dzięki.

Oleo uśmiechnął się niemrawo, jakby starał się wysilić na jakiś podnoszący na duchu wyraz, ale poniósł fiasko.

– Widzisz? – odezwała się Kalina. – Zarząd na pewno też to ogląda.

– Co niestety niczego nie zmienia.

– Może zmienia.

Krygier pokręcił głową, przekonany, że niczego nie osiągnie. Przez moment rozważał, czy nie obejrzyć materiału, po czym doszedł do wniosku, że w ten sposób tylko się dobije. Praktycznie nie prowadził już drużyny, czas najwyższy się z tym pogodzić.

Po godzinie podjechali pod centrum treningowe Rewery Opole przy Sosnkowskiego, gdzie ku zdziwieniu wszystkich czekali lokalni reporterzy. Niektórzy robili zdjęcia, inni szybko poprawiali mikrofony, by gąbka była odpowiednio ustawiona względem kamery.

Kiedy drzwi autokaru się otworzyły, wszyscy ruszyli w ich kierunku. Witek przez moment miał wrażenie, że nie pozwolą im wysiąść.

Sytuacja była na tyle niecodzienna, że nikt nie przygotował żadnego kordonu, a dwóch podstarzałych ochroniarzy w odblaskowych żółtych kamizelkach nie bardzo wiedziało, co począć.

Krygier uniósł lekko dłonie do zebranych.

– Spokojnie, dajcie nam najpierw wysiąść – rzucił, przybierając delikatny uśmiech. – Zostawimy rzeczy w szatni i wrócimy do was, w porządku?

Szczęśliwie sytuację szybko udało się opanować, drużyna bez trudu dotarła do budynku. Po drodze kilka osób próbowało jednak podetknąć mikrofon temu czy innemu zawodnikowi, wychodząc przed szereg.

Dla Witka było jasne, że większość przyszła tutaj ze względu na Benhardta. To nim wykazywali największe zainteresowanie – i wzięwszy pod uwagę dramatyzm jego występu, trudno się było dziwić.

Kiedy znaleźli się w szatni, Krygier powiódł wzrokiem po swoich piłkarzach.

– Dobra – odezwał się. – Kto nie chce gadać z mediami, może teraz to zgłosić. Załatwimy sprawę.

Kilka osób popatrzyło po sobie, ale nikt nie dał po sobie znać, że ma z tym jakikolwiek problem. Pytanie właściwie nie było kierowane do ogółu, ale jednego piłkarza. Witek patrzył na niego nieco dłużej niż na resztę, Ben jednak nie sprawiał wrażenia, jakby miał zamiar wymknąć się dziennikarzom.

– W porządku. W takim razie uważajcie tylko, co gadacie. Żadnego kozakowania ani głupich tekstów, które popychacie kumplom, jasne?

– Jasne – odparło kilka osób.

– Co? Nie słyszę.

– Jasne, trenerze! – odpowiedział mu chór zawodników.

– Jak niebo w bezchmurny letni dzień?

– Tak jest – odparli unisono.

– To idziemy.

Kiedy tylko Krygier opuścił budynek, kilka osób natychmiast ruszyło w jego stronę. Kątem oka odnotował, że większa liczba przypuściła atak na Benhardta. Ci, którzy się nie załapali, rozglądali się za innymi zawodnikami.

Z pewnością nie podreperuje to morale w szatni, skwitował gorzko Witek, a potem spojrzął na kobietę z mikrofonem, która dopadła do niego jako pierwsza.

– Jak ocenia pan występ Rewery? – spytała.

– Jako dobry prognostyk na przyszłość.

– I myśli pan, że będzie uczestniczył w tej przyszłości?

– Nie – odparł wprost Krygier.

Wyraźnie spodziewała się innej odpowiedzi, czekała też na rozwinięcie, którego Witek niespecjalnie był gotów udzielić.

– Więc zakłada pan, że będzie musiał pożegnać się z klubem?

– Tak.

– A fakt tej energetycznej końcówki nic nie zmienia?

– W mojej sytuacji? Nie – odparł spokojnie. – Dla zespołu zmienia jednak wszystko. Moi piłkarze pokazali, że nie tylko potrafią grać, ale także wspinać się na prawdziwe wyżyny. Ten niemalże udany comeback był czymś rzadko spotykanym nie tylko w polskiej, ale i światowej piłce. I nie mam tu na myśli samego wyniku, ale też styl i waleczność.

– To prawda, emocje sięgały zenitu – skwitowała reporterka, wyraźnie zamykając ten temat. – A Piotr Benhardt pokazał się z jak najlepszej strony.

– Adam. I tak, to bardzo utalentowany chłopak.

- Niektórzy twierdzą, że zaliczył najlepszy debiut ostatniego dziesięciolecia.
- Możliwe.

Kobieta nadal miała nadzieję, że Krygier się rozgada. W innej sytuacji być może by sobie na to pozwolił, teraz jednak było mu już wszystko jedno i nie zamierzał się wysilać.

– Sądzi pan, że może wyrosnąć na wielką gwiazdę? – spytała dziennikarka.

– Może. Jeśli będzie pracował dalej tak wytrwale, jak do tej pory. I jeśli będzie skupiał się na tym, co ważne.

– To znaczy?

– Znajdzie się teraz na fali wznoszącej, sama pani widzi, co już zaczyna dziać się w mediach. Dziesięć minut na murawie i chłopak został okrzyknięty nową nadzieją polskiej piłki. To potrafi poprzestawiać w głowie niektóre rzeczy.

– Jest takie ryzyko w jego przypadku?

– Wydaje się, że nie – odparł z przekonaniem Witek. – Ma dobrze poukładane priorytety. Ale nigdy nie wiadomo.

Jeszcze parę dni temu właściwie nie miał co liczyć na świetlaną przyszłość, dziś wykręcał dwadzieścia tysięcy złotych miesięcznie, z perspektywą na znaczne podbicie tego przez różne premie.

Jeśli zagra kilka spotkań na podobnym poziomie, natychmiast zaczną się nim interesować większe kluby. Ba, już z pewnością zanotowały sobie, by mieć go na oku. Ani się obejrzy, całe jego życie przewróci się do góry nogami, a on będzie musiał jakoś utrzymać równowagę.

O tym jednak Witek nie miał zamiaru mówić. Zerknął na Benhardta, który właśnie udzielał wywiadu tuż obok.

Dosłyszał tylko pojedyncze zdania, ale tyle wystarczyło, by wiedzieć, że nie będzie musiał się za niego wstydzić. Odpowiadał elokwentnie, bez nadęcia, nie chepił się dwoma strzelonymi bramkami i skupiał się przede wszystkim na tym, że nie trafił karnego.

Witek podziękował kobiecie i uznał, że tyle z jego strony wystarczy. Reszta będzie musiała przedrukować sobie jego słowa. Wszedł z powrotem do budynku, a w korytarzu zastał stojącą z komórką w ręce Kalę.

– Rozstajesz się z tym w ogóle? – rzucił.

– Mniej więcej na tyle, na ile ty z piwem.

Krygier zmierzył ją krytycznym spojrzeniem.

– To było niepotrzebne – ocenił.

– Nie zaczepiaj mnie, to się nie sparzysz – odparła Kalina, a potem obróciła w jego stronę smartfona.

Adam właśnie na żywo udzielał wywiadu dla jakiegoś portalu.

– Co mówi? – spytał Witek.

– Przede wszystkim, że powinieneś zostać w klubie.

– Poważnie?

– No – potwierdziła córka. – Najwyraźniej niespecjalnie przejmuję się wkurwianiem zarządu.

– Nie przeklinaj.

– Za późno. Poza tym istota zwana ojcem uczyła mnie tego od kołyski.

Krygier głęboko westchnął, uznając, że nie ma sensu wdawać się w dalsze dyskusje. Ani sprawiać kłopotów tym piłkarzom, którzy zdecydują się wyrazić podobne zdanie do Benhardta.

– Ktoś jeszcze pozwolił sobie na coś takiego?

– Nie wiem, przecież dopiero kręcą te wywiady. Ale pewnie nie. Ben ma jeszcze w dupie władze klubowe, na dobrą sprawę może nawet nie myśleć o tym, jak wiele od nich zależy.

– No tak.

– Pozostali będą bardziej uważni.

Tak czy inaczej Witek nie miał zamiaru narażać nikogo na żadne problemy. Należało załatwić to najszybciej, jak to możliwe. Rozwiązał krawat, zostawił go na wieszaku w szatni razem z marynarką, a potem skierował się ku gabinetowi prezesa.

Wiedział, że czeka tam na niego, wcześniej bowiem ustalili, że załatwią sprawę zaraz po meczu. Niespodziewana wizyta mediów spowolniła jedynie nadejście tego, co nieuchronne.

Witek nawet nie pukał. Wszedł do środka, a potem skinął głową do Sylwestra Budczaka.

– Cieszę się, że przyszedłeś – rzucił prezes dziwnym tonem.

– Ja mniej.

– Poczekamy moment na Paulinę, jeśli to nie problem – odparł Sylwester, puszczając mimo uszu ostatnią uwagę.

– Jasne.

Podniósł telefon, a potem rzucił do słuchawki krótkie „jest już u mnie” i się rozłączył. Skrzyżował ręce na piersi, odchylił się i przyjrzał Krygierowi, jakby ten nie przyszedł po wypowiedzenie, ale w odpowiedzi na ofertę pracy.

– Ta końcówka, niech mnie cholera – odezwał się Budczak. – Miałeś trochę racji z tym młodym.

– Mówiłem.

Sylwester rozplótł ręce i przysunął się do biurka.

– A ja mówiłem, że nie życzę sobie go w pierwszym składzie – oznajmił. – I za samo to wyleciałbyś bez względu na wynik.

– Jasne. Ale chyba było warto, skoro prawie wyrównaliśmy, a bez chłopaka dostalibyśmy po dupie trzy do zera.

– Tego nie wiesz.

– Nie? – rzucił z powątpiewaniem Witek. – A wydawało mi się, że całkiem dobrze pamiętałem, jaki wynik był w osiemdziesiątej minucie, zanim wprowadziłem Benhardta do gry.

Prezes nie odpowiedział, bo otworzyły się drzwi i do środka weszła dyrektor sportowa, Paulina Hejna. Usiadła przy stoliku obok ściany, a Budczak szybko tam do niej dołączył. Krygier obrócił się na krześle w ich stronę, wołając zachować dystans.

– Napijesz się czegoś? – spytał prezes.

– Nie. Załatwmy to jak najszybciej.

– Świetnie – odparł Sylwester i skierował znaczące spojrzenie na Hejnę.

Ta bynajmniej nie wyglądała, jakby miała oznajmić komuś, że musi pożegnać się z dotychczas sprawowaną funkcją. Szybko jednak przyjęła w pełni profesjonalną maskę, z której trudno było Witkowi cokolwiek wyczytać.

Prezes zaś sprawiał wrażenie względnie zadowolonego. Może ten wynik i gra w końcówce rzeczywiście coś zmieniły? Może postanowili dać mu jeszcze jedną szansę? Właściwie na tym etapie nic by przecież nie tracili.

– Przede wszystkim chcieliśmy pogratulować ci dobrego meczu – zaczęła Hejna. – To była naprawdę minimalna przegrana.

– To prawda.

– Chłopak też się popisał.

Krygier krótko skinął głową, mając nadzieję, że ta pospieszna reakcja sprawi, iż dyrektor sportowa od razu przejdzie do rzeczy.

– Drużyna z pewnością ma potencjał – włączył się Budczak.

– Z pewnością – odparł Witek. – Dajcie im trochę czasu, a przekonacie się, że jeszcze nigdy nie byliście z nikogo tak dumni. Macie na to moje słowo.

Oboje patrzyli na niego bez wielkiego przekonania, ale także bez powątpiewania. Zdawali się całkowicie neutralni względem przyszłości klubu.

– Mamy sporo talentów, trzeba tylko dać im czas, żeby się rozwinęły – dodał Krygier. – I ktokolwiek po mnie obejmie stery, powinien moim zdaniem trzymać się obecnego stylu gry.

– Właśnie o tym chcieliśmy porozmawiać – odezwała się Hejna.

Witek zignorował tę uwagę, bo wchodził teraz w tryb szkoleniowca, dla którego nie liczyło się właściwie nic poza trenerskim meritum.

– Te chłopaki będą świetnie sprawdzać się przy ofensywnym ustawieniu, gegenpressingu i innych założeniach futbolu totalnego. Jak tylko nauczą się siebie i pozycji, na których szukać partnerów, mało który klub...

– Masz oczywiście rację – przerwał mu Sylwester. – Ale nasze dzisiejsze spotkanie dotyczy czegoś innego.

Krygier przełknął ślinę tak głośno, że chyba nie uszło to uwagi dwójki rozmówców. Dotychczas robił dobrą minę do złej gry, starając się nie okazywać, jak bardzo zależy mu na tym, by dalej prowadzić ten zespół. Wychodził z założenia, że być może dzięki temu będzie mu łatwiej znieść zwolnienie.

W rzeczywistości jednak miał głębokie poczucie, że mógłby ulepić z tych piłkarzy materiał na naprawdę dobry zespół. Potrzebował tylko czasu i odpowiedniej determinacji po ich stronie.

Wciąż zastanawiał się, jak powinien poprowadzić tę rozmowę. Z jednej strony najlepiej byłoby przyjąć taktykę pogodzenia się z losem. Z drugiej nie wyobrażał sobie, by ot tak odebrano mu Rewerę.

– Nie będziemy przeciągać – dodał Budczak.

– W porządku.

Sylwester spojrzał z lekkim uśmiechem na Hejnę, jakby to na nią cedował możliwość przekazania trenerowi decyzji zarządu.

– Władze klubu są ci bardzo wdzięczne za wszystko, co zrobiłeś – odezwała się. – Oczywiście wypłacimy ci pozostałą należność, zanim rozwiążemy kontrakt.

Kurwa mać. A więc jednak.

– Ale...

– Wykonałeś kawał dobrej roboty, Witold – przerwał mu prezes. – I to w ekstremalnych okolicznościach. Zbudowałeś fundament, na którym twój następca będzie mógł wznieść coś, co chyba nas wszystkich usatysfakcjonuje.

Witek zacisnął usta. Nigdy przed nikim się nie płaszczył, bardzo rzadko o cokolwiek kogoś prosił. Wychodził z założenia, że ze wszystkim sobie poradzi, zazwyczaj samodzielnie. Doświadczenie pokazywało jednak, że nie szło mu tak dobrze, jak sądził.

Nie zamierzał tak łatwo się poddawać.

– Mimo wszystko dla drużyny dobrze by było, gdybym mógł tę pracę kontynuować – rzucił. – Mamy plan treningowy na najbliższe tygodnie i w moim przekonaniu może on zaowocować...

– Umowa to umowa – uciął Sylwester. – Ustaliliśmy, że po porażce się pożegnamy.

– Tyle że, jak sam mówiłeś, ta porażka była minimalna.

– Ale była.

– Bo zabrakło odrobiny szczęścia.

Powinien był wprowadzić Benhardta wcześniej, teraz to wiedział. Wziąwszy pod uwagę to, jak rozbijał drużynę i jakie okazje sam stworzył, było to bodaj największym błędem, jaki Krygier dotychczas popełnił.

– Nie zmienia to faktu, że decyzja zapadła – odezwał się nieco mniej pogodnym tonem Budczak. – I niestety jest nieodwołalna.

Witek zrobił krok w kierunku stolika, przy którym siedzieli Hejna i Sylwester.

– Dajcie nam jeszcze jeden mecz – powiedział.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Bo?

– Bo, jak mówię, decyzja została już podjęta przez zarząd.

– Przed meczem z Gryfem czy po nim?

– A jaka to różnica?

– Mniej więcej taka, jak między twoją facjatą a twarzami hollywoodzkich aktorów.

– Słucham?

Powinien zachować tę uwagę dla siebie. I z pewnością nie należało dodawać nic więcej.

– Ten zespół jest w trakcie budowy, widać to gołym okiem – podjął Krygier. – Jeśli jesteście na tyle ślepi, że tego nie widzicie, to faktycznie nic tu po mnie.

– Widzimy więcej, niż sądzisz – odparował nieco ostrzej Budczak. – Potrzebujemy po prostu kogoś, kto lepiej poprowadzi tych chłopaków.

– Lepiej?

– Przeciążasz ich na treningach, wymagasz od nich zbyt wiele. Presja jest za duża, a przez to...

– Niech mnie chuj – przerwał mu Witek. – Zupełnie przegapiłem moment, w którym zrobiłeś doktorat z bzdurologii stosowanej.

Hejna głośno odchrząknęła, a potem podniosła się i wskazała mu ręką drzwi.

– Może zostawmy prezesa samego, ma jeszcze trochę pracy – oznajmiła.

– Nad swoim intelektem? Tu raczej nawet najbardziej wytężona praca na nic się nie...

– Dokończmy rozmowę u mnie – ucięła Paulina, ruszając w kierunku drzwi.

Krygier zawahał się, rzucił krótkie spojrzenie prezesowi, a potem się odwrócił. Żaden z mężczyzn nie miał zamiaru podawać ręki, dziękować za współpracę ani choćby się zęgnąć. Witek opuścił gabinet w milczeniu.

– Naprawdę musiałeś? – rzuciła Hejna, kiedy znaleźli się na korytarzu.

– Tak.

Dyrektor sportowa westchnęła głośno, a potem przesunęła dłonią po krótkich włosach.

– Daleko nie zajdziesz, obrażając ważne osoby w świecie futbolu – odparła.

– Mam to gdzieś.

– Może nie powinieneś – poradziła. – Budczak od czasu do czasu spotyka się z innymi prezesami klubów i z pewnością twój temat się pojawi. Dobrze by było, gdybyś nie dawał mu powodów do jeszcze większego psioczenia na ciebie.

Witek machnął ręką, a potem zatrzymał się na środku korytarza. Hejna postawiła jeszcze krok, zanim zrobiła to samo.

– Nie mogliście dać mi chociaż jeszcze jednego meczu? – spytał.

Na jej twarzy zarysował się wyraźny zawód, a także poczucie winy, chyba całkiem nieuzasadnione.

– Przykro mi – powiedziała. – Robiłam, co mogłam. I gdyby to zależało ode mnie, miałbyś znacznie więcej czasu.

Witek zaklął pod nosem.

– Jaki był rozkład głosów na zarządzie?

– Prawie równy.

– Iloma przegrałem?

– Dwoma.

Tak niewiele. Wolałby chyba, żeby odpowiedź była zupełnie inna.

– Jutro przygotujemy wszystkie papiery do podpisania – dodała Paulina. – Ja pogadam rano z Budczakiem, a ty przyjdiesz go przeprosić.

– Nie ma mowy.

– Witek...

– Nie będę w ogóle z tym bucem rozmawiać.

Hejna głęboko westchnęła i spojrzała na niego z bezsilnością.

– Palenie za sobą mostów wywołuje swąd, który czują inni – zauważyła. – Naprawdę nie warto.

Krygier machnął ręką, a potem spojrzał w kierunku szatni.

– Nie ma żadnych szans, żeby to odwrócić? – zapytał.

– Żadnych. Przykro mi.

Nie pozostało mu nic innego, jak przyjąć to do wiadomości, a potem pożegnać się z piłkarzami.

– Kto mnie zastąpi? – odezwał się.

– Szkoleniowiec z Argentyny.

– Że co?

– Udało się znaleźć kogoś, kto awansował ze swoją drużyną z ligi Nacional do Primera División. Słyszał o Rewerze, wieści na temat wypadku rozeszły się po całym świecie, i...

– I chce tu przylecieć?

– A to takie dziwne? – odparła Hejna. – Bielsa zatrudnił się w Leeds United, kiedy grali w niższej lidze.

Witek zachował komentarz dla siebie, choć analogia wydawała mu się przestrzelona o lata świetlne.

– Do tej pory będzie zastępował cię Przemek – dodała Paulina.

– To niezbyt dobry pomysł.

– Dlaczego?

– Bo to niezbyt dobry trener.

Na twarzy Hejny pojawił się lekki uśmiech świadczący o tym, że Krygier nie jest w tej opinii odosobniony.

– Spokojnie – powiedziała. – Będę patrzyła mu na ręce. I dopilnuję, żeby do przylotu nowego szkoleniowca realizował twoje założenia taktyczne.

– Równie dobrze ja mógłbym to robić.

Paulina lekko się skrzywiła, a on doszedł do wniosku, że z pewnością starała się przepchnąć taki scenariusz na posiedzeniu zarządu.

– Szefostwo jest nieugięte – odezwała się. – Uważają, że skoro media wiedziały o twojej ostatniej szansie, musimy się tego trzymać.

– Przecież możecie powiedzieć, że zespół zagrał na tyle dobrze, że postanowiliście dać mi dodatkowy czas.

Znów ten sam grymas.

– Próbowałam – przyznała. – Ale Rewera Opole to spółka akcyjna.

– No i?

– Zarząd wychodzi z założenia, że wysyłanie sprzecznych sygnałów wypadnie niezbyt dobrze i będzie niekorzystne dla akcjonariuszy.

– Jeszcze bardziej niekorzystne będzie to, że Seler położy całą taktykę.

– Musisz tak na niego mówić?

– Sam to robi, kiedy się przedstawia. „Meler przez jedno l, jak seler i feler”.

– Nie słyszałam.

– A ja nie słyszałem, żeby którykolwiek z piłkarzy mu ufał – odparował pod nosem Krygier. – Wprowadzi jakieś absurdalne rozwiązania pseudotaktyczne, które...

– Nie wprowadzi. Masz moje słowo.

Chciał oponować, w głębi duszy jednak niespodziewanie pojawiło się jakieś dziwne przekonanie, że dyrektor sportowa rzeczywiście zrobi wszystko, by nie obrócić jego dotychczasowej pracy wniwecz.

Była jeszcze jedna sprawa. Ważniejsza od wszystkich innych – i być może dlatego Witek bał się o nią zapytać.

– Co z moją córką? – rzucił.

– Hm?

– Będzie mogła dalej robić to, co robi?

– Oczywiście – zapewniła Hejna. – Cała ta robota w social media jest nie do przecenienia.

– W porządku. Pilnuj jej.

– Jasne.

– I nie pozwól żadnemu z tych imbecyli się do niej zbliżyć. Szczególnie Benhardtowi.

Paulina nieznacznie się uśmiechnęła. Krygier nigdy nie pytał, czy ma dziecko, ale raczej nie wyglądała na przesadnie rodzinny typ. Jakkolwiek by było, jeśli ona miała zadbać tu o Kałę, mógł być spokojny.

– Idziesz pożegnać się z zawodnikami? – spytała Hejna, wskazując drogę do szatni.

– Taki miałem zamiar.

Paulina zmarszczyła czoło, wychytując w jego głosie nutę, której wyraźnie się nie spodziewała.

– Ale go zmieniłeś? – upewniła się.

– Chyba tak.

Pokręciła głową, a potem położyła rękę na jego ramieniu.

– Nieodbytych pożegnań długo się żałuje – odpowiedziała. – Idź.

Był prawie gotów to zrobić. Wiedział nawet, co chce powiedzieć.

Naraz jednak naszło go, że w autobusie jego zawodnicy usłyszeli wszystko, co powinni.

– Może jutro, jak przyjadę załatwiać papierologię – odparł, a potem odwrócił się i nie czekając na odpowiedź, opuścił ośrodek treningowy bocznym wyjściem.

Napisał esemesa córce, że czeka w samochodzie, a potem wsiadł do starej octavii i przez moment patrzył w milczeniu na klubowe flagi lekko oświetlone

znajdującym się przy wejściu pomarańczowym neonem.

Piłkarze będą musieli poradzić sobie sami. On także.

17

Ośrodek treningowy Rewery Opole, ul. Sosnkowskiego

Atmosfera w szatni była pełna napięcia. Wchodząc do środka, Benhardt liczył na to, że emocje po przedwczorajszym fiasku nieco opadły, ale bynajmniej się na to nie zanosilo.

Gregor kompletnie go ignorował, traktując jak powietrze – mogło być znacznie gorzej. Trzymający z nim piłkarze jednak raz po raz posyłali Adamowi wyzywające spojrzenia, jakby tylko czekali, by dał im pretekst.

Tylko jedna rzecz powstrzymywała tę beczkę prochu przed wybuchem – wszyscy zakładali, że zarząd dał jeszcze jedną szansę trenerowi. Zdawali sobie sprawę, że Witek poszedł na rozmowę z szefostwem zaraz po tym, jak wrócili. I gdyby go wylano, z pewnością zajrzałyby do szatni pożegnać się z piłkarzami.

Minęła już jednak godzina, o której zwykle zjawiał się na murawie, a wciąż nie było po nim śladu.

Ben narzucił na siebie strój treningowy Rewery, a potem jako pierwszy opuścił wypełnioną nerwowym milczeniem szatnię. Na boisku trafił prosto na córkę Krygiera, która pisała coś na komórce, uśmiechając się przy tym lekko.

– Ludzie cieszący się do telefonu to z jakiegoś powodu zawsze miły widok – odezwał się Adam.

Kala raptownie podniosła głowę, jednocześnie wygaszając ekran i chowając smartfona do kieszeni.

– Nie cieszę się do telefonu – oznajmiła.

– Dziwne, bo tak to wyglądało. Ale zakochani tak mają.

– Że co?

Benhardt z obojętnością wzruszył ramionami.

– Wystarczy jakaś jedna wiadomość, lajk na Fejsie albo wyświetlenie relacji na Insta, a już jest szczęście, jakby się wygrało na loterii.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Użyła nieco ostrzejszego tonu, niż przemawiała za tym okoliczności, więc Adam postanowił spasować. Nie przyszedł tu rozmawiać o niej.

– Może – odparł. – Ale z pewnością nie mam pojęcia, gdzie jest twój ojciec.

– A gdzie ma być?

– Tam, gdzie zazwyczaj o tej porze. Tutaj.

Kalina spojrzała na niego niepewnie, a on od razu poczuł, że coś jest nie w porządku. Opadły go najczarniejsze myśli, starał się jednak je od siebie odepchnąć. Przecież nie mogli się mylić. Gdyby trener został wylany, ktoś przyszedłby ich o tym poinformować. I on sam zjawiłby się, by spiąć jakąś klamrą wspólnie spędzony czas.

– Nic nie wiesz? – odparła Kala.

Adam zamknął oczy i zaklął cicho. A więc jednak.

– Wywalili go – dodała.

– To czemu...

– Nie przyszedł do was, bo nie umie w pożegnania.

Ben na moment zamilkł, wodząc wzrokiem po niemal pustym boisku treningowym. Byli na nim tylko trenerzy, rozmawiający w tej chwili z żywo gestykulującym Przemysławem Melerem.

– To ostateczne? – zapytał Adam.

– Niestety.

– I nic nie możemy...

– Nic – ucięła czym prędzej, bo przez cały ostatni dzień prowadziła podobną konwersację w głowie. – Przylatuje jakiś szkoleniowiec z Ameryki Południowej, ale do czasu, aż załatwią wszystkie formalności, jesteście pod skrzydłami Felera.

– Chyba żartujesz.

– Chciałabym.

– Przecież ten facet nie nadaje się do trenowania świnek morskich, żeby kręciły się w kołowrotku.

– Podobno Hiena ma dopilnować, żeby robił to, co tata do tej pory.

W jej głosie zabrzmiały wyraźna gorycz i brak przekonania, czemu Ben ani trochę się nie dziwił. Nawet gdyby Przemysław miał dobre intencje, brakowałoby mu odpowiednich umiejętności, by dalej wznosić konstrukcję, której fundamenty wylał Krygier.

– Skurwysyny – syknął ledwo słyszalnie Adam.

– Co?

– Mówię, że to banda chuja – powiedział, wskazując wzrokiem okna gabinetów szefostwa. – Twój ojciec odwalił kawał dobrej roboty i wyprowadzał klub na prostą, nie zasłużył na...

– Cóż, oni widzieli to inaczej.

– Albo nie widzieli wcale, bo są, kurwa, ślepi.

Kala przyjrzała mu się uważnie, jakby starała się stwierdzić, jakie motywacje nim kierują. Były dość proste. Witek zmienił jego życie, czy komuś się to podobało, czy nie. Gdyby nie on i jego córka, Benhardt nigdy nie miałby szansy zagrać choćby minuty na profesjonalnym boisku.

– W dupie to mam – rzucił pod nosem.

– Hm?

Nie odpowiedział, nie miał zamiaru. Ruszył szybkim krokiem w kierunku pozostałych członków drużyny, którzy właśnie opuszczali budynek. Zatrzymał najpierw Gaudiego, potem innych.

Mówił przez chwilę, licząc na to, że mimo animozji wszyscy go wysłuchają, łącznie z Gregorem. Potem obejrzał się przez ramię na Melera. Ani on, ani rozmawiający z nim trenerzy nie zainteresowali się sytuacją.

– Naprawdę go wyjebali? – odezwał się Sandał.

– Nie, na żarty.

– Mam na myśli...

– Naprawdę – przerwał mu Adam. – Uznali, że odbębnił swoje i czas teraz na jakiegoś anonimowego szkoleniowca z zagranicy.

– Bo może tak jest – włączył się Szpeja.

Ben obrócił się do niego i zbliżył o krok. Ten zareagował natychmiast, napinając mięśnie.

– Może potrzeba nam kogoś nowego – dorzucił Gregor.

– Potrzeba nam jaj i motywacji, a nie zmiany trenera – odezwał się kapitan, Radek Warski.

Cieszył się na tyle dużym posłuchem, że kiedy zabierał głos, inni milczeli. I najczęściej brali sobie do serca to, co mówił.

– Trener powinien dostać jeszcze przynajmniej kilka meczów, żeby spokojnie zrealizować swoje założenia taktyczne – dodał.

– Pełna zgoda – poparł go Oleo, rezerwowy bramkarz. – Zresztą te ostatnie dziesięć minut pokazało, że...

– Dziesięć minut? – uciął Szpeja. – Co to jest? Na tej podstawie miałyby ocalić dupę?

– Na podstawie dwóch goli – odparował Olejarczyk. – I karnego, który mógł dać nam remis.

– Mógł. Ale nie dał.

Benhardt miał dosyć, szczególnie że wiedział, w jakim kierunku pójdzie ta rozmowa.

– Dobra, wystarczy – rzucił głośno. – Kto jest ze mną, zapraszam. Kto nie, niech to sobie jakoś moralnie rozwiąże.

Adam obrócił się i ruszył w stronę murawy. Nie miał pojęcia, jak na te słowa zareagują piłkarze – na dobrą sprawę sam nie był pewien, czy uda mu się zrealizować własny plan.

Kiedy całą drużyną stanęli przed Melerem, ten zaczął mówić o dzisiejszych ćwiczeniach. W sprawach taktyki zdawał się co chwilę sobie zaprzeczać, ale nikt się nie odezwał, nikt nie zwrócił mu uwagi.

Zawodnicy w milczeniu przyjęli jego mądrości, po czym trener zarządził rozpoczęcie właściwych ćwiczeń. Mieli wykonać proste zadania, skupiając się na sprincie między poustawianymi przez Melera pachółkami.

Nikt się nie poruszył.

– No, jedziemy – ponaglił ich Przemysław.

Wciąż nic. Piłkarze stali niemal w postawie zasadniczej, z rękoma skrzyżowanymi za plecami. Przywodzili na myśl tych, którzy przed rozpoczęciem meczu czekają, aż wybrzmi hymn.

– Dalej, dalej, panowie! Nie mamy całego dnia.

Dopiero teraz Meler zorientował się, że coś jest nie w porządku. Wszyscy wbijali wzrok w jakiś punkt przed sobą i kompletnie ignorowali jego słowa.

– Nie róbcie sobie jaj – rzucił Przemysław. – Bierzemy się do roboty!

Nadal nie uzyskał odpowiedzi, nikt nie pokusił się nawet o zdawkową reakcję.

– Dajcie spokój – jęknął. – Co wy odpierdalacie?

Cisza. Benhardt rzucił okiem na Gregora, obawiając się, że ten się wyłamie. Napastnik zachowywał się jednak identycznie jak reszta zespołu.

– Naprawdę macie zamiar narażać się szefostwu przez wzgląd na Krygiera?

Meler potoczył wzrokiem po piłkarzach, starając się znaleźć kogoś, na kogo mógłby liczyć. Na tym etapie musiał już sobie uświadomić, że zawodnicy dogadali się przed tym, jak do niego podeszli. I że solidarność w zespole najwyraźniej była większa, niż się spodziewał.

Adam na dobrą sprawę sam nie wiedział, na ile solidna się okaże. Wprawdzie Gregor ostatecznie zgodził się na ten protest, ale nie wyglądał, jakby mógł pochwalić się niezachwianą pewnością, że robią dobrze.

– Posypią się kary finansowe – dodał Przemysław. – I to nie symboliczne.

Zaczął chodzić wzdłuż stojących w szeregu piłkarzy.

– Odmowa udziału w treningu może prowadzić nawet do rozwiązania kontraktów – ciągnął. – Naprawdę jesteście na to gotowi? Dla trenera, który tak naprawdę nic nie osiągnął? I przegrał sześć ostatnich meczów z rzędu?

Nikt nie zabrał głosu, a Przemysław w końcu zorientował się, że stojąca kawałek dalej Kala wszystko nagrywa.

– Hej! – krzyknął do niej. – Wyłącz to!

Benhardt cicho odchrząknął.

– Słyszysz mnie? Przestań to kręcić!

Tym razem Adam pozwolił sobie na analogiczną, ale nieco głośniejszą reakcję. Meler w końcu skupił na nim uwagę.

– Ona to transmituje na żywo, trenerze – oznajmił.

Przemysław ze strachem zerknął prosto w obiektyw telefonu. Nie mógł nic zrobić, mleko się rozlało. Zaklął pod nosem, a potem wbił wściekłe spojrzenie w Bena.

– Ty na to wpadłeś? – syknął.

Adam już otwierał usta, by się odezwać.

– Nie – uprzedził go Radosław Warski. – To była decyzja całego zespołu.

Skoro kapitan tak twierdził, Benhardt nie miał zamiaru protestować. Jeśli jednak przyjdzie co do czego, przyzna się przed zarządem, że to on był prowodyrem całego zajścia.

– Pojechało was do reszty – rzucił Przemysław na tyle cicho, by Kalina tego nie zarejestrowała.

Potem machnął ręką i ruszył w kierunku budynku. Piłkarze zostali na płycie, nie poruszając się ani o centymetr. Nie rozmawiali, nie przestępowali nawet z nogi na nogę. Trwali w bezruchu, manifestując wszystko, co istotne.

Po chwili nad stadion nadciągnęły ciemne chmury, a zaraz potem zaczął padać z nich deszcz. Początkowo jedynie siąpiło, widać było jednak, że nie zanosi się na przelotną mżawkę.

Zawodnicy mokli, ale żaden z nich nie zrezygnował. Kalina chodziła tuż obok z kapturem na głowie, kręcąc to, co się działo. Nie miała zamiaru przerywać transmisji.

W końcu kilka parasoli pojawiło się tuż przy wyjściu z budynku. Z tej odległości trudno było dostrzec, kto się pod nimi chowa, Adam jednak przypuszczał, że najważniejsze osoby w klubie.

Nie pomylił się. Na murawie pojawili się Paulina Hejna i Sylwester Budczak, za nimi szła trójka ludzi, chyba członkowie zarządu. Zatrzymali się przed piłkarzami i zogniskowali spojrzenie na Benie.

Najwyraźniej Meler przekazał, że to najprawdopodobniej on był pomysłodawcą strajku. Oraz że córka Krygiera pokazuje wszystko na żywo w sieci. Inaczej mieliby zupełnie inne wyrazy twarzy.

– To, co próbujecie zrobić, jest całkowicie zrozumiałe – odezwała się Hejna. – I poniekąd ujmujące za serce, bo pokazujecie, jaką wartością w klubie jest przywiązanie do drugiego człowieka.

Benhardt spojrział na nią, a potem na komórkę. Przewrócił oczami, nie mając pojęcia, czy Kala akurat teraz pokazuje jego.

– Ale tak jak w każdym innym zespole, decyzje personalne podejmuje kadra zarządzająca – ciągnęła Paulina. – Nie możecie oczekiwać od nas, że...

– Oczekujemy tylko sprawiedliwego traktowania – wpadł jej w słowo Adam.

Hejna skupiła na nim wzrok, odchylając parasolkę lekko do tyłu.

– A trenera bynajmniej to nie spotkało – dorzucił Ben. – Powinien dostać jeszcze jedną szansę, zasłużył na nią. Zamiast tego postanowiliście zrobić z niego zderzak, który weźmie na siebie wszystko, co najgorsze, i oczyści przedpole następcy. Nie godzimy się na to.

– Cóż, nie w waszej gestii leży...

– Nie będziemy trenować z nikim innym – uciął Benhardt. – Możecie nakładać na nas kary finansowe, nawet grozić usunięciem z klubu. Ale nie dotkniemy piłki, dopóki trener Krygier nie dostanie sensownej szansy.

– Posłuchaj...

– Nie – uciął Adam, wychodząc przed szereg i opuszczając ręce za plecami. – To pani niech posłucha.

Hejna uniosła brwi z niedowierzaniem, choć Ben odniósł wrażenie, że przez jej twarz przemknął także przebłysk satysfakcji.

– Nie będziemy trenować bez niego – oznajmił. – Nie będziemy też bez niego grać. Albo przywrócić go na stanowisko i dacie mu szansę, albo nie liczcie na to, że macie zespół.

Paulina obejrzała się na swojego szefa, który sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar tu i teraz pożegnać się z najnowszym nabytkiem Rewery.

– Do końca sezonu mamy dziesięć meczów – podjął Adam. – Stać was na to, by dać mu choćby jeszcze trzy. Jeśli będzie sobie radził, nic nie tracicie. Jeśli nie, nowy szkoleniowiec i tak jest w drodze.

Hejna wyraźnie miała nadzieję, że prezes choćby rozważy ugięcie się pod tymi żądaniem. Jego twarz nie zdradzała jednak na to najmniejszej gotowości.

– Przejdźmy może do środka, tam na spokojnie...

– Nie – przerwał Paulinie Budczak. – Nie będzie żadnych rozmów, decyzja została podjęta przez zarząd.

Przesunął pełnym rozczarowania i złości wzrokiem po piłkarzach, a potem głęboko westchnął.

– Kary finansowe po pięć tysięcy dla każdego – oznajmił. – Dla Benhardta dziesięć.

Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, Sylwester odwrócił się, a potem razem z członkami zarządu ruszył z powrotem w stronę budynku. Kalina kręciła jego odejście, po czym skierowała obiektyw na Hejnę.

Ta wyraźnie nie wiedziała, co ma zrobić.

– Porozmawiam z nim – rzuciła do Adama, a potem zaczęła się oddalać.

Dalszy protest nie miał sensu, osiągnęli dziś właściwie tyle, ile mogli. Poczekali jeszcze trochę, ale nikt już do nich nie wyszedł. Ostatecznie więc wrócili do szatni, a potem przebrali się i rozjechali do domów z nadzieją, że następnego dnia pójdzie im lepiej.

Plan, który pospiesznie przedstawił im Ben – i na który wszyscy się zgodzili – nie zakładał jednoetapowego działania. Przeciwnie, główne i najmocniejsze uderzenie mieli dopiero wyprowadzić.

Dla wielu początkowo brzmiało to jak szaleństwo, im dłużej jednak wytrwali w swojej postawie, tym bardziej było oczywiste, że nikt nie zdezerteruje. Stawali się monolitem.

Podczas kolejnego treningu przedmeczowego zdecydowali się na strajk włoski, by zminimalizować ryzyko kar finansowych. Podawali wolno i precyzyjnie, nie biegali za dużo i generalnie przywodzili na myśl Lewandowskiego na treningach Bayernu, kiedy starał się o transfer do Barcelony.

Sztab odbywał rozmowy indywidualne, wychodząc z założenia, że w ten sposób któryś z zawodników szybciej się ugnie. Nic takiego się nie wydarzyło, a opór ze strony włodarzy klubu tylko cementował upór piłkarzy.

Kolejny mecz miał odbyć się na Stadionie im. Dawida Żerskiego. Do Opola przyjechał zespół Bzury Łódź, niegdyś trenowany przez Witka. Ostatnie spotkanie miało miejsce parę kolejek temu i Rewera przegrała wówczas trzy do zera.

Teraz wszyscy spodziewali się powtórki z rozrywki.

Kiedy drużyny wyszły na murawę, wydarzyło się jednak coś, czego żaden komentator się nie spodziewał.

Krótko po pierwszym gwizdku jeden z opolan wykopał piłkę poza linię boczną, choć nie miał ku temu żadnego powodu. Potem cała drużyna nagle ruszyła w kierunku szatni.

Przyjezdni piłkarze patrzyli po sobie niepewnie, nie wiedząc, jak na to zareagować. Bramkarz Rewery ściągnął rękawice, rzucił nimi do bramki, a potem razem z resztą zespołu zszedł z boiska.

Sędzia przerwał grę, równie skonsternowany jak zawodnicy z Łodzi.

Benhardt i reszta przeszli w milczeniu przez korytarz, kierując się do szatni. Ignorowali głośne obelgi ze strony Melera, wzywającego ich, by natychmiast wrócili na murawę, bo inaczej pożegnają się z klubem.

W szatni zajęli swoje miejsca i zaczęli spokojnie rozwiązywać buty.

– Popierdoliło was?! – ryknął Przemysław.

Nikt mu nie odpowiedział, wszyscy zachowywali modelowy spokój. To rozsierdziło go jeszcze bardziej, w porę jednak z trybun zeszli Hejna i Budczak.

Paulina robiła wszystko, by nie było po niej widać, jak zadowolona jest z postawy piłkarzy. Z pewnością nie umknęłoby to ani prezesowi, ani tymczasowemu trenerowi, ale obaj skupiali się wyłącznie na zawodnikach.

– Poprzewracało wam się w dupach? – warknął Sylwester. – Co wy sobie wyobrażacie?

Benhardt podniósł głowę.

– Że trener Krygier wziął od was dokumenty, ale jeszcze ich nie podpisał.

– Co?

– A przynajmniej tak twierdzi jego córka.

Adam znacząco spojrzał na Hejnę, mając nadzieję, że ta w mig załapie. Przez moment wpatrywała się w niego tak intensywnie, że poczuł się nieswojo. Zaraz potem jednak błysk w jej oczach kazał sądzić, że podanie trafiło do adresata.

– Ben ma rację – odezwała się. – Nie dostaliśmy papierologii od Witka.

– Jak nie, do cholery?

– Wszyscy sądziliśmy, że to formalność.

– Niech mnie chuj...

– Zasadniczo więc w świetle prawa nie rozwiązaliśmy umowy.

Gdyby go wywalili, sytuacja byłaby inna. Ale szefostwo chciało zadbać o dobry PR, dogadali się więc z Witkiem, że rozwiążą kontrakt za porozumieniem stron. Nie dał im powodów sądzić, że będą z tym jakiegokolwiek problemy.

I być może rzeczywiście by się ich nie doczekali, gdyby nie protest piłkarzy i determinacja Kaliny. Przekonała ojca, by poczekał. I by zrobił jeszcze coś.

– Tak się składa, że trener ogląda dziś mecz z trybun – oznajmił Adam.

– Słucham?

– Kupił bilet. Jest na miejscu.

Budczak odwrócił się w kierunku drzwi, by ukryć swoją reakcję. Potrzebował chwili, by choć trochę opanować emocje.

– Niewiarygodne – burknął. – Ukartowaliście to wszystko?

- W żadnym wypadku, panie prezesie.
- Gówno prawda.
- Ale skoro już zaistniała taka sytuacja, to...
- To co? – przerwał Benowi Sylwester. – Co wy sobie wyobrażacie?
- Że będziemy kontynuować grę z naszym obecnym szkoleniowcem – włączył się Warski.

Szef klubu zgromił swojego kapitana ciężkim spojrzeniem, jakby chciał zapytać, czy Brutus także występuje przeciwko niemu.

- I że dostanie trzymeczową szansę – dodał Gregor.
- Obawiamy się, że inaczej nikt w pomarańczowej koszulce nie wyjdzie na murawę – rzucił Oleo.
- Trudno powiedzieć, co się wtedy stanie – uzupełnił Sandał.
- Ale można się domyślić, że chyba będzie walkower – dokończył Gaudi.
- Albo gorzej – włączył się Antek Rebski. – Kara na parę meczów, może nawet dyskwalifikacja.

Prezes trwał w całkowitym bezruchu, ważąc swoje opcje. Nie miał ich wiele. Gdyby ta sytuacja miała miejsce dzień wcześniej, po prostu przenieśliby piłkarzy z juniorów i rezerw, bez względu na to, czy byli gotowi, czy nie.

Teraz jednak mecz się rozpoczął, mogli grać jedynie zgłoszeni zawodnicy.

- Niech was wszystkich, kurwa, chuj jasny strzeli – syknął.

Benhardt chciał zgłębić, co konkretnie to oznacza, ale Budczak nie dał nikomu okazji na zadawanie pytań. Obrócił się na pięcie, po czym szybko opuścił szatnię. Paulina Hejna została chwilę dłużej, posyłając pełne satysfakcji spojrzenie Benowi.

Potem zostali sami, z pola walki znikł nawet Meler, który dotychczas przysłuchiwał się wszystkiemu z chorobliwym przejęciem. Pod koniec wyglądał, jakby miał za moment zemdleć.

Siedzieli w milczeniu i czekali. Po chwili zaczęli wymieniać się zdawkowymi spekulacjami, ale na dobrą sprawę nikt nie wiedział, jak potoczy się sytuacja.

W końcu drzwi się otworzyły, ale nikt się w nich nie pojawił.

Wszyscy wbili wzrok w pusty korytarz, niepewni, co się dzieje.

Zaraz potem dobiegły z niego dźwięki Scandalu – The Warrior.

PÓŹNIEJ SEZON 2022/2023

Via Laietana, Barcelona

Podinspektor Ramón Pérez siedział przy metalowym stole naprzeciwko chłopaka, który sprawiał wrażenie, jakby miał za moment zemdleć. Właściwie mu się nie dziwił. Polak był ewidentnie pijany, być może naćpany, w dodatku nie radził sobie z emocjami. Twarz miał prawie przezroczystą, oczy czerwone jak królik, a wzrok całkowicie mętny.

– Jak się nazywasz? – Pérez powtórzył pytanie, które zadał już kilkakrotnie. Wciąż nie doczekał się odpowiedzi.

– Podaj mi chociaż imię.

Nic.

– Mam ci mówić po numerze na koszulce?

Chłopak nawet nie podniósł wzroku.

Ramón ciężko westchnął, żałując, że dał się wyrwać z łóżka w środku nocy. Nie miał dzisiaj służby, planował przespać całą noc aż do rana. Jeden z młodszych oficerów jednak zadzwonił do niego, kiedy na Carrer del Duc zgarnęli zakrwawionego chłopaka.

Mamrotał coś po polsku, w dodatku udawało się nawiązać z nim jedynie minimalny kontakt. Był w szoku, ale coś w jego zachowaniu kazało zatrzymującemu go funkcjonariuszowi sądzić, że nie jest ofiarą żadnego przestępstwa. Raczej sprawcą tego, które kwalifikuje się do najcięższych przewinień.

– Słuchaj... – podjął Pérez, przysuwając się do stołu. – Teraz możemy jeszcze spokojnie porozmawiać. Możesz mi wyjaśnić, co się stało. Przedstawić swoją wersję.

Mówił po angielsku i wiedział, że chłopak rozumie. Oficer dokonujący zatrzymania się o tym przekonał.

– Potem będzie trudniej – ciągnął Ramón. – Pojawiają się komplikacje, prawnicy, sąd i tak dalej. Niełatwo będzie już ci się z tego wygrzebać. Ale ja po prostu chcę ci pomóc, rozumiesz?

Polak niespodziewanie pokiwał głową, choć wciąż robił to, jakby był w jakimś transie. Pewnie tak było, ewidentnie mocno przyćpał.

– Opowiedz mi po prostu, co się stało – spróbował jeszcze raz Pérez.

Chłopak otworzył usta, ale potem przez jego twarz przemknął wyraz bólu. Pokręcił głową, patrząc na swoje dłonie.

Technicy kryminalistyczni pobrali i zabezpieczyli już cały potrzebny materiał dowodowy. Polak mógłby się umyć, ale Ramón uznał, że najlepiej będzie, jeśli tego nie zrobi. Im dłużej był w szoku, tym większa szansa, że chłapnie coś, zanim zjawią się prawnicy.

– Co robiłeś wieczorem? – rzucił. – Byłeś w jakimś klubie? Imprezowałeś? Może ktoś dosypał ci czegoś do drinków? Może na Rambli ktoś sprzedał ci jakąś tabletkę, coś, czego nigdy wcześniej nie próbowałeś?

Nadal zero reakcji.

– Ktoś cię zaatakował? – dodał Pérez. – Broniłeś się? Stąd tyle tej krwi?

Polak lekko pokręcił głową.

Dobry znak, uznał Ramón. Powoli, krok po kroku, być może uda mu się dotrzeć do chłopaka na tyle, by padło choćby jedno pomocne zdanie.

– Ktoś ci zagroził w jakiś sposób? – podjął. – Biłeś się z kimś?

– Ja...

– Tak?

– Nie chciałem, naprawdę nie chciałem...

– Czego nie chciałeś?

Chłopak przesunął dłonią po twarzy. Krew była już tak mocno zaschnięta, że nie zostawiła żadnych śladów.

Powiedział coś pod nosem, ale zrobił to tak cicho, że Ramón nie usłyszał.

– Co mówisz?

Powtórzył, ale znów niedostatecznie głośno. Dopiero za trzecim razem Pérez wyłapał słowa. I był przekonany, że dyktafon, który pozostawał włączony przez całe to przesłuchanie, również zarejestrował, co trzeba.

– To był wypadek... – odezwał się Polak.

– Domyślam się. Nie chciałeś nikomu wyrządzić krzywdy.

– Nie... nie chciałem...

– Co się stało?

Ramón starał się używać jak najmniej stanowczego, inwazyjnego tonu. Robił wszystko, by w tym zamroczeniu chłopak rzeczywiście potraktował go jak kogoś, kto ma na uwadze jedynie jego dobro.

– Chcę ci pomóc – dodał Pérez. – Ale nie będę mógł tego zrobić, jeśli nie powiesz mi, co się wydarzyło.

Chłopak zwiesił głowę.

– Co się stało? – spróbował ponownie Ramón. – Co to za wypadek?

– Ja...

– Tak?

– Boże...

Znów powiedział coś zbyt cicho, zbyt niewyraźnie.

– Co mówisz? – spytał ostrożnie Pérez.

– Nie chciałem...

– Czego nie chciałeś?

– Zabić go.

Ramón odetchnął głęboko. Miał już to, czego najbardziej potrzebował. Teraz pozostało mu jedynie wyciągnąć z chłopaka szczegóły.

SEZON 2021/2022

21–26 KOLEJKA

1

Stadion Rewery Opole, ul. Wygonowa

Na odprawę przedmeczową nie było czasu, zresztą formalnie spotkanie już trwało. Szczęśliwie piłkarze Witka grali z Bzurą Łódź nie tak dawno temu, więc wszelkie analizy były nadal aktualne. Jediną istotną zmianą był fakt, że w zespole aktualnych gospodarzy pojawił się nowy piłkarz.

Piłkarz, którego nie było w wyjściowej jedenastce.

Idąc tunelem w kierunku murawy, Krygier obrócił głowę w stronę swojego asystenta. Nie musiał pytać go o powód, dla którego ten nie zdecydował się na włączenie Bena do podstawowego składu. Sytuacja była oczywista.

Po lwie Kaliny na Instagramie każdy z łatwością połapał się, że to Benhardt był pomysłodawcą całego tego protestu. Witek spodziewał się, że zdania w internecie będą podzielone, jak to zazwyczaj bywa. Rzeczywistość okazała się jednak inna.

Wszyscy stanęli murem za zwolnionym szkoleniowcem. Nawet kibice innych zespołów docenili solidarność piłkarzy ze swoim trenerem i podkreślali, że w tej całkowicie niespotykanej sytuacji powinien dostać więcej czasu.

Budczak musiał mieć to na względzie, kiedy przed momentem podejmował decyzję o pozwoleniu Witkowi na poprowadzenie Rewery w tym meczu. Same protesty piłkarzy by nie wystarczyły – w połączeniu z opinią publiczną nabrały jednak ciężaru broni atomowej.

– Obyś wiedział, co robisz – odezwał się Przemysław, kiedy wychodzili z tunelu na murawę.

Witek nie odpowiedział. Nie musiał. Zrobili to bowiem za niego kibice.

Kiedy tylko zobaczyli swojego trenera, nagle podniosła się wrzawa. Kilkadziesiąt tysięcy gardeł ryknęło, a do oklasków po chwili przyłączyli się

także kibice drużyny przeciwnej. Stojący na murawie łodzianie też złożyli ręce do braw, co sprawiło, że pod Krygierem niemal ugięły się nogi.

Był to niesamowity pokaz tego, jak futbol potrafił jednoczyć. I jakie wartości tak naprawdę w nim drzemały – pod całą tą warstwą gigantycznych pieniędzy, niebotycznych transferów i piłkarzy-celebrytów ten sport w istocie opierał się na paradygmatach moralności. I cały stadion Rewery Opole w tej chwili dawał temu świadectwo.

Witek nie był trenerem, który zdążył dać cokolwiek kibicom. Nic nie osiągnął i nie miał się czym pochwalić. Mógł poszczycić się jedynie tym, że oddał zespołowi serce. I ludziom zebranych na trybunach to w zupełności wystarczało.

Usiadł na ławce trenerskiej, wciąż nie dowierzając. Dopiero po chwili zorientował się, że tuż obok znalazła się jego córka. Spojrzał na nią ze wzruszeniem w oczach, a potem na moment ją objął. Nie miał świadomości, że wyłapały to kamery stadionowe. Nagle jednak rozległa się kolejna eksplozja wiwatów, która dobitnie mu to uświadomiła.

– Nie rób wstydu – odezwała się Kala.

Poklepał ją mocno po plecach, jakby miał nie córkę, ale syna.

– I co z Benem?

Witek błagalnie uniósł wzrok.

– A musisz tak ciągle o nim? – rzucił.

– Pytam, bo jakkolwiek by było, to największy atut twojego zespołu.

– Doprawdy?

– Mhm – potwierdziła. – A nikt nie wpadł na to, żeby wpuścić mnie do szatni, więc nie wiem, co tam się działo.

Skończyła nagrywać zaraz po tym, jak wybrzmiały dźwięki piosenki, co dla obserwujących jej relacje być może nie było wymarzonym scenariuszem. Krygier nie mógł jednak pozwolić sobie na to, by ktoś podejrzwał przedmeczowe konkrety praktycznie na żywo.

Witek wskazał wzrokiem w prawo, gdzie Benhardt właśnie rozgrzewał się w stroju wyjściowym.

– Wchodzi od pierwszej minuty – oznajmił Witek. – Czy może już raczej drugiej.

– Dobry ruch – pochwaliła go Kalina. – Za Gregora?

– Nie.

– To jak będziecie grać?

– Normalnie, 4–2–3–1.

– Czyli dajesz Adama na ofensywnego pomocnika? Za plecami Szpei?

– Tak.

– Nie lepiej odwrotnie?

– Nie – odparł Krygier. – Benhardt ma szerokie spektrum możliwości, Gregor jest klasyczną dziewiątką.

– To posadź go na ławce.

Witek kontrolnie zerknął na piłkarzy siedzących obok. Szczęśliwie żaden nie zdawał się usłyszeć tej uwagi.

– Nie mogę – odparł. – Zrobiłby się ferment w drużynie, a w tej chwili mamy morale tak wysokie, że będą latać po murawie.

Musiał dokonać jeszcze jednej zmiany, przesuając Sandała ze środka pomocy na drugiego pivota obok Gaudiego. Szczęśliwie ćwiczył z nimi to ustawienie i wiedział, że Krzysiek Sandauer dobrze radzi sobie na tej pozycji.

Krygier spojrzał na piłkarzy obydwu stron, którzy przygotowywali się do wznowienia gry od rzutu sędziowskiego. Musiał oddać łodzianom, że zachowali się wzorowo – niejeden zespół na ich miejscu, widząc pustą bramkę, po prostu skierowałby do niej futbolówkę.

Z pewnością niektórym piłkarzom przeszło to przez myśl. Ostatecznie jednak wszyscy wiedzieli, co się dzieje. Znali powody. Nie zamierzali wykorzystywać tej sytuacji dla realizowania partykularnych interesów.

Rozbrzmiał gwizdek, sędzia upuścił piłkę, a zawodnik z Opoła się cofnął. Przeciwnik kopnął ją mocno poza linię boczną na połowie Rewery. Znow rozległy się oklaski za obydwa gesty fair play.

Przerwanie gry umożliwiło także przeprowadzenie zmiany. Na wyświetlaczu na zielono pojawił się numer 15, a zaraz potem Adam Benhardt wbiegł na boisko. Pochylił się i przesunął dłonią po murawie, po czym popędził na swoje miejsce, zagrzewając kolegów do walki.

Przez parę minut opolanie grali jak najęci. Chodzili jak w zegarku, wymieniali szybkie, zdecydowane podania, zdawali się grać w ciemno. Przesuwali się szybko i sprawnie pod bramkę rywali, a kiedy tracili piłkę, natychmiast nacierali na przeciwnika, nawet jeśli ten znajdował się w swojej strefie obronnej.

– Tak mają grać – rzucił Witek, nie odrywając wzroku od tego, co działo się na boisku. – Tak to miało wyglądać od początku.

– Byleby tylko nie klapnęli – odparła Kala.

– Nie klapną.

– Zdarzało im się do tej pory.

– Bo nie byli drużyną – ocenił Krygier. – Teraz się nią stali.

Jakby na potwierdzenie jego słów nacierający środkiem Gregor odegrał do nabiegającego Benhardta. Ten przyjął tak, że od razu zgubił obrońcę. Błyskawicznie się rozejrzał i wypatrzył wchodzącego w pole karnego Gaudiego.

Odegrał do niego i sam popędził ku bramce.

Łukasz nawet nie przyjmował futbolówki. Z pierwszej piłki odegrał do Bena, a ten momentalnie złożył się do strzału i huknął z linii pola karnego.

Silnie zrotowana piłka pomknęła w kierunku bramki. Golkipier rzucił się ku prawemu okienku, ale nawet nie trącił futbolówki opuszkami palców.

Wpadła w miejsce poza zasięgiem jakiegokolwiek bramkarza na świecie.

Witek wyskoczył z ławki trenerskiej razem z całym swoim sztabem i córką. Znikąd pojawił się Meler, który przyciągnął go mocno do siebie i zaczął klepać po plecach. Stadion zwariował. Podniosła się wrzawa tak duża, że ziemia pod stopami zdawała się trząść.

Krygierowi udało się wyrwać z uścisków na tyle, by choćby rzucić okiem w stronę Adama i unieść ręce w geście celebracji. Był ściskany przez kolegów z zespołu, a publiczność nadal wyła wniebogłosy.

Nie minęła sekunda, a zaczęli skandować jego nazwisko.

Nic dziwnego. Po debiucie i tym, co zorganizował w klubie, zaprzepaszczając lwią część swojej pierwszej wypłaty, zyskał sobie sympatię. A piękną akcją z klepki potwierdził, że jest kimś, na kogo warto zwrócić uwagę.

Łodzianie jednak nie mieli zamiaru odpuszczać, pomni tego, jak ostatnim razem rozgromili Rewerę. Przez dobre pół godziny trwała wymiana ciosów, niewiele jednak z niej wynikało.

W czterdziestej minucie meczu akcja przeniosła się pod bramkę opolan. Piłkarze Bzury wymienili parę podań, rozmontowując obronę gospodarzy, a potem padło groźne, dochodzące dośrodkowanie.

Jeden z zawodników wybił się wyżej niż obrońca. Golkipier wybronił, ale zderzył się z innym napastnikiem i bezładnie padł na murawę.

Niemal natychmiast złapał się za kolano i skrzywił. Chciał się podnieść, ale momentalnie na jego twarzy pojawił się wyraz przemożnego bólu. Zaczął skręcać się na linii bramkowej, a dla Witka stało się jasne, że bez noszy się nie obejdzie.

– Kurwa mać – syknął.

W momencie, kiedy sanitariusze pognali w kierunku bramkarza, Krygier spojrzał na Pawła Olejarczyka, rezerwowego golkipera.

– Oleo, rozgrzewaj się.

Chłopak szybko skinął głową i przystąpił do dzieła. Nie debiutował jeszcze w lidze, Witek wyciągnął go z małego zespołu w A klasie, dostrzegając potencjał. Nie sądził jednak, by młody był już dziś gotów na walkę o miejsce w pierwszym składzie.

Trudno, będzie musiał stanąć na wysokości zadania, bo nie zanosilo się na to, że podstawowemu golkeeperowi uda się kontynuować grę.

Tuż po zmianie Oleo wznowił grę ze swojego pola karnego. Wykop był dobry, ale zawodnik, do którego skierował podanie, stracił piłkę na rzecz rywala.

Ten natychmiast skorzystał. Łodzianie ruszyli do ataku, pędząc na złamanie karku. Błyskawicznie znaleźli się pod polem karnym, ewidentnie poczuwszy krew. Jeden z pomocników oddał mocny strzał, Olejarczyk obronił. Sparował jednak piłkę na tyle niefortunnie, że dostała się pod nogi napastnika Bzury Łódź.

Strzelenie gola z tej pozycji nie nastroczało żadnego problemu. Piłkarz doprowadził do remisu, a potem czym prędzej zabrał futbolówkę i pobiegł na środek boiska, jakby jeszcze przed przerwą goście chcieli wcisnąć kolejną bramkę.

– Niech to chuj – mruknął Witek.

– Jego drugi kontakt z piłką – odezwała się Kala. – Trudno wymagać...

– Nie winię go – uciał szybko Krygier. – Zrobił, co mógł. Inne rzeczy przychodzą z doświadczeniem.

A Oleo wyglądał na człowieka, który miał zadatki do szybkiego uczenia się. Na tyle, iż Witek nie spodziewał się, by kiedykolwiek powtarzał popełniane błędy.

Zawodnicy Rewery wznowili, od razu starając się przejść do ataku i wytrącić przeciwnika z rytmu. Na próżno. Łodzianie odzyskali piłkę, po czym szybko przenieśli grę na połowę gospodarzy.

Znów paroma podaniami rozluźnili ich szyki obronne. Lewemu skrzydłowemu udało się zgubić krycie, posłał piłkę mocnym podaniem po ziemi w kierunku bramki. Wystarczyło dostawić nogę.

I jeden z piłkarzy to zrobił. Pech chciał, że był to Gaudi.

Futbolówka wpadła do siatki.

2:1 dla Bzury Łódź po голу samobójczym.

Witek zaklął cicho i przesunął dłońmi po twarzy. Mimowolnie zaczął myśleć o tym, co oznaczałaby dla niego kolejna porażka. Nie ustalił żadnych zasad z prezesem ani Hejną. Być może rzeczywiście dostanie trzy mecze, tak jak chcieli tego piłkarze. Ale bardziej prawdopodobne wydawało się, że przegrana

zostanie użyta jako argument za jego zwolnieniem, tym razem na dobre i bez obustronnego porozumienia.

Krygier dostrzegł, że do sprawcy samobója podbiega Adam, a potem mocno klepie go po karku, jakby chciał wybudzić go z jakiejś śpiączki. Gaudi skinął głową, wyglądał jednak, jakby przez ten niefortunny kontakt z piłką coś w nim pękło.

Stojąc przy linii bocznej, Witek zagrzewał zarówno jego, jak i pozostałych swoich piłkarzy do walki. Widział jednak, że jej wola w nich niknie. I zaowocowało to dość boleśnie dla zespołu.

Po utracie piłki w środkowej strefie boiska zawodnicy Bzury rozproszili ją modelowo, a potem jeden z nich wpakował ją do siatki.

Do szatni zespoły schodziły przy stanie 3:1 dla łodzian. Krygier opuścił boisko jako pierwszy, zastanawiając się, co zrobić, by zachować choćby hipotetyczną szansę na odwrócenie losów spotkania.

Kiedy wszyscy znaleźli się w szatni i drzwi się zamknęły, stanął na środku i powiódł wzrokiem po piłkarzach. Gregor ściągnął przemoczoną koszulkę i cisnął ją na podłogę, Gaudi siedział ze spuszczoną głową, Oleo zaś wpatrywał się w sufit pustym wzrokiem.

Większość nie uspokoiła jeszcze nawet oddechu, pot lał się z nich strumieniami.

Witek przysunął białą tablicę na kółkach, na której widniały rozrysowane pozycje i piłkarze. Przez moment pokazywał im, czego oczekuje w drugiej połowie. Obawiał się, że Gregor będzie oponował, ale był chyba zbyt przybity, by odnaleźć w sobie na to energię.

Należało jak najszybciej zabrać się do motywowania tych ludzi. I Witek postanowił to zrobić, kiedy tylko uporał się ze szczegółami taktycznymi.

– Początek mieliście idealny – zaczął. – Wiecie, co się później spierdoliło?

Nikt nie odpowiadał.

– Przestaliście grać nie dlatego, że nagle ubyło wam umiejętności. I nie dlatego, że przeciwnik znienacka wyposażył się w jakieś nowe, wcześniej nieodkryte talenty.

Witek dotknął skroni.

– Problem znów jest tutaj – oznajmił. – Psychika wam siada. Dopóki wszystko idzie dobrze, gracie jak z nut. Jak tylko jednak dochodzi do jakiejś problematycznej sytuacji, a przeciwnik ciśnie, kulicie się w sobie i uznajecie się za gorszych. A nie daj Boże, jak strzelą nam bramkę. Wtedy wyglądacie, jakbyście już przegrali mecz.

Zaczął chodzić po szatni, przyglądając się każdemu z osobna.

– W pewnym sensie rozumiem – podjął. – Część z was dalej widzi się jako piłkarzy, którzy psim swędem przemknęli się do Ekstraligi. Którzy weszli do niej bocznym wejściem, i to tylko dlatego, że na gwałt potrzebowaliśmy zawodników. Gówno prawda. Wybierałem każdego z was z pełnym przekonaniem, że możecie grać w najwyższej klasie rozgrywkowej na poziomie, który zagrozi innym drużynom. Niczym im nie ustępujecie, wprost przeciwnie. Macie błysk, jakiego brakuje innym. Problem polega na tym, że przy pierwszych kłopotach gaśnie.

Krygier nabrał tchu, wciąż szukając sposobu, by dotrzeć do piłkarzy. Każdy trener w takich okolicznościach próbował wykrzesać coś, co może podnieść ich morale – każdy trener wiedział bowiem, że to ono o wszystkim decyduje.

Większość tych, których znał Witek, wykladało wprost to, co w takich sytuacjach radzili psychologowie sportu. Problem polegał na tym, że najczęściej było to tak podręcznikowe i czysto teoretyczne, że nie mogło dotrzeć do chłopaków niezgłębiających meandrów tej nauki na co dzień.

– Słuchajcie, sprawa jest jasna – dodał Witek. – Albo nauczycie się, jak porządnie pierdolić fakt, że coś nie idzie po waszej myśli, albo będziecie dostawać w dupę.

Kilka osób skinęło głowami.

– Straciliście piłkę? Szkoda, ale to nie tragedia, za moment ją odzyskacie. Ktoś popełnił błąd? Nie szkodzi, ma czas, żeby go naprawić dziesięć razy. Przeciwnik wbił gola? Trudno, zaraz go, kurwa, odrobicie.

Krygier klasnął kilkakrotnie.

– Więcej wiary! – krzyknął. – Pokonaliście zarząd klubu, a nie potraficie poradzić sobie z własną słabością? Uwierzcie, do kurwy nędzy, że jesteście najlepszymi ludźmi, których mógłbym mieć w drużynie. Nie zamieniłbym ani jednego z was na nikogo innego. A to, coście odjebali prezesowi, tylko potwierdza, jakie macie jaja. Teraz czas pokazać je, kurwa, na boisku!

Wzniosły się okrzyki, a Witek natychmiast skorzystał z okazji i sięgnął po ścieżkę dźwiękową. Z przenośnego głośnika na cały regulator ryknęło Danger Zone Kenny'ego Logginsa.

Krygier nie był pewien, jak zareagują zawodnicy. Wszyscy stali się jednak tak nabuzowani, że dodatkowe doładowanie muzyczne z lat osiemdziesiątych, kojarzone głównie z Top Gunem, zrobiło swoje.

– Macie ich tam zniszczyć, jasne? – rzucił Witek.

Odpowiedzieli niemal unisono, wzajemnie zagrzewając się do walki, klepiąc po plecach i hałasując w rytm muzyki. Trener miał wrażenie, że trzęsie się cała szatnia. Właśnie tego potrzebował.

– Mecz jest do wygrania! – krzyknął tuż po tym, jak rozbrzmiał dzwonek wzywający drużyny do powrotu na murawę. – Jak ich przyciśnięcie, pogubią się! A teraz do roboty. Udowodnijcie, że przywróciliście trenera nie bez powodu! Siła w jedności!

Kiedy wyszli na boisko, Krygier poczuł, że córka delikatnie go szturcha.

– Dużo masz jeszcze tych kawałków z lat osiemdziesiątych? – spytała cicho.

– Tyle, ile będzie trzeba.

Kala się uśmiechnęła, a on zajął miejsce na ławce trenerskiej. Dźwięki starej piosenki wciąż rozbrzmiewały mu w głowie. Wydawały się napędzać piłkarzy Rewery, którzy od pierwszej minuty ruszyli do bezpardonowego ataku.

2

Stadion im. Dawida Żerskiego, Opole

Mieli grać z trzema napastnikami, znacznie modyfikując taktykę, w której zaczęli spotkanie. Benhardt był na środku, co wiązało się z potencjalnymi protestami ze strony Gregora, który został przesunięty dalej na skrzydło.

Zdawał się jednak zupełnie ignorować fakt, że ktoś inny zajmuje miejsce klasycznej dziewiątki w zespole.

Przez pierwszych dziesięć minut gry atakowali, jakby faktycznie mieli zamiar wydrzeć łodzianom zwycięstwo. Ci jednak, widząc, co się dzieje, zamknęli się w swojej strefie boiska i niespecjalnie ryzykowali.

Taktykę „parkowania autobusu”, stosowaną często przez José Mourinho, mieli opanowaną do perfekcji. Praktycznie zamurowali swoją bramkę, a zawodnicy Rewery nie mogli stworzyć żadnych dogodnych okazji.

W dodatku krycie koncentrowało się teraz na Benie, który nie miał właściwie żadnego pola manewru. Dwoił się i troił, ale kiedy tylko dostawał piłkę, od razu doskakiwał do niego tandem obrońców i skutecznie niwelował zagrożenie.

Zmiana taktyki też niespecjalnie się przysłużyła. Szpeja gubił się nieco, a przesunięta do przodu linia pomocy nie mogła odnaleźć właściwego rytmu.

Jedyny plus był taki, że Bzura miała niewiele okazji bramkowych. Czekali na kontratak, ale piłkarze Rewery zachowywali czujność.

Minęła godzina gry, zostały jedynie dwa kwadransy. Adam zastanawiał się, czy wpadną w końcu na jakiś sposób, który pozwoli choćby pomarzyć o zwycięstwie.

Siedemdziesiąta druga minuta.

Wciąż trzy do jednego dla łodzian. Zanosilo się na to, że wynik pozostanie niezmienny do końca meczu. Dwanaście minut było niewystarczającym czasem, by przebić się przez skonsolidowaną i czujną defensywę Bzury.

W pewnym momencie Witek skorzystał z okazji, że miał obydwu czołowych napastników przy ławce trenerskiej, i wykrzyknął kilka instrukcji. Były na tyle zawołane, że przeciwnicy nie powinni się połapać.

W jego oczach kołatało jednak pytanie, czy Benhardt jest gotowy na to, co Szpeja zrobił w poprzednim meczu.

Był.

Nie musiał zastanawiać się dwa razy, by stwierdzić, że tym razem to on powinien zagrać jako fałszywa dziewiątka.

Kiedy piłka trafiła do niego przed polem karnym, zamiast ruszyć na bramkę, zaczął tańczyć z futbolówką wzdłuż linii. Ściągnął na siebie jednego i drugiego obrońcę, po czym kątem oka dostrzegł, że trzeci, normalnie kryjący Gregora, schodzi w jego stronę, by wspomóc kolegów.

Zmylił go prostym trikiem, świadomy, że Szpeja już podnosi rękę, sygnalizując wyjście na pozycję. Przytrzymał piłkę jeszcze przez moment, obracając się tyłem do bramki. Potem uderzył futbolówkę piętą, pamiętając, gdzie był Gregor.

Kiedy obrócił się, by zobaczyć efekt, Szpeja już przyjmował podanie. Wysunął sobie lekko piłkę, a potem zamachnął się i puścił petardę na krótki słupek. Bramkarz rzucił się i ledwo sięgnął piłkę.

Sparował ją, a ta odbiła się od słupka.

Przez ułamek sekundy wszystko mogło się zdarzyć. Futbolówka nie wpadła jednak do siatki.

Rozległo się głośne przekleństwo, zaraz potem kilka okrzyków z gardeł defensorów. Piłka trafiła pod nogi jednego z nich, ale wszystko działo się zbyt szybko, by ją opanował.

Nabiegający w pełnej prędkości Radek Warski huknął z pierwszej piłki, nic nie robiąc sobie z bliskiej odległości obrońcy.

Bramkarz był bez szans.

Podniosły się wiwaty na trybunach, a kapitan zespołu i strzelec gola natychmiast popędził z piłką na środek boiska.

– Dalej! – rzucił. – Jedziemy!

Siedemdziesiąta czwarta minuta. 3:2.

Czy to się mogło udać?

Wszyscy szybko wrócili na swoją połowę, jakby istniała szansa. Być może zdążą jeszcze wyrównać w końcówce? Im więcej czasu minie, tym mniej zorganizowana będzie obrona łodzian. Może nadarzy się jakaś okazja.

Pojawiła się dziesięć minut później, sześć przed końcem regulaminowego czasu gry.

Gaudi dośrodkował ze skrzydła w kierunku Adama, ale podanie było mocno odchodzące. Benhardt musiał zrobić krok w niewłaściwym kierunku, przez to stracił dobrą pozycję do strzału.

Defensor zareagował jednak o moment za późno, co stworzyło pewną okazję.

Ben stał tyłem do bramki. Piłka leciała na wysokości jego głowy.

Miał tylko jedno wyjście.

Musiałby idealnie wymierzyć moment wybicia, wyskoczyć wyjątkowo wysoko i odpowiednio złożyć się do przewrotki.

Da radę?

Na treningach i w amatorskich meczach ta sztuka zazwyczaj mu się udawała. Nie były to jednak warunki takie jak tu.

Odbił się od ziemi, obracając do góry nogami, i na moment jakby zawisł w powietrzu, równolegle do murawy.

Piłka niemal idealnie wylądowała na bucie. Pomknęła w kierunku bramki z prędkością niemożliwą do osiągnięcia w tej pozycji innym strzałem.

Golkiper próbował interweniować, nie miał jednak najmniejszych szans. Futbolówka pomknęła pod samą poprzeczkę, odbiła się od niej z hukiem i wpadła za linię bramkową.

Kiedy Ben upadał na ziemię, słyszał już ogłuszający, dziki wiwat na trybunach. Tylko dzięki temu wiedział, że trafił.

Podniósł się i uniósł ręce w kierunku sektora opolan. Zaraz potem popędził razem z kolegami ku środkowi boiska, przyjmując tylko zdawkowe, pospieszne gratulacje. Widowiskowy gol miał szansę stać się bramką kolejki, może nawet sezonu, ale nie to było teraz istotne.

Uratowali remis. I mieli jeszcze kilka minut, by będąc na fali, powalczyć o zwycięstwo.

Kiedy jednak łodzianie wznowili grę, stało się jasne, że sami nie zamierzają się poddawać. Przeprowadzali jeden atak za drugim, tłukąc na bramkę Olejarczyka, jakby od odzyskania przewagi zależało ich życie.

Szeregi Rewery były zbyt rozproszone. O ile ze zmianą taktyki w ataku wreszcie zaczęli sobie radzić, o tyle w defensywie powodowała zbyt duży chaos.

Sekundy po końcu regulaminowego czasu gry jeden z zawodników Bzury podał prostopadle do wychodzącego na pozycję napastnika. Ten zmylił obrońcę, przechodząc na jego drugą stronę, a potem go zgubił.

Znalazł się sam na sam z Pawłem Olejarczykiem. Ten rozłożył szeroko ręce, jakby chciał w ten sposób zmniejszyć odległość między słupkami swojej bramki.

– Kurwa... – rzucił nerwowo Benhardt, trzymając się z dala, w okolicach linii środkowej.

Jeszcze przed momentem liczył na kontratak, teraz wyglądało na to, że była to złudna nadzieja.

Czas niemal się zatrzymał, kiedy piłkarz z Łodzi na moment podniósł wzrok, skontrolował, gdzie stoi bramkarz, a potem wziął zamach. Strzelił dołem, w kierunku lewego słupka.

Oleo nie był na to przygotowany. Wyraźnie zakładał, że piłka pomknie w przeciwnym kierunku.

Nie miał jak się wybić, nie było szans, by zdążył rzucić się w tamtym kierunku.

Padł jednak na murawę jak rażony piorunem, wyciągając nogi najdalej, jak potrafił. Udało mu się trącić piłkę czubkiem buta, a ta odbiła się mocno w kierunku linii bocznej.

Przejął ją Gaudi, któremu w oczach jakby zapłonął ogień. Zamarkował podanie do jednego ze znajdujących się najbliżej partnerów, minął dzięki temu przeciwnika, a potem posłał długą piłkę do przodu.

Trafiła pod nogi Benhardta.

Większość piłkarzy Bzury Łódź została na ich połowie. Nie było szans, by wrócili w porę i przyszli w sukurs obrońcom.

Adam natychmiast ruszył przed siebie. Gnał jak szalony, starając się nie zgubić przy tym piłki. Wiedział, że siła rozpędu podczas starcia z defensorami może być dla niego zarówno atutem, jak i przekleństwem.

Kątem oka widział, że kawałek za nim biegnie Gregor, także dając z siebie wszystko.

Było dwóch na trzech.

Para środkowych obrońców ruszyła na nadbiegającego z piłką Bena, boczny czekał na Szpeję.

Piłkarze Rewery Opole w okamgnieniu znaleźli się pod bramką przeciwnika. Benhardt zamarkował strzał, zrobił kiwkę. Potem znów zapozorował uderzenie,

ponownie jednak zamiast je oddać, przeszedł w drybling.

Miał czystą pozycję. Kątem oka dostrzegł jednak, że trzeci z obrońców zdecydował się wspomóc kolegów.

Adamowi pozostały tylko dwie możliwości. Albo tańczyć dalej z defensorami i liczyć na to, że uda się zmylić trzeciego, albo oddać piłkę.

Gregor był na lepszej pozycji, wybór nie był trudny.

Benhardt po raz trzeci udał, że zamierza strzelać. Zamiast tego trącił jednak piłkę drugą nogą, wprawiając przeciwników w kompletną konsternację. Podanie było słabe, ale na tyle niespodziewane, że nikt mu nie zapobiegł.

Futbolówka trafiła pod nogi Szpei. Przyjął ją szybko i sprawnie, zdając sobie sprawę z tego, że bramkarz także nie był gotowy na taki rozwój sytuacji. Wszyscy założyli, że młody będzie chciał się popisać.

Gregor przymierzył, a potem uderzył z całej siły. Piłka wpadła do bramki w miejscu, do którego golkiper nie mógł doskoczyć.

Wydawało się, że wszyscy kibiccie wyskoczyli ze swoich miejsc. Cała ławka Rewery natychmiast wypadła na murawę, zostali przy niej jedynie Witek i jego asystent. Nawet Kala popędziła w kierunku dwóch cieszących się z bramki napastników.

Ben stał z rękami uniesionymi w stronę kibiców, podczas gdy koledzy z drużyny już dopadli do Gregora i ten zniknął w ich uściskach.

Kiedy Adam się obrócił, jego wzrok padł prosto na stojącą kilkanaście metrów dalej Kalę. Zatrzymała się, chyba dopiero teraz się orientując, że wbiegła na boisko. W czarnej bluzie z kapturem, jeansach i białych sneakersach wyglądała jak kibicka, która wdarła się nielegalnie na murawę.

Na moment cały rwetes wokół zdawał się urwać. Stadion jakby zamilkł, na boisku nagle nie było nikogo poza dziewczyną. Benhardt trwał w bezruchu, tak samo jak ona. W końcu lekko się do niego uśmiechnęła, ale nie zdążył odpowiedzieć, nim staranowali go wznoszący zwyczajnie okrzyki Gaudi i Oleo.

Znikła mu z pola widzenia, ale nie z oczu. Miał wrażenie, że jej widok zachował się na trwałe gdzieś na jego powiekach.

– Mamy to, kurwa! – ryczał Łukasz. – Mamy!

Pozostałe okrzyki zlały się w niezrozumiałą dla Bena kakofonię. Przez moment znów nie wiedział, co się dzieje, a kiedy koledzy w końcu wypuścili go z tego obłączenia, jego wzrok padł na Gregora.

Nie zbili nawet piątki, jedynie przelotnie skinęli do siebie głowami, idąc w kierunku linii środkowej.

Piłkarze Bzury wyglądali jak zombie. Jeden z nich powoli ustawił piłkę we właściwym miejscu, a potem zerknął na sędziego. Ledwo ten gwizdnął, by wznowić grę, a zrobił to ponownie, by ją zakończyć.

Cały stadion Rewery Opole zamienił się w jedno wielkie epicentrum radości. Zawodnicy zaczęli celebrować z kibicami, robiąc rundę honorową wzdłuż sektorów gospodarzy, zupełnie jakby zdobyli jakiś puchar lub wygrali ligę.

Wszyscy sympatycy zespołu zdawali sobie sprawę z tego, że na ich oczach właśnie dokonał się przełom.

Pech chciał, że zespoły znajdujące się niżej w tabeli także zaliczyły udane występy. Rewera po dwudziestej pierwszej kolejce wciąż znajdowała się zaledwie na dziewiątym miejscu.

Prawdziwe kłopoty rozpoczęły się jednak dopiero, kiedy przewrotka Benhardta stała się wiralem. A do klubu napłynęły oferty transferu dla młodego piłkarza.

Były tak intratne, a zarząd potrzebował środków tak bardzo, że nie było szans, by Adam został w klubie.

3

ul. Sosnkowskiego, Opole

Kalina stała przy linii bocznej boiska treningowego, przyglądając się temu, co ćwiczyli piłkarze. Od meczu z Bzurą Łódź minął niemal tydzień, w branżowych mediach wrzało, a powstający z gruzów klub przykuł uwagę właściwie wszystkich, którzy interesowali się futbolem.

Dzięki dramatycznemu przebiegowi ostatniego meczu zainteresowanie sięgało nawet poza granice kraju. Temat nie trafił wprawdzie do nagłówek gazet, stawał się jednak coraz częściej dyskutowany – co przypominało Kali sytuację, która niegdyś spotkała klub z Leicesteru, kiedy ten rozpoczął szalony i całkowicie niespodziewany pęd po mistrzostwo Anglii.

Najwięcej uwagi poświęcano Adamowi Benhardtowi. Efektowna przewrotka, dwa strzelone gole i gotowość do rezygnacji z niemal pewnej okazji strzeleckiej, by partner z boiska uzyskał stuprocentową, chwalili bodaj wszyscy.

Nagłówki w kraju mówiły same za siebie.

„Złoty chłopak polskiej piłki”, „cudowne objawienie rodzimego futbolu”, „nowa nadzieja krajowego sportu” i „główny trybik nowej Mechanicznej Pomarańczy”

były tylko nielicznymi z tych, które obieły świat mediów sportowych. Do tego dochodziły artykuły, w których pojawiały się spekulacje na temat transferu do mocniejszych drużyn Ekstraligi, a także doniesienia o zagranicznym zainteresowaniu.

Ci bardziej powściągliwi dziennikarze starali się równoważyć superlatywy na temat młodego zawodnika, podkreślając widoczne wady: brak odpowiedniego fizycznego przygotowania, wystarczającej masy mięśniowej i przede wszystkim doświadczenia boiskowego.

Talentu nikt nie podawał w wątpliwość, choć zastanawiano się, czy dla Benhardta nie jest już za późno.

Kala niejednokrotnie musiała powstrzymać się przed komentowaniem artykułów. Raz sobie na to pozwoliła, rzucając uwagę, że kiedy Ibrahimović przechodził do Juventusu, był chuchrem. Opuszczał zaś klub cięższy o kilka kilogramów mięśni. Wdała się wówczas w niepotrzebną przepychankę z jakimś anonimowym chłopakiem w sieci, który wiedział lepiej, ostatecznie więc starała się trzymać od takich rzeczy z daleka.

Teraz, obserwując zmagania zawodników ojca, nie mogła opędzić się od wrażenia, że patrzy na jeden z ostatnich treningów Bena. Wiedziała, jak działa świat futbolu. I miała świadomość, że nawet niewiele większe kluby mogły złożyć propozycję nie do odrzucenia.

Mimo to ojciec zachowywał się, jakby Adam miał zostać. Wdrażał go w indywidualne treningi, zmienił też nieco ten ogólny. W tej chwili piłkarze byli katowani bieganiami w korytarzach wyznaczonych przez biało-czerwone taśmy ostrzegawcze, które sam kupił w markecie budowlanym.

Rozwinął je tak, jak życzył sobie, by jego zawodnicy poruszali się na boisku. Koncept polegał na tym, by mogli grać właściwie na pamięć. Robota była żmudna i nudna. Mieli biegać w wyznaczonych torach na pełnej prędkości – najpierw na sucho, potem z piłką. Ostatecznie zaś wymieniać przy tym podania.

Początkowo trudno było kogokolwiek do tego przekonać, teraz Witek nawet nie musiał ich pilnować. Był na posiedzeniu zarządu, podczas gdy oni trenowali, jakby przygotowywali się od najważniejszego meczu w życiu.

Kalina miała zakaz kręcenia tych konkretnych ćwiczeń, co było całkowicie zrozumiałe. Zaraz potem przeszli do kolejnej fazy – wymiany szybkich podań w trójkach i czwórkach. Zdecydowanie najlepsze efekty odnosiły te grupy, które miały w składzie Bena i Gaudiego – ci dwaj zdawali się rozumieć bez słów.

Kiedy skończyli i zaczęli serię rzutów wolnych z narożnika pola karnego, Kala w końcu podniosła telefon i zaczęła rejestrować trening.

Zrobiła to akurat w momencie, kiedy Benhardt podchodził do piłki. Ustawił ją z pietyzmem, jakby obawiał się ją jakoś uszkodzić, potem się cofnął. Wziął porządny rozbieg, przydzwonił potężnie w okolice okienka, Oleo jednak popisał się robinsonadą w stylu najlepszych golkiperów i wyciągnął piłkę poza światło bramki.

Kala lekko się uśmiechnęła. Od meczu z Bzurą cały zespół grał na treningach jak najęty. Wszyscy starali się podnieść poziom, jakby presja medialna ich nie deprimowała, tylko napędzała do tego, by pokazać, że każde dobre słowo jest całkowicie podstawne.

Adam rzucił coś w kierunku Pawła Olejarczyka, a potem obrócił się do Kaliny. Przez moment tylko na nią patrzył, a potem skontrolował, gdzie jest asystent trenera.

Meler był zajęty rozmową z nowym klubowym nabytkiem – tutejszą Anną Lewandowską, o którą zabiegał ojciec. Miała robić przede wszystkim za dietetyczkę i trenerkę, ale łączyła to z rolą fizjoterapeutki i instruktorki fitness. Ogólnie rzecz biorąc, jej zadaniem było dbanie o rozwój fizyczny zawodników, ich zdrowie i kondycję.

Hejna szukała jej dość długo, ostatecznie jednak zdawała się odnaleźć właściwą osobę. Kala niemal natychmiast poczuła do niej sympatię, choć była to kobieta, która potrafiła wpędzić w kompleksy.

Idealna figura, jedwabiste blond włosy, które nosiła lekko zebrane do tyłu, cera jak marzenie i długie nogi sprawiały, że piłkarze spijali z jej ust każde słowo. To zaś, w połączeniu z dość zdecydowanym tonem głosu, mogło gwarantować nieco lepszą kondycję zespołu.

Benhardt zerknął jednak w jej kierunku tylko po to, by stwierdzić, że asystent trenera nie interesuje się treningiem. Skorzystał z okazji i potruchtał w kierunku Kaliny.

Przez moment sądziła, że chce po prostu powiedzieć coś do obiektywu uniesionego smartfona, ale on stanął tak, by nie było go widać. Kala opuściła telefon.

– Zagapiłaś się – oznajmił.

– Że co niby?

Ben wskazał wzrokiem trenerkę fitness, która wyjaśniała coś Przemysławowi, żywo przy tym gestykułując.

– A, no tak – przyznała Kala. – Piękna i bestia zawsze przyciągają uwagę.

– Szczególnie ta pierwsza. I chyba trochę za dużą.

– I kto to mówi?

Adam uśmiechnął się nieznacznie, ale wypadło to raczej jako poprawna reakcja, a nie wyraz jakiegokolwiek satysfakcji. Właściwie nie rozmawiała z nim od dnia meczu z Bzurą, nie wiedziała, jak zapatrywał się na całe to zamieszanie, które wokół niego wybuchło.

Oboje przez chwilę milczeli.

– Czytasz to? – odezwała się w końcu Kalina.

– Znaczy?

– Wszystko, co o tobie piszą.

Benhardt potarł kark i skrzywił się lekko.

– Pierwsze artykuły tak – przyznał. – Później stwierdziłem, że to właściwie nie ma sensu. Nie wiem, kogo widzą ci ludzie, ale na pewno nie mnie.

– Ty tak twierdzisz.

– Mam niejakie kompetencje – odparł Ben i wzruszył ramionami. – Trochę się na sobie znam.

– Albo tylko tak się wydaje.

Docenił to skinieniem głowy, ale nawet nie spojrzał na Kalinę. Skupiał się na tym, jak koledzy z klubu wykonywali rzuty wolne ze strzałem bezpośrednio na bramkę.

– Masz całkiem niezły talent do zmarnowania – dodała Kala.

– Dzięki. To miłe.

– Zawsze do usług.

Dziewczyna obróciła się do niego, przyglądając się mu uważnie. W końcu też odwrócił do niej głowę.

– No co? – rzucił cicho.

– Nic. Zastanawiam się, jakie masz o sobie zdanie.

Adam ciężko wypuścił powietrze.

– Nie masz lepszych rzeczy do roboty? – zapytał.

W odpowiedzi tylko zmrużyła oczy.

– Więc? – mruknęła. – Adam Benhardt ma się za cudowne dziecko polskiej piłki czy nie?

– A jak ci się wydaje?

– Że bynajmniej – odparła z przekonaniem. – Mimo że tego po tobie nie widać, bardziej stawiałabym na kompleksy wobec innych piłkarzy, którzy mieli więcej czasu na rozwijanie umiejętności. I poczucie, że nie zasługujesz na miejsce na boisku.

Ben otworzył usta, ale zamilkł, wyraźnie nie wiedząc, co odpowiedzieć.

– Syndrom impostora – ciągnęła Kala. – Występuje w każdym zawodzie i sprawia, że człowiek w sobie wątpi, bo wydaje mu się, że osiągnął swoją pozycję dzięki przypadkowi lub szczęściu i jest tylko jakimś uzurpatorem.

– To chyba nie ja.

– Nie?

– Kładę się spać ze świadomością, że będę najlepszym piłkarzem w dziejach polskiego futbolu, a wstaję rano z myślą, że już nim jestem.

Kalina prychnęła, bo ton był wyraźnie sarkastyczny.

– Coś mi się nie wydaje – odparła. – Ale tak czy inaczej pamiętaj o jednym.

– Że tak naprawdę niewiele w życiu ma znaczenie, bo dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludności na świecie nie wie nawet, że istniejemy?

– Nie – rzuciła Kala. – Chociaż o tym też dobrze nie zapominać.

– To o czym jeszcze?

– O tym, że żyje się tylko raz. Więc lepiej utrzymywać ze sobą dobre stosunki.

Adam zmrużył lekko oczy, a potem przeniósł wzrok z powrotem na murawę, jakby działo się tam coś, co wymagało jego natychmiastowej uwagi.

– Ma to sens – przyznał.

– Roland Topor.

– Nie znam.

– To poznasz, jak ci podrzucę jakąś jego książkę. Może Chimerycznego lokatora.

– Brzmi dobrze.

– I może ci się przydać, wzięwszy pod uwagę, co cię czeka.

Ben raz jeszcze rzucił jej krótkie, przelotne spojrzenie, po czym znów poświęcił całą uwagę kolegom z drużyny. Sądziła, że będzie dopytywał, ale najwyraźniej uznał, że lepiej przekonać się w praktyce, do czego pije.

– Dostałeś już jakieś propozycje? – odezwała się po chwili Kala.

– A ty co, szpiclujesz?

– Trochę. Ale prędzej powiem ojcu, z kim straciłam dziewictwo, niż to.

Adam cicho odkaszlnął, a ona nie miała wielkich nadziei na to, że uwierzył. Z pewnością pomyślał, że cała ta rozmowa miała na celu wyciągnięcie z niego kilku informacji, z którymi Kalina zaraz pójdzie do ojca.

– Foryc miał kilka telefonów – powiedział jednak Benhardt.

– Od jakich klubów?

– A to rzeczywiście między nami?

– No.

Jego ufność była pewnym zaskoczeniem, Kala bowiem spodziewała się, że będzie musiała złożyć znacznie dalej idące deklaracje o trzymaniu języka za zębami.

Zwykle „no” okazało się jednak wystarczające.

– Był telefon z Varsovii – podjął Adam. – Chcieli wy badać, czy byłbym gotów podpisać z nimi kontrakt, gdyby dogadali się z Rewerą.

– Tak to zazwyczaj działa.

– Mhm – potwierdził cicho Ben.

– I to całkiem niezła opcja. Trudno trafić lepiej niż do obecnego mistrza Polski.

– Wiem.

– Tyle że tam za wiele nie pograsz, przynajmniej na początku.

Benhardt lekko wzruszył ramionami. Być może rzeczywiście zmagął się nieco z syndromem impostora, ale cechował się też wiarą w swoje umiejętności. Jakkolwiek oceniałby się w zestawieniu z piłkarzami grającymi profesjonalnie od lat, wiedział, że przy odpowiedniej pracy może się wybić.

– Kto jeszcze dzwonił? – odezwała się Kala.

– Ludzie z Bzury Łódź.

– To jasne.

– Odezwała się też Olimpia Wrocław. Parę innych klubów badało niebezpośrednio, przez jakichś znajomych Foryca.

Wszystko to brzmiało dość obiecująco dla każdego piłkarza. Szczególnie młodego.

– A zagranica? – spytała Kalina.

Ben nabrał głęboko tchu.

– Jest zainteresowanie w Austrii i Niemczech.

– Dwa dość logiczne kierunki – skwitowała Kala. – Coś jeszcze?

– Hiszpanie coś przebąkują.

– Którzy?

– Nie wiem, Julian na razie nie chce zapeszać. Przypuszczam, że jakieś drugoligowe zespoły.

Przeszło jej przez myśl, że mogłoby to być najlepsze miejsce dla Benhardta. Otrząskałby się tam z zawodowym futbolem, w dodatku na europejskim poziomie. Jednocześnie bez wielkiej presji, która towarzyszy najwyższej klasie rozgrywkowej.

Stać go było na sezon w niższej lidze, wybić się tam i transfer do jednego z czołowych klubów. Gdyby była jego agentem, porządnie rozważyłaby taką

możliwość.

– A ty? – rzuciła.

– Co ja? Nie dzwonię do nikogo.

– Gdzie chciałbyś grać?

– Tutaj.

Kalina cicho się zaśmiała, ale kiedy spojrzała na twarz Bena, zobaczyła na niej jedynie powagę.

– Okej – powiedziała. – Ale powiedzmy, że nie całą karierę. Daj swój wymarzony zespół.

– Po co ci to?

– Dla zaspokojenia mojego wrodzonego pędu do zdobywania wiedzy, który sprawia, że zawstydzam cię intelektem, erudycją i elokwencją.

Tym razem to on się zaśmiał.

– Pierwszy, który przyszedł ci na myśl, kiedy tylko zapytałam – sprecyzowała.

– Manchester – odparł bez wahania.

– Są dwa.

– Gównu prawda – skwitował.

Właściwie mogła domyślić się, co ta odpowiedź oznacza. Wydawało jej się zresztą, że gdzieś na jego instagramowym profilu widziała go w czerwonej koszulce.

– Masz na myśli ten, którego stadion nawet nie znajduje się w samym mieście?

Rzucił jej krótkie, pełne dezaprobaty spojrzenie.

– Nawet nie zaczynaj – zasugerował.

Kalina uniosła otwarte dłonie.

– W porządku, w porządku. Nie wiedziałam, że jesteś ultrasem.

– Każdy w jakiejś sprawie nim jest – odparł. – Tylko niektórzy potrafią to ukryć.

Może coś w tym było, skwitowała w duchu Kala.

– Liga angielska to kolos – dodał w zamyśleniu Adam. – Nigdzie indziej nie masz tylu tak mocnych zespołów. Gdybyś rzuciła kilka ze środka tabeli do innych krajowych rozgrywek, mogłyby walczyć o tytuł.

Miał trochę racji. Bundesliga była zdominowana przez hegemonia z Monachium, hiszpańskie rozgrywki przez kluby z Barcelony i Madrytu, a włoskie scudetto praktycznie zawsze trafiało do Turynu lub Mediolanu. Francję w ostatnich latach zdominował Paryż, wcześniej Lyon.

– Racja – przyznała Kalina. – Więc?

– Więc co?

– Gdybyś dostał ofertę z Manchesteru, przyjąłbyś ją?

Adam zawahał się przez sekundę.

– A ty nie? – odparł.

– Na twoim miejscu pewnie tak – przyznała Kala. – Ale nie musiałyby pochodzić z Manchesteru.

Przez chwilę nie odpowiadał, a kiedy dziewczyna na niego spojrzała, uzmysłowiła sobie, że trwa z ledwo widocznym uśmiechem.

– Coś cię cieszy? – zapytała.

– Tylko to, że cały czas starasz się mnie wysondować.

– Nie staram się, tylko to robię.

– To prawda – przyznał.

– A ty mógłbyś przestać się uchylać od odpowiedzi – powiedziała stanowczo i szturchnęła go łokciem. – Mów: co zamierzasz?

– Zostać tutaj.

– Nawet jak przyjdzie dobra oferta?

– Nawet.

– A taka na, dajmy na to, sto tysięcy miesięcznie?

– Nikt tyle nie da.

Kalina głęboko westchnęła, świadoma tego, że kiedy zaczną kręcić się karuzela transferowa, realna wartość piłkarza straci na znaczeniu. Będzie liczyła się jedynie jego siła marketingowa – a tej Benowi nie brakowało. Media kochały zawodników spod znaku self made man, a on wypełniał tę definicję co do litery. W połączeniu z wychowywaniem przez niezbyt zamożnych dziadków, będzie perłą PR-ową dla każdego zespołu.

I to wzięwszy pod uwagę, że nie wyjdzie na jaw prawda związana z jego ojcem. Jeśli do tego dojdzie, sytuacja zmieni się jeszcze bardziej.

– U nas masz pięć tysięcy tygodniowo – odezwała się Kalina.

– Skąd...

– To zwykła średnia ligowa – ucięła dziewczyna. – Dość sprawiedliwa dla takiego gracza jak ty, chociaż może nie mnie to oceniać.

Benhardt nie odpowiadał.

– Ale musisz mieć świadomość, że jak tak dalej pójdzie, kluby będą mnożyć tę kwotę przez liczby dwucyfrowe. I niełatwo będzie odmówić.

– Łatwo czy nie, zostaję.

– Teraz tak twierdzisz – uparła się Kala. – Ale jak zaczniesz liczyć i dojdiesz do wniosku, że możesz rocznie wykręcać milion zamiast kilkuset tysięcy, raczej nie będziesz...

– A ty z jakiej racji jesteś tak dobrze poinformowana?

– Z takiej, że wiem, jak to działa – odparła spokojnie Kalina. – Klubowe logo to nie godło, to tylko zastrzeżony znak towarowy. Nie wymaga lojalności.

– Dla mnie wymaga.

– Mówi tak na początku każdy, kto...

– Benhardt! – rozległo się wołanie zza ich pleców, które sprawiło, że oboje obrócili się, jakby zmusiła ich do tego jakaś przemożna siła.

Zobaczyli idącego w ich kierunku Witka. Miał na sobie białą koszulę i pomarańczowy krawat, z którym właśnie nieudolnie się mocował, przywodząc na myśl nieszczęśnika z pętlą zaciskającą się na szyi.

– Niech cię chuj – rzucił Krygier.

Adam machinalnie cofnął się o krok, widząc nacierającego na niego trenera. Kala zmarszczyła niepewnie czoło.

– Mam to kręcić? – spytała. – Bo zanosi się na dobry materiał.

Spodziewała się zobaczyć na twarzy ojca wesołą gotowość do wymiany kilku werbalnych ciosów, ten jednak całkowicie ją zignorował. Stał przed swoim podopiecznym, piorunując go wzrokiem.

– Coś ty zrobił? – rzucił.

Ben zerknął na dziewczynę, jakby zadane pytanie miało dotyczyć co najmniej ciąży.

– Słucham? – wydusił.

– Co ty odpierdalasz?

– Przepraszam, ale...

– Twój agent przyniósł cztery oferty transferu na posiedzenie zarządu.

– Co takiego?

Witek w końcu zerwał krawat, a potem niedbale wepchnął go do kieszeni spodni. Skrzyżował ręce na piersi, jakby nie ufał samemu sobie, że nie rzuci się z pięściami na Benhardta.

– Chcesz mi popchnąć, że nie wiesz, co robi twój agent? I że działa za twoimi plecami?

– Niczego nie...

– To są jebane oferty nie do odrzucenia – uciął Krygier.

– Tato...

– Nie teraz – syknął, unosząc dłoń do Kali i nie odrywając spojrzenia od Adama. – Klub w takiej sytuacji finansowej jak Rewera praktycznie nie ma wyjścia.

– Ale ja naprawdę...

– Zostaniesz sprzedany, młokosie – przerwał mu Witek. – Czy to się komukolwiek podoba, czy nie.

4

Hotel Sezam, Kłobin

W dwudziestej drugiej kolejce Rewera Opole miała wybrać się na mecz wyjazdowy w północnej części kraju, by zmierzyć się z Prospektem Kłobin – drużyną, która w tamtym sezonie awansowała do Ekstraligi, a w tej chwili zajmowała przedostatnie miejsce w tabeli.

Z racji sporej odległości piłkarze pojawili się na miejscu dzień wcześniej. Zakwaterowano ich w dwugwiazdkowym hotelu na obrzeżach niewielkiej miejscowości, któremu kategoria została przyznana chyba nieco na wyrost.

Wieczorem Witek zorganizował krótkie spotkanie, by omówić najważniejsze rzeczy. Starał się ignorować fakt, że wisi nad nimi wyłącznie jeden temat, choć nie było łatwo. Co chwilę ktoś zerkał na Benhardta.

– Dobra, panowie – podjął, stojąc przed białą tablicą magnetyczną, którą zabierał ze sobą na wszystkie mecze wyjazdowe. – Prospekt Kłobin. Zespół z grubsza do dupy, ale waleczny jak mało kto. Śrubują rekordy w zbieraniu żółtych i czerwonych kartek, koszą przeciwników równo. Na moje oko powinno się nałożyć na trenera jakąś karę, ale najwyraźniej generał w tym wypadku nie ponosi odpowiedzialności za to, co robi jego wojsko.

Nie zaskoczył nikogo. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że mecze z Kłobinem są dla wszystkich złą wiadomością. Niepojęte dla Krygiera było, jakim cudem ta zgraja prostaków i brutalni awansowała do najwyższej klasy rozgrywkowej.

Skoro już jednak tu byli, powinni podnieść nieco standardy. Zamiast tego poszli w drugą stronę.

– Uważajcie na nich – dodał Witek. – Niepotrzebne nam żadne kontuzje, jasne?

Zawodnicy pokiwali głowami.

– Będą starali się was zastraszyć, bo to jedyne narzędzie, które dał im trener. Będą też was prowokować, dążąc do konfrontacji. I jeśli oglądaliście jakieś ich mecze, to wiecie, że idzie im to całkiem nieźle. Grają jak szympansy, licząc na to, że odpowiecie tym samym i ktoś zarobi dwie żółte albo od razu czerwoną. Uzyskanie przewagi liczebnej to ich sposób na wygrywanie meczów. Więc ostrożnie.

– Jasne, trenerze – odezwał się Radek Warszawski.

Krygier wiedział, że musi trafić przede wszystkim do niego. To na barkach kapitana drużyny spoczywał ciężar czuwania nad dyscypliną na boisku. Trener mógł jedynie nawoływać zza linii bocznej.

– Oby rzeczywiście było jasne – rzucił Witek. – Bo staram się wam wbić do głowy kluczową rzecz. Macie skupić się tylko i wyłącznie na piłce. Miejcie w dupie sędziego, miejcie w dupie przeciwnika. To, co będą robić w tym meczu, nie może mieć żadnego przełożenia na wasze zachowanie. Jeśli któryś z tych troglodytów was skosi i nie zostanie ukarany, trudno. Jeśli będą gadać coś o waszych matkach czy dziewczynach, trudno. To banda orangutanów, jasne?

Warski pokiwał głową, a reszta poszła w jego ślady.

– Niestety od zwykłej wizyty w ZOO różni się to tym, że musicie wejść do klatki – ciągnął Krygier. – Ale to nie znaczy, że macie udawać, że tam pasujecie.

Kilku się uśmiechnęło, a on miał nadzieję, że się do nich przebił.

– Sportowo nie mają do was podjazdu – kontynuował. – Muszą więc starać się podejść was inaczej. I normalnie stosowałaby się zasada Marka Twaina o rozmawianiu z idiotą, ale w tym wypadku niestety trzeba wdać się z nim w konwersację.

Powiódł wzrokiem po zebranych.

– Który wie, jaka to zasada?

Nikt się nie odezwał, choć pewnie przynajmniej paru zawodników kojarzyło, o czym mowa.

– Nigdy nie wdawaj się w dyskusję z idiotą, bo sprowadzi cię do swojego poziomu, a potem pokona doświadczeniem.

Przez szalę przeszedł cichy śmiech, a Witek miał nadzieję, że jeśli nawet w ferworze walki zapomną o innych rzeczach, to będą pamiętać.

Obrócił się do tablicy, a potem zaczął przedstawiać swoim zawodnikom taktykę rywala. Przez chwilę nakreślał najmocniejsze punkty zespołu oraz metody, by sobie z nimi radzić. Nikogo nie zdziwiło, że Ben wyjdzie w pierwszym składzie. Kwestią otwartą pozostawało, na jakiej pozycji zagra.

Tym razem Krygier postanowił wystawić go od początku jako ofensywnego środkowego pomocnika tuż za plecami Gregora. Wolałby z całą pewnością grać na szpicy, ale Witek był przekonany, że na tej pozycji przyda się zespołowi bardziej.

Oprócz zabójczego instynktu do wykańczania akcji miał też świetny przegląd gry i umiejętność współpracy z innymi. Potrafił wywalczyć sobie miejsce, ściągnąć na siebie kilku rywali i otworzyć kolegom drogę do bramki.

Grzechem byłoby wykorzystywać go jedynie jako klasyczną dziewiątkę.

Nie wyglądał, jakby był nieukontentowany, ale po prawdzie chłopak wiele nie zdradzał swoim zachowaniem. Był dość powściągliwy, nawet na boisku. A kiedy cieszył się z gola, wyglądał, jakby coś powstrzymywało go przed tak entuzjastyczną celebracją, jaką cechowali się inni piłkarze.

– Okej – rzucił Witek, kiedy skończył omawiać kwestie taktyczne. – Teraz pochylmy się nad słoniem w pokoju.

Wszyscy zerknęli na Adama, ten poruszył się nerwowo.

– Wiadomo, że mamy medialną burzę wokół Bena – kontynuował spokojnie Krygier. – Jest trochę uzasadniona, trochę dęta. Tradycyjnie balonik dmuchany jest aż do momentu, kiedy z hukiem pęknie.

Trener powiódł wzrokiem po zebranych, a potem zawiesił go na stojącej z tyłu Kalinie. Kręciła wszystko telefonem, później mieli wybrać te fragmenty, które będzie mogła bezpiecznie wrzucić do sieci.

– Nie zaskoczę was chyba, kiedy powiem, że należy mieć to w najgłębszych odmętach dupy – podjął Witek. – Nie mamy wpływu na to, co mówią i piszą dziennikarze ani o czym gada się w pubach. Jesteśmy teraz na PR-owym topie, bo odbiliśmy się z hukiem od dna, a ludzie lubią personalizować sukcesy, nadawać im jakąś konkretną twarz. Padło na Bena. Postawmy jednak sprawę jasno: cokolwiek się mówi, nie ma znaczenia na boisku. Całe to gówno zostawiacie najdalej w szatni. W tunelu chcę widzieć was skupionych już tylko na jednym.

Nikt nie komentował, przynajmniej przez pewien czas. W końcu jednak Krzysiek Sandauer podniósł rękę.

– Trenerze – rzucił.

– „Panie trenerze” – skorygował siedzący z tyłu Gregor. – Na samego „trenera” trzeba sobie zasłużyć. Albo mieć odpowiednio długi staż.

Jeszcze niedawno Witek z zadowoleniem potwierdziłby słowa starszego napastnika. Teraz jednak cicho westchnął.

– Wszyscy zasłużyliście sobie na samego „trenera” w momencie, kiedy pokazaliście, że jesteśmy jednością – oznajmił.

Zapanowała lekka konsternacja, bo Krygier nieczęsto pozwalał sobie na tak osobiste komentarze. Chrząknął niepewnie, a potem ponaglił Sandauera wzrokiem, by ten podjął przerwany wątek.

– Na co mamy szansę? – spytał Sandał. – Realnie.

– Na trzy punkty, to jasne.

– Ale mam na myśli... no wie pan.

– Nie.

– W gazetach piszą, że możemy jeszcze powalczyć w lidze – wyjaśnił Krzysiek, kręcąc się przy tym nerwowo.

– Powalczyć?

– O mistrzostwo.

Właściwie cała sala powinna roześmiać się w głos, zamiast tego jednak wszyscy milczeli. To pokazywało, jak całe to medialne zamieszanie wpływało na ich psychikę. Jeszcze tydzień temu obawialiby się raczej spadku do niższej ligi. Teraz nagle zapaliła się w nich niemal chora ambicja.

Krygier musiał to wykorzystać.

– Teoretyczna szansa istnieje – zauważył.

– Jak bardzo teoretyczna? – rzucił Antoni Rebski, obrońca.

– Taka jak to, że zagrasz jutro dobry mecz, Rebus – mruknął Gregor.

Kilku zawodników się zaśmiało, Witek trwał z niezmiennym wyrazem twarzy.

– Mamy jeszcze dziewięć meczów do końca sezonu – podjął. – To maksymalnie dwadzieścia siedem punktów do zdobycia. Z naszych analiz wynika, że...

– Analiz? – włączył się Gaudi. – To sztab się nad tym faktycznie głowił?

– Nad wszystkim się głowimy – oznajmił spokojnie Witek. – I jeszcze raz mi przerwiesz, będziesz jutro kiblował na ławce.

– Jasne, trenerze.

Krygier nie miał przy sobie ekspertyz, które przygotowano dla niego dwa dni temu, ale większość istotnych faktów zatrzymał w pamięci. Choćby po to, by motywowały go do dalszego działania.

– Przeanalizowaliśmy poprzednie lata, aktualną sytuację lidera tabeli, mecze, które ma przed sobą i tak dalej – podjął. – Wedle naszych szacunków, o ile Varsovia utrzyma obecną formę, może zdobyć około dwudziestu punktów do końca sezonu. Ma przynajmniej dwa mecze, w których porażka jest dość

prawdopodobna, bo ewidentnie ma problem z tymi rywalami i nie wygrała z nimi od lat. Jest też kilka możliwości na remis.

Nikt się nie odzywał. Członkowie drużyny patrzyli po sobie, jakby chcieli się upewnić, czy naprawdę rozważają ten scenariusz.

– Kluczowe byłoby oczywiście spotkanie z nami – dodał trener. – Wypada w ostatniej kolejce, więc może mieć jeszcze większe znaczenie.

W pomieszczeniu wciąż trwała cisza. Ostatecznie przerwał ją Szpeja.

– To wszystko zakładając, że wygralibyśmy wszystkie dziewięć meczów – zauważył.

– Zgadza się.

– Nierealne.

Witek zakołysał głową na boki, jakby chciał delikatnie zasugerować, że na jego miejscu nie byłby taki pewny.

– Futbol jest od tego, by na świecie działy się rzeczy niespotykane – oznajmił.

– Już nie takie comebacki widziano w świecie sportu. Wszystko jest możliwe, o ile jesteście gotowi o to powalczyć.

Widział na ich twarzach, że tak jest. Nawet pesymistyczny nastrój Gregora zdawał się niewystarczający, by zburzyć to przekonanie.

– Ja mam przekonanie, że możecie taką akcję odjechać – podjął Krygier. – Znam wasze możliwości, wiem, na ile was stać. I bez wahania, z czystym sercem mogę każdemu oznajmić, że moim zdaniem to jest drużyna na mistrzostwo. Wszystko jednak zależy od głowy. Jeśli uwierzycie, że możecie pokonać innych, to tak się stanie. Jak podłamięcie się, bo przeciwnik wystraszy was jak wcześniej, nic z tego nie będzie.

Wodził wzrokiem po zebranych, licząc na to, że do nich dociera. Być może tak było, bo nauczyli się trochę na swoich błędach.

– Czołowe miejsca w lidze są w naszym zasięgu – dodał. – Pamiętajcie, że mistrz i wicemistrz wchodzi do eliminacji Pucharu Mistrzów, ale ci z dwóch kolejnych grają o możliwość udziału w Lidze Europejskiej. Jedne czy drugie rozgrywki to nie tylko kurewski prestiż, ale też równie kurewskie pieniądze. A to oznacza rozwój klubu i...

– Ale podobno mamy sprzedać Bena – odezwał się Sandauer. – W takim układzie...

– Mówiłem, bez gdybania. I bez przerywania.

– Tyle że to chyba dość pewne. Nikt z klubu nawet nie zaprzeczył, a kilka zespołów otwarcie mówi o...

– A ty co? – uciał Krygier. – Zakładasz nowy portal plotkarski, Futbolek?

Sandał tylko lekko parsknął, uznając, że pytanie nie padło po to, by sformułował jakąkolwiek odpowiedź.

– Więc? – dorzucił Witek.

– Nie, trenerze.

– To zapomnij o tych plotkach – poradził. – A teraz to by było na tyle. Wypierdalać do pokojów.

Chyba wszyscy piłkarze uśmiechnęli się, słysząc to pieszczotliwe polecenie. Podnieśli się, ale zanim ruszyli do wyjścia, Krygier miał jeszcze coś do dodania.

– Jak zobaczę, że któryś wniósł alkohol, będą kary – oznajmił. – I zaraz potem telefony do żon i dziewczyn z uprzejmą informacją, że sprosiliście sobie mało dystyngowane damy z lokalnego burdelu. Rozumiemy się?

Potwierdzili gremialnie, a potem w dobrych humorach wyszli na korytarz. Z piłkarzy w pomieszczeniu został jedynie Adam, Kalina zaś wciąż stała z tyłu, starając się być niewidoczna.

– Co jest? – rzucił Witek, podchodząc do zawodnika.

– To, że Sandał ma rację.

Krygier westchnął głęboko, a potem obejrzał się przez ramię, by skontrolować, czy nikt nie przysłuchuje się rozmowie. Usiadł na krześle obok i przez moment milczał. Nie sondował sprawy po tym, jak Ben rozmówił się ze swoim agentem, a zarząd nie był skłonny dzielić się z nim jakimikolwiek informacjami. Wciąż znajdowali się w stanie dość napiętego zawieszenia broni.

– Gadałeś z Forycem? – spytał w końcu Krygier.

– Tak.

– I co mówi?

– Że z polskich klubów na razie Varsovia złożyła najlepszą ofertę.

– Jaka?

– Dziewięćdziesiąt tysięcy euro.

Sporo, wzięwszy pod uwagę obecną pozycję piłkarza. Ale była to praktycznie kradzież, jeśli uwzględnić to, w jakiego zawodnika Ben może zmienić się w dość krótkim czasie.

Tak czy inaczej była to kwota, której zarząd Rewery nie mógł zignorować.

– Jak daleko zaszły rozmowy?

– Podobno dość daleko – odparł Benhardt. – Budczak chce mnie sprzedać już, niektórzy nalegają, żeby trochę poczekać, aż cena wzrośnie.

Dla klubu znajdującego się w normalnej sytuacji finansowej byłby to najbardziej rozsądny ruch. W przypadku takiego, który wisiał nad przepaścią, nie było jednak co zwlekać.

Zakładając, że negocjator Budczaka ugra coś jeszcze, drużyna mogłaby wzbogacić się o pół miliona złotych. Niby była to kropla w morzu pieniędzy przepływających przez świat futbolu, ale jednocześnie stanowiłaby koło ratunkowe dla Rewery Opole.

Kurwa mać.

Wszystkie rozważania na temat walki o hipotetyczną kwalifikację do europejskich rozgrywek były o kant dupy potłuc, jeśli Witek straci tego konkretnego piłkarza. To on dał napęd drużynie. I to on mógł w krótkim czasie rozbłysnąć jak nikt inny.

– Opierdoliłeś Foryca? – rzucił.

– A jak pan myśli? – odparł pod nosem Adam. – Twierdzi, że działał na moją korzyść, bo nawet jeśli nie chcę opuścić klubu, to dzięki temu zyskam świetną pozycję do wynegocjowania w przyszłości lepszych warunków umowy.

– To prawda – przyznał Krygier. – Tyle że w normalnej sytuacji. Ta do takich nie należy, bo klub sam cię wypchnie, próbując utrzymać się na powierzchni i nie zbankrutować.

Ben obrócił się do niego i przez moment patrzył mu w oczy.

– Jest takie ryzyko?

– Raczej prawdopodobieństwo – odparł cicho Witek.

Właściwie nie powinien rozmawiać z nim o takich kwestiach. Po raz kolejny jednak przyłapywał się na tym, że traktował tego chłopaka nieco po ojcowsku. Nie, może to za daleko posunięta analogia. Bardziej po wujowsku.

Tak czy inaczej niekoniecznie w sposób, w jaki chciałby budować relacje ze swoimi zawodnikami.

– Mogą mnie zmusić? – spytał Adam.

– W teorii jesteś wolnym człowiekiem.

– A w praktyce?

Trener bezsilnie uniósł wzrok.

– Jeśli dwa kluby dogadają się co do ceny, będzie duża presja, żebyś przeszedł.

– Presję zniosę – odparł Benhardt. – Mogą mnie do tego przymusić czy nie?

– Siłą? Nie. Przepisem prawa? Nie. Żeby transfer doszedł do skutku, musisz zaakceptować warunki klubu, który...

– Wiem, jak to działa, trenerze, grałem w FM-a – uciał Ben. – Interesuje mnie, co może zrobić zarząd, jak się uprę.

Witek zamilkł, nie miał bowiem dobrej odpowiedzi.

– Nie wiem – przyznał. – Będą szukać przeróżnych sposobów, żeby naprawdę nie opłacało ci się zostać. Pamiętaj, że w umowie zgodziłeś się na oddanie swojego wizerunku w pewnej części klubowi. To on zajmuje się zawieraniem wszystkich kontraktów reklamowych i innych.

– Przeżyję bez tego.

– Może i tak – przyznał Krygier. – Ale prawda jest taka, że kiedy klub chce się kogoś pozbyć, zrobi to. Pamiętasz, jak Chelsea pożegnało się z Diego Costą?

– Niespecjalnie.

– No tak, to był dwa tysiące siedemnasty, robiłeś pewnie wtedy do nocnika – odparł pod nosem Witek. – W każdym razie zrobili wszystko, co mogli. Costa został odsunięty od pierwszej drużyny, nie mógł nawet z nią trenować. Nie został nawet zgłoszony do europejskich rozgrywek.

Benhardt westchnął głośno.

– Lepiej zachował się Manchester względem Andersona. Po prostu rozwiązali kontrakt, z tego, co pamiętam, wypłacając mu należną gażę. Inna możliwość to wypożyczenie piłkarza, tak jak miało to miejsce z Joe Hartem.

– To co mam robić?

Krygier zogniskował spojrzenie na oczach chłopaka i przez moment się namyślał.

– Chcesz odpowiedzi twojego trenera czy dawnego kumpla twojego ojca?

– Chyba obydwu.

– Z pierwszego punktu widzenia: rób wszystko, żeby zostać – odparł Witek. – Z drugiego: korzystaj z okazji, która ci się nadarzy.

Być może nie powinien tego mówić. Nawet na pewno. Nie wybaczyłby sobie jednak, gdyby pozwolił chłopakowi sądzić, że tylko tutaj się rozwinie. W większych klubach nie wywalczy sobie tak szybko miejsca, ale prawdopodobnie będzie miał tam okazję lepiej się wyszkolić.

– Ale na razie skup się na meczu z Kłobinem.

– Wiadomo – odparł Ben.

Zbierał się do wyjścia, Krygier jednak złapał go za ramię i nie pozwolił, by wstał z krzesła.

– Dwie rady – odezwał się.

– Chyba mogę zgadnąć.

Witek ściągnął brwi, a jego podopieczny obejrzał się przez ramię i wskazał wzrokiem Kalinę.

– Po pierwsze, mam się trzymać z dala od pana córki.

Trener parsknął.

– Tego nie muszę mówić – zauważył. – Więc pierwsze jest inne.

– Jakie?

– Nie drybluj tyle.

– Słucham? – rzucił Adam, jakby właśnie usłyszał, że będzie żył najpełniej, jeśli przestanie oddychać.

Krygier podniósł się i podszedł do białej tablicy magnetycznej. Wskazał na kilka niebieskich magnesów.

– Cała ta linia obrony to banda chuja.

– To naprawdę pomocne spostrzeżenie taktyczne i...

– Będą próbowali ściąć cię przy każdym kontakcie z piłką, więc im dłużej będziesz ją miał, tym niebezpieczniej się dla ciebie zrobi. Dlatego gramy na jeden kontakt, ewentualnie przyjęcie i szybkie oddanie.

– Tiki-taka.

Witek głośno wypuścił powietrze ustami.

– O tyle, o ile – mruknął. – W każdym razie ci kretyni wiedzą, że jesteś po pierwsze największym zagrożeniem, po drugie najbardziej nieprzygotowanym fizycznie do starć zawodnikiem. Będą próbowali zameldować ci się jak najszybciej, atakując wślizgami dopóty, dopóki nie odechce ci się w ogóle do nich zbliżać.

– Dość prymitywna metoda na neutralizację niebezpieczeństwa.

– Ale skuteczna.

Adam nie mógł w tej kwestii polemizować, historia futbolu pokazywała, że nawet najwięksi wirtuozi czasem bali się zbliżać do Gattuso czy innych walczaków jego pokroju.

– Oprócz gry musisz więc być skupiony na tym, żeby unikać ich interwencji. Mówię poważnie, jasne?

– Zawsze pan pyta, czy jasne.

– Bo jak patrzę na wasze tępe wyrazy gęby, to muszę się upewniać.

Z tyłu sali dobiegło ciche, ostrzegawcze chrząknięcie. Trener je zignorował.

– Po drugie, musisz trochę ponurkować – oznajmił.

– Ale...

– Nie w wodzie. Na murawie.

Benhardt od razu się skrzywił.

– Wiem, że zrywasz się po upadku jak żul na otwarcie monopolowego, ale w tym meczu musisz trochę przyaktorzyć.

– Trenerze... ja tam jestem po to, żeby grać. A nie leżakować.

– Nie mówię, żebyś przesadzał – zastrzegł Witek. – Rzecz w tym, że im szybciej któryś z tych koczkodanów zarobi dwa złotka albo asa kier i wyleci z boiska, tym prędzej przestaną was rezać.

Ben tylko się skrzywił.

– Nie musisz odstawiać wielkich teatrzyków. Po prostu nie zachowuj się, jakbyś był, kurwa, ze stali.

Na treningach czasem robił to na swoją niekorzyść, nie tylko ze względu na to, że mógł coś ugrać. Ignorując ból, mógł też zignorować potencjalnie niebezpieczną kontuzję, która wyłączyłaby go z gry na długi czas.

W końcu skinął głową, przyjmując to polecenie sprzedane mu jako radę, po czym opuścił niewielką salkę. Krygier odetchnął i poczekał, aż córka do niego dołączy.

– Po cholerę w ogóle stałaś tak daleko? I tak wszystko...

– Nie chciałam was peszyć swoją obecnością.

– Świetnie – odburknął Witek, a potem wskazał wzrokiem komórkę Kali. – Pokaż, co tam zarejestrowałaś.

Już po pobieżnym przejrzeniu materiału oboje uznali, że nie ma właściwie niczego, czym mogliby podzielić się ze światem. Filmiki przedstawiały albo kuchnię taktyczną, albo Krygiera nazywającego przeciwników „jebanymi warchołami i żłobami”.

– Co to w ogóle za określenie? – spytała Kalina. – Żłób?

– Nie interesuj się takim językiem.

– To używaj innego.

Witek zacisnął usta, uwydatniając lekko policzki.

– I co ja mam teraz wrzucić? – dodała Kala.

– A ja wiem? Nic.

– Coś muszę.

– To sama nagraj.

Kalina skrzywiła się, ale potem powiodła wzrokiem po pomieszczeniu, szukając odpowiedniego kadru. Hotel, który właściwie powinien zamienić „h” w nazwie na „m”, nie oferował zbyt dobrego tła nawet dla nagrań do mediów społecznościowych.

– Będiesz robił za kamerzystę – odezwała się Kala.

– To było pytanie?

– Nie.

Witek wyszedł z córką na zewnątrz, poczekał, aż wybierze właściwe miejsce, a potem podniósł jej telefon i zaczął kręcić. Mówiła o atmosferze w zespole,

podała kilka informacji o tym, jak wygląda jutrzejszy plan dnia.

W jej słowach dało się wyczuć kibicowską nadzieję, która towarzyszyła chyba wszystkim sympatykom Rewery Opole. Każdy z nich wierzył, że nadszedł przełom. I że meczem w Kłobinie piłkarze to potwierdzą.

Kiedy Kalina skończyła, poszli na kolację. Rozmawiali głównie o sprawach piłkarskich, córka raz po raz sprawdzała telefon, by przekonać się, jak wiele osób śledzi doniesienia. W pewnym momencie uśmiechnęła się promiennie, choć z jakiegoś powodu robiła wszystko, by powstrzymać tę ekspresję.

Krygier dobrze wiedział, co to oznacza. Odczekał moment, kończąc swoje danie, a potem pociągnął łyk piwa.

– Jak tam ten twój Obi? – spytał.

– Hm?

– Pisze coś do ciebie?

Kala zawahała się, przygryzła dolną wargę, po czym podsunęła ojcu komórkę. Wyświetliła część dłuższej konwersacji tak, by widział tylko to, co istotne.

„Niektórzy zamykają oczy, by śnić. Ja przy tobie nie muszę tego robić”.

Witek otworzył usta, ale nie wiedział, jak skomentować. Nie miał pojęcia, że ta właściwie niewinna znajomość poszła w tym kierunku.

Kalina zabrała smartfona, zanim zdążył zerknąć na to, co odpowiedziała.

– Pytałeś – odparła.

– Ale nie spodziewałem się, że to aż tak zaawansowane.

Córka uśmiechnęła się delikatnie.

– Niezła wiadomość, co? – spytała.

– Trąci banałem.

– Bo nie znasz kontekstu. I nie wiesz, że padła tylko jako prześmiewcza puenta w wymianie żartów.

– Mhm – skwitował z przekąsem Krygier. – Tyle że w każdym z nich zawsze tkwi ziarno prawdy.

Bynajmniej nie obstawiałby takiego rozwoju zdarzeń, szczególnie że widział, jak patrzyła na Benhardta. Jeden ani drugi facet nie był dla Witka wymarzonym pretendencem do serca córki – z dwojga złego jednak anonimowy gość w internecie wydawał się bezpieczniejszym wyborem niż piłkarz.

Sam nim był, wiedział, jak funkcjonuje ten świat. I jak niewiele trzeba, by przy takich pieniądzach i uwielbieniu tłumów poczuć, że zasady są po to, by je naginać, a potem łamać. Jeden z kumpli powiedział mu kiedyś, że „dziewczyną piłkarza jest się tylko przez chwilę, a byłą dziewczyną piłkarza przez resztę życia”.

– Planujesz się z nim spotkać? – odezwał się Krygier.

– Nie interesuj się.

– Muszę, taka moja rola.

Kalina uniosła brwi.

– Wcześniej jakoś nie wykazywałaś zainteresowania.

– Bo byłaś w wieku, gdzie nie występowało żadne ciążowe zagrożenie. Teraz jednak...

– Możemy o tym nie gadać?

– Dlaczego?

– Bo musiałabym powiedzieć ci więcej, niż chciałbyś wiedzieć.

Witek się skrzywił. Uznał, że może rzeczywiście najlepiej będzie, jeśli zostawi te tematy na rozmowy między matką i córką. Dopił piwo, starając się o tym nie myśleć.

– Jak on się nazywa?

– Możesz sam wywnioskować.

– Niby jak?

– A pamiętasz, od którego piłkarza wziął ksywę?

Oczywiście, że pamiętał, pokazywała mu miniaturkę, na której ten facet miał koszulkę Johna Obi Mikela.

– No tak, Michał – odparł Krygier. – W sumie dziwny wybór, jest wśród aktualnie grających zawodników trochę Mikelów, Michaelów i tak dalej.

– Może się urodzili tego samego dnia czy coś.

Witek dokonał szybkiej kalkulacji w umyśle.

– To by znaczyło, że ten twój ma trzydzieści pięć lat – zauważył.

Kala cicho się zaśmiała, co pozwoliło sądzić, że tylko droczy się z ojcem.

– Skąd on w ogóle jest?

– Z Łodzi.

Nie najgorzej. Fakt, że Krygier spędził tam trochę czasu, najpierw jako trener, sprawił, że wspominał to miasto i ludzi z pewnym rozrzewnieniem.

– Ile ma lat?

– Trzydzieści dwa.

– Że co?

Kala się zaśmiała, nie potrafiąc dłużej utrzymać powagi. W końcu Witek machnął ręką, a potem odpuścił. Rozmawiali jeszcze chwilę, nim Kalina oznajmiła, że idzie do pokoju.

On został na trochę w restauracji, która bardziej przypominała jakąś jadłodajnię z zamierzchłych czasów. Wypił jeszcze jedno piwo, a potem kolejne.

Mecz był wieczorem, a on w przeciwieństwie do swoich podopiecznych mógł sobie na to pozwolić.

Wracając do pokoju, lekko się zataczał. Nie spodziewał się zastać nikogo w korytarzu, usłyszał jednak kroki z piętra, gdzie zakwaterowano piłkarzy. Cały sztab spał na parterze.

Zatrzymał się przy schodach i uniósł wzrok, mając zamiar w niewybrednych słowach oznajmić, że pora złączenia do restauracji dawno minęła. Kiedy jednak spostrzegł schodzącą ku niemu osobę, zamilkł, a ta zatrzymała się jak rażona piorunem.

Sylwia Majewska, dietetyczka i trenerka fitness, która w normalnych okolicznościach wyglądała, jakby urwała się prosto z wybiegu, teraz bynajmniej się nań nie nadawała. Włosy miała całkowicie rozczochrane, a make-up sprawiał wrażenie, jakby celowo rozmazała go na twarzy.

– Witek – rzuciła, stojąc przy balustradzie.

Krygier skinął głową, niespecjalnie bowiem wiedział, jak inaczej zareagować. Obrazek był dość oczywisty.

Majewska przesunęła dłonią po ustach, jakby jakimś cudem mogła sprawić, że nierówne resztki szminki staną się mniej wymowne.

– Właśnie... – zaczęła.

Witek mimowolnie zerknął w górę, gdzie mieściły się pokoje piłkarzy. Kurwa mać, tylko tego mu było potrzeba.

– Ja... – dodała.

– Może najlepiej będzie, jak rano pogadamy.

– Tak, jasne. Oczywiście.

Zmieszała się jeszcze bardziej, a potem ruszyła w dół i minęła go, starając się jakoś poprawić rozburzone włosy. Potem szybko zamknęła drzwi pokoju, a trener został na korytarzu sam na sam ze swoimi myślami.

Sylwia była najlepszą specjalistką, jaką udało się znaleźć. Właściwie Krygier nie spodziewał się, że będzie gotowa pracować w Rewerze, ale zgodziła się już po pierwszym spotkaniu. Było to jak błogosławieństwo i dobry omen na przyszłość.

Teraz jednak Majewska nie pozostawiła mu wielkiego wyboru. Będzie musiał poinformować Hejnę o tym, co widział. I ustalić, który z piłkarzy złamał zakaz. Właściwie dwa – zbliżania się do jakichkolwiek kobiet w przeddzień meczu i spoufalania się z kimkolwiek z klubu.

– Jasny chuj – syknął Witek, a potem poszedł do swojego pokoju.

Szybko przygotował się do snu, a potem położył do łóżka. Zachodził w głowę, który z piłkarzy zawinił. Ktokolwiek to był, będzie musiał ponieść karę, szczególnie że Sylwia została przyłapana i niechybnie mu o tym powie. Pozostawienie tej sprawy bez reakcji byłoby wyrazem trenerskiej słabości.

Inni zawodnicy z pewnością wiedzą. Ściany w tym przybytku nie były zbyt grube, a Majewska nie wyglądała, jakby spędziła tę noc w absolutnej ciszy. W dodatku zawodnicy byli zakwaterowani w dwójkach. Ten, który dzielił pokój z partnerem Sylwii, musiał na jakiś czas łaskawie się ewakuować.

Kto poważyłby się na złamanie zasad w przeddzień meczu? Na zastanawianie się, który z podopiecznych wykazywał zainteresowanie tą kobietą, szkoda było czasu. Wszyscy ślinili się na jej widok, może z wyjątkiem Benhardta.

Ale komu ona okazywała najwięcej zainteresowania?

Znów to Adam przyszedł mu na myśl, ale jej zaangażowanie w jego treningi było zrozumiałe. Wymagał najwięcej roboty, a w dodatku stanowił najbardziej perspektywiczny atut drużyny.

Atut, który ta niebawem straci.

Witek przewrócił się na drugi bok. Za dużo problemów, za dużo myśli.

Musiał skupić się na tym, by wygrać jutrzejszy mecz i zacząć awansować w tabeli. Jeśli zarząd zobaczy, że walka o mistrzostwo jest faktycznie możliwa, uzna, że nie warto sprzedawać Bena.

Kasa za występ w europejskich rozgrywkach będzie większa niż za transfer. Kontrakty reklamowe jeszcze zwielokrotnią dochody.

Witek zasypiał z myślą, że to jedyna droga, by nie pożegnać się z Adamem.

Jakiegokolwiek potknięcie na niej byłoby jednak tragiczne.

5

Stadion Prospektu, Kłobin

Benhardt wyszedł na murawę i przestępował z nogi na nogę do rytmu kawałka, który przed momentem rozbrzmiewał w szatni. Trener tym razem postawił wprawdzie na Holding Out for a Hero Bonnie Tyler, ale zanim dał znak, by wyjść na korytarz, tradycji stało się zadość. Ledwo puścił Warrior, wszyscy zdawali się urosnąć o kilka centymetrów.

– Morderczy pressing przez pierwszy kwadrans! – powtarzał. – Nie dajcie im, kurwa, oddychać!

Mieli zdeprymować słabszego przeciwnika już od samego początku, a Witek za punkt honoru postawił sobie, by wbić im to do głowy.

– Wysoki pressing! Pierwsze piętnaście minut! – darł się w szatni. – Macie ich rozwalcować od pierwszej minuty!

Jego słowa odbijały się Adamowi w głowie echem nie mniej niż refren kawałka Scandalu. I przypuszczał, że pozostali piłkarze mieli podobnie.

– Siła w jedno! – zakończył trener, a reszta odpowiedziała identycznie, zdzierając sobie przy tym gardła.

W tunelu nawet nie patrzyli na swoich przeciwników. Ci ścigali ich wzrokiem, jeden czy drugi rzucał jakąś niewybredną uwagę, niby do kumpla z zespołu – robił to jednak na tyle głośno, by zawodnicy Rewery usłyszeli.

Zgodnie z tym, czego życzył sobie Witek, nikt nie dał się sprowokować. Powtarzał, by zachowali całą złość na murawę. I tak się stało.

Teraz, kiedy mieli rozpoczynać od środka, Ben widział, że we wszystkich się gotuje. Najbardziej w kapitanie drużyny. Jeśli chodziło o panowanie nad emocjami, Radek Warski był dokładnym przeciwieństwem wszystkich piłkarzy, których Adam znał – na boisku stoik, poza nim wariat. Niewiele trzeba było, by go sprowokować poza murawą, szczególnie kiedy się napił. Ledwo jednak wkładał korki i drużynowy trykot, stawał się opoką i ostatnim piłkarzem do bitki.

Teraz zarówno on, jak i wszyscy inni wprost nie mogli się doczekać, by spuścić sportowy łomot drużynie z Kłobina.

Rozległ się pierwszy gwizdek, Gregor podał do Adama, a ten oddał piłkę na skrzydło i ruszył do przodu. Mieli rozpocząć długą grą pozycyjną, pokazując, kto jest w tym starciu silniejszym zespołem. Utrzymać się przy piłce, a potem zaatakować.

Zamiast tego jednak Warski wdał się w kiwkę, po której niespodziewanie stracił futbolówkę. Zawodnicy Prospektu jak na sygnał rzucili się do ataku. Popędzili za kolegą, któremu udało się odzyskać piłkę, a zaraz potem byli już pod polem karnym.

Wymienili między sobą dwa podania, nim jeden z nich znalazł się na dogodnej pozycji. Oddał strzał, ale ten nie mógł zaskoczyć Pawła Olejarczyka. Pewnie złapał piłkę i natychmiast powiódł wzrokiem po boisku.

Uniósł ją jedną ręką, wziął duży zamach i z półwoleja posłał długie zagranie w kierunku pola karnego przeciwnika. Chciał z pewnością zagrać w tempo Gregorowi, ten jednak został odepchnięty przez jednego z obrońców.

Stracił równowagę i nie wyglądało na to, by zdążył do piłki w porę. Sędzia zaś nie kwapił się do odgwizdania faulu.

Widząc to, Adam zrozumiał, że pozostało mu tylko jedno.

Ruszył przed siebie w pełnym sprincie, modląc się o to, by nie było za późno. Podanie było wysokie, futbolówka zdawała się opadać powoli. Obrońcy byli nieco zaskoczeni prędkością, którą obrał, i istniała szansa, że uda mu się ich zgubić.

Benhardt dotarł na kilka metrów od pola karnego, nim piłka znalazła się na odpowiedniej wysokości, by za sekundę ją przyjąć.

Tuż na skraju pola widzenia dostrzegł, że bramkarz zerwał się w jego kierunku. Słuszna decyzja. Napastnik miał obrońców nieco za sobą, za moment znajdzie się na dobrej pozycji do strzału. Należało za wszelką cenę uniemożliwić mu przyjęcie futbolówki.

Tyle że Adam nie zamierzał jej przyjmować. Podjął decyzję w ułamku sekundy.

Kiedy tylko była w jego zasięgu, podskoczył i uderzeniem zwanym angielką kopnął ją lekko w górę na wysokości biodra.

Mimo że golkiper znajdował się poza swoim polem karnym, zadziałał bramkarski instynkt. Strzegący słupków Prospektu zawodnik wyskoczył w górę, nie było jednak szans, by w jakikolwiek sposób sięgnął piłki.

Lob poszybował nad nim, a potem zaczął szybko opadać. Czy wystarczająco szybko?

Benhardt nie zdążył na dobre się nad tym zastanowić, gdy futbolówka wpadła do bramki, a na stadionie podniosła się wrzawa. Zaraz potem dopadli do niego koledzy z drużyny, praktycznie go taranując. Przywalili go na murawie, a on znów czuł się, jakby znalazł się w komorze deprivacji sensorycznej. Przez natłok bodźców jego ciało zdawało się odciąć go od nich całkowicie.

Kiedy piłkarze się podnieśli, Antek Rebski podał mu rękę i pomógł wstać.

– Musisz obmyślić jakąś cieszynkę – rzucił z uśmiechem.

Obaj ruszyli truchtem w kierunku linii środkowej.

– He?

– Ronaldinho miał gest aloha, Rivaldo naciągał koszulkę na głowę, Messi unosi palce wskazujące ku niebu, Piątek ślizga się na kolanach i strzela z rewolwerów, a Cristiano ma ten wysoki wyskok i wylądowanie z rozłożonymi rękami.

– No tak.

– Przydałoby ci się coś – dodał Rebus. – Bo chyba okazji do cieszenia się będzie sporo.

Adam powiódł wzrokiem po wciąż wiwatujących tłumach na stadionie. Piłkarze Rewery unosili ręce, wracając na pozycję, wszyscy byli w euforii z powodu strzelonego już w pierwszej minucie gola.

Wszyscy poza Gregorem, co z całą pewnością nie umknie komentatorom ani kamerom telewizyjnym. Szpeja był wyraźnie niezadowolony z tego, że to Benhardt pojawił się na de facto jego pozycji.

I spożytkował podanie, które było kierowane do niego.

Ben liczył na choćby zdawkowe skinienie, Grzegorz jednak odwrócił wzrok, jakby go nie widział.

– W ogóle mało się z tych bramek cieszysz – rzucił Rebski, zanim ruszył z powrotem do linii obrony.

– Cieszę.

Antek posłał mu krótkie, acz pełne powątpiewania spojrzenie.

– Mniej więcej tak, jak ludzie z kredytami na konferencje tego typu z banku centralnego.

Benhardt docenił tę analogię nikłym uśmiechem. Faktycznie przeżywał to bardziej w sobie niż na zewnątrz, choć do tej pory przesadnie się nad tym nie zastanawiał.

Przez lata grania na amatorskim poziomie gole były po prostu czymś naturalnym, immanentnym elementem każdego meczu. Nie było powodu, by przesadnie je celebrować. I najwyraźniej zakorzeniło się to w jego psychice solidnej, niż sądził.

Zajął swoje miejsce na boisku, czekając na wznowienie gry. Wraz z innymi zawodnikami skorzystał z okazji i zerknął w kierunku trenera. Witek tradycyjnie stał na skraju swojego prostokąta i silnie gestykulował.

Tym razem dawał im do zrozumienia, by dalej atakowali i nie spoczywali na laurach. Mieli jeszcze dziewięćdziesiąt kilka minut, podczas których mogło zdarzyć się właściwie wszystko.

Piłkarze z Kłobina szybko ruszyli do ataku, ale nie ulegało wątpliwości, że jeśli opolanie zachowają spokój i nie popełnią żadnego błędu, trudno będzie o wyrównanie. W dodatku przegrywający zespół wyraźnie obawiał się dobicia po zabójczej kontrze, przez co tylna formacja nie angażowała się nadto w ataki.

Po półgodzinie meczu Rebusowi udało się odzyskać piłkę w strefie obronnej Rewery. Rozejrzał się, oddał ją drugiemu obrońcy, a ten posłał ją do Gaudiego.

Chodziła jak po sznurku, kolejno do Radka Warskiego, a potem znajdującego się niedaleko Krzyśka Sandauera.

Zawodnicy Krygiera zdążyli przesunąć się pod pole karne przeciwnika, futbolówka trafiła do szalejącego teraz na prawym skrzydle Benhardta. Ten przyjął ją tak, że automatycznie zgubił zdezorientowanego obrońcę i ruszył w kierunku bramki.

Dostrzegł, że pędzi ku niemu jeden z cofniętych skrzydłowych Prospektu. Kojarzył go, był jednym z największych troglodytów, jak określili go Witek.

Było oczywiste, że zamierza ściąć Adama, zanim ten znajdzie się w polu karnym.

Ben minimalnie zwolnił i przygotował się. Kiedy wing back znalazł się niedaleko, zrobił to, przed czym przestrzegał Krygier. Nie zastanawiał się ani przez moment. Podskoczył, pozwalając, by sunący po murawie przeciwnik minął zarówno jego nogi, jak i piłkę.

Gdy opadł na trawę, mógł zrobić wszystko. Kątem oka wyłowił, że w polu karnym na dobrą pozycję wychodzi Radek Warski, jeden z najwyższych piłkarzy w zespole. Nie wahał się ani chwili.

Zamarkował strzał, sprawiając, że w szeregach obronnych doszło do małego przetasowania, po czym odbił w stronę swojej połowy i wrzucił dochodzącą piłkę prosto na głowę kapitana zespołu.

Ten wybił się w górę i bez trudu jej sięgnął. Poszybowała w kierunku bramki i wpadła do siatki obok bramkarza niemającego czasu zareagować.

Znów podniosła się wrzawa, Krygier uniósł zaciśnięte dłonie nad głowę i potrząsnął nimi z wyraźną ulgą.

Czas płynął, przeciwnicy byli bezradni. Faulowali jak szaleni, a ostrzeżenia i żółte kartki sypały się, jakby trener Prospektu za punkt honoru postawił sobie bicie jakiegoś rekordu.

Tuż przed przerwą Warski zrewanżował się Benowi kapitalnym podaniem w pole karne. Adam był ustawiony tyłem do bramki i w innych okolicznościach próbowałby się obrócić. Przy stanie dwa do zera czuł jednak, że może pozwolić sobie na więcej.

Uderzył z całej siły piętą, ryjąc w murawę i wyrzucając spod buta kawałki trawy. Podbita futbolówka poszybowała prosto pod poprzeczkę golkipera Prospektu Kłobin.

Do szatni schodzili przy stanie trzy do zera, wszyscy poza Gregorem rozpromienieni i wierzący, że poprawią ten wynik w drugiej połowie.

Kiedy drzwi się zamknęły, Witek przyjrzał się każdemu z osobna.

– Dobra – rzucił. – Ustalmy, czy to Bonnie Tyler was tak niesie. Bo jak tak, będziemy ją grać przed każdym spotkaniem.

Kilku zawodników się zaśmiało, inni tylko wycierali pot z uśmiechami na twarzach.

– Trenerze – podjął Warski poważnym tonem, jakby był to jeden z momentów, kiedy kapitan przemawia w imieniu całej drużyny. – Zdaje pan sobie sprawę, że średnia wieku wynosi tu jakieś osiemnaście lat?

– Z wyjątkiem Gregora – rzucił Sandał. – Trochę zawyża.

– Tak czy siak moglibyśmy słuchać czegoś, co wyszło już po urodzeniu naszych rodziców – dodał z uśmiechem golkipier, Oleo.

Krygier skrzyżował ręce na piersi.

– Zamknąć ryje – oznajmił. – Lata osiemdziesiąte to szczytowy moment muzyki. Była wtedy bezkompromisowa, bezwstydną. Można było śpiewać o sile miłości bez owijania jej w dziesięć warstw metafor.

W szatni rozległo się przeciągłe „uuu”, jakby Witek właśnie oznajmił, że się w kimś zadurzył. Pozwolił na jeszcze chwilę rozprężenia, a potem uniósł otwarte dłonie, uspokajając swoich podopiecznych.

Wszyscy jak na sygnał spoważnieli.

– Jest dobrze, może być lepiej – oznajmił. – Te parapety będą coraz bardziej nerwowe. Kilku ma już żółte kartki i wcale nie zanoszą się na to, żeby przestali je kolekcjonować. Niewiele trzeba, a będziecie grać w przewadze jednego zawodnika. Wykorzystajcie to. Cała ich taktyka posypie się wtedy jak domek z kart, a każda zdobyta w tym meczu bramka to atut w kolejnych spotkaniach. Wysoko wygrywający zespół deprymuje następnych przeciwników, a wy macie idealną okazję, żeby zrobić demolkę.

Kontynuował jeszcze przez kilka minut, nim zaczął pokazywać na tablicy, jak poszczególni piłkarze powinni się przemieszczać. Pomagało to, że na treningach wyznaczał im niejako trasy biegowe taśmami z marketu budowlanego. Część zawodników już grała na pamięć, co owocowało groźnymi dla oponentów sytuacjami.

– Jeden, dwa kontakty, podanie – perorował. – Cały czas atakujemy, nie dajemy im dojść do głosu. Ofensywa, pressing, ofensywa.

Powtarzał to do znudzenia, podobnie jak ćwiczenia treningowe, a przede wszystkim grę z klepki w dziada. Adama bynajmniej to nie dziwiło – tego typu mecz był idealną okazją, by wdrukować w umysły piłkarzy taktykę, którą Witek chciał realizować.

Kluczowe było dla nich, by na dobre oswoili się z takim stylem gry. A potem powtarzali go niejako naturalnie w starciach z mocniejszymi rywalami.

Wszyscy zdawali się przyjmować założenia taktyczne z uwagą – i dotychczas je realizowali. Niosła ich jakaś dziwna, synergiczna energia całego zespołu. Każdy zdawał się nawzajem nakręcać, być może z wyjątkiem Gregora.

Było dobrze. I zanosilo się na to, że będzie coraz lepiej.

W tak pozytywnej atmosferze Benhardt niemal mógł zapomnieć o tym, że ten mecz może okazać się jego ostatnim w barwach Rewery Opole. Czy nawet fantastyczny wynik mógłby coś zmienić?

Zdaniem trenera tak. On jednak nie był taki pewny.

– Wisienka na torcie – rzucił Krygier na moment przed tym, jak rozległ się dzwonek zwiastujący konieczność opuszczenia szatni. – The Power of Love.

Rozległo się kilka niepewnych pomruków, zaraz potem jednak wszystkie zanikły w zalewających pomieszczenie dźwiękach muzyki. Klasyk lat osiemdziesiątych w wykonaniu Huey Lewis and the News został skomponowany specjalnie na użytek Powrotu do przyszłości i Ben miał wrażenie, że zna go chyba każdy.

Było trochę prawdy w tym, co trener przed momentem mówił o otwartości wyrażania uczuć w tamtych czasach. Wydawało się, że potem z jakiegoś powodu wykonawcy stawali się coraz bardziej powściągliwi.

Tuż przed tym, jak rozpoczął się refren, drzwi szatni się otworzyły, a do środka weszła Kalina. Trzymała uniesioną komórkę i kręciła głową z niedowierzaniem. Powiedziała coś do ojca, ale muzyka była tak głośna, że żadne słowa nie mogły się przez nią przebić.

Chwilę później wyszli ponownie na murawę.

Muzyka znów zdawała się zapewnić im dodatkowe naładowanie, choć prawdopodobnie żaden z piłkarzy w zaciszu własnego domu nie włączyłby tego typu kawałka.

W pięćdziesiątej minucie meczu po dwójkowej wymianie między Gaudim i Benhardtem piłka trafiła pod nogi Sandała, a ten wykończył akcją celnym strzałem na bramkę.

Było cztery do zera, wynik jednak długo się nie utrzymał.

Już kilka minut później Gregor został brutalnie sfaulowany kilka metrów od pola karnego, sędzia odgwizdał rzut wolny. Podeszli do niego Warski oraz Ben, ustalając między sobą, że ten pierwszy wysunie piłkę, a drugi odda strzał na bramkę.

Kiedy mur z piłkarzy wystrzelił w górę, Adam posłał futbolówkę mocno po ziemi. Zanim golkipier się zorientował, była już w siatce.

Pięć do zera.

I ponad pół godziny meczu, by jeszcze zwiększyć przewagę.

Piłkarze Rewery Opole chodzili po boisku jak naelektryzowani, robili właściwie wszystko, co chcieli.

W sześćdziesiątej drugiej minucie Benhardt dostał podanie od Rebskiego w środkowej strefie boiska. Nagle tuż przed nim jakby otworzył się tunel. W ułamku sekundy zobaczył drogę, którą może pokonać, by bez trudu dostać się pod bramkę.

Miał już na koncie hat-tricka. Nie zamierzał jednak na tym poprzestawać.

W szalonym pędzie ku bramce zmylił jednego przeciwnika, zakładając mu siatkę, potem zwodem przeszedł drugiego.

Gnał na pełnej prędkości i jedynym, który mógł mu przeszkodzić, był nabiegający od linii bocznej defensor, kryjący wcześniej Gregora. Adamowi przeszło przez myśl, by wejść z odkrytym Szpeją w dwójkową akcję.

Ostatecznie jednak nie miał czasu, by to rozważyć. Wszystko działo się zbyt szybko.

Boczny obrońca nagle odpuścił i zorientował się, że powinien pilnować swojego napastnika.

Ben zdążył jedynie pomyśleć, że podjął słuszną decyzję, ciągnąc na bramkę samemu.

Nie zakładał, że defensor zrezygnował, bo tuż obok pojawił się inny.

Nagle Adam poczuł tylko, jak ktoś miażdży wślizgiem jego nogi. Ból był przeraźliwy, jakby połamano mu kości.

Runął na ziemię z impetem wielokrotnionym własną prędkością. Poczuł tylko, jak z ogromną siłą uderza głową o murawę.

Z jego perspektywy wszystko ucichło. Znikła stadionowa wrzawa, gdzieś rozplynęła się nawet świadomość tego, gdzie jest i co się dzieje. Świat przepadł razem z nią, kiedy wizję zaczęła zasnuwać mu ciemność.

Leżał bez ruchu, nie podnosząc się.

Krygier natychmiast uniósł ręce, krzycząc w kierunku sędziego. Ten nie zwracał na niego uwagi, pochłonięty tym, co właśnie wydarzyło się na murawie.

Biegł ku leżącym na niej dwóm piłkarzom, sięgając do kieszeni w koszulce, gdzie trzymał żółte i czerwone kartoniki.

– Nie wstaje – rozległ się głos zza pleców Witka.

Dopiero po sekundzie do Krygiera dotarło, że należy do córki.

– Słyszysz? – dodała Kala. – Nie podnosi się.

Witek poczuł nieprzyjemne ciarki na karku.

Arbiter główny podbiegł do zawodnika Prospektu, który właśnie wstawał z murawy. Miał już na koncie żółtą kartkę, ale w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia. Brutalny wślizg od tyłu prosto na nogi Benhardta, w dodatku z wysoko uniesioną stopą, kwalifikował się na automatyczne wyrzucenie z boiska, być może także karę na więcej niż jeden mecz.

Witek na moment obejrzał się przez ramię.

Piłkarze siedzący na ławce przesunęli się na skraj krzesełek, na ich twarzach widać było jedynie wściekłość. Wszyscy byli gotowi, by natychmiast zerwać się na równe nogi.

Kiedy Krygier obrócił się z powrotem w kierunku boiska, zobaczył swoich podopiecznych biegnących ku obrońcy, który skosił Adama.

Sytuacja, która przed momentem wydawała się stuprocentową okazją do zdobycia gola, przerodziła się w horror.

Wszyscy natychmiast zgromadzili się przy faulującym. Sędzia stał z uniesionym czerwonym kartonikiem, ale żaden z piłkarzy tego nie dostrzegł. Przepychali się, krzyczeli do siebie i odtrącali wzajemnie swoje ręce.

Rebus dopadł do winowajcy jako pierwszy. Popchnął go, a ten natychmiast ruszył na niego z pięściami. Między nich wszedł Gaudi, starając się rozdzielić mężczyzn, zaraz jednak został odepchnięty przez kogoś z Prospektu.

Rozległ się gwizdek arbitra, który w niczym nie pomógł.

Sandauer popchnął któregoś z przeciwników, ten teatralnie upadł na ziemię. Zapanowało prawdziwe pandemonium.

Ani Witek się obejrzał, Oleo był już w polu karnym przeciwników, a rezerwowi piłkarze zerwali się z ławki.

– Spokój! – krzyknął, ale jego apel znikł w ogólnym wzburzeniu.

Widział, że jeden z oponentów złapał Gregora za koszulkę i szarpnął na tyle mocno, że poszły szwy. Szpeja brał już zamach, jakbym miał zamiar wyprowadzić prawy sierpowy, kiedy Warski złapał go za rękę i odciągnął.

Wystarczyła jedna iskra, by ta beczka prochu eksplodowała. Krygier nie miał zamiaru czekać. Pobiegł razem ze swoimi piłkarzami w kierunku epicentrum zdarzeń. Wciąż miał z tyłu głowy, że Benhardt się nie podnosił.

Widował takie bezmyślne interwencje. Wiedział, że w większości przypadków kończą się poważnymi urazami, wyłączającymi zawodnika na wiele miesięcy. W tym wypadku na resztę sezonu.

Uderzenie głową o murawę było jeszcze groźniejsze. Adam nie widział przeciwnika, nie był przygotowany i w żaden sposób nie zamortyzował upadku.

– Tato! – krzyknęła Kala.

Zatrzymał się i dopiero teraz zorientował, że córka biegnie za nim. Natychmiast uniósł dłonie i sprawił, że wpadła wprost na niego. Cokolwiek w tej chwili działo się za jego plecami, nie mógł pozwolić, by Kalina brała w tym udział.

Szybko objął ją mocno, nie pozwalając się wyrwać.

Nagle cała wrzawa zdawała się urwać. Witek poczuł opadające go przerażenie, bo doskonale zdawał sobie sprawę, że tylko jedna rzecz mogła tak szybko ostudzić wszystkich piłkarzy.

Obejrzał się i zobaczył, że zarówno zawodnicy Rewery, jak i Prospektu gorączkowo gestykują w kierunku linii bocznej. Wszyscy wykonywali ruchy świadczące o tym, że natychmiast potrzebne są nosze.

Sanitariusze już pędzili w kierunku Benhardta. Sędzia starał się odprawić wszystkich, którzy nie powinni znajdować się w tej chwili na murawie.

Kłębiące się w piłkarzach emocje w okamgnieniu przeszły całkowitą metamorfozę – z wzajemnej wściekłości w solidarne przerażenie.

Medycy zatrzymali się przy leżącym na murawie zawodniku. Jeden przykląkł obok Adama, drugi odpinał pasy na noszach.

– Co się tam dzieje? – spytała Kala, wciąż w ramionach ojca.

– Już się nim zajmują.

– Daj mi...

– Nie musisz tego oglądać – uciął trzęsącym się głosem Witek. – Zaraz wszystko będzie dobrze.

Przez kłębiących się tuż obok piłkarzy Krygier nie mógł dostrzec, co się dzieje. Nagle wśród nich zapanował jakiś ruch. Witek zrozumiał, że ustawiają się wokół tak, by publiczność nie widziała, co robią ratownicy medyczni.

Zamknął oczy.

Nie, Boże, nie. To mogło oznaczać tylko jedno.

Nie powinien wystawiać tego chłopaka w tym meczu. Wygrałby bez niego, do kurwy nędzy. Ben nie miał odpowiedniego przygotowania fizycznego ani doświadczenia w ścieraniu się z grającymi tak brutalnie rywalami.

Do chuja, to jego wina. Wszystko jego wina.

– Puść mnie – odezwała się Kala.

– Jeszcze chwil...

– Puszczaj.

Nie mógł dłużej powstrzymać wrywającej się z ramion córki. Opuścił ręce i zobaczył łzy w jej oczach. Bez patrzenia zrobiła krok w stronę miejsca, gdzie leżał Benhardt, ale kiedy tylko skierowała tam spojrzenie, zamarła.

Ona także zdawała sobie sprawę, że piłkarze ustawiają mur wokół poszkodowanego tylko wtedy, gdy dzieją się naprawdę dramatyczne rzeczy.

Krygier kątem oka dostrzegł, że obrońca, który sfaulował Bena, w końcu ruszył w kierunku szatni, odsyłany chyba kilka razy przez sędziego. Był wściekły, unosił wzrok i syczał coś pod nosem.

Piłkarze byli zajęci Adamem, nikt nawet się nie zorientował, że sprawca schodzi z murawy. Witek ruszył ku niemu.

– Popierdoliło cię, człowieku?! – ryknął.

Zawodnik spojrzał na niego ze zdziwieniem.

– Odwał się – rzucił.

– Pojebany jesteś do reszty?! – krzyknął Krygier. – Co to, kurwa, miało być? Nogi mu chciałeś połamać?!

– Spierdalaj.

Witek stracił głowę. Puścił się pędem w kierunku piłkarza, nie mając zamiaru zastanawiać się nad tym, co zamierzał zrobić. Skurwiel zasługiwał na nauczkę, a czerwona kartka i parę słów reprimendy nie były wystarczające.

Krygier zrzucił marynarkę, by nie krępowała mu ruchów. Została kawałek dalej na murawie, nim zorientował się, że tuż przy nim pojawiło się kilku rezerwowych piłkarzy. Zanim zdążył dopaść do zawodnika Prospektu, zatrzymali go.

– Zostaw! – krzyknął do jednego z nich.

– Spokojnie, tre...

– Puszczaj mnie, do kurwy nędzy!

– Nie warto, trenerze – odezwał się któryś.

– Zajebię chuja, zajebię go tu, kurwa!

Rozległ się gwizdek sędziego, który zorientował się w sytuacji i natychmiast ruszył sprintem w kierunku szkoleniowca Rewery Opole. Sytuacja wymykała

się z rąk, na stadionie znów podniosła się wrzawa.

Krygier poniewczasie zorientował się, że kibice przyglądali się jego zachowaniu – i postanowili przyjść mu w sukurs. Niektórzy ruszyli w dół, starając się dostać na płytę boiska. Inni odgrazali się zwolennikom Prospektu, próbując przebić się do zajmowanych przez nich sektorów.

Kilka osób odpaliło race, nad stadionem zaczęły unosić się skłębione, czerwone języki dymu. Furia na trybunach, znajdująca ujście w dzikich okrzykach tysiąca gardeł, była niemal fizycznie odczuwalna na murawie.

Piłkarz, który dopuścił się faulu, w końcu znikł w tunelu. Zawodnicy ostrożnie puścili Witka.

– Pan też chce wylecieć? – rzucił podniesionym tonem arbiter.

Krygier zacisnął usta.

– Niech pan wraca na ławkę.

– Wał się na ryj.

– Słucham?

– Pierdol się – powtórzył Witek, ruszając w stronę sędziego. – Twoim jedynym zadaniem jest chronienie tych chłopaków! I jak się, kurwa, z niego wywiązujesz?

Arbiter natychmiast stanął przy nim i stanowczym ruchem wskazał mu ławkę.

– Albo pan tam wraca, albo...

– Widziałeś od początku, co się dzieje! – ryknął Krygier. – Tak trudno było, kurwa, dać im kartki zamiast ostrzeżeń? Wiedziałeś, jak to się skończy!

– Ostatni raz upominam...

– Szkoda, że ich tak nie upominałeś, tępy skurwysynu!

Rezerwowi znów znaleźli się przy trenerze i złapali go za ramiona. Witek wiedział, że ostatnim epitetem załatwił sobie eksmisję.

Arbiter wyciągnął czerwoną kartkę, a potem jeszcze raz ze spokojem wskazał mu kierunek do szatni.

Po chwilowej przepychance ze swoimi piłkarzami Krygier w końcu spasował.

– Takie sędziowanie powinno być, kurwa, karalne – rzucił jeszcze przez ramię, kiedy mimo woli szedł w stronę tunelu, wyprowadzany przez jednego z arbitrów liniowych.

Zatrzymał się tuż po tym, jak weszli do korytarza.

– Musi pan wejść do...

– Chcę wiedzieć, co z moim zawodnikiem.

– Zaraz pan...

– Zapytaj ich – polecił Witek, wskazując mikrofon i słuchawkę przytwierdzone do twarzy sędziego.

Ten zerknął w kierunku wyjścia na boisko, a potem ledwo zauważalnie skinął głową. Zadał pytanie, a potem przez moment słuchał.

– Proszę wejść do szatni – oznajmił.

– Najpierw...

– Jeśli pan nie wejdzie do szatni, będzie pan musiał opuścić obiekt.

Witek machnął nerwowo ręką, a potem ruszył we wskazaną stronę. Usiadł na pierwszym lepszym miejscu, zajmowanym zwykle chyba przez Olejarczyka.

– Proszę się uspokoić – powiedział arbiter.

– Mów, co tam się dzieje.

– Dowie się pan wszystkiego niebawem – uciał mężczyzna, a potem odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Krygier ściągnął krawat, cisnął go na ziemię i skierował wzrok na ekran zawieszony w rogu pomieszczenia. Pokazywał obraz z NSI Sport, które transmitowało to spotkanie. Komentatorzy mogli jedynie spekulować, kamera nawet nie pokazywała miejsca, w którym znajdowali się Benhardt i ratownicy.

Widać było czerwone smugi na trybunach i masę kibiców, którzy starali się przebić do innych sektorów. Rzucano na murawę wszystko, co popadnie, i Krygierowi przeszło przez myśl, że mecz zaraz zostanie przerwany, a Rewera ukarana.

Nie miało to w tej chwili żadnego znaczenia. Czekał na jakiegokolwiek wieści z murawy, ale na próżno. Jeszcze przez jakiś czas jego jedynym źródłem informacji musiał być telewizor zawieszony na ścianie.

Obraz, który się na nim znajdował, stawał się coraz bardziej niepokojący. Na boisku pojawiły się kolejne odpalone race, które sprawiły, że pół stadionu szybko znikło w oparach czerwonego dymu.

Widać było jeszcze, jak z trybun zaczynają lecieć na płytę wyrwane krzeselka. Zaraz potem wzdłuż linii bocznej ustawiły się kordony uzbrojonych policjantów. Wszystko to zaczynało przypominać regularną bitwę, a nie mecz piłki nożnej.

Za moment drużyny z pewnością zostaną odesłane do szatni. Właściwie Witek dziwił się, że sędzia jeszcze tego nie zrobił. Być może kierował się tym, że żaden z kibiców nie wtargnął na stadion. Race zostały uprzątnięte dość szybko, ale zanim rozwieje się dym, minie z pewnością trochę czasu.

Arbiter wciąż musiał mieć nadzieję, że sytuację uda się uratować.

Krygier wlepił wzrok w ekran, starając się wypatrzyć to, co interesowało go właściwie jako jedyne. W końcu dostrzegł, jak Benhardt jest transportowany na

noszach w kierunku linii bocznej.

Ratownicy musieli do tej pory prowadzić czynności na płycie boiska. Nie chcieli go przenosić. Wszystko to w połączeniu z faktem, że nie wracał o własnych siłach, napełniło Witka jeszcze większym przerażeniem.

W końcu usłyszał kroki w korytarzu. Zerwał się na równe nogi i otworzył drzwi, zastając przy nich jednego z ochroniarzy, który najwyraźniej miał go pilnować.

– Nie może pan...

– To mnie powstrzymaj – rzucił, a potem ruszył w stronę ratowników z noszami.

7

Tunel pod trybunami, stadion Prospektu

Kala szła obok noszy, trzymając rękę na ramieniu Benhardta, jakby dzięki temu mogła w jakiś sposób pomóc. Kiedy zbliżyli się do pokoju będącego tutaj namiastką pomieszczenia do odnowy biologicznej, dostrzegła kątem oka idącego ku niej ojca.

– Co z nim? – zapytał.

Kalina z trudem przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że gardło ścisnęło jej się do tego stopnia, że nie będzie w stanie wydać z siebie żadnego dźwięku.

Emocje wciąż w niej wzbierały, choć miała wrażenie, że kulminację osiągnęły w momencie, gdy Adam i klęczący przy nim medycy zniknęli w czerwonych oparach rac.

– Kala! – rzucił nerwowo ojciec.

Ratownicy umieścili nosze na stole do masażu, a Witek dopadł do progu. Kalina patrzyła prosto w oczy leżącego obok Bena. Kątem oka dostrzegała szkarłatną czerwień na opatrunkach i spodenkach. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem widziała tyle krwi po jakiegokolwiek interwencji na boisku.

Szczęśliwie było to tylko rozcięcie. Szerokie i dość głębokie, ale rozcięcie. Wszystko to wyglądało niepokojąco, ostatecznie jednak nie stanowiło żadnego poważnego zagrożenia.

– Wstawaj, żołnierzu – odezwała się Kalina.

– Żołnierzu? – jęknął cicho Adam.

– Wolałbyś „samuraju”?

– Jeśli mówiłabyś głosem Keanu Reevesa, to...

– Nie pasuje – ucięła. – Szczególnie że trener chce usłyszeć od ciebie meldunek.

Benhardt uśmiechnął się niemrawo.

– Tak jest – rzucił, a potem przyłożył dłoń do skroni, salutując jak w amerykańskiej armii.

Zaczął podnosić się dość zwawo, ale ratownicy od razu zaoponowali. Po prawdzie miał zamiar opuścić murawę o własnych siłach, ci dwaj byli jednak nieugięci. A przynajmniej tak twierdził w drodze tutaj.

Wyprostował się akurat w momencie, kiedy przy łóżku znalazł się Krygier. Natychmiast otaksował piłkarza wzrokiem, jakby miał w oczach jakiś medyczny skaner. Położył dłoń na jego udzie, a Kala dopiero teraz zreflektowała się, że sama powinna zabrać rękę.

– Wszystko okej? – rzucił Witek.

– Oprócz tego, że chyba się na czymś poślizgnąłem, to tak.

– Słuchaj no, gówniarzu...

Urwał i nerwowo przesunął dłońmi po twarzy. Sprawiał wrażenie, jakby w jednym momencie cały ciężar spadł mu z barków. Ratownicy tymczasem zajmowali się oceną stanu, w jakim znajdowały się nogi piłkarza, zupełnie nie zwracając uwagi na trenera.

– Chyba przeżyję – ocenił Adam.

– Jak jeszcze raz coś takiego odstawisz, zapewniam cię, że nie. Własnoręcznie o to zadbam.

Ben uśmiechnął się niemrawo.

– Kazał mi pan odstawiać teatryk – odparł. – To odstawiłem.

Medycy rzucili mu pełne dezaprobaty spojrzenie, jakby chcieli zasugerować, że na żarty i bagatelizowanie sytuacji przyjdzie jeszcze pora. Potem jeden z nich zajął się sprawdzaniem opatrunku na nodze.

– Stracił przytomność – odezwał się drugi. – I może mieć wstrząśnienie mózgu.

– Jezu... – rozległ się cichy jęk od strony korytarza.

Kala obróciła się i zobaczyła stojącą w progu Sylwię Majewską. Stała oparta o framugę drzwi i wyglądała, jakby sama miała za moment osłabnąć. Zamrugowała kilkakrotnie i ruszyła niepewnie w kierunku siedzącego na leżance zawodnika.

– Jak się czujesz? – spytała.

– Idealnie – odparł, zerkając na zajmującego się nim medyka. – Mogę wracać na murawę?

Mężczyzna nawet nie odpowiedział.

– Trenerze? – dodał Benhardt.

Witek chyba dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, co w istocie się wydarzyło. Chłopak został znokautowany, przez moment był nieprzytomny.

– Wiesz, co tam się dzieje? – odparł. – Rozpętało się prawdziwe piekło.

– W takim razie tym bardziej...

Ben urwał, kiedy zamiast wstać, został sprowadzony z powrotem na łóżko przez jednego z ratowników.

– Nigdzie nie idziesz – rzucił. – Prawdopodobnie masz wstrząśnienie mózgu.

– Nie szkodzi.

Medyk tylko pokręcił głową, Sylwia zbliżyła do stołu i posłała Adamowi długie, stanowcze spojrzenie.

– Nawet jeśli, to Karius grał ze wstrząśnieniem w finale z Realem w dwa tysiące...

– I popełnił dwa tragiczne błędy, przez które Liverpool przegrał – uciał szybko Krygier. – Leż i się nie ruszaj, chłopie.

Benhardt bynajmniej nie wyglądał, jakby miał zamiar się dostosować. Kiedy jednak Majewska położyła mu rękę na klatce piersiowej, jakby tym gestem mogła przygwoździć go do noszy, spasował.

Spojrzał jednak w kierunku korytarza, z którego zaczynały dochodzić dźwięki podniesionych rozmów.

– Co tam się dzieje? – spytał.

– Nic takiego – odparła Kala. – Niewielka zadyma.

– Tym bardziej powinienem się pojawić i pokazać, że nic mi...

– Posłuchaj mnie bardzo, kurwa, uważnie – przerwał mu ratownik. – Taki uraz to nie jest nabicie sobie guza na czole. Straciłeś przytomność, może wystąpić krwiak wewnątrzczaszkowy, mogą pojawić się długofalowe powikłania, w najgorszym wypadku nawet udar lub fragmentaryczna martwica mózgu.

W pokoju zaległo milczenie, przez co jeszcze wyraźniej słychać było skaczących sobie do gardeł zawodników w korytarzu.

– Ale czuję się w porządku – uparł się Ben. – Nie mam zawrotów głowy, nudności ani...

– Nie każdy wstrząs przebiega objawowo.

– Ale...

– Nie rozumiesz – uciął jeszcze raz medyk. – W tej chwili nie pozwoliłbym ci na głośne słuchanie muzyki, granie na xboxie ani oglądanie filmu czy serialu w zaciemnionym pomieszczeniu. O jakiegokolwiek aktywności fizycznej przez jakiś czas nie ma mowy.

Sylwia nadal trzymała dłoń na piersi Benhardta, a Kali przeszło przez myśl, że to dość osobliwe zachowanie. Adam jednak zdawał się tego nie odnotować, jakby było całkowicie normalne.

– Zaraz zabieramy cię do szpitala – poinformował ratownik, a potem zerknął na swojego kolegę.

Dla Kaliny stało się jasne, że chcieli zrobić to od razu, ale przez to, co działo się na stadionie, uznali, że przejście do karetki wiąże się ze zbyt dużym ryzykiem.

– Sprawdź, jak sytuacja – odezwał się Witek, najwyraźniej dochodząc do takiego samego wniosku.

Ledwo wyszedł na korytarz, musiał zmierzyć się jednak z innym problemem. Sędziowie techniczni robili wszystko, by nie doprowadzić do eskalacji napięcia między piłkarzami, ale ponosili sromotną klęskę.

Kala obejrzała się przez ramię, przyglądając się ojcu, który stał w tym kotle z uniesionymi rękoma, starając się przemówić swoim podopiecznym do rozsądku.

– Mamy karnego? – odezwał się Ben.

Dziewczyna obróciła się ku niemu.

– Co?

– Sędzia odgwizdał jedenastkę?

– Nie – odparła Kala. – Mecz został przerwany. Poszły w ruch race, kibice zaczęli wyrzywać krzeselka i rzucać je na stadion. Nie wiem, czy nie wdarli się już na płytę.

Benhardt wbił wzrok w sufit, a potem zamknął oczy.

– Trzymaj powieki otwarte – zareagował szybko ratownik.

Adam zrobił, co mu polecono. Spojrzał najpierw na pochylającą się nad nim Majewską, potem na Kalę.

– Twój ojciec powinien wyjść do kibiców – zasugerował.

– I zrobić co konkretnie?

– Spróbować...

Nie dokończył, bo Krygier pojawił się w pomieszczeniu i dał ratownikom znak, że droga wolna. Nie trzeba było im tego powtarzać dwa razy. Od razu unieśli nosze, a potem ruszyli z nimi korytarzem w kierunku wyjścia.

Kiedy przepychający się w tunelu piłkarze dostrzegli kontuzjowanego zawodnika, wszyscy nagle zamarli. Emocje zdawały się momentalnie opaść, a na twarzach zebranych widać było jedynie głębokie zaniepokojenie.

– Nie przeszkadzajcie sobie – odezwał się Adam.

Gaudi dołączył do ratowników i przez moment szedł obok noszy w stronę wyjścia. Kalina została na środku korytarza, czując na sobie pytający wzrok zebranych.

– Wszystko będzie okej – odezwała się. – Zrobią mu w szpitalu prześwietlenie, trochę popauzuje, a potem wróci do gry.

Mówiła pewnym siebie głosem, ale właściwie nie miała pojęcia, na ile to prawda. Interesowała się tym sportem na tyle, by wiedzieć, że takie urazy potrafiły kończyć się różnie.

Zebranych jednak tyle zdawało się wystarczyć. Zaczęli rozchodzić się do swoich szatni, nie wymieniając już żadnych agresywnych uwag.

Kiedy po stadionie rozeszła się wieść, że kontuzjowany piłkarz został przewieziony do szpitala i jego stan jest dobry, także wśród kibiców emocje przestawały brać górę.

Na niewiele się to jednak zdało. Mecz został przerwany na dobre, piłkarze mogli wracać do domu. Zespołowi Rewery Opole nie było do tego spieszo. Po jednogłośniejszej decyzji klubowy autobus zaparkował pod szpitalem w Kłobinie, po czym wszyscy wyszli na parking i czekali.

Jako jedyny do szpitala wszedł Witek. Spędził tam trochę czasu, podczas gdy reszta w pewnym napięciu kręciła się przed budynkiem. Było już ciemno, gdy Krygier wyszedł do swoich piłkarzy.

– Zrobili tomografię – oznajmił.

Kalina знаła bodaj każdy wyraz twarzy ojca, z tego jednak nie mogła wiele wyczytać. Był zmęczony, przejęty i niepewny przyszłości. Wszystko to sprawiało, że sam chyba nie kontrolował emocji, które pojawiały się na jego obliczu.

Wszyscy milczeli, a Kala oderwała wzrok od ojca. Liczyła, że któryś z piłkarzy zada pytanie, które wszystkim kołatało w głowach.

Powiodła po nich spojrzeniem, nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że cała ta sytuacja okazała się dla nich spoiwem. Od pierwszej chwili po wypadku autokaru byli blisko, tragedia stanowiła pewien zaczyn inaczej niespotykanych relacji – wystąpienie razem przeciwko zarządowi też ich zbliżyło. Dopiero teraz jednak jawili jej się jako rodzina.

Nikommu nawet przez myśl nie przeszło, by wracać do domu bez Adama. Nikt nie protestował, kiedy postanowili, że będą czekać pod szpitalem tak długo, jak będzie to konieczne. Zadzwonili tylko do swoich bliskich, by poinformować o tym, co było dla każdego z nich już oczywiste.

– Trenerze... – rzucił ostrożnie Radek Warski. – Co z nim?

Witek nabrał głęboko tchu.

– Nie wygląda na to, żeby cokolwiek było nie w porządku – odparł. – Niedługo go wypuszczą i możemy wracać do Opola.

Kilku zawodników głośno odetchnęło. Inni unieśli wzrok w dziękczynnym geście.

Jedynym, który nie dawał niczego po sobie poznać, był Gregor. Kala przypuszczała jednak, że nawet nim targał niepokój o los kolegi z zespołu.

– Nie musicie czekać – dodał Krygier. – Załatwimy transport, a wy...

– Poczekamy – odezwał się nagle trzymający się z dala Szpeja.

Ponownie nikt nie zaoponował, mimo że tak naprawdę nie było już powodu, dla którego mieliby urządzać tutaj nocne czuwanie.

Kontuzja wyglądała groźnie, głównie ze względu na ilość krwi na boisku i fakt, że Ben stracił przytomność. Kalina przypuszczała jednak, że Adam szybko się wylize. A przynajmniej miała taką nadzieję.

– Co z meczem? – rzucił jeden z zawodników.

– Chyba trzeba będzie powtórzyć – ocenił Sandauer.

– Albo dokończyć?

– Raczej nie. Za duża afera.

Witek uniósł rękę, chcąc ukrócić dalsze spekulacje. Zanim jednak zdążył się odezwać, zobaczył mocne światło w oddali, a potem dziennikarkę, która stała z mikrofonem przed kamerą. Nie ulegało wątpliwości, że relacjonuje wydarzenia spod szpitala, a operator ustawił ją na tle pomarańczowo-białego autobusu Rewery Opole.

Musiała nagrywać tylko setkę, krótki materiał będący telewizyjnym odpowiednikiem notatki prasowej. Szybko skończyła, po czym ruszyła w kierunku Krygiera.

– Trenerze, może parę słów? – spytała bez natarczywości. – O stanie Benhardta, o meczu?

Witek się zawahał.

– Idź – poradziła półgłosem Kala. – Kibice też chcą wiedzieć.

Skinał głową, choć zupełnie bez przekonania. Potem wyszedł reporterce na spotkanie. Nie sprawiała wrażenia, jakby była mieszkanką niewielkiego

Kłobina. Może przyjechała z jakiejś pobliskiej lokalnej redakcji NSI, ewentualnie była już na miejscu, bo relacjonowała mecz.

Nie, raczej nie. Kalina kojarzyła chyba wszystkie dziennikarki sportowe.

Ojciec zajął miejsce przed kamerą, a potem rozejrzał się, jakby gdzieś w powietrzu miały unosić się na wyciągnięcie ręki odpowiedzi, których mógłby udzielić. W sprawie Bena przekazał właściwie to, co swoim piłkarzom. Potem padło jednak trudniejsze pytanie.

– Jak ocenia pan zachowanie kibiców? – rzuciła reporterka.

Krygier lekko się skrzywił.

– Cóż mogę powiedzieć? – odparł. – Poddali się emocjom. Nie tylko oni.

– Więc pochwała pan to, co się stało?

– Nie. Absolutnie nie – powiedział stanowczym tonem Witek. – Ale musimy mieć jedno na względzie.

– Co takiego?

– Łatwiej jest zmienić pracę, dom, żonę lub męża niż klub, któremu się kibicuje.

Kobieta ściągnęła brwi, przypatrując mu się uważnie.

– W trakcie dziewięćdziesięciu minut, które kibic spędza na trybunach, nagle przeżywa zupełnie inne życie – ciągnął Witek. – To nie jest doświadczenie, to jest odmienna egzystencja. Spektrum towarzyszących jej emocji jest nie do powtórzenia w żadnych innych okolicznościach.

Krygier mówił na tyle szybko, by dziennikarka mu nie przerwała. Ewidentnie nosiła się z takim zamiarem – i właściwie trudno było się jej dziwić. Musiała obawiać się, że to kolejny wybieg, dzięki któremu rozmówca uniknie jednoznacznej oceny zachowania kibiców. W rzeczywistości jednak Witek dążył do konkretnej puenty.

– Kibicowanie to pasja, prawdziwa pasja – kontynuował. – Wie pani w ogóle, na czym ona polega?

– Przypuszczam, że mi to pan wyjaśni.

– Pasja to nie gotowość, by dla czegoś żyć. To gotowość, by za to umierać – powiedział Krygier. – Jeśli więc kogokolwiek dziwi, że emocje wzięły górę, powinien się zastanowić, czy naprawdę rozumie futbol. To światowy ewenement. Jakkolwiek to brzmi, to jednocześnie szachy, balet i boks. Fizyczne i psychiczne starcie, a jednocześnie celebrowanie współpracy. Gra, w którą tylko pozornie angażuje się nogi, bo tak naprawdę wygrywa się sercem. W końcu to sposób na wyrażenie siebie przez setki tysięcy kibiców. – Witek zrobił krótką pauzę. – Bill Shanky powiedział kiedyś, że niektórzy uważają piłkę nożną za

sprawę życia lub śmierci. Nie zgadzał się z nimi. Uważał, że to coś znacznie poważniejszego.

Kobieta wciąż patrzyła na niego z ewidentną podejrzliwością.

– Nie pochwalam tego, co się wydarzyło – dodał Krygier. – Rozumiem emocje, rozumiem wzburzenie, nawet wściekłość, bo sam je czuję. Ale żadna z tych rzeczy nie może usprawiedliwiać przemocy.

Dziennikarka lekko skinęła głową, licząc na coś więcej.

– Dziękuję – rzucił Witek, a potem powoli oddalił się w kierunku piłkarzy.

Kala posłała mu podnoszące na duchu spojrzenie, świadoma, że ojciec pewnie zachodził w głowę, czy ostatnie przesłanie wybrzmiało w miarę dosadnie. Dało się dostrzec, że ledwo kontrolował słowa wydostające się z gardła, był sponiewierany emocjami i wciąż nie doszedł do siebie.

– I jak? – mruknął.

– Gadałeś jak potłuczony.

Ojciec wydał usta i pokręcił głową, jakby zbierał się, by rzucić jakąś sarkastyczną uwagę o tym, że na córkę to zawsze można liczyć.

– Chciałem tylko powiedzieć, że ich rozumiem. I te emocje.

– To ci się prawie udało.

Pogładziła go po ramieniu, a potem oboje zerknęli w kierunku szpitala.

Im dłużej czekali przy autobusie z piłkarzami, tym większy marazm ich opadał. Miejsce ogólnego wzburzenia szybko zajmowało otępienie, przez co większość przypominała sobie o jedzeniu. Było już późno, ale znaleźli na Google Maps otwartą pizzerię, a potem złożyli zamówienie z dowozem na parking.

Czas się dłużył, nikt jednak nie narzekał. Wszyscy cierpliwie wyglądali Bernhardta.

Ten w końcu opuścił budynek szpitala, idąc obok Sylwii Majewskiej. Fizjoterapeutka dotykała lekko ramienia Bena, jakby w każdej chwili była gotowa wesprzeć chwiejącego się zawodnika.

Adam powiódł wzrokiem po wszystkich i przez moment chyba szukał odpowiednich słów. Niektórzy stali oparci o autobus, inni przysiedli na schodkach.

Jako pierwszy podniósł się Gaudi.

– Siła w jedności – powiedział, podchodząc do Bernhardta.

– Co nie znaczy, że musieliście tu kiblować – odparł.

– Nie było nic lepszego do roboty – skwitował Oleo, też się zbliżając.

– Poza tym zamówiliśmy pizzę – dorzucił Rebus.

Ben się rozejrzał.

– I nic mi, kurwa, nie zostawiliście?

Poklepali go po plecach, a Krygier zerknął kontrolnie na córkę, która trzymała się w pewnej odległości, po czym wbił wzrok w stojącą obok Adama Sylwię Majewską.

Kalinie trudno było stwierdzić, co konkretnie ma to oznaczać, ale rozpoznawała w oczach ojca podejrzliwość. Tak samo łypał na nią, gdy po jej powrocie do domu starał się przesądzić, czy piła ze znajomymi.

Spodziewał się jakiegoś romansu między piłkarzem a fizjoterapeutką? Nie, raczej nie. Benhardt był przystojny, to fakt, ale różnica wieku była zbyt duża, nie wspominając już o tym, że coś takiego byłoby dość poważnym skandalem obyczajowym.

Sylwia zajęła się nim, bo nie było z nimi klubowego lekarza. Spośród wszystkich, którzy przyjechali do Kłobina, wiedziała o sprawach medycznych najwięcej.

Chwilę później wszyscy wsiedli do autokaru i skierowali się z powrotem do Opola. Kala odczuła tak duży spadek emocji, że właściwie ledwo utrzymywała powieki. Miała wrażenie, jakby ktoś ją znokautował.

Przysnęła na trochę – i przypuszczała, że nie była jedyną osobą w autobusie, która miała dosyć tego dnia. Zamiast wrócić do matki, postanowiła zostać na noc u ojca. Miała u niego niewielki pokój, choć starała się raczej rzadko z niego korzystać – pościel nie była w tym przybytku prana zbyt często, a żeby zrobić śniadanie, należało bladym świtem wyjść na zakupy.

Spodziewała się, że padnie od razu, drzemka w autobusie jednak sprawiła, że potrzeba snu zmalała. Wyciągnęła telefon i zaczęła przeglądanie mediów społecznościowych. Wszędzie okazywano Adamowi daleko idące wsparcie.

Pod hashtagiem #benhardt na Twitterze pojawiły się zdjęcia robione z trybun tuż po faulu. Widać było sporo krwi na murawie i nodze Bena, ale to, co robiło najbardziej druzgocące wrażenie, to jego otwarte oczy wbite w niebo. Wyglądały, jakby były pozbawione życia.

Kala się wzdrygnęła i wyświetliła skrzynkę odbiorczą na Instagramie. Zgodnie z tradycją czekały na nią wiadomości od Obiego.

Jak się czujesz, Kalafiorze?

Dziewczyna prychnęła. Jedną z rzeczy, za które ceniła tego faceta, był fakt, że potrafił jednym zdaniem poprawić jej humor. I miał całkiem niezłą inwencję, jeśli chodziło o wymyślanie ksyw z użyciem zdrobnienia jej imienia.

Ja?

A kto?

Może ten, który został znokautowany
przez jakiegoś tępego skurwysyna.

Podobno żyje.

Ja ewidentnie też, skoro z Tobą piszę.

Akurat Ty masz tyle zdolności, że jedną
z nich może być udawanie żywej.

Kalina lekko się uśmiechnęła. Wszystkie negatywne emocje powoli zniknęły, a ona odniosła wrażenie, jakby ktoś owinał ją ciężkim, ciepłym kocem. Dziwne. A już szczególnie wzięwszy pod uwagę, że wystarczyło do tego przecież raptem parę zdań. Zaledwie trochę liter. Nawet nie obecność drugiego człowieka, nie jego dotyk czy spojrzenie. Słowa.

Potrząsnęła głową, orientując się, że całe to dzisiejsze roztrzęsienie działa na nią jak szybko przyjęta dawka alkoholu.

Fakt, trochę udaję.

To może niezłym pomysłem będzie,
jeśli pójdziesz spać.

Zaraz.

A co robisz?

Mitrzęę czas na rozmowy z najgorszym
poetą od misia Gogo, jakiego znam.

Czyli jest ich więcej?

Z ust Kali dobiegł cichy, zmęczony śmiech.

Na szczęście nie. Nie zdzierzyłabym.

A jak zdzierzyłaś wszystko to, co się działo?

Koncertowo.

Na ekranie pojawiła się informacja „Obi pisze...”, ale przez moment żadna odpowiedź nie nadchodziła.

Nic ci się nie stało?

– zapytał w końcu.

Znaczy?

Wyglądało to dość niebezpiecznie. Rzucali jakimiś rzeczami, potem jakaś grupa wdarła się na murawę.

Tak?

Policja zatrzymała kilkoro ludzi.

Kalina nie była tego świadoma, nie śledziła doniesień po tym, jak opuścili stadion. Wydawało jej się, że nikt w drużynie wówczas tego nie robił, bo wszyscy chcieli się odciąć. Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, jaka atmosfera panuje w mediach – ani jak odebrany został wywiad ojca.

Pewnie dostaniecie jakąś karę.

To nie my powinniśmy, tylko oni.

Pewnie tak.

I srał to pies. Najważniejsze, żeby Ben z tego wyszedł bez jakichś powikłań.

Obi znów zamilkł. Tym razem na wyświetlaczu nie widziała, by cokolwiek pisał. Miała świadomość, że rozmawianie na temat Benhardta nie jest tym, co najchętniej chciałby robić, jeśli miał wobec niej jakieś plany, ale...

Prychnęła i pokręciła głową. O czym ona w ogóle myślała? Nie znała tego człowieka, nie wiedziała, kim był. Sprawiał wrażenie miłego, zabawnego i porządnego gościa, ale mógł okazać się jakimś psychopata.

Albo czterdziestolatkiem z żoną i dwójką dzieci. Z jej perspektywy jedno i drugie przyniosłoby efekt podobny.

W końcu nadeszła odpowiedź.

Na pewno się z tego wylize.

Mhm.

Już nie takie rzeczy przydarzały się piłkarzom,
a ci otrzepywali się i zaraz potem wracali do roboty.

Jeżeli nie chciał o tym gadać, to z pewnością umiał dobrze to ukryć – kontynuowali bowiem wątek przez następne pół godziny, zanim Obiemu w końcu udało się uspokoić Kalinę na tyle, by poczuła nadchodzący sen.

Śpij dobrze, Kalamburze

– napisał.

Ty też.

I niczym się nie martw. Będzie dobrze.

Nie wiedziała, co odpisać. Odłożyła komórkę na szafkę nocną, przewróciła się na bok, a potem jeszcze przez jakiś czas myślała nad tym, że mogła lepiej go pożegnać. Kiedy w końcu skleciła w głowie coś, co nadawałoby się na dobranoc, minęło już parę minut. Wysłanie wiadomości po takim czasie byłoby dziwne, uznała.

Zasypiała dłużej, niżby sobie tego życzyła, w dodatku zerwała się z samego rana. Bynajmniej nie z własnej woli – zbudził ją ojciec.

Pojechała z nim do ośrodka szkoleniowego Rewery i mimo że trening rozpoczął się o dziesiątej, oni byli na miejscu już o ósmej.

Wszystko z racji tego, że ojca czekała rozmowa z prezesem i zarządem, którzy mimo wczorajszych zajęć najwyraźniej zajmowali się swoją robotą jakby nigdy nic – i podjęli decyzję w sprawie przyszłości Benhardta.

Witek spędził w sali konferencyjnej pół godziny, a Kala nie dostrzegła nigdzie Juliana Foryca, agenta Bena. Przyjęła to za dobry omen, wszak bez niego jakiegokolwiek rozmowy o transferze piłkarza do innego klubu byłyby właściwie bez sensu.

Być może wydarzenia zeszłego wieczoru jednak pozwoliły im spojrzeć na sprawę w inny sposób? Kibice i zawodnicy okazali duże przywiązanie do młodego zawodnika. Przy odrobinie szczęścia być może tyle wystarczy, by osoby decyzyjne uznały sprzedanie go za nieopłacalne.

Kala czekała na ojca w jego gabinecie. Kiedy wreszcie do niej dołączył, starała się wyczytać coś z jego twarzy, ale widziała na niej wyłącznie zmęczenie. Nie spał chyba za dużo, zamartwiał się tym, co się wydarzyło – i co to oznacza dla klubu.

Zamknął za sobą drzwi, a potem głęboko westchnął.

– Won z mojego miejsca, smarkulo – polecił.

Kalina obróciła się tylko na jego fotelu, a potem zatrzymała się przodem do biurka, łapiąc za skraj blatu. Spojrzała wymownie na ojca.

– Siadaj i gadaj – odparowała.

Przysunął sobie krzesło niczym potulny piłkarz, który trafił na dywanik do trenera, by tłumaczyć się po nieudanym meczu.

– Komisja Ekstraligi podjęła decyzję – rzucił.

– He?

Kala nawet nie wzięła pod uwagę, że spotkanie z szefostwem mogło dotyczyć czegoś innego niż omówienia przyszłości Adama.

– Po pierwsze, anulowali mi czerwoną kartkę.

Dzięki Bogu, skwitowała w duchu. W przeciwnym wypadku to Feler poprowadziłby Rewerę w kolejnym spotkaniu.

– Po drugie, nie będziemy dokańczać tego meczu – dodał ojciec.

– Znaczy...

– Znaczy, że chuj go strzelił. Walkower.

Kalina miała ochotę poderwać się na równe nogi.

– Że co?

– Tracimy trzy punkty, mecz uznaje się za wygrany przez Prospekt Kłobin.

– Żartujesz...

– Nie – odparł ciężko Krygier. – Odwołamy się oczywiście do Komisji Apelacyjnej, ale zarząd uważa, że na wiele się to nie zda. Były race na murawie, demolka stadionu gospodarzy, wtargnięcie naszych kibiców na boisko i... nawet nie chcesz wiedzieć, jakie burdy po meczu. Jest trochę uszkodzeń na mieście, kilkudziesięciu kibiców starło się gdzieś na rynku. Będą zarzuty prokuratorskie dla niektórych.

Kala milczała. Wygrana pięć do zera, trzy gole Benhardta, w dodatku ewidentny karny za faul na nim. Wszystko to miało tak po prostu przepaść.

– To oznacza, że spadamy na dziesiąte miejsce w tabeli – kontynuował Witek.

– A ja znów minąłem granicę cierpliwości szefostwa.

– Przecież to nie twoja...

– Wszystko, co się dzieje, jest na barkach trenera – uciął. – To także.

Dziewczyna milczała, nie wiedząc za bardzo, co powiedzieć. Stracili punkty, a z powodu urazu z pewnością musieli pożegnać się na jakiś czas z Benhardtem. Być może nawet na dobre.

– Co z Benem? – spytała.

Krygier znów cicho westchnął.

– Zarząd zrobił mały wyjątek.

Kala drgnęła. Iskierka nadziei pojawiła się w jej umyśle, mimo że ton głosu ojca zdawał się nie zwiastować niczego dobrego.

– Pokazali mi ostatnie dokumenty finansowe – dokończył. – Normalnie trener nie ma wglądu, ale chcieli, by sytuacja była jasna. Czas pandemii mocno ich przeczłogał, bo miasta wyłączały wtedy wsparcie finansowe dla swoich klubów. Potem, kiedy zaczęli się odbudowywać, zainwestowali w ośrodek i w ściągnięcie piłkarzy. Piłkarzy, którzy...

Zginęli, dopowiedziała w duchu Kalina.

– W klubowej kasie brakuje jakichś pięciuset tysięcy złotych – ciągnął Witek.
– W tym miesiącu nie będziemy w stanie pokryć trzech czwartych wypłat piłkarzy.

– Ale...

– Stoimy na krawędzi bankructwa, Kala – uciął. – I jeśli nie sprzedamy Bena, spadniemy z niej z hukiem.

ul. Pawlety, Suchy Bór

Powrót po pierwszym treningu sprawił, że dom wydawał się Adamowi znacznie mniejszy niż wcześniej. Był inny. Babcia była inna, dziadek także. Nic nie wydawało się takie samo i Benhardt miał wrażenie, że nigdy nie wróci do poprzedniego stanu.

Kiedy jednak dotarł do Suchego Boru ze szpitala, zastał znaną, bezpieczną przystań. Nie wisiała nad nimi przeszłość ojca, której kurz wzbił się na nowo przez dołączenie Bena do zespołu. Nie było żadnych niewypowiedzianych słów, które gromadziły się w babci. Wszystko to znikło bezpowrotnie.

Adam przez kolejne dni robił, co mógł, by jak najszybciej wrócić na treningi. Stawiał się w szpitalu na Witosa na wszelkie badania i zapewniał, kogo się da, że wszystko z nim w porządku.

Testy nie wykazały niczego niepokojącego. Wstrząs był niewielki i nie wywołał żadnych powikłań, a rana na nodze prędzej czy później się zagoi. Zostanie wyraźna blizna po wkrętach korków, ale nie był pierwszym, który nosił takie pamiątki.

Ostatecznie miał pauzować tylko przez jeden mecz. Pierwotnie planował spędzić go na trybunach, dziadek jednak poprosił go, by został w domu i obejrzał spotkanie razem z nimi. Nie miał zamiaru polemizować.

Chciał wiedzieć, jak dziadkowie przeżywają mecze.

Tadeusz siedział z nim na kanapie, kiedy prezentowano składy. Barbara nadal krzątała się w kuchni, jakby z premedytacją, byle nie usiąść z nimi przed telewizorem.

– Ten lewoskrzydłowy jest dobry – odezwał się dziadek, wskazując palcem ekran.

– Hm? – rzucił w zamyśleniu Ben.

– Karol Jeleniewski.

– A, Jeleń. Tak. Bardzo dobry.

Tadeusz zerknął na niego niepewnie, jakby chciał zapytać, gdzie wnuk odpłynął myślami. Ostatecznie jednak postanowił trzymać się tematu.

– Znasz go dobrze? – spytał.

– Niespecjalnie. Cichy gość, trochę wycofany, nieśmiały. Gra jak z nut, ale nie rzuca się w oczy na boisku.

– Konstruuje wam większość akcji.

Być może rzeczywiście tak było, bo to od Jelenia rozpoczynała się duża część podań, które ostatecznie doprowadzały ich pod bramkę. Dobrze też grał bez piłki, wykonywał mrówczą robotę dla drużyny, ale rzadko kiedy to doceniano, jako że nie brał udziału w wielu sytuacjach bramkowych.

– Jest nie do przecenienia – odezwał się Adam. – Zresztą lewonożnych w piłę jest tylko trzydzieści procent.

– Naprawdę? Nie wiedziałem.

Ben potwierdził cichym mruknięciem, po czym obaj skierowali wzrok na wchodzącą do pokoju Barbarę. Niosła dwie miski po brzegi wypełnione zupą, balansując przy tym sprawniej od najlepiej wytrenowanego kelnera.

– Babcia...

– Podgrzałam wam.

– Przecież mówiłem, że nie jestem głodny.

– Zjesz – oceniła, a potem ostrożnie postawiła obydwie naczynia przed mężem i wnukiem.

Zajęła miejsce na fotelu obok, jakby chciała jakąś grubą kreską oddzielić siebie od tych, którzy będą przypatrywać się meczowi. Tuż po tym, jak rozległ się pierwszy gwizdek, zaczęli jeść.

Rewera grała na wyjeździe ze Stoczniowcem Szczecin, który znajdował się w tabeli tuż za nią. Od wyniku tego meczu zależało, kto spadnie niżej.

Obecna sytuacja dla klubu z Opolą nie była wymarzona. Do rozegrania pozostało jedynie osiem spotkań, a oni znajdowali się na dziesiątym miejscu. Jeszcze niedawno rozmawiali o walce o kwalifikację do europejskich pucharów, nawet o mistrzostwie, teraz wydawało się to wprost absurdalne – sześć miejsc dzieliło ich od relegacji do drugiej ligi.

Zespół radził sobie nie najgorzej, ale bez fajerwerków. Szczecinianie mieli kilka okazji, których nie wykorzystali, zawodnicy Rewery podobnie. Brakowało impulsu, który podпалиłby zespół.

Adam kręcił się nerwowo na kanapie, nogi mu drgały, wybijał ręką jakiś rytm na udach. Dopiero kiedy dziadek posłał mu zaniepokojone spojrzenie, uświadomił sobie, co robi.

Czuł się, jakby oglądał film, w którym ktoś odgrywa jego rolę. Było to osobliwe, dojmujące uczucie, którego najchętniej by się pozbył. Chciał być tam, na miejscu. Wspomóc chłopaków i zrobić różnicę.

Nie wiedział, że oglądanie meczu Rewery w telewizji okaże się tak trudne. Emocje były zbyt duże, ale w pewnym momencie zorientował się, że babcia najwyraźniej ich nie podziela.

Barbara to wstawała, szła do kuchni, to siadała z powrotem. Zdawała się kompletnie niezainteresowana wydarzeniami na boisku i Adam mimowolnie zaczął się zastanawiać, czy tak samo wygląda, kiedy on wychodzi w pierwszym składzie.

– Babcia, siadaj i oglądaj – powiedział w pewnym momencie.

– A co to zmieni? Wynik i tak będzie, jaki będzie.

– Niby tak, ale...

– Powiedz lepiej, czy rozmawiałeś z tym Julianem – ucięła.

Ben wciąż patrzył na telewizor, ale właściwie nie przeszkadzało mu to w prowadzeniu konwersacji. Przynajmniej dopóty, dopóki nie zacznie analizować tego, na ile koledzy spełniają założenia taktyczne.

Nie musiał tego robić. Jutro usiądą w salce konferencyjnej, trener włączy obraz z rzutnika, a potem przez jakiś czas będą omawiać zarówno błędy, jak i rzeczy, które udało się zrealizować.

– Rozmawiałem – odparł cicho Adam.

– I co? Był na spotkaniu z zarządem?

– Był.

Ben miał zamiar opisać babci nieco więcej, ale akcja przeniosła się pod bramkę Stoczniowca. Gaudi podał do znajdującego się na skrzydle Jeleniewskiego, ten zmylił obrońcę i wykonał dośrodkowanie, które okazało się ni mniej, ni więcej, jak tylko centrostrzałem. Niby centram, niby strzałem.

Piłka leciała pod poprzeczkę, golkiperowi szczecinian udało się ją jednak wyciągnąć. Adam syknął i uderzył pięścią o kolano.

– Adaś – upomniała się o uwagę babcia.

Zamrugnął i spojrzał na nią, wzdychając lekko.

– Sprawa wygląda nieciekawie – odparł. – Właściwie planowaliśmy, że w ogóle nie pójdzie na to spotkanie.

– To nie miałyby sensu – włączył się Tadeusz. – Zrobiją, co chcą, z jego obecnością czy bez.

– Też doszliśmy do takiego wniosku.

– I co mu powiedzieli? – ponagliła Barbara.

– Że klub już podjął decyzję. Dogadali się z Varsovią co do kwoty odstępnego, uścisnęli sobie dłonie i uznali sprawę za załatwioną. Twierdzą, że teraz

pozostało już tylko to, żeby Foryc dopiął zadowolający dla mnie kontrakt z warszawskim klubem.

Żadne z dziadków się nie odezwało. Wszyscy obserwowali, jak piłka chodzi od nogi do nogi zawodników ze Szczecina, by w końcu znaleźć się przed polem karnym Olejarczyka. Strzał był jednak niecelny.

– I co zamierzasz robić? – spytał Tadeusz.

– Zostać.

Babcia i dziadek wymienili się krótkimi spojrzeniami.

– Ale jeśli się dogadali... – zaczęła Barbara.

– Znajdę sposób.

– Jaki?

– Jeszcze nie wiem – odparł pod nosem Ben. – Ale zapewniam cię, że nigdzie się nie wybieram.

Głos miał na tyle stanowczy, że na twarzy staruszki pojawiła się wyraźna ulga. Adam nie miał wątpliwości, że ciężko zniosłaby jego wyjazd – oprócz oczywistych spraw musiałaby zmagać się ze wspomnieniami analogicznych chwil przeżywanych lata temu, kiedy rozwijała się kariera jego ojca.

Musiał dać jej czas. Musiał zostać. Jeśli nie dla siebie, to dla niej.

Po prawdzie Foryc nie miał jednak pomysłu na to, jak to osiągnąć. Spodziewał się, że władze klubu niebawem wezwą go do siebie i w niezbyt zawołowany sposób oznajmią, że albo będzie grał w Varsovii, albo nigdzie.

Podobno na cito potrzebowali pieniędzy, bez których nie zdołają wypłacić pensji piłkarzom. Julian przebąkiwał coś o ryzyku bankructwa, a to oznaczałoby, że klub praktycznie przestanie istnieć.

Jeśli sprawa stanie na ostrzu noża, Benhardt znajdzie się w sytuacji niemożliwej do rozstrzygnięcia.

– Ajjj... – jęknął dziadek, kiedy po strzale główką Warskiego futbolówka minęła słupek o parę centymetrów.

Adam potrząsnął głową, skupiając się na meczu. Nadal zero zero.

– Dobry jest ten wasz kapitan – ocenił Tadeusz.

– To prawda.

– Skąd Witek go wytrzasnął?

– O ile pamiętam, przyszedł z jakiegoś drugoligowca, gdzie był uznawany za late bloomera.

– Za co?

– Osobę, która rozwija się później.

– To ile on ma lat?

– Dwadzieścia.

– Nie wygląda.

To prawda, robił wrażenie nieco starszego, ale podobnie było w przypadku większości piłkarzy. Wydawało się normą, że kiedy ludzie dowiadawali się, z którego rocznika są Ben, Gaudi, Oleo czy Rebus, byli zaskoczeni. Zupełnie jakby koszulka piłkarska i bieganie po murawie jakoś nobilitowało.

Sędzia zagwizdał na przerwę, a obydwie drużyny schodziły do szatni niezadowolone. Drugą połowę Krygier rozpoczął z jedną zmianą, wpuszczając ofensywnego pomocnika w miejsce pivota grającego obok Łukasza Gałdeckiego.

Był to jasny sygnał, że Rewera rusza do ataku.

– Właśnie za to kibice go lubią – odezwał się Tadeusz.

– Hm?

– Nie boi się atakować. Nie muruje bramki, decyduje się na ryzyko.

– No tak – przyznał Ben. – Często mówi, że woli pięknie przegrać niż wygrać w złym stylu.

Dziadek klepnął w uda i pokiwał głową.

– I tak powinno być – ocenił. – Takiego trenera potrzebujemy i jeśli znowu spróbują się go pozbyć, sam zwołam ludzi, żebyśmy poszli pod stadion i...

– Dajże ty spokój – burknęła Barbara. – Tobie się nawet po bułki nie chce iść.

– Żeby bronić Witka, będzie mi się chciało.

– Tak teraz mówisz.

– A potem tak zrobię – zapewnił Tadeusz. – Jak będzie trzeba.

Adam lekko się uśmiechnął. Przypuszczał, że dziadek nie był jedyną osobą, która trwała w takiej gotowości. Krygier zdobył serca kibiców, podobnie jak jego zespół.

Nie trzeba było analizować zmian w taktyce, formacji wyjściowych ani ćwiczeń, które kazał wykonywać piłkarzom, by wiedzieć, że Witek prowadzi drużynę bezpardonowo.

Jego wizja opierała się na kilku ideach: futbolu totalnego Johana Cruyffa, rockandrollowego sposobu gry Jürgena Kloppa, ciągu na bramkę Zinedine'a Zidane'a, a w końcu – i być może przede wszystkim – niezachwianej aksjologii boiskowej Pepa Guardioli. To ten ostatni zdawał się dla niego największym wzorem.

Przyglądając się temu, co jego piłkarze robili w starciu ze Stoczniovcem, Adam czuł dumę. Zdarzało im się nadmiernie odsłonić lub popełnić jakiś błąd w defensywie, grali jednak wysokim, aktywnym pressingiem, natychmiast po

stracie piłki atakowali przeciwnika, ruszali na bramkę, jakby od tego zależało ich życie, i nie odpuszczali żadnego zagrania.

Utrzymywali się długo przy piłce, mając w głowie słowa trenera, który wciąż powtarzał im, że jeśli oni mają futbolówkę, to przeciwnik nie strzeli im bramki.

Prosta zasada była dość logiczna. Nie zawsze jednak udawało się ją realizować.

W sześćdziesiątej drugiej minucie Antek Rebski popełnił błąd, który kosztował opolan stratę bramki. Oleo był bez szans, został pokonany z bliskiej odległości. Sytuacja wynikła z niczego, i to w momencie, kiedy Rewera miała zdecydowaną przewagę.

Tuż po tym zespół ruszył do jeszcze bardziej szaleńczego ataku.

W siedemdziesiątej ósmej minucie przeciwnik wykorzystał to, przeprowadzając udany kontratak. Piłka po raz drugi wylądowała w bramce Pawła Olejarczyka.

Babcia nagle się podniosła.

– Ciasto mam – oznajmiła.

Tadeusz siedział w bezruchu, ze wzrokiem wlepionym w telewizor. Adam spojrzał w jej kierunku.

– Dam ci kawałek – dodała.

– Nie trzeba, babcia. Siadaj i...

– Dam ci.

Wyszła, zanim zdążył po raz kolejny zaproponować. Jeśli ktoś potrafił skutecznie odmawiać babciom jedzenia, właściwie zasługiwał na jakąś ogólnokrajową nagrodę w dziedzinie negocjacji.

Naraz naszło Bena, że być może targają nią większe emocje, niż była gotowa przyznać. Niczego po sobie nie pokazywała, najwyraźniej jednak przeżywała mecz na swój sposób. I nie mogła dłużej przyglądać się temu, co zanosilo się na kolejny pogrom.

Adama znów opadło poczucie niemocy i niewłaściwości całej tej sytuacji. Powinien tam być. Powinien próbować coś zrobić.

Witek tymczasem nie próżnował. Dokonał kolejnej zmiany, ale trudno było liczyć na cud – zespół gryzł trawę, wylewał siódme poty i robił, co mógł. Brakowało tylko skutecznego wykończenia akcji, postawienia kropki nad i.

Dziesięć minut przed końcem meczu pojawiła się nadzieja. Karol Jeleniewski przerzucił piłkę z lewego skrzydła na prawe, rozmontowując ustawienie obronne szczecinian. Tam dopadł do niej Warski, który szybko dośrodkował futbolówkę w pole karne.

Nie było czasu na finezję i grę kombinacyjną. Teraz większość piłek szła na aferę, za co po fakcie na pewno oberwie im się od trenera.

Podanie było odchodzące od bramki, ale dobrze wymierzone. Wskoczyło do niego kilku piłkarzy, z których to Gregor wybił się najwyżej. Sięgnął futbolówki głową i władował ją do bramki tuż przy nogach bramkarza.

Dziadek klasnął głośno, Ben uniósł zaciśnięte pięści. Obaj zerknęli na Barbarę, która stała w progu z dwoma talerzykami. Wbijając wzrok w telewizor, miała lekko otwarte usta. O ile wcześniej udawało jej się kamuflować emocje, o tyle teraz poniosła klęskę.

Odstawiła ciasto na komodę i podeszła do kanapy. Tym razem usiadła obok męża.

– Mają jeszcze szansę – odezwał się Tadeusz. – Dziesięć minut to sporo czasu.

– Szczególnie kiedy lubi się thrillery, a my chyba się w nich specjalizujemy – zauważył Adam.

Babcia pokiwała głową, oddychając ciężko i obserwując, jak pospieszani przez opolan przeciwnicy nie kwapią się do wznowienia gry. W końcu kapitana drużyny upomniał sędzia, a Stoczniowiec zaczął od środka boiska.

Zaczął się murowanie bramki, co nie było niczym dziwnym ani niespodziewanym. Rewera wciąż starała się przedrzeć przez zasieki oponentów, ale ponownie bez wymiernych efektów.

Minęła dziewięćdziesiąta minuta, zaczął się doliczony czas gry.

Przerw nie było wiele, więc arbiter doliczył jedynie standardowe trzy minuty. Czy to mogło wystarczyć? Ben pochylał się na skraju siedziska, opierając łokcie na kolanach. Składał dłonie jak do modlitwy i raz po raz zwieszał głowę.

– Nie możemy tego przegrać – rzucił.

Dziadek potwierdził cichym mruknięciem.

– Nie po tamtym walkowerze.

– Macie jeszcze trochę meczów...

– Tyle że stracimy trzy punkty – uciął Ben. – A wraz z nimi być może trenera.

Dla zarządu nie miało znaczenia, że w meczu z Kłobinem nie zasługiwali na to, co się wydarzyło. W tym także byli stroną ewidentnie lepszą. Przeciwnik wyprowadził raptem dwie groźne akcje – różnica polegała na tym, że potrafił je wykończyć.

Tuż przed ostatnim gwizdkiem szalejący przy polu karnym Sandauer wywalczył rzut wolny. Dziadkowie lekko się wyprostowali, Adam przysunął się

jeszcze bliżej ku skrajowi siedziska, jakby miał zamiar jakimś cudem wyrwać się prosto na murawę.

Obserwował, jak stojący przy piłce Warski konferuje z drugim kandydatem do wykonania wolnego, Jeleniem. Zaraz potem kapitan uniósł trzy palce w kierunku kłębiących się pod bramką zawodników, sygnalizując, którą wersję rozegrania stałych fragmentów gry będą realizować.

Ćwiczyli je na treningach do bólu.

Krygier wychodził z założenia, że nieraz zadecydują o losach spotkania, szczególnie jeśli wywalczą jakiś w ostatnich minutach meczu. Przeciwnicy byli wtedy zdekoncentrowani, częstokroć wystarczyło wrzucić piłkę w pole karne i liczyć na to, że zamieszanie zrobi swoje.

Trójka oznaczała granie na wbiegającego Gaudiego. Trzech innych piłkarzy z przedniej formacji miało ściągnąć na siebie innych obrońców, drugi pivot zając się tym, który będzie krył Łukasza.

Akcję miała zapoczątkować prosta zmyłka. Jeleń wysunął piłkę niby do strzału kapitanowi, ten wziął zamach, jakby rzeczywiście miał zamiar to zrobić, po czym podciął ją lekko i wrzucił w pole karne.

Zamarkowane uderzenie na bramkę sprawiło, że zawodnicy w murze nieco się pogubili, pozostali także nie utrzymali pozycji.

Nadbiegający ku bramce Gaudi wyskoczył wysoko, wykonał odpowiedni ruch głową, ale nie sięgnął futbolówki czysto. Zamiast wpaść do bramki, uderzyła prosto w bramkarza.

Wszystko działo się jednak zbyt szybko, by ten mógł myśleć o jej złapaniu. Instynktownie sparował uderzenie, a piłka odbiła się w kierunku kotłujących się w polu karnym piłkarzy.

Przejął ją obrońca ze Szczecina. Natychmiast się obrócił i kopnął, byle dalej. Trafiła jednak na uniesioną nogę interweniującego wślizgiem Rebusa, przez co znów stała się bezpiecznym łupem tuż przy bramce.

Ben lekko uniósł się znad kanapy.

Dostrzegł, że Jeleń jest tuż obok. Futbolówka znajdowała się po jego lewej stronie, wprost idealnie.

Wziął tylko krótki zamach, mimo to grzmotnął w kierunku bramki z ogromną mocą. Bramkarz nawet nie mrugnął.

Adam zerwał się na równe nogi, wyrzucając w górę ręce.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek cieszył się tak bardzo z bramki strzelonej samemu. Obrócił się do dziadków i zobaczył, że oni także stoją. Rzucił się, by ich objąć.

Wszystko to było osobliwą, niespotykaną wcześniej sytuacją. Nigdy nawet nie oglądał z nimi meczu, nie wspominając o okazywaniu w jego trakcie takich emocji.

Odniósł wrażenie, że w innych okolicznościach, w towarzystwie jakichkolwiek innych ludzi, nie pozwoliłby sobie na taką euforię.

Spotkanie zakończyło się wynikiem dwa do dwóch. Rewera utrzymała się na dziesiątej pozycji, ale była to już dwudziesta trzecia kolejka Ekstraligi. Do rozegrania pozostało już tylko siedem spotkań.

Kiedy Ben dwa dni później stawiał się w klubie, Meler poinformował go, że szefostwo chciałoby się z nim widzieć.

– Jasne – odparł nonszalancko, choć było to ostatnie spotkanie, jakiego by sobie życzył. – Zgłoszę się od razu po treningu.

– Chcieliby cię widzieć teraz.

– Ale trening...

– Nie ucieknie – uciął Przemysław i stanowczym spojrzeniem wskazał mu drogę do właściwego gabinetu.

Ben poszedł tam w klubowych ciuchach treningowych, spodziewając się, że po tej rozmowie najprawdopodobniej będzie musiał zostawić je w szatni.

A może nie? Może ci ludzie doszli jednak do wniosku, że w tej sytuacji nie zamierzają się go pozbywać?

Kiedy wszedł do środka, zastał tam Paulinę Hejnę, Sylwestra Budczaka i mężczyznę, którego nie spodziewał się zobaczyć. Był to Aleksander Łaza, trener Varsovii Warszawa.

Utytułowany szkoleniowiec, który swego czasu prowadził reprezentację Polski. Za jego kadencji zaliczyła jeden z najlepszych występów w walce o europejskie splendory, ostatecznie jednak oczekiwania były zbyt wygórowane, a jego ego zbyt wielkie, by współpraca mogła trwać.

– Miło cię poznać – odezwał się jako pierwszy, wstając z krzesła.

Benhardt nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, a jego konsternacja nie umknęła Łazie. Zerknął niepewnie na Budczaka i właściwie stało się jasne, że ten zapewnił go, iż piłkarz wie o spotkaniu.

Prezes Rewery nie zareagował, Adam nadal się nie odzywał. Cisza, która ich oplotła, wydawała się wyjątkowo niewygodna.

– Hm – mruknął w końcu Aleksander. – Wyglądasz, jakbyś właśnie wdepnął w gówno.

– Słucham?

– Ewidentnie nie wiedziałeś o tym spotkaniu.

Adam taktycznie zmilczał, a trener Varsovii rzucił okiem w kierunku wejścia.

– I widzę, że twojego agenta też nie ma – dodał, a potem się podniósł.

– Chcieliśmy po prostu... – zaczął Sylwester.

– Załatwić sprawę bokiem, jasne.

Budczak też wstał, a Paulina Hejna uniosła bezradnie oczy.

– Planowaliśmy luźne, niezobowiązujące spotkanie – zaczął się bronić Budczak. – Bez podejmowania jakichkolwiek wiążących decyzji.

– Tak czy inaczej powinien uczestniczyć w nim agent piłkarza.

– Nie planowaliśmy w ogóle rozmowy o pieniądzach.

– Rozumiem – odparł pod nosem Łaza. – Zamierzaliście podyskutować o tym, dlaczego u nas murawa wygląda jak z Wimbledonu, a u was jak pole na kartofle?

Sylwester zacisnął usta i nie bardzo wiedział, jak zareagować.

– Bez agenta taka rozmowa nie ma sensu – dodał Aleksander. – I jest niekorzystna dla piłkarza.

– W takim razie...

– Co? Zadzwońisz po niego? – uciął Łaza. – Może trzeba było pomyśleć o tym wcześniej.

Trener Varsovii z pewnością przyjechał tutaj specjalnie na to spotkanie, miał prawo być podenerwowany – to jednak, jak odnosił się do prezesa Rewery, pokazywało, kto tak naprawdę rozdawał tu karty.

Ben musiał docenić, że szkoleniowiec nie skorzystał z nadarzającej się okazji. Bez obecności agenta mógłby łatwiej coś ugrać i spróbować przekonać Adama, by ten rozważył przejście do Warszawy.

Najwyraźniej jednak Łaza lubił fair play. I nie miał zamiaru łamać zasad dla partykularnych korzyści.

– Mogę go tu ściągnąć w dziesięć minut – zapewnił Budczak.

Obaj spojrzeli na Benhardta.

– O ile wyrażasz zgodę – dorzucił Sylwester.

W takiej sytuacji właściwie trudno byłoby się nie zgodzić. Adam skinął głową, a prezes wykonał telefon. Nie pomylił się o wiele – Julian Foryc oznajmił, że będzie za kwadrans. Kiedy Budczak odłożył słuchawkę, znów zaległo nieco kłopotliwe milczenie.

– Masz teraz trening? – odezwał się jako pierwszy Łaza.

– Powinienem mieć.

– To śmiało – poradził. – Właściwie tę rozmowę i tak powinniśmy odbyć najpierw z twoim agentem. Ponegocjujemy, przedstawimy mu ofertę, a potem

on przekaże ją tobie.

Zasadniczo trener Varsovii miał rację. Obecność Benhardta jedynie komplikowała sprawę. Podniósł się, uznając, że lepiej spożytkuje ten czas na murawie.

– Ze swojej strony dodam tylko, że świetnie byłoby cię mieć w zespole – podjął Aleksander. – Potrzebuję kogoś takiego jak ty.

– Na tyle, żebym grał w pierwszym składzie?

Słowa, które wydostały się z jego ust, właściwie zaskoczyły nawet jego samego.

– Wszystko zależy od ciebie – odparł trener. – U mnie liczy się jedynie forma danego piłkarza. Nic więcej i nic mniej.

– Jasne.

– Ale oglądałem twoje mecze i wiem, że stać cię na wykoszenie ze składu praktycznie każdego zawodnika w lidze.

Tak daleko idących deklaracji Adam się nie spodziewał. Podziękował, a potem opuścił gabinet i udał się na trening.

Towarzyszyły mu zaciekawione spojrzenia, ale nikt o nic nie pytał. Benhardt trafił na murawę akurat w momencie, kiedy ćwiczono rondo – środek szkoleniowy katowany w Hiszpanii właściwie od poziomu dziecięcego futbolu aż po treningi Realu czy Barcelony.

W tej odmianie siedmiu zawodników stało w okręgu, dwóch w środku. Zewnętrzni mieli utrzymać się przy piłce, grając na maksymalnie dwa kontakty – do wewnętrznych zaś należało odebranie futbolówki.

Obydwie strony mogły sięgać po wszystkie możliwe zagrania. Dla pierwszych liczyła się jedynie liczba wymienionych podań. Dla drugich pressing i odzyskanie dzięki niemu piłki. Wszystko odbywało się na niewielkiej, ciasnej przestrzeni.

Istniało wiele modyfikacji, łącznie z obowiązkiem przesuwania się ku bramce po każdym wymienionym podaniu. Ostatecznie jednak był to jeden z najprostszych środków treningowych, wywodzący się z podwórkowej zabawy – w Hiszpanii znanej jako „toro”, a w Polsce jako „gra w dziada”.

W pierwszym z tych krajów już dziesięcio- lub jedenastoletni chłopcy uczyli się podstaw zachowania na boisku. Nie byli tego świadomi, ale przyswajali zasadę, że im więcej podań, im szybsze się stają, tym trudniej przeciwnikowi zastosować skuteczne krycie. Gdy wychodzili lata później na gigantyczne boiska, nadal zachowywali się, jakby rozgrywali piłkę na ciasnej przestrzeni.

Do rangi profesjonalnego treningu rondo wyniósł Laureano Ruiz, swojego czasu trener barcelońskich młodzików. Szkolił dzięki temu improwizację, antycypację zachowań innych, kontrolę nad piłką i walkę o nią w niełatwych okolicznościach. Wielu hiszpańskich trenerów podkreślało, że to najlepszy rodzaj ćwiczeń – a nieraz nowo przybyli do klubów piłkarze na treningach obawiali się najbardziej właśnie tego.

Ben tym razem trafił do środka wespół z Gaudim. Pędzili od jednego do drugiego piłkarza, starając się przerwać błyskawiczną wymianę podań. Raz po raz któryś z przeciwników pozwalał sobie na killer pass, podanie przez środek. Kiedy Benhardtowi ani Gałdeckiemu nie udawało się go przerwać, frustracja rosła.

Osiągała czasem taki poziom, że potrafiła doprowadzić do bójek na treningach – szczególnie że przegrani mieli świadomość, iż będą musieli wykonywać jakąś niezbyt przyjemną karę.

Dziś miała być to seria pompek, nie najgorzej. Nawet bez tego jednak podejście ambicjonalne przy tej grze sprawiało, iż każdy dawał z siebie wszystko.

W pewnym momencie Gaudi ruszył w kierunku Jelenia, który przyjął piłkę zwodem, by go zmylić. Udało mu się, ale Ben wychwycił krótkie spojrzenie rzucone Warskiemu. Wiedział, gdzie lewonożny zawodnik skieruje piłkę, i natychmiast wszedł wślizgiem w tor jej lotu.

Udało mu się przerwać podanie i utrzymać się przy futbolówce. Rozległy się wiwaty, cała siódemka musiała paść na murawę i wykonywać serię pompek.

Benhardt stał obok nich, raz po raz rzucając jakąś kąśliwą uwagę, nim dostrzegł, że od strony budynku nadchodzi Julian Foryc. Miał na sobie jasnoniebieskie polo i stare jeansy, wyraźnie nie był przygotowany na spotkanie z potencjalnym nowym pracodawcą swojego klienta.

Skinął na niego, by odeszli kawałek, a potem wszystko mu zrelacjonował.

– Rewera tonie w długach, nie mają wyjścia – oznajmił.

– Rozumiem, ale...

– Nie mogą pozwolić sobie na odrzucenie takiej propozycji.

Adam zacisnął usta i obejrzał się na kolegów nadal wykonujących karne pompki i śmiejącego się obok Gaudiego.

– Ty też nie – dodał Foryc.

– Hm?

– Zaoferowali ci sto tysięcy złotych miesięcznie – wyjaśnił menedżer. – I jakbyś miał problemy z policzeniem, to milion dwieście rocznie.

Benhardt z trudem przełknął ślinę.

– Plus samochód klubowy i penthouse w warszawskim Śródmieściu – dodał agent, podchodząc do niego.

Położył mu dłoń na ramieniu i wejrzał w jego oczy, szukając tam słów, które powinien usłyszeć.

– Będiesz u nich największą młodą gwiazdą, najbardziej perspektywnym piłkarzem. Już po samym transferze zagraniczni skauci zwrócą na ciebie uwagę, a ty ani się obejrzysz, dostaniesz powołanie do reprezentacji U21 albo nawet wyżej. Jeden dobry mecz tam lub w europejskich pucharach i jedziesz za granicę – powiedział z przekonaniem, a Ben nie wychwytał w jego tonie żadnego fałszu. – Tylko idiota odrzuciłby taką ofertę.

9

ul. Wygonowa, stadion Rewery Opole

Narracja w mediach wyglądała, jakby ktoś wcześniej ją uzgodnił – mecz Rewery z Juventą Katowice będzie ostatnim, w którym zagra Adam Benhardt. Sytuacja finansowa polskiego klubu nie stanowiła żadnej tajemnicy, a dziennikarze byli zgodni, że sprzedaż piłkarza jest wyłącznie formalnością.

Spekulowano, że do momentu otwarcia okienka transferowego albo dojdzie do wypożyczenia, albo władze ligi przedłużą nadzwyczajną dyspensę dla Rewery. Obydwa kluby z pewnością będą o to zabiegały, bo jednemu i drugiemu się spieszyło. Warszawski klub po kilku kontuzjach potrzebował wzmocnienia na pozycji ofensywnego pomocnika, polski zaś natychmiastowego dopływu gotówki, by uniknąć bankructwa.

Co do losu Krygiera zdania dziennikarzy były podzielone – niektórzy zdawali się zaskoczeni, że nadal nie został zwolniony. Inni uznawali, że spotkanie z Juventą Katowice ostatecznie przypieczętuje jego los.

Kala nie wiedziała, jaka jest prawda. I starała się o tym nie myśleć, przypatrując się rozgrzewającemu się Benowi zza linii bocznej. Zarówno on, jak i pozostali zawodnicy ojca wydawali się nie tyle zmotywowani, ile podpaleni. Za punkt honoru postawili sobie, by pokonać znajdującą się na czwartym miejscu tabeli Juventę i pokazać, że nie składają broni w walce o udział w europejskich pucharach.

Do końca sezonu pozostało siedem meczów, w których mogli ugrać dwadzieścia jeden punktów. Teoretycznie wszystko było możliwe. Praktycznie jednak wywindowanie się z dziesiątej pozycji na choćby piątą będzie wiązało się z wręcz katorżniczym wysiłkiem.

Znalezienie się na szczytowych pozycjach tabeli bez małego cudu z pewnością będzie niemożliwe – a tymczasem zamiast niego wisiało nad nimi widmo przekleństwa. Potrafili grać bez Benhardta, pokazali to w poprzednim meczu. Grać a wygrywać to jednak dwie różne rzeczy.

Dzisiejsze spotkanie było meczem prawdy. I nawet gdyby Kalina nie widziała rozgrzewki, miałyby świadomość, że każdy z zawodników da z siebie więcej, niż teoretycznie był w stanie.

Nagrywała wszystko, w pewnym momencie jednak opuściła telefon, widząc, że podbiega do niej Benhardt. Stanął obok, lekko zasapany.

– Może powinieneś trochę zluzować – podsunęła.

Chwycił za gumkę spodenek i zrobił zdziwioną minę. Dziewczyna w odpowiedzi przewróciła oczami.

– Poważnie? – jęknęła.

– Sama zaczęłaś.

– Tyle że miałam na myśli to szaleńcze tempo. To się nazywa rozgrzewką nie bez powodu.

– Twój ojciec zażyczył sobie, żebyśmy...

– Wiem, co mówił – ucięła. – Ale obstawiam, że nie miał na myśli tych zawodników, którzy dość niedawno padli nieprzytomni na murawę.

Adam machnął ręką, jakby wspomniała co najwyżej o ukąszeniu komara sprzed kilku lat.

– Było, minęło – odparł. – A skoro o twoim ojcu mowa, to obstawiamy.

– Co?

– Robimy zakłady.

Kalina uniosła brwi, wodząc wzrokiem po zawodnikach.

– Czy go wywalą? – jęknęła.

– Nie. Co puści przed meczem.

– Puszcząć to można się – oznajmiła, cytując ojca. – On gra wam muzykę.

– Raczej to, co jego zdaniem mieści się w tej definicji.

Kalina nie miała zamiaru polemizować. Wciąż frapował ją dobór kawałków, ale Witek najwyraźniej znalazł jakiś klucz, dzięki któremu mógł wydobyć pokłady ukrytej motywacji z serc swoich piłkarzy.

– Ostatnio podobno znowu było Power of Love – dodał Ben.

– Wiem.

– Kawalek top.

– Mhm.

– Nie masz żadnych przecieków co do...

– Nie – przerwała mu dziewczyna. – Wierz mi, że mój ojciec nie konsultuje ze mną piosenek, które wam gra.

Benhardt cicho się zaśmiał.

– Jestem w stanie w to uwierzyć – oświadczył.

Zerknęli na siebie, a potem oboje zamilkli i przenieśli wzrok na rozgrzewających się zawodników Rewery. Przeciwnicy raz po raz kontrolowali ich poczynania – i zapewne zakładali, że ta wzmożona aktywność jest elementem gry psychologicznej, by zdeprimować rywala grającego na obcym boisku.

– Wychodzisz w pierwszej jedenastce? – odezwała się Kalina.

– Jeszcze nie wiem.

Zerknęła na zegarek i zmarszczyła czoło.

– No tak, przecież do pierwszego gwizdka jeszcze kupa czasu.

– Mnie to mówisz? – odparł cicho Adam i obejrzał się w kierunku tunelu prowadzącego do szatni. – Twój ojciec chyba sam nie wie.

– Bo?

– Bo nie jest pewien, czy powinienem tak szybko wracać.

– On niczego nie musi wiedzieć – odparła Kala. – Ma od tego sztab medyczny.

– Który testował mnie przez cały tydzień. I który razem z twoim ojcem przyglądał mi się w trakcie treningu.

Kalina lekko się skrzywiła. Sam fakt, że odkładali tę decyzję na ostatni moment, dobitnie świadczył o tym, jak niepewna była to sytuacja.

Decyzje o udziale lub wyłączeniu piłkarza z powodu kontuzji nie były czystą matematyką. Czasem jeden lekarz mówił to, inny coś wprost odwrotnego. Trenerzy zazwyczaj naciskali, by kluczowy zawodnik grał – główny zainteresowany także. Ten fizjoterapeuta dopuszczał udział piłkarza przy środkach przeciwbólowych, tamten kategorycznie to wykluczał.

Plaga zawodników zbyt wcześnie wracających po kontuzji trawiła właściwie każde rozgrywki krajowe i międzynarodowe. A wszystko dlatego, że ci ludzie po prostu chcieli grać. Tak jak teraz Benhardt.

– Sporo u ciebie tych znaków zapytania – zauważyła Kalina.

Adam natychmiast pomiarkował, do czego zmierza.

– Dalej nie ma oficjalnej decyzji zarządu – odparł.

– A potrzebna w ogóle?

Na moment umilkł.

– Może nie – przyznał. – Nikt się nie spodziewa, że Budczak i reszta odrzucą ofertę z Warszawy. Ratuje im ona dupy. I to w sytuacji, w której nic innego nie może tego zrobić.

Kalina cicho westchnęła, oboje wciąż przypatrywali się rozgrzewającym się piłkarzom obydwu zespołów.

– Albo mnie sprzedadzą, albo klub splajtuje – dodał po chwili Ben.

– Więc tak to chcesz ograć?

Obrócił się do niej.

– Hm? – jęknął.

– Że nie masz wyjścia i musisz odejść?

– Taka jest prawda, więc...

– Więc nie ma zupełnie znaczenia, że proponują ci milionowe zarobki i pierdyliard bonusów.

Zawahał się, ale tylko na moment. Widziała w jego oczach, że nie ma zamiaru serwować jej farmazonów.

– Ma znaczenie – przyznał. – Dla ciebie nie miałyby?

– Nie wiem.

– Wiesz, wiesz – odparł. – Tak samo jak każdy krytykujący wysokie zarobki piłkarzy wie, że na miejscu Mbappégo też przeszedłby do PSG, żeby zarabiać tam ponad milion euro tygodniowo. Nie dziwi się Messiemu, który inkasuje tam mniej więcej tyle samo, ani Neymarowi, który wykręca siedemset tysięcy euro w tydzień. W głębi duszy nie wydaje mu się dziwne, że Cristiano Ronaldo przyjął ofertę z Manchesteru za pół miliona tygodniowo, że Salah został w Liverpoolu, a Kevin de Bruyne w City za mniej więcej identyczną kwotę.

– Polemizowałabym.

– Tak? To powiedz mi, kto z krytykujących sam odrzuciłby taką propozycję kontraktu?

Kalina pokręciła lekko głową.

– Znalazłabyś jedną taką osobę? – dodał Benhardt. – Która odmówiłaby ze względu na pryncypia?

– Może.

– Chyba nie w tym świecie – odparł. – I pewnie, to wszystko obrzydliwe kwoty, ale jeśli ktoś chce je za coś zapłacić, to trudno krytkować piłkarzy za to, że je przyjmują.

Miał rację, ale nie zamierzała tego przyznawać. Cały ten biznes wydawał się oderwany od piłki nożnej i oparty wyłącznie na kwestiach PR-owych, marketingowych i reklamowych.

– Ciekawe – oceniła.

– Co?

– Że jeszcze niedawno ja mówiłam, że klubowe logo to tylko znak towarowy, a nie godło – wyjaśniła. – A ty upierałeś się, że wymaga lojalności.

– Bo wymaga.

– Ale nie kiedy wchodzi w grę wielka kasa?

Ktoś z boiska go zawołał, a Adam skinął głową koledze z zespołu, po czym obrócił się do Kaliny.

– Nie kiedy ta kasa może uratować twój klub – odparł, a potem potruchtał w kierunku środka boiska.

Kala została sama ze swoimi myślami, nie czując się w tym towarzystwie przesadnie komfortowo. Miał rację. Chodziło tutaj o coś więcej niż jego piłkarski rozwój i wspomnienie finansowe dziadków. Tańcząc tak, jak obydwie kluby mu zagrały, mógł uratować Rewerę Opole przed upadkiem.

Na razie jednak miał do rozegrania inną kwestię.

Kiedy znaleźli się w szatni, Kalina wyciągnęła telefon i zaczęła kręcić przemowę ojca. Jak zwykle była całkiem niezgorsza. Domagał się spokojnych głów i pełnych pasji serc, dania z siebie wszystkiego bez względu na wynik.

Tuż po tym zakończył okrzykiem „siła w jedności!”, na który wszyscy piłkarze odpowiedzi gromkimi brawami i wiwatem, po czym odpalił kolejny element na swojej playliście.

Tym razem padło na kawałek Heat of the Moment zespołu Asia. Jego dźwięki idealnie wpasowywały się w całokształt brzmień, którymi trener starał się zagrzać swoich zawodników do boju.

Wciąż jednak nie było wiadomo, czy Ben pojawi się w wyjściowej jedenastce. Chłopak podszedł do Witka na moment przed tym, jak ten miał przedstawić skład.

– I jak, trenerze? – spytał.

Krygier spojrzał na córkę, potem na piłkarza.

– Wciąż się wahamy – odparł.

– Ale zostało parę minut.

– Wiem.

Patrzyli na siebie stanowczo zbyt długo, jakby jakimś cudem dzięki temu mogli przesądzić, jaka powinna być decyzja. Podjęcie jej było ekstremalnie

trudne. Z jednej strony Witek musiał chcieć wykorzystać swoją najmocniejszą broń, póki jeszcze mógł. Z drugiej istniało ryzyko, że zniszczy chłopakowi zdrowie, karierę i właściwie całe życie.

– Czuję się dobrze – oświadczył Adam. – Nic mnie nie boli, nie mam żadnych zawrotów ani braci mroczków.

– To też wiem.

– Nie ma żadnych przeciwwskazań...

– Są – rozległ się kobiecy głos dochodzący z korytarza.

Cała trójka obróciła się w kierunku Sylwii Majewskiej, która stała w progu ze skrzyżowanymi na piersi rękoma. Zogniskowała spojrzenie wyłącznie na Benhardcie, jakby to on miał podjąć ostateczną decyzję.

Czasem w przypadku mniej poważnych kontuzji, które nie miały wielkich reperkusji, rzeczywiście tak było. Trener pytał zawodnika, czy czuje się na siłach, a jeśli odpowiedź brzmiała twierdząco, wystawiał go w pierwszym składzie.

W tym wypadku jednak nie mogli sobie na to pozwolić.

– W sztabie medycznym zapadł konsens – dodała Sylwia. – Nie powinien dziś grać.

– Ale... – zaczął Ben.

– Trening to inna sprawa, tam na ciebie uważali – ucięła. – W trakcie meczu przeciwnicy będą skupiać ataki przede wszystkim na tobie. Wystarczy, żeby ktoś zderzył się z tobą głową albo, nie daj Boże, bramkarz piąstkował i trafił w ciebie zamiast w piłkę. Mógłbyś się pożegnać z...

Nie dokończyła, bo zasadniczo nie musiała tego robić. Większy efekt osiągnęła, pozostawiając tę kwestię niedopowiedzianą.

Adam jednak ją zignorował i obrócił się do trenera.

– Będę uważać – zapewnił. – Mogę grać za plecami Gregora, tam nie będzie tylu okazji do grania głową, i...

– Czyli chcesz powiedzieć, że będziesz grał na pół gwizdka?

– Nie, ale...

– Ale tak to mniej więcej będzie – uciął Witek. – Pójdzie dośrodkowanie, a ty do niego nie wyskoczysz, bo będziesz musiał uważać.

– Trenerze...

– To kiepska sytuacja i dla ciebie, i dla drużyny.

– Przecież...

– Koniec dyskusji – uciął Krygier.

Kala nie dziwiła się, że ojciec podszedł do tego od tej strony. W innym wypadku być może nie udałooby mu się przekonać Adama, że najlepiej będzie, jeśli zostanie na ławce.

Ten jednak nie odpuszczał.

– To mój ostatni mecz – rzucił.

– Tym bardziej szkoda ryzykować.

– Ale...

– Powiedziałem: koniec dyskusji – przerwał mu Witek. – Jeszcze jedno słowo, a będziesz oglądał spotkanie z trybun.

Benhardt zamilkł, jak zrobiłby to każdy inny piłkarz, który chciałby wspierać zespół choćby z ławki.

– Jasne? – dodał Krygier.

– Jak niebo w...

– Świetnie.

Kalina bez trudu wychwytywała żal i niepewność w pozornie stanowczym tonie ojca. Przypuszczała jednak, że uszły one uwagi wszystkich innych. Dla osób, które nie spędziły z nim całego życia, czasem potrafił być nieprzenikniony.

Majewska zaś odetchnęła z wyraźną ulgą, po czym skinęła głową do Bena i opuściła szatnię. Wyjąwszy Kalę piłkarze zostali sami ze sztabem szkoleniowym. Witek rzucił jeszcze kilka zagrzewających do boju słów, a potem nabrał głęboko tchu.

– Po tym meczu mamy tydzień przerwy – oznajmił. – Jak wygracie, dam wam dwa dni wolnego. I w bonusie wieczorem zapraszam na moją działkę.

– Na działkę? – jęknął Sandał.

Trener zmierzył go krytycznym spojrzeniem, a potem kazał im roznieść przeciwnika w drobny mak. Moment później rozległ się kilkukrotny dzwonek wzywający zespół do wyjścia na korytarz.

Mecz rozpoczął się od bezpardonowych ataków na bramkę Olejarczyka. Katowiczanie nie stosowali taryfy ulgowej i wyraźnie chcieli przejąć inicjatywę od samego początku.

Plan się powiódł. Piłkarze Rewery zostali zepchnięci do defensywy i skutecznie w niej zamknięci. Pierwszych dwadzieścia minut Witek spędził, stojąc przy linii bocznej i nerwowymi gestami sugerując, by zaczęli grać swoje.

Zawodnicy w końcu posłuchali. Zaczęli podchodzić wyżej, starając się wypchnąć rywala ze swojej strefy obronnej. Stworzyło to jednak sporo przestrzeni, z której Juvenia skwapliwie skorzystała.

W dwudziestej piątej minucie padł gol dla gości, a trybuny gospodarzy zamilkły.

Kala kątem oka zobaczyła, jak siedzący obok niej Benhardt uderza zaciśniętą pięścią w ławkę.

– Niech ich chuj – syknął.

Z jakiegoś powodu spojrział na Kalinę, a ta posłała mu bezradne spojrzenie. Trener Juventii wiedział, że nie mogą dać przeciwnikowi pograć, bo ten potrafi dość szybko się rozkręcić. A jego zawodnicy sprawnie realizowali to założenie.

Kala zaklęła w duchu, zdając sobie sprawę z tego, że jeśli przegrają to spotkanie, statystyka ojca będzie opłakana. Był to jego dziesiąty mecz jako szkoleniowca Rewery. W pierwszych pięciu poniósł sromotne klęski.

W szóstym przegrał minimalnie i zdobył dwie bramki dzięki Benhardtowi. Siódmy wygrał z Bzurą, ósmy teoretycznie z Prospektem Kłobin. Ale ten ostatni się nie liczył, a poprzednie spotkanie tylko zremisował.

Jeśli tutaj przerzną, zostanie z jednym zwycięstwem na dziesięć spotkań. Zarząd będzie miał pełne prawo wywalić go z hukiem.

Dziewczyna przyglądała mu się, gdy wracał ze zwieszoną głową na ławkę. Opadł ciężko na swoje miejsce, a potem ruchem głowy przywołał asystenta.

– Za dobrze się na nas przygotowali – rzucił.

– Widzę – odparł Meler, jakby to było oczywiste.

Tak naprawdę wystarczyło dobrze przyjrzeć się ustawieniu Juventii Katowice, by przekonać się, że ich trener rzeczywiście odrobił lekcje. Neutralizowali wszystkie te zagrania, które normalnie wychodziły podopiecznym Witka.

– Zmieniamy taktykę – oznajmił Krygier.

– Na jaką?

– 4-3-3.

– Ale...

Przemysław zaczął i nie dokończył, świadomy tego, co to mogło oznaczać. W tej chwili mieli na murawie jednego nominalnego napastnika, potrzebowali trzech.

Witek jednak nawet nie spojrział na Bena.

– Jeleń przejdzie na atak obok Gregora – oznajmił. – Wpuścimy też kogoś na miejsce jednego z pivotów.

– Kogo?

W pytaniu Melera pobrzmiała nuta obawy, że padnie na najbardziej logicznego i właściwego kandydata. W normalnych okolicznościach asystent

trenera nie potrzebował żadnych dodatkowych powodów, by nie widzieć Adama w składzie. W tych miał aż za dużo argumentów.

Krygier jednak wybrał innego rezerwowego napastnika. Młodego chłopaka, który nie rozegrał jeszcze ani jednego meczu.

Kalina usłyszała jedynie ciche przekleństwo wycedzone przez Benhardta.

Zaraz potem dokonano zmian, a Witek dał swoim piłkarzom znak, w jakiej formacji od tej pory zagrają. Wydawało się to słuszną decyzją, Juvenia była zbyt dobrze przygotowana na poprzednie ustawienie taktyczne.

Mimo że zamysł był dobry, na jego wcielenie w życie nie było okazji.

Tuż po zmianach piłka wróciła pod nogi jednego z katowiczian. Ten posłał ją na przeciwległą stronę boiska, a skrzydłowy zszedł z nią do środka. Spróbował podania prostopadłego, futbolówka odbiła się przypadkowo od jednego z obrońców Rewery i niespodziewanie trafiła pod nogi napastnika.

Do szatni piłkarze z Opola schodzili przy stanie zero do dwóch.

Kali wydawało się, że przemowa ojca w trakcie przerwy podniesie ich trochę na duchu i pomoże odnaleźć nieco pewności siebie. Wynik był do uratowania, mimo gola przeciwnik zaczynał się gubić po zmianie formacji.

Początek drugiej połowy jednak znów należał do zawodników Juvenii Katowice. Dzielili i rządzili, stwarzając kolejne okazje do zdobycia bramki. Już w pięćdziesiątej piątej minucie futbolówka trafiła w słupek.

Nieco ponad pięć minut później Oleo znów musiał wyciągać ją z siatki – szczęśliwie jednak sędzia odgwizdał minimalnego spalonego.

Była sześćdziesiąta piąta minuta, kiedy jeden z katowiczian zmarnował stuprocentową okazję. Przy takim stanie gry było jednak jasne, że niebawem on lub któryś z jego kolegów będzie miał kolejną.

Krygier wrócił z wyznaczonego mu prostokąta na ławkę trenerską. Oparł łokcie na kolanach i zwiesił głowę.

– Tato? – spytała cicho Kalina.

Podniósł głowę i obrócił się w jej stronę, ale zupełnie ją zignorował. Patrzył na Adama, a ten z jakiegoś powodu zerknął na Kalę. Dopiero po chwili ojciec zrobił to samo.

– Co myślisz? – zapytał, jakby jej zdanie rzeczywiście miało znaczenie.

Tylko jedno kołatało jej w głowie. Skierowała spojrzenie na Bena, który już otwierał usta, by samemu coś powiedzieć.

– Wstawaj, żołnierzu – rzuciła.

Krygier tylko pokiwał głową, jakby wdzięczny, że go wyręczyła.

– Czujesz się na siłach? – zapytał Adama.

Benhardt natychmiast ściągnął rozpinaną pomarańczową bluzę i zaczął truchtać wzdłuż linii bocznej.

10

Pole karne gości, Stadion im. Dawida Żerskiego

Benhardt zajął miejsce Gregora na środku ataku, a ten przesunął się na pozycję bocznego napastnika. Nie była to wymarzona sytuacja, by większość dośrodkowań będzie celowana na jego głowę, ale nie bardzo widział inne wyjście – trener także nie.

Gdy wbiegał na murawę, piłkarze Rewery mieli wywalczony rzut wolny z dwudziestu dwóch metrów. Dość dobre miejsce, by stworzyć zagrożenie.

Adam wbiegł w pole karne i ustawił się na właściwej pozycji, zupełnie nie odnotowując faktu, że trybuny nagle ożyły. Dopiero kiedy sędzia przesunął mur katowiczian, Benhardt uświadomił sobie, co się dzieje.

Sektory gospodarzy skandowały jego imię. W powietrzu łopotały pomarańczowo-białe szaliki i flagi, a ludzie podnosili koszulki z numerem 15 i jego nazwiskiem z tyłu. Przez moment wodził wzrokiem po trybunach, nie dowierzając.

Potem rozległ się gwizdek.

Ben obawiał się nieco nie tyle wrzucanej na niego górnej piłki, ile tego, że z tyłu głowy będzie miał świadomość, iż nie może dać z siebie stu procent.

Szczęśliwie Gaudi spróbował strzału na bramkę. Piłka minęła ją o kilka centymetrów, nie angażując bramkarza.

Łukasz uniósł przepaszająco rękę, po czym opolanie, nieco podminowani, ruszyli z powrotem w kierunku swojej połowy. Krygier wydzierał się na nich zza linii bocznej, robiąc wszystko, by nie popadli w zastój, który przy tym wyniku mógł oznaczać właściwie koniec meczu.

– Dawać, panowie! – krzyknął Adam. – Odrabialiśmy już, kurwa, większe straty!

Stojący obok zawodnicy z Katowic posłali mu pobłażliwe spojrzenia, a koledzy zdawali się to odnotować.

– Jedziemy, jedziemy! – podjął mimo to Benhardt. – Mamy jeszcze ponad dwadzieścia minut! Do roboty!

Miał wrażenie, że przynajmniej kilku piłkarzy zareagowało w sposób, na jaki liczył. Większość go nie słyszała, wiedzieli jednak, co oznacza jego mowa ciała.

Warski zerknął na niego z podejrzliwością, być może całkiem uzasadnioną, bo obowiązek zagrzewania drużyny do walki zazwyczaj spoczywał na barkach kapitana.

Bramkarz Juventii wprowadził piłkę do gry długim podaniem w kierunku pola karnego opolan. Było to zagranie, którego teoretycznie Rewera nigdy nie wykonywała. Oleo dostał od Witka jasny zakaz podobnych wykopów, zamiast tego mieli rozgrywać piłkę od linii obrony, przez pomoc, aż po atak.

Chyba że powstałaby okazja do błyskawicznego kontrataku.

W tym wypadku tak nie było. Golkiper przesadnie się nie postarał, a kiedy piłka lądowała w pobliżu dwóch zawodników przeciwnych stron, właściwie istniała równa szansa na jej opanowanie.

Tym razem katowiczanie mieli szczęście. obrońca z Opola został z tyłu, a napastnik się od niego uwolnił i natychmiast ruszył na bramkę. Oddał mocny strzał, który sprawiał wrażenie, jakby zmierzał w okienko.

Oleo rzucił się w kierunku futbolówki i jakby zawisł w powietrzu. Imponująca robinsonada sprawiła, że udało mu się wyciągnąć piłkę minimalnie poza światło bramki. W sektorach gości rozbrzmiał jęk zawodu, w tych zajętych przez zwolenników gospodarzy zaległa cisza.

Był to niebezpieczny moment meczu – kiedy kibice zaczynali odpuszczać, morale całej drużyny momentalnie siadało. Dopingu nie dało się przecenić, znaczenia jego braku również nie.

Należało jak najszybciej dolać paliwa do kibicowskiego kotła, pech jednak chciał, że to piłkarze Juventii wykonywali rzut różny.

Ben został nieco z przodu, licząc na to, że któremuś z obrońców uda się odzyskać piłkę, a potem posłać ją w kierunku połowy boiska przeciwnika.

Dośrodkowanie było dobre, niemal idealne. Futbolówka trafiłaby wprost na głowę jednego z roślących napastników, gdyby nie to, że Gaudi skutecznie go zneutralizował. Piłkarz padł na murawę, wydając z siebie okrzyk bólu.

Zapanowano sekundowe wahanie.

Nie rozległ się jednak gwizdek, sędzia pokazywał, by grać dalej.

Do piłki dopadł Rebus, któremu wystarczył szybki rzut oka, zanim podał piłkę do przodu. Była to jedna z tych sytuacji, kiedy trener nie zrugą potem piłkarza za długą wrzutkę.

Ta była mocna i grana na dobieg. Ben zorientował się w porę, by ruszyć przed siebie i liczyć na to, że uda mu się ubiec bramkarza rywali.

W pełnym sprincie udało mu się zostawić kryjącego go defensora o jeden, dwa kroki. Wystarczająco.

Teraz tylko golkipier.

Wiedział, że futbolówka spadnie tuż przed polem karnym. I że każdy rozsądny bramkarz wyjdzie, by wybić ją, zanim napastnik uzyska okazję do strzału.

Adam pędził przed siebie ile sił w nogach, ale dotarło do niego, że nie zdąży w porę. Nie sięgnie piłki, podanie było za mocne. Minimalnie, ale jednak.

Pozostało mu tylko jedno. Nawet się nie zastanawiał.

Kiedy futbolówka znalazła się przed nim, rzucił się do przodu szczupakiem. Miał wrażenie, że na moment zawisł w powietrzu.

Nie wiedział, czy dobrze wymierzył, nie było czasu. Po prostu wybił się najmocniej, jak potrafił, głową do przodu.

W pewnym momencie przestał widzieć piłkę. Poczul ją jednak na czole.

Udało się.

Tuż po tym, jak futbolówka poszybowała w kierunku bramki, on zderzył się z bramkarzem. Robił wszystko, by osłonić głowę, ale działo się to tak szybko, że nie miał pojęcia, na ile się udało.

Złączeni z golkipierem w jakimś dziwnym klinczu, obaj runęli na murawę. Zerwali się jednak równie szybko, niemal w tym samym momencie patrząc w kierunku bramki.

Piłka wpadła do siatki, a na trybunach znajdujących się za nią kibice wystrzelili w górę. Znow zrobiło się pomarańczowo-biało, a wiwaty stały się obeszładniające.

Większość piłkarzy Rewery była jeszcze na swojej połowie, nikt nie rzucił się na Bena z gratulacjami.

Cieszynka, pomyślał. Czas na cieszynkę.

Przy tym wszystkim, co się działo, nie miał czasu zastanowić się nad tym, jak celebrować gola.

Oddał się intuicji.

Obrócił się w kierunku ławki trenerskiej, wyłowił spojrzenie Kali, a potem stanął w postawie zasadniczej i przyłożył otwartą dłoń do skroni, jakby wykonywał salut amerykańskiej armii.

Podniosła się wrzawa.

Koledzy dopadli do niego, ale zamiast tradycyjnie go znokautować, szybko ustawili się w szeregu i wykonali ten sam gest. Tumult na stadionie stał się

jeszcze głośniejszy, a zarówno komentatorzy telewizyjni, jak i kibice na trybunach zakładali najpewniej, że salut skierowany jest do trenera.

Zaraz potem zawodnicy Rewery ruszyli z powrotem w stronę linii środkowej.

– Wszystko okej? – odezwał się Rebus, klepiąc Adama po plecach.

– Będzie, jak wciśniemy jeszcze ze dwie bramki.

Antek uśmiechnął się lekko.

– Mamy kupę czasu – odparł. – Dwadzieścia minut, sam mówiłeś.

Benhardt również klepnął go w plecy i poczuł, że przebiegający obok niego Sandauer strzelił go dłonią po tyłku. Normalna sytuacja, fizyczna zażyłość między piłkarzami była na porządku dziennym – i czymś, czego w innych okolicznościach wśród facetów się nie spotykało. A przynajmniej nie w takim stopniu.

Wystarczyło jednak włożyć klubową koszulkę i wybiec na murawę, a nagle wszystkie takie gesty stawały się całkowicie dopuszczalne. Można było obejmować kolegę z drużyny i całować go po skroniach i policzkach, jakby był dawno niewidzianą dziewczyną. Całkiem zwyczajne było klepanie się po tyłkach, obściskiwanie i gładzenie po plecach, i żadna z tych rzeczy ani nie umniejszała niczyjej męskości, ani nie sugerowała żadnego podtekstu.

W szatniach panowało jeszcze większe przyzwolenie na podobne zachowania. Do tego stopnia, że nieokazywanie takiej zażyłości byłoby brane za coś podejrzanego.

Bena zatem w ogóle nie zdziwiło, że podbiegł do niego także Gregor i poklepał go w łędźwie. Zaraz potem przeciwnik wznowił mecz.

Jeden do dwóch. Piłka w grze, jeszcze wszystko mogło się zdarzyć.

Katowiczanie zrezygnowali ze zbyt śmiałych ataków, starając się skupić na obronie. Mieli świadomość, że przeciwnik ma teraz inicjatywę – a wcześniejsze spotkania dowodziły, że potrafi ją utrzymać.

Benhardt biegał od jednego zawodnika Juvenii do drugiego, próbując przerwać któreś podanie. Koledzy robili to samo, drenując siły, które i tak mieli już na wyczerpaniu. Nikt jednak nie miał zamiaru się poddawać.

Zadań do wykonania było zbyt wiele, emocje stawały się nader duże. Adam nie miał nawet czasu, by zastanowić się, jak się czuje. Uderzył piłkę głową dość mocno, potem starł się z bramkarzem.

Nie miał jednak zawrotów głowy, w uszach mu nie szumiało. Wizja też była okej.

Towarzyszyło mu jakieś nieco osobliwe uczucie, ale było wynikiem adrenaliny. Jej z pewnością mu nie brakowało.

Obserwował, jak Gaudi stara się odzyskać futbolówkę, ale bezskutecznie. Piłkarz z Katowic posłał ją do prawoskrzydłowego swojej drużyny, a ten przyjął ją na tyle nieporadnie, że z okazji natychmiast skorzystał Karol Jeleniewski.

Znów była w posiadaniu opolan, a oponent odnalazł się nieco chaotycznie rozstawiony na boisku. Jeleń posłał ją do Gaudiego, ten poczekał, aż podający minie jednego z pomocników, po czym mu ją oddał.

Jeleniewski z pierwszej piłki odegrał do nadbiegającego Bena.

Jedna kiwka, druga. Adam uwolnił się od krycia i kątem oka dostrzegł będącego na dobrej pozycji Gregora. Szybko skierował ku niemu mocne podanie po ziemi, on odegrał piłkę Sandauerowi, który z kolei podał do Rebusa.

Futbolówka zaczęła chodzić jak po sznurku. Boisko zamieniło się w jedno wielkie rondo, i żaden z przeciwników nie mógł zrobić nic, by odzyskać posiadanie. Przez kilka minut katowiczanie biegali jak najęci, potem jednak opadły ich desperacja i zmieszanie.

Zaczęli podejmować lekkomyślne decyzje, starając się za wszelką cenę odzyskać piłkę. Piłkarze Rewery Opole natychmiast z tego skorzystali.

Kilka krótkich podań sprawiło, że grający w rondo zawodnicy dostali się pod pole karne Juvenii. Gaudi podał do Jelenia, ten zrewanżował mu się tym samym, a Ben czekał tylko z boku na to, by ruszyć przed siebie.

Zrobił to w momencie, kiedy Łukasz nieznacznie podniósł wzrok. Wiedział, że go dostrzegł. I że zagra mu w tempo.

Prostopadłe podanie przecięło linię obrony, za którą momentalnie znalazł się Benhardt. Adam uniósł lewą rękę i zrobił zamach prawą nogą, przygotowując się do strzału. Huknął z pierwszej piłki tuż obok bramkarza.

Strzegący bramki katowiczanie zawodnik nawet nie drgnął. Obrócił głowę dopiero wtedy, kiedy futbolówka załomotała w siatce.

Ben popędził ku linii bocznej, po drodze wymijając swoich kolegów jak słupki. Próbowali się na niego rzucić, najpewniej zapominając o tym, że powinni go oszczędzać.

Kiedy jednak znalazł się przy skraju boiska i zatrzymał, oni zrobili to samo. Zaraz potem wykonali ponowny salut.

Wydawało się, że stadion zaraz eksploduje. Okrzykom nie było końca, na ławce trenerskiej wszyscy podskakiwali i Witek sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar dołączyć do celebrujących podopiecznych na murawie.

Była osiemdziesiąta minuta meczu.

Dziesięć minut później arbiter techniczny uniósł wyświetlacz z informacją, że doliczono cztery minuty do regulaminowego czasu gry.

Moment po tym piłkarze Rewery znów rozpracowali szyki obronne przeciwnika serią krótkich, szybkich podań na małej przestrzeni. Piłka trafiła do Benhardta, który stał obrócony tyłem do bramki.

Kątem oka wyłowił biegnącego po jego lewej Warskiego. Obrócił się nieznacznie plecami w jego kierunku, by defensorzy nie spodziewali się tego, co zamierzał zrobić. Potem piętka oddał piłkę kapitanowi.

Sam natychmiast się obrócił, owijając się wokół zdezorientowanego obrońcy.

Radek przebiegł tylko kawałek, nim podał równoległe do linii bramkowej. Adam był na pozycji. Dostawił tylko nogę, a piłka wpadła prosto do siatki.

Wydawało się, że każdy na stadionie w jednym momencie podskoczył, wyrzucając ręce ku niebu. Zapanował całkowity, niemożliwy do opanowania zgiełk, a murawa zdawała się trząść.

W całym tym niewiarygodnym młynie Ben stał w postawie zasadniczej, z ręką uniesioną ku skroni, patrząc na Kalę. Odnosił wrażenie, że ich połączone spojrzenia w jakiś sposób odseparowały się od całego harmidru i sprawiły, że oboje przenieśli się do innego świata.

Udało im się odrobić straty, prowadzili trzy do dwóch. I w tej chwili mogli liczyć na upragnione trzy punkty, które przybliżą ich nieznacznie do szczytu tabeli.

Wystarczyło tylko dowieźć wynik do końca.

Katowiczanie jednak mieli jeszcze cztery minuty. I dostali nowych sił, zupełnie jakby za punkt honoru postawili sobie odrobienie straty.

Ruszyli do ataku niemal całym zespołem.

Zawodnicy z Opola mieli jednak w głowie słowa swojego trenera. Nie spanikowali, nie dali zepchnąć się do całkowitej defensywy. Grali gegenpressing, atakując przeciwnika już w momencie, kiedy tylko utracili piłkę.

Jeleń przejął ją mniej więcej na trzydziestym metrze przed własną bramką. Obrócił się i zobaczył, że Adam pędzi w kierunku połowy przeciwnika. Posłał mu piłkę w tempo, a ten bez trudu zaczął holować ją ze sobą.

Balansem ciała zmylił jednego z obrońców, który wykonał desperacki wślizg. Drugiego i trzeciego okiwał z równie dużą łatwością, pędząc bez pardonu w kierunku golkipera katowiczana.

Po chwili było to już starcie między nimi dwoma.

Bramkarz skrócił kąt, wychodząc do napastnika. Rozłożył szeroko ręce, niczym golkipier w piłce ręcznej.

Adam zamarkował strzał prawą nogą, przełożył piłkę na lewą, a potem uderzył z całej siły.

Okamgnienie później na wyświetlaczu stadionowym pojawił się wynik „4:2”.

11

Ogródki działkowe, ul. Częstochowska

Kala nie spodziewała się, że ojciec faktycznie zaprosi wszystkich zawodników i sztab szkoleniowy na działkę. Była dość duża, mogła bez trudu pomieścić wszystkich, ale Witek nie był znany z organizowania tego typu imprez.

Ta jednak mu się udała – co w gruncie rzeczy było zasługą euforycznego nastroju po zwycięstwie. Media kochały takie comebacki, a cztery gole strzelone w ostatnich dwudziestu minutach nie przeszły bez echa praktycznie nigdzie.

Relacja z tego spotkania trafiła nie tylko na portale sportowe, ale także te, które normalnie nie zajmowały się rozgrywkami w krajowej lidze.

Rewera Opole miała jednak świetną prasę – i medialnie żyzny grunt, którego żaden dziennikarz nie mógł zignorować. Po głośnym wypadku rozpoznawalność klubu wśród osób nieinteresujących się piłką wzrosła, a klubowy dział PR-u donosił, że sprzedaż koszulek z numerem piętnastym jest wyższa niż jakichkolwiek innych w historii.

Zapotrzebowanie było tak duże, że zmuszeni byli zwiększyć zamówienia w szwalniach, i nie zanosilo się na to, by ten trend miał się odwrócić. Przynajmniej dopóty, dopóki Ben będzie zawodnikiem Rewery. Potem monetyzować to zjawisko będzie już Varsovia.

Kala odsunęła tę konstatację i spojrzała na Benhardta. Nosił dziś jeansy i zwyczajną, białą koszulkę, a dziewczyna pomyślała, że praktycznie przez cały czas widuje go w klubowych ciuchach. Mówiło to o ich relacjach całkiem sporo.

Ben skończył rozmawiać z Gaudim, klepnął go w plecy, a potem się rozejrzał, jakby kogoś szukał. Kiedy utkwiał wzrok w oczach Kaliny, nagle zamarł. Po chwilowym wahaniu ruszył w jej stronę.

– Widziałaś gdzieś mój sześciopak? – zagaił.

Kala zerknęła z powątpiewaniem na jego brzuch.

– Szczerze mówiąc, nie – odparła.

Ben przez moment wyglądał, jakby miał zamiar puścić tę uwagę mimo uszu. Ostatecznie jednak tego nie zrobił.

– Nie przyglądałaś się nigdy, to się nie wymądrzaj – rzucił.

– A skąd wiesz, że nie? Sprawdzałeś, czy patrzę, kiedy ściągasz koszulkę?

– Bynajmniej.

– A jednak to zabrzmiało jak jakaś zapowiedź prezentacji.

Adam uniósł lekko brwi.

– Teraz to już dałaś się ponieść marzeniom – ocenił.

– Raczej obawom.

– Tak czy inaczej nie dla psa kiełbasa.

Kalina zmrużyła oczy, jakby potrzebowała wyregulować celownik, zanim mu przywali.

– Chciałeś czegoś konkretnego? – spytała. – Czy po prostu poczułeś nieodpartą potrzebę, żeby mnie pozaczepiać?

– Chciałem zapytać o ten sześciopak.

– Jaki znowu...

– Podobno każdy, kto zostaje zawodnikiem meczu, dostaje potem od trenera paczkę browarów – wyjaśnił. – A ja dochrapałem się tego już trzeci raz i zobaczyłem sześciopak jak świnia niebo.

Dziewczyna wydała z siebie cichy pomruk namysłu.

– Czekaj... – rzuciła, unosząc wzrok. – Może jakieś znaczenie ma to, że jesteś dla mojego ojca młokosem?

– A co za różnica?

– Dość duża.

Benhardt westchnął i wskazał to, co trzymała w ręce.

– Najwyraźniej twojemu ojcu nie przeszkadza, że ty tankujesz sobie do woli.

– Przeszkadza. Po prostu nic nie może z tym zrobić – odparła Kala, a potem pociągnęła łyk piwa z puszki.

Fakt faktem, miała już lekko w czubie. Byli tu od dwóch godzin, właściwie od samego początku wlewali w siebie różne rodzaje alkoholi. Każdy coś przyniósł, ojciec miał też spore zapasy wódki.

Przemykał oto na to, że Kalina wzięła sobie piwo, ale była pewna, że gdyby zobaczył ją z czymś mocniejszym, miałyby problemy. Dlatego chowała się razem z młodymi piłkarzami, kiedy piła wódkę.

Jedyną trzeźwą osobą był Radek Warski – i to bynajmniej nie dlatego, że czuł się odpowiedzialny za pilnowanie reszty. Odbijało mu po alkoholu, wystarczyło kilka drinków, a kompletnie przestawał przypominać tego opanowanego

człowieka, którym był na murawie. Wszczynał burdy, był pierwszy do bitki. Ale Kala odnosiła wrażenie, że to pozaboiskowe zachowanie jest jednym z powodów, dla których ma posłuch w szatni.

Ben natomiast był ewidentnie wstawiony. Oczy mu się świeciły, minę miał dość błogą. Kalina przypuszczała zresztą, że gdyby wypił nieco mniej, nie pozwoliłby sobie na takie komentarze, które przed momentem padły.

Ani na to, by w milczeniu wgapić się w nią jak w obrazek.

Nie wiedziała nawet, ile czasu minęło, od kiedy oboje umilkli. Żadne nie odwracało wzroku, a ona zaczynała odnosić wrażenie, jakby był to jakiś dziwny konkurs.

Jednocześnie w kilka sekund stała się znacznie bardziej pijana. I nie miało to wiele wspólnego z tym, że upiła niewielki łyk.

– W Warszawie zawodnik meczu podobno dostaje szampana – odezwał się w końcu Adam, przerywając ciszę.

Kala nerwowo zamrugła.

– Pewnie tak – przyznała. – I to przypuszczam, że nie byle jakiego.

– Za samo to warto przejść.

– No jasne.

Wciąż wlepiali w siebie wzrok i powoli wyglądało to tak, jakby żadne z nich nie mogło oderwać oczu od drugiego.

Powiedz coś, zaapelowała w duchu Kalina. Nie wiedziała, czy kieruje tę prośbę do siebie, czy do niego.

Ostatecznie jednak uznała, że on już raz przerwał ciszę. Teraz jej kolej. I to prędko, nim zrobi się jeszcze bardziej niezręcznie.

– Całkiem udana ta twoja cieszynka – powiedziała.

– Dzięki.

– I sprawnie wybrnąłeś, jak cię dziennikarze zaczepili po meczu.

– Tak?

– Tak – odparła, a on zbliżył się o pół kroku, patrząc na nią, jakby był w transie.

Wydawało jej się, że prowadzą tę rozmowę mimochodem i żadne nie ma pojęcia, o czym tak naprawdę mówi.

– Zapytali cię... dość retorycznie zresztą, dlaczego salutujesz trenerowi – rzuciła cicho.

Nie była nawet pewna, czy dobiegające z jej ust słowa są dla Bena słyszalne. Stał jednak tak blisko, że istniała ku temu duża szansa.

– Naprawdę?

- Mhm – potwierdziła.
- I co powiedziałem?
- Że meldujesz komuś wypełnienie założeń taktycznych.
- Coś takiego.
- No tak – przyznała półgłosem.

Byli już tak blisko, że lekko wyciągnięta dłoń z którejś strony sprawiłaby, iż przekroczyliby granicę bez powrotu. Kala już niemal czuła jego oddech na ustach, serce biło jej znacznie szybciej, a ona sama musiała rozchylić lekko wargi, bo zaczynało brakować jej powietrza.

Odniosła wrażenie, że Benhardt chce coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Zaraz potem skorygowała to spostrzeżenie. Nie otwierał ust, by cokolwiek mówić.

Przysunął się jeszcze bliżej, a ona poczuła się, jakby ktoś nagle wstrzyknął jej jakiś cudowny środek, który przeniósł ją w stan całkowitej błogości. Miała ochotę jęknąć z rozkoszy i osunąć się na nogach, mimo że Adam nawet jej nie dotknął. Wystarczyła sama jego obecność, jego oczy i sposób, w jaki na nią patrzyły.

- Co to za piwo? – rozległ się głos zza pleców Kaliny.

Natychmiast się otrząsnęła, a Ben wycofał się o krok i zamrugał nerwowo, jakby właśnie przebudził się z jakiegoś snu.

Kala obejrzała się przez ramię na zbliżającego się ku niej ojca.

Widział, jak blisko stali? Odnotował, jak niewiele brakowało, by...

- Jakie piwo? – spytała.
- To, które trzymasz w ręce.

Dziewczyna uniosła lewą dłoń, w której niczego nie miała, i wzruszyła ramionami.

- Mówiłem, żadnego picia – rzucił Witek.

Nie patrzył na Benhardta, istniała więc szansa, że z jego perspektywy nie widać było tego, co się wydarzyło. A raczej tego, do czego nie doszło.

– Tato – zestrofowała go Kalina. – Gdybyś nie przewidywał żadnego picia młodzieży, zorganizowałbyś tę imprezę w jakiejś restauracji albo chociaż klubowej stołówce, gdzie panowałbyś nad serwowanymi trunkami.

- W żadnym...

– Zaprosiłeś wszystkich tutaj, żeby mogli się nawalić, bez względu na wiek.

Krygier skrzyżował ręce na piersi i przyjrzał się Kali w sposób, który miał chyba sugerować, że zastanawia się, czy aby na pewno jest jego córką.

- Żadna młoda osoba tu nie pije – oznajmił.

Zerknął na puszkę, potem wreszcie na Adama. Ten skinął mu głową, co wypadło tyle niezręcznie, co niecodziennie.

Mimo to ojciec oddalił się bez komentarza, a dwoje młodych odetchnęło i wymieniło się lekkimi uśmiechami.

– Ben! – krzyknął Jeleń, przywołując Benhardta do niewielkiej grupki, która właśnie żywiołowo coś omawiała.

Wziąwszy pod uwagę gestykulację, na tapecie była jedna z akcji dzisiejszego meczu.

– Wybaczysz na chwilę? – spytał Adam.

Nie spodziewała się po nim takich pytań, szczególnie zadawanych całkiem poważnym tonem. Ta prozaiczna sprawa zbiła ją tak mocno z pantafelki, że przez moment nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Co? – rzuciła. – Tak, jasne. Świętujcie, należy wam się.

– Tobie też, więc...

– Zaraz dołączę – zapewniła. – Niech tylko Jeleń się wygada, żebym nie musiała tego znosić.

Adam zaśmiał się cicho, a potem pokiwał głową ze zrozumieniem i oddalił się do kolegów. Nie uszedł paru kroków, nim obrócił się w kierunku Kali i na chwilę zawiesił spojrzenie na jej oczach.

Serce znów biło jej szybciej, mimo że byli od siebie znacznie dalej, niżby tego chciała.

Poprawiła włosy i przeciągnęła dłonią po szyi, starając się jakoś dojść do siebie. Najchętniej położyłaby sobie jakiś zimny okład na karku, by poradzić sobie z oplatającym ją gorącem.

Wypiła jeszcze jedno piwo, a potem przyrzadziła sobie drinka ze stanowczo zbyt dużą ilością wódki. W duchu pochwaliła ojca za to, że zrobił wcale niemałe zapasy. Impreza trwała już kilka godzin, kolejne butelki były sprawnie osuszane, a mimo to wciąż pojawiały się kolejne.

Trudno było nie zauważyć, że całe towarzystwo jest podbite do tego stopnia, iż nawet gdyby miało grać nazajutrz wieczorny mecz, stawiloby się na murawie w stanie wciąż wskazującym.

Kala także nie zwalniała tempa. Raz czy dwa ojciec posłał jej krytyczne spojrzenie, potem jakoś skomentował, ale sam był na tyle wstawiony, że nie mógł chyba obiektywnie ocenić, ile wypila.

Rozmawiała to z jedną, to z drugą osobą. Podlane alkoholem dysputy kiełkowały dużą ilością śmiechu i jeszcze większą optyimizmu – tej nocy wszyscy byli absolutnie przekonani, że uda im się odrobić straty i zakończyć

sezon na szczycie tabeli. Pewne wydawało się, że Witek zostanie na stołku, a oni zakwalifikują się do europejskich rozgrywek, tym samym zapewniając klubowi duży zastrzyk finansowy.

Nikt nie przejmował się tym, że po pierwsze wygrali jedynie dwa mecze, a po drugie zakończyła się dwudziesta czwarta kolejka Ekstraligi i do rozegrania pozostało jedynie sześć meczów. Rewera Opole tymczasem znajdowała się na dziewiątej pozycji w tabeli.

Wyborny nastrój początkowo udzielał się Kalinie. Aż do momentu, kiedy zdała sobie sprawę, że w całym tym hurraoptymizmie zawodnicy nie pamiętali o jednym.

Stała sama, tuż przy niewielkiej altance z boku działki, przypatrując się, jak Ben rozmawiał o czymś z Jeleniem i Warskim. Byli zaaferowani tematem, żaden z nich nie miał w głowie tego, co nie dawało spokoju Kali.

– Potrzebujesz chusteczek? – rozległ się głos z jej prawej strony.

Natychmiast się obróciła i zobaczyła Gaudiego z piwem w ręku, który lekkim zygzakiem przemieszczał się w jej kierunku.

– Co? – rzuciła.

Stanął obok i upiwszy łyk, wskazał puszką trzech rozmawiających ze sobą piłkarzy.

– Wyglądasz, jakbyś miała zacząć płakać – ocenił.

– A ty, jakbyś chciał zarobić w ryj.

Łukasz zerknął na nią z mieszaniną uznania i obawy.

– To tylko luźna obserwacja – zastrzegł, bełkocząc przy tym nieco. – Patrzysz na niego tak, jakby miał ci serce wyrwać.

– Ta? – mruknęła konfrontacyjnie Kalina.

Spodziewała się, że Gaudi podejmie słowną przepychankę, jak to zawodnicy mieli w zwyczaju. Wzajemne drwiny i docinki w szatni były właściwie wyznacznikiem tego, czy panuje w niej zdrowa atmosfera.

Gałdecki jednak zamilkł, także patrząc na trzech kolegów.

– Wierz mi, coś o tym wiem – odezwał się po chwili.

Dziewczyna spojrzała na niego, spodziewając się, że zobaczy na jego twarzy jakiś prześmiewczy wyraz. Zamiast tego jednak dostrzegła głęboki smutek i żal. Łukasz raptownie zamrugnął, jakby dopiero teraz zorientował się, że powiedział to na głos.

– Znaczy? – spytała Kalina.

– Co?

– Powiedziałeś, że coś o tym wiesz.

– Nie, ja...

Nie wiedziała, czy powinna ciągnąć temat. Ani czy w ogóle dobrze rozszyfrowała znaczenie jego słów. Sam wyglądał, jakby nie do końca je ogarniał.

Oboje milczeli, jakby znaleźli się w tak niewygodnym i delikatnym położeniu, że nawet najmniejszy ruch mógłby sprowadzić na nich jakąś katastrofę.

Jedno i drugie opróżniało swoje szklanki, nie kwapiąc się do podjęcia tematu. Rozmowa zdawała się zakończona, a mimo to Gaudi ani Kala nigdzie się nie wybierali.

– Będę za nim tęskniła – odezwała się nagle dziewczyna.

Podobnie jak on przed momentem, tak teraz ona nie rozumiała, jakim cudem te słowa wyrwały się z jej ust.

Owszem, lubiła Gaudiego, być może najbardziej ze wszystkich podopiecznych ojca. Zdawał się sympatycznym, ciepłym człowiekiem, ale nigdy nie nawiązała z nim żadnej konfidenckiej relacji.

I z całą pewnością nie powinna mówić takich rzeczy osobie, która w zespole była z Adamem najbliższą.

– To... – zaczął Łukasz, ale porzucił wątek i potrzebował momentu, by zebrać myśli.

Nie na taką odpowiedź liczyła Kalina. Zasadniczo sama nie wiedziała, czego oczekiwała po tej rozmowie.

– Wszystkim nam będzie go brakowało – odezwał się w końcu Gaudi, a potem powoli się do niej obrócił. – Ale tobie chyba w innym sensie.

Kala wahała się tylko przez chwilę. Coś w oczach tego człowieka dawało niemal stuprocentową gwarancję, że nie powtórzy nikomu tego, co od niej usłyszy. Był zresztą tak wstawiony, że na drugi dzień może nie pamiętać szczegółów tej rozmowy.

– Chyba – przyznała.

– Więc będziesz za nim tak... no wiesz?

– Nie.

– Tęskniła tęskniła?

Kalina przygryzła dolną wargę, patrząc na Benhardta.

– Tęsknię za nim nawet, kiedy jest obok – odezwała się cicho.

Gaudi pokiwał głową i westchnął, jakby jakiś ciężar właśnie spadł mu z serca.

– To może powinnaś mu o tym powiedzieć? – spytał.

– Jasne.

– Na jego miejscu chyba wolałbym wiedzieć. I to może być dodatkowy powód, dla którego zostanie.

Kala niemal bezdźwięcznie parsknęła.

– Wiadomo – odparła. – Jak tylko dowie się, co do niego czuję, zrezygnuje z ogromnej kasy i perspektywy rozwoju.

– A co czujesz?

Dobre pytanie, skwitowała w duchu dziewczyna.

– Coś, co sprawia, że stoję tu teraz i spowiadam się z tego prawie że nieznanemu – wyjaśniła.

– Przecież jesteśmy w sumie jak rodzina.

– Tak?

– Mamy jakby tego samego ojca – rzucił Gaudi, a potem wskazał Witka, który właśnie majstrował coś przy starym sprzęcie grającym, który był na działce, od kiedy Kala pamiętała.

W tej chwili z głośników płynęły dźwięki Forever Young Alphaville. Lata osiemdziesiąte w pełnej krasie, ale w jakiś sposób kawałek ten wydawał się adekwatny do dzisiejszej nocy.

– On chyba nie wie, że po osiemdziesiątym dziewiątym też robiono muzykę – zauważył Łukasz.

– Zatrzymał się w rozwoju na czasach Drużyny A.

Gaudi drgnął nerwowo.

– Ty to powiedziałaś – mruknął.

– Bo ja mogę – odparła z satysfakcją. – Ty za takie teksty dostałbyś ode mnie po łbie, a potem kiblowałbyś na ławce do końca sezonu. Jasne?

– Jak bezchmurny dzień w środku lata.

– Nie tak to leci – zauważyła. – Ale niech będzie.

Oboje znów zamilkli i Kala właściwie nie planowała wracać do tematu Benhardta. Powiedziała już i tak za dużo.

Gaudi jednak miał inne plany.

– To może powinnaś coś zrobić? – spytał.

– W jakim sensie?

– W takim, żeby Ben został.

– Obawiam się, że nawet moja deklaracja o tęsknocie nie pomoże.

Łukasz obrócił się w jej stronę.

– Nie to mam na myśli – odparł. – Chcą go sprzedać, bo w klubowej kasie brakuje podobno pięciuset tysięcy złotych.

– Ehe.

– Rozwiązanie jest więc dość proste.

– Wygrać w lotto?

– Niekoniecznie – odparł stanowczym głosem Gaudi, wyraźnie się do czegoś zapalając. – Moglibyśmy zebrać tę kasę na jakimś portalu crowdfundingowym.

Kalina uniosła brwi.

– Zobacz, ile dzięki tobie mamy obserwujących w social mediach – ciągnął. – I ilu jest teraz na profilach zawodników. To jest już całkiem spora liczba ludzi, którzy mogą coś zrobić. A jeśli weźmiesz jeszcze tych wszystkich, którzy chodzą na mecze...

– I wydaje ci się, że każdy dałby kasę? Raczej nie.

– No, nie każdy – odparł Gałdecki. – Ale część z tych ludzi jest gotowa wydawać kasę na bilety. Udźwignęliby niewielką kwotę, żeby pomóc w zatrzymaniu w klubie najlepszego gracza.

Kala znów przygryzła dolną wargę, patrząc na grupę rozmawiających ze sobą piłkarzy. Teraz podeszła do nich Sylwia Majewska, a uwagi Kaliny nie uszło, że na moment położyła dłoń na plecach Adama.

– Zastanów się – kontynuował Gaudi – ile mamy co mecz ludzi na stadionie? Dwadzieścia pięć tysięcy?

– Mniej więcej.

– Niech każdy wpłaci dyche. To już dwieście pięćdziesiąt tysięcy, czyli połowa wszystkiego, co musielibyśmy zebrać. A nie sięgnęlibyśmy jeszcze do braci internetowej. Rewera jest teraz na topie, kibicują nam ludzie z całej Polski.

Nie mijał się z prawdą. Feniks powstający z popiołów był w świecie sportu szalenie magnetyczną figurą – a to, co robili piłkarze, od kiedy Ben dołączył do zespołu, przyciągało jeszcze silniej.

Kala przez moment się namyślała.

Pomysł właściwie miał szansę powodzenia, nie była jednak przekonana, czy przemawia przez nią zabójcza mieszanka piwa i wódki, czy racjonalność. Zasięgi rzeczywiście mieli dość dobre, doniesienia medialne od czasu wypadku autokaru śledzono dość skrupulatnie.

To mogłoby się udać.

– Pogadam z Hieną – postanowiła Kala.

– Dobry pla...

Gaudi urwał, kiedy uświadomił sobie, że to nie żaden plan, tylko oznajmienie faktu. Kalina ruszyła w kierunku niewielkiego domku, w którym przed momentem zniknęła Paulina.

Dziewczyna weszła do środka z nadzieją, że nie natknie się na Budczaka. Była to ostatnia osoba, z którą chciałaby rozmawiać.

Szczęśliwie nigdzie go nie było. Pechowo zaś, że Hejny także nie.

Dopiero po chwili rozległ się dźwięk spuszczonej wody, a Kala uświadomiła sobie, gdzie znikła dyrektor sportowa. Drzwi łazienki się otworzyły i wyszła z niej Paulina, poprawiając krótkie włosy.

– Wolne – oznajmiła, widząc stojącą na środku korytarza dziewczynę.

– Interes do załatwienia mam tutaj, nie tam.

Hejna zrobiła podejrzliwą minę, jakby uznała, że córka Krygiera najwyraźniej wypila o kilka drinków za wiele.

– Właściwie może być wszędzie – dodała szybko Kalina. – Grunt, żeby pani tam była.

– Słucham?

– Wiem, jak skołować fundusze na pokrycie strat w klubie. I to bez sprzedawania Bena.

Hejna rozejrzała się z wyraźną obawą, że ktoś im się przysłuchuje. W rzeczywistości najbliższa grupa ludzi znajdowała się jednak na zewnątrz i była pogrążona w rozmowie do tego stopnia, że nie było szans, by ktokolwiek coś usłyszał.

Kala szybko wyłożyła dyrektor sportowej cały plan. Ta jednak, zamiast odpowiedzieć, skinęła ręką w kierunku wyjścia.

Obydwie opuściły budynek, a potem odeszły kawałek od reszty. Nie była to reakcja, która marzyłaby się Kalinie. Coś ewidentnie było nie w porządku.

– To dobry plan – rzuciła Kala.

– Z twojego punktu widzenia.

– A z pani nie?

Zatrzymały się kawałek przed ogrodzeniem działki, z dala od innych.

– Mniejsza ze mną – odparła Paulina. – Problem polega na tym, że Rewera Opole to spółka akcyjna.

– Tak, wiem. Jak wszystkie inne drużyny w Ekstralidze.

– Nie wszystkie.

– Ale prawie.

Hejna pokiwała głową i zerknęła w kierunku najbliższej grupy gości. Poza Warskim próżno było już szukać kogokolwiek, kto byłby trzeźwy, a Kala miała wrażenie, że im więcej czasu upływa, tym bardziej Majewska klei się do Benhardta.

Może jednak działała siła autosugestii.

– I co z tego? – spytała Kalina.

– To, że zarząd musi dbać o dobro akcjonariuszy. A publiczne przyznanie, że nie wygrzebiemy się z problemów finansowych bez odpalania zrzutki, to niezbyt dobry PR. Powiedziałabym nawet, że tragiczny. Pokazalibyśmy, że...

– Że mamy najlepszych kibiców.

Paulina lekko się skrzywiła, jakby sama chciała rozpatrywać sprawę właśnie pod tym kątem, ale nie mogła sobie na to pozwolić.

– Gdybyśmy działali w innej formie prawnej, być może...

– Przecież to nie ma znaczenia – przerwał jej Kala. – Liczy się ostateczny efekt.

Dyrektor sportowa spojrzała w kierunku drewnianego stolika, przy którym siedział Witek razem z kilkoma osobami z szefostwa.

– Ten efekt będzie taki, że wartość akcji spadnie na łeb na szyję – powiedziała. – I właśnie z tego powodu nikt z zarządu nie klepnie twojego pomysłu.

– Zasadniczo to pomysł Gaudiego.

– Co absolutnie nic nie zmienia.

– Ale...

– I niestety jestem zmuszona jednoznacznie zabronić ci organizowania takiej zbiórki – przerwała jej Hejna. – Byłaby bowiem działaniem na szkodę akcjonariuszy, szczególnie wzięwszy pod uwagę, że możemy zyskać te środki bez narażania renomy finansowej klubu na szwank.

Kalina milczała.

– To tyle, jeśli chodzi o teorię – dodała dyrektor sportowa.

– A jeśli chodzi o praktykę?

Paulina wzruszyła niewinnie ramionami.

– Jeśli nigdy mi o tym nie powiedziałaś, nie mogłam ci w żaden sposób przeszkodzić.

Uśmiechnęła się lekko, Kala jednak potrzebowała chwili, by zrozumieć, co właśnie usłyszała. Zdecydowanie za dużo alkoholu krążyło w jej organizmie. I po prawdzie ojciec wspominał, że Hejna jest w porządku, ale nie spodziewała się po niej takiej deklaracji.

– Oficjalnie klub nie poprze żadnego crowdfundingu – dorzuciła.

– Ale jak już kasa się znajdzie, to jej nie odrzucą.

– Tego nie powiedziałam.

– Nie musiała pani – odparła Kala, odwzajemniając uśmiech.

Paulina klepnęła ją lekko w plecy, a potem się oddaliła. Wróciła do reszty kadry szkoleniowej, jakby nigdy nic.

Kala w pierwszej chwili chciała przyłączyć się do którejś z grup, w których trwały zaprawione alkoholem dyskusje, ostatecznie jednak nie ruszyła się nawet o krok. Stała w bezruchu ze wzrokiem wbitym w Benhardta, który właśnie lekko musnął dłoń Majewskiej.

Zrobił to nieprzypadkowo. I tak, by nikt tego nie dostrzegł.

Sylwia zaś zupełnie to zignorowała, choć niemożliwe było, by nie poczuła dotknięcia.

Wszystko to wyglądało dość jednoznacznie i sprawiło, że Kalina zyskała pewność, iż coś między tą dwójką iskrzy. W dodatku najwyraźniej nie była jedyna, bo kapitan zespołu, Radek Warski, popatrzył ze zdziwieniem najpierw na Adama, potem na Majewską.

Będą z tego problemy, uznała w duchu Kala.

A może przesadzała? Może wydawało jej się, że to dotknięcie było celowe? Przecież oboje mieli w czubie, a w takim stanie, gorączkowo dyskutując i gestykulując, nie zawsze odnotowuje się przypadkowy dotyk.

Zrobiła wszystko, by odsunąć od siebie te podejrzenia. Były bezpodstawne i bezsensowne. Wypiła za dużo i zbyt szybko, a w rezultacie dostrzegała rzeczy, których nie było.

Zrobiła pół kroku w kierunku paru piłkarzy rozmawiających najbliżej, zaraz potem jednak się zatrzymała. Z jakiegoś powodu czuła się dobrze tutaj, na uboczu. Całkowicie sama.

Powiedziała sobie w duchu, że na nią już czas.

Rano miała robotę do wykonania, jeśli chciała, by Benhardt pozostał w Opolu.

12

Ośrodek treningowy Rewery Opole, ul. Sosnkowskiego

Słońce już zachodziło, a Witek stał przy linii bocznej tuż obok córki, która kręciła to, co działo się na boisku. Odprawa zakończyła się wiele godzin temu – mimo to Gaudi, Oleo i Ben wciąż byli na terenie ośrodka.

Ćwiczyli karne i rzuty wolne, a oprócz tego grali z bramkarzem w rondo, jakby za cel postawili sobie, by podnieść te umiejętności Olejarczyka, które

normalnie musieli szkolić jedynie gracze w polu.

– Po co kazałeś im uczyć go kiwek? – odezwała się Kala.

Krygier na moment zapomniał, że córka stoi obok. Twierdziła, że wrzucenie krótkiej relacji z treningu po godzinach sprawi, iż ludzie na własne oczy przekonają się, jak ciężko trenuje się w Rewerze.

– Niczego im nie kazałem – odparł Witek.

– To co oni tu jeszcze robią?

– Ćwiczą.

Kalina posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, Krygier jednak miał lata wprawy w ignorowaniu podobnych reakcji byłej żony. Dostrzegł za to, że dziewczyna ma ciemne worki pod oczami, jakby nie zmrzyła oka.

Ewakuowała się z imprezy działkowej jako pierwsza. Zadzwoiła po matkę, a chwilę później znikła, zupełnie jakby coś się stało. Witek starał się dowiedzieć, czy tak w istocie nie było, córka zapewniła jednak, że wszystko jest w porządku.

Wtedy wydawało mu się, że mówi prawdę. Teraz jednak nie był tego taki pewien i pożałował, że jego zazwyczaj świetnie działający wykrywacz głównoprawd nieco szwankował od wypitego alkoholu.

– Na dobrą sprawę w ogóle miało dziś nie być treningu – dodał Krygier. – Tych trzech przyszło tutaj z Sandałem, Rebusem i Jeleniem i zaczęli ćwiczyć.

– A ty tak po prostu wpadłeś, żeby pokibicować?

– Mam tu inne rzeczy do załatwiania na co dzień, dzieciorze.

– Jasne – oburknęła Kala. – Wcale nie chodzi o to, że nie masz w domu nic lepszego do roboty.

Witek odkaslnął cicho, nie mając zamiaru przyznawać córce racji. Miała ją zresztą tylko połowicznie, bo musiał rozplanować taktykę na następne spotkanie i pogłowić się nad składem.

– A ciebie co tu przywiało? – spytał.

– To – odparła, wskazując trzech trenujących piłkarzy. – I po co męczą Pawła rondem?

– Bo musi się podszkolić.

– W dryblowaniu? Bramkarz?

– Tak.

– Z jakiej racji?

– Johana Cruyffa albo Pepa Guardioli, wybierz sobie.

Kalina zerknęła na niego pytająco, a potem zaczęła sprawdzać statystyki ostatniej relacji na Instagramie.

– W modelu barcelońskim bramkarz musi uczestniczyć w wyprowadzaniu piłki z własnej połowy boiska – ciągnął Witek. – A więc musi też umieć kiwnąć napastnika drużyny przeciwnej, zanim poda do...

– Modelem barcelońskim, o którym mówisz, nie gra już nawet sama Barcelona.

– Gra.

– Tak? To musiałam przegapić ostatnie lata.

Krygier zbył tę uwagę milczeniem. Koncepcja futbolu totalnego zawsze do niego przemawiała – wydawało mu się, że to jedyny sposób gry, który oddaje prawdziwego ducha piłki nożnej.

Każdy zawodnik powinien móc wystąpić w komfortowy sposób na innej pozycji, choćby przez chwilę. Każdy był zaangażowany w grę. Nie mogło być tak, że tylko co bardziej ofensywni gracze konstruują atak. Przeciwnie, włączeni do niego musieli być wszyscy, od bramkarza poczynając.

Wynik się nie liczył, wygrana się nie liczyła. Istotne było tylko to, jak grali zawodnicy. Jeśli dobrze, rezultat przychodził automatycznie. Nie mógł jednak stanowić celu samego w sobie.

– Witold! – rozległo się nagle wołanie zza pleców Krygiera.

Wraz z córką obrócili się w kierunku budynku. Tuż przy nim stał Sylwester Budczak, sprawiając wrażenie, jakby za moment miał zakasać rękawy i rzucić się na kogoś z pięściami.

– Do mnie! – ryknął.

Witek podrapał się po karku, nie spiesząc do tego, by wykonać niespodziewane polecenie prezesa klubu. Właściwie był to pierwszy raz, kiedy sformułował jakieś w tak kategoriyczny i obcesowy sposób.

– Chyba chce mnie wyjechać – mruknął trener.

Kała lekko drgnęła.

– Chyba nie – powiedziała.

– Hm?

– A przynajmniej domyślam się, że nie o to chodzi.

– O czym ty mówisz?

– Zaraz się przekonasz – odparła ostrożnym tonem.

Ruszyła w kierunku prezesa klubu razem z ojcem, a Budczak zdawał się przed tym nie oponować. Przeciwnie, sprawiał wrażenie, jakby się tego spodziewał.

– Dzień dob... – zaczął Witek.

– Do mojego biura – uciął szef.

– A mógłbyś mnie oświecić, co konkretnie...

Zanim Krygier zdążył dokończyć myśl, Sylwester już wchodził do środka. Najwyraźniej sprawa z jakiegoś powodu okazała się zbyt ważka, by rozmawiać o niej na oczach kilku piłkarzy.

Po chwili Witek wraz z córką znaleźli się w najbardziej reprezentacyjnym gabinecie w całym ośrodku treningowym. Budczak przysiadł na blacie mahoniowego biurka, po czym skrzyżował ręce na piersi. Nie zaproponował nawet, by goście usiedli.

– Wiesz, co odpiardoliła twoja córka?

Krygier zerknął na Kalę.

– Nie – odparł. – Ale jeszcze raz określisz cokolwiek, co jej dotyczy, w taki sposób, a nie będzie miało dla mnie znaczenia, że jesteś moim szefem.

Sylwester zacisnął ręce jeszcze mocniej.

– Zaczęła dziś zbiórkę funduszy na pokrycie długów klubu – powiedział.

– Co?

– To, co, kurwa, powiedziałem – syknął prezes. – Bez konsultacji z kimkolwiek założyła zrzutkę, ustawiając cel na pięćset tysięcy, dorzucając do tego nagrania z treningów, krótkie wypowiedzi piłkarzy i inne takie rzeczy.

Witek głośno przełknął ślinę, niespecjalnie wiedząc, jak podejść do rozbrojenia miny, na którą właśnie z Kaliną nadepnęli. Jedno było pewne – należało bronić córki za wszelką cenę.

– Właściwie to nie najgorszy pomysł – odezwał się.

– W chuja sobie lecisz?

– Może uda się zebrać fundusze, a my nie będziemy musieli sprzedawać...

– Transfer jest już dogadany z Varsovią.

– Dogadany, ale nie podpisany – odezwała się nagle Kalina.

Obaj mężczyźni zogniskowali na niej spojrzenia, które nie mogłyby różnić się od siebie bardziej.

– Niech pan się zastanowi – dodała. – Benhardta tak czy inaczej sprzedacie, to nigdy nie ulegało żadnej wątpliwości. Jest za dobry, by długo tutaj grać, i jego odejście jest tylko kwestią czasu.

Prezes chciał coś odpowiedzieć, Kala jednak nie miała zamiaru mu na to pozwolić.

– Przypuszczam, że przeniesie się do którejś z europejskich lig, być może angielskiej, bo tam chciałby wylądować, albo hiszpańskiej, bo stylem gry pasuje tam jak ulał – kontynuowała. – Wie pan, jaka to będzie różnica w transferze? To, co w tej chwili proponuje Varsovia, to jałmużna. Zdają sobie sprawę, że

jesteśmy pod ścianą i to oni mogą dyktować warunki. Ale jak tylko sytuacja się zmieni, zgłosi się do nas...

– Nie ma żadnych „nas” – uciął w końcu Budczak. – Klubem kieruję ja. I dopóki tak jest, nie będzie żadnych internetowych zrzutek na jego finanse.

– Tyle że już uzbieraliśmy całkiem sporo pieniędzy.

Kala wyciągnęła telefon, a potem włączyła statystyki. Wyciągnęła komórkę w kierunku prezesa, uznając, że to chwila prawdy. Jeśli się zainteresuje, jeśli weźmie smartfona, pojawi się iskierka nadziei.

Nie mógł się oprzeć.

I ledwo zerknął na kwotę, uniósł lekko brwi.

– Tyle udało się zebrać od rana?

– Zgadza się – odparła Kalina.

– I całość ma trafić do klubu?

– Tak jest.

Wiedziała, że fakty przemówią same za siebie. Wprawdzie do zebrania mieli jeszcze całe mnóstwo, ale tempo, w jakim przybywało środków, mówiło samo za siebie.

– Ludzie chcą wspierać Rewerę Opole – oznajmiła. – Śledzili nasze losy od czasu wypadku autobusu i przypuszczam, że już wtedy byliby gotowi nas wesprzeć.

Budczak milczał, patrząc na wyświetlacz.

– Teraz mamy jeszcze więcej zwolenników z całej Polski, ale nie tylko. Przychodzą wpłaty też z zagranicy – dodała Kalina. – Futbol to język uniwersalny, w każdym kraju jest taki sam. Usuwa bariery, a my właśnie to odczuwamy na własnej skórze. Niech pan sobie zerknie, ile Ben ma obserwujących w mediach społecznościowych, a zrozumie pan, że...

– Mało mnie to obchodzi.

– A może powinno – odparła Kala. – Bo ten gwałtowny przyrost pokazuje, jak bardzo ludzie kibicują chłopakowi z niezamożnej rodziny, który nagle dostał szansę, by znaleźć się na szczycie.

Dziewczyna zbliżyła się nieco do prezesa, a potem odebrała od niego swój telefon.

– To zbyt cenny kapitał, by się pan go teraz pozbywał – oznajmiła. – Proszę dać tej inwestycji swoje odleżeć, a przyniesie panu więcej, niż kiedykolwiek się pan spodziewał.

Liczyła na jakąś odpowiedź, Sylwester jednak zamilkł. Marszczył przy tym czoło, więc istniał przynajmniej cień szansy, że rozważy jej słowa.

– Proszę mi powiedzieć, odzywali się jacyś agenci z zagranicy? – spytała. – Ktoś dzwonił z innych krajów? Interesował się Benem?

Budczak wciąż nie odpowiadał, ale właściwie nie musiał. Tym razem jego twarz mówiła za niego.

– Oczywiście, że tak – ciągnęła Kalina. – Bo kiedy tylko gdzieś pojawia się jakiś talent, wieści podróżują szybko. Jestem stuprocentowo pewna, że te jego przewrotki i inne rzeczy mają już setki tysięcy odtworzeń na YouTube. I że czołowi trenerzy w Europie także je oglądali.

Kiedy Kala przestawała mówić, w pomieszczeniu zalegała cisza. Była niewygodna, więc dziewczyna starała się jak najszybciej ją przerywać. Teraz nie wiedziała jednak, co więcej dodać.

– Byli tu skauci – odezwał się w końcu Sylwester.

– Skąd?

– Z Lizbony, Monachium i Barcelony.

Wzmianka o klubie z tego ostatniego miasta sprawiła, że nieprzyjemne ciarki przemknęły po plecach Kali. Czy delegacja z Katalonii знаła historię Bena? Czy udało im się ustalić, że był synem ich niegdysiejszej gwiazdy? Że płynie w nim krew El Diablo de Polonia?

– Złożyli jakieś oferty? – odezwał się Witek.

– Nie. Nic oficjalnego.

– Ale?

– Ale rozmawialiśmy z nimi. W dłuższej perspektywie są zainteresowani.

Było coś jeszcze, Budczak bowiem znów zawiesił głos, jakby oczekiwał, że ktoś pociągnie go za język. Krygier drugi raz tego nie zrobił. Być może słusznie.

– Ten z Barcelony tak się emocjonował, że był gotów zabrać Benhardta do siebie jeszcze dziś – dodał po chwili Sylwester i westchnął. – Problem w tym, że musiałby przekonać swoje szefostwo, a o to nie byłoby łatwo. Z zasady wolą poczekać, aż piłkarz rozwinie się w swoim środowisku, nim go kupią.

A więc trochę kazus Messiego, skwitowała w duchu Kalina. Odkrył go niegdyś Carles Rexach podczas pobytu w Argentynie – usłyszał, że chłopak jest nie z tego świata, poszedł go zobaczyć i sam się o tym przekonał. Wiedział, że młody urodził się właśnie po to, by grać w piłkę.

Szefostwo jednak chciało czekać, Barcelona nie złożyła żadnej oferty, co rozwścieczyło ojca zawodnika i sprawiło, że nie miał zamiaru wysyłać dziecka do Katalonii. W dość desperackim ruchu Rexach w końcu złożył pisemną deklarację w imieniu klubu – i zrobił to na serwetce w knajpie.

Potem udało mu się przekonać szefostwo, że nie należy czekać.

Być może temu skautowi również by się to udało. Budczak musiał brać to pod uwagę.

– Opłaca się poczekać – rzuciła Kala. – Pamięta pan walkę Charly’ego o Messiego?

– Oczywiście.

– Więc niewykluczone, że tu też tak będzie.

Nie odezwał się, ale teraz stało się jasne, że po prostu nie chce przyznawać jej racji.

– W takim wypadku Rewera Opole dostałaby za Bena tyle pieniędzy, że właściwie moglibyśmy wybudować sobie nowy stadion.

– Bez przesady.

– Fakt, lekka przesada. Ale tylko lekka – przyznała Kala. – W dodatku jeśli doszłoby do przyszłych transferów, z pewnością zagwarantowaliby sobie państwo jakiś procent dla macierzystego klubu. To kolejne, być może duże wpływy. Znicz Pruszków nawet za ostatni transfer Lewandowskiego dostał...

– Ponad dwa miliony złotych, tak, wiem – przerwał jej prezes. – Ale to nic nie zmienia.

– Chyba jednak zmienia.

– Nie – uparł się Budczak.

Kala rozłożyła lekko ręce.

– Upiecze pan kilka pieczeni przy jednym ogniu – odparła. – Z jednej strony sfinansujemy ten wyłom w budżecie i sprawimy, że zespół nie straci przy tym najlepszego gracza, z drugiej będzie miał pan w perspektywie sprzedanie go za astronomiczną kwotę. Im więcej meczów w pomarańczowo-białej koszulce rozegra, tym bardziej jego wartość będzie rosła. Musi pan mieć tego świadomość.

Sylwester w końcu rozluźnił ręce i wsunął dłonie do kieszeni spodni. Znów się namyślał, a Kala miała nieodparte wrażenie, że nie rozważa meritum sprawy. Wyglądał, jakby starał się przesądzić, czy jest gotów dać dziewczynie satysfakcję.

– Mam tego świadomość – przyznał wreszcie.

– W takim razie...

– Tyle że Benhardt otrzymał już propozycję kontraktu z Warszawy. Dostanie tam milion dwieście za rok.

Przez moment nikt nie odpowiadał.

– Tutaj takich pieniędzy nie zarobi – dodał prezes. – Więc cała ta nasza rozmowa w gruncie rzeczy jest o kant dupy rozbić.

– Może go pan zatrzymać.

– Mogłem – skorygował Sylwester. – Kiedy na stole nie było ponad miliona złotych. Teraz? Nie mam już narzędzi.

– Mimo wszystko to pan podejmuje decyzję o transferze.

Budczak cicho westchnął, a potem zerknął na komórkę, którą trzymała w dłoni Kalina. Zupełnie jakby był to jakiś magiczny atrybut, który w trakcie jednego dnia wszystko zmienił.

Obawiała się, że będzie musiała wysłuchać długiej tyrady na temat tego, jak zaszkodziła długofalowym interesom akcjonariuszy, szczęśliwie jednak tempo zbiórki zdawało się niemal automatycznie przekonać Sylwestra.

– Jeśli piłkarz chce odejść, znajdzie sposób – powiedział. – Jeśli klub chce się go pozbyć, również. Na dłuższą metę niewiele w piłce nożnej dzieje się wbrew woli stron.

Witek i jego córka znów zachowali komentarz dla siebie.

– W dodatku tutaj mamy dość jasną sytuację – dodał Budczak. – Sami chcieliśmy go sprzedać. Zrobiliśmy wszystko, żeby go wypchnąć.

– Ale nie wypchnęliście, więc...

– Bo do pewnego momentu zapierał się rękami i nogami – uciął prezes. – Trudno jednak oczekiwać, że po tym będzie zamierzał zostać. A my już dogadaliśmy się z Varsovią, sama rozumiesz... Nie możemy się wycofać. Jedynym sposobem, dzięki któremu ten transfer nie doszedłby do skutku, byłoby niedopięcie kontraktu przez samego zawodnika.

Kala oparła się o drzwi i uniosła wzrok. Znała Bena na tyle, by wiedzieć, że pryncypia nie miały tu nic do rzeczy. Jedynym, co sprawiało, że był gotów wziąć tę kilkakrotnie większą kasę, była świadomość, jak bardzo pomógłby dziadkom i klubowi. Jeśli ten drugi element zniknie, wciąż pozostanie pierwszy.

Trudno będzie mu przejść obok tego obojętnie.

– W tej chwili nie ma sensu gdybać – podjął Budczak. – Zbiórka ma raptem kilkadziesiąt tysięcy, potrzebujemy kilkuset. Bez tego nie ma mowy o jakimkolwiek odrzuceniu oferty Varsovii.

Miał rację.

Na tym etapie wszystkie rozważania były całkowicie płonne, bo na dobrą sprawę nie wiedzieli nawet, czy uda się uzbierać odpowiednią kwotę.

– Kiedy zamierza pan finalizować transfer? – odezwała się Kala.

– Jak najszybciej.

– Przecież okienko transferowe nie otwiera się jeszcze przez...

– Rozmawialiśmy z władzami ligi – uciął Sylwester. – W tych okolicznościach korzystamy z dyspensy, czegoś na kształt emergency signings, których Hiszpanie zakazali dwa lata temu, Brytyjczycy w sezonie dwa tysiące szesnaście na siedemnaście, a...

– Proszę się więc wstrzymać.

Budczak popatrzył na nią jak na wariatkę.

– Potrzebujemy czasu, by zebrać tę kwotę – dodała.

– Nie macie go.

– To niech pan postara się ugrać chociaż...

– Jesteśmy na etapie finalizowania papierologii – uciął Sylwester. – Radzę ci więc się pospieszyć.

– Ale...

– Po prostu to zrób.

Kalina zacisnęła usta, starając się powstrzymać narastającą w niej złość.

– Niedawno w mediach mówili, że mecz z Juventą Katowice będzie ostatnim, w którym gra Benhardt – zauważyła. – Ile w tym prawdy?

– Trochę.

– A konkretniej? – uparła się.

Budczak cicho westchnął. Potem znów zerknął na jej komórkę.

– Tak miało być – przyznał. – Ale jestem w stanie chwilę przeciągnąć.

Nie był gotów dać jej deadline’u, ale dla Kaliny taka deklaracja właściwie była wystarczająca. Niemal natychmiast zaczęła robić wszystko, by o sprawie zrobiło się jeszcze głośniejsze.

Publikowała materiały z treningów, żarty robione sobie przez piłkarzy i docinki w sali do fitnessu i odnowy. Wyglądali coraz bardziej jak prawdziwy kolektyw, nie tylko sportowy.

Sylwia Majewska pilnowała ich wagi, stosunku tkanki tłuszczowej do mięśni, wydolności i kondycji. Co rano każdy z piłkarzy był ważony, potem zaczynały się mordercze treningi.

Rondo grali do znudzenia, choć nie mniejszą wagę Krygier przykładął do sprintu w wyznaczonych trasach po boisku i ćwiczeń siłowych. Każdy dawał z siebie wszystko i nietrudno było odczuć, że po ostatnim zwycięstwie z Juventą naprawdę uwierzyli w siebie.

Raz czy dwa Kala wrzuciła stories z piłkarzami wymiotującymi ze zmęczenia. Komentarze były skrajne, ale nikt nie mógł odmówić zawodnikom Rewery Opole działania na najwyższych obrotach.

Kolejne spotkanie rozgrywali z Gwardią Poznań na ich stadionie. Ben wyszedł w pierwszym składzie, co sprawiło, że pojawiły się pogłoski, iż Rewera otrzymała lepszą ofertę transferu i wstrzymała się ze sfinalizowaniem tej z Warszawy.

Spotkanie zakończyło się wynikiem 3:1 dla opolan. Bramki strzelili Szpeja, Benhardt i Jeleniewski. Oleo wspiął się na wyżyny i został uhonorowany tytułem zawodnika meczu. Podobnie jak większość kolegów, z racji wieku nie dostał jednak od trenera sześciopaku piwa.

Była to dwudziesta piąta kolejka Ekstraligi. Rewera awansowała na ósme miejsce w tabeli – i jeśli udałoby jej się wygrać wszystkie pięć meczów, które pozostały do końca sezonu, miała szansę znaleźć się w strefie kwalifikacyjnej do europejskich pucharów.

Kala zauważyła, że po wygranej liczba wpłat w szybkim tempie wzrosła. Media interesowały się zbiórką coraz bardziej – i stało się jasne, że jej głównym celem jest zatrzymanie Adama w zespole.

Ten nie komentował sprawy, co wprawiało Kalę w pewien niepokój. Dotychczas nie miał problemów z przedstawianiem dziennikarzom rzeczy, które najpewniej powinien pozostawić dla siebie.

Mogło to oznaczać tylko jedno. Przedłożył dobrobyt dziadków ponad swoje plany i postanowił nie mówić o tym publicznie.

Mimo to zdziwiło ją, kiedy okazało się, że kilka dni po meczu w Poznaniu Benhardt nie stawił się na odprawie przed kolejnym spotkaniem. W dwudziestej szóstej kolejce Rewera grała na wyjeździe ze Zrywem Częstochowa, radzącym sobie w ostatnich spotkaniach nad wyraz dobrze i odnotowującym same zwycięstwa.

– Gdzie Ben? – spytała ojca.

– W Warszawie.

– Co? – jęknęła.

Tak po prostu? Bez żadnego uprzedzenia, nawet bez pożegnania? Nie, wydawało się to niemożliwe. Zbiórka szła coraz lepiej, wyglądało na to, że za jakiś czas dobiją do granicy trzystu tysięcy złotych.

To wciąż niewystarczająca kwota, ale uzbieranie jej pokazywało potencjał.

Być może jednak czas się skończył. Budczak ugrał tyle, ile był w stanie, ale władze Varsovii miały świadomość, że całe to przeciąganie świadczy o czekaniu na lepszą ofertę. Musieli postawić ultimatum – albo Rewera zaakceptuje warunki, albo się wycofuje.

– Ale...

Nie dokończyła zdania. Nie potrafiła.

– Przykro mi, młokosie – powiedział Witek, a potem przyciągnął ją do siebie.

13

Śródmieście, Warszawa

Benhardt stał przed dużym, oszklonym budynkiem, czekając na transport. Został mu zapewniony, a on miał jedynie stawić się tutaj o określonej porze. Był nieco wcześniej, bo zbudził się o szóstej rano w hotelowym łóżku i nie mógł już zmrużyć oka.

Rzadko wyjeżdżał z Suchego Boru na długo, właściwie już nie pamiętał, kiedy ostatnio spał gdzieś dalej niż u kumpla czy znajomej na imprezie. W takich momentach jednak był w tłumie. Tu przyjechał praktycznie sam, bo towarzystwo Juliana Foryca ograniczało się wyłącznie do samej podróży, w dodatku agent był nieustannie zajęty.

Ledwo zaś dotarli do stolicy, Julian zajął się swoimi sprawami, pędząc od jednego spotkania do drugiego. Ben pochodził wokół Pałacu Kultury, wszedł na moment do Złotych Tarasów, a potem wrócił do hotelu i oglądał ostatni meczu Zrywu Częstochowa.

Mało kto wiedział, gdzie jest i co zamierza zrobić. Dziś rano jednak wszyscy zainteresowani się o tym dowiedzą.

Rzucił okiem na zegarek i stwierdził, że ma jeszcze dwadzieścia minut do przyjazdu transportu. Nie było sensu tu kwitnąć. Rozejrzał się, a potem wszedł do najbliższej kawiarni na kawę i ciastko.

Kiedy stał przy ladzie, podeszła do niego młoda dziewczyna i uśmiechnęła się poprawnie.

– Do dwunastej mamy menu śniadaniowe – oznajmiła. – Słodki wypiek plus kawa.

– Jasne...

Nadal wodził wzrokiem po swoich możliwościach. Tuż obok stał jakiś ubrany w garnitur facet, który złożył zamówienie bez patrzenia na menu. Potem zerknął przelotnie na Bena.

– Bagietka z wędzonym tofu – odezwał się.

– Słucham? – spytał Adam.

– Najlepsze, co tu mają.

– Mhm.

– Ewentualnie jogurt z purée z mango, kokosem i nasionami chia – dodał gość w garniturze.

– Mnie chyba bliżej do tego drugiego.

– To powinienesz jeszcze rzucić okiem na ciastko wegańskie z ziarnami i owocami. Nie ma go w zestawie, ale jest całkiem niezłe.

Ben otaksował biznesmena wzrokiem i uniósł brwi.

– Nie wygląda pan na konesera tutejszej kuchni – ocenił.

– Pozory są od tego, żeby mylić.

– No tak.

Rozmowa tym samym wydawała się zakończona, ale facet skinął głową, a potem lekko zmrużył oczy, jakby jakaś zapadka w jego umyśle nagle znalazła się we właściwym miejscu. Przeciągnął dłonią po krawacie.

– Grasz w Rewerze, nie? – spytał.

Ben się rozejrzył. Nie miał na sobie żadnego klubowego stroju, choć fakt faktem, przyjechał tutaj w rozpinanej pomarańczowej bluzie z logo zespołu. Zostawił ją jednak w hotelu.

– Zgadza się – odparł.

– Robicie dobrą robotę.

– Dziękuję.

Rozmówca wziął dwa kubki z kawą i jeszcze raz na niego zerknął.

– Inspirujecie swoją postawą sporo ludzi – dodał. – Co zresztą widać po tej zbiorce. Sami z żoną trochę dorzuciliśmy.

– Tym bardziej dzięki – odparł Benhardt, nie bardzo wiedząc, jak kontynuować tę konwersację.

Chyba przyzwyczyił się już do tego, że w swoim mieście jest rozpoznawany przez kibiców. Teraz jednak po raz pierwszy przypadkowy facet w przypadkowej kawiarni kilkaset kilometrów dalej ot tak zwrócił na niego uwagę.

Skinął mu głową, a potem oddalił się do stolika.

Adam ostatecznie zdecydował się na duże latte i to wegańskie ciastko, choć nie był do końca przekonany, czy dobrze robi. Powiódł wzrokiem po kawiarni i szybko pomiarkował, że jedyny wolny stolik jest obok gościa, z którym przed momentem rozmawiał. Siedział przy nim z jakąś kobietą, też w biznesowym stroju.

Ben nie chciał wdawać się w dalszą niewygodną konwersację, szczęśliwie jednak facet siedział do niego tyłem i nie dostrzegł, kiedy piłkarz zajmował

miejsce.

Benhardt zaczął powoli pić kawę, raz po raz sprawdzając zegarek. Rozmowa dwójki ludzi za jego plecami wydawała się cokolwiek osobliwa.

– A dyć w corno izbie ci godałam, żeś jest jurny juhas i...

– Chyłka, proszę cię.

– O co znowu?

– Nie rób mi tego.

– Czego? – rzuciła ostro kobieta, jakby wyzywała tamtego na pojedynek. – Przygotowuję się do wyjazdu. Muszę wiedzieć, jak komunikować się z lokalsami.

Mężczyzna westchnął.

– Nie sap – zestrofowała go. – Chciałeś mieć lekkie życie, trzeba było się związać z kimś na swoim poziomie.

– Mhm.

– Wiedziałeś, że równanie w górę będzie wymagało codziennego wysiłku.

Ben przysłuchiwał się jeszcze przez chwilę, starając się nie obracać w głowie tego, co planował za jakiś czas powiedzieć w zupełnie innych okolicznościach. Nie chciał, by brzmiało to jak wystudiowany tekst, miał zamiar wypaść naturalnie.

Wypił kawę i zjadł ciastko, po czym opuścił Costa Coffe i znów stanął przed przeszklonym biurowcem. Transport zjawił się chwilę później, a w taksówce siedział już Foryc.

Powitał Adama wystudiowanym uśmiechem, w którym jednak zawsze dało się dostrzec cień naturalności.

– I jak? – spytał.

– Dobrze.

– Poziom stresu znośny?

– Stres to ja mam, jak muszę strzelać karnego w dziewięćdziesiątej minucie meczu – odparł Benhardt. – Tutaj w sumie nie mogę niczego spieprzyć.

Julian klepnął go w plecy.

– W sumie nie – przyznał. – Po prostu bądź sobą.

– Taki mam zamiar.

Mimo że był wczesny poranek, ruch na ulicach okazał się wzmożony. Ben przypatrywał się mijanym na chodnikach ludziom, tym tłoczącym się w tramwajach i czekającym na autobusy. Wszyscy zdawali się prowadzić normalne, prawdziwe życie – on miał wrażenie, jakby ktoś przeniósł go w surrealistyczny sen.

Zatrzymali się pod dużym budynkiem opatrzonym dobrze znanymi logotypami. Przed nim powiewały flagi, a na przestronnym parkingu stały samochody, za które niejeden by zabił.

Miła dziewczyna powitała ich w recepcji, a potem poprowadziła na piętro. Byli sporo przed czasem, więc posadzono Bena w jakimś niewielkim pokoju z telewizorem, na którym mógł przekonać się, jakie tematy pojawiają się w dzisiejszym wydaniu śniadaniówki na antenie NSI.

Trochę kulinariów, jakaś wizyta u piekarza, który upichcił najdziwniej wyglądający chleb, mniej więcej standard.

Program nazywał się Na dobry początek dnia i Benhardt miał w nim wystąpić za mniej więcej piętnaście minut.

Rozległo się pukanie do drzwi, po czym do środka wszedł Foryc z ciuchami na wieszaku.

– Wszystko nówki i wyprasowane, zgodnie z planem – oznajmił, unosząc w jednej ręce bluzę Rewery Opole, a w drugiej koszulkę zespołu.

– Aha.

– To co wolisz?

– Bo ja wiem? – odparł Ben, drapiąc się po karku.

– Może bluza. Będzie bardziej na luzie, poza tym przyłożenie w trykocie do telewizji jakoś mi się nie spina.

Adam wzruszył ramionami, bo właściwie było mu to obojętne. Narzucił na siebie taką samą bluzę, jaką zostawił w hotelu, tyle że bez śladów prania. Jego agent przypatrywał mu się, jakby wysyłał go na jakiś modowy wybieg. Poprawił stawiany kołnier, szukał odpowiedniego miejsca dla zamka, potem przegladził jeszcze materiał na ramionach.

– Co robisz? – spytał Ben.

– Dbam o twój wizerunek.

– To może przestań.

Foryc uniósł ręce w obronnym geście. Nadal jednak patrzył na swojego podopiecznego, jakby starał się coś ustalić.

– Mam na myśli też to gapienie się – dodał Adam.

– Tylko sprawdzam.

– Co?

– To, czy przed momentem serwowałeś mi farmazony w taksie, czy nie.

Benhardt zmarszczył czoło.

– Naprawdę nie zjada cię stres? – dorzucił Julian.

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo to, co teraz mam zrobić, to nie moja działka. Nie przygotowywałem się do tego, nie trenowałem, nie poświęciłem temu lwiej części mojego życia. Nie muszę więc niczego od siebie wymagać.

Oczy Foryca lekko się rozszerzyły, jakby nie spodziewał się tak sensownych wyjaśnień od tak młodej osoby.

– Sam na to wpadłeś? – zapytał.

– Żartujesz? To mądrości mojej babci.

Agent zaśmiał się cicho i ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Ma kobieta rację – ocenił.

– Prawie zawsze – przyznał Ben. – Ale nie mów jej, że tak powiedziałem.

– Twoja tajemnica jest bezpieczna, chłopie.

Fakt faktem, kiedy dostał tę propozycję od NSI, w pierwszym momencie miał zamiar ją odrzucić. Wydawało się to zupełnie niepotrzebnym ładowaniem się w dość niekomfortową i stresującą sytuację.

Babcia była jednak innego zdania. Podkreślała, ile dzięki temu mogą osiągnąć, a potem zaczęła tłumaczyć mu, że nie ma się czym przejmować, bo to trochę tak, jakby umieścić na boisku osobę, która nigdy nie kopnęła piłki. Nie wymagałaby przecież od siebie dryblingu, przewrotki czy szczupaka. Nie miałyby ku temu żadnych logicznych podstaw.

Tak samo on nie mógł spodziewać się, że zabłyśnie w telewizji. Nie był od tego. Poza boiskiem wszystko miało znaczenie drugorzędne.

Kiedy na dobre to zrozumiał, cała presja znikła. Mógł przed kamerą zrobić wszystko, bo nie miało to na niego żadnego wpływu.

Szedł do charakteryzatorni, obracając w głowie słowa babci. Sądził, że będzie miał na to porządną chwilę, makijażystka jednak skończyła po niecałych dwóch minutach.

– Już? – spytał.

– A coś ci jeszcze potrzeba?

Zerknął na siebie i już teraz prawie się nie poznał. Cienie pod oczami zniknęły, wszystkie niedoskonałości na twarzy też. Miał nieco przyprószony pudrem rzęsy, poza tym jego odbicie w lustrze przywodziło na myśl maskę.

– Nie. Chyba starczy – odparł. – I tak wyglądam, jakbym został zakonserwowany na dziesięć lat.

Kobieta lekko się uśmiechnęła.

– To chyba dobrze? – spytała. – W waszym fachu każdy chce zostać w twoim wieku. A upływ lat dla piłkarza jest chyba gorszy niż dla modelek.

Miała trochę racji. Nawet dwudziestoparolatki dużo o tym mówili, jakby było to widmo najgorszej rzeczy, jaka może ich spotkać. Planowali już emeryturę, pracowali nad planami finansowymi, które miały zabezpieczyć ich na przyszłość, i tak dalej. Tuż przed trzydziestką musieli już kombinować, by dostawać jak najdłuższe kontrakty. Tak na wszelki wypadek.

– Może – przyznał Benhardt. – Ale nie można przejmować się starzeniem. To przywilej, który nie każdego spotyka.

Znów słowa babci. Prawie zawsze miała rację.

Po chwili Ben usiadł na kanapie naprzeciwko prowadzących, a jeden z techników oznajmił, że mają pięć minut do wejścia.

Dwójka dziennikarzy uśmiechnęła się do Adama.

– Dostałeś pytania? – spytała kobieta.

– Tak, ale nie czytałem.

Oboje sądzili, że to jakiś przyczynek do żartu, ale kiedy zorientowali się, że Ben nie doda nic więcej, zrozumieli, że mówi poważnie.

– Nie przyszedłem tu na konkurs recytatorski – oznajmił. – Tylko na normalną rozmowę.

Zdawali się zadowoleni, ale nie odpowiedzieli, bo ktoś najwyraźniej informował ich o czymś przez słuchawki w uchu.

Chwilę później kamerzysta zaczął odliczać głośno czas. Kiedy dotarł do pięciu, robił to już bezgłośnie, pokazując jedynie na dłoni.

Potem weszli na żywo na antenę.

– A teraz czas na nową nadzieję polskiej piłki – odezwała się kobieta.

– Następcę Lewandowskiego, jak mówią niektórzy – dorzucił prowadzący.

– I cudowne dziecko polskiego futbolu.

– Proszę państwa, z nami Adam Benhardt, napastnik Rewery Opole. Dzień dobry, Adamie.

Ben przywitał się i rozsiadł wygodniej. Szybko pożałował, że nie włożył trykotu zamiast klubowej bluzy, bo grzała trochę nadto, a w samym studiu chyba oszczędzano na klimatyzacji.

– Powiedz nam – podjęła dziennikarka. – Jak to jest być uznawanym za najbardziej obiecującego piłkarza?

– W sumie to niczego nikomu nie obiecywałem.

Uśmiechnęli się i pokiwali zachęcająco głowami, jakby chcieli go przymusić, by powiedział coś więcej. Adam uznał jednak, że to wyczerpuje temat. Od początku nie miał zamiaru się rozgadywać.

Był tu tylko w jednym celu.

– To prawda – przyznał z uśmiechem akwizytora prowadzący. – Zresztą nie nad tym chyba najbardziej się wszyscy zastanawiamy.

– A nad czym? – podsunęła mu koleżanka.

– Nad tym, czy te wszystkie pogłoski o twoim transferze są prawdziwe.

– Faktycznie – odparła kobieta, starając się imitować ton komentatora sportowego. – Spotykamy się dziś w Warszawie, a ty podobno planujesz przenosiny na stałe?

Benhardt nabrał głęboko tchu, a potem spojrzał prosto w kamerę. Stojący za nią mężczyzna drgnął nerwowo, jakby było to ostatnie, co gość powinien zrobić.

– Nie planuję żadnych przenosin – zadeklarował Ben. – Zostaję z moim klubem, choćby nie wiem ile pieniędzy wykładano na stół. To już nie jest drużyna, ale rodzina. A rodziny nie opuszcza się, nawet kiedy ktoś proponuje ci za to mnóstwo kasy.

Dziennikarze wymienili się krótkimi spojrzeniami.

– A czy oferta... – zaczął mężczyzna.

– Wpłynęła – uciął Adam. – Była dość szczodra i pozwalała klubowi na pokrycie dziury w budżecie, która powstała po tragicznych zdarzeniach z połowy sezonu.

Na moment urwał, a dwójka prowadzących pokiwała głowami z nagłą powagą.

– Od początku nigdzie się nie wybierałem – kontynuował Ben. – Problem w tym, że szefostwo jako priorytet musi stawiać ustrzeżenie klubu przed bankructwem. A ono niestety mu w tej chwili grozi.

Miał świadomość, że takie słowa w ogólnokrajowej telewizji, w dodatku w porannym prime timie, nie wpłyną korzystnie na nastroje akcjonariuszy. Gdyby miał się jednak nimi przejmować, nie przyjąłby tego zaproszenia.

Był to także powód, dla którego utrzymał je w całkowitej tajemnicy. Wiedzieli tylko dziadkowie i Foryc.

– Chcesz powiedzieć, że bez twojego transferu Rewera Opole upadnie? – spytała prowadząca.

– Tak.

Przez dwie sekundy czekali, aż rozwinie. W programie na żywo to mniej więcej tyle, co wieczność.

Benhardt oparł się o kolana i lekko nachylił w kierunku rozmówców.

– A przynajmniej tak było aż do teraz – podjął. – Bo uruchomiliśmy zbiórkę, która ma sprawić, że klub nie będzie musiał pozbywać się ani jednego piłkarza. Liczymy na to, że zarówno nasi wierni kibice, jak i ci, którzy dopiero teraz

dołączają do naszej rodziny, wesprą nas choćby niewielką kwotą. Nie trzeba sięgać głęboko do kieszeni, bo tym, co się liczy najbardziej, jest liczba osób dobrej woli.

Szybko powiedział, jak szukać zbiórki, gdzie znajdują się linki i tak dalej.

– A jeśli nie uda się zebrać tych środków? – spytała dziennikarka. – Przejdiesz do innego klubu?

– Nie – odparł bez wahania Adam.

– Nawet jeśli to oznacza...

– Chcę grać tylko dla Rewery Opole – uciał Ben. – To mój klub, mój dom, moja rodzina. Nigdzie się nie wybieram.

– To jednak może nie do końca zależeć od ciebie – zauważył prowadzący.

– Tak się panu wydaje?

– Decyzja w końcu należy do władz klubowych, które...

– To niech spróbują mnie wypchnąć – przerwał mu Benhardt, po czym postukał w logo Rewery widniejące na pomarańczowej bluzie. – Jesteśmy jednością, w której tkwi siła.

– Tak brzmi motto klubu, prawda?

– To nie tylko motto – odparł Adam. – To coś, co stanowi jego rdzeń. Bez tego nie byłibyśmy tym kolektywem, którym jesteśmy.

Ben wyprostował się i popatrzył najpierw na jedno, potem na drugie.

– Znają państwo inny zespół, który podniósłby się po takiej tragedii, jakiej doświadczyła Rewera Opole? Bo ja nie. Wydaje mi się, że samym tym pokazaliśmy, jak wiele można osiągnąć, jeśli stawia się czoła przeciwnościom losu jako monolit.

– Tym właśnie jesteście?

– Tak – odparł bez wahania Adam. – Potrzebowaliśmy chwili, by do tego doprowadzić, ale obecnie tak jest. I to wszystko zasługa trenera, Witka Krygiera. To on ściągnął do klubu nie tyle piłkarzy, ile ludzi. Ludzi, którzy kochają zespół, a granie w tych pomarańczowo-białych koszulkach jest dla nich spełnieniem największych marzeń. To on wyciągnął młodych chłopaków z rozgrywek U18 i rzucił ich wszystkich na głęboką wodę. Zrobił to jednak tak, by byli razem. I dzięki temu nie tylko się na niej utrzymaliśmy, ale też możemy nawigować po niej bez trudu.

Prowadzący byli zadowoleni, ale trudno było przesądzić, czy to efekt realnej satysfakcji z powodu materiału, czy tylko poprawne uśmiechy.

– Będziesz grał w nadchodzącym meczu? – odezwała się dziennikarka.

– Oczywiście. Prosto stąd jadę do Częstochowy i będę czekał tam na kolegów z zespołu.

Oboje pokiwali głowami.

– A państwu proponujemy obejrzenie tego spotkania – powiedziała kobieta.

– Już dziś – dodał szybko współprowadzący. – O dwudziestej trzydzięci na antenie NSI Sport.

Dziennikarka uniosła lekko rękę ku Benhardtowi.

– Jaki wynik obstawiasz? – spytała z uśmiechem.

– Nie obstawiam. Wiem, że rozniesiemy ich w trzy strzępy.

Adam nie zdążył dodać nic więcej, nim część z nim w programie dobiegła końca. Prowadzący zapowiedzieli dalsze kulinarne zmagania w studiu, a potem nagle się rozluźnili, gdy zeszli z anteny.

Ben zdążył wymienić z nimi jedynie krótkie uściski dłoni, zanim musieli wracać na wizję.

To, co wydarzyło się później, działo się szybciej, niż Benhardt był w stanie się zorientować. Już w drodze do hotelu dostał mnóstwo telefonów, esemesów i wiadomości na portalach społecznościowych.

Profil instagramowy Rewery przeżywał oblężenie, liczba obserwujących rosła w tempie wykładniczym. Nie byłoby w tym nic, co przesadnie interesowałoby Adama, gdyby nie to, że najwyraźniej przekładało się na wsparcie zbiórki.

Wpłaty poszybowały w górę, choć do pełnej kwoty wciąż brakowało dość sporo. Ben przestał sprawdzać stan konta, w drodze do Częstochowy jednak, chcąc nie chcąc, dostał uaktualnienie.

Jechał z Forycem, zajmując miejsce pasażera. Kiedy tylko rozległ się dzwonek jego telefonu, od razu domyślił się, kto dzwoni.

– No, nieźle – oceniła Kala.

– Nieźle? – odparł. – Tylko tyle?

– A co chciałbyś jeszcze usłyszeć?

– Może kilka pełnych uznania słów na temat tego, jak przystojny jest twój ulubiony piłkarz, jak czarujący, jak...

– Ale nie jest – ucięła Kalina.

– A, okej. Po prostu myślałem, że ja nim jestem.

– Nawet gdyby, nijak by to do ciebie nie pasowało.

Benhardt uśmiechnął się i pokręcił głową, a Kala skorzystała z jego chwilowego milczenia i zapewniła mu update co do zebranej kwoty.

Adam przez moment nie odpowiadał.

– Jesteś tam? – spytała.

- Jestem.
- Liczyłeś na więcej?
- Trochę.
- To śniadaniówka, nie ceremonia wręczenia ci Nobla – odparła pod nosem dziewczyna.
- Ale ogląda to kilka milionów ludzi, nie?
- Może – rzuciła bez przekonania. – Tyle że nie wszyscy kojarzą cię albo Rewerę, wyobraź sobie.
- Ciężko mi to idzie, ale...
- Za to niewykluczone, że zapamiętają to, co mówiłeś.
- Znaczy się?
- Kierowałeś słowa do widzów NSI. W programie NSI. Na temat innego programu NSI.

Adam zerknął na kilka samochodów ciężarowych, które Foryc mijał z zawrotną prędkością. Albo na trasie zwyczajowo nie było policji, albo musiał mieć jeszcze dużo punktów karnych do spożytkowania.

- Łącz fakty – poleciła Kalina.
- Znaczy?
- Znaczy, że zachęciłeś ludzi do tego, żeby o dwudziestej trzydzieści włączyli NSI Sport i obejrzeliby mecz ze Zrywem Częstochowa.
- No tak.
- Zakładam, że spora część to zrobi – ciągnęła Kalina. – Zdecydowanie większa od tych, którzy tak od razu zdecydowali się wpłacić kasę.

Julian ściszył nieco muzykę, jakby dopiero teraz zorientował się, że pasażer prowadzi z kimś rozmowę.

- Dążysz do czegoś konkretnego? – spytał Ben.
- Nie. Tak tylko sobie strzępię na ciebie język.
- Super.

Kalina cicho westchnęła.

- Dążę do tego, że największa szansa na zebranie kasy będzie dzięki temu meczowi – powiedziała. – Jeśli zagracie piękny futbol i ci wszyscy ludzie zobaczą, że warto nas wesprzeć, to zrobią to.
- Mhm – potwierdził Benhardt.
- Problem w tym, czy dacie radę ten piękny futbol dowieźć.
- Damy.
- Lepiej żeby – poradziła. – Bo obiecałeś tym kilku milionom widzów, że rozniesiecie przeciwnika w trzy strzępy.

Adam utkwiał wzrok w pustej drodze przed nimi.

– Jak wam się nie uda, będzie trochę słabo – dodała Kala.

Stadion Zrywu Częstochowa, Zawodzie-Dąbie

Zespół Rewery Opole zjawił się w obiekcie równo dziewięćdziesiąt minut przed meczem. Witek miał wrażenie, że kiedy autobus parkował pod stadionem, czekało na nich więcej ludzi niż na jakimkolwiek innym meczu wyjazdowym.

Ben dołączył do nich na stacji benzynowej, na którą podrzucił go Foryc. Piłkarze mieli z racji jego występu używanie, Witek postanowił zachować neutralność i nie komentować. Rozumiał, dlaczego Adam nie wyjaśnił nikomu powodu wizyty w Warszawie – wolałby jednak być na bieżąco, nawet gdyby później miało mu się za to oberwać od szefostwa.

Kiedy wychodzili z autokaru, błyskały flesze, a fani za wszelką cenę starali się zdobyć autografy. Nietrudno było odnieść wrażenie, że miasto na jakiś czas stało się pomarańczowo-białe. Najwięcej koszulek, w których paradowali zebrani, miało na plecach numer piętnasty.

Ledwo Benhardt wyszedł z autobusu, natychmiast podniosła się wrzawa. Ochrona pilnowała, by wszyscy stali w szpalerze między pojazdem a wejściem do stadionowego tunelu, nie miała jednak łatwego zadania.

– Adam! – krzyczało kilka osób.

– Ben! – darła się reszta. – Tutaj!

Wyciągali ku niemu ręce, jakby dotknięcie go w jakiś sposób mogło sprawić, że ich życie w ułamku sekundy stanie się pełniejsze.

Adam był wyraźnie skołowany, mimo to przybił kilka piątek, podpisał parę zdjęć, a potem znikł w budynku. Krygier przypatrywał się temu zza szyby autokaru i przeszło mu przez myśl, że za miesiąc, może dwa, chłopak tak się do tego przyzwyczai, że będzie przemykał obok kibiców z obojętną, wręcz apatyczną miną.

Witek wysiadł z autobusu, zapozował do zdjęć, zostawił autografy, a potem uniósł ręce w dziękczynnym geście do kibiców.

Chwilę później wszedł do szatni i poświęcił chwilę na to, by przyjrzeć się swoim piłkarzom. Atmosfera była idealna. Dało się wyczuć energię, determinację i poczucie jedności. Wszystko, czego potrzebował, by mieć nadzieję na udaną końcówkę sezonu.

Podszedł do tablicy, a potem rozrysował kilka założeń taktycznych, które realizowali zazwyczaj piłkarze Zryw Częstochowa. Podopieczni słuchali w milczeniu – niektórzy skupieni, inni błędzący gdzieś myślami.

Nie każdy łapał w mig wszystko, co chciał im przekazać, ale niespecjalnie go to martwiło. Ważniejsze było morale i to, by jego piłkarze mieli zdolność dostosowywania się do warunków gry na murawie.

– Zryw to ciężki przeciwnik – powiedział. – Mają dobrą passę, szczególnie grając u siebie. Dawno tu nie przerznęli, ale my dzisiaj to zmienimy.

– Nie mamy wyjścia – rzucił Gaudi. – Ben już się pochwalił, że ich rozjebimy.

– Śniadaniówka zobowiązuje – dodał Rebus.

– No i telewizja nie kłamie – dołożył od siebie Oleo.

Kilku piłkarzy się zaśmiało, ci siedzący obok Adama pokleпали go po karku, głowie i plecach, jakby chcieli w ten sposób pochwalić go za występ.

Krygier zaplótł ręce na piersi.

– Dobra – oznajmił. – Chcę, żeby to była jasna sprawa: dzisiaj gracie bez presji. W dupie macie to, co dzieje się w klubie. W dupie macie zbiórkę, w dupie macie media. W ogóle was to nie interesuje. Jedyne, co was obchodzi, to to, żeby grać dobrze, strzelać gole i ich nie puszczać. Skupiacie się tylko i wyłącznie na tym, co dzieje się na boisku.

Wodził wzrokiem po zawodnikach, nie mając co do nich żadnych wątpliwości. Przełamali się już w momencie, kiedy Benhardt pojawił się w składzie. Od tamtej pory zanotowali kilka potknięć i mieli nieco pecha, ale summa summarum było coraz lepiej.

A będzie jeszcze bardziej, dodał w duchu Witek.

O ile Ben pozostanie w drużynie.

Dzisiejszy mecz był pod tym względem absolutnie kluczowy – szefostwo Varsovii doskonale wiedziało, co się święci, i na jutrzejsze południe wyznaczyło deadline na decyzję w sprawie transferu. Nikt nie miał zamiaru być rozgrywanym w ten sposób.

Spotkanie ze Zrywem Częstochową stanowiło moment prawdy. Moment przełomowy. Krygier jednak nie chciał mówić o tym podopiecznym i dokładać im presji.

Przekazawszy im wszystko, co powinien, wyszedł na korytarz i dostrzegł, że kawałek dalej w tunelu stoi jego córka. Opierała się plecami o ścianę i miała wzrok tradycyjnie wbity w telefon.

– Znowu sexting z Obim? – odezwał się Witek.

Kala spojrzała na niego z przerażeniem.

– Naprawdę musisz? – spytała.

– Co?

– Mówić tak do swojej córki.

– Jak?

Dziewczyna machnęła ręką, jakby nie miała siły na przepychanie się z ojcem.

– Po prostu staram się jakoś w tym uczestniczyć – dodał.

– Znaczący niby w czym?

– Twojej inicjacji seksualnej.

Kalina prawie zakrztusiła się własną śliną.

– Nigdy nie wiem, jak ojcowie powinni...

– Coś ci powiem – ucięła. – Twoja jedyna rola w tej sferze ogranicza się do tego, że cię w niej nie ma.

– Ale...

– Jesteś tam całkowicie nieistniejący. W ogóle nie występujesz. Nie masz z nią absolutnie nic wspólnego.

– Tylko że...

– Nie – przerwała mu stanowczo. – Po prostu nie.

Witek uniósł bezradnie ręce, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu. Czasem zastanawiał się, czy inni ojcowie mają podobne relacje ze swoimi córkami. Przypuszczał, że niektórzy tak. Ale pewnie nie było ich wielu.

Wskazał wzrokiem telefon.

– No to jak tam sytuacja? – spytał.

– Która?

– Jedna i druga.

– A nie możesz mówić bardziej mętnie? – burknęła Kala.

– Zacznijmy od Obiego.

Przez twarz córki przemknął dziwny wyraz, którego Krygier nie mógł rozszyfrować. Wzmianka o chłopaku, na rozmowach z którym spędzała tyle czasu, powinna wywołać raczej jednoznaczną, wesołą reakcję. A jednak tak nie było.

Może już się spotkali? Może coś jej zrobił?

Kurwa, w gruncie rzeczy był nieznanym facetem z internetu.

– Widzieliście się? – rzucił Witek.

Kalina zmrużyła lekko oczy, przyglądając mu się.

– No co? – dodał.

– Nic.

– To czemu mi się przyglądasz jak obcej formie życia?

– Bo w sumie nią jesteś.

Krygier przechylił głowę na bok.

– To kiepsko dla ciebie, bo masz moje geny – odparował. – A teraz mów, o co chodzi.

– O to, że zadałeś to pytanie z nietypową dla ciebie obawą.

– Bo...

– Bo zakładasz, że widziałam się z Obim bez twojej wiedzy, okazał się gwałcicielem i mordercą, a moje ciało rozkłada się gdzieś w turawskich szuwarach?

Witek także oparł się plecami o ścianę i w odpowiedzi nawet nie zaszczyił córki przelotnym spojrzeniem.

– Nie żartuj tak nawet – odparł.

– Okej. W każdym razie nie, nie widzieliśmy się.

– I dlatego jesteś przybita?

– Nie jestem.

– Jesteś – oznajmił stanowczo Krygier.

Kala przez moment milczała, jakby zastanawiała się, ile może powiedzieć ojcu. Dziwne, miał wrażenie, że przez ostatnie lata do takiej sytuacji nie doszło. Córka miała świadomość, że może wyjawić mu absolutnie wszystko.

Symptomatyczne zresztą było to, że jeśli nawaliła się na jakiejś imprezie, dzwoniła właśnie do niego. I nie musiała nawet kazać mu obiecywać, że nie powie matce.

– On jest z Łodzi – odezwała się w końcu.

– Aha.

– I tak, chce się ze mną spotkać. Znaczący przyjechać do Opola.

– To chyba dobrze.

– Chyba tak.

Witek nie mógł przejść obojętnie obok tego wahania w jej głosie.

– W takim razie...

– Musimy teraz o tym gadać? – ucięła. – Zaraz zaczyna się mecz, a ty musisz jeszcze odstawić swoją krindzuwę.

– Co proszę?

– Chodzi o...

– Dobrze wiem, o co chodzi – uciął. – Ale krindzuwa to będzie, jak przyjdę do ciebie do szkoły na jakiś Dzień Kariery i będę opowiadać, co znajdowałem w twoich pieluchach, jak je...

- Tato, proszę cię. Trzymaj jakiś poziom.
- U mnie zawsze poziom top.
- Nie widać – skwitowała. – Zresztą nie chcę cię cytować, ale chyba muszę.
- Proszę bardzo. To zawsze miłe, kiedy docenia się czyjeś...
- Zachowuj się – przerwała mu. – Byle jak, ale się zachowuj.

Rzeczywiście czasem jej to powtarzał. Krygier odepchnął się lekko od ściany, wyprostował, a potem spojrzał córce głęboko w oczy. Szukał w nich jakichś odpowiedzi na to, co dzieje się w jej życiu uczuciowym. Bo z pewnością coś się działo.

- Wiemy już chociaż, ile ma lat? – spytał.
- Tak.
- Więc?
- Chcę cię jeszcze chwilę potrzymać w niepewności.

Witek uniósł błagalnie wzrok.

– Jest mniej więcej w moim wieku – dodała Kalina i westchnęła. – Chociaż gada się z nim jak z kimś starszym.

Krygier pokiwał głową, przyjmując to do wiadomości. Podobne słowa słyszał na temat swojej córki od niejednego znajomego. I mieli rację, Kala od zawsze była jego „starą malutką”, choć im więcej czasu upływało, tym mniej było to dostrzegalne.

- Co im puszczasz? – spytała.
- Puszczą to się dziwka na...
- Jaką muzykę będziesz im emitował z głośnika?
- Jeszcze nie wiem.
- Nie wierzę.

Witek wzruszył ramionami.

– Mam kilka typów w głowie – odparł. – Zaraz zobaczę, jakie są nastroje przed wyjściem na murawę, i postanowię.

Ruszyli razem do szatni, a Krygier otoczył córkę ramieniem. Z jakiegoś powodu zdawała się tego wyjątkowo potrzebować, a ledwo to zrobił, utwierdził się w tym przekonaniu. Przyłgnęła do niego tylko na krótką chwilę, ale tyle wystarczyło.

Potem dołączyli do piłkarzy, którzy byli już gotowi do walki, wszyscy w swoich strojach.

- Jedziemy z tym koksem – odezwał się Witek, wyciągając telefon.

Głośnik stał już na środku, bez niego Krygier nie opuściłby Opola. Jakość dźwięku przez bluetooth nie była powalająca, ale do jego celów zdecydowanie

wystarczająca.

Cały zespół umilkł w jakimś nabożnym oczekiwaniu.

Była to duża zmiana wobec tego, jak na początku traktowali muzykę, która w mniemaniu trenera miała ponieść ich do zwycięstwa.

Witek jeszcze przez chwilę się namyślał, przyglądając się twarzom piłkarzy. W końcu wybrał. Luka Suzanne Vegi.

Pierwsze dźwięki nie zapowiadały wprowadzania kogokolwiek w bojowy nastrój. Kolejne także nie. Na twarzach zawodników pojawił się zamglony, nieco odległy wyraz. W warstwie muzycznej i tekstowej przebijały się smutek, nostalgia i niemoc. Z jakiegoś powodu jednak kawałek pasował.

Podopieczni Krygiera opuszczali szatnię wyciszeni, spokojni. Witek kątem oka złapał jeszcze długie spojrzenie, które Kala wymieniła z Benem.

Przemknęło mu przez głowę, że do czegoś między nimi doszło. Do czegoś więcej, niż widział na działce. Wtedy była to w gruncie rzeczy niewinna rozmowa – owszem, stali blisko siebie, patrzyli sobie w oczy, ale oboje mieli już w czubie.

Wiedziałyby, gdyby stało się coś więcej. Zobaczyłyby, że coś się dzieje, a Kalina nie miałaby oporów przed powiedzeniem mu o tym.

Chyba że oni sami nie zdawali sobie sprawy z pewnych rzeczy.

Starał się przestać o tym myśleć. Skupił się na tym, że jego zespół wychodzi na murawę, by walczyć o nie tylko o punkty, ale także przyszłość Benhardta i klubu.

15

Boisko Zrywu, Częstochowa

Nad miastem zawisły ciemne chmury, z których powoli zaczął sączyć się deszcz. Kiedy Ben wychodził na boisko, odniósł wrażenie, jakby ktoś opuścił nad nimi ciemną kotarę – momentalnie zrobiło się ponuro i nawet entuzjastyczne okrzyki z sektorów gości nie mogły tego zmienić.

Piłkarze obydwu zespołów ustawili się na pozycjach, a gracz z Częstochowy zajął miejsce na samym środku boiska, ustawiony do przeciwników tyłem.

Wszyscy czekali na pierwszy gwizdek.

Adam zerknął w kierunku ławki trenerskiej, gdzie obok Witka siedziała Kalina. Patrzyła z niepokojem w zasnuwane ołowianymi chmurami niebo, jakby to

z niego miało nadejść jakieś niebezpieczeństwo.

– Ben? – rzucił stojący niedaleko Jeleniewski.

– Hm?

– Wszystko okej?

Benhardt szybko potwierdził skinieniem głowy. Na nic więcej nie miał czasu, bo arbiter gwizdnął, a częstochowianin rozpoczął grę.

Był to austriacki napastnik tureckiego pochodzenia, Ümit Hauben, który aktualnie wyprzedzał Adama o trzy bramki w klasyfikacji strzelców Ekstraligi.

Kiedy Ben rozgrywał pierwszy mecz w barwach Rewery Opole, nawet mu się nie śniło, że będzie walczył o tytuł króla strzelców – teraz było to hipotetycznie realne, przed sobą miał bowiem tylko Haubena oraz brazylijską dziewiątkę Varsovii.

O ile o dogonieniu Austriaka mógł myśleć, o tyle napastnik z Warszawy wydawał się poza zasięgiem.

Dziś planował zrobić wszystko, żeby się do niego choćby zbliżyć.

Zryw Częstochowa nie miał jednak zamiaru dać mu pola do popisu. Już od pierwszych minut gospodarze ruszyli do ataku, a kiedy tylko Rewerze udawało się przejąć piłkę, obrońcy natychmiast podwajali krycie Benhardta.

Szybko stało się jasne, że nie dadzą mu pograć. Biegał po całym boisku, próbował zgubić defensorów, ale grając bez piłki, niewiele mógł wskórać. Podania go nie sięgały, a on nie mógł wyjść na pozycję przez nadmiarowe krycie.

Linia obrony była zbyt zorganizowana, zbyt czujna. Nikt nie popełniał żadnego błędu, jakby trener częstochowian kazał swoim podopiecznym skupiać się przede wszystkim na neutralizowaniu Adama.

Robili to skutecznie, a ich odpowiednicy w przedniej formacji korzystali z każdej okazji, by zagrozić bramce Olejarczyka. Golkiper z Opola spisywał się na medal i do trzydziestej minuty obronił trzy strzały, które równie dobrze mogły zakończyć się bramką.

Zawodnicy Rewery siadali z każdą minutą. Deszcz lał coraz mocniej, w pewnym momencie murawa zaczęła pływać, a korki w niej grzęznąć.

Nie na to liczyli, nie tak miało być.

Do przerwy Benowi ani żadnemu z jego kolegów nie udało się stworzyć żadnej groźnej okazji strzeleckiej. Schodzili do szatni z opuszczonymi głowami, przemoczeni od stóp do głów.

Czekający tam na nich Witek stał z rękoma skrzyżowanymi na piersi, taksując nieprzychylnie każdego, kto wchodził do środka.

Począł, aż wszyscy zajmą swoje miejsca, a potem nabrał głęboko tchu. Nie odezwał się jednak. Zamiast tego zaczął chodzić w kółko, przesuując palcami po wąsach i w zamyśleniu wbijając wzrok gdzieś ponad głowami zawodników.

W końcu zatrzymał się pośrodku szatni.

– Jest rekordowa oglądalność – odezwał się.

Piłkarze popatrzyli na niego z lekką konsternacją.

– Takie przynajmniej chodzą słuchy wśród dziennikarzy – podjął Krygier. – Po tym porannym cyrku Bena sporo ludzi włączyło mecz, chcąc się przekonać, o co chodzi. Słyszeli o Rewerze, wiadoma sprawa. Po wypadku byliśmy chyba w każdym mediach.

Witek zaczął chodzić wokół pomieszczenia.

– Wielu jednak nie było na tyle zainteresowanych, żeby faktycznie zobaczyć jakiś mecz – kontynuował. – Aż do teraz. Bo dziś przed telewizorami zasiedli wszyscy ci, którzy chcieli sprawdzić, w czym tkwi sedno sprawy. Nawet przypadkowi ludzie, chcący przekonać się, czym w sumie jest cały ten futbol, dlaczego tyle osób go ogląda. I czemu kibicom łatwiej jest zmienić swoje wyznanie niż klub, który dopingują.

Znów zatrzymał się w centralnym miejscu, a Benhardt powiódł wzrokiem po kolegach. Niektórzy patrzyli na trenera, inni unikali jego wzroku. Głowy mieli opuszczone, ciuchy niedbale rzucone na podłogę.

Ktoś to później pozbiera, przetransportuje w wózkach do pralni, po czym wszystko nagle pojawi się świeże, pachnące i równo ułożone przed kolejnym meczem.

– Dajcie tam ostro dupy – ciągnął Witek, wskazując ręką wyjście. – Nie stwarzacie okazji, gubicie się taktycznie, pozwalacie przeciwnikowi dyktować wam grę. Ktoś wie, po jaką cholere? I dlaczego?

Nikt nie odpowiedział.

– Na to pierwsze pytanie nie znam odpowiedzi, na drugie tak – dodał Krygier, wsuwając ręce do kieszeni. – Dajcie dupy na własne życzenie. Zryw nie gra jak z nut, niczego specjalnego nie pokazuje. To wy znowu wbijacie sobie do głowy, że kolejne akcje się nie udadzą, że zaraz pójdzie kontra, że Bena skutecznie pokryją i że zaraz wcisną nam bramkę. Tu nie chodzi ani o umiejętności, ani o taktykę, ani o cokolwiek innego poza waszą psychą.

Krygier lekko postukał się w skroń.

– Tutaj przegrywacie ten mecz – oznajmił. – I tylko tutaj możecie go wygrać. Powiódł wzrokiem po piłkarzach, wyraźnie przykuwając ich uwagę.

– Więc skoro już to wiecie... – dorzucił – postarajcie się, kurwa, to zrobić! – krzyknął, a potem klasnął głośno dłońmi.

Piłkarze odpowiedzi natychmiast, jak na dany sygnał. Podniosła się wrzawa, atmosfera w ułamku sekundy się zmieniła. Ben za każdym razem zastanawiał się, na ile koledzy rzeczywiście poczuli się zmotywowani, a na ile robili to, czego w ich przekonaniu wymagał trener.

Gdyby ktoś odpowiedział inaczej, zostałby w szatni na drugą połowę. I być może przez długi czas nie wyszedłby na murawę w pierwszej jedenastce.

Jeszcze zanim tumult odpadł, Witek odpalił swoją najskuteczniejszą broń. Tym razem tak podbił głośność, że dźwięki Warriora musiały być słyszalne nie tylko w szatni gospodarzy, ale także na stadionie.

Rozpoczęła się druga połowa.

Gregor wznowił grę od środka boiska, podając do Bena. Ten przyjął i obrócił się w kierunku prawego skrzydła, zamarkował podanie, a potem kiwnął nadbiegającego Ümita Haubena i ruszył przed siebie.

Zmylił kolejnego przeciwnika, a potem jeszcze jednego.

Dryblował tak, jakby znajdował się na treningu i mijał tyczki, nie prawdziwych ludzi.

Jeden próbował wejść wślizgiem, rozbryzgując wokół wodę. Adam podskoczył i lekko zahaczył o uniesioną stopę defensora. Przez moment wydawało mu się, że nie odzyska równowagi, ostatecznie jednak ruszył przed siebie.

Oddał piłkę na lewe skrzydło, Jeleń natychmiast przerzucił ją na przeciwległe. Cała strefa obrony częstochowian się rozciągnęła, a Benhardt skorzystał z okazji i popędził środkiem w kierunku bramki.

Do akcji włączyło się dwóch pivotów. Kiedy futbolówka trafiła do Gaudiego, zamarkował strzał i okiwał jednego z obrońców. Znajdował się kilka metrów przed polem karnym – i nie musiał nawet patrzeć, gdzie jest Ben.

Ćwiczyli to na treningach bezustannie.

Gałdecki posłał prostopadłe podanie, a Adam wybiegł z za linii obrońców. Synchronizacja była idealna, o spalonym nie mogło być mowy.

Ben dopadł do piłki, wysunął ją sobie w prawo, a potem złożył się do strzału i kopnął ją zewnętrzną stroną stopy. Potężne uderzenie sprawiło, że mokra futbolówka pomknęła z zawrotną prędkością w kierunku bramki.

Golkiper wyciągnął się jak długi, starając się sięgnąć piłkę zmierzającą tuż pod poprzeczkę. Tracił ją lekko czubkami palców.

Tyle wystarczyło.

Futbolówka odbiła się od spojenia słupka z poprzeczką, a przez cały stadion przetoczył się głośny jęk zawodu.

Piłka odbiła się w kierunku linii bocznej, zmierzając na aut. Naraz ruszyli do niej Radek Warski i jeden z obrońców Zrywu Częstochowa. Pojedynek biegowy trwał krótko. Jako pierwszy przy futbolówce znalazł się kapitan Rewery.

Obrócił się, gubiąc przeciwnika, a potem zerknął przelotnie w pole karne. Wszyscy kryci, a Ben miał na sobie już dwóch defensorów.

Nie mając innego wyjścia, Radek ruszył wzdłuż linii końcowej w kierunku bramki. Kąt był zbyt duży, by oddawać strzał, mimo to Warski udał, że właśnie to zamierza zrobić.

Potem posłał mocne podanie po ziemi do tyłu, prosto na nadbiegającego wahadłowego.

Rebus grzmotnął z całej siły. Futbolówka jakimś cudem znalazła sobie miejsce pośród mrowia zawodników i pomknęła w kierunku bramki.

Uderzenie z pierwszej piłki sprawiło, że zasłonięty bramkarz nie miał czasu na reakcję. Piłka załomotała w siatce, a piłkarze Rewery Opole natychmiast rzucili się na Antka, przygniatając go do ziemi.

Presja zmaląła, ciśnienie spadło.

Potruchtali żwawo w kierunku własnej połowy, jakby chcieli pokazać, że spieszy im się, by jeszcze poprawić wynik.

– Ben! – krzyknął zza linii bocznej Krygier.

Adam wziął niewielki objazd i na moment zatrzymał się przy trenerze.

– Idź na prawą pomoc – polecił Witek.

– Co?

– Zbyt wielu cię kryje – rzucił szybko Krygier. – Idź na prawe skrzydło, niech Radek zejdzie do środka. Jasne?

– Bardziej niż dzisiejsze niebo.

Trener posłał mu krótki uśmiech, a potem uderzył dłonią o dłoń, zagrzewając jego i pozostałych do dalszej walki.

Benhardt od razu popędził do kapitana, przekazał mu polecenia Witka, a ten zerknął na szkoleniowca kontrolnie. Wystarczył lekki ruch głowy, by uzyskać potwierdzenie.

– Teraz zamieniamy? – spytał Adam.

– Nie. Zróbmy to w trakcie gry.

– Okej.

– Poczekaj, aż będziemy mniej więcej w jednej strefie.

– Jasne.

– Zanim się połapią, będzie za późno.

Chwilę po tym, jak piłka zaczęła krążyć między zawodnikami, dwóch piłkarzy Rewery rzuciło sobie porozumiewawcze spojrzenia. Ben przebiegł obok Warskiego, zostawiając mu piłkę – obrońcy byli przekonani, że jako nominalny napastnik wysunie się na pozycję, on jednak został na skrzydle, Radek zaś zszedł do środka.

Kapitan znalazł się przy dwóch obrońcach, których głównym celem było pilnowanie Adama. Patrzyli na siebie nieco zdezorientowani, nie bardzo wiedząc, jak powinni się ustawić.

Zamiana pozycji lewego na prawego napastnika nie byłaby niczym dziwnym. Tym razem jednak ten, któremu mieli nie pozwolić pograć, znalazł się na dalekim skrzydle. I lewy defensor Zrywu Częstochowa nagle sam stał się za niego odpowiedzialny.

Benhardt skorzystał z jego konsternacji, już kiedy po raz pierwszy dostał piłkę na skrzydle. Kiwnął go bez trudu, dostrzegając, że środkowi obrońcy popełniają największy błąd, jaki tylko mogli – wykazali się brakiem zdecydowania.

Jeden zawahał się, ale ostatecznie całkiem sensownie został przy Warskim. Drugi początkowo również, spodziewając się może, że Adam zejdzie do środka. Potem jednak ruszył ku Benowi.

Było już za późno. Z jednej strony nie mógłby dopaść do niego w porę, z drugiej stworzył na przedpolu bramkowym sporo wolnej przestrzeni.

Gaudi wszedł w nią jak w masło, a Adam tylko na to czekał. Zamiast pędzić w kierunku golkipera, poczekał jeszcze moment, aż obrońcy skupią na nim swoją uwagę, a potem posłał piłkę do Łukasza.

Ten przyjął lewą nogą, wysunął sobie do strzału na prawą, a potem nagle oddał wewnętrzną częścią stopy do Gregora.

Częstochowianie, skupieni na nietypowych zachowaniach Bena i Warskiego, byli w opałach. Ledwo dopadli do Gałdeckiego, piłka była już przy nodze Grzegorza Szpei. Nie mieli szans, by zablokować uderzenie z ośmiu metrów.

Gregor huknął potężnie, futbolówka odbiła się jednak od słupka.

– Kurwa! – krzyknął Szpeja.

Padła prosto pod nogi jednego z zawodników Zrywu. Ten uniósł wzrok tylko na ułamek sekundy, a potem posłał długą piłkę do przodu.

Trafiła do jednego z kolegów z drużyny, który skwapliwie skorzystał z nadarzającej się okazji. Ruszył z kontratakami, nie czekając na pozostałych

kompanów. Linia obrony Rewery była mocno przerzedzona, niemal wszyscy zaangażowali się w konstruowanie ataku.

Tymczasem po drugiej stronie boiska na złamanie karku pędził przed siebie Ümit Hauben. Słyszał ze zdolności do wyjątkowego sprintu, a w tej chwili pokazywał, że renoma nie była przesadzona.

Pokonywał w pojedynku biegowym Antka Rebskiego, który w ostatnim, desperackim ruchu tuż przed polem karnym zdecydował się na jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Gdyby nie sfaulował przeciwnika, ten znalazłby się sam na sam z bramkarzem.

Pech chciał, że stało się to na linii pola karnego. Hauben rąbnął na murawę z impetem, sędzia natychmiast zagwizdał, pędząc ku wahadłowemu Rewery Opole z ręką przy piersi.

Nie ulegało wątpliwości, że sięgnie po kartonik. Kwestią otwartą było, jakiego ten okaże się koloru – i czy arbiter uzna, że faul miał miejsce w polu karnym, czy tuż przed nim.

Kiedy sędzia zatrzymał się przed Rebusem, Ümit skręcał się z bólu tuż obok, sprawiając wrażenie, jakby konieczna była amputacja nogi.

Rebski nie protestował, trwał z obojętnym wyrazem twarzy przed wyprostowanym jak struna arbitrem, czekając na wyrok.

– Jebnie czerwono – wysapał Gaudi.

Ben rzucił mu krótkie spojrzenie, gdy obaj zmierzali truchtem w kierunku własnej bramki.

– Może nie.

Obaj dostrzegli charakterystyczny ruch ręki, ale nie widzieli kartonika, sędzia stał bowiem do nich tyłem. Dopiero kiedy uniósł wysoko rękę, odetchnęli. Tym razem tylko żółta.

Wciąż jednak nie było jasne, czy sędzia podyktuje rzut wolny, czy jedenastkę. Wszyscy czekali z duszą na ramieniu, całkowicie nieruchomo, a kiedy arbiter wskazał miejsce tuż przed polem karnym, nagle otrząsnęli się z marazmu.

Oleo ustawił mur i poprawiał go przez chwilę. Nie była to bezpieczna sytuacja, ale lepsza od starcia sam na sam z napastnikiem stojącym na jedenastu metrach.

Paweł pokrzykiwał na stojących w murze kolegów, przesuwał ich nieco w kierunku długiego słupka. W końcu uniósł dłonie, sygnalizując, że wszystko jest okej.

Do piłki podszedł sam poszkodowany, Ümit Hauben. Ustawił ją, cofnął się o parę kroków i nawet nie udawał, że któryś z jego partnerów będzie miał

okazję wykonania rzutu wolnego z bliskiej odległości.

Rozległ się gwizdek, Austriak ruszył przed siebie z impetem. Uderzył piłkę podbiciem, lekko przechylając się na bok, jakby miał zamiar puścić wysoki, podkrecony strzał.

Mur wystrzelił w górę, futbolówka jednak została posłana po mokrej murawie. Przefrunęła bez trudu pod piłkarzami i pomknęła w kierunku bramki.

Oleo rzucił się na nią natychmiast, wyciągając się, jak tylko mógł. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale nawet zasięg jego ramion nie wydawał się wystarczający, by udało się wybronić zmierzający ku słupkowi strzał.

Ben ponownie znieruchomiał, jakby ktoś go znokautował.

Był przekonany, że piłka bez trudu wpadnie do siatki.

Paweł Olejarczyk jakimś cudem zdołał jednak jej sięgnąć. Odbiła się od jego palców i trafiła prosto pod nogi Rebusa. Główny winowajca sytuacji momentalnie odskoczył z nią na bok, by nie narażać się na próbę odebrania jej przez przeciwników.

Uniósł wzrok i wyłapał wysuniętego do linii środkowej Benhardta. Wziął zamach, po czym posłał mu długie i mocne podanie.

Między Adamem a bramką częstochowian były tylko trzy przeszkody – dwóch defensorów, którzy zostali z tyłu, oraz golkipera.

Napastnik Rewery Opole stał tyłem do połowy katowiczian. Przyjął futbolówkę na klatkę piersiową, gasząc ją do ziemi, po czym niespodziewanie wysunął ją sobie piętą w kierunku bramki. Zaraz potem obiegił zaskoczonego obrońcę i popędził przed siebie.

Drugi z zawodników Zrywu biegł w jego stronę po przekątnej. Widać było już na pierwszy rzut oka, że zamierza wejść wślizgiem i podobnie jak przed momentem Antek, nie martwić się o kartkę.

Benhardt wykonał ruch ciałem, jakby miał zamiar uciec przed obrońcą. Ułamek sekundy później jednak odbił w jego kierunku.

Dla przeciwnika było za późno na skuteczną reakcję. Zbyt duże tempo biegu sprawiło, że próbując zmienić jego kierunek, stracił równowagę i wyłożył się na murawie.

Adam miał przed sobą już tylko golkipera.

Ten wyszedł nieco zza linii bramkowej, szeroko rozkładając ręce i przygotowując się do tego, by rzucić się w któryśm kierunku.

Ben przełożył piłkę na drugą nogę, zamarkował strzał. Bramkarz drgnął w tamtym kierunku, wtedy Adam przerzucił futbolówkę na przeciwną stopę.

Kiedy powtórzył to jeszcze raz, bramkarz był już na murawie.

Benhardt wysunął sobie piłkę, mijając jego wyciągnięte w przód ręce. Potem spokojnie skierował piłkę do siatki. Podniosła się natychmiastowa wrzawa i przez moment wydawało się, że na stadionie znajdują się jedynie kibice z Opola.

Adam podbiegł do skraju pola karnego, po czym przyłożył otwartą dłoń do skroni, patrząc w kierunku ławki trenerskiej. Trwała tam szalona celebrowanie, ale nie dane mu było długo jej oglądać, bo zaraz został obstawiony przez kolegów z zespołu.

Wszyscy wykonali salut, a potem padli sobie w objęcia, całując Bena po skroniach i policzkach i poklepując go po ciele.

Adam odwrócił się w kierunku bramkarza, który siedział na murawie z podkulonymi kolanami, wściekle łypiąc na zawodnika, który właśnie go pokonał. Zaraz potem Ben zbił z Gaudim piątkę i obaj potruchtali w kierunku linii środkowej.

2:0.

Krygier zawsze podkreślał, że to najbardziej niebezpieczny wynik dla zespołu. Daje bufor bezpieczeństwa, a więc pewną psychologiczną poduszkę, na której wygodnie można się ułożyć.

Sprawia, że piłkarze nieco odpuszczają, bo z tyłu głowy mają świadomość, że nawet jeśli stracą gola, wciąż będą prowadzić.

Problem polegał na tym, że w takim wypadku przeciwnik dostawał motywacyjnego kopa – i jeśli udawało mu się go wykorzystać, doprowadzając do remisu, sytuacja najczęściej obracała się na korzyść tego, kto gonił wynik.

Było się wtedy w ciągu, a morale oponenta natychmiast upadało. Świadomość, że przed momentem się wygrywało, a teraz jest się już o krok od porażki, często właśnie do niej przybliżała.

– Dobra, panowie! – krzyknął Benhardt. – Nie siadamy, jedziemy ich dalej, na trzy zero!

Kilku piłkarzy Zrywu posłało mu nieprzychylnie spojrzenia, a on nie miał wątpliwości, że kiedy znów będzie przy piłce, postarają się wytłumaczyć mu, że to nie on jest tu górą.

– Dawać! – krzyknął Gaudi. – Dowieźmy to zwycięstwo do końca!

Była pięćdziesiąta piąta minuta meczu, musieli się spiąć, by nie pozwolić przeciwnikowi się rozkręcić. Nie dominowali na tyle, by móc uspokoić grę, należało prowadzić ją dalej na najwyższych obrotach.

Minęło dziesięć minut, a mimo wyniku spotkanie stało się całkowicie wyrównane. Liczba ataków częstochowian była nie mniejsza niż kontr Rewery. Zaczęła się bezpardonowa walka, cios za cios.

Druga połowa bezapelacyjnie stała się widowiskiem dla tych, którzy przyglądali się meczowi z boku. Dla biorących w nim udział zawodników z Opoła nie była to jednak sytuacja wymarzona.

Groźnych akcji pod bramką Pawła Olejarczyka było zbyt wiele. Nerwowo gestykulujący Witek dawał znać, by podejść wyżej, od razu odbierać piłkę po starcie i nie dać się rozhulać formacji ofensywnej Zryw.

W sześćdziesiątej siódmej minucie Ben i Gaudi przeprowadzili kolejną wzorową, dwójkową akcję. Znow nie musieli nawet patrzeć, gdzie się znajdują. Rozgrywali piłkę z klepki, rozmontowując całą linię defensywną częstochowian.

Wymieniana przez nich futbolówka przywodziła na myśl kulę w pinballu, odbijającą się od jednej strony do drugiej.

W końcu Benhardt otrzymał ją w pozycji, z której mógł oddać strzał. Zamiast jednak się na to zdecydować, oddał ją nożycami do Łukasza. Stadion niemal zapał z zachwytem, widząc niekonwencjonalne podanie.

Gałdecki złożył się do strzału z pierwszej piłki, uderzył, ale został zablokowany przez jednego z obrońców. Interwencja była czysta, prosto na futbolówkę – jej siła jednak tak duża, że Gaudi obrócił się w powietrzu i rąbnął z impetem na murawę, trzymając się za nogę.

Częstochowianie natychmiast skorzystali z okazji i posłali długą piłkę do przodu.

Dopadł do niej tylko czekający na taką sytuację Ümit. Pokonał dryblingiem jednego obrońcę, drugiego zgubił za sprawą dzikiego sprintu. Wydawało się, że robi wszystko, by powtórzyć gola na dwa zero ze strony Benhardta.

Zamarkował dwa strzały, wyczekując, co zrobi Oleo. Ten nie miał wyjścia, musiał w końcu położyć się na murawie.

W tej samej chwili Hauben podciął lekko futbolówkę, która przemknęła nad Pawłem i wpadła do siatki. Trybuny aż zatrzęsły się od wiwatów, a Austriak natychmiast pobiegł po piłkę, by ustawić ją na środku.

Ben zaklął pod nosem, ale nie obserwował tego, co działo się po drugiej stronie boiska. Przykucnął przy Gaudim, który nadal zwijał się na trawie z wyrazem przeraźliwego bólu na twarzy.

Ławka trenerska, stadion Zrywu Częstochowa

– Ściągamy go? – odezwał się Przemysław Meler.

Witek dopiero teraz zorientował się, że asystent ustawił się obok niego na skraju prostokąta, w którym mogli się poruszać. Trener trwał w bezruchu, patrząc na dwóch ratowników, którzy biegli z noszami w kierunku Gaudiego.

- Nie wygląda to dobrze – dodał Meler.
- Poczekajmy.
- Może niech się chociaż rozgrzeją ci, którzy...
- Daj mu chwilę.

Kurwa mać, skwitował w duchu Krygier. Tylko tego mu było trzeba. Wciśnięcie bramki na 2:1 nigdy nie jest dobrym momentem, a utrata takiego piłkarza jak Gaudi dodatkowo pogorszyłaby sprawę.

Jego dwójkowe akcje z Benem były jak wyuczone na blachę zagrania. W rzeczywistości nie wszystkie powtarzali do znudzenia – ci dwaj rozumieli się tak dobrze, że mogli spokojnie improwizować to, co inni musieli zapamiętywać długimi godzinami.

W dodatku chłopak był dobrym duchem zespołu. Zdawał się wносить w szeregi dużo pozytywnej energii, właściwie wszyscy go lubili.

Witek nie chciał go zmieniać, zablokowany strzał jednak wyglądał nieciekawie. Łukasz przywalił dość mocno w praktycznie nieruchomą piłkę, zupełnie jakby kopnął w jakąś przeszkodę. Mógł coś naciągnąć, nawet naderwać.

– Niech to chuj – syknął Krygier, widząc, że sanitariusze umieszczają go na noszach.

Benhardt przez moment szedł obok nich, zanim jeden z kolegów rzucił, że sędzia za moment wznowi grę.

- Trzeba go zdjąć – odezwał się Przemysław.
- Zaraz.
- Nie możemy grać długo w dziesiątkę, nie kiedy zaczęli gonić.
- Wiem – uciał przez zęby Witek.

Obrócił się, a potem skinął głową do rezerwowego, który mógł zająć pozycję Gaudiego. Był to defensywny pomocnik, nie tak wszechstronny jak Łukasz. Musiał jednak wystarczyć, Gałdecki bowiem wciąż leżał na noszach za linią boczną.

Sylwia Majewska pryskała jego podudzie lodem w sprayu, a to jasno sugerowało, co mogło się wydarzyć. Witek wciąż czekał, aż piłkarz lub któraś z zajmujących się nim osób uniesie dłonie i zacznie kręcić młynka palcami, oznajmiając konieczność zmiany.

Częstochowa tymczasem wznowiła grę po wyrzucie z autu.

– Tato, pójdę tam – rozległ się głos Kali z za pleców Witka.

Obejrzał się tylko na moment, by nie stracić nic z gry.

– Dowiem się, co z nim.

– Okej – odparł, ale zatrzymał wzrokiem córkę. – Jak zbiórka?

– Kiepsko – odparła pospiesznie Kala. – Jak zaraz nie zrobią jakiegoś widowiska, to...

– Dobra – uciał trener. – Leć do Gaudiego.

Kalina oddaliła się szybkim krokiem, a on skrzyżował ręce na piersi i śledził to, co robili zawodnicy Zrywu.

Rozgrywali spokojnie, jakby nigdzie im się nie spieszyło, jakby mieli jeszcze mnóstwo czasu do spożytkowania i nie przegrywali jedną bramką. Utrzymywali się przy piłce, sprawiając, że zawodnicy Rewery musieli biegać coraz więcej.

Krygier rzucił spojrzenie Kalinie, która właśnie przykucnęła obok Majewskiej i wdała się z nią w krótką rozmowę.

Siedemdziesiąta minuta. Brakowało ich jeszcze dwadzieścia, by Witek mógł mieć nadzieję, że zbiórka funduszy wejdzie dziś na wyższe obroty. O ile większość ludzi nie wyłączyła meczu po niezbyt porywającej pierwszej połowie.

– Powinni aktywniej grać od pierwszego gwizdka – rozległ się głos Melera.

Krygier nie odpowiedział, przesuwał nerwowo dwoma palcami po wąsach.

– To była jedyna, niepowtarzalna okazja, żeby...

– Wygrywamy ten mecz – uciał Witek, nie patrząc nawet na asystenta. – Nie popadaj w czarnowidztwo.

– Nie popadam. Ale spójrz na nich.

– Grają dokładnie tak, jak...

– Mam na myśli częstochowian – przerwał mu Przemysław. – Nie widzisz, co się dzieje? Dostali drugie życie. Żaden nie ma już rezygnacji na twarzy, żaden nie chodzi po boisku. Wszyscy zapierdalają jak mały Kazio.

Miał stuprocentową rację, ci ludzie nie wyglądali na pokonanych. Przeciwnie, ewidentnie uwierzyli w to, że mogą wygrać.

Krygier zerknął w kierunku córki. Wracała już truchtem ku ławce trenerskiej, ale z jej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

– Musimy odzyskać inicjatywę – rzucił największą oczywistość Meler. – Musimy znowu przejść do ataku i...

– Zaraz. Nie mogę gonić ich do przodu, kiedy grają w dziesiątkę.

– Ale...

– Siadaj na ławce – polecił Witek.

Kątem oka dostrzegając, że Przemysław lekko się zawahał, zupełnie jakby mógł tu i teraz doprowadzić do zwolnienia trenera i zająć jego miejsce. Ostatecznie wrócił do rezerwowych i w milczeniu przypatrywał się temu, co działo się na boisku.

Częstochowa zamknęła ich we własnym polu karnym, skwapliwie korzystając z chwilowej przewagi. Gracze wymieniali pewne podania, nie pozwalając na to, by ktokolwiek je przeciął.

Podopieczni Witka pożytkowali coraz więcej sił, grając wręcz szalonym pressingiem. W końcu jeden z obrońców zaczął lekko odpuszczać. Potem drugi.

– Sylwia twierdzi, że zaraz będzie mógł wrócić do gry – rzuciła Kala.

Krygier odetchnął.

– Na pewno? – spytał.

– Tak mówi.

– I nie ma żadnego niebezpieczeństwa?

– Jej zdaniem nie – odparła córka. – Ale więcej będzie wiadomo po meczu.

Witek milczał, zastanawiając się. Ostatecznie była to jego odpowiedzialność, nikt bez właściwych badań nie mógł stuprocentowo stwierdzić, czy nie doszło do jakiejś kontuzji.

– Najwyżej go ściągniesz – dorzuciła Kala.

Krygier zerknął na Gaudiego, który właśnie się podnosił. Kiedy stanął na prawej nodze, lekko podskoczył, jakby coś go zabolowało. Wyrwał się jednak, by wrócić do gry, nawołując sędziego i niemal przechodząc przez linię boczną.

Nagle przez stadion przetoczyły się głośne oklaski, a Witek natychmiast wrócił do obserwowania tego, co dzieje się pod ich polem karnym. Wiwat był nieco zbyt głośny, by mógł pochodzić od mniejszej liczby kibiców gości.

Przynajmniej teoretycznie.

W praktyce okazało się, że sympatycy Rewery Opole nagrodzili w ten sposób Jeleniewskiego, któremu udało się wreszcie przejąć piłkę. Pobiegł z nią lewym skrzydłem w kierunku bramki przeciwnika, a stojący przy linii Gaudi nadal wyrwał się, by móc włączyć się do akcji.

Dalej, powiedział w duchu Witek. Jedna bramka sprawi, że ten mecz zakończy się tu i teraz.

Akcja została jednak przerwana równie szybko, jak się zaczęła.

Futbolówka szybko wróciła na połowę opolan, tym razem nieobstawioną w sposób zorganizowany przez piłkarzy. Ümit Hauben wpadł w pole karne, ściągając na siebie dwóch obrońców, a jeden ze skrzydłowych Zrywu zszedł ku bramce. Te dwa ruchy bez piłki sprawiły, że defensywa się rozsypała.

Pozostali gracze z Częstochowy skorzystali z nadarzającej się okazji. Bez Gaudiego w tylnej formacji powstała dziura, którą zagospodarował drugi napastnik Zrywu. Kiedy dotarła do niego piłka, przymierzył, a potem strzelił w stronę bramki.

Oleo rzucił się, jakby od tego zależało jego życie. Udało mu się sparować strzał, futbolówka trafiła jednak prosto do kotła w polu karnym.

Któryś z częstochowian dołożył nogę.

Tyle wystarczyło.

Piłka wpadła do bramki, a Rewera właśnie utraciła prowadzenie w meczu, który powinien być już wygrany.

Witek obrócił się w kierunku ławki i z furią strącił butelkę wody stojącą przy jego miejscu. Kłął co niemiara, szybko jednak się zmitygował – nie taką postawę powinien okazywać.

Szybko ustawił się nieopodal linii bocznej i zaczął zagrzewać swoich zawodników do walki, klaszcząc i energicznie gestykulując.

Ostatnim, co chciał widzieć, byli snujący się po boisku, podłamani podopieczni. Niestety właśnie to ujrzał. Spuszczony wzrok, niespieszne tempo wracania ku środkowi boiska.

Łukasz Gałdecki biegł ku niemu, pozostając poza boiskiem. Utykał lekko, ale jako jeden z nielicznych wyglądał, jakby miał wolę walki.

– Gaudi – zatrzymał go Krygier. – W porządku jest?

– W porządku, trenerze.

Witek zatrzymał go, łapiąc za przedramię.

– To bierzcie się, kurwa, do roboty – rzucił. – Jesteście od nich lepsi, szybsi i groźniejsi.

– Tak jest.

– Nie chcę widzieć bandy, kurwa, smutasów – dodał Krygier. – Tylko zwycięzców. Jasne?

– Jasne jak...

– To zapierdalaj powiedzieć to reszcie.

Łukasz posłał mu lekki uśmiech, a potem potruchtał w kierunku kolegów. Przez moment krzyczał coś do jednego czy drugiego, Witek zaś przyglądał się

rezultatom. Do paru piłkarzy coś dotarło, większość jednak była jak widma. Zupełnie jakby już przegrali ten mecz.

Szczęśliwie ci, którzy się nie podłamali, nadawali ton przez kilka kolejnych minut. Benhardt szalał na przedpolu, a ostatecznie ustawił się na swojej pozycji, znów zamieniając się z Warskim. Defensorzy wrócili do bliskiego krycia najgroźniejszego zawodnika, a on kilka razy zagrał na fałszywą dziewiątkę, robiąc miejsce Szpei i innym kolegom.

Podczas jednej z takich akcji Ben wystawił piłkę Gaudiemu, a ten zamiast strzelić, przepuścił ją między nogami. Trafiła prosto pod nogi Jelenia, który wziął zamach lewą nogą i wykonał niespodziewane dośrodkowanie.

Futbolówka w ciągu kilku sekund wróciła prosto do Benhardta.

Podanie było jednak zbyt wysokie. Adam wyskoczył do główki, ale minął się z piłką.

W ciągu kolejnych dziesięciu minut Gregor oddał dwa strzały, żaden z nich nie trafił w światło bramki. Rewera Opole odzyskiwała inicjatywę, miała wyraźną przewagę. Gaudi od czasu do czasu krzywił się i wyglądało na to, że zapobiegawcze zabiegi Majewskiej na niewiele się zdały.

Grał, jakby nie działo się nic złego, wciąż to on wespół z Adamem stwarzali największe zagrożenie pod bramką częstochowian. Witek jednak nie mógł pozwolić sobie na dalsze ryzyko.

W osiemdziesiątej siódmej minucie ściągnął Gaudiego, a ten schodził z wyraźną ulgą. Objął przelotnie piłkarza, gdy ten minął linię boczną.

Sędzia postanowił przedłużyć spotkanie o trzy dodatkowe minuty. Zawodnicy Krygiera mieli ich jeszcze sześć, by uratować trzy punkty, które Zryw Częstochowa starał się im wyrwać.

Drużyna gospodarzy była pod ciągłą presją i w dziewięćdziesiątej minucie kompletnie zrezygnowała z dalszych ataków. Zaparkowała autobus, najwyraźniej uznając, że uratowanie remisu jest wystarczającym osiągnięciem tego wieczoru.

Benhardt kiwał i wymieniał piłki z Warskim, Jeleniem i włączającym się w akcje ofensywne Rebussem. Wysuwał się na pozycję, starał się gubić krycie, pracował też w linii środkowej.

Wszystko jednak rozbijało się o głęboko ustawionych defensorów z Częstochowy oraz ich bramkarza.

Aż do momentu, kiedy Krzysiek Sandauer urwał się kryjącemu go piłkarzowi. Miał trochę miejsca, zdecydował się na oddanie strzału z piętnastu

metrów. Piłka poszybowała na wysokości torsów zawodników kłębiących się w polu karnym i zaczęła szybko opadać.

Ben wyrwał się do niej momentalnie. Szła ku bramce, ale było jasne, że nie wpadnie do siatki.

Witek obserwował, jak jego czołowy napastnik unosi nogę z nadzieją, że sięgnie futbolówki i minimalnie zmieni jej tor, sprawiając, że ta zaskoczy bramkarza. Była to próba niemal z treningu judo.

Nie miała wielkich szans na powodzenie.

W piłce nożnej rachunek prawdopodobieństwa jest jednak często prawidłem bez racji bytu. Benhardt sięgnął futbolówki podeszwą buta, wykonując kopniaka, którego nie powstydziliby się zawodnik w klatce MMA.

Bramkarz nie miał czasu na reakcję. Nawet się nie ruszył, kiedy piłka pomknęła w kierunku jednego ze słupków.

Odbiła się od jego wewnętrznej strony, a potem skierowała wzdłuż linii bramkowej.

Rotacja sprawiła jednak, że jej nie przekroczyła.

Na stadionie rozległ się jęk zawodu, a Witek rzucił kilka wściekłych komentarzy, obracając się nerwowo i uderzając dłońmi powietrze. Tak niewiele brakowało.

Obrońcy z Częstochowy natychmiast zaczęli wyprowadzać kontrę. Nikt nie zdecydował się na wykop na dużą odległość, bo z przodu zwyczajnie nie pozostał żaden zawodnik Zrywu, który mógłby zrobić z tego użytek.

Gospodarze starali się uspokoić grę, ale przychodziło im to z wyjątkowym trudem – zgodnie z tym, co Witek tłukł do głów podopiecznym, ci grali modelowy gegenpressing. Atakowali od razu po stracie futbolówki, dając sobie jedynie pięć sekund na to, by się powiodło.

Było w tym dużo chaosu, ale stanowiło to cenę, którą warto było zapłacić.

Przynajmniej zazwyczaj.

Tym razem pech chciał, że jeden z zawodników Zrywu pokonał swojego odpowiednika i zostawił go z tyłu, a sam ruszył w kierunku bramki Olejarczyka. Reszta poszła mu w sukurs, a zmęczeni piłkarze Rewery wracali w tempie, które mogło okazać się dla nich tragiczne.

Witek wydarł się, by przyspieszyli powrót.

Na próżno.

Kilku zawodników zostało pod polem karnym Zrywu – i tyle wystarczyło, by przeciwnik znalazł się w przewadze liczebnej.

Wybijały ostatnie chwile meczu, gdy częstochowianie znaleźli się przy polu karnym Rewery Opole.

Jeden ze skrzydłowych, nie namyślając się wiele, wrzucił wysoką centrę w pole karne. Atakujący wyskoczyli wysoko i wyglądało na to, że jednemu z nich uda się uderzyć piłkę głową.

Oleo wyskoczył jednak jak z katapulty, wyciągając zamknięte dłonie do piąstkowania. Trafił w piłkę, staranował przy tym jednak zawodnika, który niemal jej sięgnął.

Ten runął na ziemię jak kłoda, Paweł rąbnął na nią obok niego. Futbolówka poleciała ku Benowi, znajdującemu się między polem karnym a linią środkową boiska.

Witek wstrzymał oddech. Wiedział, że chłopakowi tyle wystarczy.

Poradzi sobie bez trudu.

Wtedy rozległ się głośny, niemal ogłuszający gwizdek sędziego.

Już?

Krygier natychmiast zerknął w kierunku wyświetlacza. Pokazywał, że minęły dwie minuty i kilka sekund doliczonego czasu gry.

Niemożliwe, by arbiter teraz ją przerwał. Akcja była w toku, kontratak z pewnością miałby szansę na zmianę losów meczu. Nie było możliwości, by sędzia ograbił ich z tej okazji.

Dopiero wówczas do Krygiera dotarło, że był to tylko pojedynczy gwizdek.

Zaraz potem czas jakby zredukował swój bieg.

Witek obserwował, jak w spowolnionym tempie arbiter biegnie ku podnoszącemu się z murawy Olejarczykowi. Wyciągnął żółty kartonik, prostując się jak struna.

– Chyba, kurwa, żartujesz! – wydarł się Witek.

Oleo protestował, sprawiając wrażenie, jakby miał zamiar za pomocą pięści wytłumaczyć sędziemu, jak duży błąd popełnił. Koledzy natychmiast do niego doskoczyli, starając się go powstrzymać. Kilku zawodników z Częstochowy zaczęło ich odpychać, ci nie pozostali dłużni.

Arbiter zaś zrobił to, co nieodłącznie wiązało się z odgwizdaniem tego rzekomego faulu. Wskazał na jedenasty metr przed bramką.

– Pojechało cię?! – krzyknął Krygier.

Nawet się nie zorientował, kiedy zaczął biec w kierunku powstającego przy sędzim młynu. Jeden z arbitrow linowych starał się go zatrzymać, ale bezskutecznie.

– Popierdoliło cię?! – rzucił Witek.

Sędzia główny wymierzył w niego palcem wskazującym, a Krygier zacisnął zęby i zwolnił kroku. Nie stać go było na ponowne skakanie do sędziego. Federacja tym razem nie popuściłaby i wlepiłaby mu dotkliwą karę.

Starał się za wszelką cenę powściągnąć emocje. Przypuszczalnie jednak nie dałby rady, gdyby nie to, że nagle poczuł, jak ktoś mocno łapie go za rękę. Obrócił się, chcąc ją odtrącić, kiedy zdał sobie sprawę, że chwyt jest dość delikatny.

Jeszcze zanim zobaczył, że to Kala, spasował.

– Nie rób nic głupiego – rzuciła szybko.

Witek zamknął oczy i nabrał głęboko tchu.

– Jasne? – dodała córka.

– Mhm.

– Już jedną taką rzecz zrobiłeś.

– Związałem się z twoją matką?

– Rozwiodłeś się z nią – odparowała Kalina, tym samym skutecznie sprawiając, że jego emocje opadły do poziomu, gdy to on mógł je kontrolować, a nie one jego.

Zawodnicy nadal się przepychali, powoli jednak tym spokojniejszym udawało się ostudzić ich niezdrowy zapach. Dostrzegłszy, że z trenerem nie będzie problemu, sędzia zajął się piłkarzami. Szybko zrobił z nimi porządek, grożąc uniwersalnym ostrzeżeniem, że posypią się kartki.

Krygier znów zamknął oczy. Wciągnął powietrze nosem, powtarzając sobie w duchu, że nie wszystko stracone.

– Kiedy odgwizdał ten faul? – odezwał się.

– Hm? – mruknęła Kala.

– Która była minuta?

– Wydaje mi się, że jakoś dziewięćdziesiąta druga.

Licznik wtedy przestał bić, arbiter nie zaliczył tego, co działo się po gwizdku, na poczet ponadregulaminowego czasu gry. Po karnym wciąż mieli jeszcze minutę.

– Jeżeli Oleo obroni i pošle długą piłkę do przodu, wszystko jest możliwe – dodała Kalina, jakby mogła czytać ojcu w myślach.

Ten tylko skinął lekko głową. Miał wrażenie, że jeśli realnie dopuści tę ewentualność, w jakiś sposób sprawi, że taki scenariusz się nie ziści.

Jeden z sędziów liniowych podszedł do niego, nachylił się i polecił, by wrócił na wyznaczone miejsce. Witek dopiero teraz zorientował się, że stoi na murawie.

Podszedł wraz z córką do ławki trenerskiej, stanął tuż obok, potem przeszedł w inne miejsce. Po chwilowym krążeniu tam i nazad wreszcie zatrzymał się na skraju wyznaczonego mu prostokąta.

Skrzyżował ręce na piersi, obserwując, jak Ümit Hauben niesie piłkę w kierunku pola karnego Olejarczyka.

Nie spieszył się, jakby chciał sprawić, że presja na Pawle jeszcze wzrośnie. W przypadku Krygiera minęła już wszelkie dopuszczalne poziomy. Odwrócił się, nie chcąc na to patrzeć.

– Jak zrzutka? – spytał.

Kala zrobiła minę świadczącą o tym, że bez rewelacji.

Nie sposób się było dziwić. Pierwsza połowa nie mogła być porywająca dla nikogo, kto żywo nie interesował się losami klubu. Druga zaś nie dowiodła, że warto wesprzeć Rewerę Opole.

– Jeśli Oleo obroni i jednak odwalimy coś na samym końcu, ruszy z kopyta – odezwała się Kala. – Ale potrzeba nam prawdziwego cudu.

Witek wychwycił w głosie córki nutę, którą która świadczyła o tym, że dziewczyna ma jeszcze nadzieję.

On także jej nie tracił.

17

Stadion Zrywu, Częstochowa

Na trybunach nadal konkurowały ze sobą oburzenie i dziki entuzjazm wywołane podyktowaniem karnego. Wydawało się, że tumult nigdy nie ucichnie, co dopiero mówić o wygaśnięciu emocji.

Ben miał świadomość, że za moment jedna ze stron weźmie górę. Druga zamilknie, a potem ze zwieszonymi głowami opuści stadion.

Obserwował, jak Hauben kieruje się z piłką w kierunku jedenastu metrów. Oleo stał jeszcze z kolegami z drużyny, nie spiesząc się do stanięcia na linii bramkowej.

– Pokaż mi jedną stronę – odezwał się Gregor, zasłaniając usta. – Ustaw się nawet tak, żeby go skusić na uderzenie w tamtym kierunku.

– I myślisz, że coś to da? – rzucił Sandał.

– Da.

– Bo?

– Grałem z nim przez jakiś czas w Unii Kraków – odparł Szpeja. – Ten gość ma zbyt duże ego, żeby tak po prostu zrezygnować. Będzie chciał ci udowodnić, że może strzelić gola nawet tam, gdzie jakby umówiliście się, że się rzucisz.

Adam przyglądał się Olejarczykowi, starając się stwierdzić, jakie myśli krążą teraz po jego głowie. Golkiperzy w takich sytuacjach zawsze wydawali się pod znacznie mniejszą presją niż wykonawcy jedenastek.

Z jakiegoś powodu jednak Paweł bardziej przypominał tych drugich.

– Hej – odezwał się cicho Ben, dotykając jego ramienia.

Oleo zerknął na niego przelotnie, a potem skontrolował, czy sędzia aby go nie wzywa. Mieli raptem kilkanaście sekund, nie więcej.

– Możesz to wybronić – powiedział Benhardt. – A jak tylko to zrobisz, rzuć mi piłkę do przodu.

Olejarczyk uniósł brwi.

– Trener przygotowywał nas do takich rzeczy – ciągnął Adam. – Ustawię się z przodu, na linii z ostatnim obrońcą. A ty pošlij piłkę w kierunku bramki, na dobieg.

– Spoko – odparł w zamyśleniu Oleo.

Ben zaklął w duchu, spodziewając się więcej woli walki po bramkarzu. Zaraz jednak doszedł do wniosku, że jego cichy głos i zamglone spojrzenie nie są wynikiem rezygnacji. Przeciwnie, był po prostu skupiony.

Adam obejrzał się na defensorów Zrywu Częstochowa.

– Oni nie są zbyt szybcy – podjął. – Zrobię ich w sprincie, musisz tylko posłać mi w miarę dobre podanie.

Oleo pokiwał głową.

– To mamy ustalone? – dodał Benhardt.

– Mamy.

Adam klepnął go mocno w plecy.

– Pamiętaj, że to on się ciebie, kurwa, boi – rzucił. – Jak nie strzeli, będzie miał przepierdalone na całej linii. A jak ty nie obronisz, każdy zrozumie. Zero presji.

– Zero.

– Co nie zmienia faktu, że masz pokazać mu, gdzie jego miejsce.

Paweł uśmiechnął się lekko, a potem klasnął kilkakrotnie, jakby samemu zagrzewając się do walki. Dźwięk był stłumiony przez pianki rękawic, ale koledzy z zespołu natychmiast wykonali ten sam gest.

– Siła w jedności! – krzyknęli unisono.

Na ten dźwięk kibice Rewery Opole się uaktywnili, starając się przebić przez mur hałasu wznoszony przez sympatyków gospodarzy. Benhardt popchnął po przyjacielsku Olejarczyka w kierunku bramki, a potem sam się wycofał.

Stanął przy ostatnim defensorze Zrywu i z oddali obserwował to, co wydarzy się w polu karnym.

Mieli jeszcze szansę.

Jeśli Oleo zdoła wybronić i nikt nie dobije piłki, wystarczy, że ta pójdzie do przodu. Ben nie miał wątpliwości, że zgubi krycie, a potem pokona golkipera.

Z nieciekawej sytuacji wciąż mogli wyjść obronną ręką, doprowadzając do wyniku 3:2. Już nie takie rzeczy rozgrywały się w końcówkach spotkań piłkarskich.

– Skoszę cię, jak tylko ruszysz – odezwał się nagle stojący obok obrońca.

– Co?

– Jak tylko piłka pójdzie w naszym kierunku, sprowadzę cię do parteru.

Ben przelotnie zerknął na przeciwnika.

– To skończysz z czerwono – oznajmił.

– Chuj mnie to obchodzi.

Rzuczał te słowa niby mimochodem, wbijając wzrok przed siebie. Adam nie miał wątpliwości, że defensor rzeczywiście spróbuje zawczasu go unieszkodliwić. Ale nie planował pozwolić, by mu się to udało.

Obaj przyglądali się, jak Ümit Hauben poprawia piłkę jednaście metrów od linii bramkowej. Oleo rozłożył szeroko ręce, strzelił karkiem, a potem zrobił krok w swoją prawą stronę.

Zamaszystym ruchem wskazał przeciwną, zachęcając austriackiego napastnika, by ten posłał piłkę właśnie tam, gdzie zrobiło się więcej miejsca.

Hauben w żaden sposób nie zareagował. W tej tradycyjnej psychologicznej grze między bramkarzem a strzelającym zdawał się zachowywać całkowicie zimną krew.

Wziął rozbieg, a Paweł szeroko się uśmiechnął, prezentując niezachwianą pewność, że wybroni ten strzał. Ümit wciąż jednak nie patrzył na golkipera, jakby wyszedł z założenia, że ten nie istnieje.

Nie była to najgorsza strategia. Historia znała mnóstwo przypadków, kiedy bramkarzom udawało się zdekoncentrować wykonawców karnych. W galerii chwał wyjątkowe miejsce zajmował oczywiście Jerzy Dudek.

Oleo nie próbował aż tak ekstrawagancko rozproszyć uwagi rywala. Przeciągnął się jednak, jakby ziewał, po czym jeszcze raz ruchem ręki zaprosił Ümita do strzelenia w określonym kierunku.

Austriacki napastnik w końcu zerknął na bramkarza. Zrobił to jednak wyłącznie kontrolnie, zdając się nie przywiązywać większej wagi do tego, jak się ustawił ani co robi.

Rozległ się gwizdek sędziego.

Ben przygotował się do minięcia rywala i puszczenia się w długą w kierunku bramki częstochowian.

Ümit ruszył w stronę piłki, wciąż skupiając się wyłącznie na niej, nie na Olejarczyku. Rozbieg był dobry, balans ciała właściwy, a determinacja łatwo dostrzegalna. Już na pierwszy rzut oka dało się poznać, że nie będzie to jeden z karnych, kiedy wykonawca waha się o ułamek sekundy za długo.

Hauben grzotnął w kierunku przeciwnym do tego, który wskazywał mu Oleo. Ten zrobił wykrok w niewłaściwą stronę i stracił cenne ułamki sekund – miał jednak mniejszą odległość do pokonania.

Futbolówka zmierzała prosto w okienko.

Paweł rzucił się w jej stronę, wyciągając się jak struna.

Nie musnął piłki nawet opuszkami palców.

Ta minęła jego dłonie, a potem uderzyła prosto w spojenie. Przez trybuny przetoczył się jęk zawodu, futbolówka odbiła się zaś prosto w pole karne. Zapanował całkowity chaos, a Ben nie mógł dostrzec, przy czyich nogach wylądowała piłka.

Poczuł, że obrońca łapie go za koszulkę, ale odepchnął jego rękę. Zaczął się z nim przepychać, starając się stworzyć sobie okazję, by popędzić na bramkę, jeśli tylko któryś z kolegów przejmie futbolówkę.

W końcu tak się wydarzyło.

Opanował ją Rebus, który natychmiast zrobił zwód ku bocznej linii, by zyskać trochę miejsca i wydostać się z kotła. Uniósł głowę, dostrzegając Benhardta.

Ten ponownie odepchnął napierającego na niego defensora, balansując na granicy faulu.

Teraz, powiedział w duchu.

To był ten moment, kiedy wszystko mogło się zmienić.

Antek Rebski wziął zamach, przygotowując się do posłania długiego, wysokiego i prostopadłego podania na dobieg do Bena.

W tej samej chwili został skoszony przez jednego z częstochowian. Wślizg był czysty, sędzia nie odgwizdał faulu.

Piłka potoczyła się w kierunku linii końcowej, trzech zawodników natychmiast ruszyło w jej stronę. Dopadł do niej jeden z tych, którzy nie nosili pomarańczowo-białego trykotu.

Był to skrzydłowy Zrywu, który nie namyślając się wiele, wrzucił futbolówkę prosto w piłkarską magmę na polu bramkowym. Ktoś wyskoczył, wspierając się o innego zawodnika. Ktoś kogoś popchnął. Jeden z piłkarzy upadł, drugi uniósł ręce w bezbronnym geście.

Oleo wyskoczył do środkowania i udało mu się je wybić przed siebie.

– Jestem! – ryknął z oddali Benhardt.

Futbolówka nie trafiła jednak pod nogi żadnego z jego kolegów. Wylądowała tuż przy Ümicie Haubenie, który nie miał zamiaru zwlekać ani sekundy. Uderzył potężnie z pierwszej piłki po ziemi.

Olejarczyk był jeszcze w powietrzu, gdy Austriak wykonywał strzał.

Tylko łut szczęścia mógł sprawić, że futbolówka nie wpadłaby do siatki.

Tym razem go zabrakło.

Nagle sektory gospodarzy eksplodowały, cały stadion wypełnił się gromkim, dzikim wiwatem, a zawodnicy z Częstochowy popędzili w szalonym pędzie ku linii bocznej boiska.

Ben złapał się za głowę. Stał przez moment w całkowitym bezruchu, osamotniony z przodu. Pilnujący go dotychczas obrońca dołączył już do świętujących kolegów, wszyscy byli świadomi, że właśnie zakończyli ten mecz z trzema punktami.

Adam opadł ciężko na murawę, wciąż trzymając się za głowę. Oparł łokcie na podciągniętych kolanach, starając się w jakiś sposób sprawić, że cały ten harmider wokół cudownie ucichnie.

Przegrali, nie było już czasu na jakikolwiek ratunek.

Przepadły im nie tylko kluczowe punkty, ale także szansa na to, by łączyć odpowiednią kwotę. Nikt nie będzie zasilał sportowej zbiórki z litości. Jedyne, co mogło napędzać masywną falę wsparcia, to najgłębsze kibicowskie emocje – a Rewera Opole sprawiła dziś, że te nie rozgorzeją w nowych sympatykach.

– Wstawaj, żołnierzu – rozległ się głos znad Benhardta.

Ten opuścił ręce i zobaczył, że Kala stoi obok niego z wyciągniętą dłonią. Pokręcił głową, a ona opuściła rękę, rezygnując z próby pocieszenia go. Usiadła obok w podobnej pozycji. Oboje przypatrywali się rozemocjonowanym przeciwnikom.

– Ten mecz był nasz – odezwał się Ben.

– Będzie następny.

– Z takim samym pokryciem medialnym? Nie ma szans.

Kalina milczała, a on zerknął w stronę ławki trenerskiej. Witka przy niej nie było, najwyraźniej od razu po голу zszedł do szatni. Adam uświadomił sobie, że

w całym tym kociokwiku nie usłyszał gwizdka sędziego.

Ten jednak z pewnością już rozbrzmiał. Arbiter nie miał zamiaru pozwalać, by Rewera wznowiła grę od środka na sekundę czy dwie.

Siedzieli przez moment w milczeniu, podczas gdy Radek Warski i dwóch innych piłkarzy podeszło do sektora gości, by podziękować oklaskami za doping. Rozległo się buczenie, całkowicie zrozumiałe.

Nikt nie miał zamiaru udawać, że wszystko jest w porządku.

– Co z Gaudim? – odezwał się Ben. – Wiadomo już coś?

– Prawdopodobnie tylko naciągnięte ścięgno.

– Nie naderwane?

– Nie. Chyba nie – odparła i westchnęła. – Ale mamy inny problem.

Adam podniósł wzrok i powiódł nim po murawie. Doskonale wiedział, co dziewczyna ma na myśli.

– Nie dobiliśmy do założonego pułapu?

Kala właściwie nie musiała odpowiadać. Wyciągnęła rękę, jakby miała zamiar podnieść go na duchu choćby przelotnym dotykiem, ostatecznie jednak zrezygnowała.

– Ile brakuje? – zapytał Benhardt.

– Stu pięćdziesięciu tysięcy.

– Kurwa mać...

– Wiem.

Adam uderzył pięścią w murawę. Na chwilę zastygł w bezruchu, starając się opanować wzbierającą w nim złość. Mieli jedną niepowtarzalną szansę, by puścić w ruch kulę śnieżną. I zawiedli.

Obrócił głowę do Kaliny i dostrzegł, że jest nie mniej załamana od zawodników.

– Mamy jeszcze czas – odezwał się. – Uzbieramy tę brakującą kwotę.

Kala przez jakiś czas nie odpowiadała. Być może zbierała myśli, co nie było łatwe przy wciąż wiwatujących kibicach z Częstochowy. Jedynie sektory gości zaczęły pustoszeć – na pozostałych trwała feta.

– Kłopot w tym, że ten czas nam się skończył – odezwała się w końcu Kalina.

– Hm?

– Varsovia wyznaczyła deadline na jutrzejsze popołudnie.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że...

– Nic takiego się nie stało – uciał szybko Ben. – Trener by mnie o tym poinformował.

Ledwo to powiedział, zrozumiał, że w istocie Kalina byłaby pierwszą osobą, która by się o tym dowiedziała. Nie musiała nawet nic mówić. Zwiesił głowę, a potem na chwilę zamknął oczy.

– To ostateczne? – spytał.

– Obawiam się, że tak.

– Ale...

– Mają dosyć czekania – przerwała mu Kala. – I wiedzą, że im dłużej będziesz grał w barwach Rewery, tym więcej klubów wyrazi zainteresowanie. I tym szybciej twoja cena podskoczy.

– Więc niech Budczak każe im spierdalać.

– Nie może – odparła Kalina. – Potrzebuje tej kasy teraz. Czekanie będzie równoznaczne z bankructwem.

Benhardt z irytacją pociągnął nosem. Jeszcze nie docierało do niego to, że dzisiejsze wydarzenia na stadionie Zrywu Częstochowa miały dalekosiężny wpływ na całą jego karierę. Na jego życie.

– Musi być coś, co możemy zrobić – odezwał się.

Kalina normalnie podjęłaby tę rękawicę. Tym razem jednak prawie nie zareagowała.

– Zrobiliśmy wszystko, co się dało, Ben – odparła wreszcie. – Jutro po południu władze obydwu klubów spotkają się, żeby dopełnić formalności.

– Nie.

– Zaraz potem twój agent załatwi sprawę z szefostwem Varsovii – ciągnęła Kala. – Warunki macie już uzgodnione, więc zostanie trochę roboty papierkowej i twój podpis.

Znów miał ochotę zaprzeczyć, nie było jednak sensu. Wszystko to było postanowione już jakiś czas temu, kiedy stało się jasne, że tylko w ten sposób można uratować Rewerę Opole przed upadkiem.

– Sprawdź zbiórkę – poprosił.

Dziewczyna zrobiła to niechętnie, ociągając się z wyjęciem telefonu z kieszeni. Straciła nadzieję, on jednak liczył na to, że być może coś się zmieniło. Ludzie skończyli oglądać mecz, przypomnieli sobie o porannym programie, zaczęli masowo wpłacać choćby symboliczne kwoty...

– Prawie bez zmian – powiedziała Kalina.

Benhardt zacisnął pięści i znów przywalił w trawę. Potem zawiesił wzrok na stadionowym wyświetlaczu, który wciąż stanowił przykre memento tego, co się wydarzyło.

„Zryw Częstochowa – Rewera Opole. 3:2.

Ümit Hauben 90+4”.

Tak niewiele brakowało. Gdyby pozostali skoncentrowani przy stanie dwa do zera, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

– Nie myśl o tym – rozległ się głos Kali.

– O czym?

– O tym, co mogłoby być.

– A skąd wiesz...

– Bo trochę cię już znam – ucięła dziewczyna i klepnęła go w plecy.

Niby przyjacielsko, niby przelotnie. Niby od razu zabrała rękę, ale jednocześnie zdawała się zatrzymać ją o pół sekundy dłużej, niż zrobiłaby to osoba, która wykonałaby gest bez żadnego uczucia. Adam miał wrażenie, że same opuszki jej palców przemknęły po jego plecach odrobinę dłużej.

Rozchyliła lekko usta, patrząc na niego, a on po raz pierwszy na murawie nie miał pojęcia, jak się zachować.

– Ben!

Potrząsnął lekko głową, Kala zamrugła nerwowo. Oboje zdawali się wybici z jakiegoś transu, w którym niespodziewanie się znaleźli.

Benhardt dopiero po chwili zorientował się, że woła go stojący przy wejściu do tunelu Gaudi. Miał jakiś opatrunek żelowy na nodze i wykonywał ręką nerwowe ruchy, by Adam szybko do niego dołączył.

– Chyba czas na odprawę pomeczową – zauważyła Kala.

– Raczej na opierdol.

Podnieśli się w jednym momencie. Ona otrzepała spodnie, on stwierdził, że jego spodenki są już tak mocno pokryte trawą, że właściwie nie ma to sensu.

Ruszyli niespiesznie w kierunku wejścia do szatni.

– Nie opierdoli was – odezwała się Kalina.

– Skąd wiesz?

– Stąd, że spędziłam z nim trochę czasu w życiu. I wiem, jak zapatruje się na takie sytuacje.

– Czyli?

Kala zatrzymała się i złapała Benhardta za rękę. Natychmiast ją cofnęła, jakby się przy tym oparzyła.

– Mojemu ojcu nie zależy na wyniku – powiedziała. – Chce widzieć, że gracie z sercem, dajecie z siebie wszystko i naprawdę kochacie ten klub.

– Mhm.

– Dziś jest z was dumny – uzupełniła. – Cokolwiek wam tam powie, pamiętaj o tym.

Ben skinął głową, uzmysławiając sobie, że Kalina prawdopodobnie ma rację. Witek nie rzucał słów na wiatr, naprawdę zależało mu przede wszystkim na tym, by pokazali waleczność, zaangażowanie i gotowość do poświęceń. By gryźli trawę od pierwszej do ostatniej minuty spotkania – i właśnie to zrobili.

Zabrakło im nieco koncentracji, nieco szczęścia. Pewnie jeszcze kilku innych rzeczy. Ostatecznie jednak to był w stanie im wybaczyć. Nie zaakceptowałyby jedynie odpuszczenia.

Kiedy dotarli do Gaudiego, ten najpierw przelotnie spojrzął na Kalę, a potem wbił nieruchome oczy w Adama.

Już nie wyglądało na to, by gdziekolwiek mu się spieszyło.

– Idziemy? – rzucił Ben.

– Zaraz.

– Trener już na pewno...

– Poczekaj – zapewnił Łukasz, a potem sięgnął do kieszeni.

Wyjął komórkę, ale nie swoją. Smartfon należał do Benhardta.

Gaudi podał mu go niepewnie, jakby stanowił jakieś niebezpieczne narzędzie, którym mógłby wyrządzić mu krzywdę.

– O co chodzi? – spytała Kala.

Gałdecki przełknął ślinę, nie odrywając spojrzenia od Adama.

– Twój dziadek dzwonił – powiedział. – Odebrałem i poszedłem na murawę, bo pomyślałem, że tylko... tylko mu powiem, że jeszcze nie zszedłeś, i...

Ben natychmiast zrozumiał.

– Co się stało? – rzucił.

Gaudi spuścił wzrok i skrzywił się z bólu, jakby ktoś wbił mu nóż w serce.

– Twoja babcia trafiła do szpitala – powiedział. – Nie wiedzą, czy...

Urwał i nie dokończył. Nie musiał.

Witek nie zastanawiał się ani przez moment. Kiedy tylko dotarła do niego wiadomość o tym, co stało się z Barbarą Benhardt, opuścił szatnię w połowie przemowy pomeczowej i poszedł do jednego z członków sztabu, który był na stadionie.

Nie wszyscy jechali autobusem z drużyną, nie mieli tyle miejsca. Ten, do kogo zgłosił się po pomoc Krygier, przyjechał własnym autem – starym audi a4, acz z wystarczającą liczbą koni pod maską, by być w Opolu znacznie szybciej niż autokar.

Członek sztabu wiedział już, co się stało. I bez konieczności długiej rozmowy po prostu wręczył Witkowi kluczyki.

Chwilę później ten pędził z Benem w kierunku Opola. Zwolnił dopiero przy stacji w Blachowni, orientując się, że za moment będą jechali na oparach.

– Musimy zalać do baku – rzucił, a potem wbił kierunkowskaz.

– Jasne, trenerze.

Krygier szybko zjechał na Circle K, ustawił auto pod dystrybutorem i wyskoczył na zewnątrz. Obaj wciąż byli w klubowych ciuchach, przez co przyciągali uwagę właściwie wszystkich wokół.

Szczyście w nieszczęściu, że przegrali. Gdyby poniżyli tutejszy zespół, mieliby powody do czucia pewnego dyskomfortu.

Witek zalał dwadzieścia litrów i uznał, że nie ma sensu tracić więcej czasu. Pospiesznie odstawił na miejsce pistolet do tankowania, zerknął na numer stanowiska i szybkim krokiem skierował się do kasy.

Biorąc fakturę na klub, zastanawiał się, co powinien powiedzieć chłopakowi. Odciągnąć jego uwagę od babci? Czy może wręcz przeciwnie, poruszyć jej temat?

Wieści ze szpitala nie było wiele. Wystarczyły jednak, by zrozumieć, że sytuacja nie jest ciekawa.

Barbara oglądała mecz wnuka, kiedy jej serce odmówiło posłuszeństwa. Mąż wezwał karetkę, ta jednak jechała z Opola i niewykluczone, że zjawiała się na miejscu zbyt późno. Lekarze w szpitalu przy Witosa robili, co mogli, ale nie dawali żadnej gwarancji.

Witek wrócił do auta wciąż niepewny, w jaki sposób się zachować.

Na razie skupił się na tym, by chłopak czym prędzej znalazł się w szpitalu. Czasu mogło nie być wiele.

Przez moment jechali w milczeniu. W końcu przerwał je Ben.

– Moglibyśmy wyłączyć to radio – rzucił.

Krygier rzucił okiem na wyświetlacz i zorientował się, że dotychczas zupełnie ignorował dźwięki płynące z głośników. W tej chwili ktoś śpiewał o tym, że jakaś dziewczyna wygląda dla niego idealnie.

– W porządku – odparł Witek. – Jakieś preferencje?

– Może jakiś ulubiony kawałek trenera.

Krygier rzucił mu niepewne spojrzenie.

– Ma trener dobry gust – dodał szybko Benhardt, wciąż jednak trudno było przesądzić, czy robi sobie jaja, czy wprost przeciwnie.

– Dobra. To włącz Spotify.

– Robi się – odparł Adam i cierpliwie czekał, kiedy Witek zastanawiał się nad tym, co powinien wybrać.

– To będzie coś z lat osiemdziesiątych, nie? – dodał Ben.

– A jak ci się wydaje?

– Że w sumie niepotrzebnie pytam.

Krygier przebiegał w myślach wszystko, co zamierzał zagrać piłkarzom przed kolejnymi spotkaniami. Pozostało ich do końca sezonu tylko cztery. Musieli wygrać wszystkie, jeśli po dzisiejszej porażce mieli zamiar znaleźć się w strefie awansu do europejskich rozgrywek.

Szkoleniowiec odsunął od siebie wszystkie sportowe perspektywy i skupił się na tym, co tu i teraz.

– Znasz I Drove All Night Roya Orbisona? – odezwał się.

– Nie mam pojęcia. Ale pewnie tak, bo leci w jakichś windach czy innych miejscach, gdzie właściciele nie stać...

– Po prostu włącz.

Benhardt wykonał polecenie, a potem lekko się skrzywił, gdy rozbrzmiały pierwsze dźwięki.

– Cierpliwości – dorzucił Krygier. – Poczekaj, aż będzie podejście pod refren.

Słuchali w milczeniu, a Witek nie szczędził paliwa ani ewentualnych punktów karnych, dość mocno przekraczając prędkość. Jego jedynym zmartwieniem było to, że w przypadku natknięcia się na patrol stracą trochę cennego czasu.

– Romantico – odezwał się Adam.

– Hm?

– Ale większość tych kawałków taka jest.

Trener posłał mu krótkie spojrzenie.

– Widocznie ma pan jakieś braki – dodał Ben.

– Widocznie. I najlepiej by było, gdybyś ty też je miał.

Młody piłkarz wydał z siebie pytający pomruk.

– W jakim sensie? – spytał.

– W takim, że kobiety i futbol to niezbyt dobre połączenie. Zazwyczaj prowadzi do jednej tragedii za drugą.

– Lewy mógłby z panem polemizować.

Witek zawiesił wzrok na półciężarówce przed nimi, a potem przykleił się do linii oddzielającej pasy ruchu. Wychylał się, jak mógł, ale drugi kierowca nie miał zamiaru ułatwiać mu wyprzedzania, trzymał się środka jezdni.

– To wyjątek – odparł po chwili Krygier. – W większości przypadków jeśli do jednego kotła wrzucisz zawodowy sport, ogromne pieniądze i piękne kobiety, ten szybko wykipi.

– Ciekawa wizja.

– Realna – mruknął Witek. – I potwierdzona latami testów klinicznych.

– Jasne.

Trener znów zerknął na niego przelotnie, po czym wbił kierunkowskaz i dał gaz do dechy. Z naprzeciwka nadciągał jakiś samochód, ale był jeszcze w miarę daleko. Krygier zdążył schować się w porę.

– A jednak wydaje mi się, że nie to konkretnie miał trener na myśli – odezwał się po chwili Benhardt.

– Hę?

– Chodziło raczej o Kalę.

Witek starał się skupiać na drodze, ale warunki naraz stały się ku temu niesprzyjające.

– Do czego pijesz? – zapytał.

– Ja? Do niczego.

– To po cholere zaczął temat?

– Bo po prostu...

– Miałem na myśli ogólny rozkład akcentów w twoim życiu – syknął Krygier.

– Najpierw piłka, potem piłka, a na końcu piłka. Jak widzisz, nie ma tu miejsca na kobiety. Na razie.

– Może jednak trzeba by je zrobić, żeby...

– Później – uciał Witek. – I w żadnym wypadku niech ci moja córka w tym kontekście nie chodzi po głowie.

– Przecież nie chodzi.

– A mimo to o niej wspominasz.

– Bo wiem, że trener zamierzał to zrobić.

– Gównie zamierzałem zrobić – odburknął Krygier.

– To trzeba było zostać dłużej na stacji, a nie...

– Taki jesteś, kurwa, cwany?

– Czasem mi się zdarza – odparł Adam, a potem poprawił pas, jakby ten zaczął zbyt mocno opinać jego klatkę piersiową. – Tak czy inaczej moglibyśmy ustalić kilka kwestii.

Witek nie był pewien, czy w istocie chce drażnić ten temat. Chłopak zdawał się jednak korzystać z chwilowego wytchnienia dzięki rozmowie – jeszcze przed momentem, kiedy Krygier zmierzał z powrotem do auta, Ben wyglądał, jakby miał kompletnie się załamać.

– Jakich kwestii? – rzucił Witek.

– Podstawowych.

– Znaczących?

– Na przykład, czy zanim oświadczę się Kali, powinienem wcześniej uzyskać zgodę trenera.

Krygier zgromił go przelotnym spojrzeniem.

– W sensie czy zrobić to z zaskoczenia, przyklękując na jedno kolano, czy wcześniej zgłosić się i liczyć na to, że...

– Zgłosić się – uciął Witek. – Po to, żebym ci czaszkę rozpierdolił.

– Wtedy się nie oświadczę.

– Otóż to.

Przez chwilę znów jechali w milczeniu, a Spotify podsuwało kolejne kawałki Roya Orbisona. Krygier właściwie nie znał ich wiele. I niekoniecznie chciał, by po pierwszym przesłuchaniu kojarzyły mu się właśnie z tego typu rozmową.

– Myślałem też już nad imionami dla dzieci – odezwał się po chwili Ben.

Prócz wymownej ciszy nie doczekał się żadnej innej odpowiedzi.

– Witold junior brzmi dobrze, prawda?

– Hm?

– Pytałem, czy...

– Słyszałem. Tylko nie byłem pewien, czy mówisz coś do mnie, czy żujesz cegłę – uciął Witek. – Bo tak czy inaczej stracisz zęby.

Benhardt mrużył oczy, patrząc przed siebie i ewidentnie ignorując tę uwagę.

– Na jednym milusińskim nie poprzestaniemy, to więcej niż pewne – ciągnął w zamyśleniu. – I myślę, że na początku moglibyśmy się wprowadzić do trenera. Będziemy potrzebować trochę pomocy, a poza tym...

– Ben.

– Tak?

– Jak w tej chwili nie zamkniesz mordy, przysięgam, że poskładam wszystkie twoje ciuchy w kostkę. Z tobą w środku.

Adam spojrzał na niego w cokolwiek niewinny sposób, zupełnie jakby nie wiedział, z czego wynika złość trenera.

– Jasne? – dodał Krygier.

– Ale...

– Pytam, czy jasne.

– Ale podobno trener lubi wprawiać Kalę w zakłopotanie, wychodząc poza tradycyjnie pojmowaną rolę ojca i łamiąc tabu.

Witek uniósł brwi w milczeniu.

– Tylko cytuję – zastrzegł Ben.

– Domyśliłem się.

– I może to nieprawda?

– Nieprawda – odparł Krygier bez nuty wahania w głosie.

Nie doczekał się żadnej odpowiedzi, a kiedy obrócił głowę w kierunku Adama, przekonał się, że ten łypie na niego z wyraźnym powątpiewaniem.

– A jak kupił jej pan paczkę podpasek i wręczył przy innych dzieciakach na zielonej szkole? – spytał.

– Powiedziała ci o tym?

– Nie. Tak sobie strzelam w ciemno.

Witek zacisnął dłoń mocniej na kierownicy. „Incydent miesięczkowy” nie był czymś, co chętnie wspominał.

– Nie wymądrzaj się – bąknął. – I to nie było celowe.

– Rzeczywiście, takie rzeczy przecież mogą całkiem przypadkowo...

– Byłem opiekunem na tej zielonej szkole – uciął Krygier. – Kala akurat dostała pierwszej miesięczki, więc wysłała mnie po podpaski do sklepu. Uwijałem się jak w ukropie i chciałem jak najszybciej je załatwić.

– Nie musi się trener tłumaczyć.

– Nie tłumaczę się. Informuję.

Ben cicho odchrząknął, a Witek nie był do końca pewien, co ta reakcja ma konkretnie oznaczać.

– Tak czy inaczej można było poczekać – zauważył. – I niekoniecznie dawać tę paczkę na stołówce przy innych dzieciakach.

– Zamkniesz się?

– Można też było jakoś to zapakować, żeby...

– Zaraz ciebie zapakuję do bagażnika – przerwał mu Krygier. – I tam spędzisz resztę drogi.

Przez twarz Benhardta przemknął blady uśmiech, a Witek uznał, że w jaki taki sposób udało im się odciągnąć myśli od tego, co czekało chłopaka na miejscu. Zerknął na zegarek. W tym tempie za jakieś czterdzieści pięć minut powinni zajechać do szpitala przy Witosa, gdzie leżała Barbara.

– Tak poważnie, to nie mam żadnych planów wobec Kali – odezwał się po chwili Adam.

- I lepiej, żeby tak pozostało.
- Pozostanie – zapewnił Ben. – Ktoś inny zerwie jej gwint.
- Coś ty powiedział?
- Przepraszam. Miałem na myśli, że ktoś inny ją zdefloruje.

Krygier spojrział na niego rozszerzonymi oczami, a Benhardt pojął, że natychmiast powinien zmienić temat. Poruszył się nerwowo na fotelu pasażera i znów poprawił pas bezpieczeństwa.

- To z tym meczem... – podjął. – Nie poszło do końca po naszej myśli.

Witek milczał.

– Trochę daliśmy dupy – dodał Adam. – Znaczący... to może niefortunny dobór słów, biorąc pod uwagę...

- Po prostu zamilcz.
- Tak jest, trenerze.

Cisza, która znów zaległa, była znacznie bardziej niewygodna niż poprzednio. I nikt tym razem nie kwapił się, by ją przerwać. Roy Orbison nadal śpiewał, niezrażony tym, co działo się w samochodzie.

- Zagraliście dobry mecz – oznajmił w końcu Krygier.

Benhardt mruknął bez przekonania.

– To powiedziałbym wam w szatni – kontynuował Witek. – Wynik nie ma znaczenia, równie dobrze mógł okazać się inny. Ale pokazaliście, na co was stać, a ja chcę widzieć w ostatnich czterech meczach dokładnie ten sam poziom zaangażowania. I sportowe wkurwienie.

- Myśli pan, że możemy...
- Wiem, że możemy je wygrać. I że musimy to zrobić.

Adam obrócił się w jego kierunku, a z wcześniejszej wesołkowatości na jego twarzy nie pozostał już najmniejszy powidok. Niedobrze, uznał Witek. Nie był to najgorszy sposób na radzenie sobie z druzgocącą świadomością, że najbliższa mu osoba jest w szpitalu kilkadziesiąt kilometrów stąd.

– Ale jest realna szansa, że wskoczymy na wysokie miejsce? – odezwał się Ben.

- Jest. O ile wszystko wygramy.
- I chyba o ile niektórzy się potkną.

Miał rację, ale tylko połowicznie.

– Dwa ostatnie mecze gramy z Unią Kraków i Varsovią – podjął Witek. – Jeśli stracą punkty, to właśnie z nami.

- Ale nie przeskoczymy ich.

– Nie, Varsovii nawet teoretycznie, a Unii praktycznie – przyznał Krygier. – Ale możemy łyknąć dwa zespoły ponad nami, nawet jeśli noga im się nie powinie.

Adam zmarszczył czoło, a potem wyciągnął komórkę i wyświetlił tabelę Ekstraligi, zaktualizowaną po meczu Rewery ze Zrywem. Nie wyglądało to najbardziej optymistycznie, ale wciąż była szansa.

Warunek był taki, że muszą wygrać każde spotkanie. I rzeczywiście liczyć na to, że zespołom ponad nimi w tabeli nie pójdzie najlepiej.

Hipotetycznie wszystko jeszcze mogło się zdarzyć, ale wymagało to sporej dozy szczęścia. Szczęścia, któremu musieli pomóc.

Witek i Benhardt pograżyli się w analizie sytuacji w tabeli do tego stopnia, że żaden z nich nie zauważył, kiedy znaleźli się na przedmieściach Opola. Krygier przyspieszył, by szybciej znaleźć się na Witosa, a chwilę potem wysadził chłopaka pod szpitalem.

Ten wyszedł na zewnątrz, ale zamiast zamknąć drzwi, pochylił się nad samochodem.

– Poczekać na ciebie? – spytał Witek.

– Nie trzeba, dziadek na pewno przyjechał autem.

Niekoniecznie tak było, mógł przecież jechać z żoną w karetce. Krygier nie miał jednak zamiaru kreślić takiej wizji przed chłopakiem.

– Jakby co, dzwoń – oznajmił.

– Dobrze, trenerze.

Nadal się nie oddalił.

– No już, spierdalaj do środka – polecił Witek.

Widział, że Benhardt chce mu podziękować, może nie tyle za podwózkę, ile za towarzyszenie mu w tych trudnych chwilach. Chyba jednak nie bardzo wiedział jak.

– Trenerze...

– No?

– Co z moim transferem?

– Nie przejmuj się tym teraz.

Adam zacisnął usta i obejrzał się przez ramię na wejście do szpitala.

– Babcia cały czas powtarza, żeby się nie spieszyć – odezwał się.

– Ma rację.

– I obawę. Całkiem uzasadnioną.

Zasadniczo nie musiał dodawać nic więcej, wszystko było absolutnie klarowne. Barbara z pewnością była przerażona wizją tego, co mogło stać się

z jej ukochanym wnukiem. Wiedziała, jak szybki rozwój kariery podziałał na jego ojca – i całkiem sensownie musiała zakładać, że zachodzi niebezpieczeństwo powtórki.

Po prawdzie Krygier także się tego obawiał.

W trakcie swojej pracy trenerskiej, ale też wcześniej jako piłkarz, nieraz obserwował porządnych chłopaków, których nagły zastrzyk nieprawdopodobnych pieniędzy kompletnie zmieniał.

Z dnia na dzień mogli pozwolić sobie na wszystko, o czym dotychczas tylko marzyli. Początkowo była to jakaś wypasiona konsola, potem sportowy samochód, ostatecznie jakaś rezydencja. Najdroższe ciuchy, najbardziej prestiżowe marki, usługi premium i VIP właściwie wszędzie, gdzie się tylko dało.

Nikt nie myślał wtedy o tym, co taka nagła zmiana robi z mózgiem. Ani o tym, by odłożyć choćby część środków.

Granica tego, co znajdowało się w zasięgu, wciąż się przesuwiała. A razem z nią poszerzało się także spektrum tego, co było wolno.

Ostatecznie większość piłkarzy, którzy katapultowali się na szczyt, kończyła podobnie. Przynajmniej w otoczeniu Krygiera.

I obawiał się, że to samo może stać się z Benhardtem, szczególnie wzięwszy pod uwagę jego geny.

– Trenerze... – odezwał się Adam.

– No?

– Nie mogę przejść do Varsovii. Nie teraz.

Witek chciał mu obiecać, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by do transferu nie doszło. Powstrzymał się jednak. Jego wysiłki nie miały żadnego znaczenia. Deadline upływał jutro w samo południe.

– Nie przejmuj się tym teraz – odparł Krygier i wskazał wzrokiem budynek tuż obok. – Pędź do babci.

Adam skinął głową, a potem zamknął drzwi i szybkim krokiem skierował się w stronę schodów i szpitalnego podjazdu.

Witek stał chwilę na parkingu, zanim pojechał do domu. Tam otworzył piwo i w ciszy usiadł na kanapie w salonie. Sam w ciemnym mieszkaniu czuł się całkowicie wyobcowany i bezsilny.

Kilku chłopaków zadzwoniło, by zapytać, jak babcia Benhardta. Budczak też skontaktował się niby w tym celu, realnie chodziło jednak o to, jak wygląda sytuacja przed jutrzejszym deadline'em. Sondował, czy Krygier nie będzie robił problemów.

Trener może faktycznie napytałby klubowi biedy, gdyby tylko wiedział, w jaki sposób. Wykorzystał już jednak wszystkie narzędzia, a zrzutce nadal brakowało stu pięćdziesięciu tysięcy, by sprawa była załatwiona.

Problemy zdawały się piętrzyć, ale Witek nie spodziewał się, że tego wieczora niespodziewanie pojawi się kolejny.

Ktoś w szpitalu zorientował się, kogo w istocie przyjmują. Może któryś ratownik powiedział o jedno zdanie za dużo na korytarzu, może usłyszał je ktoś, kto nie powinien.

Jeszcze tej samej nocy informacja wyszła na jaw.

Lokalne media podniosły ją jako pierwszą, podając jedynie, że do szpitala przyjęto matkę legendy polskiego futbolu, tragicznego zmarłego Dawida Żerskiego.

Zaraz potem dziennikarze ustalili, że nosi teraz nazwisko Benhardt, i połączyli jedno z drugim. Ruszyła lawina.

Ani Krygier się obejrzał, cały Twitter zawrzał, a w branżowych mediach aż grzmiało. Większość nagłówków mogła brzmieć w tylko jeden, określony sposób. Niektóre były powściągliwe, inne jednak dawały upust nagłym emocjom.

„Adam Benhardt jest synem Dawida Żerskiego!”

„Zaginione dziecko Diabła z Polski to cudowne dziecko polskiej piłki!”

„Syn tragicznie zmarłego Żerskiego gra w Rewerze Opole”.

„El Diablo de Polonia zostawił nam prawdziwy diament”.

Niemal od razu zaczynały się analizy porównujące styl gry ojca i syna. Pożywka dla mediów była tak duża, że pracownicy redakcji musieli być praktycznie wyciągani z łóżek, a tempo, w jakim powstawały kolejne artykuły, kazało sądzić, że ci ludzie potrafią pisać szybciej niż internauci czytać.

Witek przejrzał tylko część. Potem sięgnął po komórkę i zadzwonił do Bena, numer jednak był zajęty.

Oduścił na jakiś czas, lejąc sobie wódki i mieszając ją z wodą gazowaną. Nie był to zbyt wymyślny trunek, ale dostarczał Krygierowi wszystkiego, czego ten potrzebował.

Do Adama dodzwonił się dopiero w środku nocy. Chłopak wiedział już o wszystkim, co się działo. Nie chciał na ten temat rozmawiać, przynajmniej nie teraz.

Witek wypytał go o stan Barbary, potem zapewnił, że w razie czego klub we wszystkim pomoże.

Rozłączył się z poczuciem, że nie powiedział dostatecznie wiele. Nie zapewnił go nawet, że wszystko będzie dobrze.

Krygier przesunął dłońmi po twarzy i utkwiał nieruchomy wzrok w mroku spowijającym mieszkanie. Starał się odsunąć od siebie konsekwencje tych wszystkich dziennikarskich materiałów i skupić się na stanie Barbary.

To w tej chwili było najważniejsze, a on musiał zrobić wszystko, co tylko w jego mocy, by babcia jednego z podopiecznych z tego wyszła. Nie miał wiele narzędzi, ale cała ta sprawa z Varsovią z pewnością nie pomagała kobiecie. Żyła w niepewności co do losu wnuka, w dodatku wszystkie te emocje meczowe dokładały się do sytuacji.

Ben przez telefon nie powiedział dokładnie, co się stało. Wspomnił jednak o słabym sercu, co samo w sobie wystarczało Witkowi do potwierdzenia tego, co zaszło.

Chciał pomóc. Czuł, że musi to zrobić.

Ostatecznie jednak stawiał się rankiem w siedzibie klubu bez żadnego planu na zatrzymanie Adama w Opolu. Pełnomocnik z Warszawy dotarł na miejsce około jedenastej, został przyjęty w stołówce. Przez dwa kwadransy rozmowa dotyczyła wyłącznie faktu, że Benhardt jest synem Żerskiego, potem przeszła na rzeczy kompletnie nieistotne i sprowadzała się do poszukiwania tematów zastępczych.

Za dziesięć dwunasta mężczyzna w końcu uderzył dłońmi w uda i zerknął w stronę korytarza, gdzie znajdowały się gabinety zarządu.

– To jak? – spytał, poprawiając zegarek na nadgarstku. – Mamy decyzję?

– Mamy – odezwała się Paulina Hejna.

Oprócz Witka przy stole nikogo nie było. Sylwester czekał w swoim biurze, gdzie mieli dopełnić formalności.

– W takim razie podpisujemy – powiedział przedstawiciel Varsovii.

Hejna skinęła głową i się podniosła, Krygier zwlekał.

– Jakiś problem, trenerze? – spytał przyjezdny.

– Nie.

– Agent piłkarza zgodził się na nasze warunki?

– Tak.

– W takim razie...

– Po prostu miejmy to z głowy – uciał Witek, podnosząc się z krzesła.

Kiedy szli w kierunku gabinetu Budczaka, złowił jeszcze wzrok Kaliny, która przy jednym ze stolików powtarzała ostatnie rzeczy przed maturami. Liczył na to, że stał się jakiś cud, dzięki któremu zbiórka przyspieszyła.

Kalina jednak tylko smętnie pokręciła głową.

Krygier przepuścił w progu gabinetu pełnomocnika Varsovii, dopiero teraz mierząc się ze świadomością, że właśnie przekraczali Rubikon. Wszedł do środka, ale zawahał się przed zamknięciem drzwi.

Zobaczył, że w stołówce ustawiło się kilku piłkarzy. Gaudi z opatrunkiem na nodze, Oleo, Rebus, Sandał i Jeleń stali najbliżej. Tuż za nimi z rękoma skrzyżowanymi na piersi znajdowali się Warski i Gregor.

Wszyscy czekali na jakiś znak od trenera.

Ten nie mógł dać im innego niż zamknięcie drzwi.

19

Stołówka, ośrodek treningowy Rewery Opole

Powietrze było nieruchome, cisza w części restauracyjnej wręcz nokautująca. Kala wlepiała wzrok w zamknięte drzwi gabinetu prezesa z nadzieją, że te za moment się otworzą, a ojciec wyjdzie na korytarz z szerokim uśmiechem.

Może jakimś cudem uda mu się przekonać resztę, że istnieje inny sposób na pokrycie długu? Będzie jeszcze w ogóle próbował?

Gorączkowo poszukując odpowiedzi na te pytania, Kalina nawet nie zauważyła, kiedy do stolika podszedł Gaudi.

– Mogę? – odezwał się.

Potrząsnęła głową i zerknęła na wszystkie materiały, którymi skrzętnie zasłala blat.

– Siadaj.

Żadne z nich nie wydawało się w nastroju do konwersacji. Oboje, zamiast na siebie, patrzyli na zamknięte drzwi.

– Jak noga? – odezwała się po chwili Kala.

– Boli.

– To dobrze. Znaczy, że nie odpadła.

– Hm?

Kalina machnęła ręką.

– Ojciec tak mi mówił, jak coś sobie zrobiłam za bachora – odparła.

– Nie brzmi, jakby był jakiś super opiekuńczy.

– Nie był – przyznała. – Czasem wydawało mu się chyba, że wychowuje syna.

Łukasz pokiwał głową w zamyśleniu, jakby rzeczywiście poświęcił chwilę na zgłębienie tej deklaracji. W istocie jednak żadne z nich nie mogłoby być dalej myślami od prowadzonej rozmowy.

– Czasem mam wrażenie, że bardziej dba o was niż wtedy o mnie – dodała Kalina.

– Coś w tym jest.

– Więcej, niż sądzisz.

Gaudi podrapał się po karku, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Oby tym razem też tak było – odparł w końcu.

Kala spojrzała na niego, a potem na zamknięty gabinet prezesa.

– Zrobił dla Bena wszystko, co mógł – powiedziała.

– Ty też.

– Co?

– Nawet więcej, niż mogłaś – dorzucił Gałdecki. – Nie powinnaś się o nic obwiniać.

– A kto mówi, że się obwiniam?

– Twój wyraz twarzy.

Kalina zbyła tę uwagę nieznacznym ruchem ręki, po czym stuknęła palcem w wyświetlacz leżącego na stole telefonu. Miała włączoną zbiorcę, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Jakby w ostatniej chwili ktoś dopłacił odpowiednią kwotę.

Brakowało jeszcze stu trzydziestu pięciu tysięcy z kawałkiem. Dla najlepiej zarabiających piłkarzy w lidze to tyle co nic. Dla upadającego klubu jednak każda złotówka była zbyt dużym wydatkiem.

Kala zastygła w bezruchu, ze wzrokiem wbitym w ekran telefonu.

– Co robisz? – odezwał się Gaudi.

– A jak sądzisz?

Nie odpowiedział, a ona szybko pożałowała obcesowego tonu. Oboje potrzebowali w tej chwili nieco wzajemnego wsparcia.

– Czytam te wszystkie wczorajsze analizy waszych dwójkowych akcji – dodała z przekąsem.

– Aha.

– Jakiś typ na Twitterze sugeruje, że tak dobrze się dogadujecie, bo w nocy komunikujecie się pozawerbalnie.

– Naprawdę?

– Nie – odparła Kalina, mrużąc lekko oczy.

Starala się przesądzić, jaka nuta właśnie zadrgała w głosie rozmówcy, ale trudno jej było stwierdzić. Gaudi zaś szybko zbył to nonszalanckim prychnięciem.

– Tak czy siak media mają rację – odezwała się Kala. – I nie zdziwiłabym się, gdybyś też dostał propozycję od Varsovii.

– Ja?

– A kto? To dwójkowe rozgrywanie na małej przestrzeni, w dodatku z pierwszej piłki, jest w stanie rozmontować każdą obronę w lidze.

Gałdecki lekko się uśmiechnął.

– Tak myślisz? – spytał.

– Zapewniam cię, że nie tylko ja – odparła, patrząc na piłkarzy, którzy wcześniej w napięciu czekali na rozwój wydarzeń w gabinecie prezesa.

Teraz zaczęli powoli się rozchodzić. Niektórzy wracali do swoich stolików, inni stawali przy ladach, za którymi ciągnął się szwedzki stół.

– Trenujecie te zagrania? – dodała Kalina.

– Nie wszystkie. W sumie chyba większość gramy instynktownie.

– Nieźle.

– Ja wiem, gdzie jest Ben, a on wie, gdzie ja. Jakbyśmy mieli na siebie jakiś radar.

Łukasz mówił nieobecny głosem, ze spojrzeniem nieruchomo zawieszonym na zamkniętych drzwiach biura Budczaka. Sprawiał wrażenie, jakby dla niego niemożność pogodzenia się z odejściem Benhardta była nie mniejsza niż w przypadku Kali.

Chciała pociągnąć temat, rzucić jakąś luźną uwagę, która doprowadzi ją do ustalenia czegoś więcej. Dostrzegła jednak wyskakujące powiadomienie z Instagrama, którego nie sposób było zignorować.

Zamarła z komórką w ręce i wstrzymała oddech.

– Co jest? – rzucił Gaudi.

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Kala?

Nadal nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa, nie mówiąc już o tym, by się poruszyć. Na dobrą sprawę nie wiedziała nawet, czy rzeczywiście widziała plaketkę z wiadomością, czy tylko sobie to przyśniła.

– Wszystko okej? – spytał Łukasz, dotykając jej przedramienia.

Potrząsnęła głową, jakby ktoś przyłożył jej elektrody do ciała.

– Dostałam wiadomość.

– Aha... – odparł ostrożnie Gałdecki. – I?

I nie potrafiła nawet powiedzieć od kogo. Z jakiegoś powodu wydawało jej się, że jeżeli to zrobi, cała sytuacja okaże się tylko złudą.

Otworzyła Instagram, a potem wyświetliła wiadomość.

„Hi,

we've heard about your situation. All our thoughts and prayers were with you from the start. And now we've realised who Adam Benhardt is. With that in mind...”

Kalina doczytała do końca, zamrugła, a potem podniosła wzrok na Gaudiego.

– Powiesz mi, o co chodzi? – zapytał.

Z trudem przełknęła ślinę, bo w jednej chwili wydawało jej się, jakby coś zaczęło ją dusić.

– Dostałam wiadomość z Barcelony – wydusiła.

– Co? Jaką?

– Że od początku przyglądają się naszej sytuacji i są z nami.

– Ale...

Gaudi urwał i nie dokończył. Sam fakt, że jeden z największych, najbardziej utytułowanych klubów w historii piłki nożnej interesował się beniaminkiem w polskiej lidze, musiał być dla niego szokiem. Z drugiej strony gdyby tragedia, która spotkała Rewerę, rozegrała się w drugiej lidze chilijskiej, też mówiłoby się o tym na całym świecie.

Futbol był uniwersalnym nośnikiem emocji – a tych wokół klubu z Opolą nie brakowało.

– Dotarła do nich wieść o Benie – kontynuowała Kalina. – Wiedzą już, że jest synem jednej z klubowych legend.

Łukasz przysunął się bliżej stołu, jakby nie chciał uronić ani słowa.

– Ale... – powtórzył. – To na poważnie?

Kala obróciła telefon w kierunku rozmówcy, by sam mógł zerknąć.

Gaudi potarł mocno kark, po czym przesunął dłoń po włosach. Dostrzegł to, co ona – niebieski znaczek weryfikacji oficjalnego konta Barcelony. Nie było szans, by była to pomyłka, podszywanie się lub żart.

– To jakieś... nierealne – odparł.

Jeśli do tej pory takie dla niego było, to Kalinie trudno było ogarnąć umysłem, co pomyśli, kiedy dowie się o dalszym ciągu wiadomości.

– Proszę o kontakt z trenerem albo prezesem klubu – dodała dziewczyna.

– P-po co?

Doskonale wiedziała, co zakolało w głowie Gaudiego. Kiedy ona zobaczyła wiadomość, też mogła pomyśleć tylko o jednym powodzie, dla którego klub z Barcelony kontaktowałby się w ten sposób.

Wiedzieli, że upływa termin deadline'u transferowego. Nie mieli zamiaru ani na agenta Adama, ani na nikogo innego z klubu. I nie zamierzali tracić czasu, licząc na to, że w tak małej drużynie jak Rewera osoba zajmująca się mediami społecznościowymi jest niedaleko trenera lub prezesa.

Mieli rację.

Kala jednak źle rozszyfrowała ich intencje. Nie miały nic wspólnego z wykupieniem Benhardta. Przynajmniej nie w tej chwili.

– Chcą zorganizować mecz charytatywny – wyjaśniła. – U siebie, tuż po zakończeniu obydwu lig.

– Mecz? Charytatywny?

Kalina potwierdziła nieprzytomnym skinieniem głowy, ledwo odnotowując fakt, że Gaudi po prostu po niej powtarza.

– Zyski z biletów zamierzają przeznaczyć na wsparcie finansowe dla Rewery – odpowiedziała.

– Czyli... czekaj...

Kala pamiętała jeszcze wyliczenia strat, które dziennikarze robili, kiedy zaczęła się pandemia i pozamykano wszystkie stadiony. W wypadku takiego meczu Barcelona zapewne wystawi drugi, może trzeci skład. Tłumów nie będzie, ale z pewnością zjawi się sporo osób chcących wesprzeć słuszny cel.

Jakie były te wyliczenia przy pełnym obłożeniu barcelońskiego stadionu? Kwota zdawała się wtedy zawrotna, choć w morzu przychodów klubu z Katalonii była tylko kroplą.

Trzy przecinek trzy miliona euro? Tak, coś koło tego. Tyle średnio wynosił przychód z biletów przy każdym meczu. Wydawało jej się, że dobrze pamięta.

Nawet jeśli zapełnią stadion tylko w części...

Zerwała się na równe nogi, chcąc pobiec prosto do gabinetu Budczaka. Poczula się jednak jak sparaliżowana, kiedy zerknęła na zegar i przekonała się, że jest trzy po dwunastej.

– Nie... – jęknęła.

Boże, nie.

Nagle wstąpiły w nią niby obce siły, które sprawiły, że wystrzeliła jak z procy w kierunku biura prezesa. Szarpnęła za klamkę, ale te okazały się zamknięte. Nie miała zamiaru pukać, zamiast tego kilkakrotnie uderzyła zamkniętą pięścią.

Wyciszenie tego typu pomieszczeń było na tyle dobre, że nie słyszała, co dzieje się w środku. Obróciła się w kierunku Gaudiego, który stał przy stoliku, podpierając się o blat. Oddychał ciężko, jakby przed momentem ścigał się w szalonym sprincie z jakimś przeciwnikiem.

W końcu drzwi się otworzyły. W progu stała Paulina Hejna, patrząc na dziewczynę z niepokojem.

– Co się...

– Podpisaliście już?

– Ale co ty...

– Podpisaliście papiery czy nie?! – krzyknęła Kalina.

Hejna lekko się cofnęła, a dziewczyna rzuciła okiem na to, co znajdowało się na stole. Teczki były zamknięte, co mogło oznaczać zarówno jedno, jak i drugie.

Witek ostrożnie podniósł się z krzesła.

– Co jest, młokosie? – spytał.

– Mamy fundusze.

– Co?

Podeszła do niego z telefonem i czym prędzej pokazała mu wiadomość, którą otrzymała. Ojciec przez moment patrzył na telefon bez wyrazu, a potem niemal wyrwał go z ręki dziewczyny i podał Budczakowi.

Prezes potrzebował chwili, by zrozumieć.

– To...

– To pewne – wyręczyła go Kalina. – Wiadomość pochodzi z oficjalnego konta.

Wszyscy zdawali sobie sprawę, o jakich pieniądzach mowa. Wiedzieli też, że barceloński klub często organizuje charytatywne akcje, także mecze, zbierając na określony cel. Nie był to wyjątek.

– Podpisaliście tę umowę czy nie? – spytała Kala, gromiąc wzrokiem Sylwestra.

Budczak spojrzał na kompletnie zdezorientowanego przedstawiciela Varsovii. Potem powoli, spokojnym ruchem odłożył komórkę na stół. Posłał krótkie spojrzenie Paulinie, która najwyraźniej podczas tego spotkania wiodła prym.

Kala czuła, jak serce niemal się jej zatrzymuje.

– Nie – odparła Hejna. – I nie zamierzamy tego robić.

PÓŹNIEJ SEZON 2022/2023

Via Laietana, Barcelona

Ramón Pérez przez ostatni kwadrans wyciągał z chłopaka szczegóły, których ten pod żadnym pozorem nie powinien podawać. Kiedy na komisariacie przy via Laietana zjawi się jakiś prawnik, będzie ciskał gromami zarówno w klienta, jak i podinspektora.

Pérez miał to w dupie. Dostał wszystko, czego potrzebował, a Polak przekazał mu wszystko dobrowolnie. Ramón nie sięgał po żadne manipulacje, wybiegi ani groźby. Po prostu pytał.

Wytrwale, do skutku.

Dzięki temu dowiedział się, że sytuacja miała miejsce w pięciogwiazdkowym hotelu przy Carrer del Duc. Ledwo poznał numer pokoju, wysłał tam swoich ludzi, samemu decydując się zostać z chłopakiem. Mógł wyciągnąć z niego coś jeszcze, ten bowiem w swoim otępieniu naprawdę uwierzył, że policjant jest po jego stronie.

To, co zastali na miejscu funkcjonariusze, będzie śniło się po nocach przynajmniej kilku z nich.

Całe łóżko było zalane krwią, która ściekała na podłogę.

Leżał na nim zmasakrowany mężczyzna, a w pokoju była jeszcze jedna osoba. Kobieta.

Zamknęła się w łazience, była w głębokim szoku. Musiała wypić albo wziąć mniej więcej to, co chłopak siedzący na komisariacie, bo praktycznie nie było z nią kontaktu. Długo nie otwierała drzwi do łazienki, była kompletnie przerażona.

Sprawa nie wyciekła jeszcze do mediów, Ramón przypuszczał jednak, że z samego rana tak się stanie.

Przepytywał chłopaka jeszcze przez moment, zanim rozległo się pukanie do drzwi. Otworzyła je jedna z młodych funkcjonariuszek w stopniu oficial de Policía, Nuria García. Skinęła na przełożonego nerwowym ruchem głowy, a ten przeprosił chłopaka i wyszedł do pokoju kryjącego się za lustrem weneckim.

– Prawnik przyjechał – oznajmiła García.

Pérez zaklął cicho.

– Już? – spytał. – Skąd wiedział?

– Klub go wysłał.

– Jaki klub?

– Nasz.

– Barcelona? – rzucił Ramón, marszcząc czoło. – A co oni mają z tym wspólnego?

– Cóż... Chłopak nosi ich koszulkę, panie inspektorze.

Pérez spojrział na nią w sposób, który kazał sądzić, że ten detal dotychczas jakimś cudem mu nie umknął.

– Nie słyszał pan o meczu charytatywnym z polskim zespołem? – spytała Nuria.

– Nie.

Szybko nakreśliła mu historię, poczynając od tragicznego wypadku, w którym śmierć poniosła niemal cała drużyna, aż po walkę o europejskie rozgrywki prowadzoną przez nowy zespół, składający się głównie z młodych chłopaków i półprofesjonalistów. Owca

Ramón mógł sobie wyobrazić, że ci ludzie nie udźwignęli presji.

– W hotelu panuje już kompletny chaos – dodała García. – Cała polska drużyna chce wiedzieć, co się stało, ale...

– Niech nasi tam nikogo nie wpuszczają.

Nuria potwierdziła służbowym skinieniem głowy.

– Nie wpuszczają – zapewniła. – Ale ich trener ustalił, kogo brakuje, i natychmiast skontaktował się z władzami klubu. Przyjechał prawnik Barcelony.

Nie najlepiej, skwitował w duchu Pérez. Choć nawet największy cudotwórca nic nie wskóra po tym, jak chłopak wyśpiewał praktycznie wszystko podczas oficjalnego przesłuchania.

– Ustaliliście już, kim jest ofiara? – zapytał Ramón.

– Tak jest – odparła Nuria. – To jeden z zawodników tego polskiego zespołu.

Pérez obrócił się w kierunku lustra weneckiego i wbił wzrok w pogrążonego w marazmie chłopaka.

– Nieźle, prawda? – dodała García.

– Hm?

– W sensie, że to jego klubowy kolega. Naprawdę nie wiem, co musiał zrobić, żeby...

– Czasem niewiele trzeba – uciął Ramón, krzyżując ręce na piersi. –
Zwyrodnialcy nie potrzebują powodów, żeby atakować swoje ofiary.

WCZEŚNIEJ
SEZON 2021/2022

27–30 KOLEJKA

1

ul. Witosa, Opole

Tadeusz Benhardt nigdy nie był mistrzem w stawianiu oporu swojej żonie. Niekiedy udawało mu się zachować pozory, ostatecznie jednak zawsze się ugiął. Zupełnie tak jak teraz.

– Włącz – poleciła Barbara.
– Naprawdę nie powinnaś...
– Chcę zobaczyć, jak radzi sobie Adaś – ucięła, starając się wesprzeć na rękach.

Nie miała siły nawet na to i od razu wróciła do pozycji leżącej. Szpitalne łóżko wydało metaliczny jęk, a na twarzy żony zarysowała się kompletna bezradność.

– Proszę cię, Tadek – zaapelowała.
– Lekarze mówili, żeby...
– Lekarze zawsze mówią – przerwała mu. – Ale od ich gadania jeszcze nic dobrego mnie nie spotkało.

– Za to od ich działania tak. Uratowali ci...
– Włączże ten mecz – poleciła, wskazując stanowczym wzrokiem telewizor. – Albo wypiszę się stąd na własne życzenie i obejrzę go w domu.

Tadeusz niechętnie podniósł się z krzesła przy łóżku, na którym ostatnimi czasami spędzał więcej czasu niż gdziekolwiek indziej. Wiedział, że żona nie rzuca słów na wiatr – i Bóg mu świadkiem, że byłaby gotowa wyjść ze szpitala, byleby postawić na swoim.

Włączył odbiornik i westchnął ciężko.
– Jeszcze niedawno nie byłaś w stanie choćby spojrzeć na murawę – zauważył pod nosem.
– Co tam dukasz? Nie słyszę.

– Że jeszcze niedawno...

– Niedawno minęło – ucięła. – Teraz dostałam drugie życie. I nie zamierzam zmarnować go, nie wiedząc, co robi mój wnuk.

– No dobrze, ale...

– Nie ma żadnego „ale” – przerwała mu Barbara i obróciła głowę w kierunku krzesła. – Siadaj i oglądaj. Zaraz zaczną.

Tadeusz opadł ciężko na swoje miejsce. Zajmujący się żoną lekarze jasno dali do zrozumienia, że nie powinna śledzić poczynañ wnuka na murawie.

– Doktor Jastrzębski mówił, że trzeba unikać sytuacji...

– Mówił, mówił. Nie mnie pierwszej i nie ostatniej.

– ...sytuacji, w których twój układ nerwowy jest obciążony.

– To ich unikaj – poradziła Barbara. – I przestań gadać.

Sięgnęła w kierunku szafki, ale Tadeusz ją uprzedził, podnosząc futerał z okularami. Założył je żonie, a potem sam obrócił się w kierunku telewizora.

Była dwudziesta siódma kolejka polskiej Ekstraligi.

Rewera podejmowała dziś u siebie Kotwicę Gdańsk, plasującą się w tabeli tuż nad klubem z Opola. Między zespołami nie było różnicy punktowej – Kotwica miała za to korzystniejszy bilans bramek.

Dzisiejsze spotkanie było walką o to, by mieć jeszcze szansę na zagranie w europejskich rozgrywkach. Zarówno dla jednej, jak i drugiej strony – ta bowiem, która poniosłaby porażkę, zostałaby praktycznie wyeliminowana z wyścigu do pierwszej czwórki w tabeli.

Rewera wchodziła w ten mecz na znacznie gorszych warunkach. W ostatnich dwunastu meczach, w których była prowadzona przez Krygiera, odniosła zaledwie trzy zwycięstwa i jeden remis. Po ostatniej porażce ze Zrywem Częstochowa zaś nikt nie typował jej na faworyta tego spotkania.

– Zrób głośniej – odezwała się Barbara.

Tadeusz rozejrzał się po sali, żadna z leżących obok kobiet nie zaoponowała. Z jednej strony mógł wziąć to za dobry omen, z drugiej zachodziło prawdopodobieństwo, że im się narazi. Ilekroć wchodził do sali, wydawało mu się, że trwa tutaj jakaś niewypowiedziana wojna.

– Słyszysz?

– Może najpierw zapytamy...

– Jak chcesz – ucięła Barbara i przewróciła oczami.

Tadeusz cicho odchrząknął, by zwrócić na siebie uwagę pozostałych kobiet, które aż do teraz udawały, że nie przysłuchują się ich rozmowie. Podniósł się niepewnie, wspierając o oparcie krzesła, a to wydało cichy jęk.

- Oj, niechże pan po prostu pogłośni – odezwała się jedna z kobiet.
- I da żonie normalnie obejrzeć ten mecz – dodała druga.
- Stawiam dwa do jednego dla naszych – dorzuciła trzecia.

Tadeusz uśmiechnął się lekko, a potem zrobił głośniej i wrócił na swoje miejsce.

– Mecz prawdy – rzucił komentator, kiedy piłka poszła w ruch. – Zwycięska drużyna będzie wciąż w walce o czołowe miejsce w tabeli. Przegrany praktycznie straci na to jakiegokolwiek szansę.

– To prawda – poparł go były piłkarz, który komentował w parze z dziennikarzem. – Rewera Opole z pewnością ma nieco trudniejsze zadanie, biorąc pod uwagę, że w jej składzie brakuje motoru napędowego, jakim był w ostatnich spotkaniach Łukasz Gałdecki.

– To od niego zaczynała się większość sytuacji bramkowych.

– W dodatku dwójkowe rozgrywanie z Benhardtem było właśnie tym, czym opolanie zagrażali najbardziej.

– Skoro już o nim mowa – podjął komentator. – Będziemy mogli przekonać się, jak silną ma psychikę.

– Jak państwo zapewne wiedzą, babcia tego piłkarza znajduje się obecnie w szpitalu.

Tadeusz kątem oka dostrzegł, że jego żona się poruszyła, a pozostałe kobiety rzuciły jej przelotne spojrzenie.

– W dodatku media nie ustają w omawianiu tematu jego ojca – dodał były sportowiec. – W studiu przedmeczowym nasi koledzy...

– Teraz jednak liczy się to, co na murawie! – przerwał komentator, jakby nagle orientując się, że akcja przeniosła się pod bramkę gdańszczan. – Jeleniewski z piłką, oddanie do Warskiego. Warski. Minał jednego, czy poradzi sobie z drugim? Do Rebskiego, który ma trochę miejsca na oddanie strzału... Rebski... Rebski!

– Ajjj.

– Ajajaj. Blisko, bardzo blisko.

– Gdyby lepiej przymierzył.

– Oddał strzał w pełnym biegu. Ale ta akcja pokazuje, kto będzie rozdawał karty w tym pojedynku.

Optymizm komentatorów okazał się nieco na wyrost. Mimo dobrego początku tempo meczu szybko siadło, a ten, kto miał zrobić różnicę, nie był pod piłką. Ben nie szukał podań, nie stwarzał sobie okazji, nie pracował w pressingu tak, jak oczekiwał tego od wszystkich swoich podopiecznych trener.

Gdyby Tadeusz obserwował to samo spotkanie w wykonaniu jakiejś innej drużyny, prawdopodobnie by usnął. Emocje sprawiały jednak, że siedział na skraju krzesła, przynajmniej trzy lub cztery razy niemal się z niego zrywając.

Ilekcioć działo się coś, co mogło skutkować zdobyciem lub utratą bramki, zerkał na żonę. Nie wyglądała najlepiej. Miał wrażenie, że poblądła, od kiedy rozległ się pierwszy gwizdek. I od razu pożałował, że tak łatwo uległ.

Po przerwie Adam nadal był niemal całkowicie niewidoczny. Defensorzy stosowali szczelne krycie, a on nawet nie próbował ich zgubić. Podania od kolegów do niego nie docierały, a on wykazywał minimalną inicjatywę.

W siedemdziesiątej piątej minucie Krygier ściągnął go z boiska, zastępując rezerwowym napastnikiem.

– Co się z nim dzieje? – odezwała się jedna z pacjentek.

Tadeusz najpierw spojrział na żonę, potem na nią. Nie musiał nic mówić, odpowiedź była oczywista.

Trener przyciągnął go do siebie i poklepał po plecach, kiedy Ben mijał go w drodze na ławkę. Ledwo na niej usiadł, Kalina podeszła do niego i przykucnęła obok. Zaraz potem kamera znów pokazała boisko.

Tuż przed dziewięćdziesiątą minutą Kotwica przeprowadziła niebezpieczny atak prawą flanką. Schodzący do środka zawodnik skupił na sobie zbyt dużą uwagę obrońców, po czym oddał piłkę na drugą stronę boiska, do niekrytego kolegi.

Ten przyjął, wysuwając sobie piłkę, i solidnie uderzył.

Futbolówka pomknęła w kierunku bramki, a Tadeusz miał ochotę zamknąć oczy. Nie, drogi Boże, nie. Marzenia o zajęciu dobrego miejsca w tabeli i grze w europejskich pucharach nie mogły się w ten sposób zakończyć.

Oleo jednak sparował uderzenie.

– Rebski przy piłce! – rzucił komentator. – Rusza na przełaj, gdzie są partnerzy? Zwód... Mija kryjącego go zawodnika.

– Powinien posłać piłkę do przodu.

– Wybiera jednak spowolnienie akcji. Oddaje piłkę nabiegającemu koledze, dobrze w tempo. Teraz to Jeleń...

– Warski.

– Rzeczywiście, doszło tu do zmiany stron. Kapitan Rewery ma piłkę i nie zawaha się jej użyć. Długie podanie na Szpeję. Szpeja!

– Niefortunne przyjęcie.

– Nie zabrakło jednak szczęścia, udało mu się wyłuskać piłkę! Zwrot w kierunku bramkarza, ten musi wyjść, żeby skrócić kąt i... Szpeja! Szpeja!

Gooooool!

Tadeusz niemal wyskoczył z uniesionymi rękoma. Fakt jednak, że żona przyjmowała to wszystko bez żadnych emocji, sprawił, iż w ostatniej chwili się zmitygował.

Komentator właściwie nie krył swojej sympatii do Rewery, być może słusznie. Tadeusz nie przepadał za tymi, którzy udawali obiektywizm, wołał, kiedy grano w otwarte karty. Każdy miał jakieś sympatie. Skrywanie ich wydawało się niepotrzebną obłudą.

Oderwał wzrok i położył rękę na ramieniu żony. Barbara ciężko oddychała.

– Basiu?

Uniosła rękę i wykonała uspokajający gest, ale Tadeusz widział, że z trudem łapie powietrze.

– Basieńko? – jęknął.

Podniósł się, zanim odpowiedziała. Miał wrażenie, że nie byłaby w stanie.

– Sostro! – krzyknął, podnosząc się z krzesła. – Proszę wołać lekarza! Szybko!

2

ul. Wygonowa, Opole

Kala zamówiła taksówkę od razu po tym, jak dowiedziała się, co stało się w szpitalu. Opuściła z Benem stadion, starając się jakoś go uspokoić. Na próżno. Odchodził od zmysłów, roztaczał najczarniejsze scenariusze – a fakt, że jego dziadek nie odbierał telefonu, tylko pogarszał sprawę.

W końcu stwierdził, że nie będzie czekał, i puścił się pędem w stronę Witosa. Stadion znajdował się nieopodal szpitala i właściwie szybkim sprintem Adam znajdzie się tam pewnie szybciej, niż taksówka zdąży podjechać po Kalę na Wygonową.

Chwilę później Kalina wsiadała do samochodu niepewna, czy dobrze robi. Nie miała pojęcia, co dzieje się z Barbarą ani czy Benhardt w ogóle życzy sobie jej obecności.

Był to jednak impuls. Ledwo dowiedzieli się, co się stało, oboje zerwali się z ławki i popędzili ku wyjściu.

Kala dotarła na Witosa, jeszcze zanim rozbrzmiał ostatni gwizdek. Zlokalizowała właściwe piętro, a potem usiadła na korytarzu niedaleko sali,

w której leżała babcia Bena. Czekala, tracąc poczucie czasu.

W końcu dostrzegła Adama, który wyszedł na korytarz i się rozglądał. Wciąż był w stroju Rewery, co w jakiś sposób sprawiało, że sytuacja zdawała się jeszcze bardziej dramatyczna. Kalina od razu się podniosła.

– Co z nią? – spytała.

Benhardt podszedł do dziewczyny i z ulgą odetchnął.

– Oglądała mecz, chociaż lekarze jej zabronili.

– Kurde...

– To uparta kobieta.

Kala spuściła wzrok.

– Która jeszcze niedawno w ogóle nie chciała zbliżyć się do piłki nożnej – powiedziała.

– Hm?

– To moja wina.

– O czym ty...

– To ja ją przekonałam. Gdyby nie to, teraz siedziałyby w domu z twoim dziadkiem i relaksowała się przy kompcie i kawałku ciasta.

Ben zmrużył oczy i postąpił krok w jej kierunku.

– A Adam dalej biegałby po murawach z wystającymi zraszaczami do trawy – rozległ się głos z progu sali.

Oboje natychmiast obrócili się w kierunku Tadeusza. Stał oparty o framugę, jakby nie miał siły, by bez podpórki utrzymać się na nogach. Zmusił się do bladego uśmiechu, co uwydatniło zmarszczki na jego twarzy. W jakiś sposób jego niepokój także stał się wyraźniejszy.

– To niczyja wina – dodał. – A jeśli chcesz przypisywać jakiegokolwiek znaczenie temu, co zrobiłaś, to rób to jedynie w kategoriach przysług.

Kalina nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Zmieniłaś życie nas wszystkich – ciągnął Tadeusz. – A mojej żonie dałaś nowe. Bez względu na to, jak długo będzie trwało, powinnaś wiedzieć, że jest ci za to ogromnie wdzięczna.

Dopiero teraz Kala zobaczyła w jego oczach łzy. Nie spodziewała się tak otwartej rozmowy o śmierci. Natychmiast spojrzała na Bena, ale ten odwrócił wzrok.

Naraz zrozumiała.

Obaj rozmawiali z lekarzami. I ci nie mieli dobrych wieści do przekazania.

– Co... – zaczęła, ale nie potrafiła dokończyć.

Przez moment trwała całkowita cisza, a Kalina miała wrażenie, że dopiero teraz dostrzega personel medyczny spieszący po korytarzach, czuje drażniący zapach szpitalnych środków dezynfekcyjnych i słyszy pokasływanie z sal, w których leżeli chorzy.

– Jej serce jest słabe – odezwał się w końcu Tadeusz. – Lekarze mówią o niewydolności, kardiomiopatii.

– Ale... musi być coś, co...

– Nie w tym wieku – uciął.

Wsparł się ręką o framugę i wyprostował. Powoli zbliżył się do dziewczyny i ostrożnie położył jej rękę na ramieniu, jakby obawiał się, że ją spłoszy.

– Bardzo chciałaby z tobą porozmawiać, tylko nie teraz – powiedział. – Jak odzyska trochę sił, dobrze?

– Oczywiście...

– Jeżeli zostawisz mi swój numer, to...

– Dam ci go, dziadek – przerwał Benhardt i odchrząknął, najwyraźniej orientując się, że głos nieco ugrzęzł mu w gardle.

Tadeusz pokiwał głową, przesunął dłonią po ramieniu Kaliny, a potem skłonił lekko głowę i wrócił do żony.

Kala i Ben zostali sami, ze wzrokiem wbitym prosto w siebie. W końcu to on potrząsnął głową, wyrывая ich z nagłego otępienia.

Kalina nie wiedziała, co powiedzieć. Nie miała doświadczenia w tej materii, a wszystkie słowa wydawały się nieodpowiednie. „Przykro mi”? Nie chciałaby słuchać takich bzdur, gdyby była na jego miejscu.

Właściwie niczego by nie chciała. Jedynie zapaść się pod ziemię i zniknąć.

– Naprawdę nie można nic zrobić? – odezwała się w końcu.

– Na dłuższą metę? Nie.

– Ale...

– Będą podawać jakieś leki, zostanie na trochę w szpitalu – uciął Adam. – Wzmocni się, a potem wróci do domu.

Kala chciała zapytać, jak wiele czasu jej dają, ale nie sądziła, by przeszło jej to przez gardło.

– Od dawna się leczy – dodał Benhardt i opadł ciężko na krzesło. Przesunął dłońmi po włosach i zwiesił głowę. – Ale nie miałem o tym bladego pojęcia.

Dziewczyna usiadła obok i milczała.

– Lekarze mówili o postępującej od lat miażdżycy – dodał Ben. – I chorobie wieńcowej.

– Jezu...

Kalina nie była w stanie sięgnąć po nic więcej od pełnego smutku mruknięcia. Nawet to wydawało jej się w jakiś sposób niewłaściwe.

Adam w końcu klepnął dłońmi w uda i wypuścił głośno powietrze ustami.

– Jak mecz? – spytał.

– Naprawdę chcesz o tym teraz gadać?

– Tak. Zdecydowanie.

Dopiero teraz zorientowała się, że nawet nie sprawdziła wyniku. Siedziała tu dość długo, jej myśli jednak zawisły w jakimś abstrakcyjnym miejscu, gdzie czas nie istniał.

Wyjęła telefon i sprawdziła rezultat.

– Jeden zero dla nas po tej bramce Gregora – powiedziała.

– Rośnie nam nowa gwiazda.

Kala obróciła się do niego i położyła mu rękę na plecach.

– Ben...

– Hm?

– Nie musisz udawać, że wszystko jest okej. Nie masz przed kim.

Wbił wzrok przed siebie, a ona odniosła wrażenie, że nawet nie odnotował dotyku. Pokiwał powoli głową, jakby uzmysławiał sobie, że faktycznie może przez moment pozwolić sobie na bezbronność.

– To wciąż do mnie nie dociera – powiedział cicho.

– Wiem.

Powoli zaczęła gładzić jego plecy, nawet sobie tego nie uświadamiając.

– Widziałem jakieś opakowania po lekach, ale... – Urwał i syknął z irytacją.

– Jak pytałem, co to jest, zbywali temat. Nie wiedziałem, nie miałem pojęcia, że to tak zaawansowane.

Kala na moment zamknęła oczy, zaciskając mocno powieki. Kiedy je podniosła, zobaczyła, że Adam na nią patrzy.

– Nic nie zrobiłaś – odezwał się.

Nie odpowiedziała.

– To i tak postępowało, okej?

– Okej.

– Prędzej czy później i tak by do tego doszło, lekarze sami o tym mówili.

– W porządku.

– Mówię poważnie – zastrzegł, obracając się do niej. – Jak zaczniesz mi się tu obwiniać, jeszcze dzisiaj dzwonię do Varsovii i mówię, że jednak chcę przejść.

Uśmiechnęła się blado, a przynajmniej tak jej się wydawało. W istocie jej kąciki ust tylko lekko drgnęły.

- I skąd myśl, że to miałyby mi przeszkadzać? – spytała.
- Bo walczyłaś o mnie jak Szpeja o centrę wrzucaną prosto na mnie. Tym razem poczuła szerszy uśmiech i bezradnie pokręciła głową.
- Tak bym tego nie nazwała.
- A jak?
- Robiłam, co trzeba, dla dobra klubu.
- Aha.
- Co „aha”?
- Nic – odparł Ben.
- Brzmiało, jakbyś śmiał powątpiewać, że...

Urwała, orientując się, że ktoś się przy nich zatrzymał. Kątem oka rozpoznała ojca i oboje w jednym momencie się od siebie odsunęli. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo się zbliżyli.

Patrzyli sobie w oczy z odległości kilku centymetrów, a ona trzymała rękę na jego plecach.

- Jak babcia? – zapytał Witek.

Benhardt wyprostował się, jakby miał odpowiedzieć na pytanie trenera rzucające podczas pomeczowej odprawy.

- Mówi, że przeżyje nas wszystkich – powiedział.

Krygier cicho się zaśmiał, ale nie udało mu się ukryć smutku.

- To akurat by mnie nie zdziwiło – odparł, a potem usiadł obok Kali i Bena.

Przez jakiś czas trwali w milczeniu, raz po raz zerkając w kierunku sali. W końcu Adam wszedł do środka, spędził tam trochę czasu, a gdy wrócił na korytarz, sprawiał nieco lepsze wrażenie. Kolory choć trochę mu wróciły.

- Co trener w ogóle tu robi? – spytał, patrząc na Witka z góry.

– Siedzę.

- Ale przecież odprawa i...

– Nie ucieknie.

Kalina widziała w oczach Adama wdzięczność, ale także dojmujące poczucie bezradności w jej wyrażaniu.

Wszyscy piłkarze, których znała, byli dość afektywni w gestach. Potrafiliby ścisnąć się jak najbliższa rodzina, nawet jeśli znali się tylko z boiska. Popieranie tej zażyłości słowami z jakiegoś powodu jednak stanowiło dla nich problem. A w przypadku relacji Bena z jej ojcem z jakiejś przyczyny było jeszcze ciężiej.

Kala i Witek zostali w szpitalu tak długo, jak mogli, po czym musieli wysłuchać ze strony personelu delikatnego przypomnienia, że nie są rodziną.

Wsiedli do beżowej octavii, którą Krygier zostawił na parkingu, a potem przez moment milczeli.

- Odwiozę cię do matki – powiedział w końcu Witek.
- Nie trzeba. Będę spała u ciebie.
- Okej. To podrzucę cię i wrócę jeszcze na trochę do ośrodka, bo...
- Jadę z tobą.

Ojciec zerknął na nią, jakby miał zamiar polemizować. Ostatecznie jednak przypomniał sobie, jakie jest prawdopodobieństwo tego, że skończy się to dla niego dobrze.

Mimo to nie przekręcił kluczyka w stacyjce.

- To może być dla niego za dużo – odezwał się.

Kala przygryzła dolną wargę i trwała w bezruchu.

- Stan jego babci i fakt, że prawda o ojcu wyszła na jaw... – dodał.
- Poradzi sobie.
- Jesteś pewna?
- Tak.
- Na ile?
- Na tyle, żebyś nie zastanawiał się, czy go wystawić w kolejnym meczu.

Witek wciągnął głęboko powietrze nosem i przytrzymał je w piersi. Sprawiał wrażenie, jakby zamierzał uzyskać od córki jeszcze kilka podobnych zapewnień. Ostatecznie jednak się nie odezwał, a Kalinie trudno było przesądzić, co to konkretnie oznacza.

Nie miała zamiaru dopytywać. Musiała uzbroić się w cierpliwość.

W centrum szkoleniowym Rewery przy Sosnkowskiego próżno było szukać piłkarzy, część sztabu szkoleniowego znajdowała się jednak na terenie ośrodka. Na gorąco omawiano mecz, przygotowywano się do kolejnego.

Byli już na finiszu tegorocznej kampanii. Dzięki zwycięstwu z Kotwicą Gdańsk musieli przeskoczyć ten klub w klasyfikacji, a to oznaczało, że są obecnie na siódmym miejscu. Ostatnia prosta. Trzy mecze do rozegrania.

Kala weszła za ojcem do jego gabinetu, po czym rozgościła się na tyle, że swobodnie zajęła fotel przy biurku i otworzyła laptopa.

- Przejmujesz dowodzenie w klubie? – bąknął.
- Dawno to zrobiłam.

Witek wyciągnął z szafki dwie szklanki, do jednej nalał wody, do drugiej czystej wódki.

- Może najpierw zdaj maturę, co? – rzucił pod nosem.
- Taki mam zamiar.

– To powinnaś trochę się pouczyć.

– Zaraz.

– Zaraz to masz polski – odparł z nietypową dla siebie stanowczością. – Kiedy to dokładnie wypada?

– Po dwudziestej dziewiątej kolejce.

Ojciec skinął głową, a jej przeszło przez myśl, że rozpatrują czas w nie do końca typowy sposób. Nie zamierzała jednak ciągnąć tematu. Czuła się przygotowana do matur, bardziej martwiła się o Bena.

Przy wszystkich treningach, którymi ojciec torturował swoich podopiecznych, nie mogło zostać mu wiele energii do nauki. Czasu, owszem. Ale trudno było sobie wyobrazić, by wracając wycieńczony do domu, miał jeszcze siły, by powtarzać elementy impresjonizmu w literaturze okresu Młodej Polski.

Teraz zaś w ogóle nie to będzie mu w głowie.

Kala wyświetliła statystyki meczowe, starając się skupić na czymś, co nie wprawiało jej w głęboką trwogę. Kątem oka zauważyła, że wyświetliła jej się tabela Ekstraligi po dwudziestej siódmej kolejce.

– Tato...

– Nie nalałem dużo.

– Nie w tym rzecz – ucięła. – Spójrz na to.

Podszedł do niej i oparł się jedną ręką o fotel biurowy, drugą o blat biurka. Tak pochylony, zerknął na to, co znajdowało się na ekranie.

– Nie pierdol – wymusnęło mu się.

– Ekhm.

– Znaczy...

– Jesteśmy na szóstym miejscu – ucięła, jakby fakt, że powie to głośno, dopiero urealniał sytuację. – Olimpia Wrocław przegrała dwa jeden z Bzurą Łódź i spadła o jeden punkt poniżej nas.

– Dzięki ci, Panie...

Dziewczyna natychmiast wyświetliła terminarz nadchodzących spotkań klubu prowadzonego przez ojca.

Złota trójca na zakończenie sezonu.

Rewera Opole – Sparta Lublin.

Unia Kraków – Rewera Opole.

Rewera Opole – Varsovia Warszawa.

Ostatnie spotkanie z klubem ze stolicy zakończyło się dotkliwą porażką cztery do zera. W przypadku tego z Małopolski rozmiar klęski był jeszcze

większy. To właśnie po meczu z Unią Kraków, zakończonym niemal rekordowym wynikiem zero do siedmiu, ojciec miał stracić posadę.

Ze Spartą grała w Lublinie jeszcze poprzednia Rewera. Wtedy była faworytem, pokonywała jednego przeciwnika po drugim. W tej chwili trudno było powiedzieć, czy bukmacherzy dadzą im jakiegokolwiek szansę.

– Jeśli wygramy wszystkie trzy mecze... – zaczęła Kala.

– To pójdę na kolanach na dziękczynną pielgrzymkę do Częstochowy, zawieszę zdjęcie Łysego nad łóżkiem i uznam wyższość siatkówki nad piłką nożną.

– Tato...

Krygier machnął ręką, zbywając sarkastyczny pesymizm, który wlał się w niego razem ze szklanką wódki.

– Musisz wierzyć – rzuciła Kalina. – Jak nie ty, to kto? Plus twoi piłkarze wyczuwają najmniejsze wątpliwości.

– Tak, tak.

– Możemy te spotkania wygrać.

Witek dolał sobie, a potem usiadł na starym fotelu przy ścianie i założył nogę na nogę.

– Jak? – spytał.

– To akurat ty wiesz najlepiej.

– Rzecz w tym, że nie wiem, dzieciorze – odparł cicho i pochylił się, jakby właśnie przybyło mu lat. – Unia i Varsovia są na dwóch pierwszych miejscach nie bez powodu. Sparta Lublin to kurewsko niewygodny przeciwnik.

– Wiem, ale...

– W dodatku widzisz, co się dzieje.

Mówił o Benie, ale nie miał zamiaru tego rozwijać. Znała ojca dobrze i wiedziała, że wspomnianie o jego problemach w kontekście wpływu na klub byłoby dla niego nie do przyjęcia.

Stanowił jednak pewien wyjątek.

Kiedy bowiem rozległo się pukanie do drzwi, a do środka bez zapowiedzi wszedł Przemysław Meler, stało się jasne, że zjawił się tylko w jednym celu. Wystarczyło, że zapytał:

– Co z nim?

Kala wymieniła się z ojcem krótkim spojrzeniem.

– Meler... – zaczął Witek.

– No?

– Mówiłem ci kiedyś, jak bardzo niezbędny jesteś w tym klubie?

Asystent trenera podrapał się po szczęce.

– Nie – przyznał.

– No właśnie.

Dopiero cisza i wzrok skierowany na drzwi uświadomiły Melerowi, co konkretnie starał się mu przekazać Witek. Mimo to niezrażony przysunął sobie krzesło i usiadł po drugiej stronie biurka.

– Jaki mamy plan na Lublin? – spytał.

– Bez zmian.

– Więc zamierzasz wystawić Benhardta?

Krygier rzucił krótkie spojrzenie córce, a potem skupił uwagę na swoim asystencie.

– Tak.

– To nie jest dobry pomysł – ocenił Przemysław.

– Przeciwnie.

– Nie widziałeś, jak grał z Kotwicą?

– Widziałem – przyznał Witek. – Dlatego ściągnąłem go z murawy.

– Znacznie za późno.

Krygier nie odpowiadał i wyraźnie nie miał zamiaru tego robić. Kala uznała, że wyręczy ojca, choć miała świadomość, że tym samym tylko bardziej zantagonizuje Melera.

– Dopiero co na dobre go wyrwaliśmy z rąk Varsovii – oznajmiła. – A pan chce sadzać go na ławce?

– Tak – odparł Przemysław, nie odwracając się, by zaszczyścić dziewczynę choćby przelotnym spojrzeniem.

Skupiał się wyłącznie na Witku, mierząc się z nim wzrokiem.

– Jest myślami gdzie indziej – dodał Meler. – Nie potrzeba nam na boisku kogoś, przez kogo zasadniczo gramy w dziesięciu.

– Nie przesadzaj – odparł Krygier.

– Nie przesadzam. On nie szuka gry, nie stwarza żadnych okazji.

– Ale też ich nie marnuje.

– Bo nie ma czego – odparował przez zęby Przemysław. – Unika jakiegokolwiek zaangażowania. Może gdyby na boisku był Gaudi, obudziłyby go te ich dwójkowe akcje, ale tak...

– Pogadam z nim przed meczem – uciał trener.

– I myślisz, że to pomoże?

– Tak.

Kala podzielała optymizm ojca.

Ten jednak okazał się na wyrost.

Mimo indywidualnej rozmowy przed meczem ze Spartą Lublin Benhardt w jego trakcie był całkowicie niewidoczny. Dotrwał do siedemdziesiątej piątej minuty, nim Witek podjął decyzję, by go zmienić.

Do końca spotkania pozostał kwadrans. Było jeden zero dla lublinian.

3

Stadion im. Dawida Żerskiego, Opole

Ben zorientował się, że zostanie zmieniony, na moment przed tym, jak arbiter techniczny podniósł wyświetlacz. Zaklął w duchu i natychmiast ruszył pędem w kierunku linii bocznej. Na ekranie nie pojawiły się jeszcze diody z jego numerem, był jednak pewien, że za moment zobaczy na czerwono piętnastkę.

– Trenerze! – krzyknął.

Witek uniósł uspokajająco dłonie, Adam jednak miał świadomość, że robi to wyłącznie po to, by uniknąć scen.

– Niech mnie trener nie ściąga – wysapał, zatrzymując się przy skraju boiska.

Krygier zerknął na rezerwowego napastnika, ale nie dał żadnego znaku technicznemu, by ten wstrzymał się ze zmianą.

– Będziesz miał okazję się wykazać w następnym...

– Dam radę – uciał Benhardt.

– Wiem. Ale w tej chwili dla dobra zespołu...

– Naprawdę – znów przerwał mu Ben. – Mam jakąś blokadę, ale...

– Decyzja już zapadła, młokosie. Chodź.

Adam z bólem serca obserwował, jak mężczyzna unosi wyświetlacz ponad głowę. Zaklął w duchu, widząc swój numer, ale powściągnął emocje. Podeszedł do zmiennika, przybił z nim piątkę i poklepał go po plecach, jakby nigdy nic. Nie miał zamiaru robić niczego, co wpłynie negatywnie na morale drużyny.

Wystarczy, że zawinił na boisku.

Starał się, naprawdę się starał. Nie mógł jednak odnaleźć w sobie siły i woli walki. Nie zależało mu na niczym, powodzenie poszczególnego zagrania, tej czy innej kiwki, wydawało mu się obojętne. Niczego przecież to nie zmieniało. A wynik meczu? W gruncie rzeczy też nie wpływał na nic, co naprawdę miałyby znaczenie.

Adam migał się od podań, nie wychodząc na pozycje. Szybko pozbywał się piłki, nie mając zamiaru się angażować.

Było to silniejsze od niego.

A teraz na dobrą sprawę nawet nie czuł wściekłości. Inny napastnik na jego miejscu rzucałby butelkami z wodą i kłął co niemiara. On po prostu wrócił na ławkę i usiadł obok Kaliny.

Spodziewał się, że rzuci jakieś słowa pocieszenia, dziewczyna jednak siedziała pochylona nad komórką, skupiając się na tym, co się na niej znajdowało. Uśmiechała się do ekranu w sposób, który nie pozostawiał złudzeń, że czyta wiadomość od kogoś, kto potrafi skraść całą jej uwagę.

Ben przesunął rękami po twarzy.

– Co to za romanse? – rzucił.

Kala natychmiast się wyprostowała i chyba dopiero teraz zorientowała, że Benhardt usiadł obok niej. Szturchnęła go lekko, jakby ten gest miał stanowić najwymowniejszy komentarz.

– A ty co tu robisz? – odparła.

– Wegetuję.

Patrzyła prosto na niego, a on z bólem obserwował, jak cała wesołość gaśnie w jej oczach. Nie chciał tak na nią działać.

– To czas najwyższy, żebyś od następnego meczu przestał – oznajmiła.

– Taki mam plan.

Urwali, kiedy piłka znów poszła w ruch i szybko trafiła do napastnika, który zmienił Bena. Leon Ostrowski był w podobnym wieku, trafił do Rewery Opole z którejś z regionalnych lig. Wykazywał się sporą ikrą, choć według komentatorów brakowało mu nieco talentu i doświadczenia. Nadrabiał jednak ciężką pracą i wolą walki – której w tej chwili brakowało zawodnikowi z numerem piętnastym.

Ben obserwował, jak Ostry rozgrywa piłkę z Gregorem. Wymienili trzy podania, nim Leon zdecydował się na prostopadłe podanie między obrońcami. Szpeja wyszedł na pozycję, wycelował, a potem, zamiast uderzyć w piłkę, przełożył nad nią nogę i wewnętrzną stroną stopy niespodziewanie oddał futbolówkę Ostremu.

Piłkarzowi, który przed momentem zjawił się na boisku, pozostało jedynie wykończyć akcję. Zrobił to bezbłędnie.

Na stadionie rozległa się wrzawa, wszyscy na ławce wyskoczyli do linii bocznej.

Prawie wszyscy.

Benhardt nie miał zamiaru udawać. Cieszył się z bramki, ogromny ciężar spadł mu z serca. Nie potrafił jednak wykrzesać z siebie euforii takiej, jaka towarzyszyła innym graczom. Sytuacja była identyczna z tą na boisku.

Kiedy Kala wracała na ławkę, posłała Adamowi pełne niepokoju spojrzenie, zupełnie jakby zaczęła się obawiać, że na dobre utracił to, co dotychczas go napędzało.

Rewera Opole tymczasem dostała wiatru w żagle.

Po trójkowej akcji Rebus-Jeleń-Ostry w przedostatniej minucie ten ostatni wpakował piłkę do siatki po raz drugi.

Spotkanie zakończyło się zwycięstwem opolan dwa do jednego, zawodnicy musieli jednak uznać, że przeważał pierwiastek szczęścia. Mieli mniej inicjatywy, a zespół Sparty Lublin mógł pochwalić się znacznie większą liczbą celnych strzałów na bramkę. Posiadanie piłki również było na jego korzyść – i to 73% do 27%.

Sama ta statystyka pokazywała, że klubowi prowadzonemu przez Witka udało się wygrać jedynie psim swędem. Stało się ewidentne, że utracił swój największy atut, a sytuację pogarszała kontuzja Gaudiego.

Z tym razem nieskutecznie grającymi piłkarzami Sparty udało się wygrać, ale trudno było się spodziewać, że podobna sytuacja powtórzy się w starciu z dwoma najsilniejszymi zespołami w tym sezonie.

Po dwudziestej ósmej kolejce Rewera znalazła się na piątej pozycji w tabeli. Od uzyskania miejsca, które gwarantowało udział w eliminacjach do europejskich pucharów, dzieliło ją już tylko parę punktów.

Przy potknięciu rywali mogli liczyć na to, że uda im się wspiać nawet wyżej. Przy pechowym rozkładzie punktów jednak nawet w przypadku dwóch wygranych nie było żadnej gwarancji.

Nikt nie dawał zespołowi z Opola realnych szans na pokonanie Unii ani Varsovii. Komentatorzy zgadzali się, że dla obydwu tych drużyn starcie z tak osłabionym rywalem na koniec sezonu było jak uśmiech losu.

Wrażenie pogłębiło się, kiedy Witek przedstawił skład na mecz z Unią Kraków. Zamiast Adama Benhardta w wyjściowej jedenastce pojawił się Leon Ostrowski.

Chodzenie na konferencje prasowe zawsze przypominało Witkowi chodzenie do kibla. Czasem po prostu musiał to zrobić.

Już kiedy zajmował miejsce za długim stołem, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, jakie pytanie padnie jako pierwsze. Być może nawet mógł zaryzykować twierdzenie, że drugie i trzecie także były oczywiste.

Wszyscy dziennikarze będą drążyć, dlaczego Benhardt nie wychodzi w podstawowym składzie, choć sami doskonale znali odpowiedź. Widzieli dwa poprzednie mecze i mieli świadomość, że jeśli w chłopaku nie zajdzie jakaś zmiana, nie będzie materiałem do pierwszej jedenastki.

Krygier się nie pomylił. Pierwsze pytanie dotyczyło właśnie Adama.

– Planuje pan wprowadzić Benhardta jako jokera?

– Wszystko zależy od przebiegu gry – odparł Witek.

– A jeśli ta nie będzie szła po pana myśli?

– To będę zastanawiać się nad zmianami personalnymi i taktycznymi, tak jak zrobiłby to w takiej sytuacji każdy inny trener – powiedział Krygier, unikając spojrzenia dziennikarza. – Ale tak jak każdy inny trener, nie zakładam też przed meczem takiego scenariusza. Wymagam od moich piłkarzy, by walczyli o każdą piłkę, od pierwszej minuty aż do ostatniej.

– Więc zamierza pan grać jak równy z równym?

– A mam powody, żeby grać inaczej?

Kilku mężczyzn pobłażliwie się uśmiechnęło, ale nie kontynuowało tematu. Było całkowicie oczywiste, że Witek nie przyzna wprost, w jak nieciekawej sytuacji się znajduje.

– Macie jeszcze jakieś pytania? – spytał retorycznie.

Kilkanaście rąk wystrzeliło w górę, a Krygier wskazał wzrokiem reportera z NSI.

– Nie żałuje pan, że nie doszedł do skutku transfer Benhardta do Warszawy?

– Słucham?

– W tej sytuacji wydaje się, że byłoby to dla klubu lepsze.

Witkowi udało się powściągnąć emocje, nim miały szansę wziąć nad nim górę.

– Dla klubu korzystne jest to, by w jego szeregach byli najlepsi piłkarze w lidze – rzucił. – A to oznacza niesprzedawanie Adama Benhardta.

– Tyle że przestał grać.

– Zacznie znów.

– Nawet jeśli, to jego wartość już zaczęła spadać. Gdyby Rewera sprzedawała go wtedy, z pewnością zarobiłaby więcej niż przy kolejnej ofercie transferowej.

– Nie będzie żadnych ofert, bo piłkarz nie jest na sprzedaż.

– A jeśli zgłosi się Barcelona? – nie poddawał się dziennikarz. – Po rewelacjach związanych z Dawidem Żerskim z pewnością przynajmniej zainteresowali się tym, czy...

– Gramy z nimi mecz charytatywny. To wszystko.

Dziennikarz skinął zdawkowo głową, jakby sprzeczał się tylko z obowiązku. Zaraz potem siedzący obok niego mężczyzna skorzystał z okazji.

– Leon Ostrowski ma szansę zastąpić Benhardta także w meczu z Varsovią? – spytał.

– Wszystko zależy od dyspozycji danego zawodnika.

– A gdyby dziś musiał pan podejmować decyzję?

– Musiałem – odparł spokojnie Krygier. – I ją podjąłem. A efekty widzicie w wykazie piłkarzy pierwszej jedenastki.

Po sali przeszedł cichy szmer.

Ci wszyscy ludzie doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jak bardzo w tej chwili potrzebny jest mu Ben. Do kurwy nędzy, oddałby wszystko, by chłopak zaczął grać. Próbował z nim rozmawiać, prosił Kalę o pomoc, w końcu skontaktował się z jego dziadkiem.

Wszystko na nic. Coś w nim zgasło, a w mroku, w którym się pograżył, znikł cały jego zapal do futbolu. Gdyby Krygier mógł wejrzeć w jego głowę, najpewniej przekonałby się, że Benhardt nieustannie myśli o tym, że zamiast na meczu czy treningu, powinien być z babcią. I spędzać z nią ostatnie chwile jej życia.

Sytuacja była upiorna, ale chłopak nie rozumiał, że nie może nic z nią zrobić. Katował się bez celu. I z pewnością wbrew woli Barbary.

Być może jej udałoby się przemówić mu do rozsądku. Nie wiedziała jednak, co się dzieje, a Witek nie miał zamiaru choćby rozważyć tego, by stało się inaczej. Biedna kobieta i bez tego miała nadmiar emocji.

Podziękował dziennikarzom, po czym wyszedł na korytarz, oparł się plecami o ścianę i zamknął oczy. Towarzyszył mu jedynie szef działu marketingu Rewery Opole, długo jednak nie został. Klepnął go w ramię i zostawił samego.

Krygier nie wiedział, ile czasu spędził w tamtym miejscu. Do pierwszego gwizdka miał jeszcze sporo czasu, mógł pozwolić sobie na to, by spokojnie zebrać myśli – nawet jeśli ostatecznie po prostu się wyłączył.

Wrócił do realnego świata dopiero, kiedy usłyszał znajomy głos.

– Śnił mi się.

Witek raptownie otworzył oczy i spojrzał na stojącą obok przy ścianie córkę. Zakradła się tu tak cicho, że w niczym się nie zorientował.

– Co?

– Nie co, tylko kto – poprawiła go. – Ben. Śnił mi się.

Tylko tego brakowało.

– I?

– To było dziwne – odparła Kala, a potem przez chwilę milczała. – Sama czuję się dziwnie, od kiedy się obudziłam. Ze sobą. Rozumiesz coś z tego?

Krygier cicho westchnął.

– Aż za dobrze – odezwał się. – W trakcie snu dowiadujesz się o sobie więcej niż na jawie.

Skinęła głową z pietyzmem, jakby to ona знаła tę prawdę od zawsze, a on dopiero ją odkrył.

– Co to był za sen? – spytał Witek.

– Naprawdę chcesz wiedzieć?

– To zależy.

– Czyli nie chcesz. Wierz mi.

Szturchnęła go lekko, a on mimowolnie się uśmiechnął. Nie spodziewał się, że był to jeden z tych snów, o których śnienie żaden ojciec swojej córki nie podejrzewał. Kalina miała zbyt rozrzuwniony ton, zbyt rozmarzone spojrzenie. Chodziło o coś innego, emocjonalnego.

– Byliśmy sami na stadionie, murawa była zarośnięta – podjęła. – Tak porządnie, jakby porzucono ją dekady temu. Cały stadion wyglądał jak z jakiegoś postapokaliptycznego filmu. Kłęby dymu unosiły się nad koroną, wokół panowała przejmująca cisza.

Krygier słuchał, nie przerywając córce.

– Wiedzieliśmy, że świat się kończy – ciągnęła. – Zaczęliśmy o tym rozmawiać, a potem postanowiliśmy, że spróbujemy.

Czekał na więcej, ale na próżno.

– Spróbujecie czego? – spytał.

– Być razem.

Witek nerwowo odkaszlnął i się rozejrzał. Nie spodziewał się, że to zdanie padnie. Przynajmniej nie tak wprost.

– To była taka racjonalna decyzja, taka się wydawała – kontynuowała Kala, patrząc pustym wzrokiem przed siebie. – Ale potem nagle siedzieliśmy już objęci na tych trybunach, krzeselka były wybrakowane, mogliśmy spokojnie się przytulić. I tak trwaliśmy w tym objęciu, nie wiem jak długo.

– I?

– I obudziłam się o jeden dotyk za szybko.

Urwała i machnęła ręką, jakby zaczęła opowiadać największe głupoty. Krygier spodziewał się, że ciąg dalszy tego snu nie zamazał się w pamięci Kaliny, ale nie miał zamiaru dopytywać. Niektóre tęsknoty serca warto było pozostawić niewypowiedziane.

– To w jakim sensie czułaś się dziwnie ze sobą? – zapytał.

– Sama nie wiem...

– To się dowiedz.

– Czemu?

– Bo każda taka zmiana w człowieku to zazwyczaj coś istotnego.

Doceniła to zamyślnym wzrokiem i wyrazem twarzy, nie sięgając po żadne wyjaśnienia. Uznał, że tyle będzie musiało mu wystarczyć, ale po chwili córka nabrała tchu, wyraźnie mając zamiar kontynuować.

– Mało co interesowało mnie po przebudzeniu – powiedziała w końcu.

– To znaczy?

– Matura przestała mieć znaczenie, mecze z Unią i Varsovią... Wszystko. Teraz rozumiał. Doskonale rozumiał.

Spodziewał się, że nie tylko on, bo uczucie było znajome dla każdego, kto na dobre przepadł w kimś innym. Witek przypomniał sobie pierwsze miesiące spędzone z matką Kali. Trudno było powiedzieć, co oprócz spotkań z nią działo się wtedy w jego życiu, zawężono się bowiem wówczas tylko do jednej osoby.

– Jak otworzyłam oczy, chciałam po prostu go zobaczyć. Wziąć go za rękę.

– No tak...

W końcu obróciła głowę w stronę ojca.

– To twój komentarz? – spytała.

– Nie jest dość wymowny?

Wykonała ruch głową na boki, jakby jeszcze ważyła potencjalne alternatywy. W końcu pociągnęła nosem i lekko uderzyła potylicą o ścianę.

– Powinnam coś z tym zrobić? – odezwała się.

– Nie.

– Tak po prostu?

Tym razem to Krygier obrócił się do niej.

– Wiem, że to nie jest odpowiedź, na którą liczysz, ale...

– Ale on nie jest zainteresowany.

– Tego nie powiedziałem.

– Nie musiałeś – odparła. – Zresztą widzę, jak patrzy na Majewską. A ona na niego.

Witek podjąłby ten temat właściwie z każdym oprócz Kali. Coś mogło być na rzeczy, nie wykluczał tego. To z jego pokoju mogła wychodzić nocą przed meczem z Prospektem Kłobin. Dzielił go z Gaudim, a ten z pewnością kryłby przyjaciela bez zająknięcia.

Ostatecznie jednak nie miało to znaczenia. Nie w tej chwili.

– Wiem, jak działają związki z piłkarzami – odezwał się Krygier.

– Bo byłeś w kilku?

– Spadaj – odparł machinalnie, potem jednak zmarszczył czoło. – Chociaż właściwie można tak powiedzieć. Tak czy inaczej przyglądałem się temu, jak wyglądają. To nic dobrego, Kala.

– Mhm.

Pochylił lekko głowę, patrząc na nią z góry.

– Mówię poważnie – dodał nietypowym dla siebie, zdroworozsądkowym głosem. – Ich partnerki nie mają łatwo. Najczęściej nie są w stanie podjąć żadnej stałej pracy, bo zaraz dochodzi do jakiegoś transferu i muszą się pakować. A potem nagle wyjeżdżają na drugi koniec kraju albo za granicę i...

– I jakoś sobie jednak radzą.

– Jakoś – przyznał Witek. – W wypadku Bena to będą same wyjazdy zagraniczne, oboje to wiemy. Nie będzie siedział w polskiej lidze.

Kalina nie polemizowała.

– W takim wypadku partnerka nagle zostawia nie tylko wszystkie zawodowe perspektywy, na które latami pracowała, ale także wszystkich swoich bliskich, przyjaciół, rodzinę. Nie zna języka w nowym kraju, nie ma żadnych znajomych. Piłkarz zawsze sobie jakoś poradzi, drużyna się nim zajmie. Ale kobieta ma przesrane. Najczęściej zostaje sama w domu, całymi dniami, w dodatku jej partner często ma mecze wyjazdowe.

Czuł, że niespecjalnie do niej dociera, co właściwie go nie dziwiło. W stanie dużego uniesienia emocjonalnego trudno było liczyć na to, że podobne argumenty okażą się istotne. Było ich jednak jeszcze wiele.

– Rzadko udaje im się znaleźć sensowną pracę, bo nikt nie chce zatrudniać kogoś, kto za kilka miesięcy może wyjechać do innego kraju – ciągnął Krygier. – Zresztą na dobrą sprawę nie muszą szukać, bo kasy ich partnerzy mają jak lodu. I tu zaczynają się kolejne problemy. Ta nierówność sprawia, że dochodzi nie tylko do kłótni, ale też do sytuacji, w której kobieta uzależnia się od mężczyzny. A to najgorsze, co może się wydarzyć, bo facet czuje wtedy, że...

– Że może wszystko, więc pozwala sobie na jedną kłótnię za drugą, a po nich chodzi z kumplami do barów, pubów i klubów i robi użytek z całej tej kasy.

Witek skrzyżował ręce na piersi.

– Znam te historie – dodała Kalina.

Powinien się tego spodziewać, była przecież na bieżąco nie tylko z tym, co działo się w świecie piłki, ale także wokół niego.

– Najczęściej wybaczą im zdrady – podjął Krygier. – Bo nie mają wyjścia. Co im pozostaje? Zabrać dzieci i wrócić do kraju, z kilkuletnią wyrwą w CV? To nie jest dobra przyszłość, młokosie. I na palcach jednej ręki mogę policzyć te osoby, którym się udało.

Kala skinęła głową, ale kompletnie bez przekonania. Gest był raczej potwierdzeniem tego, że formalnie przyjęła do wiadomości argumenty ojca.

– Gdyby każdy martwił się tym, co będzie, nikt by się z nikim nie wiązał – odparła. – Przecież każdy związek kończy się śmiercią jednej albo drugiej osoby. Rzadko odchodzą razem.

Witek uśmiechnął się pod nosem. Gdyby córka rzuciła mu standardową odpowiedź nastolatki z gatunku „w naszym przypadku będzie inaczej”, „nie znasz go”, „nie masz pojęcia o naszym uczuciu”, może łatwiej znalazłby ripostę. W tym wypadku właściwie trudno było sięgnąć po jakąkolwiek.

– Co cię cieszy? – mruknęła Kala.

Krygier podniósł rękę i przesunął dłonią po włosach córki, starając się objąć wzrokiem całą jej twarz. Cieszyła go sama jej obecność. Sam fakt, że istniała. Ale w tej chwili także to, że z jego w gruncie rzeczy niezbyt dobrych genów zrodziła się tak rozsądna osoba.

– Nic – odparł.

– Aha.

Przez moment po prostu na nią patrzył, a Kala zdawała się czekać na coś więcej.

– Ale może przestaniesz robić wstyd? – dodała.

– Jasne.

Opuścił rękę i zerknął w kierunku wejścia do szatni. Powinien dołączyć do piłkarzy, podnieść trochę ich morale przed starciem z jedną z dwóch najsilniejszych drużyn w lidze.

– I to tak czy inaczej bezsensowne rozważania – odezwała się Kalina.

– W jakim sensie?

– W takim, że do niczego nigdy nie dojdzie. Gdyby miało być inaczej, już byłoby widać jakąś jaskółkę.

Zasadniczo trudno było mu się z tym nie zgodzić. Problem polegał na tym, że przyglądał się córce i Benowi. Widział, jak chłopak na nią patrzy, i dziwił się, że nie zamierzał zrobić nic z uczuciem, które ewidentnie żywił.

Poza tym jego żarty w drodze z Częstochowy do Opola były podszyte czymś prawdziwym. Trudno było tego nie wychwycić.

– Śnił ci się w nocy – podjął Witek. – To normalne, że przez cały dzień będziesz miała emocje wystrzelone pod sufit.

– Świetnie. Dzięki, że właśnie zbagatelizowałaś wszystko to, o czym ci...

– Niczego nie bagatelizuję – uciał. – Mówię tylko, że jutro będzie lepiej.

Chciałby powiedzieć jej coś innego, podzielić się z Kaliną swoimi spostrzeżeniami. Mówił jednak prawdę, kiedy kreślił historię żon piłkarzy. Nie była to dobra przyszłość. Z pewnością nie taka, jaką widziałby dla swojej córki.

Była niezależną, kreatywną i diabelnie zdolną bestią. Zasługiwała na to, by to facet latał za nią z walizkami do innego kraju, nie na odwrót.

– A co z Obim? – spytał.

Kalina znów lekko uderzyła tyłem głowy o ścianę, a potem wbiła wzrok gdzieś ponad sobą.

– Gadamy.

– Wciąż tyle samo?

– Może nawet więcej.

– O Benie też?

– Akurat o nim nie za wiele – odparła z pewnym wahaniem. – Właściwie mogę z nim porozmawiać o wszystkim, z jednym wyjątkiem. Kiedy wchodzimy na ten temat... sam rozumiesz.

– Rozumiem.

Kała zamilkła, a z szatni gości i gospodarzy dało się słyszeć śmiechy i podniesione rozmowy. Ktoś pewnie rzucił jakiś żart, nastąpiło tradycyjnie rozluźnienie przedmeczowe, które było naturalną reakcją organizmu na zwiększoną presję.

Czas na skupienie jeszcze przyjdzie.

– Planujecie się w końcu zobaczyć? – spytał Krygier.

– Tak.

– Kiedy?

– Nie zgadniesz.

W tonie córki nie zabrzmiała żadna z sarkastycznych nut, tak dobrze mu znanych. Oznaczało to ni mniej, ni więcej, że faktycznie raczej nie zgadnie.

– Więc nawet nie próbuję – odparł. – Gdzie?

– Kupił bilet do Barcelony.

– Co?

– I na mecz też. Z puli dla naszych kibiców, wiesz, tej, która...

– Tak, wiem – uciał Witek i potrząsnął głową, dopiero teraz uświadamiając sobie co i jak.

W pierwszej chwili założył, że chłopak będzie leciał specjalnie dla Kali. Ostatecznie jednak przecież był zapalonym kibicem Rewery Opole. I jak wielu innych, zdecydował się na to, żeby jednocześnie wesprzeć swój zespół i zobaczyć go w akcji z samą Barceloną.

– Tam się spotkamy – dorzuciła Kalina.

– Nieźle.

– No, nieźle, nieźle. Będzie prawdziwa kumulacja emocji.

Usłyszał w jej głosie większy entuzjazm, niż się spodziewał. Może nie była beznadziejnie zadurzona w Benie? Może nieco przesadzał, zakładając, że tak jest? Kiedy opowiadała mu o Obim, w jej głosie też pobrzmiwał pewien żar.

Wydawało się jednak, że drugi z chłopaków imponuje jej innymi rzeczami. Relacja z nim siłą rzeczy opierała się bardziej na sferze intelektualnej, może nawet duchowej. Musiała, skoro Kala potrafiła przyznać się ojcu do tego, że pół nocy spędziła na rozmowach z Obim.

– Zobaczymy, co będzie – powiedziała.

– Otóż to – przyznał Witek. – Nie ma co przewidywać przyszłości, trzeba pozwolić, by się wydarzyła.

Chciał dodać coś więcej, ale drzwi szatni się otworzyły i wychynął z nich Radek Warski, wodząc wzrokiem po korytarzu. Krygier dotknął ramienia Kali, mając z tyłu głowy wszystko, to, czego nie powiedział.

Benhardt w końcu poradzi sobie ze sprawami osobistymi, przebudzi się, otrzepie i pójdzie dalej. Przyszłego sezonu z pewnością nie spędzi w Ekstralidze. A jeśli błysnie w meczu z Barceloną, może dość szybko przenieść się na drugi skraj kontynentu.

Prędzej czy później dostanie powołanie do reprezentacji Polski. Będzie systematycznie grać w europejskich pucharach, walcząc o najbardziej prestiżowe trofea. Otrzyma propozycje reklamowe, które finansowo przyćmią i tak duże pieniądze płacone mu przez kluby. Jego życie zmieni się o sto osiemdziesiąt stopni, ze spokojnej przechadzki przeistoczy się w prawdziwe tornado.

Witek nie chciał, by jego córka znalazła się w samym jego środku. Szczęśliwie jednak ona także zdawała się świadoma tego, w co by się wpakowała.

– Chodź – rzucił. – Czas zobaczyć, co tam w szatni.

Kalina dołączyła z nim do piłkarzy, którzy jednocześnie zamilkli, gdy tylko trener przekroczył próg. Krygier zamknął za sobą drzwi i powiódł wzrokiem po zawodnikach.

Zamiast coś powiedzieć, wysunął telefon z kieszeni spodni. Puścił kawałek, który przygotował na dzisiaj.

Pierwsze dźwięki Heart of Glass Blondie sprawiły jedynie, że piłkarze tylko popatrzyli na sobie z konsternacją. Kobięcy, delikatny wokół również nie zrobił na nich wrażenia.

Kiedy jednak Debbie Harry zbliżyła się do refrenu, rozbawione wyrazy twarzy zaczęły zmieniać się w pełne pozytywne emocje uśmiechu. Kilku zawodników prychnęło i pokręciło głową, jakby nie mogło uwierzyć, że tego typu muzyka jest w stanie wywindować ich na odpowiedni poziom emocjonalny przed meczem.

Kiedy ostatnie akordy piosenki wybrzmiały, w szatni dało się rozpoznać jedynie atmosferę optymizmu.

Widząc, że metoda działa, Witek postanowił podbić ją jeszcze bardziej, puszczając Too Shy Kajagoogoo. Reakcje były podobne, a kiedy kawałek dobiegł końca, piłkarze zdawali się gotowi, by wyjść na murawę.

Nie było sensu męczyć ich długimi przemowami. Krygier mówił tylko przez chwilę, zresztą już wcześniej przekazał swoim podopiecznym wszystko, co powinni wiedzieć. Pod względem taktycznym, a także technicznym nie mogli być lepiej przygotowani na to starcie.

Teraz pozostawało mu tylko liczyć na to, że w sferze psychicznej również tak jest.

– Przedostatni mecz – powiedział. – Dajcie z siebie wszystko. I pokażcie, na co was stać.

Rozległy się oklaski i zagrzewające do boju okrzyki. Jedynym, który zdawał się nie buzować emocjami, był siedzący na swoim miejscu Benhardt.

Witek podszedł do niego i położył mu rękę na karku.

– Wszystko okej?

– Tak, trenerze.

W jego głosie zabrakło jakiegokolwiek przekonania.

– Z babcią w porządku?

Adam zacisnął usta, jakby musiał to zrobić, by nie zaczęły drżeć.

– Znów jest w szpitalu – odparł.

– Co takiego? Przecież mogłeś...

– Dam radę.

„I tak nie gram” – dodał jakby bezgłośnie. „W szpitalu też na nic się nie przydam”.

Nie musiał się odzywać, by Witek usłyszał te słowa. Przez cały ten czas poznał chłopaka na tyle dobrze, by odbijały mu się echem w głowie, kiedy zajmował swoje miejsce na ławce trenerskiej.

Zaraz potem rozległ się pierwszy gwizdek.

Przedostatnie starcie Rewery Opole w sezonie się rozpoczęło. Unia Kraków od razu ruszyła do ataku.

5

Linia boczna, stadion Unii Kraków

Benhardt razem z Gaudim wyskoczyli z ławki rezerwowych i natychmiast znaleźli się tuż za trenerem, starając się odciągnąć go od boiska.

– Spokój! – krzyknął sędzia liniowy, zbliżając się do strefy technicznej.

Przez moment naprawdę wydawało się, jakby Witek miał zamiar wdrzeć się na plac gry i zrobić porządek z arbitrem głównym.

– To powiedz mu, żeby gwizdał faule, kiedy chcą połamać nogi moim, kurwa, zawodnikom! – wydarł się Krygier, żywo gestykułując.

Adam i Gaudi zdwoili wysiłki, by szkoleniowiec wrócił na ławkę. Nie było łatwo, bo po tym, jak Gregor został brutalnie skoszony w polu karnym przeciwnika, trener cały się zagotował.

– Skurwysyn – syknął, pozwalając swoim piłkarzom odciągnąć się od pola gry. – Jebany skurwysyn...

– Spokojnie, trenerze – rzucił Gaudi.

– Co spokojnie, kurwa?

Witek w porę uzmysłowił sobie, że rozmawia ze swoimi podopiecznymi i być może nie powinien okazywać aż tak daleko idących emocji. Z punktu widzenia Adama były jednak nie tylko uzasadnione, ale także symptomatyczne.

Pokazywały, ile dla Krygiera oznaczał klub i jego zawodnicy. Był gotów ryzykować wyrzucenie z boiska, choć Bogiem a prawdą, nie robił tego świadomie. Wzburzenie wzięło górę, zanim mógł się zastanowić.

– Siadajcie – polecił.

– Ale trene... – zaczął Łukasz.

– Siadaj, kurwa, na dupie.

Gaudi wykonał polecenie, Ben zrobił to samo. Zajęli miejsce obok Kaliny, a ta posłała im spojrzenie charakterystyczne dla matek na placu zabaw, które nijak nie są w stanie wytłumaczyć dzieciom najprostszych zasad zachowania.

Była trzydziesta minuta meczu, utrzymywał się wynik bezbramkowy. Unia Kraków miała dwie sytuacje, choć nie stuprocentowe. Oleo w obydwu wypadkach zachował się wzorowo, wybijając piłkę poza światło bramki.

– W środku pola radzimy sobie dobrze – odezwała się w zamyśleniu Kala, wodząc wzrokiem za piłką wymienianą przez opolskich pomocników. – Ale ofensywa leży.

– I kwiczy – poparł ją Gaudi.

Benhardt się nie odzywał. Nie miał nic do dodania, szczególnie że rozmowa dotyczyła tego, co bezpośrednio wiązało się z nim.

– Gregor traci za dużo piłek – dodał Łukasz. – Musi częściej oddawać do Ostrego albo Radka.

– To mu to powiedz.

– Chyba twój ojciec to zrobił przed meczem.

Kalina wzruszyła bezradnie ramionami, a potem zerknęła na telefon.

– Jak wyniki? – odezwał się Adam.

– Średnio. Remis w Gliwicach.

Taki wynik przy stanie zero zero na boisku w Krakowie nie zmieniał pozycji w tabeli. Rewera wciąż zajmowałaby piąte miejsce, tuż pod progiem, który pozwalał w przyszłym roku walczyć w Europie.

Ben zastanawiał się, na ile taki scenariusz jest możliwy. Historia znała przypadki podobnych drużyn, które narobiwszy niespodziewanego szumu w swoich ligach, zaczynały w kolejnym sezonie walkę o międzynarodowe trofea. O ile jednak pamięć go nie myliła, żadna z nich nie zapisała się złotymi zgłoskami w tego typu turniejach.

Jakkolwiek by się taka przygoda skończyła, byłaby przełomowa dla Rewery Opole. Nie tylko pod względem finansów, prestiżu i morale drużyny, ale także przyszłości całego klubu. Byłby to pierwszy rozdział zupełnie nowej historii.

Pisanej na murawie przez niego, Łukasza i innych.

Benhardt cicho wypuścił powietrze, przypatrując się interwencji Rebusa w obronie. W ostatniej chwili wybił piłkę spod nóg napastnika, który już składał się do strzału z dziesięciu metrów.

Serce na moment się Adamowi zatrzymało. Spojrzał na sędziego, ten jednak pokazał, że wślizg był czysty.

Ben odetchnął, a potem zwiesił głowę. Nagle naszło go poczucie, że emocjonuje się rzeczami, które są całkowicie pozbawione znaczenia.

Jaka różnica, kto strzeli? Co tak naprawdę stanie się, jeśli przegrają lub wygrają? Zajmą to lub inne miejsce w tabeli. I co w związku z tym?

Zagrają lub nie zagrają w europejskich rozgrywkach. Jakie to ma znaczenie? Za dziesięć lat nikt nie będzie o tym pamiętał. Za piętnaście tym bardziej. Zupełnie inni piłkarze będą biegać po murawie w pomarańczowo-białych strojach. W drużynie pewnie nie będzie już nikogo z ludzi, którzy w tej chwili tu byli. I nikt nie będzie z tego powodu rozpaczał.

Tymczasem jedna strata w jednym życiu całkowicie je zmieni.

– Ben?

Adam ocknął się, otwierając oczy i podnosząc głowę.

– Wszystko okej? – spytała Kala.

– Nie.

– To może chcesz...

– Nie powinno mnie tu być – przerwał jej. – Mogłem jednak zostać w Opolu, siedzieć teraz w szpitalu, przy niej.

Kalina przez moment milczała. Ręka lekko jej drgnęła, jakby dziewczyna miała zamiar jakoś go pocieszyć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała.

– I co byś zrobił? – spytała.

– Nic.

– Więc jaki to miałyby sens?

– Taki, że babcia czułaby się lepiej.

Kala zmrużyła oczy, wbijając w niego wzrok. Jej twarz wróciła do normy dopiero, kiedy obrócił się w jej stronę.

– Babcia czy ty? – zapytała.

– Co?

– Kto tak naprawdę lepiej by się czuł?

Gaudi poruszył się nerwowo na ławce, bo chyba jako jedyny przysłuchiwał się rozmowie, zamiast śledzić przebieg gry. Piłka znajdowała się na połowie przeciwnika, Jeleń prowadził ją lewą flanką, rozglądając się za kimś, kto znajdowałby się na dobrej pozycji.

Benhardt zerknął na Ostrego. Ten powinien poszukać sobie miejsca, miał zresztą na to szansę, bo jeden z defensorów wyszedł nieco w kierunku Jeleniewskiego. Leon jednak nie dostrzegł nadarzającej się okazji.

– Pytam poważnie – dodała Kala.

– Znaczy się o co? Czy zrobiłbym to dla siebie, czy dla niej? Serio?

– Tak.

Adam pokręcił głową z niezadowoleniem, Kalina była bowiem jedną z ostatnich osób, które podejrzewałyby o takie stawianie sprawy.

– Niczego byś nie wskórał, to raz – podjęła. – A dwa, że nie wiesz, czego chciałyby twoja babcia.

– Jasne.

– Gotowa jestem zaryzykować nawet stwierdzenie, że chętniej widziałaby cię na murawie niż przy szpitalnym łóżku.

– Mhm – mruknął. – Bo jest znana z tego, że futbolowa kariera wnuka jest jej marzeniem.

Tym razem Kala położyła mu rękę na ramieniu, ale zrobiła to z taką stanowczością, że trudno było uznać to za gest pocieszający. Reakcja przywołała raczej na myśl próbę przemówienia mu do rozsądku.

– Obudź się, do kurwy nędzy – rzuciła.

Ben uniósł brwi.

– Ona chciała dla ciebie tego od zawsze.

– W takim razie chyba jej nie...

– Nie miałam dużo czasu na jej poznanie, ale tyle wystarczyło – ucięła Kalina. – I wiem doskonale, co trzymało ją przed popchnięciem cię w kierunku kariery piłkarza. Dwie rzeczy.

– Świetnie.

– Rozpacz po stracie dziecka i obawa przed utratą drugiego – rzuciła ostro. – Tylko to, nic więcej.

Benhardt zerknął na nią niepewnie. Nie rozpatrywał siebie nigdy w tej kategorii, nie określiliby się nigdy takim mianem. Słowa Kali jednak kazały choć przez chwilę zastanowić się nad tym, że określenie być może odpowiadało rzeczywistości.

– Potrzebowała tylko trochę pomocy, by wyzwolić się od swojego strachu – dodała Kalina. – Strachu, który ją paraliżował i nie pozwalał dostrzec przyszłości, której tak naprawdę cały czas dla ciebie pragnęła.

Adam milczał.

– I serio masz jakieś wątpliwości, że właśnie tego dla ciebie chce? – kontynuowała Kala. – To chyba przegapiłeś moment, w którym zmusiła twojego dziadka, żeby włączył jej mecz.

– Nie przegapiłem. Zapewniam cię.

Dziewczyna lekko się skrzywiła.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Nie szkodzi – uciał szybko, bo rzeczywiście nie było za co przepraszać. Intencje były czyste, a on doskonale rozumiał, co chce przekazać mu Kalina.

Doceniał to. I być może miała rację, ale tak czy inaczej niczego to nie zmieniało. Nie był w stanie wykrzesać z siebie energii do czegokolwiek, bez względu na oczekiwania babci.

Ponownie skupili się na grze, a Kala najwyraźniej postanowiła odpuścić.

Piłka znajdowała się na połowie przeciwnika, była w posiadaniu Rewery. Blisko nogi trzymał ją Leon Ostrowski, nieco cofnięty i próbujący rozegrać na małej przestrzeni z kolegami.

Kiwnął kryjącego go piłkarza z Krakowa, starając się stworzyć sobie miejsce i sprawić, że inni defensorzy ruszą w jego stronę, odpuszczając trochę pilnowanie kolegów.

Wykonał jednak zwód zbyt niepewnie, bez odpowiedniego przekonania. Wahanie trwało tylko ułamek sekundy, ale tyle wystarczyło.

Zawodnik Unii przejął futbolówkę i ruszył przed siebie, zostawiając za sobą skonsternowanego Ostrego. Ten ocknął się poniewczasie i pobiegł za nim stanowczo za późno, by odzyskać piłkę.

Wrzutka poszła niemal w pole karne, gdzie czekał już znajdujący się na szpicy napastnik. Podanie było dostatecznie długie i wysokie, ale niecelne. Zmierzało wprost na głowę jednego z obrońców Rewery.

Ten wyskoczył do piłki, wykonał ruch głową, ale minął się z futbolówką. Stworzył tym samym przeciwnikowi wprost wymarzoną okazję.

Napastnik Unii Kraków skorzystał z niej bez wahania, jakby tylko na to czekał. Kątem oka dostrzegł, że Oleo wychodzi z bramki, starając się ratować sytuację. Szybko więc zgasił futbolówkę tak, by móc odbić w bok i zaskoczyć bramkarza.

Paweł robił wyrok w drugą stronę. Szybko pomiarkował, co się dzieje, ale było już za późno.

– Niech to chuj... – syknął Benhardt.

Kala zwiesiła głowę, nie chciała patrzeć na to, co musiało się wydarzyć za niecałą sekundę.

Oleo rzucił się desperacko w kierunku, w którym odbił krakowianin – ten zaś natychmiast posłał piłkę na przeciwległy słupek bramki. Paweł nie miał najmniejszych szans.

Jeden zero dla Unii Kraków.

Stadion ogarnęła euforia, a Ben widział tylko, jak Witek rozkłada szeroko ręce, a potem obraca się ku ławce ze spuszczoną głową. Dotkliwy cios

obezwładnił go jednak tylko na moment.

Zaraz potem pozbiierał się i wrócił na skraj strefy technicznej, klaszcząc i zagrzewając swoich piłkarzy do tego, by jak najprędzej wrócili do gry.

Już po ich mowie ciała dało się stwierdzić, że nie będzie to łatwe – a kolejne minuty to potwierdzały.

Do szatni piłkarze schodzili przy niezmiennym wyniku.

Krygier nie tracił czasu. Puścił im Eye of the Tiger zespołu Survivor, co teoretycznie wydawało się dość dobrym wyborem. W praktyce niewielu młodych piłkarzy widziało Rocky'ego. Owszem, wszyscy o nim słyszeli, być może na Święta leciał gdzieś w tle. Ale nikt chyba nie przeżył tego obrazu w sposób, na który liczył Witek.

Powiedział parę inspirujących słów, które miały podnieść ich na duchu, a potem w milczeniu zerknął na Adama. Ben poczuł, że jest poddawany analizie i uczestniczy w niemej rozmowie.

Ostatecznie trener po prostu odwrócił wzrok.

– Gaudi – rzucił. – Jak twoje udo?

– W porządku, trenerze.

– Nie boli cię nic? Możesz grać?

– Mogę.

Nie odpowiedział na pierwsze z pytań, ale właściwie chyba nie musiał. Gdyby rzeczywiście nie odczuwał bólu, sam zgłosiłby się do Witka i poprosił o przywrócenie go do pierwszego składu.

– Pytałem, czy nic cię nie boli – powtórzył Krygier.

– A. No, nie boli.

– Brałeś jakieś leki?

– Nie.

– Żadnych przeciwbólowych?

– Żadnych.

Witek spojrzał na stojącą pod ścianą Sylwią Majewską, Ben mimo woli zrobił to samo. Zorientował się, że fizjoterapeutka, zamiast patrzeć na Witka, wbija wzrok właśnie w niego. Nerwowo odchrząknął, mając nadzieję, że innym to umknęło.

– Więc? – odezwał się Krygier, jakby spodziewał się, że Sylwia mimo ewidentnego rozproszenia przysłuchiwała się jego wymianie zdań z piłkarzem.

Majewska wreszcie zogniskowała spojrzenie na Witku.

– Za wcześnie – oceniła. – Jeszcze wczoraj wieczorem występował ból. Zaaplikowaliśmy mu dość dużą dawkę ibuprofenu.

– Ale jeśli sam mówi, że...

– Jak go wpuścisz, to na własną odpowiedzialność – ucięła. – Nikt ze sztabu medycznego się pod tym nie podpisze.

Krygier zaklął pod nosem, a potem posłał przeproszające spojrzenie Gaudiemu. Ten próbował jeszcze przekonać trenera, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, ale na próżno. Jasny sygnał ze strony fizjoterapeutki wykluczył Łukasza z gry.

Witek zaczął krótkie, indywidualne rozmowy z kilkoma piłkarzami, po czym znów rzucił parę motywujących słów dla drużyny. Był w tym dobry i Ben czuł, że atmosfera w szatni nieco się poprawia.

Przesunął wzrokiem po kolegach z zespołu, odnotowując, że w pomieszczeniu brakuje Kaliny. Dziwne. Zawsze była z nimi w trakcie przerwy i nagrywała to, co mówił ojciec. Niektóre materiały puszczała, inne nie. Zawsze jednak musiała mieć wszystko zarejestrowane.

Tym razem spóźniła się nawet z powrotem na ławkę. Zjawiła się parę minut po wznowieniu meczu.

Rewera zaś wróciła na murawę z energią, której potrzebowała, by nawiązać walkę z silniejszym przeciwnikiem. W pierwszym kwadransie wyprowadziła kilka akcji, ale wszystkie spaliły na panewce.

Nic dziś im się nie kleiło. Linia obrony Unii Kraków zdawała się po prostu nie do przejścia, a bramkarz nie do pokonania.

– Boisz się poczucia winy? – odezwała się nagle Kala.

Benhardt potrzebował sekundy, by zrozumieć, że mówi do niego.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że będziesz się obwiniać, jeśli tylko pozwolisz sobie na uśmiech, na myślenie o czymś innym, na poświęcenie się grze czy...

– Że co?

Obrócił się i rzucił jej spojrzenie, które powinno sugerować, że najlepiej będzie, jeśli odpuści. Kala jednak ewidentnie nie miała zamiaru tego robić.

– Czujesz w głębi ducha, że musisz nieustannie myśleć o stanie zdrowia twojej babci – wyjaśniła. – Bo w przeciwnym wypadku będzie to jakaś forma zdrady. Tak?

– Nie.

– Gówno prawda – powiedziała, przysuwając się stanowczo za blisko i mrużąc oczy, jakby w końcu go rozpracowała. – Boisz się oddać czemukolwiek innemu, bo wydaje ci się, że jesteś zobligowany do martwienia się. Mam dla ciebie w takim razie newsa: to nic nie da. Nie pomożesz jej w ten sposób, wprost

przeciwnie. Bo przez to ona martwi się głównie o ciebie i o to, jak idzie ci w klubie.

Adam ściągnął brwi, bo brzmiało to nie jak spekulacja, ale dość sprawdzona informacja.

– Dzwoniła do mnie w przerwie – dodała dziewczyna.

– Co proszę?

– Dałeś mój numer dziadkowi, na szczęście – kontynuowała Kalina, ignorując jego wtręt. – I dzięki temu wiemy, że twoja babcia obecnie ma zakaz oglądania meczu, ale nikt nie może zabronić jej martwienia się o jego przebieg i wynik.

– Słuchaj...

– Odchodzi od zmysłów, bo dowiedziała się, że nie ma cię w podstawowej jedenastce – ucięła Kala, wciąż świdrując go wzrokiem z odległości kilku centymetrów. – I kazała mi dać ci po głowie.

Benhardt poczuł, że mimowolny, blady uśmiech wstępuje mu na twarz.

– Chce, żebyś grał, debilu – dorzuciła Kalina. – Chce śledzić twoją karierę, cieszyć się twoimi sukcesami i pomagać ci, kiedy dotkną cię porażki. Cały ten strach, który się z tym wiązał, znikł, kiedy uzmysłowiła sobie, że masz wokół siebie odpowiednich ludzi. Takich, którzy nie pozwolą, by historia się powtórzyła.

Ben oderwał wzrok od oczu dziewczyny i spojrzał na murawę.

Piłkarze Unii Kraków właśnie rozmontowywali linię pomocy Rewery, rozciągając ją do granic możliwości. Zwiększenie pola gry sprawiło, że ofensywni gracze w środku natychmiast skorzystali z nowej przestrzeni.

– Wiesz, co jeszcze mi powiedziała? – podjęła Kala.

– Że jesteś wyjątkowo upierdliwa?

– Nie.

– No tak, pewnych rzeczy nie trzeba mówić.

Kalina posłała mu ostrzegawcze spojrzenie, a potem wyciągnęła komórkę i uniosła ją jak jakiś dowód rzeczowy w śledztwie.

– Kazała mi nagrać wszystko od momentu, kiedy wyjdiesz na murawę – oznajmiła. – I wysłać jej to potem, „tak żeby mogła sobie na aparacie obejrzeć”.

– Tego akurat...

– Mam zamiar to zrobić, Ben – ucięła Kalina. – Po meczu, kiedy będzie już znana wynik. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby przekonała się, kto go ustalił.

Adam patrzył nieruchomym wzrokiem w oczy dziewczyny. Przez moment nie widział nic poza nimi. Nie słyszał nic poza echem słów, które Kala przed

momentem wypowiedziała. Cały szum stadionowy ucichł, pokrzykiwania Witka gdzieś zniknęły.

Nagle Kalina podniosła się z ławki.

– Tato! – krzyknęła.

Krygier obrócił się, jakby stało się coś złego. Spojrzał z konsternacją najpierw na córkę, potem na Benhardta.

– Co jest? – rzucił nerwowo, z ewidentną pretensją, że musiał oderwać uwagę od niebezpiecznej dla Rewery sytuacji na murawie.

– Ben jest gotowy do wejścia – oznajmiła Kala.

Witek powoli przeniósł spojrzenie na swojego piłkarza. Otworzył lekko usta, ale się nie odezwał, jakby czekał na potwierdzenie lub dementi.

Adam nabrał tchu.

Potem podniósł się z ławki.

6

Strefa techniczna, stadion Unii Kraków

Krygier nie zastanawiał się ani przez sekundę. Cokolwiek udało się zrobić jego córce, należało natychmiast to wykorzystać. Oznajmił arbitrowi, że dokonuje zmiany, a potem stanął obok Benhardta przy linii bocznej.

Wyświetlacz sędziego technicznego poszedł w górę.

Kiedy na czerwono zaświeciło się „29”, a na zielono „15”, sektory gospodarzy na trybunach umilkły, a te zajmowane przez kibiców z Opola eksplodowały. Pomimo mniejszej liczby gardeł wydawało się, że hałas przebija ten, który rozległ się, gdy Unia trafiła do bramki.

– Po takim powitaniu masz tylko jedno wyjście – rzucił Witek, nachylając się do Bena. – Rozpętaj tam piekło, spal ich żywcem, a potem zostaw za sobą tylko popiół.

Benhardt popatrzył na szkoleniowca i uniósł brwi.

– Może trzeba nam było puścić jakiś motyw z Gladiatora – zauważył.

– Nie pierdol, tylko graj, chłopcze.

Zamiast odpowiedzieć, Adam obejrzał się przez ramię i dostrzegł, że Kalina stoi kawałek dalej z uniesionym telefonem, celując obiektywem prosto w niego.

Przybił piątkę ze schodzącym Ostrowskim, potem zamaszystym ruchem dotknął murawy i popędził w kierunku pozycji, którą powinien zająć na boisku.

Krygier od razu odnotował zmianę w swoich piłkarzach. Niektórzy zdawali się niepewni, czy Ben jest psychologicznie gotowy do wejścia, inni wyraźnie się ożywili, zupełnie jakby dostali tą zmianą sygnał, że gra zaczyna się na dobre.

Trwała sześćdziesiąta piąta minuta meczu. Czasu było wystarczająco, by odwrócić losy tego spotkania.

Witek zdierał sobie gardło przy linii bocznej, starając się korygować błędy, które jego piłkarze popełniali w ataku. Bronili się dobrze, mimo wzmożonych ataków silniejszego zespołu. Wciąż nie potrafili jednak zbudować dobrej akcji ofensywnej.

Aż do momentu, kiedy pod polem bramkowym Olejarczyka doszło do niespodziewanej sytuacji. Na jego skraju Rebus skosił z nóg napastnika z Krakowa, a ten padł jak długi, krzycząc wniebogłosy.

Interwencja była czysta, a piłka znalazła się przy nodze Antka. Ten zerknął na zwijającego się na murawie przeciwnika, a potem podniósł wzrok.

Zawodnicy Unii zamarli, widząc, że ich kompan się nie porusza. Okazja do skontrowania była wprost idealna.

– Dawaj! – ryknął Radek Warski, unosząc rękę kawałek dalej.

Nie czekając na podanie, kapitan zespołu ruszył przed siebie w szalonym pędzie, tym samym dając znać reszcie zawodników, że gra trwa nadal. Rebus posłał do niego długą piłkę, a niemal wszyscy w linii pomocy i ataku poszli w ślady piłkarza z opaską kapitańską na ramieniu.

Ben wyraźnie się zawahał, przez co został nieco za biegnącym na złamanie karku Gregorem.

Podobnie spóźnieni byli piłkarze Unii Kraków. Moment zawahania, kiedy ich kolega padł na murawę w ewidentnych męczarniach, sprawił, że nie mieli najmniejszych szans, by dogonić przeciwników.

Warski pędził ku bramce, mając obok siebie Szpeję. Kiedy znaleźli się przed bramkarzem Unii Kraków, Radek zamarkował podanie, a potem odbił w drugą stronę. Golkiper zrobił wszystko, by zamknąć mu drogę do bramki, kapitan Rewery oddał jednak piłkę zawodnikowi z numerem dziewiątym.

Gregor miał przed sobą praktycznie pustą bramkę. Uderzył wewnętrzną częścią stopy, spokojnie, jakby podawał piłkę do niewidzialnego kompana stojącego za linią bramkową.

Zaraz potem na stadionie podniósł się wiewat, Warski i Szpeja rzucili się sobie w ramiona, mocno klepiąc się po plecach. W odruchu dzikiej radości Radek pocałował Gregora w skroń, a potem mocno potarł jego włosy.

Do celebracji dołączali inni piłkarze, robili to jednak z pewnym wahaniem.

Po chwili stało się jasne, dlaczego tak było. Skoszony przez Rebusa zawodnik Unii wciąż się nie podnosił, jego koledzy zaś otwarcie protestowali przeciwko temu, że gra nie została wstrzymana.

Witek nerwowo się rozejrzył. Wiedział, co oznaczają takie emocje.

Kilku zawodników obydwu drużyn szybko znalazło się przy środku boiska. Byli wśród nich Ben i Sandał, którzy starali się uspokoić tych, którym nie udawało się powściągnąć emocji. Kiedy z bramki wybiegł Oleo, wiadomo już było, że za moment na boisku się zagotuje.

Arbiter pędził ku popychającym się piłkarzom, gwizdząc głośno.

– Tato – rozległ się głos zza pleców Krygiera. – Może trzeba by...

Witek nie czekał, aż córka dokończy. Szybko ruszył w kierunku kotłujących się piłkarzy, tym razem za punkt honoru stawiając sobie, by ich uspokoić.

– Widziałeś przecież, kurwa, że leży! – krzyknął do Warskiego jeden z krakowian.

– No i?

– No i zaraz ci, chuju, pokażę, co... – zaczął ktoś, łapiąc Radka za ramię.

– Spokój! – krzyknął Krygier.

Zorientował się, że tuż obok niego nagle znalazł się trener drużyny przeciwnej.

– Ty ich uczysz takiego skurwielstwa czy sami na to wpadli? – rzucił.

– Co?

– Każdy normalny zawodnik by to, kurwa, wybił na aut – syknął szkoleniowiec z Krakowa. – Mój piłkarz leżał na ziemi, skręcał się z bólu i...

– Jeb się – uciał pod nosem Witek, a potem dopadł do swoich podopiecznych.

Zaczął ich odciągać, a kilku innych mężczyzn szybko do niego dołączyło. Ben starał się uspokoić Gregora, sędziego technicznego najbardziej butnego zawodnika Unii. Arbiter główny zaś stanął w środku kotła i uniósłszy ręce, oznajmił, że zaraz posypią się kartki i któryś zespół będzie grał w osłabieniu.

Wszyscy stopniowo zaczęli odpuszczać. Krakowianin, któremu zameldował się Rebus, wciąż się jednak nie podniósł – kucalo przy nim teraz dwóch ratowników medycznych, oceniających jego stan.

Nie wyglądało to najlepiej.

– Rozejść się na swoje połowy! – zagrzmiał sędzia.

Był całkiem niezły w tym, co robił. Sam ton jego głosu i mowa ciała sprawiały, że trudno było nie dostosować się do poleceń. A kiedy tylko któryś z piłkarzy robił krok w niewłaściwym kierunku, arbiter sięgnął do kieszonki na piersi.

W końcu zawodnicy Rewery ustawili się przy linii bocznej, nieopodal ławki trenerskiej. Większość skorzystała z okazji, by napić się wody. Starali się ostudzić nieco emocje.

Witek wbijał wzrok w leżącego na murawie piłkarza. Wślizg Antka był na granicy faulu, sędzia jednak zdawał się przekonany, że wszystko odbyło się zgodnie z zasadami.

– Za moment VAR pójdzie w ruch – odezwał się cicho Benhardt, który jako jeden z nielicznych nie skorzystał z okazji, by uzupełnić płyny.

Kiedy Witek się do niego obrócił, chłopak wskazał rozmawiających ze sobą sędziów.

– Kurwa... – jęknął z oddali Warski.

Napięcie w jego głosie było doskonale słyszalne, Krygier jednak nie odczuwał nawet namiastki niczego analogicznego. Przypatrywał się deliberacjom sędziów z całkowitą obojętnością, być może nawet nadzieją na to, że anulują gola.

Ostatecznie jednak arbiter nie skorzystał z VAR-u i podjął decyzję korzystną dla Rewery Opole. Wskazał środek boiska – faulu nie było, bramka została uznana.

Na trybunach nie rozległ się jednak zwyczajowy wiwat, który towarzyszył poczuciu ulgi. Witek także jej nie czuł.

– Co robimy, trenerze? – odezwał się Adam.

Krygier zacisnął usta.

Dobrze wiedział, jakiej odpowiedzi udzieli. Nie był tylko pewien, jak ją sformułować. Ani jak zareagują piłkarze.

– Do mnie! – krzyknął w końcu.

Zawodnicy natychmiast przerwali rozmowy i zgromadzili się wokół szkoleniowca, świadomi, że nie mają dużo czasu. Kontuzjowany zawodnik z Krakowa był już znoszony przez ratowników na noszach.

Witek wydał kilka instrukcji, które część graczy początkowo potraktowała jako żart. Kiedy zorientowali się, że trener mówi całkiem poważnie, rozległy się stanowcze protesty. Najbardziej wzburzeni byli Gregor i Warski, ostatecznie jednak także oni musieli dostosować się do poleceń Krygiera.

Benhardt wznowił grę od środka, podając do Jelenia. Wszyscy zawodnicy Rewery Opole stali jak rażeni piorunem.

Jeleniewski oddał piłkę jednemu z zawodników z Krakowa. Ten rozejrzał się niepewnie i uświadomił sobie, że nie był to przypadkowy kiks. I że nikt z przeciwników go nie atakuje.

Piłkarze Unii przetruchtali w kierunku pola karnego opolan. Oleo stał w bramce, ale wyraźnie nie miał zamiaru nawet się poruszać.

Jeden z napastników z niewielką siłą skierował piłkę do bramki. Na trybunach nie rozległy się żadne okrzyki, jedynie gromkie oklaski, które długo nie ustawały.

Olejarczyk wyciągnął piłkę z siatki, a potem posłał ją z woleja ku linii środkowej, by jak najszybciej wznowili grę.

Dwa jeden dla Unii Kraków.

Witek miał nadzieję, że ten gest fair play nie będzie kosztował go trzech punktów.

7

Pole karne, stadion Unii Kraków

Ben robił wszystko, by wywalczyć piłkę, wychodzić na pozycje i ściągać na siebie uwagę defensorów. Ze wszystkich tych rzeczy udawała mu się jedynie ta ostatnia – i to niejako bez wysiłku, od kiedy stawił się na murawie.

Szkoleniowiec Unii był przygotowany na to wejście. Jego zawodnicy doskonale wiedzieli, którędy będzie poruszać się Benhardt i z kim będzie próbował szybkich wymian. Udaremniłi właściwie wszystkie jego próby, a Adam przypuszczał, że w ostatnim meczu sezonu, z Varsovią, będzie jeszcze gorzej.

Zespół ze stolicy zapewnił sobie mistrzostwo już jakiś czas temu, wystrzelając w tabeli daleko poza zasięg rywali. Drugie, trzecie i czwarte miejsce wciąż czekało na obsadzenie – choć musiałyby zdarzyć się prawdziwa tragedia, by Unia Kraków spadła niżej.

Szczególnie przy tak dobrze grającej obronie. Ben zdwoił wysiłki, mając z tyłu głowy, że wszystko to, co zrobi teraz na murawie, zostaje utrwalone przez Kalę dla jego babci.

Ilekoć ta myśl nadchodziła, zaczynał dryblować z jeszcze większą werwą, biegać szybciej i szukać dobrej pozycji do oddania strzału.

Jak wiele czasu jej zostało?

Ile meczów jeszcze zobaczy?

Kalina miała rację, kiedy mówiła, że babcia inaczej patrzy teraz na przyszłość wnuka. Chciała, by ta była immanentnie związana z boiskiem. I chciała widzieć, jak wnuk się rozwija.

Była osiemdziesiąta minuta meczu, kiedy Gregor został sfaulowany jakieś dwadzieścia metrów od bramki. Do piłki podeszli Warski i Benhardt, wymieniając się krótkimi spojrzeciami.

Radek nachylił się do jego ucha i zasłoniwszy usta dłonią, przekazał, jak rozegrają ten stały fragment gry.

Adam ustawił się do uderzenia mocniejszą, prawą nogą. Z tej strony boiska mogło to oznaczać właściwie dwie rzeczy – dochodzące dośrodkowanie lub próbę uderzenia na krótki słupek.

Golkiper z Krakowa ustawił mur, a potem sam znalazł się w takim miejscu, by mieć jak największą szansę na obronę.

Kiedy rozległ się gwizdek, Ben podał do Warskiego, ten natychmiast zatrzymał piłkę, a Adam uderzył w nią z całej siły, posyłając ją w kierunku przeciwnym do spodziewanego. Strzał odchodził w stronę długiego słupka, był wysoki. Zbyt wysoki. Nie ulegało wątpliwości, że nie trafi w światło bramki.

Wśród publiczności rozległ się jęk zawodu.

Naraz jednak futbolówka zaczęła opadać w kierunku poprzeczki. Bramkarz zorientował się, że mocna rotacja za moment sprawi, że jego zespół znajdzie się w opałach. Rzucił się desperacko w kierunku piłki, która z każdą chwilą się od niego oddalała.

Nie zdążył. Futbolówka wpadła do siatki, trybuny zwariowały, a Benhardt natychmiast obrócił się w kierunku stojącej przy linii bocznej Kali i zasalutował, patrząc prosto w obiektyw. Kątem oka dostrzegł jeszcze, jak dziewczyna się uśmiecha, zanim Radek Warski praktycznie wskoczył mu na plecy.

Wiwatom nie było końca, Adam zaś miał wrażenie, że każdy z drużyny popędził, by go uściskać. Jedynym wyjątkiem był Gregor, choć i on zdecydował się na nawiązanie kontaktu wzrokowego i skinienie głową.

Kiedy wracali na swoją połowę, Ben dostrzegł, że obok Kaliny stoi Gaudi z wysoko uniesionymi rękoma, jakby odprawiał jakieś dziękczynne modły. Dałby wiele, by mieć go na boisku, rozmontowanie tej twardej defensywy może wreszcie ruszyłoby z miejsca.

Tymczasem jednak musiał radzić sobie w konstruowaniu ataków z innymi kolegami. Im dłużej trwał mecz, tym więcej inicjatywy każdy z nich wykazywał. Mieli przewagę w posiadaniu, a większość akcji rozgrywała się na połowie przeciwnika.

Nic jednak z tego nie wynikało.

W osiemdziesiątej dziewiątej minucie Benhardt wpadł prosto w młyn obrońców. Okiwał jednego, potem drugiego i postarał się oddać piłkę Gregorowi. Na małej przestrzeni zabrakło jednak miejsca. Ktoś przeciął lot futbolówki i posłał ją na oślep do przodu.

Trener Unii Kraków wydierał się z linii bocznej, by jego zawodnicy ruszyli do ataku. Ci jednak się ku temu nie kwapili. Trzech pobiegło za piłką, reszta została, by w razie kontry bronić bramki.

Dawało to jasne pojęcie o tym, kto w tej chwili kontroluje grę.

Gdyby stało się to nieco wcześniej, nie ulegałoby wątpliwości, że Rewera zdoła wysunąć się na prowadzenie. W tej chwili jednak remis dwa do dwóch wydawał się jak zacementowany.

Akcja krakowian zakończyła się niecelnym strzałem na bramkę. Oleo natychmiast otrzymał kolejną piłkę od jednego z chłopaków i chciał wznowić grę – jego pośpiech był jednak bezzasadny, wszyscy byli kryci.

Zrezygnowawszy z długiego podania, oddał futbolówkę Rebusowi. Znow rozpoczął się mozolne konstruowanie akcji z własnej połowy. I znow nie sposób było pokonać linii obrony Unii Kraków.

Ben widział na twarzach kolegów, że powoli godzą się z losem. Nic dziwnego, jeszcze kilka tygodni temu wzięliby taki remis w ciemno. Pewnie zastanawiali się już, gdzie po uzyskaniu jednego punktu uplasują się w tabeli.

Awansują? Być może, o ile pozostałe mecze ułożą się odpowiednio. Przy odrobinie szczęścia opuszczą wreszcie piątą pozycję i znajdą się w strefie kwalifikacyjnej do europejskich pucharów.

Równie dobrze mogło jednak się okazać, że spadną o pozycję niżej. Różnice w tej części tabeli były zbyt małe, by być czegokolwiek pewnym.

Tym bardziej nie można było pozwolić sobie na rezygnację, uznał w duchu Adam. Cofnął się nieco, zostawiając Gregora samego w ataku, i włączył się do konstruowania akcji.

Kiedy tylko wycofał się za linię kryjących go defensorów, otrzymał piłkę od jednego z wahadłowych. Przyjął ją, obrócił się i rozejrzał. Nie było do kogo grać. Obrońcy z Krakowa świetnie kryli, a koledzy nie potrafili wywalczyć sobie dobrej pozycji.

Trudno.

Ruszył przed siebie, stopniowo przyspieszając, z przekonaniem, że nie ma nic do stracenia. Nie liczył na to, że uda mu się przebić pod samą bramkę – chodziło głównie o to, by pokazać kolegom wolę walki na ostatniej prostej i skłonić ich do jeszcze jednego, desperackiego ataku.

Była dziewięćdziesiąta druga minuta. Do końca spotkania pozostało ledwie kilkadziesiąt sekund.

Obrońcy byli uważni. Mieli świadomość, że Benhardt ciągnie na bramkę po to, by skupić na sobie uwagę przeciwnika, a potem w ostatniej chwili odda futbolówkę komuś, kto znajduje się na lepszej pozycji, lub zagra na faul.

Kraków bronił się już całą drużyną, dzięki czemu dwóch defensorów mogło skupić się na Adamie, a reszta pilnowała zawodników w swoich strefach.

Ben zamarkował podanie w prawo, a potem odbił w przeciwnym kierunku. Zaczął zbiegać ku lewemu skrzydłu, po drodze mijając jednego z rywali założeniem mu siatki.

Kiedy znalazł się przy rogu boiska, do dwóch kryjących go defensorów doskoczył trzeci. Adam poradził sobie z jednym, potem z drugim, tańcząc przy linii końcowej boiska. Ostatni z nich jednak sięgnął piłki i wybił ją na rzut różny.

Adam odetchnął. Więcej nie mógł zdziałać.

Kątem oka dostrzegł, że Oleo pędzi w kierunku pola karnego Unii Kraków. Nic dziwnego. Niechybnie czekała ich ostatnia akcja meczu.

Radek Warski podniósł piłkę, a potem spokojnym krokiem dotarł do miejsca, z którego miał wykonać korner. Ustawił futbolówkę z pietyzmem, jakby miał strzelać karnego, po czym wziął lekki rozbieg.

Rozległ się gwizdek, kapitan zespołu ruszył naprzód. Uderzył mocno i zdecydowanie, a silnie rotowana centra pomknęła prosto w pole karne krakowian.

Golkiper wyskoczył wysoko, wyciągając ręce w górę. W tym samym momencie Oleo wystrzelił ku futbolówce. Jako najwyższy zawodnik z Opola miał największe szanse, by ją sięgnąć.

I tak się stało.

Bramkarz Unii minął się z piłką, a golkiper Rewery uderzył z główki w kierunku bramki. Strzał był celny, ale nie nazbyt silny, przez co jeden z defensorów zdołał odbić piłkę. Poleciała w kocioł zawodników kłębiących się w okolicach jedenastki.

Przez moment trudno było dostrzec, gdzie znajduje się piłka. W końcu Ben wypatrzył ją przy nodze Jelenia. Pomocnik uderzył, futbolówka znów odbiła się przypadkowo od któregoś z obrońców.

Zamieszanie było ogromne.

Benhardt musiał zrobić z niego użytek.

Wystrzelił do przodu, orientując się, że ma szansę dopaść do futbolówki jako pierwszy. Ułamki sekund będą decydowały, czy to on, czy znajdujący się tuż obok zawodnik z Krakowa będzie górą.

Wszedł wślizgiem, zamykając oczy i nie patrząc nawet, czy nie trafi w czyjąś nogę zamiast piłki. Poczul, że czubkiem buta coś trąca.

Przez moment nie wiedział, czy była to futbolówka. Ani czy poleciała w kierunku bramki.

Kiedy jednak cały stadion zatrząsł się pod naporem okrzyków tysięcy gardeł, było już jasne, co się wydarzyło.

Rewera Opole wygrała trzy do dwóch.

Awansowała na czwarte miejsce w tabeli i uzyskała teoretyczną możliwość, by w ostatniej kolejce znaleźć się nawet na drugiej lokacie.

Ta oznaczałaby baraże o udział w najbardziej prestiżowych europejskich rozgrywkach. I wprowadzenie klubu w przyszłość, o której nikt jeszcze chwilę wcześniej nie śmiał nawet marzyć.

Wszyscy byli zdeterminowani, by walczyć i dać z siebie wszystko. Odprawa pomeczowa odbywała się w świetnej, przepełnionej poczuciem niezłomności atmosferze. Do meczu z Varsovią pozostało jedynie kilka dni – i nawet fakt, że większość składu musiała stawić się do tego czasu na egzaminie maturalnym, nie mogła sprawić, iż morale spadnie.

Ben był przekonany, że wejdzie w ostatni mecz sezonu w swojej życiowej formie.

Ledwo jednak opuścił stadion po meczu z Unią Kraków, cały świat mu się zawalił.

Barbara Benhardt zmarła jeszcze przed ostatnim gwizdkiem, przy stanie meczu dwa do dwóch.

Nigdy nie zobaczyła nagrania, które wykonała dla niej Kalina.

ul. Pawlety, Suchy Bór

Powoli zmierzchało, najwyraźniej jednak w niczym nie przeszkadzało to samotnej postaci na nieoświetlonym boisku. Stała tuż za jedną z bramek, odbijając piłkę od betonowego ogrodzenia oddzielającego murawę od tutejszego cmentarza.

Tadeusz przez jakiś czas trwał w bezruchu przy furtce, przypatrując się wnukowi. Był w czarnych garniturowych spodniach i białej koszuli, marynarkę przewiesił przez poprzeczkę bramki.

Ceremonia pogrzebowa skończyła się kilka godzin temu. Większość gości dawno opuściła stypę. Adam zaś w pewnym momencie oznajmił, że wychodzi, po czym zabrał piłkę i znikł z oczu dziadkowi.

Tadeusz wiedział, gdzie go szukać. Dał mu pół godziny, by chłopak zebrał myśli, a potem ruszył w stronę nieodległego boiska.

Podszedł do wnuka bez słowa, a ten obejrzał się, słysząc kroki. Ben przez moment się wahał, potem podał mu piłkę. Tadeusz zatrzymał ją prawą nogą i zwiesił głowę, przypatrując się futbolówce.

– Żałoba to tylko miłość, która nie ma gdzie się podziać – odezwał się, nie podnosząc wzroku.

Adam wydawał się zaskoczony tym nagłym stwierdzeniem, ale nie skomentował.

– Twoja babcia mi to kiedyś powiedziała – dodał Tadeusz. – Wydawało mi się to wówczas całkiem odpowiednie, ale tak naprawdę dopiero teraz zrozumiałem, co oznaczało.

Ben pociągnął nosem.

– Nie ty jeden – odparł.

Dziadek zostawił piłkę i zbliżył się do niego. Położył mu rękę na plecach i przez moment po prostu na niego patrzył. Przez cały dzień Adam trzymał się lepiej niż on, ale nie trzeba było długo się zastanawiać, by stwierdzić, że to tylko poza.

Tadeusz przyciągnął go do siebie i objął. Stali tak w bezruchu, sam nie wiedział jak długo. A kiedy nieco się odsunęli, zobaczył łzy w oczach wnuka. Tym bardziej bolesne, że nie wiedział, co z nimi zrobić.

– Wszyscy już poszli? – spytał Ben.

– Prawie.

– Kto został?

– Twój trener i twoja przyszła narzeczona.

Adam uśmiechnął się blado, z wysiłkiem. Nawet w gasnących, pociągłych promieniach zachodzącego słońca jego twarz była niemal jak prześcieradło.

– Chyba nie odnotowałem momentu, w którym miałbym się jej oświadczyć.

– O to się nie martw – odparł Tadeusz. – Jestem pewien, że go nie przegapisz.

Ben przesunął dłonią po ramieniu dziadka, gestem, który mówił, że to tylko i wyłącznie sfera marzeń, których wnuk nie zamierza nigdy realizować.

– To świetna dziewczyna – ocenił starzec.

– Upierdliwa.

– Tak jak babcia. I wierz mi, że z takimi życie jest najciekawsze.

Adam wydał usta, a potem podszedł do piłki. Podbił ją sprawnie nogą, złapał i umieścił pod pachą. Powiódł wzrokiem po wytartym pasie na środku boiska.

– Wszystko tu było łatwiejsze – odezwał się.

– Tak ci się tylko wydaje.

– Nie. Trzeba było niczego nie zmieniać, po prostu tu zostać.

Dziadek westchnął, a potem oparł się plecami o stary, nieco pochylony mur. Miał dojmującą świadomość, że kilkanaście metrów za nim znajduje się grób jego żony. Grób, którego powinno tam nie być.

– Nie zatrzymałbyś czasu – powiedział. – Biegłby tak czy inaczej, ty zaś musiałbyś go gonić. A to nigdy nie kończy się dobrze.

Adam podszedł z piłką i stanął obok.

– Nie można pozwolić mu uciekać – dodał dziadek. – Trzeba iść razem z nim, ramię w ramię, godząc się z jego tempem.

– Łatwo powiedzieć.

– Niełatwo – odparł Tadeusz. – Szczególnie kiedy tyle tego czasu minęło.

Nie bardzo wiedział, co jeszcze dodać, ale wnuk pokiwał głową w zamyśleniu, jakby chciał przekazać, że zrozumiał to, co najważniejsze.

– Musisz żyć, Adaś – dopowiedział mimo to starzec. – Babcia właśnie tego by od ciebie chciała. Żebyś jak najpełniej się realizował, spełniał marzenia.

Na moment głos ugrzązł Tadeuszowi w gardle, zupełnie jakby mężczyzna nic nie pił przez cały dzień. Nabrał głęboko tchu, starając się uspokoić bicie serca, po czym podniósł wzrok i przez jakiś czas wbijał go w podświetlone na pomarańczowo chmury.

– Będzie cię obserwowala – podjął. – I jak tylko uzna, że przez nią się nie spełniasz, zapewniam cię, że nie będzie zadowolona.

Ben prychnął ze smutkiem, a potem podrzucił piłkę i zgasił ją na górnej części stopy.

– Chodźmy – dodał dziadek.

– Zaraz, chcę jeszcze chwilę...

– Nie do domu – uciął Tadeusz, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że te cztery ściany bez obecności Barbary będą wydawały się całkowicie puste.

Wskazał wzrokiem cmentarz, a kiedy wnuk skinął głową, ruszył w kierunku furtki. Nie zauważył, że Adam nie poszedł za nim.

– Dziadek...

– Tak?

Kiedy odwrócił się w kierunku chłopaka, ten rzucił mu piłkę. Potem podciągnął się na murze i przeskoczył sprawnie na drugą stronę. Tadeusz obszedł boisko powolnym krokiem, obracając w dłoniach piłkę i zastanawiając się, co powinien powiedzieć. Żadne słowa nie wydawały się wystarczające, by podnieść na duchu najważniejszą i najbliższą mu osobę.

Po chwili dołączył do Adama przy grobie. Stali w bezruchu, patrząc na epitafium.

– Nie powinieneś od tego uciekać – odezwał się Tadeusz.

– Hm?

– Od żałoby. Nieprzebyta ciągnie się za tobą, zaciska się na twoim życiu i nie daje ci oddychać.

– Nie zamierzam przecieżyć...

– Wiem, jak to teraz jest – uciął Tadeusz. – Dzisiejszy świat wymaga od ciebie, żebyś jej nie przeżywał. Psycholodzy dają nam określony czas na żałobę, a społeczeństwo wymaga, żebyś szybko wrócił do normy, do zwykłego funkcjonowania, przestał ubierać się na czarno i tak dalej. Nie musisz tego robić, Adaś. Rozumiesz, co mam na myśli?

Wnuk odebrał od niego piłkę, położył na ziemi, a potem przysiadł na niej i zawiesił nieruchomy wzrok na nagrobku rodzinnej mogiły, w której Barbara chciała być pochowana.

– Chyba – przyznał niepewnie.

Tadeusz nie dziwił się jego wahaniu. Z jednej strony przed momentem usłyszał próbę podniesienia go na duchu, z drugiej przyzwolenie, by zanurzyć się w swoim smutku. Nie były to jednak rzeczy przeciwstawne. Odwrotnie.

– Jak byłem młody, śmierć i żałobę się oswajało – podjął Tadeusz. – Ktoś umierał, to długo leżał jeszcze w domu. Czasem nawet na stypie. Ludzie przychodzili, żegnali się ze zmarłym, nikt nie traktował tego jako tabu. Teraz jest inaczej. Jak tylko ktoś odchodzi, natychmiast ukrywa się go przed innymi, jak gdyby śmierć była zaraźliwa. I jak gdyby mówienie o niej mogło nas do niej przybliżyć.

Adam oderwał wzrok od grobu i spojrzał w górę, na dziadka.

– Tak samo jest z żałobą – kontynuował Tadeusz. – Spycha się ją na bok, bierze się leki, rozmawia z terapeutami, którzy mają błyskawicznie sobie z nią poradzić. Ale to nie jest właściwa droga. Prowadzi do dalszych problemów i żadnego nie rozwiązuje.

Zrobił na moment pauzę i ukucnął obok wnuka, stękając przy tym cicho. Kolana protestowały, jak mogły, ale nie miał zamiaru teraz na to zważać.

– Jeśli oswoisz to uczucie straty, obejmiesz je, zaznajomisz się z nim, nie będzie dla ciebie destrukcyjne – dodał. – Wręcz przeciwnie, wtedy może stać się źródłem siły.

Chyba dopiero teraz Adam pomiarkował, do czego zmierzał dziadek.

– Radząc sobie ze smutkiem na zasadzie ignorowania go, wprawisz się w emocjonalny paraliż. Musisz postąpić odwrotnie, rozumiesz? Przyjmij go, pogódź się z jego istnieniem. Nawet daj mu się rozwijać, nie tłamsząc żadnych uczuć. Tylko dzięki temu nie ogarnie cię emocjonalna atrofia i tylko dzięki temu uda ci się ruszyć naprzód tak naprawdę, a nie w ten sposób, do którego popędza cię społeczeństwo.

Ben przez moment milczał.

– A co, jeśli nie chcę ruszać naprzód? – spytał.

– Każdy chce.

– Ale...

– Tak samo jak każdy chce zagrać dobry mecz, mieć pełne życie, funkcjonować w udanym związku i tak dalej.

Wnuk cicho westchnął, przesuwając się na piłce do przodu i do tyłu. W końcu zerknął na Tadeusza.

– Długo nad tym wszystkim myślałeś? – rzucił.

– Miałem na to kilka lat więcej niż ty.

– I kilka pogrzebów więcej.

– To także – przyznał z lekkim uśmiechem Tadeusz. – Poza tym widzę przecież te wszystkie zmiany. Kiedyś zostawialiśmy długo z tym, kto odszedł, mówiłem ci, ale nie tylko w tym sensie dosłownym. Także emocjonalnym.

A teraz mam wrażenie, że gdyby istniała tabletką na wyeliminowanie żałoby, każdy by ją brał. Bo dziś nie możesz przeżywać śmierci, a najlepiej, jakbyś w ogóle nigdy się nie smucił. Musisz być uśmiechnięty, pełen energii, wyposażony w złote myśli trenerów rozwoju czy jak ich się tam nazywa. Musisz pędzić do przodu, zdobywać nowe umiejętności, a po upadku natychmiast się podnosić. Co to za bzdury, Adaś? Każdy się potyka, każdy kiedyś ląduje na ziemi. I czasem trzeba spędzić na niej trochę czasu, żeby podniesienie się miało sens.

Ben nabrał głęboko tchu, jakby miał zamiar skomentować ten przydługawy wywód. Ostatecznie jednak się nie odezwał.

– Chcę powiedzieć, że tylko przeżywając żałobę w pełni, sprawisz, że cię nie zniszczy – dorzucił Tadeusz. – Nie uciekaj od niej. Nie bój się jej. Niech będzie przez jakiś czas normalną częścią twojego życia. Przekonasz się, że przez to żadne inne jego elementy nie ucierpią.

Mimo że wnuk się nie odezwał, Tadeusz miał wrażenie, że do niego dotarł. Być może zresztą nie musiał. Być może Adam sam zrozumiał, co sprawiało, że w dniach prowadzących do odejścia babci był owładnięty całkowitym marazmem.

Teraz jednak mogło być inaczej.

Teraz oswojenie się z własnymi emocjami mogło sprawić, że te nie przeszkodzą mu ani w napisaniu matur, ani w rozegraniu najważniejszego meczu w dotychczasowej karierze.

Siedzieli przy grobie jeszcze przez pół godziny, nie odzywając się słowem. Prowadzili jednak ożywioną rozmowę. Ze sobą, z Barbarą.

Kiedy wracali do domu, mieli poczucie, że ten nie stoi pusty – i to nie tylko dlatego, że czekali na nich ludzie, którzy oferowali swoje wsparcie.

Po krótkiej wymianie zdań Adam i Kala oświadczyli, że idą się przejść, a Tadeusz posłał porozumiewawcze spojrzenie Witkowi. Ten zdawał się całkowicie je zignorować, zupełnie jakby nie wyłapał, co stary Benhardt ma na myśli.

Kiedy zostali sami, Tadeusz skinął na niego głową i zabrawszy szklanek z piwem, ruszył na tył domu. Usiedli przy starym, chybotliwym stoliku, który swoje najlepsze lata przeżył na rybach, a od pewnego czasu robił za mebel ogrodowy.

– Napijesz się czegoś? – odezwał się gospodarz.

Krygier pokręcił głową, siadając po drugiej stronie stolika.

– Jadę – odparł.

– No tak.

Zamilkli, a atmosfera z jakiegoś powodu stała się nieco niewygodna. Nie trzeba było długo się nad tym zastanawiać, by dojść do wniosku, że rozchodzi się o relację córki Witka z Adamem.

– Masz coś przeciwko? – rzucił wprost Tadeusz.

– Nie, pij śmiało.

– Mam na myśli to, że poszli na spacer.

– Nie.

– A jednak wyglądasz, jakbyś miał – zauważył dziadek Bena.

Krygier obejrzał się przez ramię w kierunku ulicy.

– Jest już ciemno – odparł, jakby próbował usprawiedliwić swoją reakcję.

– Ale nic jej tu nie grozi.

– Jesteś pewien?

– Tak – zapewnił szybko Tadeusz. – Poza tym mój wnuk prędzej rzuci się pod nadjeżdżający samochód, niż pozwoli, żeby stała się jej jakakolwiek krzywda.

Witek zdawał się zaskoczony tak daleko idącą deklaracją i przez moment szukał odpowiedniego komentarza.

– Nie przesadzasz? – spytał w końcu.

– Nie.

– Rozmawiałeś z nim o...

– Nie musiałem – uciął starzec, a potem upił łyk piwa.

Nie dodał nic więcej, był bowiem przekonany, że nie ma takiej potrzeby. Kiedy spojrzał na Krygiera, tylko się w tym utwierdził. Trener przyjął jego słowa bez jakiegokolwiek podejrzliwości i wyraźnie nie musiał o nic dopytywać.

Z jakiegoś powodu jednak nie chciał też ciągnąć tematu.

– Nie popierasz tego, że się do siebie zbliżają? – podjął Tadeusz.

– Nie ode mnie to zależy.

– Ale nie jesteś wniebowzięty.

Witek cicho westchnął.

– Naprawdę chcesz o tym rozmawiać? – zapytał.

– Tak. Właściwie to chętnie porozmawiam o czymkolwiek.

Trener obrócił się do niego, przechylając się na bok. Oparł się o podłokietnik niezbyt stabilnego plastikowego krzesła ogrodowego i przyjrzał się rozmówcy.

– W takim razie mam dla ciebie inny temat – oznajmił.

– Śmiało.

– Zresztą jesteś chyba najodpowiedniejszą osobą, którą mogę o to zapytać...

Zawiesił głos, jakby niepewny, czy faktycznie tak jest. Albo czy w dniu pogrzebu jego żony powinien rozprawiać z nim o czymkolwiek poza faktem jej odejścia.

– O co? – pomógł mu Tadeusz.

– Wszyscy w sztabie szkoleniowym zastanawiają się, czy Ben da radę zagrać ten ostatni mecz.

Nie tylko w sztabie szkoleniowym, chciał dodać Tadeusz. Zachował jednak tę myśl dla siebie, a trener wziął milczenie za niezbyt dobry omen, mina bowiem dość szybko mu zrzędła.

– Myślisz, że mogę go wystawić? – zapytał.

Tadeusz się zawahał. Z punktu widzenia wnuka najlepiej by było, gdyby znalazł się w wyjściowej jedenastce i zajął czymś myśli. W dodatku powrót do znanej rzeczywistości boiskowej mógłby zadziałać terapeutycznie.

Z czysto moralnej perspektywy jednak Tadeusz nie mógł udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Adam stał się ostoją zespołu, to wokół niego będzie rozgrywał się mecz. I to jego forma przesądzi, czy zespół Rewery Opole wypadnie z pierwszej czwórki, tracąc szansę na europejskie puchary, czy wprost przeciwnie.

Wyjście było tylko jedno. Ostatecznie Tadeusz powinien po prostu powiedzieć prawdę.

– Nie wiem – odparł.

9

Las Grudzicki, Suchy Bór

Słońce zeszło już poniżej linii drzew, a las powoli zatapiał się w mroku. Kala szła przed siebie niepewnie, świadoma, że przed wyjściem z domu Benhardta powinni wziąć ze sobą chociaż latarkę.

Zamiast tego jednak Adam zabrał swoją rozpinaną bluzę klubową i chwycił za butelkę wina, jakby było to wszystko, czego będą potrzebowali.

– Gdzie idziemy? – odezwała się Kalina.

– Zobaczysz.

– Mhm – odparła pod nosem dziewczyna. – Zazwyczaj logika na to wskazuje, kiedy się gdzieś idzie. Ale teraz może być różnie.

– Co?

– Zaraz będzie całkiem ciemno. A my nie mamy żadnego światła oprócz komórek.

– Niepotrzebne nam.

– Jasne. Przecież wokół jest tyle latarni.

Ben rzucił jej krótkie spojrzenie, ale w półmroku trudno jej było dostrzec, co starają się wyrazić jego oczy.

Początkowo był tak przygnieciony ciężarem straty, że w trakcie pogrzebu wyglądał, jakby miał stracić przytomność. Ewidentnie nie przespał ani godziny, od kiedy dowiedział się, co się wydarzyło. I nic nie wskazywało na to, by jego stan miał się poprawić.

Potem jednak stopniowo dochodził do siebie. A kiedy wrócił z dziadkiem do domu chwilę temu, wyglądał jak inny człowiek.

– Znam te lasy na pamięć – odezwał się.

– Oby.

– Zresztą to prosta droga. Nie pobłądzimy.

Kala skinęła głową bez przekonania, odnotowując, że idą żółtym szlakiem rowerowym i czerwonym dla tych, którzy uprawiali tutaj nordic walking.

– Zawsze mogą pożreć nas dzikie zwierzęta – odparła.

– To akurat prawda.

Lekko go szturchnęła, a Ben się uśmiechnął. Po chwili dotarli do rozdroża leśnych duktów, przy którym znajdował się drewniany stół i połączone z nim ławy.

Usiedli po przeciwnych stronach, po czym Adam postawił butelkę wina na środku. Było otwarte, ale ktoś wepchnął korek dość mocno do szyjki. Benhardt przez moment się z nim siłował, a potem podał butelkę Kali.

– Kieliszków nie zabrałeś?

– Jakoś nie.

Pociągnęła łyk i otarła usta, a potem oddała mu wino. Kiedy też się napił, oboje zamilkli. Kalina niespecjalnie wiedziała, jak zacząć rozmowę – i czego na dobrą sprawę miałyby dotyczyć.

Główny temat był oczywisty. Nie była jednak pewna, czy Ben chce go poruszać – na jego miejscu wolałaby chyba zajmować się wszystkim innym, choćby jutrzejszymi maturami, nie wspominając już o nadchodzącym meczu z Varsovią.

Czekała zatem.

Po kilku kolejnych rundach z winem Adam w końcu się odezwał.

– Co obstawiasz? – spytał.

– Hm?

– Jutro. Na polskim.

– A – odparła i uniosła wzrok na korony drzew. Oczy nieco przyzwyczyły się do warunków, a od zapadnięcia kompletnej ciemności dzieliło ich jeszcze trochę czasu. – Lalka. Musi być Lalka.

Benhardt parsknął cicho i pociągnął łyk wina.

– Gorzej nie mogłaś wybrać – ocenił.

– To nie kwestia wyboru, tylko intuicji.

– I co ci jeszcze podpowiada?

– Że jak nie przyhamujemy z tym winem, to będzie się tę maturę pisało dość ciężko.

Adam skinął głową, jakby przyjmował to do siebie, zaraz potem jednak uzupełnił poziom alkoholu we krwi o kolejną dawkę.

– Mówię poważnie – dodała Kalina.

– Wiem. Ale jakoś niespecjalnie mnie zajmuje Wokulski, a Łęcka już w ogóle.

– Ben...

– Mam to w dupie – uciał. – I nie popadam w żaden dół. Miałbym takie samo podejście, gdyby babcia tu była.

Kala miała na końcu języka uwagę, że Barbara nie byłaby zadowolona z takiego postawienia sprawy. Powstrzymała się jednak. Na tym etapie okazałoby się to raczej przeciwskuteczne.

– Ale ty faktycznie powinnaś przyhamować – dodał Adam.

– Żeby było więcej dla ciebie? Spierdalaj.

Zabrała butelkę i się napiła, dopiero teraz orientując się, że rzuciła to ostatnie słowo całkowicie mimochodem. Nie zerknęła nawet na Bena, by przekonać się, jaka była jego reakcja.

Zdawał się zupełnie nieprzejęty, wręcz obojętny, jakby nie wydarzyło się nic wykraczającego poza normę.

Kalina zaśmiała się z pełnymi ustami.

– Co cię tak cieszy? – spytał Benhardt.

– To, że mimowolnie zrobiłam ci „spierdalaj test”.

– Co?

– To taki sprawdzian zażyłości relacji.

– Sprawdzian?

– Powszechnie znany sposób oceny, czy dwoje ludzi jest już w bliskich stosunkach, czy nie.

– Jakoś o tym nie słyszałem.

Kala wzruszyła ramionami, sygnalizując, że jego ograniczony zakres wiedzy nie jest jej winą.

– Nie wydaje się to zbyt powszechne – dodał. – Powiedziałbym, że raczej twoje, autorskie.

– To nawet lepiej.

Ben przez moment obracał butelkę na stole, a Kalina uświadomiła sobie, że jest w niej zaskakująco mało rubinowego płynu. Zdecydowanie za szybko pili.

– I zdałem ten test? – spytał Adam.

– Hm.

– Hm? Poważnie?

– Powiedzmy, że jeśli w ten sam sposób pójdą ci matury, to dostaniesz się na każdy uniwersytet, do którego złożysz papiery.

Po raz pierwszy od dawna zobaczyła na twarzy Bena uśmiech. Nawet jeśli wcześniej pojawiały się jakieś przebłyski, natychmiast nikły, jakby przypominał sobie, że nie ma prawa być choćby przez sekundę wesoły.

Teraz jednak pozwolił sobie na wyraźny oddech, a ona odniosła wrażenie, jakby z barków spadł mu jakiś ciężar.

Nie miała pojęcia, co powiedział mu dziadek, ale cokolwiek to było, podziałało.

– Czyli co? – podjął Adam. – Kazesz ludziom spierdalać i sprawdzasz, jak zareagują?

– Mniej więcej.

– Jak się obruszą, to znaczy, że nie warto się z nimi zadawać?

– Niezupełnie tak to działa.

– Więc jak?

Kala znów upiła łyk, ledwo to odnotowując. Dobrze, że butelka się kończyła, bo w takim tempie zaczynała opróżniać ją już niemal bezwiednie.

– Skoro się nie obruszasz, kiedy ktoś tak do ciebie mówi, znaczy to, że macie naprawdę bliską relację. Że słowa powszechnie uważane za obraźliwe w waszym wypadku takie nie są. Bo przybierają inny sens, zawsze są zabarwione jakimś... – Uczuciem? Nie, tego słowa nie mogła użyć. – Jakąś afektacją.

Benhardt milczał.

– Nie można zranić kogoś, kto wie, że druga strona nie ma narzędzi, by wyrzucić mu krzywdę.

Zdawało jej się, że zaczyna pleść od rzeczy, ale nie czuła z tego powodu najmniejszego zażenowania. Przeciwnie, miała przekonanie, że powinna

o pewnych sprawach pogadać z Adamem już dawno.

– Przydałoby nam się jeszcze jedno wino – zauważyła, przyglądając się resztkę w butelce.

– Skoczę szybko do monopolowego.

– Aha. I zostawisz mnie samą w nocy w środku lasu.

– Środek tej części lasu jest trochę dalej, w kierunku Falmirowic.

– Hę?

– Taka wieś. Zaraz obok jest Kamionka, pokażę ci kiedyś za dnia.

– Aaa... – wydała z siebie Kalina. – Czyli zamierzasz kontynuować tradycję pokazywania mi suchoborskich lasów?

– Tak. W dodatku planuję upgrade do wycieczek za dnia.

Dziewczyna pokiwała głową, imitując uznanie. Potem skrzyżowała ręce na drewnianym stole i przysunęła się nieco. Zmrużyła oczy, niczym dziennikarka śledcza tuż przed przesłuchaniem człowieka, który ma wszystkie interesujące ją informacje.

– Czyli nie marzy ci się wyjazd – zauważyła.

– Jaki wyjazd?

– Do Warszawy, Barcelony czy twojego upragnionego Manchesteru.

Ben zwlekał z odpowiedzią, chyba nieco zaskoczony tym, że z lekkich tematów jakimś cudem przemknęli się do spraw ważkich.

– W tej chwili mało co mi się marzy – odparł w końcu.

– „Mało co” – powtórzyła Kala, starając się skopiować jego głos. – To nie to samo co „nic”.

– Ano nie to samo – przyznał.

Opuściła lekko głowę, wwiercając się wzrokiem w jego oczy.

– Więc co marzy się Adamowi Benhardtowi?

Nabrał tchu, ale nie odpowiedział.

Zaległo milczenie, a Kala ledwo dostrzegła w ciemności wyraz twarzy Bena. Z jakiegoś powodu poczuła falę chłodu, która oplotła jej ciało. Być może wynikało to z faktu, że w momentach takiej ciszy las zdawał się tętnić nocnym życiem miriadów owadów i dzikiej zwierzyny. Im dłużej Kalina wsłuchiwała się w te dźwięki, tym bardziej czuła się tutaj intruzem.

Ściągnęła lekko ramiona.

– Zimno ci? – spytał Ben, zrzucając klubową bluzę, którą zabrał przed wyjściem.

– Nie, po prostu...

Urwała, orientując się, że jest już za późno. Adam wstał i obszedł stół, a potem narzucił jej na ramiona pomarańczowy ciuch. Zatrzymał dłonie na jej ramionach nieco za długo, a ona odniosła wrażenie, że zaraz się pochyli i ją pocałuje.

Moment zdawał się przeciągać w nieskończoność. Nie widziała Bena, stał za nią z dłońmi nieruchomo ułożonymi na jej ciele.

Serce zaczęło jej bić szybciej, płuca nie nadążały z pompowaniem powietrza, które stało się naelektryzowane i jakby gęste. Oczami wyobraźni mogła zobaczyć, już prawie poczuć, jak Adam delikatnie obraca ją ku sobie.

Zamiast tego dłonie przesunęły się delikatnie po ramionach, a potem dotyk znikł. Benhardt obszedł stół i wrócił na swoje miejsce.

Kala potrzebowała kilkadziesiąt sekund, by sklecić jakiegokolwiek słowa.

– Będzie ci zimno – powiedziała.

– To pójdę po to kolejne wino.

Spojrzeli na siebie, a ona odniosła wrażenie, że przed momentem w ich relacji wydarzyło się coś, co będzie miało kolosalne skutki dla obojga. Naraz jednak zdała sobie sprawę, że przesadza.

Jezu, ledwo jej dotknął.

Potrząsnęła głową, starając się na powrót zakotwiczyć w rzeczywistości.

– Co jest? – odezwał się Ben.

– Nic. Nie odpowiedziałeś na pytanie.

Nawet w mroku mogła dostrzec, że się skrzywił.

– Myślałeś, że tym beznadziejnie szarmanckim gestem sprawisz, że zapomnę? Panie wielki dżentelmenie?

– Trochę.

– Musiałbyś postarać się dużo bardziej – rzuciła Kala i nachyliła się jeszcze mocniej. – A więc mów. Jakie jest to marzenie?

Benhardt przez chwilę milczał, mimo że z pewnością nie musiał zastanawiać się nad tym, jak brzmi odpowiedź. Wydawał się jednak niepewny, czy chce jej komukolwiek udzielać.

– Chciałbym, żeby to wszystko widziała – odezwał się w końcu.

Kala zmrużyła oczy. Zamierzała dopytać, ale uznała, że najlepiej będzie, jeśli się nie odezwie.

– Mecz z Varsovią, potem to spotkanie w Barcelonie... – dodał Adam.

Mimo że zawiesił głos, wyraźnie nie planował kontynuować. Oboje milczeli, wsłuchując się w nocne dźwięki lasu zlewające się w dziwnie przyjemną

kakofonię. Kala mogła wyłapać odgłosy jakichś owadów, cykanie świerszczy i trele ptaków.

– Chciałbym, żeby widziała wiele więcej – podjął po chwili Ben. – To wszystko, co będzie w przyszłości.

– Czyli?

Wydawał się zaskoczony tym pytaniem. Kalina jednak nie zadała go bez powodu, chciała, by skierował swoje myśli w określoną stronę i skupił się na konkretnych elementach czekającego go etapu.

– Sam nie wiem...

– Wiesz – ucięła. – Zacznie się od udziału w europejskich pucharach, w barwach Rewery Opole.

– Cóż, tylko jeśli uda nam się...

– Potem będzie transfer do dużego europejskiego klubu. – Nie dała sobie przerwać. – A razem z nim zapewne powołanie do reprezentacji. I gra z orzełkiem na piersi.

Drgnął nerwowo, a ona знаła go na tyle dobrze, by wiedzieć, że kiedy faktycznie przywdzieje ten biało-czerwony trykot, będzie to dla niego jeden z najważniejszych momentów w życiu.

– Tytuł króla strzelców w którejś z topowych lig – kontynuowała. – Mistrzostwo ligowe, puchary krajowe i międzynarodowe, a potem...

– Nie galopujesz za daleko?

– Nie – odparła z przekonaniem Kala.

Chciała dodać, że podobne scenariusze zapewne roztoczyłby przed nim każdy, kto widział, jak gra. Nie zrobiła tego jednak. Nie czuła, że powinna.

– A WAGs? – odezwał się Ben.

– Hę?

– W tych wizjach powinna się pojawić jakaś supermodelka, która mnie omota, jak tylko trafię do któregoś z najlepszych zespołów w Europie.

Gdyby na stole między nimi znajdowało się coś, czym mogłaby w niego rzucić, z pewnością teraz by po to sięgnęła.

– Akurat tego ci nie zaplanowałam.

– Szkoda.

Dziewczyna spojrzała na niego spode łba, a on chyba wyłapał, że nie zamierzała zmieniać tonów tej rozmowy na lżejsze. Musieli odczekać chwilę w milczeniu, by atmosfera wróciła do miejsca, w którym przed momentem się znajdowała.

– Przed tobą wyjątkowa przyszłość – rzuciła wreszcie Kalina. – O której większość piłkarzy może tylko pomarzyć.

Ben bez słowa pokręcił głową i sięgnął po butelkę.

– Taka jesteś pewna?

– Tak – odparła. – Podobnie jak tego, że twojej babci nic nie umknie.

Dopiero teraz nastrój na dobre obciążył się powagą. Adam zaczął obracać wino na stole, przyglądając się etykietce, jakby nagle stała się najbardziej interesującą rzeczą na globie. W końcu podniósł wzrok na Kalę, a ona zobaczyła w jego oczach, że chciałby powiedzieć jej wiele, ale nie znajduje właściwego sposobu, by to zrobić.

– Lepiej pamiętaj o tym, wchodząc na murawę przed meczem z Varsovią – poradziła. – I przed wszystkimi kolejnymi też.

– Będę – zapewnił.

Kalina nie odpowiedziała, przypatrując mu się. Pił wino, jakby chciał za jednym zamachem je skończyć, a ona zastanawiała się, na ile może uwierzyć w tę ostatnią deklarację.

Nie współgrała z tym, co widniało na jego twarzy. Jeśli mogła ona uchodzić za jakikolwiek prognostyk, Rewera Opole miała problem. Jej napastnik bowiem utracił coś, czego nie był w stanie odzyskać.

Chwilę później wrócili do domu Benhardtów przy Pawlety. Witek czekał już na Kalę przed drzwiami, bo ta moment wcześniej wysłała mu esemesa, że zmierzają z powrotem.

Wymieniła się z Benem jedynie krótkim uściskiem, jakby obecność ojca sprawiała, że nie mogą pozwolić sobie na okazywanie jakiegokolwiek zażyłości. Zaczęła ściągać bluzę, ale chłopak szybko zbył to machnięciem ręki i zapewnił, że weźmie nową od pani Czesi.

Zaraz potem Kala wsiadła razem z Witkiem do jego starej skody. Podkład muzyczny podróży powrotnej do miasta mógł być tylko jeden, ale dźwięki zlewały się Kalinie na tyle, że nie potrafiłaby powiedzieć nawet, jakie kawałki leciały.

Ojciec odezwał się dopiero, kiedy dojeżdżali do centrum.

– Poradzą sobie – powiedział.

Kala spojrzała na niego przelotnie.

– Wiem – odparła. – Nie jestem tylko pewna, czy w porę.

– Znaczy...

– Znaczy, że Ben może zaprzepaścić swoją przyszłość, zanim w ogóle zorientuje się, że to robi.

Witek westchnął z nieskrywanym bólem i mocniej ścisnął kierownicę.

Dla Kali było oczywiste, że zrobi wszystko, by pomóc chłopakowi. Ostatecznie jednak tylko Adam był w stanie cokolwiek zmienić w swoim życiu.

– Wystawisz go w pierwszym składzie? – zapytała Kalina, kiedy podjeżdżali pod mieszkanie matki przy Reymonta.

Ojciec nie odpowiadał.

– Hm? – upomniała się.

Wahanie było zbyt długie. I mogło oznaczać tylko jedno.

– Wszystko po kolei – odparł w końcu. – Najpierw matury, potem mecz.

Kala nie miała zamiaru oponować, choć wiedziała doskonale, że ani ona, ani żaden z młodych piłkarzy nie będzie tego wieczoru myśleć o czekającym ich egzaminie dojrzałości.

Zdadzą go lub obleją w zupełnie innych okolicznościach, za parę dni.

10

Szatnia gospodarzy, Stadion im. Dawida Żerskiego

W pomieszczeniu rozlegały się dźwięki piosenki You're The Best Joego Esposito, a Krygier wodził wzrokiem po swoich podopiecznych, starając się ocenić, jak każdy z nich jest psychicznie przygotowany do zbliżającego się starcia.

Niektórzy musieli kojarzyć ten kawałek z Karate Kida, na nich z pewnością podziała motywująco, na pozostałych być może też. Wszyscy jednak zdawali się gotowi do walki, łącznie z Benhardtem.

Witek stał z boku, przy ścianie, tuż obok Melera. Ten trwał z nosem w swoich notatkach i wykresach, które właściwie na nic się nie zdawały, i niespecjalnie interesował się tym, jakie wrażenie sprawiali zawodnicy.

Krygier skrzyżował ręce na piersi.

– Powiedziałbyś kilka tygodni temu, że w ostatniej kolejce będziemy walczyć o sam szczyt tabeli? – odezwał się pod nosem.

Przemysław włożył długopis między kartki, zamknął notatnik, po czym przeniósł uwagę na trenera.

– Nie powiedziałbym – odparł.

– Bardziej realne wydawały się zmagania o to, żeby nie znaleźć się w strefie spadkowej.

– To prawda.

– A teraz popatrz na nich – rzucił Witek, wskazując ruchem głowy piłkarzy. – Większość jeszcze wczoraj pisała maturę. A dzisiaj będą grać z najlepszym zespołem w lidze, rywalizując o to, by w przyszłym roku znaleźć się w gronie czołowych drużyn europejskich.

Meler pokiwał głową bez przekonania.

– Dążysz do czegoś? – spytał.

– Do tego, jak ich zmotywować.

Asystent Krygiera wzruszył lekko ramionami, jakby nie istniał żaden pewny sposób, by to osiągnąć. Albo jakby to Witek był jedynym, który może znaleźć odpowiedź.

– Jak do nich dotrzeć? – dodał trener. – Czego potrzebują?

– Tego chyba nigdy nie wiadomo. W żadnej drużynie.

Miał oczywiście rację. Morale w szatni tuż przed meczem było absolutnie kluczowe. Nie istniał jednak uniwersalny sposób na to, jak je podnieść. Każdy zawodnik był inny, każdy potrzebował innego bodźca.

Być może jedynym, co miało sens, było indywidualne podejście. W tej chwili brakowało już jednak na nie czasu. Witek stosował je przez cały sezon, teraz zaś liczył już wyłącznie na to, że się opłaci.

Kiedy muzyka dobiegła końca, wyszedł na środek.

– Stańcie w kółku, panowie – odezwał się.

Zawodnicy i członkowie składu szybko go okrążyli, a Krygier wyłapał, że jego córka jak zwykle ustawiła się blisko Bena. Wymienili się krótkimi spojrzeniami, ale nie było w nich żadnego podtekstu, a przynajmniej Witek go nie wyłapał.

Pytał Kalę o spacer po pogrzebie Barbary. Mówiła o nim otwarcie, nie zdawała się zachowywać czegokolwiek dla siebie. Odbyła z Benhardtem zwykłą, przyjacielską dyskusję, głównie na temat tego, jak żałoba poprzednich pokoleń wypada w zestawieniu z tą, którą forsuje dzisiejszy świat.

Nie były to rozmowy wchodzących w dorosłość osób, które Krygier sam pamiętałby z tego okresu. Nie sądził, by w ogóle zajmował się sprawami związanymi z przemijaniem, bo czas wydawał się wtedy na jego usługach.

Teraz było jednak inaczej.

Zerknął na zegarek, orientując się, że do sygnału wzywającego do opuszczenia szatni nie zostało już wiele czasu.

Wciąż nie wiedział, co powiedzieć.

Nie miał pojęcia, jak zagrzać do boju swoich podopiecznych przed najważniejszym meczem w sezonie. Czekali na to, wiedzieli, że nadchodzi. Czy byli gotowi? Czy wprost przeciwnie, potrzebowali tej jednej motywującej przemowy, by dopiero osiągnąć właściwy stan umysłu?

Jakkolwiek by było, Krygier nie miał gotowej recepty. Postanowił iść za tym, co podpowiadało mu serce.

Dał mu jeszcze chwilę, tocząc wzrokiem po swoich zawodnikach. Znał ich przecież, wiedział już, jak mniej więcej myślą, zachowują się i reagują.

Ostatnie spotkanie z Varsovią przegrali zero do czterech, praktycznie nie istnieli na boisku. Każdy, kto wtedy grał, pamiętał tamto uczucie. I to właśnie z nim będzie wychodził dziś na murawę.

Pozostali zaś mieli bolesną świadomość tego, jak wielka różnica punktowa, umiejętnościowa i mentalna dzieli ich od zawodników, którzy wygrali ligę.

W oczach piłkarzy Krygiera iskrzyła wola walki, ale jednocześnie przekonanie o tym, że wychodzą na starcie z prawdziwym goliatem.

– Ośrodki akademickie w Bostonie i Los Alamos swojego czasu przeanalizowały szanse słabszego zespołu w starciu z silniejszym – zaczął. – Założyły dodatkowo, że w tym pierwszym grają znacznie gorsi piłkarze, w dodatku drużyna boryka się z kontuzjami. Wicie, jakie było prawdopodobieństwo wygranej? Czterdzieści pięć procent.

Nie wywołało to praktycznie żadnej reakcji wśród podopiecznych Witka. Nie liczył jednak na nią, jeszcze nie teraz.

– W waszym przypadku jest zupełnie inaczej – dodał. – Fakt, że znajdujemy się niżej w tabeli, nie oznacza, że jesteście słabsi od zawodników Varsovii. Wybroniście się, wyszliście cało z najgorszej sytuacji, jaką widziała historia tej ligi. I gracie tak, że w tej chwili walczymy o topowe miejsce. Nie mamy żadnych kontuzji, wszyscy podstawowi zawodnicy są gotowi do gry, razem z Gaudim. Varsovia ma zaś tytuł mistrza w kieszeni, więc traci największą część motywacji. Gdyby zapytać tych samych naukowców, jakie dają nam szanse, odpowiedź z pewnością byłaby jeszcze lepsza. A ja i tak brałbym w ciemno te czterdzieści pięć procent. To praktycznie pół na pół.

Krygier nabrał tchu i zerknął na córkę. Ta wykonała nieznaczny ruch głową, jakby chciała go zachęcić, by mówił dalej.

– Ale zwycięstwo czy porażka nie mają dla mnie znaczenia – ciągnął. – Wicie, co się dla mnie liczy?

Nie musieli odpowiadać, bo doskonale zdawali sobie z tego sprawę.

– Oczywiście, że wiecie – dodał. – Wolę pięknie przegrać niż wygrać w złym stylu. Zależy mi na tym, żebyście pokazali dobrą piłkę i bez względu na wynik schodzili z murawy z podniesionym czołem.

Obrócił się lekko, by spojrzeć w oczy kolejnym piłkarzom.

– Wolę też, żebyście popełniali błędy, niż mieli nie ryzykować – kontynuował Krygier. – Grajcie piłką, jest zawsze szybsza od zawodnika. I atakujcie, atakujcie, atakujcie. W najgorszym wypadku stracie bramkę. A jeśli ta gra ma jakąkolwiek kardynalną zasadę, jest nią to, że zawsze można strzelić o jednego gola więcej niż przeciwnik.

Pokiwali głowami, a on poczuł, że w końcu faktycznie do nich trafia. Powtarzał im wprawdzie to wszystko podczas treningów i odpraw, ale najistotniejsze było to, co zostanie im w głowach przed meczem.

Ofensywne nastawienie, gra piłką i gotowość do ryzyka były trzema rzeczami, na których w tym spotkaniu zależało mu najbardziej.

– Jeśli stracie posiadanie, walczcie o nie tak, jakby od tego zależało wasze życie – dorzucił. – Nie będziemy musieli się bronić, jeśli nie damy im okazji do ataku. Nie będziemy musieli konstruować mozolnie akcji od początku i grać bez piłki, jeśli natychmiast ją odzyskamy. Ci zawodnicy są do ogrania, jeśli przedstawimy im się na własnych warunkach. Zagrajcie najlepszy futbol, na jaki was stać, a zapewniam was, że tamci nie będą mieć nic do powiedzenia.

Piłkarze zgromadzeni w kółku pokiwali głowami, choć Witek miał świadomość, czego od kilku dni wysłuchują w mediach.

„Benhardt był bez formy, kiedy jego babcia była w szpitalu. Czy ma jakąkolwiek szansę rozegrać choćby przyzwoity mecz?”

„Adam Benhardt ma niesamowite umiejętności, ale równie niesamowicie słaby mental. Miną lata, nim go podszkoli”.

„Varsovia nie odpuści. Walczą o dwa rekordy ligi – największą liczbę punktów i największą liczbę bramek”.

„Od lat nie było w Ekstralidze tak silnego zespołu, jak obecna drużyna z Warszawy”.

Dziennikarze spekulowali, że dzięki temu wreszcie pojawiła się szansa na to, by w przyszłym sezonie któryś polski zespół zajął europejskie puchary. Varsovia razem z Unią Kraków miały grać w Pucharze Mistrzów, mierząc się z najlepszymi na Starym Kontynencie.

O ile tej drugiej nie dawano wielkich szans w kwalifikacjach, o tyle ta pierwsza była typowana nawet do wyjścia z grupy. Spodziewano się, że tym

razem nie dojdzie do tego, co część publicystów rokrocznie określała mianem „klasycznego eurowpierdolu”.

Plotki transferowe na temat zawodników mających odejść z Warszawy i do niej trafić krążyły już z prędkością światła. Największe kluby miały interesować się szeregiem polskich zawodników. Varsovia zaś starać się pozyskać znane, renomowane nazwiska, nawet z teoretycznie silniejszych lig.

W mediach panowało przekonanie, że powstaje prawdziwa polska marka futbolowa.

Słyszając to wszystko, piłkarze Rewery musieli czuć się, jakby pochodzili z innego świata. I być może istotnie tak było. Krygier jednak nie miał zamiaru ani przez moment dać im tego odczuć.

– Inicjatywa i pressing od samego początku – powiedział. – Im mniej dacie im pograć, tym bardziej przekonają się, że nie mają nic do gadania. Uderzcie w nich bez jakiegokolwiek strachu, bez najmniejszych kompleksów. Nie macie powodu, by je mieć. Jesteście najlepszym składem, jaki mógłbym wymarzyć sobie do trenowania, i każdy dzień pracy z wami jest dla mnie zaszczytem.

Dostrzegł, że to ich poruszyło. Dotychczas nie pozwalał sobie na takie uwagi, ale kiedy, jeśli nie teraz?

– I pamiętajcie o jednym – dodał. – Jeśli dziś ugniecie się pod presją, całe życie będziecie chodzić zgarbieni. Więc klata do przodu i rozpierdolmy ich w drobny mak!

Rozległy się brawa tak gromkie, że podłoga zdawała się wibrować. Jeszcze zanim entuzjazm i zagrzewające do boju okrzyki ustały, Witek otworzył drzwi, a potem wszyscy ruszyli na zewnątrz.

Wciąż do siebie pokrzykiwali, kiedy ustawili się w tunelu obok piłkarzy Varsovii. Ci patrzyli na nich z lekką konsternacją, jak na amatorów, którzy niespecjalnie potrafią się zachować.

Zawodnicy Rewery stanęli jednak na wysokości zadania. Wyszli jako pierwsi, a potem ustawili się w szpalerze, by w ten sposób uhonorować zespół, który już parę kolejek temu zapewnił sobie zwycięstwo.

Piłkarze z Warszawy potruczali wyznaczoną drogą, przybijając piątki rywalom. Było to jak scena z towarzyskiego meczu dwóch zaprzyjaźnionych rywali, ale w istocie po pierwszym gwizdku miała rozpocząć się walka na śmierć i życie.

Krygier stanął przed ławką trenerską. Zgiął jedną rękę w łokciu, drugą oparł na przedramieniu i zaczął przyglądać wąsy.

– Popełniasz dwa błędy – rozległ się głos zza jego pleców.

Witek nie odpowiedział, kątem oka dostrzegając, że jego asystent ustawił się tuż obok niego.

– Meler...

– No?

– Mówiłem ci kiedyś, jak imponuje mi twoja wiedza taktyczna?

Wiedział, że drugi raz nie da się na to złapać.

– Nie mówiłem – dorzucił pod nosem trener. – Więc idź do pani Czesi i skołuj jakąś miotłę.

– Co?

– Posprzątasz to siano, które wypadło ci z butów.

Z ławki doszedł cichy śmiech Kaliny, najwyraźniej wyjątkowo usatysfakcjonowanej tym, że ojciec zdecydował się w takiej chwili przywołać jej powiedzonko. Przemysław tylko zacisnął usta, nie zwracając na dziewczynę uwagi.

– Po pierwsze Benhardt nie powinien wychodzić w pierwszym składzie – oznajmił.

– Bo?

– Daj spokój, Witek...

– Z maturami rzekomo sobie poradził. Na boisku będzie podobnie.

Meler ciężko nabrał powietrza.

– W szkole mu nie zależało – odparł. – Żadnemu z nich nie zależało. Poszli na te egzaminy bez stresu, bo w głowie mieli już tylko dzisiejszy mecz. A tu jest presja, jest odpowiedzialność, jest konieczność...

– Da sobie radę.

– Wiesz, że będzie cały czas kryty przez Cymermana.

– I?

– I to najlepszy obrońca w lidze. W dodatku najbardziej agresywny.

– Świetnie. Ben nie będzie się nudzić.

– Będzie na przegranej pozycji – odparł stanowczo Meler. – Nie ma doświadczenia w walce z takimi obrońcami. A Cymerman zagra jako plaster.

– Mhm.

– W dodatku będzie go prowokował, próbował wyprowadzić z równowagi. A obaj wiemy, że młody nie ma zbyt mocnej psychiki.

Asystent obrócił się do niego, najwyraźniej licząc na to, że Krygier spojrzy mu w oczy. Witek jednak nie miał zamiaru tego robić. Przyglądał się swoim zawodnikom, którzy ustawiali się na pozycjach.

– Ma dodatkową motywację – odezwał się.

– Jaka?

– Chce zaimponować mojej córce.

Meler nie skwitował tego nawet cichym prychnięciem.

– Mówisz, kurwa, poważnie? – jęknął po chwili.

Trener wzruszył ramionami, bo zasadniczo nie potrafił udzielić odpowiedzi na to pytanie. Jakkolwiek by było, dodatkowa motywacja rzeczywiście występowała – Ben miał obecnie jedenaście bramek na koncie.

Liczba wręcz niebotyczna, wzięwszy pod uwagę, w ilu meczach wystąpił. Ümit Hauben wyprzedzał go o dwa gole, a na szczycie klasyfikacji znajdował się brazylijski napastnik Varsovii z piętnastoma trafieniami. Jego dogonić się nie uda, ale gdyby Adam wspiał się dziś na wyżyny, mógłby zająć drugą lokatę.

Krygier urwał tok myśli, dostrzegając, że stojący między kapitanami sędzia losuje właśnie piłkę lub stronę.

Ten w koszulce warszawskiego klubu był świetnym playmakerem i przywódcą. Było oczywiste, że znajdzie się w jedenastce sezonu, być może powalczy nawet o miano najlepszego zawodnika.

Koledzy z zespołu niewiele mu ustępowali. Trener Varsovii, Aleksander Łaza, wystawił swój najmocniejszy skład, a Krygier ani trochę mu się nie dziwił. Na jego miejscu zrobiłby dokładnie to samo, walcząc o rekord punktów i goli.

Tyle że nigdy nie wyjdzie na boisko w jego butach. Optymistycznie zakładając, Witek zostanie w Rewerze Opole na jeszcze jeden sezon, a potem zniknie gdzieś w drugiej lidze. Tajemnicą poliszynela było, że nie jest ulubieńcem zarządu, a kontrakt obowiązywał go tylko do końca sezonu.

Przy dobrym wyniku mógłby liczyć na zawarcie nowej umowy. Jeśli jednak jego podopieczni dzisiaj polegną, raczej nie uda mu się przedłużyć swojej przygody z Rewerą. Wszystko skończy się tu i teraz, a do Barcelony zespół pojedzie już z jakimś tymczasowym szkoleniowcem, zapewne Melerem.

– Po drugie nie możemy grać tak ofensywnie – odezwał się Przemysław. – Nie z tak wyraźnie mocniejszym zespołem.

– Oczywiście, że możemy. Właśnie to zaraz zrobimy.

– Witek... – znów zaapelował asystent.

Krygier w końcu posłał mu krótkie spojrzenie. Zrobił to z nadzieją, że dzięki temu Meler nieco odpuści.

– Wykorzystają to przeciwko nam – dodał Przemysław. – Jeden błąd i wcisną nam bramkę.

– To odrobimy.

– Jak?

– Grając bez najmniejszych kompleksów – odparł Witek. – Atakując, stosując wysoki pressing i podejmując ryzyko. Wolę wygrać sześć do pięciu niż jeden do zera. Rozumiesz, o czym mówię?

– O marzeniach.

Krygier westchnął cicho, a potem wskazał wzrokiem Gregora, który miał zaczynać od linii środkowej.

– Które zaraz staną się rzeczywistością – rzucił.

– Zobaczymy.

11

Stadion Rewery Opole, ul. Wygonowa

Zawodnicy Aleksandra Łazy szybko przejęli piłkę i przez dwie pierwsze minuty wszystko wskazywało na to, że to oni będą dyktować w tym spotkaniu warunki gry. Zaraz potem jednak futbolówkę w strefie obronnej Rewery odzyskał Gaudi, oddał ją na skrzydło do Jelenia, a ten uspokoił grę.

Piłkarze z Opola zaczęli spokojnie wymieniać się podaniami. Piłka chodziła z jednej strony murawy na drugą, akcja przenosiła się w przód i w tył, a przeciwnicy nie mogli zrobić nic, by przejąć posiadanie.

Zawodnicy Rewery rozgrywali zarówno długimi podaniami, jak i na małej przestrzeni. Kiedy futbolówka trafiała w określoną strefę boiska, zaczynała chodzić między trzema, czterema piłkarzami.

Przywodziło to Benowi na myśl treningi – nie tylko dlatego, że w ten sam sposób ćwiczyli rondo, chodziło także o to, że wszyscy wykazywali się odpowiednią koncentracją, bez przeszkadzającej im presji.

Przeciwnicy z Varsovii nie mogli wiele zdziałać, a ich frustracja rosła. Nie potrafili odzyskać posiadania, musieli tracić jednak sporo sił na kolejne próby. Im dłużej zespół Krygiera bawił się w swoistą tiki-takę, tym bardziej desperackie były wejścia przeciwników – i tym dalsi byli od tego, by przejąć piłkę.

Futbolówka po jakimś czasie znalazła się po prawej stronie boiska, trafiając pod nogi Benhardta. Ten, zamiast ją oddać, próbował kiwnąć kryjącego go piłkarza, a potem niespodziewanie obiegł go w kierunku swojej bramki.

Zawodnik z Warszawy był nieco skonsternowany, skorzystał jednak z okazji, by podjąć kolejną próbę zdobycia piłki. Ben puścił mu ją między nogami,

zakładając siatkę, a potem znów go minął.

W sektorze gospodarzy rozległy się gromkie brawa, bo ogranie Cymermana uchodziło za nie lada sztukę. Każdy spodziewał się teraz, że Adam ruszy naprzód w jednym ze swoich popisowych rajdów, ten jednak się do tego nie kwapił.

Entuzjazm na trybunach nieco zmalął.

Kibice byli równie skonsternowani jak przeciwnicy, a Benhardt przypuszczał, że komentatorzy na antenie NSI Sport rozprawiają już w najlepsze o tym, jak strata bliskiej osoby odebrała mu wolę walki.

Było jednak wprost przeciwnie.

Ben nie miał zamiaru zawieść kibiców, trenera, Kali ani babci.

Planował grać na sto pięćdziesiąt procent normy.

Począł, aż znajdzie się przy nim dwóch kolejnych piłkarzy Varsovii, a potem zaczął robić z nimi to samo, co z pierwszym zawodnikiem. Mylił ich, kiwał i sprawiał, że grali na granicy faulu.

Wiedział, że nie ma już wiele czasu, zanim dopadnie do niego Cymerman i razem z kolegami zamknie go w kleszczach. Wykonał jednak zadanie – ściągnął na siebie trzech kluczowych zawodników środka pola, tym samym tworząc okazję, by przebić się przez formację Varsovii.

Posłał mocne podanie w tempo prosto do Warskiego, a ten ruszył z piłką w kierunku bramki praktycznie bez przyjęcia, zostawiając za sobą kryjącego go piłkarza. Ben także nie zwlekał.

Ledwo kopnął piłkę, puścił się w długą. Kątem oka dostrzegł, że reszta także odebrała sygnał do ataku.

Piłka poleciała po skosie na drugie skrzydło, do Jelenia. Ten sprawnie sprowadził ją na ziemię, rozejrzał się i dostrzegł nadbiegającego Sandauera. Podał mu futbolówkę, samemu schodząc do środka.

Sandał oddał mu ją w momencie, kiedy ten był niekryty. Jeleniewski z pierwszej piłki posłał ją z powrotem do Warskiego, który wykonał szybką kiwkę i zostawił futbolówkę pędzącemu ku niemu Gaudiemu.

Łukasz wpadł z nią w pole karne, niepowstrzymywany przez skołowanych szybką wymianą przeciwników. Wydawało się, że nie dostrzega, gdzie są pozostali koledzy, Ben wiedział jednak, że niewiele mu trzeba, by rozeznąć się w sytuacji. Czasem wydawało mu się, że Gałdecki naprawdę ma oczy dookoła głowy.

Adam wbiegał w pole karne praktycznie niekryty. Plaster, który według trenera miał nie odklejać się od niego nawet na sekundę, został kawałek dalej.

Pozostali zawodnicy z Warszawy pogubili się przy szybkich podaniach – i Ben bynajmniej im się nie dziwił.

Rozegrali to koncertowo i przypuszczał, że większość europejskich drużyn nie zareagowałaby w porę.

Była piętnasta minuta meczu.

Grzechem byłoby zmarnować sytuację, która nadarzyła się w momencie, kiedy Gaudi na pół sekundy unióśł głowę. Obrońcy powinni wiedzieć, co robi. Benowi wydawało się to absolutnie oczywiste.

Łukasz przygotował się do strzału, a oni uwierzyli, że ten faktycznie zaraz będzie miał miejsce. Gaudi jednak w ostatniej chwili trącił piłkę w bok, ku wpadającemu w pole karne Benhardtowi.

Adam nie miał wiele czasu na przymierzenie.

Złożył się do strzału, przechylając na bok i unosząc wysoko lewą rękę, by uzyskać lepszy balans ciała. Nie musiał brać dużego zamachu. Na tej prędkości, przy tak dobrym podaniu, fizyka robiła wszystko za niego.

Huknął z odległości dwunastu metrów od linii bramkowej. Piłka poszybowała po przekątnej na długi słupek, praktycznie nieruchoma, nie obracając się w powietrzu.

Bramkarz wystrzelił jak z procy ku okienku, jakby od wyciągnięcia futbolówki zależała cała jego kariera.

Benhardt zacisnął zęby. Widział, że błyskawiczna reakcja golkipera wystarczy, by interwencja była udana.

– Kurwa! – krzyknął.

Futbolówka znalazła się na rękawicach. Prześlizgnęła się jednak przez palce bramkarza, a potem poleciała dalej w kierunku słupka.

Adam wstrzymał oddech, odnosząc wrażenie, że to samo zrobili wszyscy na stadionie. Na przerażająco długi moment nastąpiła absolutna, niczym niezmacona cisza.

Potem rozległ się charakterystyczny, upajający dla każdego napastnika dźwięk prześlizgiwania się futbolówki przez siatkę w bramce.

W okamgnieniu cisza przerodziła się w prawdziwą eksplozję. Wszyscy na trybunach zdawali się wyskoczyć z rękoma w górę, a Adam nie miał nawet okazji, by jakkolwiek zareagować, natychmiast bowiem rzucili się na niego koledzy z zespołu.

Zdażył jedynie posłać krótkie spojrzenie w kierunku ławki trenerskiej i miał wrażenie, że Kala je wyłapała.

Zaraz potem znalazł się na murawie, przygnieciony ciężarem innych graczy i ich okrzykami. Przez moment nie wiedział, co się dzieje ani gdzie jest. Dopiero kiedy zaczęli się podnosić, przekonał się, że wybuch entuzjazmu wciąż trwa.

Na wyświetlaczu stadionowym pojawiło się jego nazwisko i minuta meczu, w której padł pierwszy gol.

Zaczynali dobrze, wykonali podstawowe założenia taktyczne Witka i pokazali przeciwnikowi, że zamierzają walczyć bez żadnych kompleksów. W tej chwili to oni jawili się jako lepsza drużyna.

Grunt, żeby utrzymać to do końca. I pamiętać o tym, na co uczuła ich Krygier. Zespół z Warszawy był niebezpieczny w wielu fragmentach gry – potrafił budować długie akcje, wyprowadzać zabójcze kontrataki, a długie wyrzuty z autu jednego z ich obrońców były o tyle groźne, że zawodnicy w polu na głowę bili wzrostem większość ich odpowiedników w Ekstralidze.

– Jedziemy z nimi! – zakrzyknął Radek Warski, kiedy wrócili na swoją połowę.

Publiczność skandowała nazwisko Adama, a potem nazwę klubu. Przy gromkich „Re-we-ra! Re-we-ra!” zawodnicy Varsovii wznowili grę od środka boiska.

Przez dziesięć minut starali się przebić pod bramkę przeciwnika, ale bez skutku. Opolanie albo przejmowali futbolówkę, albo przecinali podania tak, by Varsovia musiała konstruować akcję od samego początku.

Zespół z Warszawy był nieustannie wytrącany z uderzenia, nie mógł złapać odpowiedniego rytmu. Zawodnicy Rewery grali dokładnie tak, jak nieskutecznie próbowali to robić wszyscy inni w lidze, dzięki czemu udało im się unieszkodliwić kolosa, który po drodze do mistrzostwa zmiatał właściwie każdego.

Kiedy Rebusowi udało się przejąć futbolówkę w strefie obronnej, od razu przystąpił do konstruowania ofensywy. Krygier na wczorajszej odprawie stawiał sprawę jasno – każde takie przejęcie ma oznaczać automatyczny atak.

Tak było w tym wypadku.

Antek Rebski rzucił piłkę do biegnącego po prawej stronie skrzydłowego, ten na jeden kontakt odegrał ją do znajdującego się w środku kapitana zespołu. Wszystko odbywało się na pełnej prędkości, przeciwnik nie miał czasu zareagować.

Benhardt pędził już do przodu, świadomy, że za moment on albo Gregor powinien wywalczyć sobie dobrą pozycję.

Piłka przeszła jeszcze przez dwóch piłkarzy Rewery, zanim ostatecznie wylądowała pod nogami Szpei. Ten rozejrzał się, dostrzegł dobrze ustawionego bramkarza i zdecydował się na podanie do Adama.

Ben złożył się identycznie jak przy poprzedniej bramce. Tym razem jednak miał przed sobą dwóch przeciwników i strzał praktycznie nie wchodził w grę. Zamarkował uderzenie, a potem odbił w lewo.

Wciąż nie miał dobrej pozycji.

Szybka kalkulacja – defensorzy byli teraz skupieni na nim i przekonani, że za moment spróbuje uderzyć, najlepiej byłoby więc oddać futbolówkę z powrotem Gregorowi.

Benhardt poczekał jeszcze sekundę, by kolega z zespołu znalazł się w jeszcze lepszej sytuacji. Potem posłał mu mocne podanie po ziemi. Wystarczy, by Szpeja dołożył nogę, a bramkarz z tej odległości nie powinien mieć żadnych szans.

Dwa zero będzie wynikiem, który pozwoli nieco odetchnąć.

Jeden z obrońców wybił jednak piłkę, a Varsovia przystąpiła do błyskawicznego kontrataku.

Akcja natychmiast przeniosła się pod linię środkową, a zaraz potem futbolówka była już pod polem karnym Olejarczyka. W dwójkowej akcji napastnicy z Warszawy rozegrali piłkę między sobą na niewielkiej przestrzeni.

Potem jeden z nich uderzył na bramkę, tuż pod poprzeczkę.

Nie, nie, nie, rzucił w duchu Ben. Strzał był dobry, zdecydowanie za dobry. Dokładnie taki, jaki powinien, by zagrozić nawet najlepszemu bramkarzowi na świecie.

Ostatnia nadzieja w Pawle, przemknęło przez głowę Benhardta. Może jakimś cudem trąci piłkę choć opuszkami palców, ta odbije się od poprzeczki i opuści boisko za linią boczną.

Oleo rzucił się, wyciągając jak długi. Nie miał jednak szans, by w porę wygarnąć futbolówkę.

Ta załomotała w siatce, a strzelec gola natychmiast po nią popędził, nie siląc się nawet na wielkie celebracje. Zupełnie jakby chciał pokazać, że teraz zaczyna się właściwa gra. I że za moment drużyna ze stolicy pokaże przeciwnikom, iż zdobyła mistrzostwo nie bez powodu.

Adam zaklął w duchu i zaczął truchtać na swoją połowę. Przed momentem mieli okazję, by zwiększyć przewagę do dwóch bramek. W okamgnieniu wszystko jednak się zmieniło.

– Teraz się zacznie łojenie wam dupy – rzucił zawodnik, który grał dzisiaj jako jego plaster.

– Zobaczymy.

– Tylko się nie załamuj. Jeszcze za wcześnie.

Ben zwolnił nieco i posłał obrońcy ostrzegawcze spojrzenie. Cymerman był postawny i znacznie wyższy. W dodatku wyglądał jak typowy boiskowy zakapior – piłkarz spod znaku Gennaro Gattuso i Roya Keana, choć brakowało mu nieco estymy, którą ci dwaj swego czasu się cieszyli.

– Poczekaj jeszcze kilka minut – poradził mu defensor. – Potem będziesz mógł spokojnie się rozryczeć.

– Jeb się na ryj.

Cymerman uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją, jakby chodziło mu właśnie o osiągnięcie takiego efektu.

– Taki mocny w gębie jesteś? – rzucił. – Nigdy bym nie powiedział.

Adam milczał.

– Coś za tym idzie? – ciągnął defensor. – Czy tylko pogrozić umiesz?

Benhardt zatrzymał się na moment i obrócił do niego, czując na sobie zaniepokojony wzrok pozostałych członków drużyny. Ostatnim, czego potrzebowali po starcie gola, były spięcia na boisku.

Wszystkie pozaregulaminowe zwarcia mogły owocować żółtą albo czerwoną kartką. A granie w dziesiątkę z tak dobrze zorganizowanym zespołem było właściwie gwarancją przegranej.

– Oho – rzucił Cymerman.

Stanęli twarzą w twarz, tak blisko, że niemal stykali się nosami.

– I co teraz? – dodał defensor.

Ben się zawahał. Słyszał, jak Gaudi go nawołuje, ale nawet się nie obejrzał.

– Nic – odparł w końcu.

– Tak myślałem. Jedyne, co potrafisz, to wyglądać jak przestraszona trzynastolatka.

– A tak jest?

Obrońca uniósł brwi.

– W takim razie muszę ci łudzaco przypominać twoją matkę ze zdjęć ślubnych – rzucił Benhardt, a potem obrócił się i pobiegł w kierunku linii środkowej.

Gregor był gotowy do wznowienia gry.

Piłka poszła w ruch. A zawodnicy Varsovii rzucili się do ataku.

Stadion im. Dawida Żerskiego, Opole

Zaczynało się robić niebezpiecznie. Witek chodził nerwowo wzdłuż linii wyznaczającej koniec strefy technicznej, zastanawiając się, jak powinien zareagować. Przy stanie jeden do jednego właściwie wszystko mogło się zdarzyć.

Łut szczęścia mógł sprawić, że jego zespół wysunie się na prowadzenie i dowiezie je do końca. Jeden mały błąd mógł zaś pogrzebać ich szansę na zdobycie chociażby jednego punktu.

Krygier zatrzymał się przy rogu strefy, podpierając jedną rękę na drugiej. Przesuwał nerwowo palcami po wąsach, co według dziennikarzy uchodziło już za jego firmowy tik. Robił to jednak zupełnie nieświadomie, szczególnie w takich chwilach.

Zawodnicy z Warszawy się rozkręcili.

Nie oddawali posiadania, wymieniali coraz więcej podań. To piłkarze opolskiego klubu biegali teraz więcej i pożytkowali siły bez wymiernych efektów.

– Jest coraz gorzej – rozległ się głos Melera.

Witek tylko na moment obejrzał się przez ramię, kiedy asystent się do niego zbliżał. Przemysław ustawił się obok, ale nie w jednej linii z Krygierem – stanął tak, by być o kilka centymetrów za nim. Zupełnie jakby chciał zasygnalizować ewentualnym obserwatorom, że to nie on bierze odpowiedzialność za to, co się dzieje.

– Z każdą minutą zyskują inicjatywę – dodał Meler.

– Widzę.

– To może powinniśmy...

– Spokojnie. Chłopaki wiedzą, co robić.

A przynajmniej taką nadzieję miał Witek. Wbijał im do głowy, by w takich sytuacjach nie dali się zgnoić i zrobili wszystko, aby odzyskać kontrolę. Nawet jeśli będzie to wymagało podjęcia ryzyka, nawet jeśli się przy tym sparzą.

– W dodatku Cymerman skutecznie unieszkodliwia Benhardta – dorzucił Przemysław. – Tylko raz udało się mu się urwać i nie zanoszą się na to, żeby powtórzył ten wyczyn.

Była czterdziesta minuta meczu, a Meler miał całkowitą rację.

Krycie przez jednego z najlepszych obrońców w lidze było dla Bena wyjątkowo uciążliwe. W dodatku Cymerman traktował go bezpardonowo i zgodnie z przypuszczeniami Witka atakował nie tylko fizycznie. Prowokacje były dostrzegalne nawet z ławki rezerwowych.

– Masz jakiś pomysł? – dodał asystent.

– Tak. Jak zejda na przerwę, powiem im co i jak.

– A może najpierw powiesz mnie?

– Może nie – odparł pod nosem Krygier.

Zrobił to tak cicho, że właściwie nie był pewien, czy Meler usłyszał jego słowa. Bez znaczenia.

Skupił się na grze, ta bowiem przeniosła się na przedpole bramkowe Varsovii. Gaudi w końcu uzyskał trochę miejsca – dotychczas był kryty równie skrzętnie jak Benhardt i nie ulegało wątpliwości, że Aleksander Łaza odrobił lekcję.

Wiedział, kogo i w jaki sposób jego zawodnicy muszą unieszkodliwić. Najpewniej posadził jednego ze swoich ludzi, by ten obejrzał wszystkie spotkania, w których Ben i Gaudi pokazywali dwójkowe akcje.

I dopasował styl gry swoich zawodników tak, by nie dopuścić do ich rozpoczęcia. Jeśli nawet duetowi z Rewery udawało się rozpocząć jakąś wymianę, natychmiast skupiali na sobie tylu przeciwników, że musieli oddawać piłkę któremuś z kolegów, by jej nie stracić.

Zespół z Warszawy skutecznie neutralizował największe niebezpieczeństwo, a Krygier miał zbyt wąską kadrę, by temu przeciwdziałać. Przeniesie ciężaru gry ofensywnej na innych zawodników pokrzyżowałyby plany indywidualnego krycia, ale nie przyniosłoby wiele pożytku.

Witkowi brakowało piłkarzy, którzy na boisku rozumieliby się tak świetnie jak tych dwóch. I którzy potrafiliby rozmontować najlepszą defensywę w lidze.

Teraz była jednak na to szansa.

Futbolówka trafiła pod nogi Warskiego, który krótką kiwką zgubił krycie. Popędził na prawe skrzydło, podczas gdy jego koledzy ruszyli pod bramkę.

Radek zamarkował wrzutkę w pole karne, ale zamiast niej przełożył piłkę z jednej nogi na drugą. Linia obrony natychmiast się cofnęła, chcąc złapać napastników z Opoła na spalonym.

Warski odczekał tylko sekundę, by ci zdążyli zrównać się z przeciwnikami i uniknęli offside'u. Zaraz potem rzucił dochodzącą piłkę w kierunku jedenastki.

Witek wstrzymał oddech.

Boże, błagam, niech to się uda, powtarzał w duchu.

Podanie było dobrze plasowane, zupełnie jakby Radek nie musiał sprawdzać, gdzie jest Benhardt. W istocie rzeczywiście tak było. Po tych wszystkich scenariuszach, które do znudzenia przerabiali na treningach, już nie tylko Ben i Gaudi mogli grać ze sobą na pamięć.

Futbolówka mknęła w powietrzu, a pod bramką się zakotłowało. Golkiper zrobił niewielki wykrok, ważąc, czy zdoła w porę wybić. Ostatecznie jednak nie ruszył do przodu, zostawiając zadanie poradzenia sobie z atakiem swoim obrońcom.

Kilku roślących zawodników z Warszawy wyskoczyło w kierunku piłki. Cymerman był tuż przy Benie i zanim wybił się z murawy, ewidentnie położył rękę na barku opolskiego piłkarza.

Ten nie mógł wybić się równie wysoko i został skutecznie pozbawiony szans, by stworzyć zagrożenie. Cymerman bez trudu sięgnął futbolówki głową i wybił ją mocno w kierunku linii środkowej.

Zawodnicy Rewery unieśli ręce w geście protestu, arbiter jednak pokazał, by grać dalej.

– Hej! – ryknął w kierunku sędziego zza linii bocznej Krygier. – Ślepy, kurwa, jesteś?!

Szczęśliwie został usłyszany wyłącznie przez technicznego. Nie miał czasu sformułować dalej idących obiekcji, bo futbolówka natychmiast poszła w ruch między kontratakującymi piłkarzami z Warszawy.

Akcja przeniosła się pod pole karne Olejarczyka, jeden z ofensywnych środkowych pomocników grzmotnął z parunastu metrów. Piłka poszybowała ku bramce, odbiła się od nogi Rebusa i zmieniła nieco tor lotu, zaskakując bramkarza.

Krygier zacisnął mocno zęby, jakby dzięki temu mógł jakoś powstrzymać dalszy rozwój wypadków.

Futbolówka zmierzała jednak ku słupkowi – odbiła się od niego, a potem wróciła na pole karne. Szczęśliwie prosto pod nogi jednego z defensorów Rewery. Ten obrócił się szybko i posłał długie podanie do przodu.

– Nie tak, do chuja – syknął ledwo słyszalnie Witek.

Uczulał ich, by nie grali w ten sposób, mimo to kilka interwencji kończyło się właśnie klasyczną lagą na napastnika.

Krygier obrócił się z irytacją i napotkał spojrzenie Kaliny. Ledwo córka to odnotowała, skinęła na niego ręką, jakby to ona była trenerem, a on li tylko drugim lub trzecim asystentem.

Witek podszedł do niej, nie przestając patrzeć na to, co działo się na boisku. Po desperackim, długim wybiciu zawodnicy nie stworzyli żadnej okazji, by zagrazić bramce Varsovii.

– Mamy już sześćdziesiąt jeden do trzydziestu dziewięciu w posiadaniu piłki – odezwała się Kala.

Krygier ustawił się tyłem do ławki trenerskiej i nie odpowiedział.

– Oczywiście dla nich – dodała.

– Tak, domyśliłem się.

– Musisz coś zrobić.

– Taki mam zamiar.

– Kiedy? – rzuciła, wskazując dłonią wyświetlacz stadionowy.

Wchodzili już w doliczony czas. Przerw w grze nie było wiele i Witek spodziewał się, że arbiter wydłuży pierwszą połowę o maksymalnie dwie minuty, może nawet jedną. Im mniej, tym lepiej. Krygier musiał jak najszybciej zresetować psychikę piłkarzy, którzy ewidentnie zaczęli przypominać sobie wszystkie powody, dla których ich dzisiejsi przeciwnicy wygrali ligę.

– Za moment – odparł Witek. – Cudów stąd nie zdziałam.

Zmian w tej chwili też już nie było sensu robić. Musiał najpierw rozmówić się ze swoimi podopiecznymi – przekonać się, jakie jest morale każdego z nich, i sprawdzić, jak zareagują na to, co miał do przekazania w przerwie.

Krygier przyglądał się grze i dopiero po chwili dotarło do niego, że Kala stoi obok. Przemknęło mu przez głowę, że to wymowny obrazek. Szczególnie że Meler przed momentem wrócił na swoje miejsce na ławce.

– Nie wygląda to najlepiej – odezwała się Kalina.

Witek rzucił jej przelotne spojrzenie.

– To samo powiedziałem, kiedy zobaczyłem cię w szpitalu – odparł. – I zobacz, co z ciebie wyrosło.

– Mówię poważnie.

– Ja też. Byłaś naprawdę ohydna.

– Musisz wstrzyknąć w nich jakąś energię, bo sprawiają wrażenie, jakby...

– Widzę, jakie sprawiają wrażenie – uciał, krzyżując ręce na piersi.

Akcja znów rozgrywała się przy ich polu karnym. I ponownie obrońcy wybili piłkę niemal na oślep, nawet nie szukając Benhardta ani Gregora. Ta zaraz potem powędrowała z powrotem, a zawodnik z Warszawy oddał mocny strzał w kierunku słupków strzeżonych przez Olejarczyka.

Szczęśliwie nie trafił. Kiedy jednak Oleo wznawiał grę, zamiast rozegrać z obrońcami, posłał długie podanie do przodu. Okazało się niecelne.

Witek zaklął cicho.

– Spiesz się – usprawiedliwiła ich Kala. – Wiedzą, że została już niecała minuta.

– Tym bardziej nie powinni tak łatwo oddawać piłki.

– Chcieli wcisnąć bramkę do szatni.

– Nie obchodzi mnie, co chcieli – uciął Krygier, przesuając dłonią po włosach.

Jego zawodnicy po raz kolejny oddali posiadanie praktycznie za darmo. Równie dobrze mogliby owinąć piłkę kokardami i wręczyć ją jako prezent przeciwnikom.

Ci skwapliwie skorzystali z błędu Olejarczyka. Zaczęli rozgrywać między sobą, jakby mieli jeszcze mnóstwo czasu do spożytkowania.

Jedno, dwa podania. Potem szybki przerzut na skrzydło.

Ani Witek się obejrzał, wszyscy znaleźli się na powrót pod polem karnym gospodarzy. Skrzydłowy z Warszawy rzucił dośrodkowanie, Oleo wybił piłkę na przedpolu. Ta poleciała w bok, wydawało się, że w bezpieczne miejsce.

Chaos w polu karnym był jednak na tyle duży, że defensor Rewery, który powinien odzyskać posiadanie, minął się z futbolówką.

– Nie... – jęknęła Kala.

Do piłki dopadł napastnik Varsovii.

Miał pełną świadomość, że Olejarczyk nie pozbiarał się jeszcze po wyskoku. I nie zamierzał tracić szansy, która dzięki dezorganizacji obrony nagle mu się nadarzyła.

Krygier złapał się za głowę.

Zaraz potem piłkarz skierował futbolówkę do siatki. Z sektorów Rewery doszło pełne bólu jęknięcie, natychmiast jednak zostało przytłumione przez wiwaty przyjezdnych kibiców.

– Kurwa mać, ja pierdołę! – krzyknął Witek, uderzając pięścią w udo.

Licznik pokazywał przekroczenie doliczonego czasu gry, sędzia nie zwlekał z odgwizdaniem końca pierwszej połowy.

Krygier natychmiast ruszył do szatni, jakby dzięki temu mógł szybciej zacząć cokolwiek naprawiać.

– Niech to chuj – rzucił pod nosem, wchodząc do tunelu.

Wiedział doskonale, w jak niekorzystnej sytuacji znalazł się jego zespół. Varsovia miała świetny atak, ale być może jeszcze lepszą obronę. Na palcach jednej ręki mógł policzyć wszystkie spotkania w tym sezonie, kiedy straciła prowadzenie.

Aleksander Łaza był znany ze szczelnego murowania bramki. I z pewnością przez kolejne czterdzieści pięć minut poleci swoim zawodnikom robić właśnie to.

Czterdzieści pięć minut.

Z jednej strony całkiem sporo, z drugiej wprost przeciwnie. Witek wiedział, że jeśli nie dokona się jakiś przełom w grze jego podopiecznych, przegrają to spotkanie. I pożegnają się nie tylko z perspektywą wspięcia się ponad czwarte miejsce, ale także z grą w europejskich pucharach.

13

Szatnia gospodarzy, stadion Rewery Opole

Widząc piłkarzy wchodzących do środka ze spuszczoneymi głowami, Kalina porzuciła plan nagrywania czegokolwiek i robienia z tego rolki na Instagram. Atmosfera w szatni była morowa, mimo że Witek praktycznie od samego początku przygody z Rewerą jasno dał wszystkim do zrozumienia, iż jest w stanie wybaczyć wszystko – poza rezygnacją.

Ta jednak była aż nadto wyczuwalna. Niektórzy z zawodników wykazywali oznaki złości, Warski ściągnął koszulkę i rzucił ją na swoje siedzisko, Oleo cisnął rękawicami na podłogę. Poza tym jednak wszyscy zdawali się podłamani.

Nic dziwnego.

Zaczęli ten mecz dobrze, nawet bardzo dobrze. Pokazali odwagę i brak jakichkolwiek skrupułów, walczyli o trzy punkty. Strzelili bramkę, mieli szansę na drugą. Moment, w którym ją zmarnowali, był jednak przełomowy.

Stopniowo zaczęli tracić inicjatywę, a pod koniec pierwszej połowy grunt usunął im się spod nóg. Z sytuacji, która była pod ich kontrolą, przeszli do stanu rzeczy, w którym mogli jedynie reagować.

Krygiera nie było w szatni, mimo że opuścił murawę jako pierwszy. Kala przypuszczała, że potrzebuje chwili, by choć minimalnie wyciszyć emocje. Gdyby miał rozmawiać z drużyną zaraz po zejściu z boiska, zapewne ograniczyłby się do suszarki – wydzierania się zawodnikom prosto w twarz z małej odległości, co było znakiem rozpoznawczym wielu trenerów, jak choćby sir Alexa Fergusona. Nie mieściło się to jednak w pożądanym metodach pracy Witka.

Kalina skupiła wzrok na Benie. Siedział sam, nie rozmawiał z nikim i wbijał wzrok w podłogę, podobnie jak większość kolegów.

Ci nieliczni, którzy się odzywali, formułowali pretensje.

– Nie możemy tak głupio tracić, kurwa, piłek – rzucił Gregor i cisnął butelką wody na podłogę.

Obrońca, który zawałił przy ostatniej bramce, trwał w bezruchu. Musiał wiedzieć, że choć Grzegorz użył liczby mnogiej, uwaga adresowana jest do niego. Mimo to nie reagował.

– Raczej nikt tego nie planował – odezwał się Gaudi.

– No i? – rzucił Szpeja.

– Mówię tylko, że...

– Nie popełniamy takich błędów, do chuja złamanego.

Kilku kolegów z drużyny cicho mruknęło na potwierdzenie. Nikt nie formułował bezpośrednich, zindywidualizowanych zarzutów, nie było takiej potrzeby. Wszyscy doskonale wiedzieli, że Gregor kieruje przytyk także do Bena, który tracił piłkę w kluczowym momencie.

Kala przez moment obawiała się, że Adam nie puści tego mimo uszu, zdawał się jednak pogrążony we własnych myślach, wciąż uspokajając oddech.

– Za dużo debilnych, niepotrzebnych ruchów – dorzucił Szpeja.

Kalina obejrzała się w stronę korytarza, ale ojca nadal próżno było szukać. Niedobrze. Im szybciej się tu zjawi, tym sprawniej zapanuje nad emocjami, które będą tylko wzbierały.

Kiedy Benhardt uniósł wzrok i wbił go w Gregora, Kala wiedziała już, że są o krok od eskalacji konfliktu. Podeszła do Adama i stanęła tak, by zasłonić zawodnika grającego z dziewiątką.

– Musisz się uspokoić – powiedziała.

Minęła chwila, nim Ben zogniskował na niej spojrzenie.

– Jestem spokojny – odparł.

– Tutaj może faktycznie – przyznała. – Ale na boisku nie. Nie możesz dać się prowokować Cymermanowi.

– Nie mam zamiaru.

– To po co się z nim przepychałeś?

– Nawet go nie dotknąłem – rzucił pod nosem Adam. – Czego nie można powiedzieć o...

– Będzie próbował wyprowadzić cię z równowagi – ucięła Kalina. – I im więcej uwagi temu poświęcisz, tym mniej ci jej zostanie na to, co istotne. Nie

wspominając już o tym, że takie gromadzenie emocji w końcu może doprowadzić do wybuchu.

Benhardt przez moment marszczył czoło, przypatrując się jej.

– I co się gapisz? – bąknęła.

– Bo zastanawiam się, czy to ty nas trenujesz, czy twój ojciec.

– Playa, por favor.

Adam zmarszczył niepewnie czoło.

– Co?

– Plažo, proszę.

Na jego twarzy nadal brakowało wyrazu świadczącego o tym, że załapał.

– Bitch, please – powiedziała w końcu dziewczyna. – Oczywiście, że ja. Tyle że jego rękami.

Zbliżyła się jeszcze o krok, zamierzając wrócić do tematu i nieco dosadniej dać Benowi do zrozumienia, że wchodzenie w jakąkolwiek pozafutbolową interakcję z Cymermanem będzie dokładnie tym, czego oczekuje Aleksander Łaza.

Nie miała jednak ku temu okazji, bo do szatni wszedł Witek. Część piłkarzy była tak podminowana, że nawet tego nie odnotowała.

Krygier stanął na środku, a potem głośno klasnął kilka razy.

– Dobra – odezwał się.

Wszyscy skupili na nim wzrok, a Witek sprawiał wrażenie, jakby w jednej chwili zapomniał o wszystkim, co miał zamiar powiedzieć. Zaległa cisza, słychać było jedynie kroki na korytarzu i dźwięki dochodzące z szatni przeciwników.

Zagrzewali się do walki, morale w drużynie prowadzonej przez Aleksandra Łazę było – całkiem zrozumiale – wysokie.

– Popełniliśmy błędy – podjął Krygier. – Nie ma sensu tego ukrywać, bo taka jest prawda. Varsovia nie pokazała się jako lepszy zespół, my pokazaliśmy się jako ten słabszy. Przegrywamy dwa do jednego i szczerze mówiąc, zasłużyliśmy sobie nawet na to, by strzelili nam jeszcze jedną bramkę.

Piłkarze nadal milczeli, a Kala zastanawiała się, co konkretnie ojciec planuje w ten sposób osiągnąć. Sam wydawał się niepewny, do czego zmierza, a ona odnosiła wrażenie, że cała wcześniej przygotowana przemowa wylądowała w koszu.

– W tym sensie mieliśmy szczęście – ciągnął. – To nie jest wynik, który przekreśla nasze szanse. To nie pięć zero, nie cztery zero, nawet nie trzy ani dwa zero. Już z gorszego gówna wychodziliśmy na powierzchnię.

Cisza.

– Czy się mylę?

Rozległy się ciche, potwierdzające pomruki. Brakowało w nich jednak przekonania.

– Strzelimy bramkę i mamy remis – dodał Witek. – Jedną bramkę. Tyle dzieli nas od tego, żeby wyrównać stan gry i zacząć od początku. Jedna bramka, panowie, jedna bramka. To dla was tak bardzo nieosiągalna wizja, że siedzicie teraz jak jakieś cipolągi i lamentujecie? Dajcie, kurwa, spokój, już nie takie rzeczy robiliście, z palcem w dupie.

Kalina powiodła wzrokiem po zawodnikach, ale nie wyłapała choćby jednego wyrazu twarzy, który świadczyłby o tym, że słowa trenera cokolwiek zmieniły.

– Jedna dobra akcja, jeden celny strzał. Więcej nie potrzeba. I doskonale wiecie, jak sytuacja będzie się potem prezentowała. To wy będziecie mieć inicjatywę, to was będą musieli gonić. A wam nie pozostanie nic innego, jak wykorzystać tę okazję. Jedna kontra po ich ataku i mamy trzy do dwóch dla nas. Wygrany mecz, wracacie do domów w glorii i chwale większej, niż sobie wyobrażacie. Wiecie dlaczego?

Kali wydawało się, że tylko Jeleń, który przed momentem siedział ze wzrokiem wbitym w komórkę, załapał, o co chodzi.

– Unia Kraków przegrywa z Gryfem Gliwice dwa do zera – odezwała się Kalina.

Zawodnicy skierowali ku niej wzrok.

– A Olimpia Wrocław remisuje bezbramkowo z Bzurą Łódź – dodała.

– Wiecie, co to oznacza? – przejął pałeczkę Krygier. – Że w przypadku naszej wygranej przeskakujemy obydwie te kluby. I plasujemy się na drugim miejscu w tabeli. Drugim, kurwa, miejscu!

Szatnia wreszcie się rozbudziła. Piłkarze zaczęli cicho wymieniać nerwowo uwagi, poprawili się na swoich siedziskach. Sam fakt, że kilku dotychczas przygarbionych się wyprostowało, stanowiło dobry prognostyk. Nie sposób było w takiej sytuacji przecenić znaczenia drobnych gestów i reakcji.

– Walczymy więc już nie tyle o wygraną meczu, nawet nie o to, żeby otrzeć się o sam szczyt ligowej tabeli – kontynuował Witek. – Walczymy o to, by w przyszłym sezonie grać w najwyższych europejskich rozgrywkach, konkurować z najlepszymi zawodnikami i... cóż.

– Zarabiać kosmiczne pieniądze – dopowiedziała Kala, czując, że ojciec chce trzymać się sfery wyłącznie sportowej.

Pieniądze były jednak uniwersalnym motywatorem – pod warunkiem, że napędzał on głowę, a nie serce.

W tej chwili zaś najlepiej by było, gdyby ojcu udało się dotrzeć zarówno do jednego, jak i drugiego. Postanowiła nieco mu pomóc.

– Kontrakty reklamowe będą gigantyczne – powiedziała. – Nie wspominając już o tym, że Rewera Opole dostanie olbrzymi zastrzyk finansowy, który będzie musiała przeznaczyć w dużej mierze na wynagrodzenia tych, którzy jej go zapewnili.

Witek skinął głową i uniósł lekko dłoń, jakby chciał zasygnalizować córce, że tyle wsparcia mu wystarczy.

– Nie mamy wiele czasu – rzucił, zerkając na zegarek. – A ja w dziesięć minut nie mogę zmienić wszystkiego, co nie gra. Wy za to możecie zrobić to w jednej chwili, decydując tu i teraz, że wygracie to spotkanie.

Powiódł wzrokiem po podopiecznych i skrzyżował ręce na piersi.

– Tyle wystarczy – dodał.

Odczekał moment, by te słowa zapadły im w pamięć. Potem podszedł do tablicy magnetycznej i przesunął ją tak, by wszyscy mogli widzieć. Rzucił kilka słów na temat tego, jak należy poprawić krycie w strefie obronnej.

Potem wymierzył wzrok w Olejarczyka.

– Oleo – rzucił. – Koniec z wypierdalaniami piłki w dal.

– Okej – odparł szybko Paweł.

– Nie „okej”, tylko „przepraszam, trenerze, że zapomniałem o wszystkim, co mi pan polecił przed meczem. Na swoje usprawiedliwienie mam tylko to, że jestem chodzącym argumentem przemawiającym za prawem do aborcji”.

Kilku zawodników prychnęło, Oleo tylko lekko się uśmiechnął.

– Masz podawać do obrońców. I rozegrać z nimi napastników drużyny przeciwnej, zanim w ogóle oddacie piłkę do przodu – dorzucił poważniejszym tonem Witek, po czym przesunął spojrzeniem po defensorach. – A wy... od czego w ogóle mam zacząć?

Rebus nerwowo chrząknął.

– Marzy mi się, żebyście mieli na tyle samoświadomości, by zorientować się, jak bardzo kretyńskie rzeczy robiliście – oznajmił Krygier. – Koniec z długimi podaniami na ślepo do przodu. Ile razy muszę wam, kurwa, powtarzać, że macie w defensywie dryblować lepiej niż ci, którzy grają w ataku?

Starał się wbić im to do głowy rzeczywiście dość długo. I zazwyczaj działało – kiedy jednak naprzeciwko siebie mieli świetnie wyszkoloną ofensywę Varsovii,

zaczynały się problemy. Strach przed stratą posiadania i błędem, po którym padnie bramka, był większy niż potrzeba wypełnienia założeń trenera.

– Gregor – rzucił Krygier, obracając się do napastnika. – Zagrasz na zastawę.

– Trenerze...

– Ściągniesz na siebie tego pierdolonego Cymermana, żeby Ben miał okazję strzelecką.

Kala spodziewała się, że Szpeja będzie protestował, ten jednak zacisnął usta i się nie odezwał. Zastawa była dość prostym zagranieniem, praktykowanym na całym świecie. Jeden piłkarz blokował obrońcę, który stanowił zagrożenie dla kolegi z zespołu, tym samym stwarzając okazję do wypracowania przez niego dobrej pozycji.

Witek udzielił jeszcze kilku indywidualnych instrukcji, a potem podciągnął rękaw i spojrział na zegarek. Do rozpoczęcia drugiej połowy zostało raptem pięć minut.

Rozplótł ręce i wsunął je do kieszeni garniturowych spodni. Ilekroć wkładał ten strój, a na białej koszuli pojawiał się pomarańczowy krawat, Kalina odnosiła wrażenie, że ojciec przeistacza się w osobę, której nie znała.

– Popatrzcie na siebie – polecił.

Piłkarze zareagowali z pewną konsternacją, rzucając sobie jedynie przelotne spojrzenia.

– No, dalej.

Tym razem zerknęli na kolegów nieco dłużej.

– Kiedy obejmowałem tę drużynę, stanowiliście zbieraninę przypadkowych zawodników – podjął Krygier. – W dodatku byliście jak ptaki trzymane całe życie w klatce, które są przekonane, że wzbijanie się w powietrze jest chorobą. Stopniowo udowadniałiśmy sobie, że tak nie jest. I że jesteście w stanie rozłożyć skrzydła, jeśli tylko potraficie w siebie uwierzyć.

Nabrał głęboko tchu i wyciągnął ręce z kieszeni.

– Pokazaliście to sobie, mnie, całemu światu – kontynuował. – I jakkolwiek będzie dzisiejszy wynik, miejcie świadomość, że jestem z was cholernie dumny. I dziękuję. Za wszystko to, co zrobiliście od początku. Za krew, pot i łzy. Za to, że zostawialiście duszę na boiskach. Za to, że dawaliście z siebie wszystko, a nawet więcej. Więcej, niż ktokolwiek się po was spodziewał.

Witek zaczął chodzić wzdłuż siedzących na ławkach piłkarzy, po kolei klepiąc ich lub po prostu kładąc na moment dłoń na ich barkach.

– Kiedy zaczynaliśmy, wszyscy spodziewali się, że stoczymy beznadziejną walkę o utrzymanie się w lidze. Spekulowano, że Rewera Opole po jednym

sezonie w najwyższej klasie rozgrywkowej trafi tam, skąd przyszła. Pokazaliście im, jak bardzo się mylili. Udowodniliście, że prawdziwa siła płynie z serca, tkwi w jedności. Na oczach wszystkich z przypadkowej zbieraniny piłkarzy staliście się zespołem z krwi i kości, kolektywem, prawdziwym monolitem. I zamiast bić się z innymi o utrzymanie w Ekstralidze, dziś walczyacie o to, by znaleźć się na drugim miejscu.

Kalina uśmiechnęła się lekko. Widziała błysk w oczach zawodników i zrozumiała, że ojciec dociera do swoich podopiecznych w sposób, którego sobie życzył.

– Co widzicie, kiedy na siebie patrzycie? – dodał.

Nikt nie spieszył się z udzieleniem odpowiedzi, bo właściwie nie było łatwo o jedną, uniwersalną.

– Kolegę z zespołu? – rzucił Krygier. – Współpracownika w robocie? Nie. Patrzycie na człowieka, który przeszedł od początku tę samą drogę. Na człowieka, który jest gotów na to samo. Na to, by zrobić wszystko dla osoby siedzącej obok, dla drużyny. I kiedy on na was patrzy, ma dokładnie tę samą świadomość.

Witek wrócił na środek, po czym wskazał ręką drzwi.

– A kiedy wróćcie na murawę i spojrzycie w oczy swoich przeciwników, macie to zrobić w taki sposób, by w tym konkretnym momencie przekonali się, że jesteście gotowi na wojnę.

Zmienił ton głosu, teraz mówił tak, jakby rzeczywiście przygotowywał żołnierzy do starcia.

– Mają robić, kurwa, pod siebie i mieć pełną świadomość tego, że przyszlście tam, bo jesteście gotowi kłaść na szali swoje zdrowie, nawet życie, byleby wygrać – kontynuował. – W każdej walce, nieważne, czy sportowej, czy wprost przeciwnie, ostatecznie triumfuje właśnie ten, kto jest gotów ginąć. Musicie być gotowi do poświęceń: dla siebie, dla klubu, dla kolegi obok na boisku.

Kala nie pierwszy raz odnotowała, że ta zmiana tonu i narracji sprawiała, iż zawodnicy zaczęli faktycznie czuć się, jakby czekała ich jakaś wiekopomna batalia. Wszystko dlatego, że z punktu widzenia ojca naprawdę tak było.

Jego podopieczni kiwali głowami i zaciskali wargi, prezentując gotowość, by natychmiast wykonać polecenia.

– Jesteśmy w trudnym momencie – dodał. – I dobrze. Wielkie rzeczy rodzą się z trudnych momentów. Nigdy z łatwych, komfortowych sytuacji.

Znów zaczął chodzić wzdłuż ławek, przyglądając się piłkarzom.

– I pamiętajcie, że wygrywa się nie na murawie treningowej, nie na boisku meczowym, ale w głowie – rzucił. – Nie ma to nic wspólnego z talentem ani szczęściem. Wynika z determinacji i woli walki. To wy tu i teraz decydujecie, czy będziecie wygranymi, czy przegranymi. Od nikogo innego to nie zależy, wyłącznie od was.

Zmrużył oczy, a jego głos stawał się coraz bardziej donośny i niesiony emocjami.

– Znaleźliście się w tym czasie i miejscu nie bez powodu – powiedział. – Macie potencjał, by rozbić przeciwnika w drobny mak. Jesteście lepsi, macie więcej do zdobycia. Dla nich wynik nie ma znaczenia, tak czy inaczej wrócą do swoich rodzin, przyjaciół, dziewczyn z tym samym. Wy nie! Jeśli zrobicie to, na co wiem, że was stać, zmienicie całe swoje dotychczasowe życie, zapiszecie się w historii! – Rozległy się gromkie oklaski, jakby zawodnicy tylko czekali na to, aż mowa osiągnie crescendo. – Jesteście tu, żeby wygrać! Wygrać za wszelką cenę!

Tumult, który nagle się podniósł, był wręcz obezwładniający.

– I zrobicie to tylko, jeśli wasza żądza wygranej będzie większa niż strach przed porażką! – dodał Witek, starając się przekrzyczeć piłkarzy. – Stać was na to! Jesteście w stanie przewyciężyć wszystko! Wygrajcie ten jebany mecz!

Kala miała wrażenie, że zgiełk słychać było nie na korytarzu, nie w szatni drużyny przeciwnej, ale na całym stadionie. Niektórzy głośno tupali, wszyscy z całej siły klaskali. Większość wznosiła okrzyki tak donośne, że co wrażliwsze osoby musiałyby zasłaniać uszy.

– Siła w jedności! – ryknęli.

Zaraz potem Witek szybko wyciągnął z kieszeni komórkę. Uniósł rękę, starając się zapanować nad chaosem, który ogarnął szatnię. Nie było łatwo, a zawodnicy stali się tak nabuzowani jak nigdy.

Kiedy z głośników dobieły się dźwięki chyba wszystkim znanego kawałka The Final Countdown szwedzkiego zespołu Europe, Kalina odnosiła wrażenie, że dzięki samej woli walki byliby gotowi przenosić góry. Zawodnicy śpiewali razem z Joeyem Tempestem i zdzierali sobie gardło, imitując charakterystyczną melodię.

Stojąc w tunelu tuż przed wejściem na murawę, nawet nie patrzyli na przeciwników. Przeszepowali z nogi na nogę, strzelali karkami i starali się rozruszać górne partie mięśni, jakby przygotowywali się do pojedynków bokserskich, nie do rywalizacji na murawie.

Zaraz potem wszyscy ruszyli przed siebie, a Kala dostrzegła, że Ben obraca się przez ramię i szuka jej wzrokiem.

Z satysfakcją odnotowała też, że zawodnicy z Varsovii wymieniali się skonsternowanymi, niepewnymi spojrzeniami.

14

Pole karne gości, stadion Rewery Opole

Zawodnicy Krygiera atakowali od pierwszego gwizdka, grając na zapalenie płuc. Nikt się nie oszczędzał, wszyscy dawali z siebie dwieście procent normy. Krótkie trójkowe, czwórkowe rozegrania zastąpiły długie podania na oślep, a statystyki posiadania zaczęły przechylać się na stronę gospodarzy.

Zespół z Warszawy praktycznie nie istniał. Przez dziesięć pierwszych minut nie był w stanie skonstruować żadnej groźnej akcji, a kiedy tylko piłka przenosiła się na połowę Rewery, zawodnicy w pomarańczowych koszulkach natychmiast ją odzyskiwali.

Grali agresywnie, bezpardonowo i bez najmniejszych kompleksów. Walczyli o każdy skrawek boiska, jakby zależało od tego ich życie.

Ben szukał sobie pozycji, świadomy, że czekają z wejściem Gregora w rolę zastawy na lepszy moment. Prosty wybieg mógł powieść się tylko raz, potem Cymerman będzie spodziewał się podobnych rzeczy.

Futbolówka chodziła jak po sznurku. W sześćdziesiątej minucie Jeleń oddał groźny strzał na bramkę, golkiperowi Varsovii udało się jednak obronić. Zaraz potem znów zrobiło się niebezpiecznie przy jedenastce gości. Tym razem jednak Cymerman zdołał wybić piłkę na rzut różny.

Była sześćdziesiąta piąta minuta meczu, kiedy futbolówka trafiła pod nogi Gaudiego na szesnastym metrze od bramki. Ten rozejrzał się błyskawicznie, szukając Bena – a raczej sprawiając wrażenie, jakby to robił.

Adam trzymał się z tyłu, a pozycję na szpicy przejął Gregor. W szeregach obronnych Varsovii również nastąpiła zmiana, Cymerman bowiem przesunął się razem z Benhardtem.

Nie ułatwiało mu to zadania, ale wprowadzało nieco chaosu w formacji defensywnej zespołu z Warszawy.

Na tyle, że pod bramką zrobiło się trochę miejsca. Od razu wykorzystał je Gregor, wychodząc na dobrą pozycję.

Ben w tym samym momencie odbił w stronę skrzydła. Minał Warskiego, wprawiając w konsternację kryjącego go obrońcę, który nie był pewien, co robi piłkarz z numerem piętnastym ani czy za nim biec.

Adam skrzył w kierunku pola karnego i kiedy znalazł się na jego skraju, wiedział, że nadszedł kluczowy moment. Zgodnie z ustaleniami to właśnie teraz Gregor powinien oddać mu piłkę.

Tak też się stało. Szpeja wykonał krótkie podanie z piętki, zaskakując kryjących go obrońców i Cymermana.

Benhardt przygotował się, by uderzyć z pierwszej piłki. Okazja będzie idealna, szczególnie że bramkarz ustawił się nieco zbyt blisko krótkiego słupka i pozwolił, by pole widzenia zasłonili mu własni defensorzy.

Futbolówka szła ku Benowi wprost idealnym torem.

Złożył się do strzału i dopiero wówczas dostrzegł, że jeden z pomocników Varsovii wchodzi wślizgiem.

Przeciwnikowi udało się przeciąć tor lotu piłki, w dodatku utrzymał się przy posiadaniu. Podniósł się, zanim ktokolwiek mógł mu zagrozić, po czym błyskawicznie podał do przodu.

Długi przerzut pod pole karne Olejarczyka w tym wypadku miał sporo sensu. Piłka trafiła do osamotnionego napastnika z Warszawy, którego ubezpieczało jedynie dwóch środkowych obrońców.

Kiwnął obydwu, potem na ułamek sekundy podniósł wzrok, skontrolował, gdzie znajduje się Oleo, i przymierzył.

Uderzenie było mocne i celne, futbolówka zmierzała prosto w stronę słupka. Paweł był na wykroku w przeciwnym kierunku. Natychmiast się położył, starając się trącić piłkę nogą i zapobiec tragedii, która położyłaby całe morale zespołu.

Nie powiodło mu się.

Padł gol, sektory gości oszalały, a strzelec bramki utonął w objęciach kolegów. Ben wzięł się pod boki i zamarł, unosząc głowę. Kątem oka dostrzegł Gaudiego, który oparł się zgrabiony na kolanach.

Wyświetlacz stadionowy pokazywał wynik 1:3.

Nie, powiedział bezgłośnie Adam, a potem zacisnął mocno powieki. Miał ochotę złapać się za głowę, wiedział jednak, że nie może pozwolić sobie na takie gesty. Nawet jeśli kolegom z zespołu początkowo by to umknęło, reakcję szybko namierzyłyby kamery i pojawiłyby się na telebimie.

– Kurwa... – rzucił cicho Łukasz.

Benhardt spojrział na niego, a potem lekko go szturchnął, by ten się wyprostował. Doskonale rozumiał jego bezsilność i rezygnację. Gdyby istniał jakiś sposób, by cofnąć czas, w tej chwili robiłby wszystko, by go poznać.

– To nic nie zmienia – odparł Ben.

Gaudi westchnął głośno i posłał mu poirytowane spojrzenie.

– Tylko tyle, że mieliśmy strzelić dwa gole – dodał Adam. – A teraz musimy wcisnąć trzy.

– Na co mamy aż dwadzieścia pięć minut.

– Sporo czasu.

– Przy tak grającym przeciwniku?

Ben przesunął wzrokiem po trybunach. Kibiciele byli w szoku, nikt nie spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Witek stał przy ławce ze skrzyżowanymi rękoma, wyraźnie nie wiedząc, jak zareagować na okoliczności, które nagle się zmieniły. Patrzył nieruchomo na wyświetlacz.

– Nie mamy szans – dodał Gaudi.

– Spokojnie.

– Już po meczu...

W końcu trener się ocknął. Ruszył w kierunku linii strefy technicznej, gestykulując przy tym żwawo i pokazując swoim piłkarzom, co powinni zrobić. Potem zaczął klaskać, zagrzewając ich do boju.

– Chodź – rzucił Benhardt, truchtając w kierunku środka boiska. – Damy radę.

Gaudi bynajmniej nie sprawiał wrażenia, jakby w to uwierzył.

Nic dziwnego. Po tak zmasowanych atakach, jakie przypuścili od początku drugiej połowy, któraś akcja po prostu musiała zakończyć się zdobyciem bramki. Fakt, że tak się nie stało, podcinał im skrzydła aż do krwi.

– Dalej! – krzyknął Ben, również uderzając w dłonie. – Jedziemy, panowie, jedziemy!

Miał wrażenie, że tylko kilku kolegów odpowiedziało nieudawanym entuzjazmem, zdecydowana większość leżała znokautowana na macie własnej psychiki, a werwa, z jaką wchodzili w ten mecz, była tylko niewyraźnym powidokiem.

Kiedy wznowili grę, stało się jasne, że morale spadło do katastrofального poziomu. Nie szkodzi, uznał w duchu Adam. Jedną szybką akcją można będzie rozbudzić je na nowo.

Czuł, że stara się oszukać nie tylko innych zawodników, ale także siebie.

Trzy do jednego. Jezu.

Jak odrobić taką stratę?

Potrząsnął głową i uznał, że nie ma się nad czym zastanawiać. Trzeba działać.

Dostawszy piłkę, od razu ruszył z nią do przodu. Przeszedł jednego i drugiego pomocnika, potem trafił prosto na Cymermana.

Ten wszedł zdecydowanym wślizgiem, kwalifikującym się na żółtą kartkę, Benowi jednak udało się go minąć. Miał przed sobą zbyt wielu zawodników, by udało mu się okiwać wszystkich. Mimo to chciał jak najszybciej pokazać reszcie zespołu, że nadal są w grze.

Przymierzył z dwudziestu kilku metrów i huknął na bramkę. Piłka poszybowała jak pocisk z katapulty, ale bramkarz miał sporo czasu na reakcję. Wybił ją na rzut różny, mimo to Benhardt dostał gromkie oklaski od kibiców.

Korner był mocno bity przez Jlenia z prawej strony boiska. Nadał piłce rotację w kierunku bramki, a Ben wyskoczył wysoko, by ją sięgnąć.

Był przekonany, że mu się uda.

Uderzył główką z całej siły, nagle trafił jednak jakby prosto na mur. Zahuczało mu w uszach, zrobiło mu się ciemno przed oczami. Wylądował na murawie, słysząc przytłumione dźwięki wokół.

Otrząsnął się dość szybko, ale miał wrażenie, jakby uderzył w słupek zamiast w futbolówkę. Niemożliwe, był za daleko.

Dopiero kiedy wsparł się na rękach, zobaczył, że Gaudi przepycha się z Cymermanem. Wokół nich od razu zrobiło się tłoczno, a Benhardt zaczął się podnosić, by uspokoić przyjaciela.

Poczuł jednak coś mokrego na ustach. Przeciągnął ręką pod nosem i przekonał się, że ma całą dłoń zalaną krwią.

Skąd wziął się Cymerman w powietrzu? Wydawało mu się, że jest od niego dostatecznie daleko i na sto procent nie sięgnie piłki.

Tyle że obrońca mógł nie celować w nią, ale w niego.

Sędzia natychmiast znalazł się przy grupie popychających się piłkarzy i zaprowadził porządek. Wydawało się, że zamierza ukarać Cymermana, tym samym przyznając Rewerze Opole jedenastkę.

Ostatecznie jednak nie dopatrzył się faulu – golkiper z Warszawy miał wznović grę ze swojego pola bramkowego.

Benhardt protestował przed opuszczeniem murawy, ale przepisy w przypadku krwawiącego piłkarza były bezwzględne – musiał zejść z boiska. Adam podbiegł do linii bocznej, gdzie czekali na niego lekarz i fizjoterapeutka.

– W porządku? – rzuciła Sylwia Majewska.

– Tak. Zatamajcie to szybko.

Zamiast się do tego zabrać, lekarz odchylił mu delikatnie głowę i zaczął sprawdzać, czy faktycznie wszystko z nim okej.

– Nie masz zawrotów ani...

– Nie mam – uciał natychmiast Ben, patrząc nerwowo w kierunku boiska.

Wybiła siedemdziesiąta minuta meczu. Pozostało ich jedynie dwadzieścia, by wbić przeciwnikowi trzy bramki.

Sytuacja w szeregach gospodarzy robiła się coraz bardziej napięta, co przekładało się na agresywniejszą grę. Zawodnicy Varsovii odpowiadali tym samym, za co jeden z nich został ukarany żółtą kartką.

– No i? – spytał ponaglająco Benhardt.

– Jeszcze chwila.

– Gramy w dziesiątkę, muszę...

– Daj nam moment.

Moment trwał zdecydowanie za długo. W siedemdziesiątej trzeciej minucie meczu goście wyprowadzili niebezpieczną kontrę, zastając na połowie Rewery jedynie osamotnionego Gaudiego. Reszta opolan pędziła do tyłu razem z nacierającymi przeciwnikami.

Boże, nie, jęknął w duchu Adam.

Po kolejnym golem już się nie podniosą.

Rozgrywający z Warszawy spowolnił atak, poczekał na resztę zespołu, ale nie zwlekał zbyt długo, by nie wytracić tempa uderzenia. Kiedy nawet obrońcy Varsovii nagle wbiegli w pole karne, zdecydował się na dośrodkowanie.

Do piłki najwyżej wyskoczył Cymerman. Znajdował się na idealnej pozycji, Oleo zaś wyszedł za daleko z bramki, po czym popełnił największy z możliwych błędów – panicznie się cofnął. Defensor Varsovii miał niemal stuprocentową okazję.

Znajdujący się jednak tuż obok niego Gaudi postawił odplacić za uderzenie Bena. Wyciął Cymermanowi z łokcia z zebra, korzystając z faktu, że sędzia był z przeciwnej strony.

Arbiter liniowy nie przegapił ewidentnego faulu w polu karnym. Flaga natychmiast wystrzeliła w górę, powiewając na wietrze, a zaraz potem rozległ się gwizdek sędziego głównego.

Zawodnicy Rewery złapali się za głowy.

Rzut karny.

– Niech to, kurwa, chuj! – rzucił Ben.

Spojrzał najpierw na Sylwię, potem na lekarza. Nie miał zamiaru dłużej dać się opatrywać – ani tym bardziej pozwalać, by dziesięć razy upewnili się, czy po niegdysiejszym wstrząśnieniu nie powinni ściągnąć piłkarza.

– Wracam – oznajmił.

– Nadal leci ci krew – odezwał się Sylwia, łapiąc go za rękę.

– Trudno.

– Sędzia odeśle cię, jak tylko zobaczy, że...

– To odeśle.

Nie zamierzał wdawać się w dalszą polemikę. Musiał być przy linii pola karnego, kiedy napastnik z Warszawy będzie wykonywał rzut karny.

Benhardt spojrział na wyświetlacz.

Siedemdziesiąta piąta minuta. 3:1 i szansa na czwartą bramkę dla gości.

– Kurwa jebana mać... – syknął pod nosem.

Wtedy wydarzyła się kolejna tragedia.

Tragedia, która przypieczętowała los opolskiego zespołu.

Sędzia skonsultował z liniowym to, co wydarzyło się w polu karnym, a potem obejrzał powtórkę. Prędkość, z którą podbiegł do Gaudiego, mogła oznaczać tylko jedno. Kwestią otwartą było, czy arbiter sięgnie po żółtą, czy czerwoną kartkę.

Pokazał tę drugą.

Rewera musiała dokończyć mecz w dziesiątkę.

15

Linia boczna, Stadion im. Dawida Żerskiego

Chaos, który rozpętał się w siedemdziesiątej piątej minucie meczu, wydawał się nie do opanowania. W końcu jednak piłkarze się uspokoili, a kibice nieco ucichli. Stojąca przy linii bocznej Kala patrzyła bezradnie na Benhardta, który wraz z kilkoma kolegami z drużyny podszedł do trenera.

Witek udzielał im kilku pospiesznych poleceń, starając się w jakiś sposób sprawić, że cała taktyka przewidziana dla jedenastu zawodników się nie posypie.

Piłkarze byli przybici i zrezygnowani i jakiegokolwiek motywacyjne hasła mogły trafić jedynie na kompletnie jałowy grunt. Krygier nawet nie pokusił się o ich

formułowanie. Od wznowienia gry dzieliła ich tylko krótka chwila, a on miał zbyt wiele rzeczy do przekazania.

Zawodnicy chcieli odejść, kiedy uświadomili sobie, że Benhardt z jakiegoś powodu nie poruszył się ani o krok. Trwał w całkowitym bezruchu, ze wzrokiem wbitym w oczy Kaliny.

Nie wiedziała, jak wyłapał fakt, że miała mu coś do powiedzenia. Rzeczywiście jednak tak było.

– Co się stało? – spytał z obawą.

Kala potrząsnęła głową i zorientowała się, że spodziewa się najgorszego. Razem z innymi piłkarzami nadstawił ucha, a ona wiedziała, że musi jak najszybciej przekazać im to, co istotne. Jeszcze przed momentem nie była pewna, czy to robić. Teraz z jakiegoś powodu wszystkie wątpliwości znikły.

– Bzura wygrywa we Wrocławiu jeden zero – oznajmiła.

Ben zaklął, stojący obok Rebus uniósł bezradnie wzrok, a Sandauer złapał się za głowę. Kalina podzielała wszystkie te reakcje.

– Nie mów... – jęknął znajdujący się kawałek dalej Jeleń.

– A jak Unia Kraków? – rzucił Witek.

W tym względzie Kala też nie miała najlepszych wieści.

– Bez zmian. Gryf wygrywa.

Znów rozległy się głośnie przekleństwa.

Przy założeniu, że Rewera Opole zdołałaby wyrównać, a potem strzelić zwycięską bramkę, była to wymarzona sytuacja. Scenariusz ten przy tak dużej stracie i grze w dziesięciu ocierał się jednak o szalone marzenia.

Przy obecnym wyniku zaś sprawa rysowała się w czarnych barwach. Unia Kraków pozostanie na drugim miejscu, Olimpia Wrocław na trzecim. Problem polegał na tym, że Bzura Łódź, uzyskując trzy punkty, przeskoczy zespół Krygiera.

Tym samym przekreślając szanse na to, by opolanie w przyszłym roku wystąpili w europejskich pucharach.

Różnice punktowe były minimalne. Przed ostatnią kolejką praktycznie wszystko mogło się zmienić na korzyść Rewery. Teraz jednak to, co mogło ułożyć się źle, właśnie się ziszczało.

– Mówić innym? – odezwał się Adam.

Witek zacisnął usta i rozejrzał się nerwowo po murawie.

– Trenerze?

Kala zdawała sobie sprawę, że ojciec nie ma pojęcia, jak to rozwiązać. Z jednej strony mogła być to dodatkowa motywacja, by walczyć do ostatniej

sekundy meczu. Z drugiej przyczynę do nadmiernej presji.

Sama nie wiedziała, jaką decyzję podejmą na jego miejscu.

– Tak – odparł w końcu. – Powiedzcie pozostałym.

Pokiwali głowami, a potem szybko się odwrócili i pobiegli w kierunku pola karnego. Zawodnicy Varsovii wyglądali na kompletnie niezainteresowanych tym, co działo się na innych boiskach w kraju. Nie mieli żadnego powodu, by się tym zajmować.

Do piłki na jedenastym metrze podszedł sam poszkodowany, Cymerman. Ustawił ją z pietyzmem, rzucił spojrzenie spode łba Olejarczykowi, a potem cofnął się o parę kroków. Czekał na gwizdek sędziego.

Kala wstrzymała oddech i miała wrażenie, jakby jej serce zatrzymało się pomiędzy dwoma nierównymi uderzeniami. Mimowolnie popatrzyła na ekran nad murawą, na którym widniało bolesne przypomnienie opłakanej sytuacji, w której znajdował się zespół.

Trzy do jednego na kwadrans przed końcem meczu to praktycznie wyrok śmierci.

Cztery do jednego to ostatni gwóźdź do trumny.

I to przy założeniu, że ma się do dyspozycji dziesięciu, a nie dziewięciu zawodników w polu.

Kalina podeszła do ojca i zrównała się z nim. Stał nieruchomo, mocno krzyżując ręce na piersi. Wyglądał, jakby w trakcie ostatnich minut zapadł na nieuleczalną chorobę, w okamgnieniu wysysającą z niego ostatnie siły.

– Mamy jeszcze szansę? – spytała Kala.

Witek zerknął na nią, skrzywił się lekko, po czym wrócił do obserwowania jedenastki, nie udzielając odpowiedzi. Wszystko zależało od tego, jak zakończy się rzut karny.

Sędzia gwizdnął.

Cymerman odczekał parę sekund, jakby upajał się świadomością tego, ile od niego zależy. Potem ruszył przed siebie.

Tuż przed piłką nagle prawie się zatrzymał, wyczekując, co zrobi Oleo. Skurwysyn, skwitowała w duchu Kala, zachował zimną krew.

Paweł drgnął w prawą stronę, a Cymerman nie zwlekał ani chwili i posłał piłkę w przeciwnym kierunku.

Oleo był bez szans.

Futbolówka wpadła do bramki, Krygier obrócił się z uniesionymi rękoma, jakby miał pretensje do samego Wszechmogącego, że pozwolił na taki rozwój wypadków. Kala zakryła ręką twarz, zamykając oczy.

Przez moment na stadionie trwała cisza jak makiem zasiał. Zaraz potem została zastąpiona eksplozją szczęścia z sektorów gości.

Koniec.

Trzy punkty przypadły, a wraz z nimi szansa na grę w Europie. W piętnaście minut nawet najlepiej dysponowany, najlepszy zespół nie byłby w stanie w dziesiątkę strzelić czterech bramek.

Kala poczuła, jak nogi się pod nią uginają, i miała ochotę paść na murawę.

Naraz jednak zorientowała się, że euforia dziwnie ucichła. Uaktywnili się za to kibice Rewery Opole.

Dziewczyna opuściła dłoń, otwierając jednocześnie oczy.

– Co jest? – rzuciła.

Witek obrócił się raptownie w kierunku bramki Olejarczyka, a Kalina usłyszała pełne ulgi westchnienie.

– Nie wierzę – oznajmił ojciec.

Sędzia właśnie tłumaczył zawodnikom, że w momencie, kiedy Cymerman zatrzymał się przed piłką, jeden z czekających na wbiegnięcie na dobitkę zawodników z Warszawy się pospieszył.

Wpadł w pole karne sekundę przed tym, jak strzelec dotknął piłki.

Przy głośnych sprzeciwach warszawian arbiter zarządził powtórkę, a potem pogroził kilku z nich, by odechciało im się dalszych dyskusji. Szybko spasowali.

– Jezu... – jęknęła Kala.

W pierwszej chwili potraktowała to jako błogosławieństwo, zaraz potem jednak cała sytuacja skojarzyła jej się z przedłużaniem ich mąk i kolejną fazą tortur.

Cymerman znów ustawił piłkę i z zupełną obojętnością się wycofał. Wyglądał tak, jakby powtarzał wszystko co do centymetra. I tym samym sugerował chyba, że planuje wykonać dokładnie taki sam strzał.

Arbiter przeszedł wzdłuż piłkarzy zgromadzonych na linii pola karnego, upominając ich, żeby tym razem nikt się nie wyrwał.

Potem zajął swoje miejsce, odczekał moment i uniósł gwizdek.

Kiedy rozległ się dźwięk, Cymerman znów odczekał kilka sekund. Powtórzył rozbieg z chwilowym wyczekaniem, a Oleo podjął rękawicę – zrobił minimalny wykrok dokładnie w tym samym kierunku co wcześniej.

Zaryzykował, zostając z tamtej strony.

Cymerman uderzył.

Posłał piłkę tym razem w kierunku przeciwnym do tego, który obrał poprzednio. Dzięki temu Paweł nie musiał specjalnie się trudzić. Ku

bezbrzeżnej uldze kibiców pewnie złapał futbolówkę i natychmiast ruszył przed siebie, dając sygnał do ataku.

Jako pierwszy w kierunku połowy przeciwnika wyrwał się Benhardt. Pędził na złamanie karku, gubiąc po drodze krycie.

Oleo dotarł do skraju pola karnego z wyciągniętą ręką, upuścił piłkę i uderzył w nią w powietrzu z półwoleja. Podanie było nieco za długie i mimo że Adam przyspieszył jeszcze bardziej, jasne było, że nie zdąży.

Z naprzeciwka nadciągał w jego kierunku jedynie bramkarz z Warszawy.

– Nie ma szans – powiedziała Kala. – Nie dobiegnie.

– Kurwa mać... – rzucił ojciec.

On także wiedział, jak dobra okazja to była.

Golkiper Varsovii był w pełnym biegu, świadomy, że jeśli pozwoli napastnikowi dopaść do piłki, padnie bramka. Ben również robił, co mógł, ale prawa fizyki były nieubłagane. Znajdowali się już blisko siebie. Niestety niedostatecznie blisko, by to Adamowi się udało.

Nagle Benhardt niespodziewanie się zatrzymał.

Bramkarz był skupiony na piłce, biegł z zadartą głową i nie zauważył, że Adam stanął jak rażony piorunem.

– Co on... – rozległ się głos Melera zza pleców Kali.

Witek prychnął, ona także. Doskonale wiedzieli, co Ben postanowił zrobić.

Bramkarz wybił piłkę główką, przekonany, że napastnik jest tuż przy nim. W rzeczywistości Adam zatrzymał się kawałek dalej. Mniej więcej w miejscu, gdzie zmierzała teraz futbolówka.

Na jego nieszczęście jednak wybicie było dość dobre, wysokie. Nie było szans, by wyskoczył i sięgnął piłkę główką.

Natychmiast się odwrócił i błyskawicznie wycofał. Miał raptem sekundę, by nie przegapić piłki. I mniej więcej tyle samo czasu, zanim zderzy się z pędzącymi na niego obrońcami.

Był tyłem do piłki. Mógł zrobić tylko jedno.

Wyskoczył wysoko, składając się do przewrotki z odległości trzydziestu, może nawet trzydziestu paru metrów. Trafił w piłkę z odpowiednią siłą, a ta pomknęła wysokim łukiem w kierunku bramki.

Kala widziała coś podobnego, kiedy Ibrahimović trafił w taki sposób przeciwko Anglii w dwa tysiące dwunastym roku. Zlatan był jednak nieco bliżej. I miał dużo więcej doświadczenia.

Teraz piłka zdawała się lecieć za mocno, by opaść w sam raz i trafić pod poprzeczkę.

Kalina nie doceniła jednak rotacji nadanej jej przez Benhardta. Futbolówka uderzyła w dolną część poprzeczki, odbiła się od murawy i wpadła prosto do pustej bramki.

16

Szatnia gospodarzy, stadion Rewery Opole

Gaudi krzyknął ile sił w płucach, wyrzucając pięść w powietrze. Nie dowierzał, że sytuacja, która przed momentem była oplakana, po jednej akcji zmieniała cały obraz gry.

Było trzy do dwóch dla Varsovii, nadal grała w przewadze. Prowadzenie stopniało jednak do jednej bramki i na dobrą sprawę wszystko na powrót stało się możliwe.

W dodatku Ben strzelił drugiego gola w spotkaniu, co oznaczało, że w klasyfikacji strzelców właśnie zrównał się z Haubenem, który miał ich na koncie trzynaście.

Łukasz stał przed zawieszonym na ścianie telewizorem, słuchając rozemocjonowanego głosu jednego z komentatorów, który ewidentnie kibicował w tym meczu Rewerze. Drugi był bardziej powściągliwy, doceniał jednak fakt, że klub z Opola nawiązał walkę i nie zamierzał składać broni.

Koledzy Gaudiego ściskali się, poklepywali i wiwatowali, on zaś nagle poczuł się jak najbardziej samotna osoba na świecie.

Być może z tego względu niemal podskoczył, gdy poczuł dotyk na plecach. Obrócił się, jakby spodziewał się jakiegoś napastnika. Zamiast tego dostrzegł uśmiechniętą panią Czesię. Wpadła mu w ramiona, zanim zdążył zorientować się, co się dzieje.

– Teraz dopiero się zacznie – powiedziała.

Łukasz odsunął się i spojrzał na jej rozpromienioną twarz. Ta kobieta od lat żyła klubem, być może bardziej niż ktokolwiek inny.

– Chodź obejrzyć z nami – dodała.

– Znaczy?

– Jesteśmy w stołówce, razem z ludźmi z kuchni i innymi.

Gaudi ściągnął lekko brwi. Właściwie nigdy nie zastanawiał się, jak w trakcie meczu spędzają czas ci wszyscy, którzy są zatrudnieni w klubie

w pozasportowej roli. A było takich osób co niemiara – ktoś przecież gotował, sprzątał, zajmował się murawą i gazyliem innych rzeczy.

– Zawsze was tam oglądamy – dodała pani Czesława.

– Nie chcę przeszkadzać.

– Nie będziesz.

Ledwo to powiedziała, uświadomiła sobie, że rzucił uwagę jedynie dla porządku. Miała do czynienia z wyrzuconymi z boiska piłkarzami na tyle długo, by rozumieć, że nie był to moment, w którym chcieliby być wśród ludzi.

– Albo ja zostanę z tobą – powiedziała, gładząc go po plecach.

Oboje skierowali wzrok na zawieszony przed nimi ekran. Zawodnicy Rewery nie tracili czasu i już wrócili na swoją połowę, jakby chcieli wysłać przeciwnikom sygnał, że dopiero się rozkręcają.

Były to jednak w dużej mierze pozory. Grając w osłabieniu, nie mogli pozwalać sobie na szaleńcze ataki.

– Tylko daj głośniej – zasugerowała pani Czesia. – Nie słyszę już za dobrze.

– Jasne.

Łukasz pogłośnił, a potem razem z kitmanką zbliżył się do telewizora.

– I to nie była twoja wina – dodała.

– Słucham?

– Ten sędzia powinien się umówić z moim optykiem. Sfaulowałeś Cymermana, to prawda, ale nie zasłużyłeś na asa kier.

Gaudi głośno przełknął ślinę. Od wyniku tego meczu zależało, jak spędzi kolejne miesiące przed rozpoczęciem rozgrywek w nowym sezonie Ekstraligi. Jeśli gra w dziesięciu sprawi, że Rewera przegra, będzie wyrzucał to sobie dniami, oglądając powtórki, i nocami, mieląc to wszystko w głowie.

– Cymerman powinien nosić na koszulce „Padolino” zamiast nazwiska – dodała pani Czesława.

Łukasz lekko się uśmiechnął. Starsza kobieta najwyraźniej podłapywała ich określenia, a on właściwie nie powinien się dziwić. Była na bieżąco ze wszystkim, co się działo, w tym także z większością ich rozmów.

Potrzebował chwili rozprężenia i był wdzięczny pani Czesi za to, że mu ją zapewniła. Skończyła się jednak błyskawicznie, kiedy zawodnicy z Warszawy wznowili grę i ruszyli do ataku.

Przez kilka minut starali się podejść pod bramkę opolan, ale bezskutecznie. Kontrolowali jednak grę, korzystając z przewagi. Robili dokładnie to, co powinni – nie pozwalali zawodnikom Rewery pójść za ciosem i się rozkręcić.

Gaudi stał z ręką przy ustach, nerwowo obgryzając skórki. Wodził nerwowym wzrokiem za futbolówką, kątem oka kontrolując ustawienie obydwu drużyn.

Witek miał taktyczny problem bez jednego z pivotów, na których opierał dużą część swojego boiskowego planu. To oni grali na kierownicy, rozdawali większość piłek i organizowali ataki budowane od własnej połowy.

Teraz ciężar spadł na środkowych pomocników, dobrze krytych przez piłkarzy z Warszawy.

– Nie wygląda to najlepiej dla Rewery – odezwał się jeden z komentatorów. – Mamy osiemdziesiątą drugą minutę meczu, osiem minut do końca regulaminowego czasu gry. Czy to wystarczająco dużo, żeby przy takim obrazie gry zdobyć gola na cenę remisu?

– Przy tak dobrze zorganizowanej obronie warszawian może okazać się to niemożliwe.

– Ale popatrzmy – rzucił drugi. – Piłka w posiadaniu Rewery. Jeleniewski na skrzydle, rozgląda się, gdzie są koledzy? Pokazuje mu się Benhardt nabiegający w pole karne, Jeleniewski jednak decyduje się na zwód i rusza na skrzydło. W sukurs chciał przyjść mu Warski, ale piłka idzie już do przodu, kapitan Rewery zamiast tego zbiega do środka, starając się ściągnąć uwagę obrońców.

– Wszystko jest dość przewidywalne, w ten sposób nie zaskoczą dobrze grających piłkarzy Varsovii.

– Podanie do Rebusa, dobre przyjęcie piłki. Na pozycję wychodzi Sandauer, ale kolega go nie dostrzega.

– Nie mogą w ten sposób grać, jeśli chcą w ciągu tych ośmiu... już siedmiu minut cokolwiek wskórać.

Jakby na potwierdzenie słów komentatora ożywiły się trybuny. Zdawało się, że każdy jeden kibic daje z siebie wszystko, zdzierając gardło do granic możliwości. Gaudi skupiał się na tym, co działo się na murawie, kątem oka widział jednak prawdziwe morze pomarańczowo-białych barw.

– Kibice gospodarzy znów zagrzewają swoich zawodników do walki, domagają się trzeciej bramki – poinformował widzów komentator. – Ale ci wciąż nie mogą znaleźć sposobu na sforsowanie obrony drużyny Aleksandra Łazy.

– W pierwszych chwilach meczu wydawało się, że mieli na to receptę. Potem jednak stało się oczywiste, że tak nie jest. Ten ostatni gol dla opolan padł przecież tylko dlatego, że po niestrzelonym karnym większość piłkarzy była jeszcze pod bramką Rewery.

Drugi komentator zamilkł, jakby nie widział sensu wchodzenia w polemikę. Właściwie miał nieco racji.

– Piłka znów na lewym skrzydle. Jeleniewski rozgląda się, szuka kogoś, kogo mógłby uruchomić.

– Jak zawsze wypatruje Benhardta.

– Ten pewnie oddałby królestwo za możliwość rozegrania dwójkowej akcji z Gałdeckim.

Łukasz przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

– Jeleniewski holuje piłkę skrzydłem – podjął komentator, podnosząc nieco głos, jakby chciał zapowiedzieć nadchodzące emocje. – Cofa się jednak, a razem z nim linia obrony.

Napięcie w głosie opadło.

Nieszusznie, Jeleń bowiem nagle odbił w kierunku linii końcowej, gubiąc krycie.

– Jeleniewski znów pędzi skrzydłem! – uniósł się komentator. – Koledzy wbiegają w pole karne, ale nie w tempo, nie w tempo. Skrzydłowy znów spowalnia akcje, szuka Benhardta. Ten jest w półokręgu przed polem karnym. Jeleniewski utrzymuje się przy piłce, ale nie jest to pozycja, w której mógłby...

– Mimo to decyduje się na centrę na Benhardta.

– Niewiele z tego wyniknie, ten odwrócony do bramki plecami.

– Muszą obsługiwać go zupełnie innymi podaniami, poczekać, aż wyjdzie na pozycję, zgubi trochę krycie. Tak niczego nie wskórają.

Gaudi zacisnął usta, widząc, jak miękkie podanie zmierza w kierunku Adama. Znajdował się zbyt daleko od bramki, przed sobą miał zbyt wielu obrońców, a tuż obok wciąż był przyklejony do niego Cymerman.

– Benhardt przyjmuje piłkę na klatkę piersiową, podbija ją kolanem, nie pozwalając, by spadła na murawę.

– Ależ to jest technika.

– Benaldo w akcji – ocenił drugi dziennikarz i prychnął.

W tym samym czasie Adam po raz trzeci miał kontakt z futbolówką, nie dając jej dotknąć ziemi. Tym razem uderzył ją stopą – i zrobił to na tyle sprawnie, że przerzucił ją nad sobą i nad kryjącym go Cymermanem.

Na trybunach rozległo się jedno wielkie westchnięcie, wyrażające zaskoczenie i podziw. Ben zaś okręcił się wokół zdezorientowanego obrońcy Varsovii, który nie widząc piłki i nie wiedząc, co zamierza Adam, nie zareagował w porę.

Tym razem Benhardt także nie miał zamiaru pozwolić na to, by piłka znalazła się na murawie.

Ledwo się odwrócił, złożył się do woleja.

Uderzył z siedemnastu metrów z taką siłą, że zawodnicy ledwo zdążyli obrócić głowy, by podążyć za piłką.

– Beenhaaaardt! – krzyknął komentator, gdy futbolówka zmierzała w kierunku bramki.

Gaudi zacisnął pięści tak mocno, że wbił paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni. Obserwował lecącą piłkę, której tor lotu był zdecydowanie za wysoki. Opadała, była mocno rotowana, ale...

– Gooooool! – wydarł się dziennikarz. – Gool! Gool! Gooooool!

– Coś niesamowitego!

– Matko jedyna! Cóż to za bramka!

Łukasz nie słuchał jednego ani drugiego, samemu krzycząc tak głośno, jakby miał rozerwać struny głosowe. Natychmiast uściskał cieszącą się niemal identycznie panią Czesię, nie dowierzając do końca w to, co właśnie zobaczył.

– Jak on to zrobił, proszę państwa! Bajeczny gol, bajeczny!

Gaudi zacisnął mocno powieki. Proszę, błagam, Boże, żeby to była prawda, powtarzał sobie w duchu. Wydawało mu się, że jeśli tylko otworzy oczy, przekona się, że wszystko to mu się przyśniło.

Kiedy jednak odsunęli się od siebie z panią Czesławą i zobaczył łzy w jej oczach, zrozumiał, że wszystko jest realne. Ben naprawdę wyrównał, sędzia nie odgwizdał żadnego nieregularnego zdarzenia. Gol się liczył.

– Trzy do trzech! – krzyknął jeden z komentatorów.

– Niesamowity powrót! – dodał drugi. – Rewera Opole podnosi się jak feniks z popiołów i wszystko wskazuje na to, że ma zamiar w ogniu piekielnym spalić przeciwnika!

Było to nieco przesadzone, egzaltowane i mocno trywialne, ale Gaudi mógł zrozumieć, skąd takie uniesienie dziennikarza. Warski dał sygnał do dalszej walki, natychmiast wyciągając piłkę z siatki.

To on jako pierwszy popędził w kierunku połowy Rewery, a potem ustawił piłkę przeciwnikom na samym środku boiska.

– Jezu Chryste... – odezwała się pani Czesia.

Łukasz przyciągnął ją do siebie jeszcze raz, tym razem przytulając nie po to, by dzielić się euforią, ale by zapewnić trochę spokoju.

– Dawno takich rzeczy nie widziałam – dodała stara kitmanka.

– Nie tylko pani.

Oboje spojrzeli z powrotem na telewizor. Zawodnicy z Warszawy patrzyli po sobie z mieszaniną zdenerwowania i konsternacji, jakby byli tylko o krok od niewybrednego obwiniania siebie nawzajem o to, co się wydarzyło.

Do nikogo nie mogli jednak mieć pretensji.

Ben strzelił tego gola praktycznie z niczego. Dostał piłkę na przedpolu, obrócony tyłem do bramki. Te akrobatyczne sztuczki, na które się zdecydował, zazwyczaj wychodziły tylko na treningach.

– Varsovia wznowi grę od środka – odezwał się komentator. – Na pięć minut przed końcem regulaminowego czasu gry mamy remis.

– Jak myślisz, ile doliczy arbiter główny?

– Przerw nie było wiele, trochę czasu minęło przy tym karnym.

– Karnym, który zmienił wszystko. Gdyby jeden z warszawian nie wbiegł zbyt wcześnie w pole karne albo Cymerman trafił za drugim razem, mielibyśmy teraz zupełnie inny mecz. A właściwie byłoby już po nim.

– Tymczasem ależ nam się zrobiło spotkanie, proszę państwa! Trzy do trzech, kilka minut do końca. Warszawa nadal w przewadze liczebnej, ale każdy z zespołów może zawalczyć tutaj o trzy punkty.

– Gdyby jednak remis się utrzymał, mamy bardzo ciekawą sytuację w tabeli. Bzura Łódź wciąż wygrywa we Wrocławiu jeden do zera, natomiast Unia Kraków zremisowała z Gryfem Gliwice.

– Ależ emocje tam są również.

– Takiej bramki, jak tutaj padła, pewnie jednak nie mają.

– To prawda – przyznał komentator. – Niesamowity wyczyn Benaldo.

Obaj zaśmiali się, jakby dopiero wpadli na ten nieustannie powtarzany w mediach pseudonim.

– Nie do powtórzenia – ocenił drugi. – I bez dwóch zdań w ostatniej kolejce mamy bramkę roku.

– Ta poprzednia też mogłaby się kwalifikować.

– To jednak nie to samo.

– Prawda – przyznał dziennikarz. – A to także oznacza, że Adam Benhardt zaliczył hat-tricka i w tej chwili od tytułu króla strzelców Ekstraligi dzieli go tylko jeden gol.

Perorowali jeszcze przez moment po wznowieniu gry. Gaudi miał nadzieję, że zawodnicy Varsovi nie odnajdą się w tej sytuacji, było jednak wprost przeciwnie. Drużyna była zgrana, piłkarze wzajemnie zagrzewali się do boju i ewidentnie potrafili udźwignąć ciężar dwóch straconych bramek.

Ruszyli do ataku, forsując obronę Rewery.

– Co nam teraz daje ten remis? – odezwała się nerwowo pani Czesława, kiedy akcja znów przeniosła się pod bramkę Olejarczyka.

Niedobrze. Jeden zły ruch, jeden niewielki błąd w defensywie i będzie po sprawie, nie ugrają nawet punktu. Gałdecki starał się o tym nie myśleć, ale kiedy futbolówka przecięła linię obrony, miał wrażenie, że tylko włos dzieli ich od przegranej.

– Łukasz?

Gaudi potrząsnął głową i przypomniał sobie o tym, by oddychać.

– Nie jestem pewien – odparł. – Chyba przy takim stanie innych meczów zostajemy na czwartym miejscu.

– To dobrze.

– Bardzo dobrze – przyznał.

Wszystko jednak mogło się jeszcze zmienić – zarówno na murawie Stadionu imienia Dawida Żerskiego, jak i pozostałych. Dopóki nie rozległ się ostatni gwizdek sędziego, niemal wszystkie roszady na szczycie tabeli pozostawały możliwe.

– Dużo teraz miejsca pomiędzy linią obrony i pomocy Rewery – odezwał się komentator.

Gaudi i pani Czesia na powrót skupili uwagę na tym, co tu i teraz, odsuwając na bok te sprawy, na które nikt na boisku nie miał wpływu.

– Kapitan Varsovii przy piłce, obraca się w kierunku skrzydła, szuka kolegów w lepszej pozycji.

– Jest dużo miejsca w strefie obronnej opolan.

– Za dużo. Ewidentnie brakuje tutaj Gałdeckiego, który w takich chwilach latał tę przestrzeń.

– Warszawianie to wykorzystują, akcja coraz bliżej pola karnego Olejarczyka.

– Podanie do skrzydłowego, który wychodzi na dobrą pozycję do centry. Decyduje się jednak na zejście do środka, jego miejsce szybko zajmuje kolega z drużyny. Ten zostawia mu piłkę piętka.

– Obrona Rewery Opole zaczyna się gubić.

– Za dużo miejsca teraz Rebski zostawił.

– Korzysta z tego napastnik Varsovii! – uniósł głos komentator. – Urywa się obrońcy, zbiega w kierunku bramki, biorąc na plecy dwóch przeciwników!

Gaudi zamknął oczy, widząc, że zawodnik z Warszawy składa się do uderzenia z dobrej pozycji.

– Strzela!

Była osiemdziesiąta szósta minuta meczu.

Pole karne Rewery, Stadion im. Dawida Żerskiego

Benhardt z oddali obserwował, jak piłka zmierza ku bramce Pawła. Oleo desperacko rzucił się w jej kierunku, ale nie miał najmniejszych szans, by ją sięgnąć.

Futbolówką szczęśliwie jednak minimalnie minęła światło bramki.

Bramkarz Rewery natychmiast podniósł się z murawy, jakby właśnie nie otarł się o sportową śmierć, i dał znak jednemu z chłopaków, by ten podał mu piłkę. Młody zareagował błyskawicznie, a Olejarczyk ustawił futbolówkę do wykopu i wykonał rękoma zamaszysty gest, sugerując, by cała drużyna przesunęła się do przodu.

Wznowił grę długim podaniem, za które z pewnością oberwie mu się po meczu. W tej chwili działał już jednak instynkt, który nakazywał zaprzestać spokojnego rozgrywania i podejmować próby jak najszybszego przeniesienia akcji pod pole karne przeciwnika.

Ben biegł do przodu, śledząc tor lotu piłki. Czuł, że jest już na granicy sił. Pracował na najwyższych obrotach od pierwszej minuty i przypuszczał, że od tamtej pory przebiegł co najmniej czternaście kilometrów.

Podanie zmierzało w kierunku Gregora, ten przyjął, ale nie zdołał utrzymać się przy piłce. Wywalczył ją jeden z zawodników Varsovii, zamiast jednak dać sygnał do ataku, wycofał do bramkarza.

Piłkarze z Warszawy także byli zmęczeni, a to podanie zdawało się odpowiednikiem nieśmiałego pytania, czy przeciwnicy aby na pewno chcą jeszcze tak zaciekle walczyć – czy może nie wystarczy remis?

Równie dobrze mogła być to jednak zmyłka.

Przez moment na boisku ważyły się losy tego, czy status quo będzie trwało do końca, czy jedna z drużyn ma zamiar powalczyć o jego zmianę. Niema negocjacja przeciągała się, kiedy piłkarze Varsovii wymieniali się podaniami w swojej strefie obronnej, a ich odpowiednicy z Opola nie ruszyli do ataku.

Wówczas uaktywnił się dodatkowy zawodnik.

Ben w pierwszej chwili nie wiedział, czy dobrze słyszy. Zaraz jednak stało się jasne, że ktoś musiał przynieść na trybuny profesjonalny sprzęt grający.

Gdyby to same głośniki musiały udźwignąć konieczność odegrania tej piosenki, z pewnością nie dałyby rady. Dźwięki kawałka Warrior były jednak wzmocnione przez kilkadziesiąt tysięcy kibiców.

Adam zerknął na trenera i przekonał się, że ten tkwi w całkowitym bezruchu, taksując wzrokiem trybuny. Podobnie jak jego piłkarze, nie dowierzał w to, co docierało do jego uszu.

Cały stadion jednak naprawdę śpiewał refren piosenki Scandalu z osiemdziesiątego czwartego roku.

Benhardt poczuł ciarki na rękach. Wiedział, że musi działać – otrząsnął się, a potem czym prędzej podbiegł do Szpei. Reakcja Gregora początkowo zdawała się sugerować, że spodziewa się pretensji o utratę piłki. Ledwo Adam jednak znalazł się obok niego, napastnik zrozumiał, że ich nie usłyszy.

Ben zerknął na Cymermana, który biegł tuż za nim, cały czas gotowy, by przykleić się do niego jak celofan.

– Dalej nie mogę mu się urwać – rzucił Benhardt.

– Widzę.

Obaj zerknęli w kierunku stadionowego zegara, który pokazywał osiemdziesiątą ósmą minutę meczu.

– Robimy, co trzeba? – odezwał się Adam.

– Robimy.

W głosie Gregora nie dało się wyłapać nawet niewielkiego wahania. Obaj skinęli do siebie głowami, nie musząc dodawać nic więcej. Czasu do ostatniego gwizdka pozostało niewiele, ale od tej pory trzymali się blisko siebie.

Równo w dziewięćdziesiątej minucie Szpeja otrzymał podanie od Warskiego, oddał z pierwszej piłki do Benhardta, ten zmylił dryblingiem Cymermana i zanim asekurowujący go defensor zdążył zaatakować, oddał futbolówkę Gregorowi.

Zaczęli rozgrywać między sobą, jakby nikogo innego nie było na murawie.

Wymienili kilka podań, zmuszając obrońców, by wykrzesali z siebie ostatnie siły i biegali między nimi. Wciąż czekali na okazję, by Gregor zrobił zastawę, skutecznie blokując Cymermana i stwarzając Adamowi okazję do oddania strzału.

Ta jednak się nie nadarzała, a dobrze zorganizowana defensywa Varsovii wypchnęła ich z piłką do tyłu. W końcu Szpeja posłał długie podanie na skrzydło do Jelenia, po czym obaj się przegrupowali.

Benhardt spojrział w kierunku wyświetlacza unoszonego przez arbitra liniowego. Główny doliczył do regulaminowego czasu gry tylko dwie minuty.

Kurwa mać. Sto dwadzieścia sekund, żeby odmienić losy tego spotkania.

Futbolówka chodziła między piłkarzami Rewery Opole, ale utrzymywanie się przy posiadaniu nie prowadziło do stworzenia jakiegokolwiek

niebezpieczeństwa pod bramką warszawian.

Wszyscy zawodnicy Krygiera przesunęli się pod pole karne gości, zamykając ich w hokejowym zamku. Ryzykowali co niemiara, jedno przejęcie bowiem mogło sprawić, że któryś z zawodników Varsovii popędzi na bramkę i będzie mógł liczyć na sytuację sam na sam z Olejarczykiem.

Do końca meczu pozostało sześćdziesiąt sekund, kiedy Sandauer przerzucił piłkę na drugie skrzydło, chcąc rozciągnąć formację broniących się warszawian.

Nie spodziewał się, że jeden z nich wystrzeli w kierunku toru lotu futbolówki tak szybko. Piłkarz przeciął podanie główką, wybijając futbolówkę na wolne pole, gdzie nie było żadnego zawodnika z Opoła.

W pełnym biegu ruszył przed siebie i natychmiast stało się jasne, że żaden z obrońców go nie dogoni. Niemal wszyscy byli na szesnastym, siedemnastym metrze od przeciwległej bramki.

Oleo znajdował się jednak przy środku boiska, jakby uczył się takich dalekich wyjść od samego Manuela Neuera.

Bez trudu uprzedził biegnącego ku niemu napastnika Varsovii, ale zamiast wybić piłkę w kierunku czekających na nią przy polu karnym partnerów, tylko zamarkował podanie. Zdecydował się na drybling niczym José Manuel Pinto, przełożył piłkę na jedną, potem na drugą stopę.

Napastnik wyciągnął nogę i trącił lekko futbolówkę.

Serce Bena się zatrzymało.

Czterdzieści sekund od końca meczu. To byłby cios nokautujący.

Oleo jednak utrzymał posiadanie, zostawił za sobą zawodnika Varsovii i pobiegł do przodu. Znów grali w polu w dziesięciu, teraz nawet z przewagą, napastnik bowiem został na ich połowie.

Olejarczyk dotarł na dwudziesty metr nieniepokoiony przez nikogo, po czym zatrzymał się przed kolejnym z napastników. Rozejrzał się, wypatrzył Jelenia na lewym skrzydle i niespodziewanie oddał piłkę na prawą stronę, do Rebusa.

Ten przyjął ją bezbłędnie.

Gregor i Benhardt wymienili się porozumiewawczymi spojrzeniami.

Zostało trzydzieści sekund.

Obaj znajdowali się na tyle blisko siebie, że wreszcie mogli spróbować zastawy. Szpeja przesunął się lekko w kierunku Cymermana, ale zrobił to na tyle umiejętnie, by ten nie zorientował się, co planują.

Antek Rebski szedł dalej do skrzydła, jakby miał zamiar sam wrzucać w pole karne. Zamiast tego jednak oddał futbolówkę do Sandauera, ten przepuścił ją między nogami i pozwolił, by dotarła prosto do Warskiego.

Kapitan Rewery nie musiał się rozglądać, by wiedzieć, gdzie są koledzy. Wszyscy robili dokładnie to, co wtlaczał im do głowy Witek, a Oleo w tej chwili występował w roli drugiego pivota.

Paweł dostał piłkę, kiedy na zegarze pozostało już jedynie dziesięć sekund do końca meczu. Posłał ją mocnym podaniem po ziemi w kierunku Jelenia, ten niepotrzebnie przyjął, zamiast grać na jeden kontakt.

Osiem sekund.

Mieli zbyt mało czasu, by bawić się w dryblingi, mimo to Jeleniewski zdecydował się kiwką próbować przejść obrońcę.

Pięć sekund.

Za mało, stanowczo za mało.

Adam posłał krótkie, paniczne spojrzenie w kierunku sędziego. Ten unosił już gwizdek i wydawało się, że nie zdąży mrugnąć, nim rozlegnie się dźwięk kończący spotkanie.

Akcja rozgrywała się na linii pola karnego Varsovii.

Nikt na stadionie nie siedział, wszyscy trwali w nerwowym wyczekiwaniu, jakby za trzy sekundy miało się rozstrzygnąć życie każdego ze zgromadzonych na trybunach kibiców.

Ben nie miał pojęcia, czy trwają w ciszy, czy zagrzewają ich do boju. Kompletnie się wyłączył, skupiając się jedynie na tym, że Jeleń tańczył z piłką w narożniku pola karnego.

Podaj, błagał go w myślach.

W końcu Jeleniewski jakby go usłyszał. Zrobił jeszcze jeden zwód, uniósł wzrok, a potem posłał dolną piłkę w kierunku Benhardta.

Adam znajdował się w polu karnym, mniej więcej trzynaście metrów od ustawionego w środku bramki golkipera Varsovii. Futbolówka szła szybko po ziemi, a on miał świadomość, że może bez trudu ją przyjąć.

Nie miał zamiaru jednak tego robić. Kątem oka zauważył Gregora i wiedział, że ten wypełni zadanie powierzone mu przez Krygiera.

Tak się stało. Kiedy Cymerman był już o krok od ponownego zablokowania Benhardta, Szpeja nagle pojawił się przed nim znikąd. Zatarasował mu drogę, grając na granicy faulu, a obrońca nie miał jak go minąć. Nie w porę.

Było kilka sekund po doliczonym czasie gry.

Ben wiedział, że ma tylko jedną, jedyną okazję.

Nie przyjął piłki, nawet jej nie dotknął. Pozwolił, by go minęła, a sam, zamiast ruszyć bezpośrednio za nią, wyrwał się nieznacznie w bok.

Nastąpiła sekunda konsternacji wśród broniących się warszawian. Część chciała ruszyć za piłką, część za piłkarzem. Jedni i drudzy wahali się o okamgnienie za późno.

Benhardt zaś nie.

Od początku wiedział, co zamierza zrobić. Zmyliwszy ruchem ciała przeciwników, obiegnął obrońcę i dopadł do zmierzającej ku bramce piłki.

Niemal w tym samym momencie wziął duży zamach prawą nogą. Potężnie uderzył futbolówkę zewnętrzną częścią stopy, podkręcając ją najmocniej, jak tylko potrafił.

Trybuny zamarły.

Piłka zmierzała wysoko ku lewemu słupkowi bramki. Wydawało się, że piłkarz starał się wycelować dokładnie w okienko, a bramkarz doskonale o tym wiedział. I był na to przygotowany.

W pewnym momencie jednak można było odnieść wrażenie, jakby jakiś mocny podmuch wiatru zmienił trajektorię lotu. W istocie panowała idealna flauta – i tylko dzięki temu Benhardt mógł oddać strzał, który planował.

Mocno rotowana futbolówka, zamiast w lewe okienko, zmierzała teraz w prawe, odchodząc od bramki.

Golkiper był na wyroku w przeciwnym kierunku. Stało się jasne, że jeśli tylko piłka trafi w światło bramki, nie będzie miał najmniejszych szans na obronę.

Ben wstrzymał oddech. I miał wrażenie, że wszyscy na stadionie robią to samo.

Jeśli nie podkręcił futbolówki za bardzo, uda się. Jeśli nadał jej zbyt dużą rotację odchodzącą i uderzył z nadmierną siłą, trafi w słupek lub nawet go minie.

Wszystko zdawało się zatrzymać. Ruch powietrza, czas, bicie serc.

I tylko oczy każdej pojedynczej osoby na stadionie poruszały się za piłką. Ta w końcu zbliżyła się do słupka.

Benhardt miał ochotę zamknąć powieki, widząc, że weń uderza.

– Nie... – jęknął.

Nie mogli stracić tego zwycięstwa przez kilka milimetrów. Nie, Boże, nie.

Futbolówka odbiła się o słupek i poszybowała w kierunku przeciwległego.

Bramkarz nie wiedział, co robić. Nikt nie zdążył zareagować.

Wciąż wydawało się, że istnieje szansa pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, że piłka znajdzie się za linią bramkową. Kiedy jednak była parę centymetrów od przeciwległego słupka, Adam zrozumiał, że się od niego nie odbije.

Wpadła prosto w boczną siatkę.

Stadion w jednej sekundzie zmienił się z zatopionego w bezruchu monumentu w wypełniony życiem festyn. Pomarańczowo-białe szaliki wystrzeliły w górę, kilkadziesiąt tysięcy gardeł odezwało się w bezbrzeżnej euforii.

Ben obrócił się w kierunku ławki trenerskiej, starając się złowić wzrok Kali, zanim rzucą się na niego koledzy.

Udało mu się trafić na jej spojrzenie. Jako jedyna nie wyskoczyła na murawę, zachowywała spokój. I zamiast przytrzymać wzrok Adama, skierowała oczy ku górze.

Uśmiechnął się, doskonale rozumiejąc.

Uniósł głowę w stronę nieba, a potem powoli przyłożył otwartą dłoń do skroni.

Kiedy dopadli do niego inni zawodnicy, natychmiast pomiarkowali, co się dzieje. Nikt na niego nie skoczył, nikt go nie staranował. Zamiast tego zaczęli ustawiać się obok niego w długim szeregu.

Potem w jednym momencie wykonali ten sam gest ku niebu.

Wszystko działo się przy akompaniamencie dzikich okrzyków, co tylko wzmacniało obrazek, który Gaudi musiał teraz oglądać na ekranie telewizora w szatni. Ben zerknął na stojącego obok Gregora, a ten na moment się do niego obrócił i skinął głową.

Adam mógłby przysiąc, że widział w jego oczach łzy. A także gotowość, by przyciągnąć do siebie człowieka, którego bodaj po raz pierwszy mógłby z czystym sumieniem nazwać kolegą z zespołu.

Nagle jednak wyraz jego twarzy zupełnie się zmienił.

Benhardt rozejrzał się niepewnie, nie mając pojęcia, co spowodowało taką reakcję. Szpeja wyglądał bowiem, jakby wydarzyła się jakaś tragedia.

– Co...

– Popatrz – rzucił nerwowo Gregor, wskazując ręką skraj pola karnego.

Tuż przy nim stał sędzia otoczony przez zawodników Varsovii. Unosili ręce i nieustannie zbliżali się do arbitra, jakby każdy miał mu coś do powiedzenia.

Piłkarze Rewery powoli opuścili dłonie.

– Co jest, do chuja? – rzucił Sandauer.

– O co im chodzi? – dodał ktoś inny.

Ben zerknął na Gregora. Obaj doskonale wiedzieli, co się dzieje.

Zamiast paść bezsilnie na murawę i chować twarz w dłoniach, przeciwnicy postanowili walczyć o unieważnienie strzelonego gola. Sędzia zaś sprawiał wrażenie, jakby miał zamiar rozpatrzyć protesty.

– Zaraz... – jęknął Oleo. – Co oni, kurwa, próbują zrobić?

– Dowieść faulu – odezwał się Szpeja.

Bramkarz popatrzył na niego początkowo z konsternacją graniczącą z rozbawieniem. Potem jednak w jego oczach pojawiła się realna obawa.

– Że co? – rzucił.

– Będą starali się przekonać sędziego, że popchnąłem Cymermana bez piłki.

– Ale...

Oleo nie dokończył, bo Gregor i Benhardt w jednym momencie ruszyli w kierunku sędziego. Reszta zespołu przysłała im w sukurs i po chwili arbiter był już otoczony szczelnym kordonem piłkarzy obydwu zespołów.

Rozległ się gwizdek, sędzia pokazał, by się odsunęli. Robiło się coraz bardziej gorąco, a on, sięgając do kieszonki, zasugerował, że zaraz zacznie rozdawać kartki. Zawodnicy zareagowali instynktownie, nieco spuszczać z tonu.

Sędzia umieścił gwizdek w ustach, a potem wykonał gest, którego Benhardt najbardziej się obawiał.

Narysował w powietrzu prostokąt, informując, że akcja zostanie poddana protokołowi VAR.

– Ni chuja... – jęknął Rebus.

Kilku zawodników zaczęło słowne przepychanki z przeciwnikami, Warski i Ben robili jednak wszystko, by nie doszło do żadnych rękoczynów.

Sędzia odsunął się nieco, przestawszy kontrolować sytuację na boisku i skupiając się na tym, co miał mu do przekazania asystent VAR. Arbiter przyciskał do ucha czarną słuchawkę, jakby dzięki temu mógł lepiej usłyszeć komunikat.

Wbijał wzrok gdzieś w trybuny, a jego niedowierzająca mina napełniała wszystkich zawodników i kibiców Rewery Opole skrajnym przerażeniem.

Zerknął w kierunku zawodników, potem skierował spojrzenie na bramkę Varsovii.

– Anuluje? – odezwał się ciężko Jeleń.

Nikt nie odpowiedział.

– Gregor? – dodał Jeleniewski.

– A skąd mam to, kurwa, wiedzieć?

– Sfaulowałeś go?

– Nie – odparł od razu Szpeja.

Każdy inny piłkarz na każdym innym kontynencie powiedziałby jednak to samo. I trzymałby się swojej wersji, nawet gdyby w trakcie weryfikacji wideo stało się oczywiste, że doszło do przewinienia.

– Jebany skurwysyn – rozległa się krótka ocena sytuacji zza pleców Benhardta.

Ten obrócił się i zobaczył, że Kala pojawiła się na murawie i łypała teraz na sędziego, jakby sama miała zamiar wytłumaczyć mu, jak duży błąd popełnia. Tuż obok stał jej ojciec, z nie mniejszą irytacją wypisaną na twarzy.

W jego oczach kołatało jednak coś, co Bena głęboko niepokoiło. Bezradność.

– Nie było żadnego faulu – dodała Kalina. – Gregor czysto go zastawił. To, że Cymerman zanurkował...

– Poczekajmy – uciał Witek.

Wszyscy skupili na nim uwagę, jakby to trener dysponował odpowiedzią, która miała wszystko przesądzić. Krygier patrzył jednak niepewnie na sędziego głównego, wciąż dyskutującego przez mikrofon z osobami siedzącymi przed monitorami w pokoju VAR.

W końcu pokręcił głową, wyraźnie zdenerwowany.

Na Boga, co taka reakcja mogła oznaczać?

Zanim Benhardt zdążył na dobre się zastanowić, arbiter zaczął truchtać ku linii bocznej. Dotarł do jednego z sędziów technicznych, a ten odsłonił niewielki ekran, na którym asystenci z pewnością wyświetlili kontrowersyjny moment.

Najwyraźniej był bardziej skomplikowany, niż sądzili, a arbiter musiał usłyszeć rekomendację, że najlepiej będzie, jeśli podejmie decyzję na podstawie analizy powtórki.

Adam przygryzł dolną wargę, starając się uspokoić oddech. Myślał o Gaudim, który zapewne siedział teraz całkowicie sam w szatni, wlepiając wzrok w transmisję na antenie NSI Sport.

Benhardt doskonale wiedział, co pokazują realizatorzy. Ekran z pewnością został podzielony na trzy części. Na jednej, największej, widniał obraz z murawy. Na drugim wyświetlano ten z pokoju VAR, a na trzecim sędziego, który analizował sytuację przy linii bocznej.

Na samym dole widniał podpis, który w tej chwili był jak zapowiedź wyroku śmierci.

„TRWA WERYFIKACJA WIDEO – VAR”.

Proces się przeciągał, a odpowiedzi brakowało. Sędzia mrużył oczy przy monitorze, osłaniając je ręką. W końcu naciągnął na głowę czarną płachtę, która wcześniej zasłaniała ekran, i znikł wszystkim z pola widzenia.

– Niech go chuj... – syknął Jeleń. – Długo będzie tak warował?

Benhardt miał wrażenie, że każda sekunda jest jak wieczność. Spojrzał na stojącą obok Kalę, a jego ręka lekko drgnęła w jej kierunku. Nie uszło to uwagi

dziewczyny, w żaden sposób jednak nie zareagowała.

Zaraz potem arbiter w końcu pozbył się zasłony i ruszył truchtem w kierunku linii środkowej. Znow oboma dłońmi zakreślił w powietrzu prostokąt.

Adam miał świadomość, że zaraz po tym wskaże, jaka jest jego decyzja.

Albo szybkim ruchem skrzyżuje i rozłoży ręce, sygnalizując, że nie ma bramki, albo wskaże środek boiska, by drużyna z Warszawy wznowiła grę po zdobyciu przez Rewerę gola na cztery do trzech.

Nie zrobił jednego ani drugiego.

Podniósł gwizdek do ust, a potem rozległ się dźwięk kończący spotkanie.

Bramka była ważna.

Rewera Opole wygrała.

Zawodnicy podnieśli dziki okrzyk, który natychmiast został przyćmiony przez eksplodującą radość na trybunach. Nikt w pomarańczowo-białych barwach na stadionie nie pozostał obojętny. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby właśnie zdobyli mistrzostwo świata.

Nagle Ben poczuł, jak ktoś mocno zaciska rękę na jego barku i obraca go do siebie. Zobaczył Gregora na moment przed tym, jak ten przyciągnął go do siebie i objął niczym młodszego brata.

Poklepywali się po plecach z nadmierną siłą, żaden z nich jednak nie robił tego świadomie. Kiedy się od siebie odsuwali, Szpeja poklepał jeszcze Benhardta po policzku, a potem przywalił mu pięścią w ramię.

Uśmiech na jego twarzy był jak niespotykana aberracja, a szczęście w oczach wydawało się pożyczone od kogoś innego – zupełnie niepasujące do Gregora, którego dotychczas Adam znał.

Ben na moment zatonął w objęciach pozostałych kolegów, a kiedy się wyswobodził, zobaczył stojącego obok Krygiera. On także wyglądał jak nie on. Głównie dlatego, że patrzył na swojego piłkarza ze łzami w oczach.

Uściskali się niczym dwóch bliskich członków rodziny, którzy nie widzieli się od lat i przez cały ten czas wszędzie się szukali. Benhardt na moment zamknął oczy, odnosząc wrażenie, że znikł ze stadionu. Trudno było mu zrozumieć uczucie, które w tym momencie go przepełniało.

– Dziękuję – odezwał się.

Witek nie odpowiedział, a Ben nie był pewien, czy to z powodu tego, że nie usłyszał, czy może nie wiedział, jak zareagować.

Przy wciąż wiwatujących wniebogłosy trybunach uściskał się z pozostałymi zawodnikami, także z Gaudim, który wrócił na boisko nie mniej poruszony niż

wszyscy inni członkowie zespołu.

Krygier wodził po nich wzrokiem, jakby nie dowierzał w zażyłość, którą sobie okazują. Jego wyraz twarzy dobitnie świadczył o tym, że tylko jedna myśl krążyła mu w głowie.

Dziś stali się rodziną.

Celebracja trwała w najlepsze, kiedy nagle tumult na trybunach stał się jeszcze głośniejszy. Adam rozejrzał się niepewnie, spodziewając się, że coś się stało. Hałas jednak wywołany był wyłącznie bezbrzeżnym entuzjazmem.

– Co jest? – rzucił zdezorientowany Gaudi. – Strzeliliśmy jakiegoś dodatkowego gola?

Tylko jedna rzecz mogła tłumaczyć ten nagły wybuch hurraoptyzmu.

Wszyscy spojrzeli na Kalę, która tradycyjnie trzymała komórkę w ręku. Tym razem jednak nie filmowała trwającej fety, tylko skupiała się na ekranie. Kiedy podniosła wzrok i spojrzała na Benhardta, ten wiedział już, co wszyscy usłyszą.

– Bzura zremisowała we Wrocławiu jeden do jednego – oznajmiła. – A Unia przegrała z Gryfem Gliwice.

Adam poczuł, jak podnoszą mu się włoski na rękach.

– Mamy to... – powiedziała nieobecny, trzęsącym się głosem Kalina, jakby sama nie była w stanie w to uwierzyć. – Mamy... drugie miejsce.

Piłkarze milczeli. Nikt nie potrafił wydusić z siebie ani słowa.

Rewera Opole zakończyła sezon tuż za mistrzem Polski. Zakwalifikowała się do walki o najwyższe europejskie trofeum. Dokonała cudu i mogła liczyć na to, że w przyszłym sezonie uda się go nie tylko powtórzyć, ale też dołożyć do niego coś jeszcze.

Benhardt mógł zostać w klubie, Witek także nie musiał martwić się o to, że szefostwo będzie chciało zastąpić go nowym szkoleniowcem. Cały obecny skład, mocno zespolony nową więzią, będzie walczyć o to, by za kilka miesięcy zacząć pisać nową historię.

Przyszłość rysowała się w niesamowitych barwach.

Benowi wydawało się, że nic nie może pójść źle.

TERAZ SEZON 2022/2023

1

Carrer del Duc, Barcelona

Wyczarterowany lot, bezpośredni transport do hotelu, pięciogwiazdkowy standard i najwyższej klasy obsługa sprawiały, że Kala czuła się, jakby znalazła się w jakiejś alternatywnej rzeczywistości.

Przylecieli do Barcelony na koszt lokalnego klubu, dwa dni przed wyznaczonym terminem meczu. Nie spodziewano się wprawdzie, by bilety sprzedawały się na pniu, ale istniała szansa, że duża część miejsc będzie zajęta.

W ostatnich tygodniach w europejskiej prasie sportowej pojawiało się całkiem sporo artykułów na temat Rewery Opole i Bena. Polska zaś kompletnie zwariowała. W pierwszych dniach po meczu z Varsovią reweromania zdawała się ogarnąć pół kraju, a niektórzy podśmiewali się, że powinno się zmienić barwy biało-czerwone na pomarańczowo-białe.

W polskim topie na Spotify królował Warrior Scandalu, w mediach co rusz pojawiali się Witek, Ben albo Gaudi. Chodzili do śniadaniówek, występowali ze znanymi youtuberami na ich kanałach. HejtPark z udziałem Krygiera miał szansę pobić oglądalność tego, w którym wystąpiła Doda – choć do wyniku odcinka z Najmanem brakowało mu jeszcze sporo.

Pojawiały się propozycje kontraktów reklamowych, otwarcie mówiło się już o tym, że polski selekcjoner przy konstruowaniu kadry powinien rozważyć powołanie paru zawodników Rewery Opole.

Sprzedaż klubowych koszulek znów wystrzeliła, a Kalina, chodząc po ulicach Opola, miała wrażenie, jakby wszyscy nosili się na pomarańczowo. Nie tylko jej życie zmieniło się z dnia na dzień. Część piłkarzy nie mogła wyjść do sklepu, by nie zostać przez kogoś zatrzymana do zdjęcia lub uścisku dłoni.

Trwało prawdziwe szaleństwo, przy którym podróż do Barcelony okazała się wyczekiwany i niezbędnym głębokim oddechem.

W wieczór po przylocie Kala siedziała z ojcem w hotelowej restauracji na dachu budynku. Rozciągał się stąd widok na barcelońskie śródmieście, a największą uwagę przykuwały wybijające się ponad niską zabudowę wieże gotyckiej katedry.

Na stole między Kaliną a Witkiem leżały rozłożone foldery i przewodniki turystyczne. Tuż obok znajdował się plan na jutrzejszy dzień, który przygotowali dla nich gospodarze. To od przyjezdnych zależało jednak, które punkty programu zamierzają zrealizować.

– Na pewno La Rambla – odezwała się Kala. – Tam się rzekomo koncentruje całe barcelońskie życie.

– A nie turystyczne?

– Przekonamy się, jak pójdziemy.

Najruchliwsza ulica stolicy Katalonii wydawała się Kalinie obowiązkowym punktem programu. Szczególnie że w okolicy było mnóstwo rzeczy, które przy okazji mogłaby zobaczyć.

– Sam nie wiem...

– Czego nie wiesz? – rzuciła ostro.

Krygier przesunął wzrokiem po materiałach i westchnął.

– To wizytówka miasta – dodała Kala.

– Tak, ale...

– Co?

– Sporo tam barów i innych takich.

– No i?

– Wszyscy się porobią jak messerschmitty – odparł wprost. – W dodatku pewnie nietrudno tam o coś mocniejszego niż alkohol.

Miał stuprocentową rację, Kalina słyszała o tym, że wystarczy ruszyć Ramblą, a zaraz podchodzi do człowieka ktoś, kto ma coś do zaoferowania. Zasadniczo chyba nie było sensu, by planować to wyjście – większość piłkarzy ruszy tam jeszcze dziś wieczorem, hotel bowiem znajdował się jakieś dwie, trzy minuty od deptaka.

– To wprowadzisz zakaz picia – powiedziała Kalina.

– I co to da? Jesteśmy w Barcelonie, jest po sezonie. Naprawdę wydaje ci się, że...

– Właściwie to już rozpoczął się nowy sezon.

– Co? – mruknął Witek.

Kala odsunęła drinka, którego przed momentem zamówiła, i położyła ręce na stole.

– Formalnie rzecz biorąc, ten mecz z Barceloną trzeba będzie zapisać jako pierwsze spotkanie sezonu dwa tysiące dwadzieścia dwa, dwa tysiące dwadzieścia trzy. Tamten został zamknięty meczem z Varsovią, razem z rozgrywkami krajowymi.

Ojciec wydał usta i przewrócił kilka kartek przewodnika, który kupili w Empiku dzień przed wylotem.

– Mniejsza z tym – odparł. – Sagrada Família?

– Koniecznie. I wszystko inne, co Gaudí wybudował.

Witek uniósł brwi.

– Ten prawdziwy Gaudí – dodała. – Ten nasz raczej nie przyłożył ręki do architektury połowy Barcelony.

Gdyby miała tu więcej czasu, zobaczyłaby każdy element miasta zaprojektowany przez katalońskiego inżyniera. Barcelonetę i inne słynne plaże raczej by ominęła, ale nie opuściłaby dziwacznej świątyni Sagrada Família, osobliwego parku Güell czy szeregu budynków jak z pocztówek, w szczególności baśniowej Casa Batlló.

Ojciec miał rację, mówiąc, że trudno będzie utrzymać mu dyscyplinę w zespole. Wszyscy już niemal całkowicie zapomnieli, że przylecieli tutaj na mecz. Czuli się jak na długo wyczekiwanych i zasłużonych wakacjach.

Wynik zresztą nie miał wielkiego znaczenia, liczyło się jedynie to, ile osób przyjdzie. Dodatkową komplikacją stanowił fakt, że jutrzejszy dzień mogli w całości przeznaczyć na zwiedzanie.

Dziś więc należało spodziewać się solidnej popijawy. I Kala przypuszczała, że niektórzy piłkarze zaczęli już w momencie, kiedy dotarli do hotelu.

– A Montjuïc? – odezwał się ojciec, nie odrywając wzroku od folderów.

– Jestem za. Podobno z niego i Tibidabo jest niesamowity widok na całe miasto.

Krygier westchnął.

– Umiesz przecież w planowanie – dodała Kalina. – Na co dzień się tym zajmujesz.

– Ale na co dzień znam teren.

– Z tym też szybko się zaznajomisz – odparła. – Ewentualnie możesz zdać się na mnie.

Upiła margaritę i posłała ojcu pewny siebie uśmiech. Witek jeszcze przez moment skupiał się na materiałach turystycznych, zanim w końcu zrezygnowany przywołał kelnera i zamówił sobie lokalne piwo, estrellę.

– Zdałem się na ciebie też w innej kwestii – mruknął. – Jakież postępy?

– Mówisz o...

– O Majewskiej i jej kochanku.

Kala miała wybadać co i jak, zanim wylecą do Barcelony – ojciec bowiem chyba całkiem słusznie zakładał, że dojdzie do powtórki z Kłobina i tym razem wieść może się rozejść.

Zaznajomił ją ze szczegółami tamtego nocnego spotkania, nie powiedział jednak, którego z zawodników podejrzewa o romans z fizjoterapeutką. Właściwie nie musiał. Kalina jednak postanowiła podejść do sprawy bez apriorycznych założeń – wypytała panią Czesię, potem Gaudiego, ostatecznie wzięła na stronę też Jelenia.

Żadne z nich nic nie wiedziało, była tego pewna. Szczątkowe informacje udało jej się jednak zdobyć u najmniej spodziewanego źródła.

– Gregor twierdzi, że to już nieaktualne – powiedziała.

– Gregor?

– On jako jedyny w ogóle przyznał, że coś miało miejsce. Ale nie chciał zdradzić, o kogo chodzi.

Ojciec westchnął głęboko i przyglądał lekko wąsy.

– Mówi, że romans był dość gorący, a jeden z piłkarzy kompletnie stracił dla Sylwii głowę – kontynuowała Kalina. – Problem w tym, że tego nie odwzajemniała. Traktowała to tylko jako... no, sam rozumiesz.

– Rozumiem.

Nie mówiła tego lekkim tonem, zakładała bowiem, że może chodzić o Bena. A ostatnim, czego w ten chwili potrzebował, był niespodziewany koszt od wybranki serca.

– Mniejsza z tym – odparł Witek i machnął ręką. – Przy dzisiejszej popijawie tak czy inaczej coś wyjdzie. Miej uszy otwarte.

– Jasne.

Nie kontynuowali tematu, bo zasadniczo nie był tak istotny.

Podczas gdy Kala rozważała kolejne cele na jutro, Krygier trwał w bezruchu, ze wzrokiem wbitym w widoczne w oddali nabrzeżne wieżowce i diabelski młyn. Dopiero po chwili dziewczyna zreflektowała się, że Witek odpłynął myślami.

– Potem poszliśmy do szatni – rzuciła. – I właśnie tam straciłam z nim dziewictwo.

– Mhm...

– Nie zdążyliśmy się nawet zabezpieczyć.

Krygier kiwał głową, sunąc zamglonym wzrokiem po horyzoncie.

– Dziecko zamierzam urodzić – dodała Kalina.

Dopiero to przyniosło zamierzony efekt. Witek ocknął się i zamrugał z niedowierzaniem, serwując córce jedno ze swoich najbardziej krytycznych spojrzeń.

– Nienormalna jesteś? – rzucił.

– Mam to po ojcu.

– Nawet w żartach nie powinnaś...

– Zamiast się obruszać, powiedz lepiej, co cię tak pochłonęło.

Ojciec ściągnął szron z kufła, przesunął go po blacie, a potem upił nieco piwa. Wyglądał na zdenerwowanego, co Kala rzadko obserwowała. Nawet przed ważnymi meczami wyraźnie się nie stresował, a przynajmniej nie sprawiał takiego wrażenia.

– O co chodzi? – dodała z pewnym niepokojem.

– O to, gdzie jesteśmy.

Dopiero teraz naszło ją, o czym myślał. Powoli zaczynał traktować Bena niemal jak syna, a właściwie być może robił to już od samego początku. Musiał się zastanawiać, jak Adam znosi wizytę w mieście, gdzie ojciec zamordował jego matkę, a potem odebrał sobie życie.

– Z Benem wszystko okej – odezwała się Kalina. – Nie zauważyłam, żeby miał jakieś...

– Miej na niego oko.

– Jasne.

Najwyraźniej ojciec nie planował o tym rozmawiać, a Kala nie sądziła, że powinna ciągnąć go za język w tym temacie. I bez tego miała zamiar bacznie obserwować, czy z Adamem wszystko w porządku.

W trakcie podróży nie wspominał o niczym, co wiązałoby się z jego przeszłością. Na miejscu nie próbował dowiadywać się, gdzie i co się wydarzyło, choć miał ku temu sposobność, rozmawiając z przedstawicielami barcelońskiego klubu.

Z pewnością jednak ani na moment nie zapominał o matce ani ojcu. Szczególnie że o tym drugim przypomniła mu koszulka z numerem piętnastym, którą otrzymał na powitanie.

Był to autentyczny trykot jego ojca w barwach drużyny z Katalonii.

Zostało ich kilka w klubowym muzeum i najwyraźniej nikt nie wyobrażał sobie, by syn Żerskiego opuścił Barcelonę bez takiego upominku. Adam przyjął go z uśmiechem, Kala jednak odniosła wrażenie, jakby poraził go piorun.

Podniosła telefon, by sprawdzić, która godzina. Piłkarze pewnie już się rozpakowali i zaraz zejdą do hotelowego lobby, by wypuścić się na Ramblę. Powinna tam być, jeśli rzeczywiście chciała mieć Benhardta na oku.

– To wszystko jest dość nierealne – odezwał się nagle ojciec, przywracając ją do tego, co tu i teraz.

– Hm? – mruknęła.

Witek rozłożył ręce.

– To, że tu siedzimy. To, że zajęliśmy drugie miejsce w lidze. I to, że wynurzymy się z długów i wejdziemy w nowy sezon jako jeden z faworytów do mistrzostwa.

Kalina uśmiechnęła się, podniosła szklankę i stuknęła nią o kufel z piwem. Ona również z trudem potrafiła uwierzyć w to, jaką drogę przeszli. Wydawało się, że jeszcze przed momentem ojciec obejmował zespół, który praktycznie nie istniał.

Naprawdę szukał zawodników, byleby tylko mieć ich regulaminową liczbę i móc uczestniczyć w rozgrywkach. Nie mógł przebić się przez ich żalobne nastroje, nie udawało mu się wtłoczyć w nich wiary w siebie. Przegrywał mecz za meczem, miał zostać zwolniony, a potem stracić swojego najlepszego gracza.

W porównaniu z miejscem, z którego startował, to, w którym obecnie się znajdował, rzeczywiście było nierealne. A przed nim rysowała się przyszłość jeszcze większa.

– Unia Kraków zaproponowała mi objęcie drużyny – odezwał się ni stąd, ni zowąd.

Kala odstawiła szklankę.

– Poważnie? – spytała.

– Najwyraźniej zarząd nie był przesadnie zadowolony, że w ostatniej kolejce drużyna wypadła z kwalifikacji do Pucharu Mistrzów. Cały sezon nastawiali się na udział w czołowych rozgrywkach europejskich, w dodatku sama widziałaś, co działo się w mediach. Te wszystkie spekulacje, że wreszcie ktoś ma szansę na fazę grupową, i tak dalej...

– I co im powiedziałaś?

– Że trzeba było lepiej grać – odparł Witek. – I że jak chcą, to mogę im oddać mojego asystenta, bo sam nie mam zamiaru ruszać się z Opola.

Kalina zaśmiała się cicho, ale momentalnie spoważniała, uzmysławiając sobie, dlaczego ojciec w ogóle porusza ten temat. Najchętniej pociągnęłaby jeszcze łyk margarity, niespodziewanie jednak okazało się, że wypita już

swojego drinka. Na jednego Witek przymknął oko, ale na powtórkę z rozrywki raczej nie miała co liczyć.

– Rzecz w tym, że to nie jedyna propozycja, która padnie w czasie letniego okna transferowego – dodał Krygier.

– Masz na myśli...

– Moich piłkarzy – wyjaśnił, choć tak naprawdę oboje od początku wiedzieli, o kim mowa. – Jeśli inne kluby jeszcze nie zaczęły ich kusić, to zaraz to zrobią.

– I? – odparła nonszalancko Kala. – Rewera zaraz będzie miała fundusze, które pozwolą na przebicie większości tych ofert.

– Większości – przyznał Witek. – Ale nie wszystkich.

Adam był na celowniku niemal wszystkich dużych klubów – zagrał w jedenastu meczach, zdobywając w nich piętnaście bramek. Był to wynik dotychczas niespotykany, w dodatku sprawiający, że zajął pierwsze miejsce w klasyfikacji strzelców, ex aequo z brazylijskim napadziorem z Varsovii.

Żadna z tych rzeczy nie miała jednak znaczenia.

– Ben zostanie.

– O niego się nie martwię.

– A o kogo? – zapytała Kalina, sięgając po kufel.

Ojciec natychmiast umieścił go poza jej zasięgiem.

– Gaudi nie pójdzie nigdzie bez Bena – dodała. – A z pozostałymi spokojnie się dogadasz, mając w rękawie finansowego asa.

– Może.

– Na pewno – rzuciła z emfazą Kala. – Oni chcą grać w Rewerze, chcą grać z tobą. Stali się jednością i doskonale wiedzą, że to w niej tkwi siła.

Witek docenił przywołanie motta zespołu nikłym uśmiechem. Wyraźnie nie był jednak przekonany, że uda mu się zatrzymać wszystkich, a Kalina zaczęła się zastanawiać, czy jej pewność nie była na wyrost.

Pamiętała przecież, że jeszcze nie tak dawno rozmawiała z Adamem o lojalności względem klubowego logo na koszulce.

– To daleka przyszłość, zobaczymy – odezwał się po chwili ojciec. – Co z tą bliższą?

– Jak to co? Wygracie z Barceloną i pokażecie, że jesteście gotowi na udział w europejskich...

– Miałem na myśli jeszcze bliższą. Dzisiejszą.

Kalina wzruszyła ramionami i powiodła wzrokiem po pozostałych stolikach. Fakt, że próżno było szukać tu piłkarzy, dobitnie świadczył o tym, że albo zbierali się wspólnie do wyjścia, albo już ruszyli na Ramblę.

– Nie chodzi mi o zespół – dorzucił Krygier.

– A... aha.

– No właśnie. Więc jak sytuacja?

Kala nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć, mimo że doskonale zdawała sobie sprawę z tego, o co pyta ojciec. Właściwie przedziwne było, że wstrzymał się z tym tak długo.

Szczęśliwie miała chwilę do namysłu, bo kelner podszedł, by zabrać jej pustą szklankę. Zapytał, czy dziewczyna życzy sobie powtórkę, ale zanim Kalina zdążyła spróbować coś ugrać, Witek podziękował z nadmiernie uprzejmym uśmiechem.

Nie protestowała, uznając, że i tak zaraz nadrobi.

– Sytuacja... – zaczęła ostrożnie.

– Konkretnie to wydarzenie, które dziś będzie miało miejsce.

– Czyli?

Witek popatrzył na nią spode łba.

– Proszę cię, nie baw się w swoją matkę – mruknął.

– To znaczy?

– Nie wkurwiał mnie.

Kala pokręciła głową z niedowierzaniem, ale uznała, że najlepiej będzie nie komentować. Zresztą cokolwiek by powiedziała, ojciec i tak znajdzie sposób, by wrócić do tematu. Nie odpuści, dopóki nie wyciągnie z niej wszystkich szczegółów.

– O której macie się spotkać? – spytał.

– O dwudziestej.

– Gdzie?

– Nie twój interes.

Krygier przysunął się bliżej stołu i ułożył na nim ręce tak samo jak Kala.

– Tak się odzywasz do ojca? – spytał.

– A kto przed chwilą powiedział swojej córce, że go wkurwia zupełnie jak jej matka?

– Ja.

– No właśnie.

– Bo jestem z natury szczery – odparł Witek. – Wolałabyś, żebym mydlił ci oczy?

– Wolałabym, żebyś choć jeden raz postanowił aspirować do miana ojca miesiąca.

– Aspirowałem wielokrotnie – bąknął Krygier, a potem westchnął głęboko i przysunął córce kufel.

Skorzystała skwapliwie, upijając znacznie więcej, niż w istocie chciała. Kiedy oddała ojcu resztkę piwa, ten świdrował ją wzrokiem, domagając się odpowiedzi.

– Okej, okej – rzuciła pod nosem, wyciągając telefon. – Nie wiem, co to konkretnie za miejsce, Obi wybierał.

Sprawdziła pinezkę na Google Maps, którą jej wysłał. Znajdowała się stosunkowo niedaleko hotelu, w jednej z bocznych uliczek Rambli.

– Jakiś irlandzki pub – oznajmiła Kala.

– Ma zamiar zabrać cię do pubu? Irlandzkiego? W Barcelonie?

– Puby zazwyczaj są irlandzkie.

– Może, ale...

– Zresztą pewnie strzelimy tam tylko piwko na rozgrzewkę, a potem pójdziemy gdzieś na Ramblę.

Krygier przez moment się namyślał, zupełnie jakby budował taktykę na mecz z wyjątkowo trudnym przeciwnikiem.

– Co to za pub?

– Piłkarski. Pewnie dlatego go wybrał.

– A coś więcej?

Kalina wzruszyła ramionami.

– Jak się nazywa?

– A co?

– Nic. Tak pytam.

– Żeby tam przyjść?

– Nie. Nie będę przecież...

– My Bar – ucięła Kala, wychodząc z założenia, że taka informacja nieco uspokoi ojca, mimo że właściwie niewiele zmieniała.

– Jeśli mają tak pomysłowe menu, jak nazwę, to nie poszalejesz.

– Nie idę tam jeść.

Witek otworzył usta, ale się nie odezwał.

– Daleko to stąd? – spytał. – Może jednak bym cię...

– Siedem minut na piechotę. I z całą pewnością mnie nie odprowadzisz.

– Sprawdziłbym przynajmniej, czy to nie jakiś morderca.

Ojciec napił się piwa, a Kalina przechyliła głowę na bok.

– I jak byś to ustalił? – zapytała. – Oni zazwyczaj potrafią dość dobrze się kamuflować.

Skrzywił się, jakby była to ostatnia rzecz, którą chciałby nawet w żartach poddawać dyskusji.

– Ale telefon masz mieć cały czas włączony – zastrzegł.

Kala uniosła brwi z niedowierzaniem.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz? – zapytała.

– He?

– Widziałeś kiedyś jakąś osobę z mojego pokolenia, która ma wyłączony?

Krygier zaśmiał się cicho i przyznał córce rację, kiwając głową. Potem opróżnił kufel i szybkim ruchem odstawił go na stół. Powiódł wzrokiem po rozłożonych na nim dokumentach i westchnął z bólem, zupełnie jakby nie wiedział nawet, jak to wszystko pozbierać.

– Ale od razu uprzedzam, że jak będziesz dzwonił, nie odbiorę – dodała Kalina.

– Oczywiście, że odbierzesz.

– Nie.

– Tak. Gwarantuję ci to.

– A ja ci gwarantuję, że dzwonki będą wyciszone, więc możesz tarabanić do woli.

– Kala...

– Zezwalam na jednego kontrolnego esemesa – ucięła. – Sam sobie możesz wybrać porę.

Ojciec niechętnie się zgodził, nie miał bowiem wiele do gadania. Jeszcze przez chwilę kontynuowali temat spotkania, a Witek cały czas bacznie przyglądał się córce. Starła się ignorować jego badawcze spojrzenie, ale w końcu nie wytrzymała.

– No i o co ci chodzi? – rzuciła ostro.

– O nic.

– To po co tak patrzysz, jakbyś chciał mi coś zarzucić?

– Nie chcę ci przecież niczego...

– Przygotowujesz się do pogadanki o zabezpieczeniu?

Oczy Krygiera natychmiast się rozszerzyły, a on sam nagle się wyprostował, jakby był gotów siłą wytłumaczyć każdemu przedstawicielowi płci męskiej w Katalonii, że powinien trzymać łapy z dala od jego córki.

Kalina szybko przyjęła minę niewiniątka.

– Spokojnie, mam zasady – oznajmiła.

– Lepiej, żebyś się ich trzymała.

– Bez trudu – odparła Kala z uśmiechem tak przewrotnym, że natychmiast wywołał zakłopotanie ojca. – Ale przydałaby mi się twoja pomoc.

– Co?

– Spokojnie, nie mam zamiaru angażować cię bezpośrednio.

Krygier tylko się skrzywił.

– Mógłbyś załatwić antykoncepcję? – rzuciła.

– Słucham?

– Im szybciej, tym lepiej. Nie zostało już wiele czasu, a my dość długo czekaliśmy.

Witek otworzył usta, ale jego twarz zastygła w wyrazie głębokiej, bolesnej bezradności. Kalina nie miała serca, by dłużej się nad nim pastwić. Podeszła do niego i poklepała go po plecach jak piłkarza, którego należy zagrzać przed meczem do walki.

– Idę się pomalować, pogadamy później – oznajmiła. – A ty zostaw już te bzdury i idź się rozerwać.

– Cóż...

– To nie jest rozrywka – wyjaśniła Kala, zataczając ręką krąg nad stołem. – Wiem, że masz taki feler psychiczny, który sprawia, że cały czas musisz coś planować albo się do czegoś przygotowywać, ale teraz możesz dać sobie trochę luzu.

Ojciec skinął głową na odczepnego.

– Mówię poważnie – zastrzegła. – Weź Hejnę i idźcie na nabrzeże.

– Co? Dlaczego ją?

– Bo z zupełnie niezrozumiałego powodu patrzy na ciebie tak, jakby chciała dać ci szansę.

Witek poruszył się nerwowo, przywodząc na myśl kogoś, kto właśnie zaczyna panicznie szukać drogi ucieczki, ale nie chce dać tego po sobie poznać. Skwitowawszy to uśmiechem, Kalina pochyliła się, pocałowała ojca w policzek, a potem skierowała się do pokoju.

Nieustannie kontrolowała czas, choć wiedziała, że do spotkania ma go jeszcze sporo. Zaczęła powoli się przygotowywać, zastanawiając, jak będzie wyglądała rozmowa z Obim. Zdalnie mogli przesiedzieć pół nocy i cały ranek, wciąż mając nowe tematy do poruszenia albo sytuacyjny żart do wykorzystania.

Czy na żywo będzie tak samo? Czy w ogóle powinna na to liczyć?

Nie, nie będzie się nastawiała. Lepiej dopuścić do siebie najgorszą możliwość i w razie czego przyjemnie się rozczarować niż odwrotnie.

Wyszykowała się kwadrans przed porą, o której powinna wyjść. Nie bardzo wiedziała, jak zagospodarować to piętnaście minut, a siedzenie w pokoju wydawało się niepotrzebnym babraniem się w myślach i katowaniem samej siebie.

Wróciła na dach hotelu, chcąc sprawdzić, czy ojciec wziął sobie jej radę do serca. Uwaga na temat Pauliny Hejny była nieco na wyrost, choć Kala faktycznie kilka razy wyłapała, jak dyrektorka sportowa ukradkiem zerka na Witka.

Może coś z tego będzie?

Jakie miasto, jeśli nie Barcelona, miało potencjał, by zmieniać ludzkie losy?

Z tą myślą weszła do restauracji i się rozejrzała. Ojca nigdzie nie było, stół dawno został uprzątnięty. Cały dach nieco się wyludnił, hotelowi goście z pewnością woleli spędzać wieczór w licznych barach, pubach i restauracjach w centrum.

Z jednym wyjątkiem.

Kala zobaczyła stojącego przy balustradzie samotnego mężczyznę. Dzięki temu, że był obrócony tyłem, mogła zobaczyć numer i nazwisko na barcelońskiej koszulce.

Przez moment po prostu patrzyła na piętnastkę. Skontrolowała czas i się zawahała. Miała jeszcze chwilę, mogła podejść do Bena.

2

Restauracja hotelowa, carrer del Duc

Benhardt najpierw poczuł perfumy, a dopiero potem usłyszał kroki. Doskonale wiedział, do kogo należą jedne i drugie, zupełnie jakby spędził z tą osobą tyle czasu, by rozpoznawać ją po najmniejszych rzeczach.

– Nie masz lepszych miejsc do zwiedzania? – zapytał, nie odwracając się.

Kala stanęła obok niego przy barierce, po czym oboje przelotnie na siebie spojrzeli.

– Skąd wiedziałeś, że to ja? – odparła.

– Głośno tupiesz.

– Bo twardo stąпам po ziemi.

Adam wbił wzrok przed siebie, sunąc nim po dachach niskiej barcelońskiej zabudowy aż do miejsca w oddali, gdzie zaczynały się wieżowce.

– I czemu przystąpiłaś akurat tutaj? – rzucił.

– Sprawdzam, czy ojciec nie pracuje.

Ben obejrzał się przez ramię.

– Był tu przed chwilą – oznajmił. – Ale poszedł gdzieś z Hieną.

– Poważnie?

– Mhm. Na twoim miejscu spodziewałbym się powiększenia rodziny. No i nowej matki w komplecie.

Kalina przesunęła dłonią po barierce, a potem otrzepała ręce poza nią.

– Jedna mi w zupełności wystarczy – odparła. – A ty co tutaj robisz?

– Stoję.

– Coś poza tym?

– Patrzę.

– To fascynujące – odparła Kala. – Cieszę się, że zapytałam.

Zaśmiał się cicho, a potem westchnął i się odwrócił. Oparł się o barierkę i tym razem otaksował uważnie pustą restaurację. Kalina zrobiła to samo i oboje na moment zamilkli.

Kiedy Benhardt wreszcie na nią zerknął, coś ścisnęło go w klatce piersiowej. Kala wyglądała tak jak zawsze, a jednocześnie zupełnie inaczej. Nie chodziło nawet o to, że się wystroiła na wyjście – ale o to, że zrobiła to dla kogoś.

– W miarę dobrze się prezentujesz – ocenił.

– O, naprawdę? To wyjątkowy, kurwa, komplement.

– No wiesz...

Uniosła otwartą dłoń, sugerując, że cokolwiek doda, może tylko pogorszyć sprawę.

– Chciałem po prostu...

– Powiedzieć, że normalnie wyglądam gorzej.

Ben cicho chrząknął.

– Widuję cię w różnych sytuacjach – odparł.

– Gwarantuję ci, że w nie tak różnych, jak ja ciebie. Są w mojej pamięci obrazy, których nigdy się nie pozbędę.

– Bo nie chcesz.

Przekrzywiła głowę na bok i spojrzała na niego jak na nieprzesadnie mądre dziecko, które jest jeszcze zbyt małe, by cokolwiek mu wytłumaczyć. Adam powstrzymał lekki uśmiech, próbujący zagościć na jego twarzy.

– To gdzie idziesz? – zapytał.

– Na piwo.

– Z kim?

– A co? – odparła ostrzej. – Trafiłam do jakiegoś teleturnieju na hotelowym dachu?

– Po prostu pytam.

– A ja po prostu nie odpowiadam.

– Okej.

– Okej – odparła.

Adam złapał za balustradę, a potem rozsunął lekko ręce. Przypadkowo dotknął ramieniem ciała Kali, ale nie wycofał się. Zresztą sprawiała wrażenie, jakby tego nie odnotowała. Przez moment trwali w bezruchu, który przerwała dziewczyna, sprawdzając zegarek.

– Randka? – spróbował jeszcze raz Benhardt.

– Można tak to nazwać.

Sam zerknął na zegarek. Dwadzieścia minut do pełnej godziny.

– Czyli... czekaj, niech zgadnę... – podjął. – Wyszukowałam się stanowczo za wcześnie, a potem nie wiedziałam, co ze sobą zrobić, i nie chciałam siedzieć sama w pokoju ze swoim stresem, więc znalazłam kogoś, kto zajmie ci... ile? Całe te dwadzieścia minut? Czy musisz jeszcze gdzieś dojść?

– Dojdę już w trakcie randki.

Ben parsknął i pokręcił głową.

– Optymistyczne założenie – ocenił.

– To zależy, z kim się spotykasz.

– A ty? Z kim?

– Z cudownym facetem – odparła Kala, nie patrząc na Benhardta. – Tyle niech ci wystarczy.

– To ktoś od nas?

– A umknął ci moment, kiedy mówiłam, że tyle ma ci wystarczyć?

– Któryś z piłkarzy?

Kalina bezradnie rozłożyła ręce i tym razem to ona trąciła jego ramię. Ich wzrok w jednym momencie uciekł w to samo miejsce, gdzie doszło do przypadkowego kontaktu.

Przypadkowego? Nie, oboje przecież zdawali sobie sprawę, że taki nie był.

– Gaudi? – podsunął Adam.

– To akurat ostatnia osoba, którą...

– Nie – uciał. – On by mi powiedział. Może w takim razie Gregor?

– Może.

– Nie, nie jest w twoim typie.

– O – odparła pod nosem Kala. – A ja mam jakiś typ?

– Oczywiście.

– Jaki?

Benhardt uśmiechnął się niewinnie.

– Nie schlebiaj sobie – rzuciła.

– Nie muszę. Robisz to, patrząc na mnie w ten swój określony sposób.

– Czyli niby jaki?

– Z pożądaniem, pragnieniem i głodem.

– Spierdalaj.

Oboje się uśmiechnęli, wciąż wpatrując się przed siebie, zupełnie jakby pusta restauracja była najciekawszym widokiem, jaki kiedykolwiek oglądali. Minęła jeszcze chwila, a Ben uświadomił sobie, że rozmówczyni z pewnością powinna już wychodzić. Kolejne nerwowe zerknięcie na zegarek zdawało się to potwierdzać.

– Chyba już na ciebie pora – zauważył.

– Fakt. I tak balansuję na granicy spóźnienia.

– To leć i baw się dobrze – odparł Ben, puszczając balustradę. – Byle nie za dobrze.

– Akurat tego nie mogę ci obiecać.

Skinął głową z pokorą, jakby nie chciał uzurpować sobie prawa do czegokolwiek, co wykraczałoby poza czysto koleżeńskie relacje.

– Uważaj na siebie – rzucił i ruszył w kierunku jednego ze stolików.

– Ben...

Zatrzymał się w pół kroku i szybko odwrócił.

– No?

Czekał na odpowiedź, ale dziewczyna najwyraźniej nie była pewna, jakiej powinna udzielić. Wahała się, a on wiedział, że jednym zdaniem, może nawet jednym słowem, zdołałby jej pomóc. Wydawało się to jednak mocno niewłaściwe i amoralne.

Mimo to zdecydował się postawić ten krok.

– Zastanawiasz się? – spytał.

– Co? Nad czym?

– Nad tym, czy nie wolisz zostać tutaj ze mną?

Było już za późno, by wycofał te słowa. Zresztą nawet gdyby mógł, prawdopodobnie by tego nie zrobił. Wszystko, co działo się wcześniej, doprowadziło ich do tego konkretnego momentu.

Kala przez chwilę patrzyła na niego nieruchomymi oczami i wydawała się przyciągana do niego jakąś przemożną siłą, której się opierała.

W końcu zamrugła i odwróciła wzrok.

– O czym ty mówisz? – rzuciła.

– O tym, że tutaj też można urządzić całkiem romantyczną kolację.

Powiódł wzrokiem po powoli okrywanej zmrokiem panoramie i wzruszył ramionami, jakby rzucił tylko całkowicie niewinne spostrzeżenie.

– Chyba sobie żartujesz...

– Nie.

Kala odsunęła się nieznacznie od balustrady i przez moment Benowi wydawało się, że ruszy w jego kierunku.

– Pojebało cię? – rzuciła.

Mimowolnie uniósł brwi.

– Minutę przed tym, jak idę na randkę, rzucasz mi coś takiego?

– Ale...

– Naprawdę nie mogłeś, kurwa, wcześniej?

– Tylko że...

– Do chuja wafla – syknęła i nerwowo się obróciła.

Przez moment Adam patrzył na jej plecy, zastanawiając się, czy to preludium do czegoś dobrego, czy wprost przeciwnie – tykanie bomby, która za moment ma eksplodować mu prosto w twarz.

Uznał, że najlepiej będzie, jeśli poczeka w milczeniu.

– Chyba jesteś nienormalny – mruknęła Kala, rozkładając bezradnie ręce w kierunku zabudowań mieszkalnych poniżej, jakby chciała zaapelować o wsparcie wszystkich tamtejszych lokatorów. – Nie mogłeś tydzień temu? Wczoraj? Chociażby w drodze tutaj? Nie, oczywiście, że nie mogłeś. Bo sam nie wiedziałeś, czego chcesz. A teraz dowiedziałeś się nagle, że...

– Kala...

– Dowiedziałeś się, że z kimś wychodzę, i włączyła ci się zazdrość – dokończyła, odwracając się w jego kierunku.

Machinalnie cofnęła głowę, wyraźnie nie spodziewając się tego, że Benhardt skróci dzielący ich dystans. Stał teraz na wyciągnięcie ręki od niej.

– To wyjątkowe świństwo – rzuciła, patrząc mu prosto w oczy.

– Wiem.

– I nie powinienes tego robić, rozumiesz?

– Tak.

Miał wrażenie, że nic nie powstrzyma ich przed tym, by się do siebie zbliżyć. Właśnie to mówiły mu jej oczy. Nie, nie mówiły. Krzyczały do niego i zabiegały o to, by ujął jej dłonie, a potem przyciągnął ją do siebie.

Mimo to Kala odwróciła wzrok.

– To nie w porządku – powiedziała. – Jestem...

– No?

– Umawiałam się z nim na to spotkanie od miesiący.

Ben pokiwał głową w milczeniu.

– Nie mogę tak po prostu...

– Jasne. Rozumiem.

Fakt, że to powiedział, sprawił, iż jej oczy zapłonęły jeszcze bardziej. Kalina zacisnęła mocno powieki, jakby dzięki temu udało jej się powstrzymać buzujące w niej emocje. Oddychała nierówno, a podłużne linie na jej czole sprawiały wrażenie, jakby odczuwała wyjątkowy ból.

Nagle otworzyła oczy i zrobiła krok przed siebie.

Zamiast jednak znaleźć się tuż przed Adamem, skrzyła w stronę wyjścia. Ben dotknął delikatnie jej ręki, jakby chciał za nią złapać, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Ich ręce stykały się przez krótki moment, kiedy odchodziła.

Wszystko to trwało jedynie sekundę. Nie wymienili żadnych słów, nie spojrzeli już na siebie, zanim Kala opuściła restaurację. Nie musieli tego robić, wszystko było całkowicie jasne.

Ben stał jeszcze przez moment w milczeniu. Potem wrócił na poprzednie miejsce, oparł się o balustradę i powiódł wzrokiem po horyzoncie.

Poczuł, jak uśmiech powoli rysuje się na jego twarzy.

Niesamowite.

Odczekał jeszcze moment, po czym ruszył w kierunku wyjścia. Zjechał windą na dół i kiedy znalazł się na carrer del Duc, rozłożył szeroko ręce, wciągając powietrze głęboko do płuc.

Boże, naprawdę nie wierzył w to, co się działo.

Obrócił się w lewo i ruszył przed siebie powolnym krokiem. Musiał się uspokoić, spowolnić nieco bicie serca. Krótki spacer pomoże, mimo że w upalnym powietrzu trudno było szukać rzeźkości. Miasto jeszcze nie odetchnęło po całodziennym upale, chłodniejsza bryza znad morza jeszcze nie dotarła do niedawno przepelnionych ukropem niewielkich uliczek.

Ben przeszedł la Ramblą w kierunku nabrzeża, a kiedy dotarł do skrzyżowania z carrer de Ferran, skrzył w lewo.

Droga była nieco okrężna, ale trudno. Nie musiał się spieszyć, nikt nie zajmie stolika, który zarezerwował na tę godzinę już jakiś czas temu.

Widział go już z oddali i dziwił się, że nikogo przy nim nie ma.

Usiadł w ogródku irlandzkiego pubu My Bar i czekał na Kalinę.

3

My Bar, carrer del Ferran

Minęło piętnaście minut, a Kali nadal nie było. Co się działo? Wyszła przecież chwilę wcześniej i z pewnością nie obrała okężnej drogi. Musiała dotrzeć tu przed nim, ale nawet kiedy zastała pusty stolik, nie mogło to niczego zmienić. Poczekaliby.

Rozmawiali od tyłu miesiący, zwierzali się sobie praktycznie ze wszystkiego.

A przynajmniej ona to robiła.

Benhardt mógł poruszać jedynie te tematy, które nie pojawiały się w ich rozmowach na żywo. Jedno niefortunne słowo, jedno przypadkowe zdanie, jeden fakt z życia mogłyby sprawić, że prawda wyszłaby na jaw.

Kiedy zakładał konto Obiego, nie zamierzał wchodzić z Kaliną w żadne interakcje.

Zrobił to jedynie po to, by obserwować jej profil na Instagramie bez narażania się na to, że się zorientuje. Wtedy wydawało się to całkiem logiczne, bo zaczęła zwracać uwagę nawet na to, że wyświetla jej relację.

Nie było w tym nic złego. I tak przecież nigdy nie wymieni z nią żadnej wiadomości.

Potem jednak pozwolił sobie na jedną. I na drugą.

Był niemal stuprocentowo pewny, że Kalina go przejrzy. Wpisał przecież „Obi” w nazwie profilu, co dla wszystkich jego znajomych byłoby oczywiste. Ona jednak nie znała go wcześniej. Nie wiedziała, że mawiano na niego „Ben” już od podstawówki – i że kiedy tylko on i wszyscy koledzy zaczęli interesować się Gwiezdnymi wojnami, skojarzenie z tym imieniem mogło być tylko jedno.

Ksywka nie pochodziła od żadnego piłkarza, ale od postaci stworzonej przez George’a Lucasa. Od trzeciej, może czwartej klasy dla każdego chłopaka była synonimem określenia „Obi-Wan”. Nie trwało długo, nim więcej osób zaczęło mówić do niego per Obi niż per Ben. Ale żadna z nich nie miała kontaktu z Kaliną.

Nie przeszkadzało to jednak Adamowi w poddaniu się panice, kiedy tylko zaczęli ze sobą rozmawiać. Ledwo uświadomił sobie, że może wpaść, szybko

uzupełnił swój profil o zdjęcie znalezione w internecie. Przedstawiało odwróconego tyłem mężczyznę w koszulce Johna Mikela Obiego.

W momentach, kiedy mógł zastanowić się na spokojnie, nie sądził, by nazwa profilu mogła realnie go zdradzić. Było za to parę innych rzeczy, przez które zachodziło takie niebezpieczeństwo.

Kiedy wracał z Krygierem z Częstochowy do Opolą, zapomniał się. Powinęła mu się noga, a on przywołał coś, o czym wiedział Obi, a nie Ben. „Incydent miesięczkowy”. Witek był wyraźnie zdziwiony tym, że powiedziała mu o akcji z kupowaniem podpasek na zielonej szkole i wręczaniu ich w stołówce, nie ciągnął jednak tematu.

Od tamtej pory Benhardt zachowywał jeszcze większą czujność.

Nigdy nie planował, że będzie to trwało tak długo, skoro jednak już do tego doszło, wolał sam wyjawić Kali prawdę niż pozwolić, by dowiedziała się przypadkiem. Musiał wyjaśnić, musiał wytłumaczyć i nakreślić, jak w ogóle do tego doszło.

Początkowo ich wiadomości były niewinne, nie miały do niczego prowadzić, a on po kilku dniach chciał wyjawić, kim tak naprawdę jest. Nie zrobił tego jednak – i był to błąd, który ciągnął się za nim aż do teraz.

Próbował naprawić go kilkakrotnie, ale za każdym razem zjadał go strach. Przed jej reakcją, przed tym, co o nim pomyśli. Im więcej czasu mijało, tym większy się stawał.

Wydawało mu się, że w pewnym momencie obudził się w sytuacji zastanej. Sytuacji, z której nie istniało żadne dobre wyjście.

Z biegiem czasu Obi zaczął przydawać się coraz bardziej. Dzięki niemu Ben spędzał z Kalą coraz więcej czasu, a ich rozmowy stawały się znacznie głębsze. Z Adamem uciekała od poważniejszych tematów, bagatelizowała to, co było między nimi. Z Obim wprost przeciwnie.

O całej sprawie nie wiedział nikt. Nikt poza Radkiem Warskim.

Pech chciał, że po pewnym treningu kapitan zespołu dostrzegł, że Ben robi coś na komórce. Ustawił się za jego plecami, pewnie chciał wyciąć mu jakiś numer, jak to piłkarze w szatni.

Zamiast tego jednak mimowolnie podejrzwał konwersację na ekranie.

Benhardt właściwie nie miał się jak wyprzeć. Rzucił jedynie ogłędne wyjaśnienie, ale jeszcze tego samego dnia skoczył z Radkiem na piwo, w trakcie którego miał zamiar tylko powierzchownie mu wszystko nakreślić.

On pił sporo, kapitan zespołu wprost przeciwnie – twierdził, że alkohol źle na niego działa. Okoliczności były więc wybitnie sprzyjające temu, by Ben się

rozgadał i został wysłuchany. Przedstawił praktycznie wszystkie szczegóły.

Na Warskim nie zrobiło to większego wrażenia, powiedział jednak coś, co Adamowi mocno zapadło w pamięć.

– Stary, to idealna sytuacja – zaczął wtedy.

– Znaczy?

– Na naszym miejscu nigdy nie masz pewności, czy dziewczyna leci na ciebie, czy na twoją sławę albo pieniądze.

Mówił, jakby rzeczywiście mieli te rzeczy, ale Ben nie był w nastroju do konwersacji. Nie chciał zresztą ryzykować jakiegokolwiek różnicy zdań z Warskim, bo od tamtej pory sporo zależało od tego, czy będzie trzymał język za zębami.

– Jeśli zakocha się w Obim, to naprawdę zakocha się w tobie – powiedział wówczas kapitan. – Tylko w ten sposób będziesz miał pewność, że to ta jedyna.

W pierwszej chwili wydawało się to Benowi bezdennie idiotyczne. Od razu odrzucił całą tę narrację, w której Warski chciał umieścić Kalę i jego. Im więcej czasu jednak mijało, tym bardziej jego słowa wracały.

Słyszał ich echo nawet teraz, siedząc przy pustym stoliku w irlandzkim pubie.

„Jeśli zakocha się w Obim, to naprawdę zakocha się w tobie”.

Benhardt powiódł wzrokiem dookoła. Po Kalinie nie było śladu.

Zamówił jedno piwo, a potem kolejne. Wciąż nigdzie nie wypatrzył dziewczyny.

Czy to możliwe, żeby go wystawiła?

A może wróciła do hotelu i się minęli?

Może wybrała Bena?

Fakt, że ją do tego zachęcał, był teraz jak uporczywa fala gorąca, która oplata ciało i z którą nie sposób sobie poradzić. Z perspektywy nawet niewielkiego czasu wydawało się to jeszcze bardziej amoralne, wręcz odrażające. O czym on myślał? W jakiej sytuacji ją stawiał?

Prawda była taka, że serce działało wówczas za niego. I dawało mu pewność, że jeśli tylko Kalina by nie odeszła, powiedziałyby jej wszystko, od początku do końca. A potem liczyłyby na to, że mu wybaczy.

Powinien był zrobić to już dawno.

I wyjaśnić jej, że miał dla niej odpowiedź, kiedy w suchoborskim lesie zaczęła rysować przed nim wieloletnią przyszłość i zapytała, o czym marzy. Marzył o tym, by ta ziściła się z Kalą. Marzył o tym, żeby przeżyć z nią przyszłość.

Nie miał zamiaru pić więcej piwa, wieczór zdecydowanie się do tego nie nadawał. Zamówił kieliszek cavy, lokalnego wina musującego, a kiedy i ono nie okazało się wystarczające, poprosił o whisky.

Wciąż się rozglądał. Przez moment naszła go refleksja, że nawet gdyby Kala teraz się zjawiała, jest już tak wstawiony, że wieczór okaże się raczej tragedią niż czymkolwiek innym.

Zaraz jednak przytłumił tę świadomość kolejną szklanką whisky. Nie wybierając konkretnego rodzaju, poprosił po prostu o kolejną porcję. Pił szybciej i więcej, na nic nie zważając. Powinien coś zjeść, w trakcie podróży nawet nic nie przekąsił, a pusty żołądek z pewnością nie pomoże w przetrwaniu tego wieczoru.

Raz czy dwa podniósł telefon, by wysłać esemesa. Za każdym razem jednak odkładał to na później, uznając, że musi wlać w siebie jeszcze trochę alkoholu, by było łatwiej.

Po kilku minutach leżąca na stoliku komórka sama się rozświetliła. Ben potrzebował chwili, by wyostrzyć wzrok i sprawić, że literki na wyświetlaczu przestaną się rozmazywać.

Zobaczył napis „Sylwia” i przez moment nie mógł dopasować imienia do osoby. Dopiero potem dotarło do niego, że to Majewska.

Szybko odebrał, wychodząc z założenia, że fizjoterapeutka być może urządziła naprędce jakieś babskie wyjście, a Kala z jakiegoś powodu nie mogła odmówić.

– Tak? – rzucił.

W odpowiedzi Adam usłyszał przytłumioną muzykę i podniesione, niewyraźne głosy. Ten należący do Sylwii starał się przebić przez hałas, ale bezskutecznie.

– Halo? – dodał bełkotliwie Ben.

Odgłosy nieco cichły, w końcu całkowicie przebrzmiały.

– Już – rzuciła Majewska. – Jestem na zewnątrz.

– Ale...

– Słyszałeś coś z tego, co mówiłam?

– Nie – odparł Benhardt i pociągnął łyk whisky.

Powinien przystopować już jakiś czas temu. Teraz wydawało się jednak za późno. I naszło go przekonanie, że jakkolwiek wiele wypije, nie może być już gorzej.

Ta zgubna myśl popchnęła do tego, by jeszcze raz zamówić kieliszek cavy.

– Ech – rozległo się w słuchawce. – Pytałam, czemu cię tu nie ma, skoro Kala tu jest.

Adam nagle się ożywił.

– Tu? – spytał. – To znaczy?

– A, tak... jesteśmy w jakimś klubie.

– W jakim?

– Z resztą zespołu. Czemu cię tu nie ma?

– W jakim klubie jesteście?

Przez moment Ben miał wrażenie, że w tej rozmowie to on jest jedyną trzeźwą osobą. Sylwia mówiła niewyraźnie, ewidentnie gubiła wątki. Zaraz jednak naszło go przekonanie, że jest odwrotnie i że to on może uchodzić za znacznie mocniej wstawionego.

Potrząsnął głową, nie rozumiejąc własnych myśli. Nie pomogło, przeciwnie. Świat lekko mu zawirował i Benhardt nie wiedział nawet, co odpowiedziała Majewska. Podała jakąś nazwę, ale nic mu nie mówiła.

– Jesteś tam? – zapytała.

– Tak.

Po drugiej stronie zaległo milczenie. Chyba. Ben nie był pewien, czy nie padły jakieś słowa, które zniknęły gdzieś we mgle, która zaczynała go otaczać.

– Kala świetnie się bawi z Jeleniem – odezwała się Sylwia.

To usłyszał bardzo wyraźnie. Nie wiedział jednak, jaki jest kontekst.

Jak długo rozmawiali? Ile to już trwało?

I co on tu jeszcze robił?

Szybko podniósł się od stolika, zachwiał niepewnie i musiał złapać za oparcie krzesła. Odczekał chwilę.

– Idziesz tutaj? – dodała Majewska.

– Tak.

– Tylko spokojnie, nie chcemy, żeby...

– Jestem bardzo, kurwa, spokojny.

– Ben...

– Co on z nią robi?

– Ben...

Nie wiedział, ile razy ani w jakim celu to powtarzała. Opuścił komórkę i wszedł do środka, by zapłacić.

Potem nagle stał już na zewnątrz.

Nie miał pojęcia, jakim cudem udało mu się uregulować rachunek. Klepnął kieszeń i przekonał się, że schował do niej kartę debetową. Dobrze, można iść dalej.

Ale dokąd się właściwie kierował?

Uzmysłowił sobie, że nadal trzyma telefon w ręce, a połączenie jest aktywne. Przyłożył komórkę do ucha i wybełkotał coś na temat Jeleniewskiego. Jakieś słowa padły w odpowiedzi, ale też mu umknęły.

Potem nagle znalazł się pod hotelem.

Jakim cudem? Było niedaleko, ale...

– Chodź – rozległ się kobiecy głos z jego lewej.

Obejrzał się, świat znów zakręcił mu się przed oczami i mimo jego usilnych prób nie chciał się zatrzymać.

– Kala?

Dopiero kiedy postać się zbliżyła, rozpoznał Sylwię. Też lekko się kołysała i musiała wesprzeć się o ścianę budynku, by utrzymać równowagę. Pochyliła głowę i cicho się zaśmiała.

– Jeseś nawalona – ocenił z pijackim uśmiechem Ben.

Podniosła głowę i zakryła twarz dłońmi, choć nie było w tym geście nic, co sugerowałoby, że faktycznie jej wstyd.

– Popatrz na siebie – odparowała, a potem wskazała wejście do hotelu. – Chodź. Trzeba cię doprowadzić do jakiejś używalności, zanim...

Urwała, kiedy jej się odbiło. Potem poprowadziła go do środka, a jemu przeszło przez myśl, że fizjoterapeutka znajduje się jednak w nieco lepszym stanie niż on. Przynajmniej trzymała się jako tako na nogach.

On zaś chodził od ściany do ściany, gdy znaleźli się na korytarzu.

– Który masz numer pokoju? – spytała.

– Nie wiem.

Czy w ogóle to sprawdzał? Dostał klucz, potem poszedł...

Urwał tok myśli, kiedy uświadomił sobie, że stoją przed drzwiami. Świetnie, a więc jednak jakimś cudem udało mu się pokierować ją we właściwe miejsce.

Kiedy Sylwia wprowadziła go do środka, uświadomił sobie, że znalazł się w czyimś pokoju. Nie było tu żadnych jego rzeczy, układ mebli był inny.

Zdołał zrobić kilka kroków, zanim stracił równowagę. Majewska w ostatniej chwili starała się złapać go za rękę, ale efekt był tylko taki, że pociągnął ją za sobą. Upadli prosto na łóżko, śmiejąc się przy tym, jakby właśnie zrobili najbardziej zabawną rzecz na świecie.

Trwało to tylko chwilę.

Potem oboje nagle przestali się cieszyć. Sylwia leżała na nim, patrząc na niego w sposób, który wydawał mu się dość jednoznaczny. Przewrócił ją lekko na bok, ale nie odsunął jej od siebie. Wciąż utrzymywali kontakt wzrokowy,

kiedy zbliżyła się i go pocałowała. Smakowała jakimiś słodkimi drinkami, tyle Benhardt zdążył odnotować.

Zaraz potem jej ręce przesuwały się po jego ciele, a on rewanżował się podobnie. Ściągnął jej bluzkę, ona pozbyła się jego koszulki. Kiedy sięgnęła do spodni, na moment oboje zamarli.

Adam nie mógł skupić wzroku na tyle, by wyraźnie widzieć jej oczy. Dwoiły się i troiły, a on czuł, jakby miało być tylko gorzej. Był ledwo świadomy tego, co się działo, ona jednak też nie sprawiała wrażenia, jakby potrafiła kierować swoim zachowaniem.

Jezu, nie powinno go tu być. Co się w ogóle działo?

– Nie przyszła do Obiego – odezwała się nagle Sylwia.

– Co?

– Obi został wystawiony.

Mamrotała, ale Benowi wydawało się, że dobrze usłyszał. Tyle że to niemożliwe.

– O czym ty mówisz? – zdołał spytać.

– O tobie. To znaczy o nim... To znaczy jesteście jedną osobą, więc...

– Skąd o tym wiesz?

Majewska przesunęła dłonią po jego klatce piersiowej.

– A jak ci się wydaje?

Nawet kompletnie pijany i niemyślący racjonalnie umysł potrafił dodać dwa do dwóch. Najwyraźniej dowiedziała się od Radka Warskiego, nikt inny nie wiedział.

Ale on miał przecież zachować wszystko dla siebie i pod żadnym pozorem nikomu nie mówić.

Miała to być tajemnica szatni. Świętość.

Nie powiedział żadnemu z piłkarzy, tyle było pewne. Przecież któryś zaraz skorzystałby z okazji i w najlepsze dworowałby sobie z zakochanego Benhardta.

Ale Warski wyjawiał prawdę Sylwii. Dlaczego?

Zanim Ben zdążył zastanowić się nad odpowiedzią, Majewska znów się do niego przysunęła. Zaczęli się całować, a on pogubił się w pijackich myślach i nie potrafił odnaleźć drogi powrotnej.

Świat znów istniał jedynie w przeblyskach.

Adam na moment zamknął oczy, a kiedy je otworzył, Sylwia ściągała mu spodnie. Zaraz potem leżał na niej. Miał na sobie już tylko bokserki.

Potem nagle coś szarpnęło nim do tyłu. Jakaś przemożna, potworna siła porwała go do góry.

Sylwia krzyknęła, Ben nie rozumiał, co się dzieje.

Zanim się zorientował, ktoś uderzył go mocno w tył głowy. Padł na łóżko, niezdolny nawet do tego, żeby się obrócić. Tamta siła zrobiła to jednak za niego, a on nie czuł nawet, żeby jego ciało należało do niego.

Zdażył jedynie na moment otworzyć oczy.

Wystarczyło, by zobaczył nad sobą kapitana zespołu, Radka Warskiego.

Nie rozumiał, dlaczego tak zaciekle okłada go po twarzy. Nie wiedział, co się dzieje. Nie docierały do niego krzyki Sylwii i ledwo odnotował, że Warski na moment przerwał i uderzył także ją.

Na jego ubraniu było tyle krwi.

Skąd?

Nadal uderzał, a głowa Bena chodziła na lewo i prawo jak u szmacianej lalki. Cała biała koszula Warskiego zabarwiła się na czerwono.

Ostatnie zborne myśli pojawiały się w głowie Adama tylko na moment.

Majewska i Warski.

Kapitan nie pił alkoholu, bo źle na niego działał.

W klubie musiały być narkotyki.

Na boisku zawsze opanowany, poza nim bywał szalony.

Ben poczuł, że odpływa.

Nie uświadamiał sobie miejsca, w którym się znajdował. Nie miał pojęcia, że kolejne ciosy zaprowadziły go na skraj przepaści, a jeszcze jeden sprawi, że zniknie w niej bezpowrotnie.

Wtedy Warski na moment przerwał. Podniósł się, sapiąc głośno. Spojrzał na swoje ręce, potem na koszulę. Była cała we krwi.

Sylwia dopadła do niego, Radek jednak natychmiast mocno ją odepchnął. Uderzyła głową o ścianę, jej oczy nagle się zamknęły, a ona osunęła się na podłogę.

Benhardt próbował się podnieść, ale nawet zaczerpnięcie tchu zdawało się zdolnością, którą bezpowrotnie utracił.

Warski krzyknął coś, a potem znów rzucił się na Bena.

Jeden cios, drugi. Znów zaczynał okładać go, jakby nigdy nie miał zamiaru przestać.

Adam w duchu prosił go, by przestał. Nie rozumiał, dlaczego to robi. Wiedział jednak, że za moment będzie już za późno, by cokolwiek cofnąć.

Nie pamiętał swojej ostatniej myśli.

Nie widział, jak po chwili Warski staje na środku pokoju, przerażony i niedowierzający we wszystko, co się wydarzyło. Spojrzał na swoje dłonie, jakby nie należały do niego. Zaczął gorączkowo wycierać je o koszulę, a potem nagle się wzdrygnął.

Zrzucił ją z siebie, mając wrażenie, że materiał go parzy, po czym rozejrzał się panicznie jak ranne zwierzę.

W końcu sięgnął po jedyną niezakrwawioną część garderoby, która znajdowała się w pokoju Sylwii. Nie wiedział, co robić ani dokąd uciekać. Włożył barcelońską koszulkę z numerem piętnastym i wybiegł z hotelu.

Rozejrzał się panicznie.

Świat był nijaki, a godzina żadna.

POSŁOWIE

Nie ma drugiego takiego sportu jak piłka nożna. Żaden inny nie jest tak demokratyczny i dostępny dla każdego – wystarczy bowiem, by ktoś na podwórku miał piłkę, i nagle wszyscy z okolicy mogą brać udział w czymś, co natychmiast staje się magicznym, niewytłumaczalnie mistycznym przeżyciem dzielonym z innymi.

Żaden inny sport nie jest moim zdaniem tak zaskakujący, w żadnym innym nie dochodzi do tak nagłych zwrotów akcji. Czasem jedno nieudane rozegranie prowadzi do zdobycia gola przez drużynę przeciwną, przez co ci, którzy przed kilkudziesięcioma sekundami byli w euforii, leżą i płaczą na murawie.

I nikt temu płaczowi się nie dziwi. To także wydaje mi się niezwykle istotne i symptomatyczne. W jakim innym sporcie jedenastu facetów może bez obaw rozryczeć się na oczach kamer i czasem setek tysięcy widzów? I ani jedna z tych osób nie będzie twierdziła, że to nie wypada, nie przystoi et cetera?

To pokazuje, jak uniwersalnie zrozumiałe są emocje związane z futbolem. I jak naturalne jest dla wszystkich znajdowanie dla nich ujścia.

Jest w tym sporcie bowiem coś pierwotnego. Niektórzy mówią o nim jako o religii, inni rozpatrują go w kontekście plemienności. To drugie wydaje mi się tłumaczyć fenomen piłki nożnej lepiej. Kibicowanie jednemu zespołowi przywodzi przecież na myśl uczestnictwo całego plemienia w jakiejś formie polowania, zdaje się współczesnym odzwierciedleniem tego pierwotnego zaprogramowania, które kazało naszym przodkom łączyć się w grupy i walczyć – o terytorium, o jedzenie, o władzę.

Futbol daje też w moim przekonaniu największe katharsis ze wszystkich dziedzin sportowych. Wydaje mi się, że nie ma nic bardziej satysfakcjonującego od oglądania bramek. Niby tylko piłka wpada do siatki, a mimo to gole wypełniają w człowieku coś, dzięki czemu czuje się kompletny.

Break point zdobyty w tenisie, nawet po pięknej wymianie, nie ma takiego efektu. Rzut za trzy punkty albo efektowny wsad w koszykówce? Też nie to samo. Nawet krążek hokejowy lub gol w piłce ręcznej nie mogą równać się

z satysfakcją, jaką daje podkrecona piłka z wolnego, która mija mur obrońców, unika wykonującego robinsonadę bramkarza i wpada prosto w okienko.

Każdy z nas ma w pamięci konkretne momenty z poszczególnych meczów, gdy najpełniej odczuł tę sportową rozkosz. I jest ich w kibicowskim życiu całkiem sporo.

Moje pierwsze wspomnienie jako kibica pochodzi z początku lat dziewięćdziesiątych. Nie pamiętam, który konkretnie był rok ani kto grał – pamiętam za to doskonale, że był to pierwszy mecz, który od początku do końca oglądałem z moim tatą. Jak dziś pamiętam jego skupiony wzrok, niemal przylepiony do kineskopowego telewizora, i patetyczny głos komentatora, który tworzył wyjątkowo podniosłą atmosferę czegoś wiekopomnego. Mieszkaliśmy wtedy na opolskim blokowisku, ZWM-ie, a ja siedziałem przed telewizorem, czując się, jakbym właśnie przeżywał plemienną inicjację do świata dotychczas zastrzeżonego dla dorosłych mężczyzn.

Wiem też, że na wstępie zadałem pytanie o to, czy „kibicujemy tym w czerwonych”. Odpowiedź brzmiała pozytywnie, przypuszczam więc, że musiała grać reprezentacja. Byłem wtedy w wieku przedszkolnym, a więc musiał być to okres, kiedy nasi radzili sobie – lekko mówiąc – nie najlepiej. Może dlatego prawdziwa miłość do piłki obudziła się we mnie dopiero w podstawówce.

Boisko miałem pod domem, więc byłem na nim praktycznie bez przerwy, od świtu do zmierzchu, a czasem nawet po nim. Do domu wbiegałem tylko, kiedy mama wołała na obiad, pałaszowałem jak najprędzej, a potem wracałem na betonowy odpowiednik murawy.

Zdzieraliśmy na nim kolana, kolejne piłki i podeszwy nie do końca odpowiednich butów, przeżywając najpiękniejsze momenty dzieciństwa. Sporo osób w okolicy przychodziło przez lata na boisko opolskiej Jedyńki, a kiedy skończyliśmy podstawówkę, prowadziliśmy nieustanne przepychanki z dyrekcją, by dalej móc tam grać (formalnie wstęp po godzinach był surowo wzbroniony, ale tu rozmontowaliśmy jakiś płot, tam przeskoczyliśmy, wiadomo, dla chcącego grać nic trudnego).

Kiedy nie zbierała się odpowiednia liczba ludzi, trenowałem z dwoma przyjaciółmi – SiNKiem i karmim. Wakacje dziewięćdziesiątego ósmego roku spędziliśmy praktycznie na boisku – poprzedni rok szkolny kończyliśmy jako przeciętniacy, w nowy zaś wchodziliśmy przeobrażeni niemal w Brazylijczyków.

Tamten rok stanowi dla mnie futbolową cezurę.

Od tamtego czasu zacząłem zapisywać w pamiętniku wyniki wszystkich meczów i strzelców wszystkich bramek, które miały miejsce na Jedyńce. Mam te zapiski z WordPada do dziś, więc mogę śmiało pochwalić się, że w każdym meczu coś wbijałem.

Ale nie z tego względu dziewięćdziesiąty ósmy był przełomowy.

Kiedy nie grałem na Jedyńce, siedziałem przed telewizorem – trwał bowiem pamiętny mundial we Francji. Do dziś mam niezbędnik kibica z tamtego okresu, w którym wynotowałem każdy wynik, ostateczną pozycję w tabeli i oczywiście całą rundę pucharową.

Mój pokój był oplakatowany wizerunkami piłkarzy i zespołów, w całym domu piętrzyła się prasa piłkarska, noce spędzałem przy Fifie lub Championship Managerze, a za dnia paradowałem właściwie tylko w dwóch koszulkach zakupionych na „ruskim rynku” – Ronaldo i Owena. (Były wykonane z materiału normalnie stosowanego chyba przy workach na śmieci, więc grało się w nich raczej średnio).

Oglądałem wszystkie spotkania, które transmitowała polska telewizja, nawet jeśli okazywały się meczami Copa América, rozgrywanymi o drugiej lub trzeciej w nocy polskiego czasu, a nieśmiertelny Dariusz Szpakowski przysypiał w trakcie.

To wszystko było jednak konsekwencją mundialu. To on zaszczepił we mnie wręcz szaleńczą miłość do futbolu. Pamiętam doskonale, że tamtego lata miałem jechać na obóz językowy do Łeby – pociąg był nocny, typowa kuszetka, a z domu trzeba było wyjść akurat w momencie, kiedy ukochana Brazylia grała z Danią w ćwierćfinale. Przeciągałem moment oderwania się od meczu do ostatniej możliwej sekundy – i doskonale pamiętam, że wyłączyłem telewizor w momencie, kiedy Dariusz Szpakowski wypowiedział frazę „może łapać Taffarel”.

Na obozie faktycznie było trochę zajęć językowych, ale kiedy dotarłem na miejsce, okazało się, że wszyscy paradują w koszulkach piłkarskich. Jeden kolega nosił trykot Del Piero z Juventusu, mój najlepszy przyjaciel mógł pochwalić się koszulką Elbera z Bayernu (co niespecjalnie pochwalałem – do przyczyny zaraz przejdę).

Graliśmy praktycznie w każdej wolnej chwili, korzystając z prawie pełnowymiarowego boiska w ośrodku. A wieczorami wszyscy siadaliśmy jak jeden mąż w świetlicy i oglądaliśmy fazę pucharową.

Było to przeżycie inne od wszystkich dotychczasowych. Wiązało się z poczuciem jakiejś dziwnej przynależności, bezpośredniego dzielenia uniesień

i rozczarowań, a także stykania się z emocjami innych.

W tamtym czasie miałem już pierwsze pisarskie próby za sobą – w trzeciej klasie podstawówki powstał przecież Super-Świniak, a potem kosmiczne wojaże inspirowane Lemem i Star Trekiem. Za sprawą piłki nożnej postawiłem jednak pierwsze kroki w bardziej zorganizowanych działaniach słowotwórczych – i pokazałem komuś to, co wyszło spod mojej klawiatury.

Ci, którzy są po lekturze O pisaniu, być może pamiętają, że zanim zabrałem się do publicystyki internetowej na prawie poważnie, założyłem z dwoma przyjaciółmi piłkarski magazyn o jakże przemyślnej i chodliwej nazwie „VoteBall”. Przygotowaliśmy trochę artykułów, głównie sylwetek piłkarzy i klubów, a ja pamiętam, że pisałem o Beckhamie i Roberto Carlosie. Wchodziłem też na stronę UEFA, a potem klikałem jak najwięcej zdjęć i odliczałem czas, żeby nie przekroczyć wyznaczonych impulsów na modemie, modląc się o to, by pliki zdążyły się ściągnąć. Fotki dodawaliśmy później do artykułów i czuliśmy się prawdziwymi profesjonalistami na drodze ku wiekopomnej piłkarsko-dziennikarskiej przyszłości.

Zerowy numer testowy nigdy się nie ukazał, choć do dziś leży na moim dysku razem z zapisywanymi w WordPadzie wynikami wszystkich istotnych meczów, nie tylko tych podwórkowych.

Mniej więcej od tamtej pory moje życie stało się złączone z futbolem. Był to też czas pierwszej miłości – miłości, która trwa do dzisiaj, a piszę te słowa dwadzieścia cztery lata po tym, jak spotkałem jej obiekt.

Na imię ma Manchester, a na nazwisko United. A czas, który wybrałem sobie, by się zadurzyć, nie mógł okazać się lepszy.

Kiedy zaczynałem swoją przygodę z Czerwonymi Diabłami, byli na fali wschodzącej za sprawą wieloletniej pracy sir Alexa Fergusona – nie osiągnęli jednak jeszcze tego najbardziej spektakularnego triumfu, o którym mówi się do dziś. Chodzi oczywiście o potrójną koronę w sezonie 1998/1999.

O wielu rzeczach z pewnością zapomnę w nadchodzących kilkudziesięciu latach. Wiele zmatowieje w pamięci, pokryje się rdzą albo schowa za mgłą. Tym, co zawsze pozostanie wyraźne, jakby działo się wczoraj, będzie wieczór 26 maja 1999 roku – finał Ligi Mistrzów rozgrywany na Camp Nou między Manchesterem United a Bayernem Monachium. I to nie tylko dlatego, że wciąż mam kasetę VHS, na której go nagrałem.

To spotkanie jest przykładem tego, od czego zacząłem posłowie – wprost nierealnej nieprzewidywalności futbolu. Ekipa z Monachium strzeliła gola już

na początku meczu, a potem przez całe spotkanie dyktowała warunki gry (ledwo przechodzi mi to przez palce, mimo upływu lat).

Pod koniec spotkania sir Alex Ferguson zdecydował się na dwie zmiany, wprowadzając Solskjæra i Sheringhama.

W dziewięćdziesiątej minucie było jeden do zera dla Bayernu, kibiccie tego zespołu świętowali już zwycięstwo, bo nic nie wskazywało na to, by podopieczni Fergusona mogli cokolwiek wskórać. Piłkarze też byli już pewni swego.

Potem przyszła dziewięćdziesiąta pierwsza minuta. Jeden jeden za sprawą wprowadzonego niedawno Sheringhama.

I dziewięćdziesiąta trzecia. Gol Solskjæra, który zameldował się na murawie niewiele ponad dziesięć minut wcześniej.

Trudno odpisać tamte emocje – choć w tej książce starałem się w gruncie rzeczy dokonać właśnie tego.

To także z tego spotkania pochodzi jedno z mott tej książki – Ferguson bowiem podsumował całe zajście swoim słynnym „football, bloody hell!”.

Nazajutrz w szkole spotkałem się ze swoim najlepszym przyjacielem, zadeklarowanym fanem Bayernu. Kiedy stwierdził, że Manchester wygrał niezasłużenie, pobiliśmy się i trafiliśmy do dyrektorki na dywanik. Niespecjalnie wiedziała, dlaczego dwóch gówniarzy i dobrych kolegów skoczyło sobie do gardeł, ale mam wrażenie, że kiedy usłyszała, o co poszło, zastosowała taryfę ulgową. Żadnych konsekwencji nie ponieśliśmy.

Nie jest to może najlepszy przykład na to, co w umysłach młodych ludzi potrafi zdziałać piłka nożna. Szczęśliwie jest mnóstwo tych znajdujących się na drugim końcu tego spektrum.

Wydaje mi się, że futbol jest – lub może być – istotnym i potężnym narzędziem społecznej zmiany. Mógłbym długo mówić o idolach młodzieży, którzy jednym krótkim zdaniem przeciwko rasizmowi mają szansę wpłynąć na młode umysły. Mógłbym rozwodzić się na temat tego, jakie efekty przyniosły występy niemieckiej drużyny, w dużej mierze złożonej z imigrantów, na Euro w 2016 roku.

To jednak rozważania na inną książkę. W tej chciałem skupić się na emocjach, próbując w fikcji odtworzyć to, co wywołuje je w rzeczywistości.

Od lat zbierałem się do napisania futbolowej powieści. Za każdym razem, kiedy zbliżałem się do decyzji, by zacząć, rezygnowałem. Nie chciałem tworzyć thrillera z elementem futbolu, nie chciałem pisać o korupcji i innych tego typu sprawach. Chciałem stworzyć klasyczną opowieść sportową, osnutą wokół piłki nożnej.

Jak jednak to zrobić? Kiedy ostatnim razem ktoś się na to porwał? I przede wszystkim jak sprawić, żebyśmy razem zaczęli kibicować jakiemuś fikcyjnemu zespołowi? Fikcyjnemu piłkarzowi? Jak sprawić, by nam zależało?

Długo szukałem odpowiedzi na te pytania. Kiedy tylko wydawało mi się, że je znalazłem, zasiadłem do pisania Z pierwszej piłki. Obawiałem się, że będzie szło jak po grudzie i że nie wycisnę z tej historii niczego ciekawego, ani dla siebie, ani dla Ciebie. W końcu z jakiegoś powodu takie książki raczej nie zalewają półek księgarń.

Ostatecznie założyłem, że trudno – najwyżej przerwę pisanie i rzucę tę historię w cholerę. A jeśli jednak pójdzie dobrze, ale będę czuł, że tylko mnie to interesuje, zamknę książkę w szufladzie, razem z kilkudziesięcioma innymi.

Bo o czym tu pisać? O meczach? Równie dobrze można włączyć sobie spotkanie ulubionej drużyny. O emocjach sportowych? Nawet jeśli nie ma wielu książek, które je eksploatują, zawsze można obejrzeć jakiś film z tego gatunku, bo takie historie najwyraźniej lepiej sprawdzają się na ekranie.

Ledwo jednak zacząłem, poczułem wszystkie te emocje, które pamiętałem z dzieciństwa. Wcześniej byłem przekonany, że okaże się to moją najkrótszą książką. Chciałem nawet powiedzieć wydawcy, że tym razem przyjdzie nam wydać nowelę.

Momentalnie jednak uzmysłowiłem sobie, że rodząca się gdzieś na styku podświadomości i wyobraźni historia Bena, Kali, Witka i Rewery Opole szybko przybiera wprost kolosalne rozmiary.

Gdyby nie to, że w pewnym momencie zacząłem bić się po łapach, ta książka miałaby pewnie ponad tysiąc stron.

To także oznacza, że wykluczyć ponownego spotkania z Witkiem, jego córką i resztą zespołu nie jestem w stanie.

A skoro już o Kalinie mowa...

Długo obawiałem się także tego, że w tej powieści nie będzie miejsca dla kobiecych postaci. Świat futbolu wciąż jest dość zmaskulinizowany i – co tu dużo mówić – seksistowski. Kiedy w lidze angielskiej pojawiła się kobieta jako sędzia liniowa, nawet komentatorzy zaśmiewali się w najlepsze na antenie, zastanawiając, czy wie, co to spalony (szczęśliwie obaj zaraz potem stracili robotę).

Wydaje mi się, że sytuacja poprawia się z każdym kolejnym rokiem, ale wciąż jesteśmy dalecy od sytuacji, która powinna zagościć na dobre. W świecie futbolu jest mnóstwo kobiet – wystarczy popatrzeć na trybuny stadionów. Problem w tym, że częstokroć stawia im się bariery, by nie mogły wejść do

niego bezpośrednio, a jeśli już pojawiają się w klubach lub na murawach, muszą najpierw wywalczyć sobie pozycję, by zdobyć uznanie mężczyzn.

W tej książce Kala niejednokrotnie kradła show. Czy to przy linii bocznej, czy to w klubie. Mam nadzieję, że w rzeczywistości będzie podobnie coraz częściej.

A na koniec najważniejsze, czyli podziękowania. Przede wszystkim kieruję je do moich Rodziców, jak zawsze. Tym razem także za to, że pozwalali, by dziecko na całe dni zniknęło z domu (nie bez znaczenia jednakowoż był fakt, że z okna mojego mieszkania widać było boisko – tak, widziałem Was, ilekroć tam stawaliście).

Wdzięczny im jestem, że zawsze znajdowały się środki na nową piłkę i nowe buty, szczególnie że na betonie jedno i drugie zużywało się dość szybko. Dzięki przy tej okazji składam szczególnie na ręce (nogi?) mojego taty, który godzinami potrafił kopać ze mną piłkę i który zabrał mnie na mój pierwszy mecz w życiu. Było to spotkanie Amica Wronki – Lech Poznań, a my zjawiliśmy się na stadionie rankiem w dniu meczu (mój tata jakimś cudem dogadał się z obecnymi tam ludźmi, by wpuszczono nas na zamknięte klubowe włości).

Ale idźmy dalej.

Smoku, dzięki wielkie za skompletowanie listy lektur, które okazały się nieocenione w trakcie researchu. Tym, którzy chcieliby skorzystać z rekomendacji redaktora Smokowskiego i uzyskać nieco wglądu w piłkarską kuchnię, polecam szczególnie Futbol obnażony – książkę pisaną przez anonimowego zawodnika Premier League. Oprócz tego warto zwrócić uwagę na 90 minut węgierskiego pisarza, Antala Vegha. To powieść z 1979 roku (w Polsce wydana nakładem Iskier w 1983), do której można z najczystszym sumieniem przykleić przymiotnik „sportowa” – cała akcja rozgrywa się bowiem w trakcie tytułowych dziewięćdziesięciu minut.

Oprócz tego nawinęła mi się ostatnio ciekawa pozycja Michała Okońskiego Światło bramki (swoją drogą celowałem w ten tytuł, kiedy zastanawiałem się, co powinno widnieć na okładce tej powieści – wielkie dzięki, panie redaktorze). Zapalony kibic Tottenhamu opowiada o miłości nie tylko do swojego klubu, ale także do futbolu – opisując go od strony psychologicznej, socjologicznej, a nawet metafizycznej. Miejsca nie szczędzi istotnym klubom, zawodnikom i trenerom, a wszystko to okrasza wyjątkową frazą, której tak często łakniemy w książkach o sporcie.

Jeżeli ktoś chciałby zagłębić się nieco w meandry naszej krajowej rzeczywistości futbolowej, podsunąłbym Stan futbolu. Tajemnice boiska, szatni

i piłkarskich gabinetów Krzyśka Stanowskiego – w chwili, kiedy piszę te słowa, wydanie z 2016 roku jest już dostępne tylko w antykwariatach i na Allegro, ale grzechem byłoby, gdyby nie wyszła zaktualizowana reedycja.

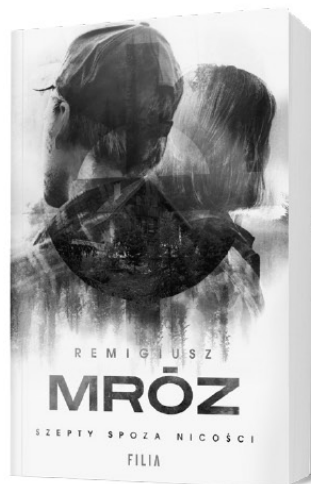
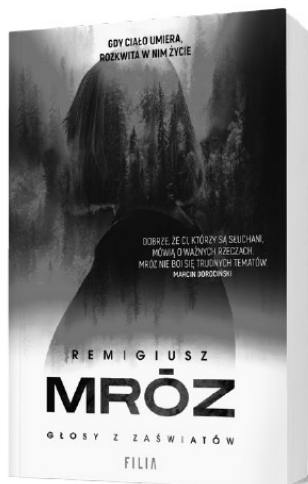
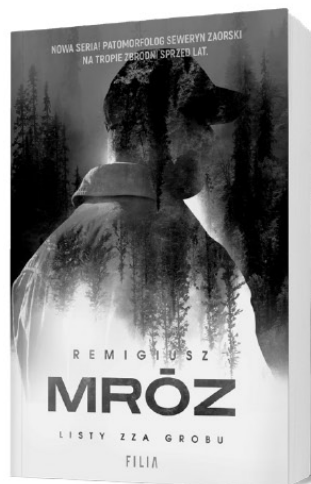
Pora kończyć, bo regulaminowy czas gry upłynął już dawno, a ja nagle odnalazłem się w jednej z najdłuższych powieści, które napisałem. Czas umknął mi zupełnie niezauważenie – mam nadzieję, że Tobie też.

I że będzie jeszcze okazja, byśmy wspólnie przeżywali emocje na meczach Rewery Opole.

Remigiusz Mróz
Warszawa–Opole, 5 września 2022

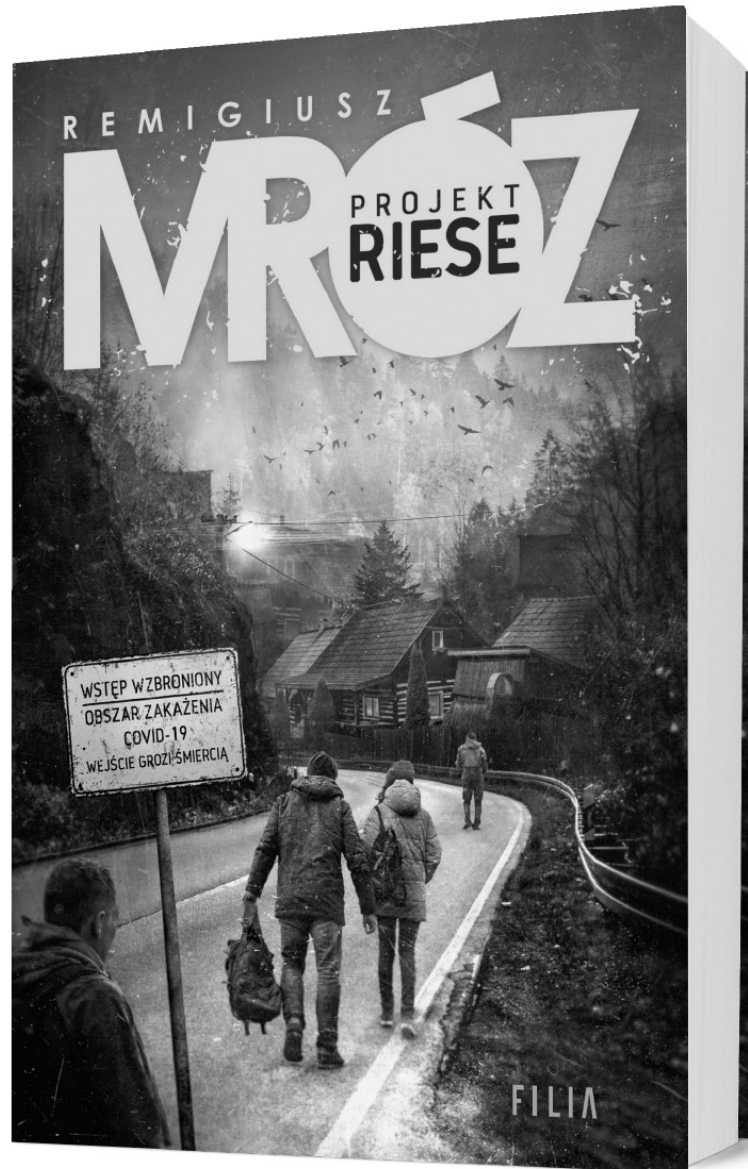
PS Playlista tradycyjnie na moim profilu na Spotify – wystarczy wyszukać „Rewera Opole”.

NAJWIĘKSZE TAJEMNICE DRZEMIĄ
W MAŁYCH MIASTECZKACH



PATOMORFOLOG SEWERYN ZAORSKI WIE,
ŻE TO UMARLI UCZĄ ŻYWYCH

FILIA



NIC NIE JEST OSTATECZNE.
NAWET ŚMIERĆ.

FILIA

SPIS TREŚCI

Karta tytułowa

Dedykacja

Cytaty

PÓŹNIEJ. SEZON 2022/2023. Carrer del Duc, Barcelona

WCZEŚNIEJ. SEZON 2021/2022. 1–20 KOLEJKA

1. ul. Pawlety, Suchy Bór
2. ul. Szkolna, Suchy Bór
3. ul. Wygonowa, Opole
4. ul. Pawlety, Suchy Bór
5. Szatnia gospodarzy, Stadion im. Dawida Żerskiego
6. ul. Pawlety, Suchy Bór
7. Ośrodek treningowy Rewery Opole, ul. Sosnkowskiego
8. Boisko treningowe, ul. Sosnkowskiego
9. Gabinet trenera, ośrodek szkoleniowy Rewery Opole
10. Ośrodek szkoleniowy Rewery Opole, ul. Sosnkowskiego
11. ul. Reymonta, Opole
12. ul. Pawlety, Suchy Bór
13. Szatnia gości, stadion Gryfa Gliwice
14. Stadion miejski, Gliwice
15. Linia boczna, boisko Gryfa Gliwice
16. Autostrada A4, okolice Kleszczowa
17. Ośrodek treningowy Rewery Opole, ul. Sosnkowskiego

PÓŹNIEJ. SEZON 2022/2023. Via Laietana, Barcelona

SEZON 2021/2022. 21–26 KOLEJKA

1. Stadion Rewery Opole, ul. Wygonowa
2. Stadion im. Dawida Żerskiego, Opole
3. ul. Sosnkowskiego, Opole
4. Hotel Sezam, Kłobin
5. Stadion Prospektu, Kłobin
6. Boisko Prospektu, Kłobin
7. Tunel pod trybunami, stadion Prospektu
8. ul. Pawlety, Suchy Bór
9. ul. Wygonowa, stadion Rewery Opole
10. Pole karne gości, Stadion im. Dawida Żerskiego
11. Ogródki działkowe, ul. Częstochowska
12. Ośrodek treningowy Rewery Opole, ul. Sosnkowskiego
13. Śródmieście, Warszawa
14. Stadion Zrywu Częstochowa, Zawodzie-Dąbie
15. Boisko Zrywu, Częstochowa
16. Ławka trenerska, stadion Zrywu Częstochowa
17. Stadion Zrywu, Częstochowa
18. Blachownia, powiat częstochowski
19. Stołówka, ośrodek treningowy Rewery Opole

PÓŹNIEJ. SEZON 2022/2023. Via Laietana, Barcelona

WCZEŚNIEJ. SEZON 2021/2022. 27–30 KOLEJKA

1. ul. Witosa, Opole
2. ul. Wygonowa, Opole
3. Stadion im. Dawida Żerskiego, Opole
4. Sala konferencyjna, stadion Unii Kraków
5. Linia boczna, stadion Unii Kraków
6. Strefa techniczna, stadion Unii Kraków

7. Pole karne, stadion Unii Kraków
8. ul. Pawlety, Suchy Bór
9. Las Grudzicki, Suchy Bór
10. Szatnia gospodarzy, Stadion im. Dawida Żerskiego
11. Stadion Rewery Opole, ul. Wygonowa
12. Stadion im. Dawida Żerskiego, Opole
13. Szatnia gospodarzy, stadion Rewery Opole
14. Pole karne gości, stadion Rewery Opole
15. Linia boczna, Stadion im. Dawida Żerskiego
16. Szatnia gospodarzy, stadion Rewery Opole
17. Pole karne Rewery, Stadion im. Dawida Żerskiego

TERAZ SEZON 2022/2023

1. Carrer del Duc, Barcelona
2. Restauracja hotelowa, carrer del Duc
3. My Bar, carrer del Ferran

POSŁOWIE

Reklama 1

Reklama 2

Karta redakcyjna

Copyright © by Remigiusz Mróz, 2022
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2022

Projekt okładki: © Tomasz Majewski

Redakcja: Karolina Borowiec-Pieniak
Korekta: Joanna Pawłowska, Marta Akuszewska
Skład i łamanie: Stanisław Tuchołka | panbook.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-435-5

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.